

# Lata nauki Wilhelma Meistra





Ta lektura, podobnie jak tysiące innych, jest dostępna on-line na stronie wolnelektury.pl.

Utwór opracowany został w ramach projektu Wolne Lektury przez fundację Wolne Lektury.

---

JOHANN WOLFGANG VON GOETHE

# *Lata nauki Wilhelma Meistra*

TŁUM. PIOTR CHMIELOWSKI

# WSTĘP TŁUMACZA

Ogłoszenie przekładu *Wilhelma Meistra* pod koniec wieku XIX nie może się<sup>1</sup> uważać za jakiś anachronizm nie tylko ze względu na tę ogólną zasadę, że dzieła wielkich mistrzów nigdy się nie starzeją, ale nadto jeszcze ze względu na znamienne okoliczność, iż najświeższe prądy w literaturze europejskiej lubią się właśnie na to dzieło Goethego powoływać jako na swego duchowego praojca.

Istotnie to, co za życia poety ogół i krytyka po większej części uważały za najmniej interesujące, najmniej szczęśliwie przeprowadzone, zarówno co do myśli, jak i co do wykonania artystycznego, mianowicie druga część romansu: *Lata wędrówki*, dzisiaj dla symbolistów przedstawiając się jako pełne głębi tajemniczej, budzi w nich zachwyt, po-czytywana jest za genialne przecucie obecnego stanu duszy, jej rojeń i pragnień, jej zamętów i jasnowideń. Taka postać, że wiele pomniejszych pomnę, jak Makaria, ta żywa „armilarna sfera”<sup>2</sup>, odczuwająca najłżejsze drgania wszechświata i widząca wzrokiem duchowym to, czego najbieglejsi astronomowie przez teleskopy dostrzec nie mogą, imponować musi symboliście i „naukowemu” mistykowi, uprzedziła bowiem na długo najśmielsze jego pomysły, dzisiaj w tym kierunku objawiane.

Tajemniczość wątku, sama nawet niezwykłość stylizacji w *Latach wędrówki* zwróciły też na siebie baczniejszą obecnie niż kiedykolwiek uwagę i dają pochop<sup>3</sup> do wysnuwania nowych, najdziwniejszych nieraz poglądów estetycznych.

Sądzę zatem, że uprzystępnienie dla czytającego ogółu naszego możliwości zapoznania się z utworem, który dziś jakby wskrzeszonym został do życia nowego, może być uważanym za pewnego rodzaju „aktualność” literacką i pobudzić jeżeli nie do studiów nad nim, to przynajmniej do pilnego odczytania, choćby tylko po to, ażeby się naocznie przeświadczyć, że pomysły i sposoby artystyczne, poczytywane za wynik prądów duchowych doby najświeższej, mogą rodowód swój posunąć znacznie dalej i złączyć z nazwiskiem, które niejednemu już pokoleniu jak gwiazda przewodnia świeciło, jak hasło było obwoływane. Z tego też powodu, lubo<sup>4</sup> z początku zamierzałem poprzestać na przekładzie pierwszej tylko części *Wilhelma Meistra*, zdecydowałem się w końcu na podanie całości, o której tu kilka uwag pomieszcza, opierając się przeważnie na dwu dziełach niemieckich: Hermanna Hettnera *Geschichte der deutschen Literatur im XVIII Jahrhundert* i Hermanna Grimma *Goethe, Vorlesungen gehalten an der kgl. Universität zu Berlin*, 1877, 2 tomy.

## I

Pierwszy pomysł *Wilhelma Meistra* przyszedł Goethemu jeszcze za najwcześniejszych lat pobytu w Weimarze, mianowicie w r. 1777, kiedy poeta był 26-letnim młodzieńcem; wykonanie nawet tego pomysłu, inne, niż je mamy obecnie, rozpoczęte w 1778, postąpiło dosyć daleko, gdyż doszło w 1785 do księgi szóstej (ale nie dzisiejszej). Bawiąc we Włoszech, nie spuszczał Goethe uwagi ze swego utworu; druk atoli<sup>5</sup> pierwszej, przerobionej części rozpoczął się dopiero w r. 1794; ale że wśród narad z Schillerem<sup>6</sup> co do tego romansu dużo upłynęło czasu, *Lata nauki* wyszły na widok publiczny w końcu r. 1796.

*Lata nauki Wilhelma Meistra* — powiada Herman Hettner — to odyseja wykształcenia, historia błąkania się wśród raf różnorodnych, ze szczęśliwym atoli do domu powrotem. W pierwszym wystąpieniu swoim Wilhelm zdradza pokrewieństwo z Werterem; nie jest on wprawdzie tak czulostkowy i tak kapryśnie fantastyczny jak Werter, w każdym atoli razie żyje tylko w krainie ideałów marzycielskich i niejasnych, nie mając w duszy swej żadnego hamulca do powstrzymania i ograniczenia tytanicznych swych pragnień. Myślą przewodnią utworu jest właśnie doprowadzenie Wilhelma do poznania i urzeczy-

<sup>1</sup>Ogłoszenie przekładu (...) nie może się uważać — dziś popr.: Ogłoszenia przekładu (...) nie można uważać. [przypis edytorski]

<sup>2</sup>armilarna sfera — sferyczne astrolabium: dawny przyrząd astronomiczny złożony z wielu pierścieni, służący do wyznaczania współrzędnych obiektów na niebie. [przypis edytorski]

<sup>3</sup>pochop (daw.) — bodziec, impuls; powód. [przypis edytorski]

<sup>4</sup>lubo (daw.) — chociaż. [przypis edytorski]

<sup>5</sup>atoli (daw.) — jednak, ale; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast. [przypis edytorski]

<sup>6</sup>Schiller, Friedrich (1759–1805) — czołowy niemiecki poeta, filozof i dramatopisarz, przyjaciel Goethego. [przypis edytorski]

wistnienia w życiu równowagi duchowej, dającej spokój i zadowolenie. Toteż słusznym jest zdanie Schillera, że *Lata nauki* są dziejami wykształcenia człowieka, który ze sfery pustego i nieokreślonego ideału przechodzi do czynnego i określonego życia, nie tracąc wszakże mocy idealizowania.

Przypatrzmy się sposobom, jakich użył poeta, chcąc bohatera swego w ten sposób wykształcić.

Chłopcem będąc, Wilhelm najpiękniejsze swe godziny przepędzał w świecie własnej fantazji, obudzonej przedstawieniem marionetek, a w miarę przybywania lat idealistyczne, a raczej fantastyczne jego usposobienie coraz większej nabywało potęgi. Przestrogi i napomnienia nic nie pomogły: młodzieńcowi ciasno było wśród zajęć kupieckich, do których ojciec go przeznaczył, więc wybiegał fantazją i uczuciem do krain poetycznych i teatralnych, zakochał się w aktorce Mariannie i sądził, że przysła dla niego chwila wybawienia. Upojenie jednak nie trwa długo; ochładza je aktor Melina, wystawiając żartkiemu<sup>7</sup> młodzieńcowi w jaskrawych barwach całą nędzę wędrownego życia artystów, ochładza go domniemana niewierność kochanki, wskazując, jak to życie, zrzucające z siebie więzy moralności przyjętej, mieści w samym sobie mściwą Nemezę<sup>8</sup>.

Chcąc wykazać z całą możliwą dosadnością niedorzeczność fantastyki i wyrywania się z objęć rzeczywistości, poeta przeprowadza bohatera swego przez liczne szeregi przedstawicieli tego kierunku, maluje uroczo życie teatralne, zapoznaje go z zajmującymi lub silnie wzruszającymi postaciami Filiny i Mignony; potem przenosi go na dwór arystokratyczny i stawia go na scenie. Wilhelm doświadczeniem własnym ma się przekonać, że artysta sceniczny z trudnością stać się może artystą życiowym, że idealne na pozór formy życia na wielkim świecie są po większej części idealnością etykiety tylko i nie zawierają w sobie prawdy istotnej. Uznaje on w końcu, że na próżno by chciało się uniknąć ograniczeń, jakie stawia życie, że szczęście i godność ludzka nie polegają na zaprzeczeniu, ale na opanowaniu nieodpartej rzeczywistości.

Kiedy bohater przyszedł już do tego przekonania, Goethe, chcąc wyczerpnąć<sup>9</sup> treść idei podjętej przez się, podaje *Zwierzenia pięknej duszy*, które z historią Wilhelma ściślego, bezpośredniego nie mają związku. W zwierzeniach tych poeta, zużytkowując wspomnienia swoje o pannie von Klettenberg<sup>10</sup> (1723–1774), przedstawił obraz kobiety, która podobnie jak Wilhelm, żyjąc w świecie nadmiernie rozbudzonej wyobraźni, zatonała w samej sobie, oddała się pobożnemu marzycielstwu i religijnej fantastyce...

W ostatnich dwu księgach *Lat nauki* wstępujemy na grunt zupełnie inny. W zamku Lothara spotykamy kółko rodzinne, w którym jednoczą się wszystkie kierunki, jakie dotychczas przedstawiały się tylko w odosobnieniu. Członkami tej rodziny są potomkowie „pięknej duszy”; wyrosli i wychowali się oni pod serdecznym jej wpływem. Stryj posiada wielkie zbiory sztuki, a jego otoczenie żywo interesuje się artyzmem, do czego przyłącza się świadoma sobie swoboda życiowa, wyższym stanom właściwa. Te idealne dążenia nie poprzestają jednak na spokoju kontemplacyjnym; wszystkie, owszem<sup>11</sup>, osobistości<sup>12</sup> do kółka tego należące, zarówno mężczyźni, jak kobiety, biorą udział w walce życiowej. Należą one do świata arystokratycznego, gdyż w czasach, kiedy Goethe pisał swój romans, ten tylko świat mógł wytworzyć wyższą sztukę życia i uprawiać ją swobodnie. Inaczej tu jest wszelako aniżeli na zamku hrabiego, który Goethe w trzeciej księdze przedstawił. Ludzie ci wykształcili się w ciągłym działaniu, nie zadowalają się więc pustym ceremoniałem, ale gorliwie się zajmują praktycznymi sprawami, walczą i szukają, w formie głośnych naówczas towarzystw tajnych, tego, co stanowi najwyższą potęgę życia i wykształcenia. Wilhelm widzi tu własnymi oczyma, czego tak długo poszukiwał na próżno. Coraz wyraźniej i coraz zupełnie zrywa ze swym czułościowym usposobieniem, uznaje znaczenie, konieczność życia czynnego, wpływającego dzielnie na sprawy świata. W szczęśliwą godzinę nastęrcza mu się syn jego Feliks, pamiątka miłości Marianny; staranie o przyszłość

<sup>7</sup>żartki — żwawy, energiczny, pełen życia; porywczy. [przypis edytorski]

<sup>8</sup>Nemezis (mit. gr.) — bogini zemsty, przeznaczenia i sprawiedliwości świata. [przypis edytorski]

<sup>9</sup>wyczerpnąć (daw.) — dziś popr.: wyczerpać. [przypis edytorski]

<sup>10</sup>Klettenberg, Susanne von (1723–1774) — niemiecka zakonnica, autorka utworów religijnych; przyjaciółka matki Goethego, korespondowała z nim, powodując, że zainteresował się literaturą mistyczną i alchemiczną, stała się pierwowzorem dla jednej z postaci w jego powieści *Lata nauki Wilhelma Meistra*. [przypis edytorski]

<sup>11</sup>owszem (daw.) — co więcej, a nawet; całkowicie, zupełnie. [przypis edytorski]

<sup>12</sup>osobistość (daw.) — osoba; osobowość, charakter człowieka. [przypis edytorski]

tego chłopczyka zmusza go do skupienia sił i zajęcia się życiem praktycznym, którym dawniej tak niemiłosiernie pogardzał.

Atoli czyżby czas obrócony na wykształcenie Wilhelma całkowicie był zmarnowany? Goethe zestawia swego bohatera z ograniczonym kupcem, który poza obręb sklepu nie wyrzwał, i pokazuje na oko ogromną między nimi różnicę. Ów hrabia z trzeciej księgi, co to uważał jedynie na zewnętrzną, bierze Wilhelma za prawdziwego lorda...

W tym nowym położeniu sądzi Wilhelm, że uzupełnienie swoje znajdzie w milej, wesołej, ale zamkniętej na klucz gospodarski duszy Teresy; była to omyłka, jak i dawniejsze; zanadto już bowiem miał w sobie idealizmu, zanadto poezji i harmonii. Natalia, czynna praktycznie i idealna zarazem, stała się przez swą naiwnie szlachetną kobiecość tym, co Wilhelm zdobywać sobie musiał mozolnie walką długoletnią. Tym jest przynajmniej z istoty swojej, chociaż poeta nie przeprowadził jej w szczegółach w sposób plastyczny. W niej to znajduje wreszcie Wilhelm zadowolenie wewnętrzne i harmonijne uspokojenie. Natalia kocha go również i uznaje w nim równego sobie, widząc zarazem w jego osobistości zharmonizowanie pragnień swoich.

Na tym kończą się *Lata nauki* Wilhelma. Gonił on za sztuką aktorską, a zdobył sobie sztukę życia, szukał idealności pięknych pozorów, a znalazł idealność pięknej rzeczywistości. Zadaniem tego romansu nie jest beatyfikacja wyłączności arystokratycznej lub beczynnego używania, jak utrzymywali niektórzy, lecz owszem, stanowcze wystąpienie przeciw romantyzmowi, poważne odstręczenie od wszelkiej bezcelowości i marzycielstwa, zaprzęgnięcie tytanicznych zapędów do wozu uorganizowanego społeczeństwa, wychowanie do pracy i działalności nie w znaczeniu niedołącznego umysłowo filisterstwa<sup>13</sup>, lecz w znaczeniu duchem uszlachetnionego trudu, w znaczeniu greckiej kalokagatii<sup>14</sup>.

Herman Grimm inaczej pojmuje zasadniczą ideę utworu i dlatego nie pochwała jego zakończenia, skutecznego za poradą Schillera. Według niego zadaniem *Lat nauki* było przedstawienie życia, jakim ono jest; właściwego zakończenia zatem być nie mogło; dzieło powinno się być urwać na jakimkolwiek punkcie, jak to bywa w pamiętnikach... Goethe — powiada Grimm — wprawia nas w stan ironicznego przewidywania skutku każdej nowej przygody Wilhelma; wiemy zawsze, że wyjdzie z niej bez istotnego zadowolenia, ale z całą skórą przynajmniej. Życie ludzkie przedstawia się tutaj jako nieprzerwana kolej uczt, na której nie ma albo apetytu, albo gości, oraz jako nieprzerwana kolej chwil najlepszego apetytu, w których zadowolić się musimy skórką chleba. Niebawem po ukazaniu się *Wilhelma Meistra* dwu młodych pisarzy wydało jego krytykę w formie romansu pt. *Pokusy i przeszkody Karola*, w którym przedstawili idiotycznego mieszczucha, prześladowanego ustawicznie przez los i wielce komicznego... Atoli prawdziwość treści *Lat nauki* na tym właśnie polega, że Wilhelm nigdy się nam nie wydaje śmiesznym. W ten sam sposób w *Gil Blasie z Santillany* Le Sage<sup>15</sup> przeprowadził bohatera poprzez niezliczone, po większej części bezowocne awantury, nie czyniąc go przecież śmiesznym tam nawet, gdzie gra rolę najpociesniejszą, gdyż każdy z czytelników musi sobie powiedzieć: i mnie by lepiej się nie udało.

Jakkolwiek zresztą pojmujemy zasadniczą ideę utworu, zastanawiającą jest rzecz, że w *Latach nauki* nie ma najsłabszego nawet śladu wpływu życia publicznego, wpływu państwa i społeczeństwa. Bohater rozwija się w epoce, która się sama filozoficzną nazywała, a jednakże ani razu nie odczuwa potrzeby zajęcia się filozofią — tłumaczy się to usposobieniem Goethego, nielubiącym się zapuszczać w abstrakcje spekulacyjne. Pominięcie zaś żywiołu państwowego w romansie wykończonym podczas najgwałtowniejszych burz rewolucyjnych, objaśnić sobie należy tym, że Niemcy wieku XVIII, biorąc ogółem, posiadały wysoce wykształconą duszę, ale bardzo nędzne ciało, że wewnętrzny ich rozwój nie odpowiadał wcale zewnętrznemu, że obywatel niemiecki płacił wprawdzie cło, podatki, bo tak było z dawien dawna, ale nie rozmyślał wcale nad ustrojem państwa.

<sup>13</sup>filisterstwo — sposób myślenia cechujący filistrów; filister (pogardl.): mieszczuch o ograniczonych horyzontach, prozaiczny materialista pozbawiony wyższych aspiracji. [przypis edytorski]

<sup>14</sup>kalokagatia — staroż. greckie określenie ideału harmonijnego połączenia piękna ciała ze szlachetnością duszy. [przypis edytorski]

<sup>15</sup>Le Sage a. Lesage, Alain-René(1668–1747) — powieściopisarz i dramaturg francuski, zasłynął jako autor powieści *Diabeł kulawy* oraz *Przypadki Idziego Blasa* (fr. *Histoire de Gil Blas de Santillane*). [przypis edytorski]

*Lata nauki* upływają na gruncie bezpośredniej teraźniejszości i rzeczywistości, a mimo to zawierają w sobie efekty pełne grozy dreszczem przejmującej, efekty oparte na cudownych, nadzwyczajnych zjawiskach, sięgających poza krańce pospolitego bytu ludzkiego. Takie przenikanie się dwu sprzecznych ze sobą żywiołów, jakkolwiek w dziejach poezji nierzadkie, nie wywołuje wszakże nie milego rozdzielenia w dziele Goethego, gdyż poeta z prawdziwym mistrzostwem umiał się zatrzymać w granicach możliwości. Zrobił to naprzód za pośrednictwem Mignon i harfiarza, postaci tajemniczych, a jednak zupełnie ludzkich, a po wtóre przez wprowadzenie do romansu stowarzyszenia wychowawczego, które tajemnie kieruje postępkami Wilhelma. Jeśli przypomnimy sobie, jak sławnymi były w wieku XVIII związki wolnomularzy<sup>16</sup> i iluminatów<sup>17</sup>, których działalności nadzwyczajne przypisywano skutki, to w przedstawieniu stowarzyszenia wychowawczego, którego tajemniczość pobudza i pociąga wyobraźnię, nie tylko nie ujrzymy nic niestosownego, lecz owszem, przyznamy, że prawda i żywość malowidła wieku zyskały przez to na sile i zupełności.

Z postaci nakreślonych w *Wilhelmie Meistrze* zasługuje przede wszystkim na uwagę sam bohater, a potem Filina i Mignon.

Wilhelm to nie istota energiczna, dzielna, twórcza, lecz bierna, lubiąca rozmyślać, łatwo poddająca się wpływowi. Rzeczy dziejące się około niego i z nim są to właśnie potęgi czynne; on sam zaś przyjmuje tylko wrażenia i dozwala im działać na siebie. Zdolność atoli do rozwinięcia w sobie wszystkich sił całkowitej natury ludzkiej, czyli, jak się wyraża Goethe, zdolność „przeczuwania świata całego” (*Vorempfindung der ganzen Welt*) pracuje w nim nieustannie i zmusza go, by przeczucie to zamieniał na jasne poznanie i urzeczywistniał w życiu. Stąd to pochodzi szerokość i swoboda poglądów, powolne zdobywanie coraz to pełniejszego i wszechstronniejszego wyobrażenia o wszechświecie, połączone w jednej osobistości. Skłonność Wilhelma do refleksji — powiada Schiller — wśród najszybszego nawet pochodzenia akcji zmusza ciągle czytelnika do patrzenia naprzód i poza siebie i do rozmyślania nad wszystkimi zdarzeniami. Skupia on w sobie niejako znaczenie, treść wewnętrzną, ducha wszystkich otaczających rzeczy, przemienia niejasne poczucie na przejrzyste pojęcie, a rozwijając tym sposobem własny swój charakter, rozwija zarazem wyborne założenie całości. W nim przebywa czysty obraz człowieczeństwa, z którym porównywa on każde zjawisko zewnętrzne; a jak z jednej strony doświadczenie prostuje i określa jego chwiejne poglądy, tak z drugiej ów obraz idealny, owo poczucie wewnętrzne staje się dopełnieniem doświadczenia. Wilhelm jest w części znacznej samym Goethem.

Co do Filiny i Mignon nie wiemy wcale, z jakich wzorów rzeczywistych są wzięte.

Filina jest to realistycznie przedstawiona niespokojna, ruchliwa kokietka, której nikt oprzeć się nie może. Zimna z natury, kocha tylko pozornie, na moralność wcale nie zwraca uwagi, ale do żadnej silnej namiętności zdolną nie jest; toteż choć w najswobodniejszym zostaje do Wilhelma stosunku, chociaż daje mu tysiąc sposobności posunięcia się za daleko, pozostawia go zawsze chłodnym. Za radą Schillera zepsuł Goethe charakter ten jedną niewłaściwą trochę sceną, w której każe Filinie zakradać się do mieszkania bohatera romansu; jest to rys dodatkowy, będący w niezgodzie niejaki z poprzednią charakterystyką Filiny.

Mignon, to dziecię zrodzone na południu, przez los poniewierane, marzące i namiętne, odmalował poeta tak rzewnie i tak porywająco, że jej zapomnieć niepodobna. Dziecię, siłą demoniczną do swego obrońcy przywiązane, czuje nagle, że dzieckiem być przestało. Jako dziecię jeszcze przemyka się nocą do Wilhelma, chce się jak pies u nóg pana swego położyć, wdziera się niezrozumiana do jego serca, a kiedy się oddaje nagle obudzonej namiętności, równocześnie istota jej podpada unicestwieniu; trawi się odtąd w sobie, a śmierć, opisana z przenikającą prawdą, przybywa wkrótce, by ją przenieść w kraj cieni. Kiedy Marianna, będąca bohaterką pierwotnego, nowelistycznego zarysu Wilhelma Meistra, usunęła się na stronę, Mignon stała się osobistością, dla której poświęcony został cały utwór. Jest to kreacja prawdziwej poezji romantycznej: zamknięta w sobie

<sup>16</sup>wolnomularze — masoni, członkowie ruchu powstałego w XVIII w., mającego na celu moralne i społeczne doskonalenie człowieka, braterstwo ludzi różnych religii, narodowości i poglądów. [przypis edytorski]

<sup>17</sup>iluminaci a. Zakon Iluminatów (z łac. *illuminatus*: oświecony) — tajne stowarzyszenie założone w Bawarii w 1776, mające na celu propagowanie oświeceniowych idei równości i racjonalizmu; w 1784 razem z innymi tajnymi stowarzyszeniami zakazane przez państwo i zlikwidowane. [przypis edytorski]

duchowość, znająca prawie samą tylko elementarną mowę gestów i śpiewu przy dźwięku muzyki; tęsknota niewysłowiona, boleść bezgraniczna, dziwaczność i zagadkowość — oto jej cechy najogólniejsze. Gdy jednakże poznamy jej przeszłość, gdy się w jej naturalne usposobienie uważnie wpatrzmy, to dziwaczność i zagadkowość znika, a zjawia się natomiast psychiczna konieczność.

Jedną ze stron wielce ganionych wśród ogółu czytelników *Lat nauki* jest to, że Goethe nazywał tu i przedstawiał rzeczy bez najmniejszego ubarwienia i bez żadnych muślinowych obsłonek. Już Schiller zauważył, że tego przedrwiwania ludzi nie darują czytelnicy pocie, gdyż wiedząc, że tak się istotnie dzieje na świecie, nie chcą, żeby to wypowiedziano jasno i bez ogródek. Dzisiaj naturalizm przyzwyczaił nas do mniej jeszcze osłoniętych obrazów, przy tym u Goethego uduchowienie góruje zawsze nad zmysłowością.

Jak w łańcuchu gór — wedle wyrażenia Grimma — na rozmaitych jego wysokościach może się rozwijać roślinność stref różnych, tak w *Latach nauki* odnajdujemy próby stylu ze wszystkich epok Goethego. Z początku opowiada poeta najżywszą frankfurcką jeszcze dykcją, przechodzi potem w prozę pierwszego weimarskiego dziesięciolecia, a kończy schematycznie nakreślonym, jakby dla pozbycia się jedynie dodanym finałem, który co do języka i kompozycji nie przedstawia ani linii, ani barw, lecz tylko zarys szkicowy. Rozpoczyna się romans jak ściśle zbita nowela, szybko ku rozwiązaniu zmierzająca, tkany jest następnie z coraz rzadszego materiału; poeta upuszcza coraz więcej nici, a nowe natomiast przybiera, poprzestaje wreszcie na zagadkowo niemal pośpiesznym sprawozdaniu, w którym wypadków jest dużo, ale uczucia, usposobienia, poglądy i charaktery osób nie przedstawiają się dostatecznie jasno i plastycznie.

## II

Pierwszą pobudkę do uzupełnienia *Lat nauki* Wilhelma Meistra dał Goethemu Schiller. W liście z 9 lipca 1796, wyraziwszy zdziwienie, że Wilhelm w wieku filozoficznym kończy wykształcenie bez pomocy filozofii, żądał, ażeby poeta jaśniej i dobitniej zaakcentował, że bohater wskutek swej dojrzałości estetycznej stał się już dostatecznym realistą, ażeby nie potrzebować filozofii. Goethe odpowiedział, że żądanie takie wymaga właściwie dalszego ciągu dzieła, do czego ma istotnie pomysł i ochotę; tymczasowo zaś pewne niedomówienia miały zapowiedzieć, że postacie z *Lat nauki* może w przyszłości ukazać się jeszcze na widowni.

Nie wiadomo, jak daleko plan ten rozsnął się naówczas: omawiali go przyjaciele ustnie. Zrazu zamierzał zapewne poeta napisać tylko szereg opowiadań, mających na celu wykazanie obowiązku wyrzeczenia się, tj. obowiązku rozwagi i miary moralnej jako kamienia węgielnego w wykształceniu charakteru. Wilhelm, wędrując, miał brać udział kiedy niekiedy w tym zamęcie obyczajowym i dopomagać do jego rozjaśnienia i uspokojenia. Taki był początek owych nowel, pisanych w różnych czasach, a stanowiących główną część składową *Lat wędrówki*. Powoli wszakże myśl zasadnicza rozszerzała się i pogłębiała. Poeta nie poprzestaje już tylko na świecie wewnętrznym, lecz coraz baczniejszą zwraca uwagę na objawy życia czynnego, publicznego. Zwrot ten następuje dopiero po upadku Napoleona, po zaprowadzeniu pokoju. Wokoło ucisk nikczemnej polityki restauracyjnej<sup>18</sup>: był to pokój bez szczęścia, bez wolności, bez dobrobytu. Wśród wykształconych powstaje opozycja, wśród mas ludowych biedniejszych — straszliwie wzmagające się wychodźstwo. Przy tym huczy groźna walka nowych stosunków gospodarczych i społecznych, spór przemysłu i feudalizmu, starcie się maszyn z rękodzielami. Rozumiano uprawnienie i niezbedność nowego prądu, lecz nie umiano sobie zdać jasno sprawy z tego, czy powstające dopiero rzeczy lepsze będą od ginących. Goethe, lubo się od polityki bieżącej usuwał, zanadto bystry miał umysł, ażeby go to wszystko zajmować nie miało. Pałącym zagadnieniom chwili przygląda się uważnie i nie lękając się najśmielszych nawet wywodów, szuka nowych podstaw przyszłego bytu państwowego i społecznego. Dnia 19 czerwca 1818 r. pisze do Voigta<sup>19</sup>, że się grzebie w całej masie pism i dzieł o stosunkach Stanów

<sup>18</sup>polityki restauracyjnej — tj. polityki restauracji, przywracania dawnych dynastii, ustrojów i porządków w Europie, obalonych przez podboje Napoleona. [przypis edytorski]

<sup>19</sup>Voigt, Christian Gottlob von (1743–1819) — niemiecki polityk i poeta; radca stanu Wielkiego Księstwa Saksonii-Weimaru-Eisenach w Weimarze; przez prawie czterdzieści lat blisko związany z Goethem, zarówno zawodowo, jak i prywatnie. [przypis edytorski]



Zjednoczonych Ameryki Północnej, że warto się zagłębić w ten świat wciąż rosnący. Te świeżo przypluwające wrażenia i myśli tym łatwiej dawały się obrobić dla *Lat wędrówki*, iż w ostatniej księdze *Lat nauki* poruszono już gospodarcze nadzieje i utrapienia. Niepostrzeżenie około zamierzonego cyklu nowel oplótl się romans polityczny, który na zawsze pamiętnym będzie świadectwem, jak ten wielki poeta w wieku, kiedy inni zazwyczaj kostnieją lub też monotonna się powtarzają, wciąż się kształcił, wciąż wzrastał.

Już pierwsze wydanie *Lat wędrówki* w r. 1821 ma tę podwójną postać, a bardziej jeszcze drugie i ostateczne, ogłoszone r. 1826–1828.

Pod względem artystycznym są tu niewątpliwie ślady starości. Wprawdzie niektóre nowele, mianowicie sielanka o cieśli Józefie i baśń o nowej Meluzynie należą do najlepszych czasów poety i odznaczają się wdziękiem i pięknnością — ale całości brak wykończenia kompozycji. Są tu, jak wiemy z rozmów Eckermanna<sup>20</sup>, zebrane na chybił trafił zapasy rękopiśmienne; są dygresje wywołane naukowymi zajęciami i hipotezami poety, jak rozprawki o teoriach geologicznych, jak zalecanie anatomicznych wyrobów z drzewa, z podatnej sy<sup>21</sup>, jak pogląd na związek ścisły ludzi ze zjawiskami wszechświata, uosobiony w Makarii przede wszystkim, następnie w tej osobie, która czuciem rozpoznawała jakość metalów, ich rozgałęzienia pod ziemią itp. Co więcej, uciekał się Goethe nawet do tego środka, którym Jean Paul<sup>22</sup> starał się zakryć brak talentu kompozycyjnego, podając się za sprawozdawcę i redaktora cudzych papierów. Motywowanie jest powierzchowne i luźne, rysunek charakterów nikły, właściwości osób nie rozwijają się przed naszymi oczyma w działaniu, lecz prawie wyłącznie w listach tylko i dziennikach. Narowy naprężonego „stylu radcy tajnego”, jakie w owoczesnych listach Goethego tak nieprzyjemnie nas uderzają, znajdują się i tutaj, nawet budowa zdań jest niedbała.

Co do treści, to ogarnia ona ważne zagadnienia dotyczące jednostek i społeczeństw.

W pierwszej księdze przedstawione zostały trzy główne punkty: złączenie idealizmu i poezji z czynem, z praktyczną działalnością („Święty Józef II”), ograniczenie wielostronności w wykształceniu i nawoływanie do oddawania się specjalnym zawodom (Jarno zostaje górnikiem, Wilhelm chirurgiem), wreszcie napomnienie dane klasie posiadającej, ażeby czynnie dla dobra innych występowała (*Besitz und Gemeingut*).

W księdze drugiej zwraca na siebie uwagę głównie nowy system wychowawczy. Wilhelm jak wszyscy ludzie, co wzrosli wśród dawnych warunków, dopiero po ciężkiej walce doszedł do ograniczenia swojej indywidualnej wybujałości na rzecz ogółu; dlaczegóżby walki tej nie oszczędzić następnemu pokoleniu? Feliks korzystać już będzie z nowego sposobu wychowania w „prowincji<sup>23</sup> pedagogicznej”. Warto przypomnieć tu, co Goethe powiedział w rozmowie z Sulpicjuszem Boisserée<sup>24</sup> sierpnia 1815 r. Skarżył się na zarozumiałość, wywołaną przez wychowawczy filantropinizm, skarżył się na upadek wszelkiego uszanowania. Cóż by się ze mną było stało — mówił — gdybym nie był wciąż zmuszany do uszanowania (*Respect*) wobec innych? Gdzież są takie religijne, moralne filozoficzne maksymy, które by same przez się zabezpieczyć mogły człowieka? Na tę zarozumiałość szuka więc poeta stosownego środka. Oczywiście, nie można wytępić indywidualności, gdyż rozumnym jest to tylko, co dla każdego z nas jest stosownym; dlatego wychowawcy zważają tu bardzo pilnie na skłonności przyrodzone wychowawców, a chcąc to wyrazić zewnątrz, unikają niwelujących mundurów. Z drugiej atoli strony indywidualność nie powinna się puszyć zarozumiale; powinna ulegać przykazaniu trzech „uszanowań” (*Ehrfurcht*), obejmujących zakres wszystkich możliwych stosunków ludzkich; mamy tu uszanowanie wobec tego, co jest nad nami, uszanowanie wobec tego, co jest pod nami, i uszanowanie wobec tego, co nam jest równym. Z tych trzech uszanowań wynika uszanowanie najwyższe, uszanowanie wobec siebie samego, a tamte znów z tego się rozwijają, tak że człowiek osiąga najwyższego szczytu, jakiego osiągnąć jest zdolny, może uważać

<sup>20</sup>Eckermann, Johann Peter (1792–1854) — niemiecki pisarz i poeta, najbardziej znany z książki *Rozmowy z Goethem* (1836). [przypis edytorski]

<sup>21</sup>z podatnej sy — błąd w wyd. źródłowym trudny do zinterpretowania. [przypis edytorski]

<sup>22</sup>Jean Paul, właśc. Johann Paul Richter (1763–1825) — pisarz niemiecki, jeden z głównych prekursorów romantyzmu w literaturze niemieckiej XVIII w. [przypis edytorski]

<sup>23</sup>prowincja — tu: dziedziina wiedzy lub umiejętności. [przypis edytorski]

<sup>24</sup>Boisserée, Sulpiz (1783–1854) — niemiecki kolekcjoner sztuki i historyk sztuki; razem ze swoim bratem Melchioriem stworzył kolekcję, która zapoczątkowała galerię Starej Pinakoteki w Monachium. [przypis edytorski]



siebie za rzecz najlepszą, jaką wydał Bóg i natura, może przebywać na tej wyżynie i nie lękać się, żeby go zarozumiałość i sobkostwo ściągnęły znowu w pospolitość. Kto w sobie wyrobił nastrój ten uszanowania, może bezpiecznie oddać się jakiemuś zawodowi. W prowincji pedagogicznej kształcenie zmierza do tego, by utrzymać równowagę między idealnością a realizmem; idzie o to, żeby wytworzyć nie fantastów ani filistrów, lecz ludzi harmonijnych. Budownictwo, jako sztuka najbliższej spokrewniona z rzemiosłem, jest tu punktem środkowym. Dramat i teatr, jako sztuka samego pozoru, zostały wykluczone. Na odwrót rzemiosło stara się tu podnieść do godności sztuki wyzwolonej. Każdej pracy wyłącznie rękodzielniczej dodaje się dla przeciwwagi coś ze sztuki pięknej, przy każdej niemal pracy śpiew się rozlega.

Wreszcie w księdze trzeciej przedstawia Goethe nowy ustrój społeczny. Najwyższym prawem tego nowego ustroju ma być dokładne wykształcenie w jakim zawodzie fachowym. Większa część członków tego społeczeństwa składa się z rzemieślników; proletariatu, reprezentowanego przez olbrzymiego św. Krzysztofa, znajduje w nim także swe miejsce. Różnic stanowych nie ma tu wcale, w stowarzyszeniu tym wartość ma jedynie prawo i szlachectwo pracy. Stowarzyszenie nie przywiązuje się wyłącznie do żadnej miejscowości<sup>25</sup>: członkowie jego mogą zarówno przesiedlić się do Ameryki, jak zająć nieuprawnione jeszcze przestrzenie Starego Świata lub zostać na dawnych siedliskach, byleby tylko jednakowymi środkami cel zamierzony urzeczywistniali. W gospodarstwie przemaga<sup>26</sup> wielka posiadłość; ażeby wszakże każda jednostka mogła siły swoje rozwinąć i pracę zużytkować, komitet centralny wskazuje każdemu członkowi sposób postępowania. Wszystkim zaleca się jak największe baczenie na czas. Koła rodzinne mają czuwać nad ścisłą karnością i obyczajnością, a jeżeli władza ich nie wystarcza, to staje im ku pomocy zwierzchność, rodzaj policji, wydalającej nieposłusznych ze Związku, dopóki się nie nauczą porządku i uległości. Zwierzchność nie przesiaduje na jednym miejscu, owszem, na wzór dawnych cesarzów niemieckich w ciągłej znajduje się wędrownie, ażeby utrzymać jedność w rzeczach głównych, w podrzędnych zaś zostawić każdemu właściwą swobodę. Dopóki to będzie możliwym, unikać należy napływu ludzi do stolicy. Wojsk stałych w Związku nie ma; wszyscy obywatele mają być uzdolnieni do obrony.

Niewątpliwie w tych marzeniach o przyszłości ustroju społecznego dużo jest fantastyki, ale nie o to chodzi; dość że Goethe, który dawniej żył myślą w krainie ducha przeważnie, zajął się pod koniec życia zagadnieniami dotyczącymi losów społeczeństwa i państwa, wierząc, że projekty jego mogą przejść w rzeczywistość. Poznajemy w tym wychowanka wieku XVIII, zastosowującego idee humanitarne do kwestii politycznych.

\*

Po raz to pierwszy ukazuje się przekład polski *Wilhelma Meistra*. Dotychczas, o ile mi wiadomo, drukowany był tylko mały z tego utworu wyjątek, dotyczący rozbioru *Hamleta*, a pomieszczony w jednym z dawnych czasopism poznańskich. Gdy inne powieści Goethego znalazły u nas tłumaczy: *Cierpienia młodego Wertera* w K. Brodzińskim, *Powinowactwa z wyboru* w p. Marii Unickiej, najważniejszy ten romans, skupiający w sobie, obok Fausta, wszystko, co w ciągu długiego swego życia przemyślał wielki poeta, pozostawiony został na boku; mało też kto czytał go u nas w oryginale, gdyż śladów jego wpływu znajdujemy w literaturze naszej bardzo niewiele.

Starałem się dokonać tłumaczenia sumiennie, tj. nie tylko oddać wiernie treść utworu, lecz także i styl jego, o ile to się naturalnie dało pogodzić z duchem języka ojczystego. Przetwarzać stylu na tok zupełnie inny nie chciałem, gdyż tym sposobem zaginęłaby jedna z najważniejszych cech oryginału. Czy mi się wszędzie udało pokonać trudności, niewątpliwie bardzo znaczne, to oczywiście pozostawić muszę uznaniu rozsądnej krytyki. Śmiałybym tylko jedną tu dodać uwagę. Jeżeli ktoś znajdzie powtarzanie tych samych wyrazów blisko siebie lub zawiłość, dziwaczność w sposobie wyrażenia myśli, niech zbyt pochopnie ustereków<sup>27</sup> tych nie kładzie na karb tłumacza, niech zajrzy wprzód do oryginału, niech pamięta o wspomnianym powyżej „stylu radcy tajnego” w *Latach wędrowki*

<sup>25</sup>miejscowość (daw.) — miejsce, okolica. [przypis edytorski]

<sup>26</sup>przemagać (daw.) — mieć przewagę, przeważać, dominować. [przypis edytorski]

<sup>27</sup>ustereków — dziś popr.: usterek. [przypis edytorski]

— a wtedy dopiero niech formułuje swe zdanie. Znaczna liczba wierszy znajdujących się w *Wilhelmie Meistrze*, również po raz pierwszy pojawia się w tłumaczeniu polskim; prócz kilku, przy których wyraźnie zazaczyłem tłumaczy, wszystkie inne sam przełożyłem, dbając szczególnie o to, ażeby w najdrobniejszych nawet szczegółach formy odtworzyć oryginał, gdyż w poezji Goethego kwestia formy ma pierwszorzędne znaczenie, wszystko w niej obmyślane jest rozważnie.

W końcu wyrazić tu winienem podziękowanie prof. Janowi Bystroniowi, który swoją fachową wiedzą dopomógł mi w przekładzie terminologii tkackiej, zapelniającej niektóre ustępy Dziennika Leonarda w *Latach wędrówki Wilhelma Meistra*.

17 grudnia 1892 r.

Piotr Chmielowski.

# LATA NAUKI WILHELMA MEISTRA

# KSIĘGA I

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Przedstawienie trwało bardzo długo. Leciwa Barbara przystępowała kilkakrotnie do okna, nasłuchując, czy powozy nie zaturkoczą. Na swą piękną panią Mariannę, która dzisiaj w małej sztuce, przebrana za młodego oficera, zachwycała publiczność, czekała z większą niż kiedykolwiek niecierpliwością, chociaż mogła jej podać tylko skromną wieczerzę. Tym razem miała ją zadziwić paczką, którą nadesłał pocztą Norberg, młody bogaty kupiec, by pokazać, że nawet w dali pamięta o swej ukochanej.

Barbara, jako stara sługa, powiernica, doradczyni, pośredniczka i gospodyni, miała prawo otwierania pieczęci, więc też i tego wieczoru tym mniej się mogła oprzeć ciekawości, ile że życzliwość hojnego kochanka więcej obchodziła ją niż samą Mariannę. Ku swej najwyższej radości znalazła w paczce ładną sztukę etaminy<sup>28</sup> i najświeższe wstążki dla Marianny, dla siebie zaś sztukę perkaliku, chusty i rulonik pieniędzy. Z jaką przychylnością, z jaką wdzięcznością przywodziła sobie na pamięć nieobecnego Norberga! Jakże żywo postanowiła mówić o nim z najlepszej strony przed Marianną i przypomnieć jej, co mu zawdzięcza i czego on winien spodziewać się i oczekiwać po jej wierności.

Etamina, ożywiona barwą na wpół rozwiniętych wstążek, leżała na stoliku jak prezent na Boże Narodzenie; umieszczenie świec podnosiło blask daru, wszystko było w porządku, gdy stara posłyszała krok Marianny na schodach i pośpieszyła na jej spotkanie. Lecz z jakimże zdumieniem cofnęła się, kiedy niewieści oficerek, nie zważając na jej pieszczoty, przesunął się koło niej, z niezwykłym pośpiechem i wruszeniem wszedł do pokoju, rzucił kapelusz i szablę na stół, niespokojnie przechadzał się tam i назад i nie spojrzał nawet na uroczyste pozapalane świece.

— Co ci jest, kochanie? — zawołała stara zdziwiona. — Na miłość boską, córuchno, co zaszło? Patrz no na te podarki! Od kogóż pochodzić mogą, jeżeli nie od najczulszych twoich przyjaciół? Norberg przysłał ci sztukę muślinu na suknię nocną, a wkrótce sam przybędzie. Wydaje mi się gorętszy i hojniejszy niż dawniej.

Stara się obróciła i chciała pokazać podarki, którymi się przypominał i także jej pamięci, gdy Marianna, odwracając się od podarunków, zawołała namiętnie:

— Precz! Precz! Nie chcę dzisiaj słyszeć o tym wszystkim; słuchałam ciebie, chciałaś tego, niechże tak będzie! Jeśli Norberg powróci, będę znów jego, będę twoja, zrobisz ze mną, co zechcesz, ale aż do tego czasu chcę być swoja i choćbyś miała tysiąc języków, nie potrafisz mnie odwieść od mego postanowienia. Całe moje ja oddam temu, który mnie kocha i którego ja kocham. Nie rób min! Oddam się tej namiętności tak, jakby miała trwać wiecznie.

Starej nie brakowało zapasu upomnień i dowodów, ponieważ jednak w dalszej sprzeczce stawała się gwałtowna i przykra, Marianna poskoczyła do niej i uchwyciła ją za ramiona. Stara zaśmiała się na głos.

— Muszę się postarać — zawołała — żeby rychło znów włożyła w długie suknie, jeśli chcę być pewna swego życia. Dalejże, rozbieraj się! Spodziewam się, że dziewczyna przeprosi mnie za przykrość, jaką mi wyrządził popędliwy żołnierz; zrzucaj precz mundur i tak dalej, wszystko precz! To niewygodny strój, a dla ciebie niebezpieczny, jak sądzę. Epolety cię rozzuchwalają.

Stara chwyciła ją, Marianna wyrwała się.

— Nie tak prędko — zawołała — dziś czekam jeszcze na odwiedzinę.

— To niedobrze — odparła stara. — Chyba nie na młodego, czulego, nieopierzonego syna kupca?

— Właśnie na niego — odrzekła Marianna.

— Zdaje się, jakoby wspaniałomyślność miała stać się twoją panującą namiętnością — zauważyła stara z przekąsem. — Z wielkim zapalem ujmujesz się za niepełnoletnimi, za biedakami. Musi to być zachwycające, gdy się jest czczoną jako bezinteresowna dawczyni.

<sup>28</sup>etamina — cienka, przezroczysta tkanina bawełniana z prześwitami, pierwotnie jedwabna. [przypis edytorski]

— Kpij, ile ci się podoba. Kocham go! Kocham go! Z jakimże zachwytem po raz pierwszy wymawiam te słowa! To właśnie jest ta namiętność, którą tak często przedstawiałam, o której nie miałam żadnego pojęcia. Tak, rzucę mu się na szyję, obejmę go tak, jakbym chciała zatrzymać go na wieki. Okażę mu całą swą miłość, a jego miłością nasycę się będę w całej jej rozciągłości.

— Miarkuj się<sup>29</sup> — rzekła stara spokojnie — miarkuj się! Muszę przerwać twoją radość jednym słówkiem. Norberg przybywał przybywa za dwa tygodnie! Oto jego list, który przyszedł razem z podarunkami.

— A gdyby nawet jutrzejsze słońce miało mnie pozbawić przyjaciela, to ukryję to przed samą sobą. Dwa tygodnie! Ach, to wieczność! W ciągu dwu tygodni ileż to może zajść wypadków, ile się rzeczy może zmienić!...

Wszedł Wilhelm. Z jaką żywością wybiegła mu naprzeciw! Z jakimże zachwytem objął czerwony mundur i przycisnął białą atlasową kamizelkę do swej piersi! Któż by ośmielił się to opisać, komuż przystałoby wypowiedzieć szczęśliwość dwojga kochanków! Stara odeszła, mrużąc, na stronę; my oddaliśmy się wraz z nią i zostawiamy szczęśliwych samym sobie.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Gdy Wilhelm nazajutrz mówił dzień dobry swej matce, ta oznajmiła mu, że ojciec jest bardzo markotny i że przy pierwszej sposobności ma zabronić mu codziennego uczęszczania na widowiska.

— Chociaż i ja sama — ciągnęła dalej — lubię niekiedy chodzić do teatru, muszę temu przecież często zlorzeczyć, gdyż przez twoją nieumiarkowaną namiętność do tej zabawy narusza się spokój w domu. Ojciec ciągle powtarza, że nie wie, po co to robisz. Jak można w ten sposób marnować czas?

— I ja już musiałem to od niego wysłuchać — odparł Wilhelm — i odpowiedziałem może zbyt porywczo, ale na miłość boską, matko, czyż nieużyteczne jest to wszystko, co nam nie przynosi bezpośrednio pieniędzy do worka, co nam nie zapewnia najrychlejszego posiadania? Czy w starym domu nie mieliśmy dosyć miejsca? Czy trzeba było koniecznie stawiać nowy? Czy ojciec nie obraca corocznie znacznej części swego zysku z handlu na upiększenie pokojów? Te jedwabne obicia, te angielskie meble czy nie są także nieużyteczne? Czy nie moglibyśmy zadowolić się gorszymi? Co do mnie przynajmniej, wyznaję, że te prążkowane ściany, te setki razy powtórzone kwiaty, figlasy, koszyczki i figurki sprawiają na mnie całkiem nieprzyjemne wrażenie. Wydają mi się one co najwyżej jak kurtyna w naszym teatrze. Ale przed nią siedząc, jakże odmiennych uczuć się doznaje! Choćby się nie wiem jak długo czekało, wie się przecie, że pójdzie w górę, a my ujrzymy najróżnorodniejsze przedmioty, które nas bawią, oświecają i podnoszą.

— Tylko rób to z umiarkowaniem — rzekła matka — ojciec także chce się bawić wieczorami; a przy tym mniema, że cię to rozprasza i na mnie się w końcu krupi, gdy się on rozdrażni. Jakże często musiałam sobie wyrzucać tę przeklętą zabawkę z marionetkami, którą ci przed dwunastu laty dałam na gwiazdkę, a która najpierw rozbudziła w tobie zamiłowanie do widowisk!

— Nie łaj, mamo, marionetek, nie żałuj swojej miłości i troski! Były to pierwsze uprzyjemnione chwile, jakich zażyłem w nowym pustym domu; moment ten widzę jeszcze dotąd przed sobą, wiem, jak mi się zrobiło dziwnie, gdy po przyjęciu zwykłych podarków gwiazdkowych kazano nam usiąść przede drzwiami, które prowadziły do drugiego pokoju. Otwary się, ale nie do biegania tam i sam jak dawniej; wejście było wypełnione niespodziewaną zabawą. Wznosiły się tam drzwi zakryte tajemniczą kurtyną. Z początku staliśmy wszyscy z dala, a gdy wzrosła w nas ciekawość, by zobaczyć, co też to lśniącego i chrzęszącego ukrywać się mogło za na pół przejrzystą firanką, wskazano każdemu krzeselko i zalecono cierpliwie czekać. Siedzieliśmy tedy wszyscy i było cicho; piszczałka dała sygnał; kurtyna zwinęła się do góry i ukazała mocno czerwono namalowany widok na świątynię. Zjawił się arcykapłan Samuel z Jonatanem<sup>30</sup>, a ich kolejno zmieniające

<sup>29</sup>miarkować się — panować nad emocjami. [przypis edytorski]

<sup>30</sup>Samuel, Jonatan, Dawid, Goliat — postacie biblijne z Pierwszej Księgi Samuela: sztuka przedstawia wydarzenia z 1 Sm 17–18: Saul to pierwszy król Izraela, Jonatan to jego syn; Dawid to syn Jessego, młody pasterz,

się, dziwne głosy wydały mi się wielce czcigodne. Wkrótce potem wszedł na scenę Saul, w wielkim kłopotcie z powodu impertynencji ciężkozbrojnego wojownika, który wyzwiał króla i jego świętę. Jakże błogo było mi potem, gdy karłowaty syn Jessego wyskoczył z kijem pasterskim, torbą i procą, wołając: „Najpotężniejszy królu i panie! Niech nikogo nie opuszcza odwaga z tego powodu. Jeżeli wasza królewska mość raczy mi pozwolić, to wyjdę i wstąpię w bój z przemożnym olbrzymem”. Akt pierwszy się skończył, a widzowie bardzo byli żądni zobaczyć, co też się będzie dziać dalej; każdy pragnął, by muzyka rychło ustała. Nareszcie kurtyna znowu wzniosła się do góry. Dawid obiecywał rzucić ciało potwora ptakom pod niebiosami i zwierzętom na ziemi. Filistyn szydził, mocno tupał obiema nogami, w końcu upadł jak kłoc i dał całej sprawie wspaniałe rozwiązanie. Gdy potem dziewice wyśpiewywały: „Saul zabił tysiąc, a Dawid dziesięć tysięcy!”<sup>31</sup>, głowę olbrzyma niesiono przed małym zwycięzcą, a on otrzymał piękną królewnę za żonę; przy całej wszelako radości przykro mi było, że ten szczęśliwy książę był tak karłowato zbudowany. Nie zaniedbano bowiem, stosownie do wyobrażenia o wielkim Goliacie i małym Dawidzie, uczynić ich obu bardzo charakterystycznymi. Proszę mamy, gdzie się też podziały te lalki? Obiecałem je pokazać jednemu z przyjaciół, którego wielce ubawiłem, opowiadając mu niedawno o tej dziecięcej zabawie.

— Nie dziwi mnie, że tak żywo pamiętasz te rzeczy, gdyż brałeś w nich największy właśnie udział. Wiem, jakieś mi zwędził tę książeczkę i całej sztuki nauczyłeś się na pamięć. Spostrzegłam to dopiero wówczas, gdy pewnego wieczoru zrobiłeś sobie Goliata i Dawida z wosku, przemawiałeś w imieniu ich obu, wreszcie zadałeś cios olbrzymowi, a jego niekształtny łeb, przemocowany na wielkiej szpilce z woskowym zakończeniem, przyklepiłeś do ręki małego Dawida. Takiej doznałam w macierzyńskim sercu radości z powodu twej dobrej pamięci i patetycznej mowy, że zaraz postanowiłam oddać ci tę całą drewnianą trupę. Nie pomyślałam wtedy, że mi to miało sprowadzić niejedną przykrą godzinę.

— Nie żałuj tego, matko — odparł Wilhelm — gdyż te zabawki sprowadziły nam też niejedną przyjemną godzinę.

Mówiąc to, wyprosił sobie klucze, poszedł śpiesznie, odnalazł lalki i na chwilę przeniósł się w czasy, kiedy mu się one jeszcze wydawały ożywione, kiedy wedle swego wyobrażenia żywością swego głosu, poruszeniem rąk budził w nich życie. Wziął je z sobą do swego pokoju i starannie schował.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jeżeli pierwsza miłość, jak to powszechnie utrzymują, jest rzeczą najpiękniejszą, jakiej serce prędzej czy później doznać może, to winniśmy bohatera naszego nazwać trzykroć szczęśliwym, ponieważ los mu pozwolił używać rozkoszy tych chwil jedynych w całym ich obszarze. Niewielu tylko ludzi doznaje tak szczególnej łaski, gdyż większa część wskutek wcześniejszych swoich uczuć przechodzi przez twardą szkołę, w której po krótkotrwałej i lichej przyjemności, zmuszona jest wyrzec się najlepszych swych pragnień i nauczyć się obchodzić się na zawsze bez tego, co się przedstawiało jako najwyższa szczęśliwość.

Na skrzydłach wyobraźni uniosła się żądza Wilhelma ku uroczej dziewczynie; po krótkiej znajomości pozyskał sobie jej skłonność, znalazł się w posiadaniu osoby, którą tak bardzo kochał, a nawet czcił; ukazała mu się bowiem naprzód w przychylnym świetle przedstawienia teatralnego, a jego namiętność do sceny spoiła się z pierwszą miłością do istoty niewieściej. Młodość pozwalała mu napawać się licznymi przyjemnościami, które podnosiła i podtrzymywała pełna życia poezja. I stan jego ukochanej nadał jej zachowaniu się taki nastrój, który wysoce wzmagił jego uczucia; obawa, aby jej ukochany nie odkrył przed czasem innych jej stosunków, roztaczała nad nią nader miły pozór trwogi i wstydlivości; jej namiętność ku niemu była żywa; nawet sam jej niepokój zdawał się powiększać jej czułość; w jego objęciach była najukochańszym stworzeniem.

Kiedy obudził się z pierwszego oszołomienia radością i rozważył swoje życie i stosunki, wszystko wydało mu się nowe, obowiązki świętsze, zamiłowania żywsze, wiadomości wyraźniejsze, talenty potężniejsze, przedsięwzięcia bardziej stanowcze. Było mu zatem ła-

który wyrzuconym z procy kamieniem pokonał olbrzymiego filistyńskiego wojownika Goliata, przyjął się z Jonatanem, a później, po śmierci Saula, został królem Izraela. [przypis edytorski]

<sup>31</sup>Saul zabił tysiąc, a Dawid dziesięć tysięcy! — I Sm 18, 7. [przypis edytorski]

twiej tak się urządzić, by uniknąć zarzutów ojca, uspokoić matkę i bez przeszkody poić się miłością Marianny. W ciągu dnia starannie załatwiał interesy, wyrzekał się zazwyczaj teatru, wieczorem przy stole był rozmowny, a kiedy wszyscy poszli do łóżka, owinąwszy się w płaszcz, przemykał się po cichu do ogrodu i pełen Lindorów i Leandrow<sup>32</sup> w sercu, śpieszył niepowstrzymanie do swej kochanki.

— Co pan przynosisz? — zapytała Marianna, kiedy pewnego wieczora wyjął zawiątko, na które stara bardzo uważnie spoglądała w nadziei miłych podarków.

— Nie zgadnie pani — odrzekł Wilhelm.

Jakże zdziwiła się Marianna, jak się obruszyła Barbara, gdy po rozwiązaniu serwety ukazała się pomieszana kupa lalek na piędź<sup>33</sup> długich. Marianna śmiała się głośno, kiedy Wilhelm usiłował rozplątać pozadzierzgane druty i pokazać każdą figurkę oddzielnie. Stara z niechęcią usunęła się na bok.

Wystarczy drobnostka, by zabawić dwoje kochanków, toteż przyjaciele nasi bawili się tego wieczora jak najlepiej. Małą trupeę wymusztrowano, każdą figurkę dokładnie oglądano i obśmiano. Król Saul w czarnym aksamitnym surducie ze złotą koroną wcale nie spodobał się Mariannie; wydał się jej, jak powiadała, za sztywny i pedantyczny. Tym lepiej przypadł jej do gustu Jonatan, jego gładki podbródek, jego żółta-czerwona suknia i turban. Potrafiła go też bardzo zręcznie rozruszać na drucie w jedną i drugą stronę, każąc mu oddawać ukłony i wypowiadać oświadczenia miłosne. Przeciwnie, na proroka Samuela nie chciała zwrócić najmniejszej uwagi, chociaż Wilhelm wychwalał przed nią jego napiersnik i opowiadał, iż lśniąca kitajka<sup>34</sup> jego sukni została wzięta ze starego ubrania babuni. Dawid był dla niej za mały, a Goliat za wielki; obstawała za swym Jonatanem. Umiała go zrobić tak grzecznym, a w końcu przenieść swe pieszczoty z lalki na naszego przyjaciela, że i tym razem maleńka igraszka była wstępem do szczęśliwych godzin.

Ze słodkich i czułych marzeń obudził ich hałas powstały na ulicy. Marianna zawołała staruszkę, która wedle swego zwyczaju była jeszcze pilnie zajęta dopasowywaniem zmiennych materiałów garderoby teatralnej do użytku następnej sztuki. Objąsniła ona, że wtedy właśnie jakieś towarzystwo wesołych kamratów, chwiejąc się, wychodziło z pobliskiej piwnicy włoskiej, gdzie przy świeżych ostrygach, dopiero co dostarczonych, nie szczędziło szampana.

— Szkoda — rzecze Marianna — że nam to wcześniej na myśl nie przyszło; mogliśmy byli się nieco uraczyć.

— To jeszcze czas — odpowiedział Wilhelm, dając starej luidora<sup>35</sup>. — Przynieście, czego chcemy, to i sami użyjecie.

Stara uwinęła się i niebawem stał przed kochankami zgrabnie zastawiony stół z dobrze ułożoną wieczerzą. Stara musiała zasiąść przy nim, jedzono, pito i puszczone cugle wesołości.

W takich razach nie brak nigdy zabawy. Marianna wzięła znowu swego Jonatana do ręki, a stara potrafiła wysnuć rozmowę z ulubionego wątku Wilhelma.

— Jużes nam pan raz opowiadał — rzekła — o pierwszym przedstawieniu jasełek w wigilię Bożego Narodzenia; przyjemnie było słuchać. Przerwano panu, kiedy miał wystąpić balet. Teraz znamy już wspomniały personel, który dokonywał tych wielkich czynów.

— Prawda — rzecze Marianna — powiedz nam dalej, jak ci się to podobało.

— Piękne to uczucie, kochana Marianno — odparł Wilhelm — kiedy sobie przypominamy dawne czasy i dawne nieszkodliwe błędy, zwłaszcza gdy dzieje się to w chwili, w której dosięgliśmy szczęśliwie wyżyny, skąd możemy się obejrzeć i popatrzeć na przebytą drogę. To tak przyjemnie wspominać sobie z zadowoleniem o pewnych przeszkodach, któreśmy często z przykrością poczytywali za nie do pokonania, i porównywać to, czym jesteśmy teraz po rozwinięciu, z tym, czym byliśmy wówczas przed rozwinięciem. Ja

<sup>32</sup>Lindor i Leander — postacie kochanków z wczesnych sztuk Gottholda Ephraima Lessinga (1729–1781). [przypis edytorski]

<sup>33</sup>piędź — dawna jednostka długości równa ok. 20 cm; pierwotnie odległość między końcem kciuka i małego palca rozwartej dłoni. [przypis edytorski]

<sup>34</sup>kitajka (daw.) — tafta, jedwabna nieco sztywna tkanina, szeleszcząca przy jej poruszaniu; pierwotnie chińska, skąd nazwa (daw. Kitaj to Chiny). [przypis edytorski]

<sup>35</sup>luidor (z fr. *Louis d'or*: złoty Ludwik) — złota moneta francuska z podobizną króla, bita w latach 1640–1791. [przypis edytorski]



jednak czuję się niewymownie szczęśliwy teraz, gdy z tobą w tej chwili mówię o przeszłości, ponieważ równocześnie spoglądam naprzód w ten uroczy kraj, jaki możemy przebyć wspólnie ręka w rękę.

— Jakże to było z baletem? — przerwała mu stara. — Lękam się, że nie wszystko tak poszło, jak należy.

— I owszem — odparł Wilhelm — bardzo dobrze! Z tych cudacznych skoków Murzynów i Murzynek, pasterzy i pasterek, karłów i karlic, pozostało mi na całe życie niewyraźne wspomnienie. Potem kurtyna zapadła, drzwi się zamknęły, a całe drobne towarzystwo pośpieszyło do łóżka, jakby upojone i zataczające się; ja wszakże pamiętam doskonale, że nie mogłem zasnąć, że chciałem jeszcze coś opowiadać, że jeszcze zadawałem dużo pytań i że niechętnie pozwoliłem odejść niańce, która układała nas do snu. Nazajutrz rano czarodziejska scena zniknęła, niestety, mistyczna zasłona została usunięta, tamtymi drzwiami znowu chodzono swobodnie z jednej izby do drugiej, a tyle przygód nie zostawiło po sobie ani śladu. Moi bracia i siostry biegali ze swymi zabawkami w tę i z powrotem, ja jeden snulem się z kąta w kąt, wydawało mi się rzeczą niemożliwą, aby miały być zwykłe tylko podwoje tam, gdzie jeszcze wczoraj było tyle czarodziejstwa. Ach, kto poszukuje utraconej miłości, nie może być nieszczęśliwszy, niż ja się sam sobie wówczas wydawałem.

Promieniejące radością spojrzenie, jakie rzucił na Mariannę, przekonało ją, że nie lękał się, aby kiedykolwiek miał się znaleźć w takim położeniu.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

— Odtąd jedynym moim życzeniem było — mówił Wilhelm dalej — zobaczyć drugie przedstawienie tej sztuki. Uczępiłem się matki, a ona starała się w stosownej chwili namówić ojca, ale jej usiłowania były daremne. Ojciec utrzymywał, że tylko rzadko doznawana przyjemność może mieć wartość dla ludzi, że dzieci i starzy nie umieliby docenić dobra, które by ich spotykało codziennie.

Toteż musielibyśmy jeszcze długo czekać, może aż do drugiej wigilii, gdyby sam twórca i tajemny dyrektor widowiska nie był uczuł ochoty powtórzenia przedstawienia i wprowadzenia ponadto w scenie dodatkowej zupełnie świeżo sporządzonego śmieszka.

Pewien młodzian z artylerii, obdarzony wielu talentami, zręczny mianowicie w pracach mechanicznych, który w czasie budowy domu oddał ojcu wiele istotnych usług i został przez niego hojnie obsypany podarunkami, pragnął się okazać wdzięczny naszej małej rodzinie w święta Bożego Narodzenia i ofiarował domowi swego dobrodzieja ów własnoręcznie sporządzony teatrzyk, który niegdyś w wolnych chwilach złożył, wyrzeźbił i pomalował. To on z pomocą służącego kierował lalkami i zmienionym głosem wypowiadał różne role. Nie było mu trudno namówić ojca, który z grzeczności zezwolił przyjacielowi na to, czego dzieciom odmówił z przekonania. Dostyc, że teatr znowu ustawiono, zaproszono dzieci kilku sąsiadów i powtórzono sztukę.

Jeżeli za pierwszym razem doznałem radości niespodzianki i zdziwienia, to za drugim przeważała rozkosz uważniejszego patrzenia i badania. Odkrycie, jak to się dzieje, było teraz moją troską. Że lalki nie mówiły same, powiedziałem sobie już za pierwszym razem; że się same przez się nie poruszały, domyślałem się również, ale dlaczego to wszystko było aż tak ładne i wyglądało tak, jak gdyby one same mówiły i się ruszały? I gdzie być mogły ukryte światła i ludzie? Te zagadki niepokoiły mnie tym bardziej, im bardziej pragnąłem być równocześnie wśród oczarowanych i czarujących, być równocześnie ukrytym sprawcą gry i napawać się jako widz radością złudzenia.

Sztuka miała się ku końcowi; robiono przygotowania do sceny dodatkowej; widowie powstali i rozmawiali z sobą. Przepchnąłem się bliżej do drzwi i po stukaniu wewnątrz poznałem, że zajmowano się uprzątnięciem. Podniosłem dolny kobierzec i patrzyłem poprzez rusztowanie. Matka spostrzegła to i wyciągnęła mnie stamtąd; dojrzałem wszelako tyle, że przyjaciół i wrogów, Saula i Goliata, i jak się cała reszta nazywała, złożono do jednej skrzynki, i tym sposobem moja połowicznie nasycona ciekawość otrzymała świeżą pożywkę. Przy tym z największym zdumieniem dostrzegłem, że w tej świątyni porucznik był bardzo zajęty. Już mnie potem nie mógł zabawić śmieszek, chociaż bardzo głośno stukał obcasami. Zatopiłem się w głębokim rozmyślaniu i byłem po owym odkryciu spo-

kojniejszy, a zarazem bardziej niespokojny niż dawniej. Kiedy się dowiadywałem czegoś, wydawało mi się, że nie wiem nic zgoła; i miałem słuszną, brakło mi bowiem związku jednego z drugim, a na tym zasadza się właściwie wszystko.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

— Dzieci — mówił dalej Wilhelm — w dostatnich i dobrze urządzonych domach doznają takiego uczucia, jakiego doznawać mogą, dajmy na to, szczury i myszy; zwracają one uwagę na wszystkie szpary i dziury, gdzie mogłyby się dostać do zakazanych łakoci; nasycają się nimi z tą kryjomą rozkoszną obawą, która stanowi wielką część szczęścia dziecięcego.

Z całego mego rodzeństwa ja najwięcej zwracałem uwagi na to, gdzie tkwił jakiś klucz. Im większą była cześć, jaką w mym sercu miałem dla drzwi zamkniętych, koło których całe tygodnie i miesiące musiałem przechodzić i w które czasami tylko zapuszczałem ukradkowy wzrok, kiedy matka otwierała świątynię, aby coś z niej wynieść, tym skorszy byłem do skorzystania z chwili, jaką mi nastręczało niekiedy niedbalstwo klucznic.

Spomiędzy wszystkich drzwi, jak łatwo zgadnąć, najwięcej pociągały ku sobie moje zmysły drzwi spiżarni. Niewiele rozkosznych przyjemności życia dorównało temu uczuciu, kiedy czasami matka zawołała mnie, by jej pomóc coś wynieść, a ja wówczas zdobywałem kilka suszonych śliwek dzięki albo jej dobroci, albo swojej przebiegłości. Nagromadzone jedne na drugie, skarby pochłaniały moją wyobraźnię swą pełnią, a nawet ten dziwny zapach, jaki wydawały różnorodne korzenie, oddziaływał na mnie tak pobudzająco, że ilekroć byłem w pobliżu, nie omieszkiałem nigdy poić się przynajmniej egzotyczną atmosferą. Otóż osobliwy klucz od tych drzwi pewnej niedzieli rano pozostał w zamku, ponieważ matka została oderwana nagłym dzwonieniem, gdy cały dom spoczywał w świątecznej ciszy. Zaledwie to spostrzegłem, zaraz po cichu przesunąłem się kilkakrotnie w tę i z powrotem pod ścianą, w końcu spokojnie i zręcznie przystanąłem, otworzyłem drzwi i uczulem się za jednym posunięciem w pobliżu tej wielkiej, długo pożądanej szczęśliwości. Objąłem skrzynie, wory, pudła, puszki, szklanki szybkim niepewnym spojrzeniem, co mam wybrać i wziąć; rzuciłem się nareszcie ku ulubionym suszonym śliwkom, zaopatrzyłem się w kilka suszonych jabłek i wziąłem z zadowoleniem smażoną skórę pomarańczową; z tym łupem chciałem się już wymknąć tą samą drogą, kiedy mi wpadły w oko dwie stojące obok skrzynki, a w jednej z nich wystające poprzez niedomknięte wieko druty, zakończone u góry haczykami. Z pełnym sercem przeczuć rzuciłem się do nich i z jakimże nadziejskim uczuciem odkryłem, że znajdował się tam spakowany razem mój świat bohaterów i radości! Chciałem podnieść rzeczy leżące na wierzchu, obejrzeć je, te ze spodu zaś wyciągnąć, ale w krótkim czasie pomieszałem lekkie druciki, popadłem wskutek tego w niepokój i trwogę, zwłaszcza że kucharka w sąsiedniej kuchni zrobiła jakieś poruszenie, tak że wszystko, jak mogłem, upchnąłem, przymknąłem skrzynkę i pochwyciłem tylko ręcznie spisana książeczkę, leżącą na wierzchu, a przedstawiającą komedię Dawida i Goliata, i z tą zdobyczą szybko po schodach schroniłem się na strych.

Od tej chwili wszystkie samotne, tajemnie spędzane godziny obróciłem na to, żeby po wielekroć odczytać moją sztukę, wyuczyć się jej na pamięć i w wyobrazić sobie, jakby to było wspaniale, gdybym moimi palcami mógł także i postacie ożywić. Wskutek tego w swoich myślach sam zostałem Dawidem i Goliatem. We wszystkich kątach strychu, stajen, ogrodu, wśród najróżnorodniejszych okoliczności studiowałem tę sztukę, brałem wszystkie role i uczyłem się ich na pamięć, tylko że po większej części zwykłem wcielić się w rolę głównego bohatera, a innym osobom, jak straży przybocznej, pozwalałem występować tylko w pamięci. Toteż pełne dzielności mowy Dawida, którymi wyzywał zuchwałego olbrzyma Goliata, dniem i nocą spoczywały mi w duszy; częstokroć wypowiadałem je półgłosem; nikt na to nie zwracał uwagi prócz ojca, który czasami posłyszał takie mruczenie i chlubił się wobec samego siebie dobrą pamięcią chłopca, który przysłuchując się tak niedługo, mógł tak dużo zapamiętać.

Potem stawałem się coraz odważniejszy i pewnego wieczoru wyrecytowałem przed matką większą część sztuki, przygotowawszy sobie jako aktorów kilka niezdarnych figurek woskowych. Matka się spostrzegła, zaczęła mnie wypytywać, a ja się przyznałem.

Szczęśliwym trafem odkrycie to przypadło na chwilę, kiedy porucznik sam wyraził życzenie zapoznania mnie z tymi tajemnicami. Matka zawiadomiła go zaraz o niespodzianym talencie swego syna, a on potrafił doprowadzić do tego, że mu oddano parę pokoi na najwyższym piętrze, które zazwyczaj stały puste; w jednym z nich mieli znow siedzisk widzowie, w drugim znajdować się aktorzy, a w miejscu otwartych drzwi byłoby proscenium. Ojciec pozwolił przyjacielowi to wszystko urządzać, sam zaś zdawał się tylko patrzeć przez palce, zgodnie z zasadą, żeby nie pozwalać dzieciom zauważyć, jak się je kocha, gdyż zanadto by sobie pozwalały; sądził, że przy ich zabawach należy mieć minę poważną i psuć je im niekiedy, ażeby ich zadowolenie nie robiło ich nadętymi i zuchwałymi.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Porucznik tedy otworzył teatr i przysposobił, co było potrzeba. Zauważyłem, że w ciągu tygodnia wchodził kilkakrotnie do domu o niezwykłej porze i domyśliłem się jego zamiarów. Moja namiętność wzrosła niepomiernie, ponieważ dobrze rozumiałem, że przed sobotą nie mogę wziąć żadnego udziału w tym, co było przygotowywane. Na koniec nadszedł upragniony dzień. Wieczorem o piątej przyszedł mój przewodnik i wziął mnie ze sobą na górę. Drżąc z radości, wszedłem tam i ujrzałem lalki zawieszane po obu bokach rusztowania, w tym porządku, w jakim miały występować; rozpatrzyłem je starannie, wstąpiłem na podest, który mnie wzniosł ponad teatr, tak że bujałem ponad małym światkiem. Nie bez głębokiego wzruszenia patrzałem poprzez deski, gdyż oparowało mnie wspomnienie, jaki wspaniały widok przedstawia całość z zewnątrz, oraz wrażenie, w jakie to tajemnice zostałem wprowadzony. Zrobiliśmy próbę, poszło dobrze.

Na drugi dzień, na który zaproszone było towarzystwo dziecięce, graliśmy wybornie, tylko że ja w zapale akcji upuściłem Jonatana i byłem zmuszony sięgać po niego ręką i podnosić go; przypadek ten mocno zaszkodził złudzeniu, spowodował wielki wybuch śmiechu i niewypowiedzianie mnie zmartwił. Zdawało się, że niezgrabność ta była wielce na rękę memu ojcu, który naturalnie nie dał znać po sobie wielkiego zadowolenia ze zdolności synka, a po skończonej sztuce zaraz się uczepił omyłek i powiedział, że byłoby wszystko doskonałe, gdyby to i owo nie spaliło na panewce.

Serdecznie mnie to trapiło, posmutniałem na ten wieczór, ale już nazajutrz całe zmartwienie przespałem i byłem szczęśliwy myślą, że oprócz owego nieszczęsnego wypadku dobrze zagrałem. Do tego przyłączyła się pochwała widzów, którzy powszechnie utrzymywali, że chociaż porucznik co do zmiany grubego i cienkiego głosu bardzo dużo zrobił, to przecież perorował po większej części w sposób zanadto afektowany i sztywny, gdy tymczasem nowy początkujący wypowiadał swego Dawida i Jonatana wybornie; szczególnie matka chwaliła dzielność i szczerłość wyrazu, z jakim rzuciłem wyzwanie Goliatowi i stawałem przed królem jako skromny zwycięzca.

Ku największej mojej radości teatr pozostał otwarty, a że nadeszła wiosna i można było wytrwać bez ognia, w godzinach wolnych i przeznaczonych na zabawę przebywałem na poddaszu i przesuwałem rześko lalki wedle potrzeby gry. Często zapraszałem tam rodzeństwo i towarzyszy, ale nawet gdy nie chcieli przyjść, zostawałem sam na górce. Wyobraźnia moja rozplątywała się nad małym światkiem, który niebawem przybrał inną postać.

Zaledwie kilka razy wystawiłem pierwszą sztukę, do której teatr i aktorzy byli zrobieni i przystosowani, po czym już mi nie sprawiała żadnej przyjemności. Natomiast spomiedzy książek dziadka dostały mi się w ręce sztuki niemieckie oraz różne włosko-niemieckie opery, w które się mocno zagłębiłem i za każdym razem naprzód porachowałem osoby, a potem zaraz, bez dalszego zastanowienia, ciągnąłem do wystawienia sztuki. Wówczas król Saul w swoim czarnym aksamitnym ubraniu musiał grać rolę Chaumigrema, Katona i Dariusza<sup>36</sup>, przy czym zauważyć trzeba, że sztuki te nigdy nie były przedstawiane w całości, tylko zazwyczaj ich piąte akty, gdzie szło o jakieś śmiertelne ciosy.

Było też rzeczą naturalną, że opera, ze swymi różnorodnymi zmianami i przygodami, pociągała mnie bardziej niż wszystko inne. Znalazłem tam burze na morzu, bogów

<sup>36</sup>*Chaumigrem, Katon i Dariusz* — tu: postacie sceniczne, bohaterowie dramatów Melchiora Grimma, Johanna Christopha Gottscheda oraz Friedricha Lebegotta. [przypis edytorski]

schodzących w obłokach, a co mnie szczególnie uszczęśliwiał, błyskawice i pioruny. Pomagałem sobie tekturą, farbami i papierem, umiałem nawet wybornie robić noc, błyskawice były straszliwe, tylko grzmoty mi się nie udawały, ale to przecie niewiele znaczyło. W operach nadto zdarzała się częściej sposobność wyprowadzenia na scenę mego Dawida i Goliata, co w regularnym dramacie zgoła nie uchodziło. Z każdym dniem czułem więcej przywiązania do tego szczupłego obrębu, w którym tyle użyłem przyjemności, i wyznaję, że zapach, jaki wyniosły ze sobą lalki ze spiżarni, niemało się do tego przyczynił.

Dekoracje mojego teatru były też teraz prawie kompletne, gdyż wielce mi wtedy się przydała zręczność, jaką od dzieciństwa okazywałem w obchodzeniu się z cyrklem, w wyrzynaniu tektury i podmalowywaniu obrazków. Tym przykrzej mi było, gdy zespół zbyt często przeszkadzał mi w wystawieniu wielkich utworów.

Moje siostry swoim ubieraniem i rozbieraniem lalek obudziły we mnie myśl sprawienia moim bohaterom kostiumów na zmianę. Zdjęliśmy im szmatki z ciał, poskładaliśmy je razem, jak było można, zaoszczędziliśmy trochę pieniędzy, kupiliśmy się nową wstążkę i błyskotki, wyzebrałiśmy kilka kawałków kitajki i powoli utworzyliśmy garderobę teatralną, w której nie zapomnieliśmy zwłaszcza o krynolinach dla dam.

Trupa była teraz istotnie zaopatrzona w kostiumy na największą nawet sztukę i można było przypuszczać, że teraz dopiero następować będzie jedno przedstawienie po drugim, ale zdarzyło mi się to, co się nieraz dzieciom zdarzać zwykło: snują szerokie plany, robią wielkie przygotowania, a nawet niejaki próby, i naraz o wszystkim zapominają. O tę wadę muszę siebie oskarżyć i ja. Największa przyjemność spoczywała dla mnie w inwencji i w zajęciu wyobraźni. Ta czy inna sztuka interesowała mnie dla jakiejś sceny i zaraz przygotowywałem do niej nowe kostiumy. Wobec takich zmian pierwotne kawałki odzieży moich bohaterów były w ciągłym nieładzie i zapodziały się, tak że już nawet pierwszej wielkiej sztuki nie można było wystawić. Zdałem się na swoją fantazję, próbowałem ciągle i przygotowywałem, budowałem tysiące zamków na lodzie i nie dostrzegłem, żem zburzył podstawę małej budowli.

Podczas tego opowiadania Marianna użyła całej swej życzliwości dla Wilhelma, by ukryć swą senność. Chociaż rzecz sama wydawała się tak zabawna z jednej strony, była ona przecież dla niej zbyt prosta, a robione przy tym uwagi zbyt poważne. Kładła czule swą nogę na nodze ukochanego i dawała mu widome znaki swej uwagi i uznania. Piła z jego kieliszka i Wilhelm był przekonany, że ani jedno słowo z jego dziejów nie upadło na ziemię.

Po krótkiej przerwie zawołał:

— Na ciebie kolej, Marianno, opowiedzieć mi swoje pierwsze młodociane radości. Dotąd ciągle jeszcze byliśmy zanedo zajęci teraźniejszością, byśmy się mogli troszczyć nawzajem o nasz dawniejszy sposób życia. Powiedz mi, w jakich okolicznościach się wychowałaś, jakie były pierwsze żywsze wrażenia, które sobie przypominasz?

Pytania te byłyby wprawiły Mariannę w wielki kłopot, gdyby stara natychmiast nie przyszła jej z pomocą.

— Czyż pan sądzisz — rzekła roztropna kobieta — że na to, co nas spotkało w młodości, zwracamy taką uwagę, iżbyśmy miały do opowiadania tak przyjemne zdarzenia, a nawet gdybyśmy je mogły opowiedzieć, potrafiły tej rzeczy nadać taki powab?

— Jakby tego było potrzeba! — zawołał Wilhelm. — Kocham to czułe, dobre, miłe stworzenie tak silnie, że mi żal każdej chwili mego życia, którą spędziłem bez niej. Pozwól mi przynajmniej w wyobraźni wziąć udział w twoim przeszłym życiu! Opowiedz mi wszystko i ja ci wszystko opowiem. Łudźmy się, jak tylko można, i starajmy się odzyskać ten czas utracony dla naszej miłości.

— Jeżeli tak gorąco pan na to nastajesz — odrzekła stara — możemy pana zadowolić. Ale opowiedz nam pan pierwej, jak zamilowanie pańskie do widowisk z wolna wzrastało, jak się pan kształcił, jak pan tak szczęśliwe zrobiłeś postępy, że teraz możesz uchodzić za dobrego aktora? Nie brakło pewnie panu przy tym wesołych zdarzeń. Nie warto się już obecnie kłaść do snu; mam jeszcze jedną butelkę w zapasie, a kto wie, czy rychło znowu będziemy mogli siedzieć razem tak spokojni i tak zadowoleni?

Marianna powiodła po starej smutnym wzrokiem, którego Wilhelm nie spostrzegł, i prowadził dalej swoje opowiadanie.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

— Ponieważ moje towarzystwo zaczynało się zwiększać, rozrywki młodości mąciły samotną spokojną rozkosz. Byłem na przemian to myśliwym, to żołnierzem, to jeźdźcem, jak wymagała potrzeba naszych zabaw; miałem jednakże i w tym pewną wyższość nad innymi, że potrafiłem zgrabnie obrabiać potrzebne im narzędzia. I tak: miecze pochodziły zazwyczaj z mojej fabryki; zdobyłem i złociłem sanki, a jakiś tajemny popęd nie pozwolił mi spocząć, póki naszego wojska nie przetworzyłem w stylu starożytnym. Porobiło się helmy upiękzone papierowymi kitami, przygotowało się tarcze, a nawet pancerze, a przy tych robotach służący, krawcy i szwaczki, złamali niejedną igłę.

Jedną część moich młodych towarzyszy widziałem już dobrze uzbrojoną, inni powoli, choć w mniejszej mierze byli również ustrojeni; i powstało wcale wspaniałe wojsko. Marszerowaliśmy po podwórzach i ogrodach, biliśmy się dzielnie na tarcze i głowy; zdarzało się nieraz nieporozumienie, ale się niebawem załagadzało.

I ta zabawa, która innym dzieciom wielce się podobała, po kilku powtórzeniach już mnie wcale nie zadowalała. Widok tylu uzbrojonych postaci musiał z konieczności podrażnić we mnie wyobrażenia rycerskie, które wypełniały mi głowę od czasu, gdym wpadł na czytanie starych romansów.

*Jerozolima wyzwolona*<sup>37</sup>, której tłumaczenie przez Koppena wpadło mi w ręce, nadała wreszcie pewien określony kierunek moim błąkającym się myślom. Nie mogłem wprawdzie przeczytać poematu w całości, ale były ustępy, których się wyuczyłem na pamięć, których obrazy ciągle mi się nawijały. Szczególniej pociągała mnie Klorynda całym swoim zachowaniem się. Połączenie męskości z kobiecością, spokojna pełnia jej życia zrobiły większe wrażenie na umyśle, który się zaczynał rozwijać niż afektowane uroki Armidy, chociaż wcale nie pogardzałem jej ogrodem.

Ale kiedy wieczorem, przechadzając się po ganku ciągnącym się u szczytu domu, rozglądałem się po okolicy i kiedy od nachylonego ku poziomowi słońca rozposcierał się drżący blask na widnokręgu, występowały gwiazdy, noc wynurzała się ze wszystkich zakątków i głębin i wśród uroczystej ciszy przebijał się dźwięczny śpiew świerszczy, wypowiadałem setki razy dla siebie samego dzieje smutnego pojedynku między Tankredem i Kloryndą.

Jakkolwiek byłem oczywiście po stronie chrześcijan, sprzyjałem przecież całym sercem pogańskiej bohaterce, kiedy podjęła się zapalić wielką wieżę oblegających. A cóż dopiero, gdy Tankred spotyka w nocy mniemanego rycerza, wśród mrocznej osłony rozpoczyna spór i gdy z sobą potężnie walczą! Nigdy nie mogłem wymówić słów:

Życia Kloryndy nic już, już się zwija  
I śmierci godzina niechybnej wybija!

bez łez, które mi obficie z oczu płynęły, kiedy nieszczęsny kochanek zatapia miecz w jej łono, upadającej hełm zdejmując, poznaje ją i drżąc, przynosi wodę do chrztu.

A jakże mi się serce ścisnęło, gdy w zaczarowanym lesie miecz Tankreda uderza w drzewo, krew po tym ciosie wypływa i głos mu w uszach dźwięczy, że i tutaj zranił Kloryndę, że mu los wypadł taki, iż to, co kocha, wszędzie bezwiednie rani.

Historia ta opanowała moją wyobraźnię tak dalece, że to, co wyczytałem z poematu, urosło mi w duszy w niejasną całość, którą się tak zająłem, iż zamyśliłem ją w jaki bądź sposób wystawić. Chciałem grać Tankreda i Rynalda i znalazłem ku temu dwie zbroje, całkiem gotowe, które dawniej wyrobiłem. Jedna, z ciemnoszarego papieru z łuskami, miała zdobić poważnego Tankreda, drugą, z papieru srebrnego i złotego miał nosić świetny Rynald. Wiedziony żywym wyobrażeniem, opowiedziałem wszystko moim towarzyszom, którzy byli tym niezmiernie zachwyceni i tylko nie mogli dobrze pojąć, że wszystko to miało być wykonane i to wykonane właśnie przez nich.

<sup>37</sup>*Jerozolima wyzwolona* — włoski epos rycerski autorstwa Torquato Tasso, wyd. w 1575, bardzo popularny w czasach romantyzmu. [przypis edytorski]

Wątpliwościom tym zaradziłem bardzo łatwo. Zaraz rozporządziłem dwoma pokojami w sąsiednim domu kolegi, nie spodziewając się, że stara ciotka nigdy by ich nie użyzyła; tak samo było z teatrem, o czym nie miałem także dokładnego wyobrażenia, prócz tego, że potrzeba go umieścić na belkach, ustawić kulisy z porozrzucanych parawanów, a na tło wziąć wielką chustkę. Ale skąd miały się wziąć materiały i narzędzia, o tym nie pomyślałem.

Co do lasu, znaleźliśmy dobry sposób: poprosiliśmy ładnie starego sługę jednego z domów znajomych, który został wtedy gajowym, żeby nam dostarczył brzołek i choinek, które też rzeczywiście zostały przyniesione, prędzej, niżeli mogliśmy się spodziewać. Ale wówczas byliśmy w wielkim kłopotcie, jak zrealizować sztukę, zanim drzewka uschną. Trudna rada! Brakowało miejsca, teatru, zasłon. Parawany były jedyną rzeczą, jaką posiadaliśmy.

W tym kłopotcie zwróciliśmy się znowu do porucznika, któremu szeroko opisaliśmy, jak to będzie wspaniale. Chociaż nie bardzo nas rozumiał, był przecież uczynny; wszystkie stoły, jakie się dało znaleźć w domu i sąsiedztwie, poznosił do małej izdebki, na nich postawił parawany, z zielonych firanek utworzył widok tła, zaraz też rozstawił drzewa.

Tymczasem zapadł wieczór; zapalono świece, służące i dzieci siedziały na swych miejscach, sztuka miała się rozpocząć; całe grono bohaterów było ubrane w kostiumy; wtedy dopiero każdy spostrzegł, że nie wie, co ma mówić. Wśród zapału inwencji, zajęty całkowicie swoim przedmiotem, zapomniałem, że przecież każdy powinien wiedzieć, co i gdzie ma mówić; a wśród żywego zajęcia przygotowaniami innym także nie przyszło to na myśl; sądzili, że z łatwością pokażą się jako bohaterowie, że łatwo tak działać i mówić, jak te osoby, w których świat ich wprowadziłem. Stali wszyscy zdziwieni, pytali się jeden drugiego, co będzie naprzód, a ja, który jako Tankred znajdować się musiałem według swej myśli, na przodzie, zacząłem, sam występując, deklamować wiersze z poematu. Ponieważ jednak ten ustęp wkrótce przechodził w formę opowiadającą, a ja w swojej własnej mowie w końcu przedstawiałem się jako osoba trzecia, zaś Gotfryd, o którym rzecz była, wyjść nie chciał, więc i ja zmuszony byłem wśród wielkiego śmiechu widzów cofnąć się także; niepowodzenie to głęboko mnie w duszy zabolowało. Nie poszczęściła się sprawa; widzowie siedzieli i pragnęli coś widzieć. Byliśmy w kostiumach; zebrałem myśli i postanowiłem zagrać po prostu Dawida i Goliata. Niektórzy moi towarzysze wystawiali niegdyś wraz ze mną jasełka, wszyscy często je widywali; podzielono się rolami, każdy obiecał dołożyć wszystkich sił, a jeden mały pocieszny chłopak wymalował sobie czarną brodę, ażeby w razie jakiejś przerwy, wypełnić ją jakąś krotochwilą<sup>38</sup>; na projekt ten, jako przeciwny powadze sztuki, zgodziłem się bardzo niechętnie. I przysięgłem sobie, że jak tylko się wywiklam z tego kłopotu, nigdy się nie odważę na wystawienie jakiegokolwiek sztuki, chyba że z największą rozwagą.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Marianna, zmożona snem, oparła się o ukochanego, który silnie przycisnął ją do siebie i prowadził dalej opowiadanie, gdy stara powoli spijała resztę wina.

— Kłopot — rzekł on — w jakim się znalazłem wraz ze swymi przyjaciółmi, gdyśmy przedsięwzięli grać nieistniejącą sztukę, poszedł niebawem w zapomnienie. Mojej żądzy przedstawiania na scenie każdego romansu, jaki czytałem, każdej historii, jakiej mnie uczono, nie mogła się oprzeć treść nawet najmniej podatna. Byłem głęboko przeświadczony, że wszystko, co bawiło w opowiadaniu, musiałyby wyrzucić daleko większe wrażenie, gdyby zostało przedstawione; wszystko powinno było dziać się przed moimi oczyma, wszystko odbywać się na scenie. Kiedy w szkole wykładano nam historią powszechną, zaznaczałem sobie starannie, gdzie ktoś w szczególny sposób został przebity lub zatruty, a wyobraźnia moja pomijała ekspozycję i zawikłanie, podążając do zajmującego piątego aktu. Toteż istotnie zacząłem kilka sztuk pisać od końca, lecz do początku nie doszedłem w żadnej.

Równocześnie przeczytałem, już to z własnego popędu, już skłoniony przez dobrych przyjaciół, którzy nabrali smaku w przedstawianiu sztuk, całą kupę utworów teatralnych, jak je przypadek przekazał w moje ręce. Byłem w tych szczęśliwych latach, kiedy nam

<sup>38</sup>krotochwila (daw.) — żart, zabawa. [przypis edytorski]

się jeszcze wszystko podoba, kiedy w wielości i różnorodności znajdujemy zadowolenie. Lecz niestety, sąd mój był stronnicy w jeszcze inny sposób. Te sztuki podobały mi się szczególnie, w których spodziewałem się znaleźć powodzenie; a mało było takich, których bym nie odczytywał w tym przyjemnym złudzeniu; żywa zaś wyobraźnia moja sprawiająca, że mogłem się wmyśleć we wszystkie role, zwodniczo zawiodła mnie ku mniemaniu, że mógłbym też wszystkie zagrać; przy podziale zatem wybierałem sobie zazwyczaj takie, które nie były dla mnie stosowne, a prócz tego, jeśli tylko dało się to zrobić, brałem kilka ról naraz.

Dzieci umieją w grze zrobić wszystko ze wszystkiego; kij staje się strzelbą, kawałek drewna szpadą, każde zawiniątko lalką a każdy kąk chatą. W tym duchu rozwinął się nasz prywatny teatr. Przy zupełnym braku wiedzy o własnych możliwościach podejmowaliśmy się wszystkiego, nie spostrzegaliśmy wcale *qui pro quo*<sup>39</sup> i byliśmy przekonani, że każdy powinien był uznawać nas za tych, za których się podajemy. Niestety, wszystko szło trybem tak pospolitym, że mi nie zostaje do opowiedzenia choćby jakieś zastanawiające głupstwo. Naprzód odegraliśmy te nieliczne sztuki, w których występują sami mężczyźni; potem przebieraliśmy kilku z naszej gromadki, a w końcu wciągnęliśmy do gry nasze siostry. W niektórych domach uważano to za pożyteczne zajęcie i spraszano towarzystwo na widowiska. Nasz porucznik artylerii nie opuścił nas i tutaj. Pokazał nam, jak mamy wchodzić i wychodzić, jak deklamować i gestykulować, ale za swoje trudy niewiele zbierał podziękowań, gdyż sądziliśmy, że już się lepiej od niego znamy na sprawach teatralnych.

Niebawem zabraliśmy się do tragedii, słyszeliśmy bowiem nie raz i sami mniemaliśmy, że łatwiej napisać i przedstawić tragedię niż być doskonałym w komedii. Jakoż przy pierwszej próbie tragicznej poczuliśmy się w swoim żywiole; staraliśmy się zbliżyć do wyżyn stanu, do znakomitości charakterów za pośrednictwem sztywności i afektacji i niemało sobie po tym obiecywaliśmy; całkiem szczęśliwi jednak<sup>40</sup> byliśmy dopiero wówczas, gdyśmy mogli dobrze się wyszaleć, tupać nogami i rzucać się na ziemię z wściekłości i rozpacz.

Chłopcy i dziewczęta niedługo byli razem w tych zabawach; gdy natura zaczęła się budzić, a towarzystwo dzielić na rozmaite małe kółka miłosne, to zazwyczaj odgrywano komedię w komedii. Szczęśliwe pary ścisnęły sobie ręce jak najczulej za parawanami teatru, rozplywały się w błogości, kiedy się sobie ukazywały nawzajem we wstążkach i w stroju, w świetle prawdziwie idealnym, przeciwnie zaś nieszczęśliwi współzawodnicy: trawili się zazdrością i radzi, że mogą zaszkodzić, urządzali wszelkiego rodzaju kłębki.

Przedstawienia te, chociaż podejmowane bez rozsądku i przeprowadzane bez kierunku, nie były jednak dla nas bez pożytku. Ćwiczyliśmy pamięć i ciało i osiągnęliśmy większą zręczność w mówieniu i zachowaniu się, niż było by ją można zdobyć bez tego w tak wczesnych latach. Ale dla mnie czas ów stanowił szczególną epokę; duch mój całkowicie zwrócił się ku teatrowi i nie znajdowałem większego szczęścia nad czytanie, pisanie i granie sztuk teatralnych.

Moi nauczyciele prowadzili naukę dalej; poświęcono mnie zawodowi handlowemu i posadzono za kantorem naszego sąsiada; ale właśnie w tym czasie mój duch tym szybciej oddalał się od wszystkiego, co poczytywać musiałem za niskie zajęcie. Chciałem poświęcić cały swój wysiłek scenie, na niej znaleźć zadowolenie i szczęście.

Pamiętam jeszcze jeden poemacik, który pewnie znajduje się wśród moich papierów, a w którym muza poezji tragicznej i druga postać niewieścia, uosabiająca handel, sprzeczną się bardzo zacięcie o moją godną osobę. Inwencja jest pospolita i nie przypominam sobie, czy wiersze coś warte, ale powinniście to poznać dla obawy, wstrętu, miłości i namiętności, jakie tam panują. Jak trwożnie odmalowałem starą matkę rodziny z kądzielą<sup>41</sup> za pasem, z kluczami u boku, okularami na nosie, zawsze pilną, zawsze niespokojną, kłótniwą i przejętą gospodarstwem, małostkową i uciążliwą! Jak opisałem kłopotliwy stan tego, kto musiał się zginać pod jej różgą i odrabiać swą niewolniczą pracę dzienną w pocie swego czoła!

<sup>39</sup>*qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie; dosł. jeden zamiast drugiego, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]

<sup>40</sup>*jednak* (daw.) — jednak, ale; spójnik wyrażający przeciwstawienie, kontrast. [przypis edytorski]

<sup>41</sup>*kądziel* — pęk lnu, konopi albo wełny przygotowanej do przędzenia. [przypis edytorski]



Jakże inaczej występowała druga postać! Jakim zjawiskiem stała się ona dla zasmuczonego serca! Wspaniałych kształtów, w istocie i zachowaniu się swoim przedstawiała się jako córka wolności. Poczucie własnej wartości nadawało jej godność bez dumy; suknie jej były całkiem stosowne, okrywały każdy członek, nie uciskając go, a obfite zgięcia materii powtarzały, jakby tysiąckrotne echo, uroczę poruszenia bogini. Co za kontrast! A na którą stronę skłaniało się moje serce, łatwo możesz zgadnąć. I niczego nie zapomniałem, aby muzę moją uczynić wydatną. Korony i miecze, łańcuchy i maski, jak je mi poprzednicy moi przekazali, zostały jej i tutaj przydane. Spór był gwałtowny, mowy obu osób należycie z sobą były sprzeczne, ponieważ w czternastym roku życia zwykło się pospolicie czarne i białe malować bardzo blisko siebie. Staruszka prawiała, jak przystoi osobie trzymającej igłę, a druga jak ktoś, kto rozporządza państwami. Ostrzegające pogrożki starej zostały wyśmiane; odwracałem się już z niechęcią od obiecanych mi bogactw; wydziedziczony i nagi oddałem się muzie, która zarzuciła na mnie swą złotą zasłonę i zakryła mą nagość.

— Czyż mogłem pomyśleć, o moja droga! — zawołał, przytulając Mariannę — że zupełnie inne, miłsze bóstwo zejdzie, umocni mnie w moim przedsięwzięciu i towarzyszyć mi będzie na mojej drodze; o ileż piękniejszego zwrotu nabrałby mój poemat, jakże zajmujące stałoby się jego zakończenie! Ale w twoich objęciach znajduję przecież nie poemat, tylko prawdę i życie; używajmy świadomie słodkiego szczęścia!

Wskutek uścisku jego ramienia, wskutek żywości podniesionego głosu Marianna obudziła się i pieszczotami skryła swoje zmieszanie; z ostatniej bowiem części jego opowiadania nie słyszała ani słowa; a życzyć sobie wypada, ażeby nasz bohater mógł w przyszłości znaleźć uważniejszych słuchaczy dla swych ulubionych dziejów.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Tak oto Wilhelm spędzał noce w upojeniu poufalej miłości, dnie zaś w oczekiwaniu nowych błogich godzin. Już w owym czasie, gdy pragnienie i nadzieja pociągały go do Marianny, czuł się jakby na nowo ożywiony; czuł, że zaczyna się stawać innym człowiekiem; teraz był z nią zjednoczony; zaspokajanie jego życzeń stało się czarującym przyzwyczajeniem. Jego serce usiłowało uszlachetnić przedmiot swojej namiętności, jego duch dążył do wyniesienia ukochanego dziewczęcia na własny poziom. Podczas najkrótszej nawet nieobecności obejmowało go jej wspomnienie. Jeżeli dawniej była dla niego niezbędną, teraz była nieodzowna do życia, gdyż był do niej przywiązany wszystkimi więzami człowieczeństwa. Jego czysta dusza czuła, że ona jest połową, więcej niż połową jego samego. Był wdzięczny i oddany bez granic.

I Marianna mogła się czas jakiś łudzić; dzieliła z nim poczucie jego żywego szczęścia. Ach! Gdyby tylko po jej sercu nie suwała się niekiedy zimna ręka wyrzutu! Nawet na piersi Wilhelma, nawet pod skrzydłami jego miłości nie była z tej strony bezpieczna. A kiedy znów zostawała sama i z obłoków, w które ją unosiła jego namiętność, spadała w rozważanie swego stanu, wówczas była godna litości. Bo lekkomyślność przychodziła jej w pomoc, dopóki żyła w przyziemnym rozproszeniu, oszukiwała się co do swych stosunków, a raczej ich nie znała; wtedy przygody, na jakie była wystawiona, ukazywały się jej tylko pojedynczo: przyjemność i nuda następowały po sobie, upokorzenie wynagradzała próżność, a niedostatek częstokroć chwilowa obfitość; mogła potrzebę i przyzwyczajenie przytaczać jako prawo i usprawiedliwienie, toteż ze wszystkich nieprzyjemnych wrażeń mogła się otrząsać z godziny na godzinę, z dnia na dzień. Ale teraz biedna dziewczyna czuła się chwilami przeniesiona w lepszy świat, spozrzała, niby z góry na dół, ze światła i radości na próżnię i nikczemność swego życia, zrozumiała, jak nędznym stworzeniem jest kobieta, która wraz z pożądaniem nie przejmuje zarazem miłością i czcią, i nie dostrzegała najmniejszej poprawy ani zewnątrz, ani wewnątrz. Nie miała niczego, co mogłoby ją wzmocnić. Kiedy spozrzała w siebie i poszukiwała, w jej umyśle było pusto, a serce nie miało żadnej podpory. Im stan ten był smutniejszy, tym silniej lgnęła jej skłonność ku ukochanemu; namiętność wzrastała z każdym dniem, w miarę tego jak z każdym dniem zbliżało się niebezpieczeństwo utracenia go.

Natomiast Wilhelm bujał szczęśliwy w wyższych krainach, dla niego także otworzył się nowy świat, ale bogaty we wspaniałe widoki. Zaledwie ustąpił nadmiar pierwszej radości, a już stało się dla jego duszy jasne to, co dotychczas niewyraźnie go nurtowało.

„Ona jest twoja! Ona ci się oddała! Ona, to ukochane, poszukiwane, uwielbiane stworzenie, oddała ci się bez zastrzeżeń; ale powierzyła się nie jakiemuś niewdzięcznikowi”. Gdzie stał lub chodził, mówił sam do siebie; serce jego było ustawicznie przepełnione i podpowiadał sobie w pełni wspaniałych wyrazów najwznioślejsze myśli i nastroje. Zdawało mu się, że rozumiał widomą wskazówkę losu, który za pośrednictwem Marianny podawał mu rękę, by mógł się wyrwać z obrębu ciasnego, ciężko wlokącego się mieszczańskiego życia, skąd już tak dawno pragnął się wydobyć. Opuścić dom ojca, opuścić swoich wydawało mu się rzeczą łatwą. Był młody i świeży w świecie, a odwaga, by się puścić na jego rozległe przestwory po szczęście i zaspokojenie, wzmogła się przez miłość. Jego powołanie do teatru było teraz dla niego jasne; wysoki cel, jaki widział przed sobą postawiony, zdawał mu się bliższy, gdy dążył ku niemu pod rękę z Marianną, i w zadowolonej z siebie skromności widział w sobie wybornego aktora, twórcę przyszłego teatru narodowego, ku któremu, jak słyszał, zewsząd wzdychano. Wszystko, co dotąd drzemało w najskrytszych zakątkach jego duszy, teraz się obudziło. Barwami miłości namalował z różnorodnych pojęć obraz na mglistym tle, którego postaci zlewały się, co prawda, ze sobą, ale za to całość wywierała tym bardziej czarujące wrażenie.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Teraz siedział w domu, grzebał się w papierach i przygotowywał się do odjazdu. Co pachniało jego dotychczasowym zawodem, odkładał na bok; w swojej wędrówce po świecie chciał być wolny od wszelkiego nieprzyjemnego wspomnienia. Tylko dzieła smaku, poetów i krytyków, jako znanych przyjaciół, postawił wśród wybrańców, a że dotąd bardzo mało korzystał z sędziów sztuki, wznowiła się w nim żądza oświecenia się, kiedy przeglądał swoje książki i zobaczył, iż pisma teoretyczne były po większej części jeszcze nieprzeczyte. Będąc najmocniej przekonany o koniecznej potrzebie takich dzieł, ponabycywał ich wiele, ale przy najlepszych chęciach nie mógł się w żadne wczytać choćby tylko do połowy.

Na odwrót, tym gorliwiej trzymał się przykładów i sam czynił próby we wszystkich rodzajach, jakie mu były znane.

Wszedł Werner i widząc swego przyjaciela zajętego znanymi zeszytami, zawołał:

— Znowu nad tymi papierami? Założyłbym się, że nie masz zamiaru dokończyć żadnego z nich! Wciąż je przeglądasz, a zawsze rozpoczynasz coś nowego.

— Wykańczać nie jest rzeczą ucznia; dosyć, gdy się ćwiczy.

— Ale przecież winien obrobić, jak może najlepiej.

— A jednak można by rzucić pytanie: czy właśnie nie wypadałoby powziąć dobrej nadziei o młodzieńcu, który szybko spostrzeża, kiedy przedsięwziął coś niestosownego, nie ciągnie dalej pracy i nie chce ani trudu, ani czasu marnować nad czymś, co nigdy nie może mieć wartości.

— Wiem, wiem, nigdy niczego nie zrobiłeś do końca. Zawsze się zmęczyłeś, zanim doszedłeś do połowy. Kiedy byłeś jeszcze dyrektorem naszych jasełek, ileż to razy robiliśmy nowe kostiumy dla każdego towarzystwa, ile nowych dekoracji się wycinało! To ta, to tamta tragedia miała być wystawiona, dawałeś zaś co najwyżej piąty akt, gdzie się wszystko bezładnie mieszało, a ludzie się zabijali.

— Jeśli chcesz mówić o tamtych czasach, to któż był winowajcą, żeśmy zrywali z naszych lalek kostiumy, dopasowane do nich i mocno przyszyte, i zadawali sobie trud, żeby sporządzić obszerną, a niepotrzebną garderobę? Czyż to nie ty miałeś zawsze do sprzedania jakiś nowy kawałek wstążki, czyż nie ty rozogniałeś i wyzyskiwałeś moje zamiłowanie?

Werner zaśmiał się i zawołał:

— Do dziś dnia z przyjemnością przypominam sobie, że ciągnąłem korzyści z waszych wypraw teatralnych jak liweranci<sup>42</sup> z wojny. Kiedyście się przygotowywali do wyzwolenia Jerozolimy, odniosłem także ładny zysk, jak niegdyś Wenecjanie w podobnym wypadku. Nic rozumniejszego nie widzę na świecie, jak ciągnąć korzyść z cudzych niedorzeczności.

— Nie wiem, czy nie byłoby szlachetniejszą rozrywką leczyć ludzi z ich niedorzeczności.

— O ile ich znam, byłoby to próżnym usiłowaniem. Już i to niemała rzecz, gdy jeden człowiek ma się stać roztropany i bogaty, a staje się taki po większej części kosztem innych.

<sup>42</sup>liwerant (daw.) — dostawca wojskowy. [przypis edytorski]

— Wpadł mi właśnie w ręce *Młodzieniec na rozstajnych drogach*<sup>43</sup> — odrzekł Wilhelm, wyciągając jakiś zeszyt spomiędzy papierów. — To przecież ukończyłem, jakiegokolwiek zresztą jest samo w sobie.

— Daj temu spokój, rzuć w ogień! — odparł Werner. — Sam pomysł bynajmniej nie jest wart pochwały; już dawniej dosyć gniewała mnie ta kompozycja i ściągnęła na ciebie niechęć ojca. Mogą to być bardzo zgrabne wiersze, ale wyobrażenia są z gruntu fałszywe. Przypominam sobie jeszcze twój upostaciowany handel, twoją wymuszoną, politowania godną Sybillę<sup>44</sup>. Musiałeś pewnie pochwyć ten obrazek w jakimś nędznym kramiku. O handlu nie miałaś wówczas pojęcia; nie wiem doprawdy, czyj duch mógłby być szerszy i powinien by być szerszy niż duch prawdziwego handlowca. Jakiegoż widoku dostarcza nam porządek, z jakim prowadzimy nasze interesy. Pozwala on nam w każdej chwili obejrzeć całość, chociaż nie potrzebujemy dać się uwikłać w szczegóły. Jakież korzyści zapewnia kupcowi podwójna księgowość! To jeden z najpiękniejszych wynalazków ducha ludzkiego i każdy dobry gospodarz powinien by zaprowadzić ją w swoich sprawach.

— Daruj mi — rzekł Wilhelm z uśmiechem — zaczynasz od formy, jakby ona była samą rzeczą; zazwyczaj jednak przy waszym dodawaniu i bilansowaniu zapominacie o istotnym sensie życia.

— Niestety, nie widzisz, mój przyjacielu, jak forma i rzecz stanowią tu jedno, jak jedna bez drugiej ostać się nie może. Porządek i jasność powiększają przyjemność oszczędzania i zarabiania. Człowiek źle prowadzący gospodarstwo czuje się bardzo dobrze w ciemności; nie chciałby rachować pozycji, które ciąży mu długiem. Przeciwnie, nic nie może być przyjemniejszego dla dobrego gospodarza, jak co dzień obliczać sumę swego rosnącego szczęścia. Nawet niepowodzenie, chociaż go mocno dotyka, nie jednak go przeraża, gdyż wie natychmiast, jakie osiągnięte korzyści może położyć na drugą szalę. Jestem przeświadczony, mój kochany przyjacielu, że gdybyś raz mógł nabrać prawdziwego smaku w naszych zajęciach, przekonałbyś się, że niektóre zdolności umysłu mogą i przy nich swobodnie się rozwijać.

— Być może podróż, którą mam przed sobą, naprowadzi mnie na inne myśli.

— O, z pewnością! Wierz mi, brak ci tylko widoku wielkiej działalności, ażebyś się na zawsze zrobił nasz; a kiedy powrócisz, chętnie się przyłączysz do tych, którzy wszystkimi sposobami spedycji i spekulacji potrafią ściągnąć ku sobie część pieniędzy i dobrobytu, jakie stanowią konieczny krwiobieg świata. Rzuć okiem na przyrodzone i sztuczne wytwory wszystkich części świata, zważ, jak one z kolei stały się nieodzowną potrzebą. Jaka to miła, pomysłowa troska, by znać wszystko, co w danej chwili bywa poszukiwane, a czego brakuje, co trudno dostępne, by każdemu, czego żąda, łatwo i prędko dostarczyć, przezornie robić zapasy i nasycać się zyskiem każdego momentu tej wielkiej cyrkulacji. Według mnie sprawiać to może wielką radość każdemu, kto ma głowę.

Wilhelm nie zdawał się zniechęcony, a Werner ciągnął dalej:

— Zwiedź tylko parę wielkich miast handlowych, parę portów, a z pewnością dasz się porwać. Kiedy zobaczysz, jak wielu ludzi jest zajętych, kiedy zobaczysz, skąd to i owo pochodzi, dokąd idzie, wówczas na pewno chętnie zobaczyłbyś, jak to idzie przez twoje ręce. Najdrobniejszy towar ujrzyysz w związku z całym handlem i właśnie dlatego niczego nie będziesz uważał za drobiazg, że wszystko powiększa cyrkulację, która może cię wyżywić.

Werner, który wykształcił swój trafny rozsądek w towarzystwie Wilhelma, przywykł myśleć i o *swoim* zajęciu, o swoich interesach z pewną podniosłością duchową i zawsze sądził, że czyni to z większym prawem niż jego rozumny zresztą i ceniony przyjaciel, który przykładął tak wielką wartość i wagę całej swej duszy do rzeczy, jak mu się zdawało, najnierealniejszych w świecie. Nieraz myślał, że niepodobna, aby ten fałszywy entuzjazm nie mógł zostać przewyciężony, a tak dobry człowiek sprowadzony na prawdziwą drogę.

<sup>43</sup>*Młodzieniec na rozstajnych drogach* — zapewne wariant popularnej starożytnej przypowieści etycznej o Heraklesie na rozstajnych drogach: młodemu Heraklesowi na rozstaju dróg ukazały się dwie kobiety, Nieprawość i Cnota, nakłaniające do wyboru jednej z dwóch dróg życia i przedstawiające swoje argumenty: za życiem łatwym i przyjemnym oraz za pełnym trudów, ale chwalebny; przypowieść tę znamy ze *Wspomnień o Sokratesie* (II 1, 21–34) Ksenofonta, który stwierdza, że pochodzi ona z rozprawy Prodikosa. [przypis edytorski]

<sup>44</sup>*Sybilli* (mit. gr; mit. rzym.) — wieszczka przepowiadająca przyszłość; najbardziej znaną Sybillą była kapłanka wyroczni Apollina w Cumae, której przypisywano autorstwo ksiąg z przepowiedniami dotyczącymi losów Rzymu. [przypis edytorski]

W tej nadziei mówił dalej:

— Ziemię opanowali wielcy tego świata; żyją oni w blasku i zbytku. Najmniejsza nawet przestrzeń naszej części ziemi została już zajęta w posiadanie, a każde posiadanie utrwalone, urzędy i inne zawody państwowe mało przynoszą; gdzież jest teraz jeszcze sprawiedliwszy zarobek, stosowniejsza zdobycz nad handel? Jeżeli książęta tego świata wzięli w swoją moc rzeki, drogi, przystanie i ciągną gruby zysk z tego, co tamtędy przechodzi, to czyż nie powinniśmy pochwytać z radością sposobności i przez naszą działalność pobierać także cło od tych przedmiotów, które już to potrzeba, już to swawola uczyniła niezbędnymi dla ludzi? I mogę cię zapewnić, że gdybyś tylko chciał do tego użyć swej poetyckiej wyobraźni, mógłbyś śmiało przeciwstawić moją boginię, jako niepokonalną, zwyciężczynię twojej. Nosi ona co prawda chętniej różdżkę oliwną niż miecz, sztyletu i kajdan nie zna wcale, ale rozdaje także swoim ulubieńcom korony, które, mówiąc bez pogardy dla drugiej bogini, błyszczą od prawdziwego, wydobytego z kopalni, złota i od pereł, które za pośrednictwem swoich zawsze czynnych sług wydobywa z głębi morza.

Wysok ten gniewał trochę Wilhelma, ale ukrył swoją drażliwość, gdyż przypomniał sobie, że i Werner zwykł był słuchać spokojnie jego apostrof. Zresztą był o tyle sprawiedliwy, żeby nie mieć za złe, kiedy każdy myślał jak najlepiej o swoim zajęciu; tylko trzeba było pozostawić niezganionym i jego zajęcie, któremu się namiętnie poświęcił.

— A dla ciebie — zawołał Werner — co bierzesz tak serdeczny udział w sprawach ludzkich, dla ciebie, cóż to będzie za widowisko, gdy zobaczysz, że szczęście towarzyszące odważnemu przedsięwzięciu w twoich oczach ludzi przeniknie! Cóż jest bardziej uroczonego niż widok okrętu, który powraca ze szczęśliwej wyprawy i rychło przywozi bogaty połów. Nie tylko krewny, nie tylko znajomy lub współuczestnik, ale każdy obcy widz doznaje wzruszenia, gdy widzi radość, z jaką zamknięty na statku podróżny wyskakuje na ląd, zanim jeszcze dotknęła go łódka, jak znowu czuje się wolny i może oddać wiernej ziemi to, co wyrwał zmiennemu morzu. Nie w samych liczbach, mój przyjacielu, przedstawiam nam się zysk; szczęście jest bóstwem żyjących ludzi, a żeby jego łaskę odczuć naprawdę, trzeba żyć i widzieć ludzi, którzy pracują bardzo żywotnie i używają bardzo rozumnie.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Czas już, żebyśmy lepiej poznali także ojców dwu naszych przyjaciół: byli oni odmiennego sposobu myślenia, ale zgadzali się w tym przeświadczeniu, że uważali handel za najszlachetniejszy zawód i że obaj byli nadzwyczaj baczni na każdą korzyść, jaką mogła im przynieść dana transakcja.

Stary Meister zaraz po śmierci swego ojca bogaty zbiór obrazów, rysunków, miedziorytów i starożytności zmienił na pieniądze, dom gruntownie przebudował i umeblował według najnowszego smaku, a całą resztę majątku puścił w ruch na wszelki możliwy sposób. Znaczną część jego oddał na handel staremu Wernerowi, który słynął jako obrotny handlowiec i którego spekulacjom sprzyjało zazwyczaj szczęście. Niczego jednak stary Meister nie pragnął tak bardzo, jak tego, żeby synowi swojemu dać przymioty, jakich sam nie posiadał, i żeby dzieciom pozostawić bogactwa, do posiadania których przywiązywał największą wagę. Uczuwał on wprawdzie szczególniejszą skłonność do wystawności, do tego, co wpada w oczy, ale co zarazem powinno być mieć wewnętrzną wartość i trwałość. W jego domu wszystko musiało być trwałe i masywne, zapas obfity, srebrne naczynia ciężkie, zastawa stołowa kosztowna; natomiast goście byli rzadcy, gdyż każdy obiad stawał się ucztą, co zarówno z powodu kosztów, jak z powodu niedogodności nieczęsto się mogło powtarzać. Tryb życia domowego szedł spokojnym i jednostajnym krokiem, a wszystko, co się w nim poruszało i odnawiało, było właśnie tym, co nikomu nie dawało rozkoszy.

Wprost przeciwne życie prowadził Werner w ciemnym i ponurym domu. Gdy skończył swoje zajęcia w ciasnym gabinecie przy przedwiecznym pulpicie, pragnął dobrze zjeść, a jeszcze lepiej wypić; a dobrego nie mógł używać sam jeden; obok rodziny musiał zawsze przy stole widzieć swoich przyjaciół, wszystkich obcych, którzy mieli stosunki z jego domem; krzesła jego były stare jak świat, ale codziennie zapraszał kogoś, by na nich siedział. Dobre potrawy ściągały na siebie uwagę gości i nikt nie spostrzegał, że były podawane

w pospolitych naczyniach. Jego piwnica nie mieściła wiele wina, ale wypite było zazwyczaj zastępowane lepszym.

Tak żyli dwaj ojcowie, często się schodząc, naradzając się względem wspólnych interesów, a dziś właśnie postanowili posłać Wilhelma w interesach handlowych.

— Niech się rozejrzy po świecie — rzekł stary Meister — a zarazem niech się zajmie naszymi sprawami w obcych stronach; nie można wyświadczyć większego dobrodziejstwa młodzieńcowi, jak kiedy go się zawczasu wtajemnicza w jego życiowe przeznaczenie. Pański syn wrócił ze swej wyprawy tak szczęśliwie, interesy swoje umiał tak dobrze załatwić, że jestem bardzo ciekaw, jak się mój popisze; lękam się, żeby nie wydał na frycowe<sup>45</sup> więcej od pańskiego.

Stary Meister, który bardzo dużo rozumiał o swym synu i jego zdolnościach, powiedział te słowa w nadziei, że przyjaciel będzie mu zaprzeczał i roztrząsał wyborne przymioty młodzieńca. Omylił się co do tego; stary Werner, który w sprawach praktycznych nie dowierzał nikomu, póki go nie wypróbował, odparł spokojnie:

— Trzeba wszystkiego próbować; możemy go posłać w tę samą podróż, damy mu przepis, według którego ma się kierować; są różne długi do podjęcia, stare znajomości do odnowienia, nowe do zrobienia. Może też popchnąć spekulację, o której niedawno z panem rozmawiałem, gdyż bez zebrania na miejscu dokładnych wiadomości, mało co można w niej dokonać.

— Niech się przygotowuje — odrzekł stary Meister — a jak można najrychlej, niech rusza. Skąd weźmiemy mu konia, który by się nadał do tej wyprawy?

— Nie będziemy daleko szukali. Jeden handlarz w H\*\*\*, który jest nam winien jeszcze trochę, ale zresztą to dobry człowiek, ofiarował mi konia zamiast gotówki; mój syn go zna, ma to być zwierzę bardzo odpowiednie.

— Może sam po niego się udać; jeśli pojedzie pocztą, to pojutrze wcześniej będzie z powrotem; przygotowuje mu się tymczasem worek podróżny i listy i tym sposobem z początkiem przyszłego tygodnia może wyruszyć.

Zawołano Wilhelma i oznajmiono mu o postanowieniu. Któż mógł być bardziej zadowolony od niego, gdy ujrzał w swym ręku środki do swego przedsięwzięcia, gdy bez jego przyczynienia się sposobność została mu przygotowana! Tak wielka była jego namiętność, tak czyste jego przekonanie, że działa z całą prawością, by usunąć się spod ucisku dotychczasowego życia i pójść nową, szlachetniejszą drogą, iż jego sumienie bynajmniej się nie zaniepokoiło, nie powstała w nim żadna troska, owszem, oszukaństwo to uważał raczej za święte. Był pewny, że potem rodzice i krewni będą go chwalić za ten krok i błogosławić; w tym zbiegu okoliczności uznał skinienie kierującego losu.

Jak długi wydawał mu się czas aż do nocy, aż do godziny, w której miał znowu zobaczyć swoją ukochaną. Siedział w swoim pokoju i obmyślał plan swojej podróży, jak to wytrawny złodziej albo czarownik w więzieniu wyciąga niekiedy nogi z kajdan mocno skuty, chcąc mieć w sobie przeświadczenie, że ocalenie jego jest możliwe, a nawet bliższe, niż sądzą krótkowzroczni stróże.

Na koniec wybiła godzina nocna; wyszedł z domu, otrząsnął się z wszelkiego ucisku i sunął po cichych ulicach. Na wielkim placu podniósł ręce ku niebu, czuł wszystko poza i pod sobą; uwolnił się od wszystkiego. Wyobrażał sobie, jak będzie w objęciach kochanki, potem wraz z nią na oślepiającej scenie teatralnej; upajał się pełnią nadziei i tylko niekiedy nawoływanie nocnego stróża przypominało mu, że jeszcze błądzi po tej ziemi.

Ukochana wyszła na schody, by go przywitać, jak piękna, jak miła! Przyjęła go w nowym białym negliżu; zdawało mu się, że nigdy jeszcze nie widział jej tak pięknej! Tak poświęciła podarunek nieobecnej kochanki w objęciach obecnego i z prawdziwą namiętnością wyszafowała całe bogactwo pieśczoł, jakie jej dała natura i jakich nauczyła ją sztuka, na swego ukochanego; czyż trzebaż pytać, czy się czuł szczęśliwy, czy doznawał błogości?

Odkrył jej, co zaszło, i dał jej poznać w ogólnych zarysach swój plan, swoje życzenia; że chce się postarać o utrzymanie, że po nią wtedy przyjedzie, że spodziewa się, iż nie odmówi mu ręki. Jednak biedna dziewczyna milczała, ukryła łzy i przyciskała do

<sup>45</sup>frycove (pot.) — strata ponoszona wskutek błędu przez nowicjusza w jakiejś sprawie, kogoś niedoświadczonego w danej dziedzinie. [przypis edytorski]

piersi przyjaciela, który chociaż zamilknięcie wytłumaczył sobie jak najlepiej, pragnąłby przecież odpowiedzi, zwłaszcza że w końcu jak najskromniej, jak najprzyjaźniej zapytał ją, czy powinien już uważać się za ojca. Ale i na to odpowiedziała tylko westchnieniem, pocałunkiem.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Nazajutrz Marianna obudziła się jedynie ku nowemu zasmuceniu; uczuła się bardzo osamotniona, nie chciała widzieć dnia, pozostała w łóżku i płakała. Stara usiadła przy niej, starała się jej wyperswadować, pocieszyć, ale nie udało się jej tak szybko uleczyć zranionego serca. Przy tym zbliżała się chwila, którą biedne dziewczę wyobrażało sobie jako ostatnią w swym życiu. Ukochany oddalał się, niedogodny kochanek zagrażał swym przybyciem, a największe nieszczęście było w pogotowiu, jeżeliby się obaj spotkali, co było bardzo możliwe.

— Uspokój się, moja duszko — zawołała stara — nie wyplakuj mi swoich pięknych oczu! Czyż to tak wielką niedolą posiadać dwu kochanków? A jeśli nawet tylko jednemu możesz ofiarować swą czułość, to bądź przynajmniej wdzięczna drugiemu, który ze względu na sposób, w jaki dba o ciebie, może się niewątpliwie nazwać twoim przyjacielem.

— Przeczuwał mój ukochany — odrzekła na to ze łzami Marianna — że nas czeka rozłączenie; sen mu odkrył, co się staramy ukryć przed nim tak troskliwie. Spał tak spokojnie przy moim boku. Naraz słyszę, jak wydaje trwożne, niezrozumiałe dźwięki. Strach mnie zdejmuję, budzę go! Ach z jakąż miłością, jak czule, jak ognście mnie uściska! „O Marianno — zawołał — z jakże strasznego stanu mnie wyrwałaś! Jak ci podziękować, żeś mnie z tego piekła wyswobodziła? Śniło mi się — mówił dalej — że oddalony od ciebie, znajduję się w jakiejś nieznannej okolicy, ale obraz twój unosił się przede mną; widziałem cię na pięknym pagórku, słońce oświetlało całą przestrzeń; jakże zachwycająco mi się przedstawiłaś! Ale po niedługim czasie ujrzałem twój obraz coraz bardziej obsuwający się w dół; wyciągnąłem ramiona ku tobie, nie dosięgły z powodu oddalenia. Obraz twój opadał ciągle i zbliżył się do wielkiego jeziora, rozciągającego się szeroko u stóp pagórka, raczej do bagna niż do jeziora. Naraz jakiś mężczyzna podał ci rękę; zdawało się, że chce cię wydobyć, ale uprowadził cię na bok, pociągając ku sobie. Nie mogąc cię dosięgnąć, krzyknąłem; miałem nadzieję, że cię ostrzeżę. Gdym chciał iść, zdawało mi się, że ziemia mnie przytrzyma; gdym mógł iść, nie pozwalała mi woda, a nawet mój krzyk oniebiał w ściśniętej piersi”. Tak opowiadał biedak, przychodząc do siebie z przerażenia na moim łonie i szczęśliwym się głosząc, iż sen straszliwy widział usunięty przez najmiłszą rzeczywistość.

Stara, o ile tylko mogła, usiłowała swoją prozą zwabić poezję swojej przyjaciółki do dziedziny życia powszedniego i posługiwała się w tej mierze dobrym środkiem, jaki zazwyczaj udaje się ptasznikom, gdy za pomocą pieszczalki starają się naśladować dźwięki tych, których pragną widzieć szybko i często w swojej sieci. Chwaliła Wilhelma, wysławiała jego postać, jego oczy, jego miłość. Biedna dziewczyna przysłuchiwała się jej chętnie, wstała, kazała się ubrać i wydawała się spokojniejsza.

— Moje dziecko, moja duszko — ciągnęła dalej stara słodko — nie chcę cię zasmucać ani obrażać, nie myślę ci odbierać twego szczęścia. Czyż możesz nie rozumieć mego zamiaru i czyś zapomniała, że ja zawsze bardziej dbałam o ciebie niż o siebie? Powiedz mi tylko, czego chcesz; zobaczymy, jak to wykonać.

— Czego ja mogę chcieć? — odparła Marianna — jestem nędzna, nędzna na całe życie; kocham tego, który mnie kocha, widzę, że muszę się z nim rozstać i nie wiem, jak będę mogła to przeżyć. Norberg przybywa, a jemu zawdzięczamy całe swe istnienie, bez niego nie możemy się obejść. Wilhelm jest wielce spętany; niczego nie może dla mnie uczynić.

— Tak, niestety, należy on do liczby tych kochanków, którzy przynoszą tylko swoje serce, a ci właśnie miewają największe pretensje.

— Nie sztydź! Nieszczęśliwy zamyśla opuścić dom, pójść do teatru, ofiarować mi swą rękę.

— Pustych rąk mamy już cztery.

— Nie mam wyboru — mówiła dalej Marianna — ty rozstrzygaj! Pchnij mnie w jedną lub drugą stronę, tylko pamiętaj jedno jeszcze: prawdopodobnie noszę w łonie zakład, który miał czas przywiązać do siebie jeszcze ściślej; pomyśl o tym i rozstrzygnij, kogo mam opuścić, a za kim pójść?

Po niejakej chwili milczenia stara zawołała:

— Że też to młodzież zawsze się chwieje między ostatecznościami! Dla mnie nie ma nic naturalniejszego jak zjednoczyć wszystko, co nam przynosi zadowolenie i korzyść. Kochasz jednego, niech płaci drugi; idzie tylko o to, ażebyśmy mieli dość sprytu, by trzymać ich obu oddzielnie.

— Rób, co chcesz; o niczym myśleć nie mogę, ale pójdę za tobą.

— Mamy tę dogodność, że możemy się zasłaniać kaprysem dyrektora, który jest dumny z obyczajów swej trupy. Obaj kochankowie są już przyzwyczajeni brać się do rzeczy potajemnie i ostrożnie. Co do godziny i sposobności ja już będę o to dbać; tylko musisz już grać taką rolę, jaką ci przepiszę. Kto wie, jaka okoliczność nam pomoże. Żeby tylko Norberg przybył teraz, gdy Wilhelm oddalony! Któż ci broni w objęciach jednego myśleć o drugim? Życzę ci szczęścia dla syna; powinien mieć bogatego ojca.

Marianna tylko na krótko uspokoiła się tymi wizjami. Nie mogła swego stanu harmonijnie pogodzić ze swym uczuciem, ze swym przekonaniem; pragnęła zapomnieć o tych bolesnych stosunkach, a tysiące drobnych okoliczności przypominało jej co chwila.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Wilhelm tymczasem odbył swą niedaleką podróż, a ponieważ nie zastał swego przyjaciela handlowego w domu, oddał list polecający nieobecnej małżonce. Ale żona mogła dać niewiele objaśnień na jego pytania; była ogromnie wzburzona, a cały dom w wielkim zamieszaniu.

Niebawem wszelako zwierzyła mu się (nie można było zresztą tego ukryć), że jej pasierbica uciekła z aktorem, z człowiekiem, który niedawno temu oddzielił się od małej trupy, osiadł w tej miejscowości i dawał lekcje francuskiego. Ojciec, nie posiadając się z bólu i zmartwienia, polecał do urzędu, aby kazać gonić zbiegłych. Ganiła córkę surowo, zohydzała kochankę, tak że na obojgu nie pozostało nic godnego pochwały, wielomownie skarżyła się na wstyd, jaki przez to spadł na rodzinę, i wprowadziła Wilhelma w niemałe zmieszanie, który poczuł, że już teraz on sam i jego tajemne przedsięwzięcie zostały zganione i ukarane jakby proroczym duchem przez tę Sybillę. Ale musiał wziąć jeszcze silniejszy i głębszy udział w cierpieniach ojca, który wróciwszy z urzędu, w cichym smutku i półsłówkami opowiedział żonie o swej wyprawie i nie mógł ukryć roztargnienia i skłopotania, gdy zajrzawszy do listu, kazał Wilhelmowi przyprowadzić konia.

Wilhelm zamierzał natychmiast wsiąść na koń i oddalić się z domu, w którym wśród danych okoliczności w żaden sposób nie mogło być dobrze; ale pocziwy człowiek nie chciał puścić od siebie syna domu, któremu tyle był winien, nie ugościwszy go i nie zatrzymawszy choć na jedną noc pod swoim dachem.

Przyjaciół nasz połknął smutną wieczerzę, przetrwał niespokojną noc i wczesnym rankiem czym prędzej pośpieszył rozstać się z ludźmi, którzy nie wiedząc o tym, udręczyli go najdotkliwiej swymi opowiadaniem i orzeczeniami.

Jechał z wolną drogą, zatopiony w myślach, gdy wtem ujrzał nadchodzącą przez pole pewną liczbę uzbrojonych ludzi, których po długich, szerokich mundurach, po wielkich wylogach, nieforemnych kapeluszach i lichych strzelbach, po niedbałym chodzie i wygodnym trzymaniu się poznał natychmiast jako oddział milicji krajowej. Pod starym dębem zatrzymali się, poskładali swoje fuzje i rozłożyli się wygodnie obozem na murawie, by wypalić fajki. Wilhelm zabawił się przy nich i wszedł w rozmowę z młodzieńcem, który nadjechał konno. Niestety, musiał raz jeszcze wysłuchać historii dwojga zbiegłych, znanej mu aż nadto dobrze, i to z takimi uwagami, które ani dla młodej pary, ani rodziców nie były zbyt przyjazne. Dowiedział się zarazem, że przyszli tu po to, by naprawdę schwycić młodych ludzi, którzy zostali dopędzeni i zatrzymani w sąsiednim miasteczku. Po niejakiem czasie ujrzał z dala przybywający wóz, otoczony raczej śmiesznie niż straszliwie przez straż miejską. Niezgrabny pisarz miejski jechał naprzód i na granicy wymieniał grzeczno-



ści z aktuariuszem<sup>46</sup> drugiej strony (tym młodzieńcem, z którym Wilhelm rozmawiał), z wielką sumiennością i cudacznymi minami, jak to chyba robi duch i czarodziej, jeden z wewnątrz, drugi z zewnątrz koła, przy niebezpiecznych operacjach nocnych.

Tymczasem uwaga widzów zwrócona była na chłopski wóz, spoglądano nie bez współczucia na biednych zbłąkanych, którzy siedzieli obok siebie na dwu wiązkach słomy, patrzyli na siebie czule i zdawali się zaledwie spostrzegać otaczających. Przypadkowo musiano wieźć ich od ostatniej wsi dalej w tak niestosowny sposób, gdyż zepsuł się stary powóz, którym transportowano kobietę. Wyprosiła sobie przy tej sposobności towarzystwo swego przyjaciela, któremu, w przekonaniu, że złapano go na kryminalnym występku, do tej pory kazano w kajdanach iść obok. Kajdany zapewne niemało się przyczyniły do uczynienia bardziej interesującym widoku tej czulej grupy, zwłaszcza że młodzieniec nadawał jej ruch z wielką przyzwoitością, całując raz po raz ręce swej ukochanej:

— Jesteśmy bardzo nieszczęśliwi! — zawołała do otaczających — ale nie tak winni, jak się może wydawać. Tak nagradzają okrutni ludzie wierną miłość, a rodzice, zaniebując całkowicie szczęście swych dzieci, wyrrywają je natarczywie z objęć radości, która opanowała ich po długich, posępnych dniach!

Gdy otaczający w różny sposób dawali poznać swoje współczucie, sądy ukończyły swe ceremonie; wóz potoczył się dalej, a Wilhelm, który w losie zakochanych brał wielki udział, wyprzedził go ścieżką, by się poznać z amtmannem<sup>47</sup>, zanim nadejdzie orszak. Zaledwie jednak stanął przy budynku urzędu, gdzie wszystko było w ruchu i gotowe na przyjęcie zbiegów, gdy dogonił go aktuariusz i szczegółowym opowiadaniem, jak się co stało, a zwłaszcza obszerną pochwałą swego konia, którego dopiero wczoraj wymienił u Żyda, przeszkodził wszelkiej innej rozmowie.

Już wysadzono nieszczęśliwą parę przy ogrodzie, połączonym małą furtką z domem urzędowym, i wprowadzono ją w milczeniu. Aktuariusz przyjął od Wilhelma szczerą pochwałę za to delikatne postępowanie, chociaż on właściwie chciał przez to podrażnić się ze zgromadzoną przed urzędem ludnością i pozbawić ją miłego widowiska upokorzonej współobywatelki. Urzędnik, który nie był szczególnym miłośnikiem takich nadzwyczajnych wypadków, gdyż popełniał przy tym taką czy inną omyłkę i za najlepszą wolę zwykle wynagradzany był szorstką wymówką od rządu książęcego, ciężkimi krokami poszedł do izby sądowej, dokąd towarzyszyli mu aktuariusz, Wilhelm i kilku poważnych obywateli.

Wprowadzono naprzód kobietę, która weszła skromnie, spokojnie i z pewnością siebie. Sposób, w jaki była ubrana i jak się w ogóle zachowywała, pokazywał, że to dziewczyna, która zna swoją wartość. Niepytana, zaczęła sama nie bez zřęczności mówić o swoim położeniu.

Aktuariusz nakazał jej milczenie i trzymał pióro nad złożoną kartką. Amtman zrobił minę, spojrzął na niego, odchrząknął i zapytał biedne dziecko, jak się nazywa i ile ma lat.

— Proszę pana — odrzekła — dziwne to dla mnie, że pan pytasz o moje nazwisko i mój wiek, kiedy pan wiesz bardzo dobrze, jak się nazywam i że tyle mam lat, co pański najstarszy syn. Co pan chcesz wiedzieć ode mnie i co wiedzieć powinieneś, powiem chętnie bez ogródek. Od czasu drugiego ożenienia się mego ojca nie najlepiej dzieje mi się w domu. Mogłabym była zrobić piękne partie, gdyby macocha, bojąc się wyprawy, nie potrafiła ich udaremnić. Otóż poznałam młodego Melinę, musiałam go pokochać, a że przewidywaliśmy przeszkody, jakie by stanęły na drodze naszemu połączeniu, zdecydowaliśmy się szukać wspólnie na szerokim świecie szczęścia, którego, jak się zdawało, w domu znaleźć byśmy nie mogli. Nic ze sobą nie wzięłam prócz tego, co było moje własne; nie uciekliśmy jak złodzieje i rozbójnicy, a mój ukochany nie zasługuje na to, by go wleczone w kajdanach i łańcuchach. Książę jest sprawiedliwy, nie pochwali tej surowości. Jeżeli ma dosięgnąć nas kara, to nie w ten sposób.

Stary urzędnik popadał wskutek tej sprawy w podwójne i potrójne zakłopotanie. Najmiłościwsze wymówki brzęczały mu już wokół głowy, a płynna mowa dziewczyny całkiem mu popsuła plan protokołu. Zło stało się jeszcze większe, gdy przy nakazanych

<sup>46</sup>aktuariusz (z łac.) — urzędnik mający pieczęć nad aktami, pisarz sądowy. [przypis edytorski]

<sup>47</sup>amtman — najwyższy urzędnik administracyjny i sądowy mianowany przez władzę, zarządzający majątkiem, zamkiem i wsią w krajach niemieckich. [przypis edytorski]

przez ustawę powtórnych pytaniach nie chciała się zapuszczać dalej, tylko powoływała się stale na to, co już powiedziała.

— Nie jestem występna — rzekła. — Przywieziono mnie tutaj ohydnie na wiążkach słomy; jest wyższa sprawiedliwość, która nam cześć przywróci.

Aktuariusz tymczasem zapisywał ciągle jej słowa i szepnął amtmanowi, żeby szedł dalej, a formalny protokół można będzie ułożyć później.

Stary nabrał znowu odwagi i suchymi słowami i w tradycyjnie oschłych formach zaczął się wywiadywać o słodkie tajemnice miłości.

Wilhelmowi krew rzuciła się do twarzy, a policzki zgrabnej grzesznicy również ożywiły się uroczą barwą wstydlivosti. Zamilkła i zatrzymała się, aż wreszcie samo zakłopotanie zdało się zwiększać jej odwagę.

— Bądź pan pewien — zawołała — że miałabym dosyć siły wyznać prawdę, nawet gdybym musiała mówić przeciwko sobie samej; mam teraz zwlekać i jękać się, gdy przynosi mi zaszczyt? Tak jest, od chwili, gdy byłam pewna jego skłonności i wierności, uważałam go za małżonka; chętnie zezwoliłam mu na wszystko, czego wymaga miłość i czego przekonane serce odmówić nie może. Zrób pan teraz ze mną, co pan zechcesz. Jeżeli na chwilę zawahałam się z wyznaniem, przyczyną tego była obawa, żeby moje zeznanie nie miało złych następstw dla mego ukochanego.

Słuchając jej zeznania, Wilhelm powziął wysokie wyobrażenie o sposobie myślenia dziewczyny, gdy tymczasem sędziowie uznali ją za bezczelną dziewczkę, a obecni obywatele dziękowali Bogu, że takie wypadki w ich rodzinach albo się nie zdarzyły albo nie wyszły na jaw.

Wilhelm w tej chwili przeniósł w myślach swoją Mariannę przed krzesło sędziowskie, włożył jej w usta jeszcze piękniejsze słowa, uczynił jej szczerą jeszcze serdeczniejszą, a jej wyznanie jeszcze szlachetniejszym. Opanowało go gwałtowne pragnienie dopomożenia kochankom. Nie ukrywał go i po cichu prosił wahającego się amtmana, żeby położył koniec tej sprawie, bo wszystko jest już możliwie jasne i nie wymaga dalszego badania.

Pomogło to tyle, że kazano dziewczynie ustąpić, a po zdjęciu mu kajdan przed drzwiami wprowadzić młodzieńca. Ten, zdawało się, więcej się zastanawiał nad swym losem. Jego odpowiedzi były stateczniejsze, a chociaż z jednej strony okazał mniej bohaterskiej otwartości, to z drugiej strony odznaczał się konkretnością i uporządkowaniem swoich twierdzeń.

Gdy się skończyło i to przesłuchanie, które się we wszystkim zgadzało z poprzednim, tylko że dla oszczędzenia wstydu dziewczęciu uporczywie zaprzeczał temu, co już sama wyznała, kazano się jej stawić powtórnie. A powstała wówczas między obojgiem scena całkowicie zjednała im serce naszego przyjaciela.

Co się zazwyczaj zdarza tylko w romansach i komediach, to ujrzał na własne oczy tu, w tej niemilej izbie sądowej — walkę dwu wspaniałomyślności, siłę miłości w nieszczęściu.

— Jestże to więc prawdą — mówił sam do siebie — że skromna czułość, kryjąca się przed okiem słońca i ludzi i śmiejąca rozkoszować się tylko w odosobnionej samotności, w głębokiej tajemnicy, jeżeli wrogim przypadkiem wydobyta zostanie na jaw, to wówczas okazuje się mężniejsza, silniejsza, dzielniejsza niż inne szumne i przechwalające się namiętności?

Na jego pociechę cała sprawa zakończyła się dosyć prędko. Wzięto ich oboje do znośnego miejsca odosobnienia; a gdyby to było możliwe, toby Wilhelm jeszcze tego wieczora był odwiedził pannę do jej rodziców. Postanowił bowiem sobie mocno stać się tu pośrednikiem i ułatwić kochankom szczęśliwe i przyzwoite połączenie.

Prosił amtmana o pozwolenie pomówienia z Meliną na osobności, co mu też bez trudu udzielono.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Rozmowa dwu nowych znajomych stała się bardzo rychło poufną i ożywioną. Gdy bowiem Wilhelm dał poznać przybitemu młodzieńcowi swój stosunek do rodziców panny, gdy się ofiarował na pośrednika i sam żywił najlepsze nadzieje, smutny i troskami przygnieciony umysł uwięzionego rozweselił się, czuł się już oswobodzony, pogodzony ze swymi teściami, a rozmowa przeszła na przyszły zarobek i utrzymanie.

— Z tym przecie nie będziesz pan miał kłopotu — rzekł Wilhelm — gdyż wydajesz mi się obustronnie przeznaczony od natury na to, by w stanie, któryś pan sobie wybrał, znaleźć szczęście. Miła postać, dźwięczny głos, uczuciowe serce! Czyż aktorzy mogą być lepiej wyposażeni? Jeżeli zdołam usłużyć panu moimi poleceniami, sprawi mi to wielką radość.

— Dziękuję panu z serca — odparł Melina — ale chyba nie mógłbym zrobić z nich użytku, gdyż nie myślę, jeśli tylko będzie można, wracać do teatru.

— To źle pan robisz — rzekł Wilhelm po jakimś przestanku, w czasie którego ochłonął ze zdziwienia, sądził bowiem, że aktor, gdy tylko wyjdzie na wolność wraz z kochanką, zaraz podąży do teatru. Wydawało mu się to tak naturalne i konieczne jak to, że żaba szuka wody. Nie wątpił o tym ani na chwilę i ku swemu zdziwieniu usłyszał coś wprost przeciwnego.

— Tak jest — odrzekł rozmówca — postanowiłem sobie nie wracać do teatru, a raczej przyjmując jakąś służbę w mieście, jakakolwiek by była, jeżeli tylko potrafię ją dostać.

— To dziwaczne postanowienie, którego nie mogę pochwalić, gdyż nigdy nie jest dobrą rzeczą bez szczególnego powodu zmieniać sposób życia, jakiego się już chwyciliśmy; a prócz tego nie znam stanu, który by dostarczał tylu przyjemności, tyle powabnych widoków, co stan aktorski.

— Widać z tego, żeś w nim pan nie był — odparł tamten.

Na to odrzekł Wilhelm:

— Proszę pana, jak rzadki jest człowiek zadowolony z położenia, w którym się znajduje! Życzy sobie ciągle być na miejscu swego bliźniego, z którego tenże również wyrwać by się pragnął.

— W każdym razie — odparł Melina — pozostaje różnica między złym a gorszym; doświadczenie, a nie niecierpliwość każe mi tak działać. Czyż jest w świecie jakiś kawałek chleba nędzniejszy i trudniejszy do zdobycia? Prawie można powiedzieć, że jest to samo, co żebrać pod drzwiami. Ileż trzeba wycierpieć zawiści współtowarzyszy, stronniczości dyrektora, zmiennego usposobienia widzów? Doprawdy, należy mieć skórę jak niedźwiedź, którego w towarzystwie małych psów oprowadzają na łańcuchu i okładają kijami, by tańczył przy dźwięku kobzy przed dziećmi i motłochem.

Wilhelm miał w myśli różne uwagi, których jednak nie chciał wprost wypowiedzieć poczciwemu człowiekowi. Z daleka więc tylko krążył około niego w rozmowie. Tym szczerzej i obszerniej wywnętrzał się tamten.

— Trzebaż na to nędzy — mówił on — żeby dyrektor padał do nóg każdemu rajcy miejskiemu, byle tylko otrzymać pozwolenie puszczenia w obieg w pewnym miejscu kilku groszy więcej przez cztery tygodnie podczas jarmarku. Częstośkroć litowałem się nad naszym dyrektorem, który był zresztą dobrym człowiekiem, chociaż mi kiedy indziej bywał powodem do niezadowolenia. Dobry aktor podwyższa mu cenę, od złych nie może się odczepić; a kiedy zechce do pewnego stopnia zrównać dochód z rozchodem, publiczność już się znudziła, teatr stoi pustkami i trzeba ze stratą i zmartwieniem grać, byle tylko nie zginać. Nie, łaskawy panie! Ponieważ pan chcesz, jak powiadasz, zająć się nami, to proszę pana, mów pan z rodzicami mojej ukochanej jak najpoważniej! Niech mi się o coś tutaj wystarają, niech mi dadzą jakiś mały urząd pisarza czy poborcy, a będę się uważał za szczęśliwego.

Zamieniwszy jeszcze kilka słów, Wilhelm odrzekł, przyrzekając, że nazajutrz jak najwcześniej uda się do rodziców i zobaczy, co będzie mógł zrobić.

Zaledwie sam został, musiał sobie ulżyć, wykrzykując:

— Nieszczęśliwy Melino, nie w twoim stanie, ale w tobie leży zło, którego nie możesz opanować! Jakież człowiek w świecie, który by bez wewnętrznego powołania chwycił się rzemiosła, sztuki lub innego sposobu życia, nie musiałby uważać tak jak ty położenia swego za niezdolność? Kto się urodził z talentem do jakiegoś działania, ten znajduje w nim najpiękniejsze istnienie! Nie ma na ziemi nic bez uciążliwości! Tylko wewnętrzny popęd, ochota, miłość pomagają nam w przewycięzaniu przeszkód, w torowaniu dróg i wydobywają nas z ciasnego kółka, w którym inni nędznie się kołaczą. Dla ciebie deski są tylko deskami, a role tym, czym dla ucznia zadane lekcje. Na widzów patrzysz tak, jak oni sami patrzą na siebie w dni robocze. Dla ciebie tedy wszystko jedno byłoby zapewne,

czy siedzieć za biurkiem nad liniowanymi księgami, czy pobierać podatki i resztę wydawać. Ty nie czujesz jednolitej, w sobie zgodnej całości, którą duch tylko może odnaleźć, pojąć i przedstawić; ty nie czujesz, że w ludziach tli się lepsza iskra, która nie dostając pożywienia, nie będąc rozdmuchiwana, bywa przykrywana popiołem codziennych potrzeb i obojętności, a jednak jakże późno, a prawie nigdy nie zduszona. Ty nie czujesz siły w swej duszy, by ją rozognić, a w swym sercu bogactwa, aby rozbudzonej dać pożywienie. Głód cię popycha, niedogodności są ci wstrętne, a tajemnicą jest dla ciebie, że w każdym stanie czekają cię wrogowie, których pokonać można wesołością tylko i pogodą umysłu. Dobrze robisz, wzdychając do owych granic pospolitej posady, bo jakżebyś spełnił to, co wymaga ducha i dzielności! Daj żołnierzowi, mężowi stanu, duchownemu twój sposób myślenia, a z równą słusznością będzie się mógł użalać na nędzę swego stanowiska. A czyż nie było ludzi, tak dalece pozbawionych wszelkiego poczucia życia, że cały byt i istotę śmiertelnych ogłosili niczym, istnieniem pełnym zmartwień, równającym się kurzowi na drodze? Gdyby w twojej duszy ruszały się żywotnie postacie działających ludzi, gdyby pierś twoją ogrzewał ogień współczucia, gdyby w całej postawie twojej odbijało się usposobienie pochodzące z głębi, gdyby dźwięki twej krtani, słowa twych ust miłe były do słuchania, gdybyś był zadowolony sam z siebie, byłbyś sobie z pewnością miejsce wyszukał i sposobność, by móc czuć siebie w innych.

Wśród takich słów i myśli przyjaciel nasz rozebrał się i położył do łóżka z uczuciem najgłębszego zadowolenia. W jego duszy rozwinął się cały romans, co by to on zrobił nazajutrz na miejscu niegodnego, przyjemne fantazje przeprowadziły go łagodnie do państwa snu i oddały go tam swym braciom, sennym marzeniom, którzy go przyjęli otwartymi rękoma i otoczyli spoczywającą głowę naszego przyjaciela obrazami niebios.

Znów się obudził wczesnym rankiem i rozmyślał nad czekającymi go układami. Powrócił do domu opuszczonych rodziców, gdzie przyjęto go ze zdziwieniem. Skromnie przedstawił swoje przełożenie i niebawem znalazł i więcej, i mniej trudności, niż przypuszczał. Stało się; a chociaż nadzwyczaj surowi i twardzi ludzie pospolicie występują gwałtownie przeciw temu, co minęło i zmienić się nie może, i tym sposobem tylko powiększają zło, to przecież na umysł większości to, co się stało, działa z nieprzemogłą siłą, a to, co się wydawało niemożliwe, zajmuje miejsce obok powszedniości, natychmiast, jak tylko się stanie. Wkrótce tedy ułożono, że pan Melina ma zaślubić córkę, ale ona z powodu swego postępowania nie może dostać posagu i ma obiecać, że zostawi jeszcze testament ciotki na kilka lat w rękę ojca, dostając za to mały procent. Drugi punkt, dotyczący urzędu w mieście, napotkał już większe trudności. Nie chciano mieć przed oczyma niegodnego dziecka, nie chciano, żeby związek tułającego się człeka z tak poważaną rodziną, która spokrewniona była nawet z superintendentem, nie był przedmiotem ustawicznych przekąsów wskutek jego obecności; nie spodziewano się również, aby kolegia książęce powierzyły mu jakąś posadę. Oboje rodzice byli temu jednakowo przeciwni, a Wilhelm, przemawiający za tym bardzo gorąco, ponieważ nie życzył powrotu do teatru człowiekowi, którego lekcewał, i będąc przekonany, że nie wart takiego szczęścia, wszystkimi swymi argumentami nic nie mógł wskórać. Gdyby znał był tajne sprężyny, to nie zadawałby sobie nawet trudu przekonywania rodziców. Ojciec bowiem, który chętnie by zatrzymał córkę przy sobie, nienawidził młodzieńca, gdyż jego żona sama na niego miała ochotę, a ona nie mogła znieść obok siebie szczęśliwszej rywalki w swej pasierbicy.

Tak to po kilku dniach wbrew swej woli Melina musiał odjechać, by znaleźć miejsce w jakiejś trupie wraz ze swą młodą narzeczoną, która okazywała większą od niego chęć, by obejrzeć świat i dać się światu oglądać.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Szczęśliwa młodość! Szczęśliwe czasy pierwszej potrzeby miłości! Człowiek jest wówczas jak dziecko, które całymi godzinami bawi się echem, samo ponosząc koszt mówienia i bardzo zadowolone z rozmowy, kiedy niewidzialny współrozmówca powtarza tylko ostatnie zgłoski wygłaszanych wyrazów.

Taki był Wilhelm w pierwszych, a zwłaszcza w późniejszych czasach swej namiętności do Marianny, gdy przeniósł na nią całe bogactwo swego uczucia i uważał się przy tym za żebraka, żyjącego z jej jałmużny. A jak wydaje nam się okolica bardziej urocza, owszem,

jedynie uroczą wtedy, gdy jest oświetlona przez słońce, tak w jego oczach wszystko było piękniejsze i wspanialsze, co ją otaczało, czego ona dotykała.

Ileż razy stał w teatrze za kulisami, na co sobie wyprosił przywilej od dyrektora! Znikało wprawdzie wówczas czarodziejstwo perspektywy, ale za to zaczynały działać potężniejsze czary miłości. Całymi godzinami mógł stać przy brudnym aparacie oświetlającym, wciągając zaduch lamp łożowych, wyglądać ku ukochanej, a kiedy weszła na powrót i mile nań spojrzała, zatapiać się w błogości i czuć się przeniesionym w rajski stan tuż obok szkieletu belek i łat. Wypchane baranki, wodospady z kitajki, tekturowe krzaki róży i jednoboczne chaty wzbudzały w nim przyjemne wyobrażenie prastarego świata pasterskiego. Nawet tancerki, brzydkie z bliska, nie zawsze mu były wstrętne, ponieważ stały na tej samej desce co jego wielce ukochana. Tak to jest pewne, że miłość, która musi ożywiać dopiero altanki z róż, gaiki mirtowe i blask księżycy, może nadać pozór ożywionej przyrody nawet wiórom i skrawkom papieru. Jest ona tak silną przyprawą, że nawet mdłą i wstrętną polewkę czyni smaczną.

Takiej przyprawy potrzeba było zaiste, aby uczynić znośnym, a potem nawet przyjemnym ów stan, w jakim zazwyczaj zastawał jej pokój, a niekiedy i ją samą.

Dla wychowanego w wytwornym domu mieszczańskim porządek i czystość były żywiołem, którym oddychał, a że odziedziczył po ojcu jego zamiłowanie do wystawności, umiał w latach chłopięcych wspaniale urządzić swój pokój, który uważał za swe małe królestwo. Firanki przy łóżku układały się w wielkich faldach i przymocowane były wisiorami, jak zwykło się wyobrażać trony, wystarał się o kobierzec na środek pokoju i o piękniejszy stół; swoje książki i narzędzia kładł i stawiał prawie mechanicznie tak, że jakiś malarz holenderski mógłby wziąć stamtąd dobre grupy do obrazu życia codziennego. Białą czapczkę układał sobie jak turban, a rękawy szlafroka kazał krótko przyciąć na wzór stroju wschodniego. Za powód dawał to, że długie i szerokie rękawy przeszkadzały mu w pisaniu. Jeżeli wieczorem był sam i nie potrzebował się obawiać, żeby mu przeszkadzono, nosił zazwyczaj jedwabną szarfę, a niekiedy podobno za pas wkładał sztylet, który wziął ze starej zbrojowni, i tak przydzielonych mu ról tragicznych uczył się na pamięć i robił z nimi próby, co więcej, w tej samej myśli odmawiał, klęcząc na kobiercu, swój pacierz.

Jakże wychwalał w dawniejszych czasach szczęście aktora, którego widział w posiadaniu tylu majestatycznych ubiorów, zbroi i broni i w ciągłym wprawianiu się w szlachetną postawę, którego duch zdawał się przedstawiać zwierciadło najwspanialszych i najwytworniejszych rzeczy, jakie świat wytworzył w stosunkach, sposobach myślenia i namiętnościach. Podobnie wyobrażał sobie Wilhelm życie domowe aktora jako szereg podniosłych czynności i zajęć, których ostatecznym kresem było wystąpienie w teatrze; tak jak srebro, które długo było obracane w oczyszczającym ogniu, w końcu piękne co do koloru ukazuje się oczom robotnika i daje mu zarazem do poznania, że metal uwolniony już został od wszelkich obcych przymieszek.

Jakże się tedy zdziwił z początku, gdy znalazł się u swej ukochanej i spoza otaczającej go mgły szczęścia spojrzął na stoły, krzesła i podłogę. Szczątki chwilowego, lekkiego i fałszywego stroju leżały pomieszane z sobą w dzikim nieporządku jak błyszcząca powłoka oskrobanej ryby. Narzędzia higieny ludzkiej, jak grzebień, mydło, ręczniki i pomada wraz ze śladami swego przeznaczenia, również nie były pochowane. Nuty, teksty i trzewiki, bielizna i włoskie kwiaty, pudełka, szpilki do włosów, pojemniki ze szminkami i wstęgi, książki i słomiane kapelusze — nic nie gardziło towarzystwem drugiego, wszystko było zjednoczone przez wspólny żywioł, puder i kurz. Ponieważ jednak Wilhelm w obecności kochanki mało zwracał uwagę na co innego, a raczej ponieważ wszystko, co do niej należało, co jej dotyczyło, musiało mu stać się drogie, w końcu dostrzegł w tym zagmatwanym gospodarstwie powab, jakiego nigdy nie odczuł w swoim wytwornym okazałym porządku. Doznawał takiego wrażenia, kiedy tu zdjął jej sznurówkę, by podejść do pianina, ówdzie położył na łóżko jej suknie, aby móc usiąść, kiedy ona sama z niezakłopotaną szczerością nie starała się ukryć przed nim niejednej rzeczy naturalnej, którą się kiedy indziej przed obcym chowa dla przyzwoitości, doświadczał, powiadam, takiego wrażenia, jakby z każdą chwilą coraz bardziej się do niej zbliżał, jakby niewidzialne więzy umacniały wspólnotę między nimi.

Nie tak łatwo mógł pogodzić ze swymi pojęciami postępowanie innych aktorów, których zastawał u niej czasami przy swych pierwszych odwiedzinach. Ruchliwi w próżnowaniu zdawali się najmniej myśleć o swoim powołaniu i celu; nigdy nie słyszał, żeby rozmawiali o poetyckiej wartości sztuki i wydawali sąd o niej, słuszny czy niesłuszny; zawsze tylko pytano: „Co da ta sztuka? Czy będzie przyciągać? Jak długo będzie grana? Jak często może być wystawiana?” Tęgo rodzaju były wszystkie inne pytania i uwagi. Potem zazwyczaj narzekano na dyrektora, że daje gażę za skąpą, a zwłaszcza że jest niesprawiedliwy względem tego lub owego, potem na publiczność, że rzadko słusznie szafuje swoją pochwałą, że teatr niemiecki co dzień się poprawia, że aktor za swoje zasługi będzie coraz bardziej szanowany, a nigdy dostatecznie szanowany być nie może. Następnie mówiono wiele o kawiarniach i winiarniach ogródkowych, co się tam wydarzyło, ile który towarzysz ma długów i musi dać sobie potrać, o dysproporcji gaży tygodniowej, o intrygach partii przeciwników; przy czym przecie na koniec znowu rozpatrywano wielką i zasłużoną uwagę publiczności i nie zapominano o wpływie teatru na wykształcenie narodu i świata.

Wszystkie te sprawy, które Wilhelmowi już dawniej zamąciły niejedną godzinę, obecnie przypominały mu się znowu, kiedy koń powoli niósł go ku domowi, a on zastanawiał się nad różnymi wypadkami, jakie go spotkały. Widział własnymi oczyma poruszenie, jakie wywołała wśród dobrej rodziny mieszczańskiej, ba, w całym miasteczku, ucieczka dziewczęcia; widział sceny na gościńcu i w urzędzie, sposób myślenia Meliny i resztę zdarzeń, co wprawiło jego żywy, mknący naprzód umysł w rodzaj jakiegoś kłopotliwego niepokoju, którego nie mogąc znieść, dał koniowi poczuć ostrogi i pośpieszył do miasta.

Lecz i na tej drodze leciał naprzeciw nowym nieprzyjemnościom. Werner, przyjaciel jego i przypuszczalny szwagier, czekał na niego, aby rozpocząć z nim poważną, znaczącą, a niespodzianą rozmowę.

Werner był jednym z doświadczonych, sprawdzonych w życiu ludzi, których zazwyczaj nazywają ludźmi zimnymi, ponieważ w różnych okazjach nie wybuchają ani prędko, ani w sposób widoczny, toteż przestawanie jego z Wilhelmem było nieustającą niezgodą, przez co jednak ich miłość tym silniej tylko się zadzierzgała, pomimo bowiem odmiennego sposobu myślenia lubił jeden drugiego. Werner miał to sobie za niejaką zasługę, że wyśmienitemu, chociaż przy sposobności lubiącemu bujać duchowi Wilhelma niekiedy zdawał się nakładać cugle i wędzidło, a Wilhelm doznawał nieraz wspaniałego triumfu, kiedy w gorącym uniesieniu porwał wraz z sobą swego rozważnego przyjaciela. Tak ćwiczył się jeden na drugim; przywykli byli widywać się codziennie i można by powiedzieć, że pragnienie spotkania się, rozmawiania ze sobą zwiększało się wraz z niemożnością stania się zrozumiałymi dla siebie. W gruncie rzeczy jednak, będąc obaj dobrymi ludźmi, szli jeden obok drugiego, wspólnie ku jednemu celowi, i nigdy nie mogli pojąć, dlaczego jeden drugiego nie potrafił doprowadzić do swego sposobu patrzenia na rzeczy.

Werner zauważył od niejakiego czasu, że odwiedziny Wilhelma stawały się rzadsze, że w ulubionych zagadnieniach zbywał go krótko i z roztargnieniem, że się już nie zagłębiał w żywe wytwarzanie niezwykłych wyobrażeń, po którym najpewniej poznać umysł swobodny, znajdujący spokój i zadowolenie w obecności przyjaciela. Ścisły i rozważny Werner z początku szukał powodu we własnym zachowaniu się, aż plotki miejskie naprowadziły go na właściwy ślad, a niektóre nieostrożności Wilhelma dały mu prawie pewność. Zabrał się za sprawdzenie i niebawem odkrył, że Wilhelm przed niejakim czasem publicznie odwiedzał pewną aktorkę, rozmawiał z nią w teatrze i odwiózł ją do domu; byłby niepokieszony, gdyby były znane mu także nocne schadzki, słyszał bowiem, że Marianna jest dziewczyną zwodniczą, która przyjaciela prawdopodobnie kosztuje dużo pieniędzy, a obok tego każe się utrzymywać najniegodniejszemu kochankowi.

Gdy swoje podejrzenie umocnił, ile możliwe, do pewności, postanowił przypuścić atak na Wilhelma i poczynił już wszystkie przygotowania, gdy ten właśnie wrócił ze swej podróży przygnębiony i rozstrojony.

Werner tego samego jeszcze wieczora wyłożył mu wszystko, co wiedział, zrazu spokojnie, potem z natarczywą powagą rozumnie myślącej przyjaźni, nie pozostawił w cieniu ani jednego rysu i dał zakosztować przyjacielowi wszystkich tych gorczy, którymi z cnotliwą radością szkodników zwykli tak hojnie obdzielać kochanków ludzie spokojni. Ale

jak łatwo się domyśleć, wskórał niewiele. Wilhelm odparł z wewnętrznym wzruszeniem, ale z wielką pewnością:

— Nie znasz dziewczęcia! Pozory nie świadczą może na jej korzyść, ale jestem równie pewny jej wierności i cnoty jak swojej miłości.

Werner trwał przy swym oskarżeniu i powoływał się na dowody i świadków. Wilhelm wzgardził nimi i rozstał się z przyjacielem skłopotany i wstrząśnięty, jak ktoś, komu niezręczny dentysta pochwycił bolący a silnie wrośnięty ząb i na próżno z nim się mocował.

Wilhelmowi było nadzwyczaj przykro, że piękny obraz Marianny najpierw przez przywidzenia podróży, a potem przez niechęć Wenera ujrzał zmacony w swej duszy i niemal zohydzony. Chwycił się najpewniejszego środka, by mu przywrócić całkowitą jasność i piękność, i w nocy pośpieszył do niej zwykłą drogą. Przyjęła go z żywą radością, gdyż przybывая do miasta, jechał w pobliżu jej domu, spodziewała się go więc tej nocy; a łatwo sobie wyobrazić, że niebawem z jego serca pierzchyły wszystkie wątpliwości. Co więcej, jej czułość wywołała w nim całkowite zaufanie; opowiedział jej, jak bardzo grzeszyła względem niej publiczność i jego przyjaciel.

Te i owe żywe słowa rozmowy naprowadziły ich na pierwsze czasy ich znajomości, których wspomnienie pozostaje zawsze jedną z najpiękniejszych przyjemności dwojga kochających się. Pierwsze kroki, wiodące nas do labiryntu miłości, są tak miłe, pierwsze widoki tak urocze, że aż nadto chętnie przywołujemy je sobie na pamięć. Każdy stara się utrzymać pierwszeństwo przed drugim, że pokochał wcześniej, z większym zaparciem się siebie, i każdy pragnie w tym sporze raczej być pokonanym niż pokonywać.

Wilhelm powtórzył Mariannie, co już tak często słyszała, że rychło oderwała jego uwagę od przedstawienia, a zwróciła na siebie samą, że jej postać, gra, głos oczarowały go, jak w końcu chodził tylko na takie sztuki, w których grała, jak wreszcie wśliznął się do teatru i często niepostrzeżony stał obok niej; potem mówił z zachwytem o tym szczęśliwym wieczorze, na którym znalazł sposobność okazania jej grzeczności i nawiązania rozmowy.

Marianna, przeciwnie, przeczyła, jakoby go tak długo nie zauważała, utrzymując, że spostrzegła go już na przechadzce i na dowód opisała mu ubiór, który w tym dniu miał na sobie, twierdząc, że już wtedy podobał się jej przed wszystkimi innymi i że pragnęła się z nim zaznajomić.

Jakże chętnie Wilhelm wierzył temu wszystkiemu! Jak chętnie dał sobie wmówić, że gdy się do niej zbliżył, przyciągnięta została ku niemu jakimś niepokonanym ruchem, że umyślnie wchodziła między kulisy obok niego, aby mu bliżej się przypatrzeć i zawrzeć z nim znajomość, i że wreszcie ponieważ jego wstrzemięźliwość i nieśmiałość były nieprzewyżczone, sama mu dała sposobność i zmusiła go niejako przynieść jej szklankę lemoniady.

Wśród tego pełnego miłości sporu, który przeprowadzili przez wszystkie drobne okoliczności swego krótkiego romansu, godziny minęły im bardzo szybko, a Wilhelm opuścił kochankę całkiem uspokojony, z silnym postanowieniem, że bez zwłoki wprowadzi w czyn swoje przedsięwzięcie.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Co było mu potrzebne do odjazdu, przygotowali ojciec i matka; tylko małe drobnostki, brakujące jeszcze do całkowitego wyekwipowania, opóźniły o kilka dni jego rozstanie się z domem. Wilhelm wykorzystał ten czas, by napisać do Marianny list, w którym pragnął na koniec omówić sprawę, o której ona dotychczas zawsze unikała z nim rozmowy. List brzmiał, jak następuje:

Pod miłą zasloną nocy, która mnie kiedy indziej skrywała w Twoich objęciach, siedzę i myślę o Tobie, i piszę do Ciebie, i o czym tylko dumam i co robię, wszystko to z Twojej przyczyny. O Marianno! Ze mną, najszcześniejszym wśród mężczyzn, jest jak z narzeczoną, który w przeczuciu nowego świata, jaki się w nim i przez niego ma rozwinąć, stoi na świątecznych kołniercach i podczas obrzędu religijnego przenosi się pożądaną myślą przed tajemnicze firanki, spoza których uśmiecha mu się słodycz miłości.

Przemogłem się, by Cię nie widzieć przez dni kilka; było to łatwe, bo żywię nadzieję powetowania tej straty, gdy wiecznie będę z Tobą, gdy zostanę całkowicie Twój! Czyż mam powtarzać, czego pragnę? A przecież to potrzebne, gdyż wydaje mi się, że mnie dotychczas nie rozumiałaś.

Ileż to razy cichymi tonami wierności, która, pragnąc wszystko posiadać, mało się odważa mówić, badałem, czy w Twym sercu jest życzenie wiecznego połączenia! Rozumiałaś mnie pewnie, ponieważ i w Twoim sercu takie samo pragnienie musi kielkować; pojmowałaś mnie w każdym pocałunku, w tulącym się spoczynku owych szczęśliwych wieczorów. Wtedy poznałem Twoją skromność i jakże się zwiększyła miłość moja! Gdzie inna zachowywałaby się zręczność, by nadmiernym blaskiem słonecznym przyspieszyć dojrzałość postanowienia kochanka, by wywabić oświadczenie i umocnić obietnicę, tam właśnie Ty się cofasz, przymykasz wpółotwartą pierś swego ukochanego i starasz się ukryć swe zezwolenie pod udaną obojętnością; ale ja Cię rozumiem! Jakimże musiałbym być nikczemnikiem, gdybym w tych oznakach nie chciał poznać czystej, bezinteresownej, tylko o przyjaciela dbałej miłości! Ufaj mi i bądź spokojna! Należymy do siebie, a żadne z nas dwojga nie opuszcza i nie traci niczego, jeżeli żyjemy dla siebie nawzajem.

Przyjmij moją rękę uroczyście, jeszcze i tę zbyteczną zresztą oznakę! Doznaliśmy wszystkich rozkoszy życia, ale w stałej myśli trwania są nowe błogości. Nie pytaj, jak. Nie troszcz się o to! Los troszczy się o miłość, i to tym pewniej, gdy miłość poprzestaje na małym.

Serce moje już dawno opuściło dom moich rodziców, jest ono przy Tobie, jak umysł mój unosi się nad sceną. O moja ukochana, czy któremuś człowiekowi było dane żyć życzenia swoje tak jak mnie? Sen nie chwytą się moich oczu, a miłość i szczęście Twoje jak wieczna jutrzienka wschodzi i zachodzi przede mną.

Zaledwie się mogę wstrzymać, by nie poskoczyć, pobiec do Ciebie, wymusić Twoje zezwolenie i choćby jutro rano podążyć w świat daleki ku memu celowi. Nie! Trzeba się przezwyciężyć! Nie chcę nierozważnie czynić głupich, zuchwałych kroków, utworzyłem sobie plan i wykonam go spokojnie.

Znam się z dyrektorem Serlo; wprost do niego skieruję swą podróż; przed rokiem nieraz życzył swoim ludziom trochę mojej żywości i zamiłowania do teatru, z pewnością chętnie mnie przyjmie; w waszej bowiem trupie z więcej niż jednego powodu nie chciałbym występować, zresztą Serlo gra daleko tak stąd, że od razu skryć mogę swój postęp. Znajdę tam natychmiast znośne utrzymanie, rozejrzę się wśród publiczności, poznam towarzystwo aktorskie i zabiorę Cię.

Marianno, widzisz, do czego jestem zdolny, aby Cię posiadać na pewno, bo nie widzieć Cię tak długo, zostawić Cię na szerokim świecie – nie potrafię nawet sobie tego wyobrazić z całą żywością. Lecz gdy następnie pomyślę o Twojej miłości, która mnie przed wszystkim ubezpiecza, gdy nie pogardzisz moją prośbą, zanim się rozstaniemy, i podasz mi rękę swoją wobec księdza, odjadę spokojny. Między nami to tylko formalność, ale formalność tak piękna: błogosławieństwo nieba dodane do błogosławieństwa ziemi. W sąsiedztwie, w dobrach szlacheckich, odbywa się to łatwo i w tajemnicy.

Na początek mam dosyć pieniędzy: podzielimy się, wystarczy dla nas obojga; zanim się to zje, niebo dopomoże.

Tak, najdroższa, nie jest mi wcale straszno. Co się rozpoczyna z taką radością, musi mieć szczęśliwy koniec. Nigdy nie wątpiłem, że jeśli ktoś chce na serio, to może znaleźć powodzenie w świecie, a ja czuję dosyć odwagi, by zdobyć należyte utrzymanie dla dwojga, nawet dla więcej. Świat jest niewdzięczny, powiada wielu; nie przekonałem się jeszcze, iż jest niewdzięczny, jeżeli się coś umie zrobić dla niego w sposób właściwy. Cała dusza mi płonie na myśl, że raz wreszcie wystąpię i wypowiem ludziom do serca to, co już od



tak dawna pragną usłyszeć. Nie przeczę, mnie, com tak zapalony do wspaniałości teatru, tysiącrotnie strach w duszy zdejmował, gdym widział, jak najlichsi wyobrażali sobie, iż potrafią powiedzieć do serca wielkie, wyborne słowo! Dźwięk wymuszony przez fistułę<sup>48</sup> brzmi daleko lepiej i czystiej; rzecz to nie do zniesienia, jak ci jegomościę grzeszą w swej grubej nieudolności.

Teatr miał nieraz spór z kazalnica; nie powinny one moim zdaniem wadzić się z sobą. Jakże bardzo należałoby sobie życzyć, żeby w obu miejscach tylko szlachetni ludzie wysławiali Boga i naturę! To nie marzenie senne, moja najdroższa! Jak przy sercu Twoim mogłem uczuć, że jesteś pełna miłości, tak chwytam również myśl świetną i powiadam — nie chcę tego twierdzić, ale chcę mieć nadzieję, że kiedyś ukażemy się ludziom jako para dobrych duchów, by otworzyć ich serca, ich rozruszać umysły i zgotować im niebiańskie rozkosze, tak jak mnie na Twoim łonie dane były radości, które muszą być nazwane niebiańskimi, gdyż w chwilach owych czuliśmy się wyrwani z siebie samych i wyniesieni ponad niebo.

Nie mogę skończyć — powiedziałem już za wiele — gdyż ruchu koła, które się w sercu moim obraca, żadne słowa wyrazić nie potrafią.

Bądź co bądź, przyjmij ten list, moja droga! Odczytałem go znowu i sądzę, że powinienem zacząć od początku, ale przecież zawiera on wszystko, co potrzebujesz wiedzieć, co będzie dla ciebie przygotowaniem, jeżeli niebawem wrócę na Twoje łono z wesołością słodkiego kochania. Wydaję się sam sobie jak więzień, który nasłuchując w zamknięciu, odpiłowuje swe kajdany. Mówię dobranoc rodzicom moim, śpiącym bezpiecznie! Bądź zdrowa, ukochana! Bądź zdrowa! Na ten raz kończę, oczy mi dwakroć czy trzykroć opadły, już bardzo późno w nocy.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Jeszcze się dzień nie skończył, a Wilhelm już pragnął pójść do Marianny ze swym listem pięknie złożonym w kieszeni i zaledwie zapadł zmierzch, podążył wbrew swemu przyzwyczajeniu do jej mieszkania. Plan jego był taki: umówić się na noc, opuścić ukochaną na krótki czas, przed odejściem wcisnąć jej w rękę list, a po powrocie głęboką nocą otrzymać albo siłą pieścizot wymusić jej odpowiedź, jej przyzwolenie. Wpadł w jej objęcia i zaledwie mógł dojść do siebie na jej łonie. Żywość jego uczuć nie pozwalała mu z początku dojrzeć, że kochanka nie odpowiada mu serdecznie jak dawniej; nie mogła ona jednak na długo ukryć swego trwożnego stanu; wymawiała się chorobą, niedyspozycją, skarżyła się na ból głowy, nie chciała przystać na propozycję, iż powróci jeszcze dziś w nocy. Nie przeczuwał niczego złego, nie nastawał na nią dłużej, czuł jednak, że to nie była stosowna pora, by wręczyć jej list. Zatrzymał go przy sobie, a ponieważ różne jej gesty i słowa zmuszały w grzeczny sposób do odejścia, pochwycił w upojeniu niezadowolonej miłości jedną z jej chusteczek na szyję, włożył ją do kieszeni i wbrew woli opuścił jej usta i jej drzwi. Przemknął się do domu, ale i tu nie mógł długo pozostać, przebrał się i znów szukał świeżego powietrza.

Gdy przeszedł kilka ulic, spotkał go jakiś nieznajomy, pytając o dobry zajazd; Wilhelm ofiarował się mu pokazać; obcy wywiadywał się o nazwę ulicy, o właścicieli różnych wielkich budynków, około których przechodzili, potem o niektóre instytucje miejskie, zajęci tedy byli nader interesującą rozmową, kiedy stanęli przed bramą gospody. Obcy zmusił Wilhelma, żeby wszedł i wypił z nim szklankę ponczu; równocześnie powiedział swoje nazwisko i miejsce urodzenia, a także powody, które go tu sprowadziły, i prosił Wilhelma o takiż dowód zaufania. Ten również nie zamilczał ani swego nazwiska, ani mieszkania.

— Czy pan nie jesteś wnukiem starego Meistra, który posiadał piękny zbiór dzieł sztuki? — zapytał obcy.

— Tak jest. Miałem dziesięć lat, kiedy dziadek umarł; bolało mnie wielce, kiedy widziałem, że te piękne rzeczy idą na sprzedaż.

— Pański ojciec otrzymał za nie wielką sumę pieniędzy.

<sup>48</sup>fistula (med.) — przetoka. [przypis edytorski]

— Więc pan wiesz o tym?

— A jakże, widziałem ten skarb jeszcze w waszym domu. Dziadek pański był nie tylko zbieraczem, lecz znał się na sztuce; w dawniejszych, szczęśliwych czasach był we Włoszech i stamtąd przywiózł z sobą skarby, których teraz nie można by było dostać za żadną cenę. Posiadał wyborne obrazy najlepszych mistrzów, zaledwie wierzyło się własnym oczom, kiedy się przeglądało jego ręczne rysunki, wśród jego marmurów było kilka bezcennych fragmentów, miał bardzo nauczający szereg brązów, zbierał monety ważne dla sztuki i dziejów, nieliczne gemmy<sup>49</sup> zasługiwały na wszelką pochwałę, a całość dobrze była ustawiona, chociaż pokoje i sale starego domu nie leżały symetrycznie.

— Możesz pan sobie wyobrazić, cośmy stracili, my dzieci, kiedy wszystkie te rzeczy zostały zdjęte i zapakowane. Były to pierwsze smutne chwile w moim życiu. Pamiętam dotąd, jak puste wydawały nam się pokoje, gdyśmy widzieli znikające jedne po drugich przedmioty, które nas bawiły od chłopięctwa i które uważaliśmy za tak niezmiennie jak dom i samo miasto.

— Jeżeli się nie myłę, ojciec pański włożył uzyskany kapitał w handel sąsiada, z którym zawarł rodzaj spółki.

— Tak właśnie, a ich wspólne spekulacje wielce im się poszczęściły; w ciągu tych dwunastu lat bardzo zwiększyli majątek i tym gwałtowniej przywiązali się do zarobku; stary Werner też ma syna, który do tego rzemiosła o wiele lepiej się nadaje niż ja.

— Przykro mi, że to miejsce utraciło taką ozdobę, jaką był gabinet pańskiego dziadka. Widziałem go jeszcze na krótko przed sprzedażą i muszę wyznać, iż to ja sprawiłem, że kupno doszło do skutku. Bogaty szlachcic, wielki amator, który jednak przy tak ważnym nabytku nie zdawał się na swe własne zdanie, przysłał mnie tutaj i prosił o moją radę. Sześć dni oglądałem gabinet, a siódmego poradziłem przyjacielowi, żeby bez ociągania się zapłacił całą żadaną sumę. Jako wesoly chłopak często się pan kręciłeś koło mnie; pan mi objaśniałeś treść obrazów i w ogóle umiałeś bardzo dobrze pokazywać gabinet.

— Przypominam sobie taką osobę, ale nigdy bym pana nie poznał.

— Toż to niemało upłynęło czasu, a my zmieniamy się przecież mniej lub więcej. Miałeś pan tam, jeżeli sobie dobrze przypominam, ulubiony obraz, od którego nie chciałeś mnie pan puścić.

— Prawda! Przedstawiał historię, jak chory królewicz usycha z miłości dla narzeczonej swego ojca.

— Nie było to wcale najlepsze malowidło; niedobrze skomponowane, miało nieszczególny koloryt, a w wykonaniu całkiem zmanierowane.

— Na tym się nie znałem i nie znam dotąd; w obrazie zachwyca mnie przedmiot, nie sztuka.

— Zdaje się, że dziadek pański myślał inaczej, gdyż największa część jego zbioru składała się z wybornych rzeczy, w których, cokolwiek by przedstawiały, zawsze podziwiał się zalety mistrza; ów obraz wisiał też w zewnętrznym przedsionku na znak, że mało był ceniony.

— Tam to właśnie my, dzieci, zawsze mieliśmy się bawić i tam też obraz ten zrobił na mnie niezatarte wrażenie, jakiego mi nawet pańska krytyka, którą zresztą szanuję, nie potrafiłaby zatrzeć, gdybyśmy teraz stali przed tym malowidłem. Jakże mi żal było, jak mi żal jeszcze teraz młodzieńca, który musi zamknąć w sobie słodkie popędy, najpiękniejsze dziedzictwo, jakie zostawiła nam natura, ukryć w swym łonie ogień, który jego i innych mógłby ogrzać i ożywić, tak że głęb jego duszy trawi się wśród bólów niesłychanych! Jakże boleję nad tą nieszczęśliwą, która ma się poświęcić dla innego, gdy jej serce znalazło już godny przedmiot prawdziwego i czystego pragnienia!

— Uczucia te są doprawdy bardzo dalekie od tych uwag, wśród których zwykł patrzeć amator sztuki na dzieła wielkich mistrzów; prawdopodobnie jednak, gdyby gabinet pozostał był własnością waszego domu, pan też nabrałbyś z wolna smaku do samych dzieł, tak żebyś nie widział zawsze w wytworach sztuki tylko siebie i swojej skłonności.

— Z pewnością sprzedaż gabinetu sprawiła mi już wtedy przykrość, a w dojrzałych latach nieraz było mi go brak, ale kiedy się zastanowię, że tak być musiało, aby rozwinąć

<sup>49</sup>*gemma* — szlachetny lub półszlachetny kamień z wyrzeźbionym rysunkiem, używany jako ozdoba lub pieczęć. [przypis edytorski]

we mnie inne zamiłowanie, inny talent, które daleko bardziej wpłynąć miały na moje życie niż kiedykolwiek mogły te martwe obrazy, to chętnie cofam żale i czczę los, który umie sprowadzić najwyższe moje dobro i najwyższe dobro każdego.

— Niestety, znowu słyszę wyraz „los” w ustach młodzieńca, który jest właśnie w tym wieku, kiedy się na ogół zwykło poddawać wolę istot wyższych swoim żywym namiętnościom.

— To pan nie wierzysz w los, w potęgę, która nad nami panuje, wszystko kierując ku naszemu najwyższemu dobru?

— Nie ma tu mowy o mojej wierze, ani też tu miejsce na wykład, jak staram się do pewnego stopnia wyobrazić sobie rzeczy dla nas wszystkich niepojęte; idzie tu o to tylko, który sposób myślenia służy naszemu najwyższemu dobru. Tkanina tego świata składa się z konieczności i przypadku; rozum ludzki staje pomiędzy obojgiem i umie je opanować; konieczność traktuje jako podstawę swego bytu; umie kierować przypadkowością, prowadzić ją i zużytkować, i wtedy tylko gdy ten rozum stoi twardo i niewzruszenie, człowiek zasługuje, by go bogiem ziemi zwano. Biada temu, co od młodości przyzwyczajają się wyszukiwać w konieczności czegoś samowolnego, co przypadkowi chciałby przypisać rodzaj rozumu, któremu posłuszeństwo miało by stanowić religię. Czyż to znaczy co innego niż zrzec się własnego rozsądku i dać nieograniczoną swobodę namiętnościom? Wyobrażamy sobie, że jesteśmy pobożni, jeżeli bez rozważenia przemykamy się dalej, pozwalając przyjemnym przypadkom rządzić nami, a w końcu wynikowi takiego chwiejnego życia nadajemy nazwę boskiego zrządzenia.

— Czyś pan nigdy nie był w takiej sytuacji, że jakaś mała okoliczność spowodowała, że obrał pan pewną drogę, na której niebawem spotkała pana jakaś usłużna sposobność, a szereg niespodzianych wydarzeń zaprowadził wreszcie pana do celu, któryś pan sam sobie zaledwie wytknął? Czyż to nie może natchnąć do oddania się losowi, zaufania takiemu kierownictwu?

— Przy takim sposobie myślenia żadna dziewczyna nie mogłaby utrzymać swej cnoty, a żaden człowiek swych pieniędzy w sakiewce, gdyż niemało jest nagabywań pozbycia się tego i owego. Ja mogę się cieszyć tylko z tego człowieka, który wie, co jest pożyteczne dla niego i innych i pracuje nad ograniczeniem swojej samowoli. Każdy ma własne szczęście w ręku, jak artysta surowy materiał, który chce zmienić w posąg. Ale z tą sztuką jest tak samo jak ze wszystkim, zdolność jest nam wrodzona, ale musi być wykształcona i starannie wyćwiczona.

To i wiele innych rzeczy stanowiło przedmiot ich rozpraw; w końcu rozstali się, nie wydając się wzajemnie szczególnie przekonani; oznaczyli jednakże miejsce spotkania na dzień jutrzejszy.

Wilhelm przeszedł jeszcze kilka ulic; posłyszał klarnety, waltornie i fagoty; pierś jego się wzdymała. Przejeżdżający grajkowie utworzyli przyjemną muzykę nocną. Przemówił do nich; za małe pieniądze poszli za nim do mieszkania Marianny. Wysokie drzewa zdobyły plac przed jej domem, pod nimi ustawił swoich śpiewaków; sam spoczął na ławce w pewnym oddaleniu i utonął całkiem w rozplywających się dźwiękach, które szemrały wkoło niego wśród odświeżającej nocy. Wyciągniętemu wobec pięknych gwiazd istnienie wydawało się snem złotym.

— I ona słyszy te flety — rzekł sobie w duszy — ona czuje, czyja to pamięć, czyja miłość czyni noc brzmącą zgodnymi dźwiękami, i w oddaleniu wiąże nas z sobą te melodie, tak jak w każdym oddaleniu wiąże najdelikatniejszy nastrój miłości. Ach, dwa kochające serca to jak dwa zegary magnetyczne; co się porusza w jednym, musi z sobą poruszyć i drugi, gdyż w obu działa to samo, ta sama siła, która je przenika. Czyż mogę w jej objęciach odczuć możliwość oddzielenia się od niej? A jednak będę od niej daleko, szukając miejsca zbawienia dla naszej miłości i zawsze mieć ją będę ze sobą. Ileż to razy zdarzyło mi się, że będąc od niej oddalony, a zatopiony w myślach o niej, dotykałem książki, ubrania lub czego innego i sądziłem, iż czuję jej rękę, tak dalece byłem otoczony jej obecnością. A przypomnieć sobie te chwile, które unikają światła dziennego jak oka zimnego widza, których, by używać, bogowie musieli się zdecydować porzucić spokojny stan czystej błogości!... Przypomnieć sobie! Jak gdyby można było odnowić we wspomnieniach oszłomienie upajającej czary, co nasze zmysły, niebiańskimi więzami spętane, z posad wyrwywa. A jej postać!...

Los

Zatonął we wspomnieniu o niej; jego spoczynek przeszedł w pożądanie, Wilhelm objął drzewo, chłodził gorące lico o korę, a nocne wiatry wchłaniały chciwie oddech, który drgając, wydobywał się z czystego łona. Chciał wyjąć chusteczkę, którą od niej zabrał; zapomniał jej, została w poprzednim ubraniu. Wargi jego łaknęły, członki drżały z pożądania.

Muzyka ustała, a jemu zdawało się, jakby wypadł z żywiołu, w którym dotychczas unosiły się jego uczucia. Jego niepokój wzmógł się, gdyż uczucia przestały być podsycane i bujane łagodnymi dźwiękami. Usiadł na jej progu i już był spokojniejszy. Ucałował mosiężne kółko, którym stukano się do jej drzwi, ucałował próg, po którym nogi jej stapały, wchodząc i wychodząc, i ogrzewał go ogniem swej piersi. Potem siedział znów przez chwilę spokojnie i wyobrażał ją sobie za firankami w słodkim spoczynku. W białym ubraniu nocnym z czerwoną wstążką wokół głowy, i siebie wyobrażał sobie tak blisko niej, że zdawało mu się, iż teraz musiała śnić o nim. Myśli jego były miłe jak duchy świtu, spokój i żądza zmieniały się w nim po kolei, miłość drżącą ręką tysiącrotnie przebiegała po strunach jego duszy, było mu tak, jakby harmonia sfer zatrzymała się ponad nim, by wysłuchać cichych melodii jego serca.

Gdyby miał być przy sobie klucz, którym kiedy indziej otwierał drzwi Marianny, nie powstrzymałby się, byłby się wdarł do świątyni miłości. Oddalił się powoli, włókł się na wpół marząc pod drzewami, chciał iść do domu i ciągle coś go odciągało; w końcu, gdy się przemógł, poszedł i na rogu raz jeszcze się obejrzał: wydawało mu się, że drzwi Marianny się otworzyły i wyszła przez nie jakaś ciemna postać. Był za daleko, by móc widzieć wyraźnie, a zanim przyszedł do siebie i dobrze się wpatrzył, zjawa już zniknęła w ciemności; zdało się mu tylko, że widzi je znowu przechodzące koło jakiegoś białego domu. Stanął i zmrużył oczy, ale zanim się ocknął i podążył, widziadła już nie było. Dokąd miał iść za nim? Jaką ulicą podążył ten człowiek, jeżeli to był człowiek?

Jak ten, komu błyskawica oświetliła okolicę w jednym zakątku, na próżno szuka zaraz potem osłepionymi oczami poprzednich postaci, związku ścieżek w ciemności, tak się stało z oczyma Wilhelma, tak się stało z jego sercem. A jak widmo północne, wywołując ogromny przestraszenie, bywa następnie w chwili przyjścia do siebie uważane za dziecko przestraszone, a okropne zjawisko pozostawia w duszy wątpliwości bez końca: tak i Wilhelm doznawał niezmiernego niepokoju, gdy oparłszy się o narożnik jakiegoś domu, nie zważał na brzask poranka i pianie kogutów, aż zaczęli się pojawiać pierwsi rzemieślnicy, których wczesna praca zagnała go do domu.

Wracając, wielce dobitnymi argumentami prawie wypędził z duszy niespodziewane mamidło, ale też minął całkowicie ten piękny nastrój nocny, o którym teraz także myślał już tylko jakby o zjawisku. By rozradować swe serce, by przyłożyć na pieczęć powracającej mu wierze, wyjął chusteczkę z kieszeni poprzedniego ubrania. Szelest ćwiartki papieru, która z niej wypadła, oderwał mu chusteczkę od ust; podniósł liścik i czytał:

Jak ja cię lubię, mały błazenku! Co ci było wczoraj? Dziś w nocy przyjdę do Ciebie. Wierzę, iż Ci przykro się stąd oddalać, ale bądź cierpliwa, przybędę do Ciebie na jarmark. Słuchaj, nie wdziewaj już tego czarnozielonobrunatnego żakietu, wyglądasz w nim jak czarownica z Endor<sup>50</sup>. Czyż nie po to Ci posłałem biały negliż, że w objęciach chcę mieć swą białą owieczkę? Bileciki swoje przysyłaj mi zawsze przez starą Sybillę, sam diabeł wybrał ją na Irydę<sup>51</sup>.

<sup>50</sup>czarownica z Endor — wróżbitka z Endor w Galilei wywołała dla biblijnego króla Saula (1042–1012 p.n.e.) ducha zmarłego Samuela (1 Sm 28, 1–25). [przypis edytorski]

<sup>51</sup>Iryda a. Iris (mit. gr.) — bogini tęczy, posłanka bogów. [przypis edytorski]

# KSIĘGA II

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Każdy, kto z żywotnymi siłami usiłuje osiągnąć w naszych oczach jakiś cel, czybyśmy chwalili czy potępiali jego zamiar, może sobie nasze obiecywać współczucie; lecz skoro tylko rzecz się rozstrzygnęła, natychmiast odwracamy od niego wzrok; nic z tego, co już jest ukończone, dokonane, nie może przywiązać do siebie naszej uwagi, zwłaszcza gdyśmy już dawniej przepowiadali zły wynik przedsięwzięcia.

Z tego powodu czytelników naszych nie będziemy zabawiali szczegółowym opisem cierpienia i nieszczęścia naszego zbolełego przyjaciela, w jakie popadł, gdy ujrzał swoje nadzieje i pragnienia zniszczone w tak niespodziany sposób. Przeskoczmy raczej lat kilka i odszukamy go znów tam, gdzie spodziewamy się, że znalazł pewne zajęcie i przyjemność, opowiedziawszy tylko wprzód pokrótce, co jest niezbędne dla całości historii.

Zaraza albo złośliwa gorączka szybciej i gwałtowniej szaleją w zdrowym, pełnym soków ciele, tak też biedny Wilhelm owładnięty został nieszczęśliwym losem tak niespodzianie, że w jednej chwili rozprzęgła się cała jego istota. Tak prawie, jak kiedy podczas przygotowań zapalą się fajerwerki, a kunsztownie wydrążone i napełnione tuby, które, uporządkowane i puszczane według pewnego planu, miały narysować w powietrzu wspinalne się zmieniające obrazy ogniste, teraz nieporządnie i niebezpiecznie jedno przez drugie syczą i pękają: podobnie w jego łonie miały się obecnie, chwiejąc się, szczęście i nadzieja, rozkosz i radość, rzeczywistość i marzenia. W takich strasznych chwilach drętwieje przyjaciel śpieszący na ratunek, a dla tego, kto został dotknięty, dobrodziejstwem jest, że go opuszczają zmysły. Nastąpiły potem dni głośnego, ciągle wracającego i umyślnie wznawianego bólu; ale i te poczytywać należy za łaskę natury. W takich godzinach Wilhelm nie tracił jeszcze całkiem swej ukochanej; bóle jego były to niezmordowanie wznawiane próby, aby szczęście, które uciekało mu z duszy, jeszcze przytrzymać, pochwycić w wyobraźni jego możliwość, jeszcze zapewnić na zawsze zamarłym rozkoszom krótkie życie pośmiertne! Podobnie jak nie można nazwać całkiem martwym ciałem, dopóki trwa gnicie, dopóki siły, na próżno starając się działać według dawnego przeznaczenia, prowadzą do zniszczenia cząstek poprzednio przez siebie ożywianych, wówczas dopiero, gdy się wszystko starło nawzajem, gdy widzimy całość rozłożoną na obojętny proch, wówczas powstaje w nas żałośnie puste uczucie śmierci, uspokoić się dające jedynie tchnieniem Wiecznie Żyjącego.

W duszy tak nowej, całej, miłej wiele było do rozdarcia, do zburzenia, do zabicia, a szybko lecząca siła młodości dodawała nawet nowej pożywki i gwałtowności potężde bólu. Cios dotknął całej jego istoty u samego korzenia. Werner, z potrzeby jego powiernik, z całym zapalem chwycił się ognia i miecza, by znienawidzonej namiętności, temu potworowi, zadać śmiertelne pchnięcie. Sposobność była tak szczęśliwa, świadectwo tak pod ręką, a na ileż to historii i opowiadań mógł się powołać! Robił to z taką gwałtownością i okrucieństwem, krok po kroku, nie dał przyjacielowi balsamu choćby najmniejszej chwilowej iluzji, zastawiał mu drogę do każdego zakątka, w którym mógłby się schronić przed rozpaczą, że natura, która nie chciała zniszczyć swego ulubieńca, zesłała na nie chorobę, aby chociaż tak dać mu odetchnąć.

Gwałtowna gorączka ze swą świętą lekarstwem, napięcia i osłabienia, przy tym usiłowania rodziny, miłość domowników, która naprawdę uczuć się daje dopiero w niedostatku i nieszczęściu, odwracały jego uwagę w tym zmienionym stanie, stanowiąc jako taką rozrywkę. Dopiero gdy zrobiło mu się lepiej, to jest, gdy jego siły się wyczerpały, Wilhelm spojrzal z przerażeniem w straszną, wyschniętą przepaść nędzy duchowej, jak się spogląda w wypalony, pusty krater wulkanu.

Teraz robił sam sobie najboleśniejsze zarzuty, że po tak wielkiej stracie może jeszcze doświadczać chwil bezbolesnych, spokojnych, obojętnych. Pogardzał własnym sercem i tęsknił za balsamem narzekania i łez. Ażeby je wzbudzić w sobie na nowo, przesuwał w pamięci wszystkie sceny minionego szczęścia. Z największą żywością malował je przed sobą, zatapiał się w nich, a gdy się wzniósł do możliwej wyżyny, gdy słoneczny blask minionych dni zdawał się znowu ożywiać mu członki, podnosić pierś, oglądał się

Śmierć, Ciało

na okropną przepaść, pał oko druzgocącą głębią, rzucał się w nią i wymuszał na naturze najdotkliwsze bóle. Tak powtarzanym okrucieństwem rozszarpywał sam siebie; gdyż młodzież, tak bogata w ukryte siły, nie wie, co marnotrawi, kiedy do bólu wywołanego stratą przyłącza jeszcze tyle wymuszonych cierpień, jakby dopiero przez to chciała temu, co utraciła, nadać istotną wartość. I tak był przekonany, że ta strata jest jedyną, pierwszą i ostatnią, jakiej doznać miał w życiu, iż czuł wstręt do każdej pociechy, która pragnęłaby mu przedstawić te cierpienia jako przemijające.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Przywykwszy dręczyć się w ten sposób, rzucił się ze wszech stron z szyderczą krytyką na to, co mu po miłości i wraz z miłością sprawiało największe rozkosze i nadzieje, na swój talent jako poety i aktora. W swoich pracach dostrzegł tylko bezduszne naśladownictwo paru tradycyjnych form, bez wartości wewnętrznej; chciał w nich widzieć jedynie suche ćwiczenia szkolne, którym brak choćby iskierki naturalności, prawdy i natchnienia. W swoich poezjach znalazł tylko rytm monotonnych miar, w których związane nędznym rymem wlokły się całkiem pospolite myśli i uczucia; a tak odejmował sobie wszelki widok, wszelką ochotę, które by go przecież przynajmniej z tej strony mogły postawić na nogi.

Nie lepiej poszło z jego talentem aktorskim. Ganił siebie, że wcześniej nie odkrył próżności, stanowiącej wyłączną podstawę tego zarozumiałego wyobrażenia. Jego postać, chód, ruchy i deklamacja sztukowały się tylko; odmawiał sobie stanowczo wszelkiego rodzaju zalet, wszelkiego przymiotu, który by go wynosił ponad pospolicą, a przez to powiększał swoje nieme zwątpienie do najwyższego stopnia. Bo jeśli ciężko jest wyrzec się miłości kobiety, to nie mniej bolesne jest uczucie, kiedy mamy się rozstać z towarzystwem Muz, kiedy mamy wyznać, że jesteśmy na zawsze niegodni obcowania z nimi, kiedy mamy się wyzuc z najpiękniejszego i najmilszego nam uznania, jakie bywa udzielane publicznie naszej osobie, naszemu zachowaniu się, naszemu głosowi.

Tak to nasz przyjaciel, całkowicie zrezygnowany, poświęcił się z wielkim zapałem interesom handlowym. Ku zdziwieniu przyjaciela, a ku najżywszemu zadowoleniu ojca nikt nie był czynniejszy od niego w kantorze, na giełdzie, w sklepie i w składach; z największą pilnością i gorliwością pilnował i dopełniał korespondencji i rachunków, i wszystkiego, co mu polecono. Co prawda nie była to pilność wesoła, będąca zarazem nagrodą dla pracownika, kiedy wykonujemy porządnie i należycie to, do czegośmy zostali zrodzeni, ale była to cicha pilność obowiązkowa, która ma za podstawę najlepszy zamiar, która odżywiana jest przekonaniem, a nagradzana wewnętrznym poczuciem, która jednakże często nawet wówczas, gdy najpiękniejsze przeświadczenie ją wieńczy koroną, zaledwie zdoła stłumić wydzierające się westchnienie.

Tym sposobem przeżył Wilhelm czas jakiś bardzo pracowicie i przekonał się, że owa ciężka próba zesłana była przez los dla jego dobra. Rad był, że został ostrzeżony, chociaż dość nieprzyjaźnie, na drodze życia zawczasu, gdy inni później i dotkliwiej pokutują za niewłaściwe kroki, do których skłoniła ich młodzieńcza zarozumiałość. Zazwyczaj bowiem człowiek wzbrania się, dopóki może, pożegnać głupca, którego w łonie nosi, wyznać błąd zasadniczy i uznać prawdę, która pogrąży go w zwątpienie.

Jakkolwiek był zdecydowany wyrzec się najulubieńszych swych wyobrażeń, potrzeba jednak było pewnego czasu, by go całkowicie przekonać o jego nieszczęściu. W końcu jednak za pomocą dobitnych argumentów zniszczył w sobie wszelką nadzieję miłości, poetyckiego tworzenia i osobistych występów na scenie tak dalece, że się poczuł dość silny, by zupełnie zatrzeć wszystkie ślady swojej głupoty, wszystko, co mu jeszcze mogło przypominać te marzenia. Dlatego pewnego chłodnego wieczoru zapalił ogień na kominku i wydobył skrzynkę z relikwiami, w której znajdowały się tysiączne drobnostki otrzymane od Marianny w ważnych chwilach albo od niej zdobyte. Każdy zeschnięty kwiat przypominał mu o czasie, kiedy świeży jeszcze kwitnął w jej włosach; każdy bilecik o tej szczęśliwej godzinie, na którą go nim zapraszała; każdy wstążka jej głowę, jej piękną pierś, gdzie miał miły spoczynek. Czyż tym sposobem uczucia, które, jak uważał, że dawno już zabił, nie musiały zacząć drgać znowu? Czyż namiętność, nad którą, oddzielony od ukochanej, zapanował, nie musiała potężnieć znowu wobec tych drobiazgów? Wówczas bowiem

Los, Głupiec, Młodość

Wspomnienia

Melancholia, Smutek

dopiero spostrzegamy, jak smutny i nieprzyjemny jest posepny dzień, gdy jeden jedyny przedzierający się promień słońca daje nam wyobrażenie o pobudzającym blasku wesołej godziny.

Toteż nie bez wzruszenia patrzył na niknące po kolei w dymie i płomieniu te tak długo przechowywane świętości. Kilka razy zatrzymywał się z wahaniem, a gdy pozostał mu jeszcze tylko sznur pereł i kwiecista chustka na szyję, kiedy się zdecydował podsyć zmniejszający się ogień poetyckimi próbami swej młodości.

Dotychczas przechowywał starannie wszystko, co mu od najwcześniejszego czasu rozwoju jego ducha wypłynęło spod pióra. Rękopisy powiązane w paczki leżały jeszcze na dnie kuferka, jak je włożył wówczas, gdy się spodziewał, że je weźmie ze sobą, uciekając z domu. Jakże inaczej rozwijał je teraz, niż kiedy je w tamtej chwili związywał!

Jeśli po upływie pewnego czasu otwieramy list, który napisaliśmy i zapieczętowaliśmy w pewnych okolicznościach, który jednak nie zastawszy naszego przyjaciela, wraca do nas z powrotem, opanowuje nas wtedy dziwne uczucie, kiedy łamiemy własną pieczęć i z naszym zmienionym ja rozmawiamy jakby z osobą trzecią. Podobne wrażenie gwałtownie opanowało naszego bohatera przy otwieraniu pierwszej paczki i rzuceniu w ogień rozpadających się zeszytów, które właśnie wybuchły silnym płomieniem, gdy wszedł Werner i dziwiąc się obfitemu ogniovi, zapytał, co się tu dzieje.

— Daję dowód — rzekł Wilhelm — że na serio porzucam rzemiosło, do którego się nie urodziłem.

Mówiąc to, rzucił w ogień drugą paczkę. Werner chciał go powstrzymać, ale już się stało.

— Nie pojmuję, jak wpadłeś na taką ostateczność — rzekł. — Dlaczegoż te prace mają być całkiem zniszczone, nawet jeśli nie są wyborne?

— Ponieważ poemat powinien albo być wyborny, albo nie istnieć wcale; ponieważ każdy, kto nie ma uzdolnienia do tworzenia rzeczy najlepszych, powinien się powstrzymać od sztuki i surowo mieć się na baczności przed wszelkim ku temu pokusom. Wprawdzie w każdym człowieku budzi się jakieś nieokreślone pragnienie naśladowania tego, co widzi, ale pragnienie to nie dowodzi wcale, że w nas mieszka także siła urzeczywistnienia tego, co przedsięwzięmy. Popatrz tylko na chłopców, jak za każdym razem, gdy miasto odwiedzają linoskoczkowie, chodzą w tę i z powrotem, balansując po wszystkich deskach i belkach, dopóki ich nie pociągnie do innej zabawy jakiś inny powab. Czy nie spostrzegłeś tego w kręgu naszych przyjaciół? Ilekroć da się słyszeć jakiś wirtuoz, znajdzie się zaraz kilku, którzy się zaczynają uczyć na tym samym instrumencie. Iluż się zbłąkało na tej drodze! Szczęśliwy, kto zawczasu spostrzeże fałszywość wnioskowania ze swych pragnień o swych możliwościach!

Werner zaprzeczył; rozmowa potoczyła się żywo, a Wilhelm nie mógł bez wzruszenia zwracać przeciwko przyjacielowi argumentów, którymi sam tak często się dręczył. Werner utrzymywał, że nie jest rozumnie zaniechać całkowicie talentu, do którego ma się pewną skłonność i uzdolnienie, dlatego że się go nigdy nie wyćwiczy do najwyższej doskonałości. Toż znajdzie się dosyć wolnego czasu, który można tym zapełniać i powoli wykonać coś, co i nam, i innym sprawi przyjemność.

Nasz przyjaciel, który co tego był odmiennego zdania, przerwał mu natychmiast i rzekł z wielką żywością:

— Jakże się bardzo mylisz, drogi przyjacielu, sądząc, że dzieło, którego pierwsze wyobrażenie wypełniać musi całą duszę, może zostać dokonane w przerwach godzinowych, zyskanych kosztem innych zajęć. Nie, poeta powinien żyć całkiem dla siebie, całkiem wśród ulubionych przedmiotów. Ten, który wewnątrz obdarowany jest od nieba najhojniej, który przechowuje w duszy skarb powiększający się ciągle sam przez się, powinien i zewnętrznie żyć bez przeszkody ze swymi skarbami w cichej szczęśliwości, jaką bogacz na próżno stara się nagromadzonymi dobrami stworzyć wokół siebie. Popatrz na ludzi, jak oni gnają za szczęściem i zadowoleniem! W swoich życzeniach, trudach, pieniądzach bez odpoczynku gonią — za czym? Za tym, co poeta otrzymał od przyrody, za używaniem świata, za odczuciem siebie w innych, za harmonijnym złączeniem z wieloma rzeczami, częstokroć niedającymi się zjednoczyć. Cóż niepokoi ludzi, jeżeli nie to, że nie mogą zjednoczyć swoich pojęć z przedmiotami, że przyjemność wymyka im się z rąk, że to, co upragnione, przybywa za późno, i że wszystko, co zdobyte i utrzymane, nie sprawia

Szczęście, Fałsz

Poeta

na ich sercu tego wrażenia, jak wcześniejsze pragnienia z ich odległymi przeczuciami. Los wyniósł poetę ponad to wszystko jakby boga. Poeta widzi poruszający się bezcelowo zamęt namiętności, rodzin i państw, widzi jak nierozwiązalne zagadki nieporozumień, którym częstokroć do rozwiązania brakuje tylko jednozgłoskowego wyrazu, powodują niewypowiedziane zgubne zamieszanie. Odczuwa smutek i radość każdego losu ludzkiego. Kiedy człowiek światowy trawi swe dni w żrącej melancholii nad wielką stratą albo też w orgiastycznej radości kroczy naprzeciw swemu przeznaczeniu, to wrażliwa, łatwo wzruszająca się dusza poety przechodzi, jak słońce, z nocy do dnia, a jego harfa łagodnymi przejściami nastraja do radości lub cierpienia. Zrodzony na jego gruncie wyrasta piękny kwiat mądrości, a kiedy inni śnią, czuwając, i lękają się dziwacznych wizji nękających wszystkie ich zmysły, to on przeżywa sen życia jako czuwający, a najrzadsze rzeczy, jakie się dzieją, są dla niego zarazem przeszłością i przyszłością. I tak jest poeta zarówno nauczycielem i prorokiem, jak przyjacielem bogów i ludzi. Jak to! Chcesz, żeby on zniżał się do nędznego rzemiosła? On, stworzony jak ptak, by przelatywać nad światem, budować gniazda na wysokich szczytach i brać swój pokarm z pączków i owoców, łatwo jedną gałąź myśląc z drugą, on miałby zarazem ciągnąć pług jak wół, tropić jak pies po jednej ścieżce, albo może nawet przywiązany na łańcuchu chronić zagrodę swoim szczekaniem?

Jak łatwo sobie wyobrazić, Werner przysłuchiwał się ze zdziwieniem.

— Gdyby tylko ludzie — przerwał mu — byli stworzeni jak ptaki i mogli spędzać błogie dni w ciągłym używaniu, nie siejąc i nie orząc! Gdyby tylko z nadejściem zimy mogli się tak łatwo udawać w dalekie strony, by uniknąć niedostatku i mrozu!...

— Tak żyli — zawołał Wilhelm — poeci w czasach, gdy to, co czcigodne, znajdowało więcej uznania, i tak żyć powinni zawsze. Dostatecznie wyposażeni w swym wnętrzu, mało potrzebowali z zewnątrz; dar obudzania w ludziach pięknych uczuć, wspaniałych obrazów w łagodnych, do każdego przedmiotu przystających słowach i melodiach, od dawna oczarowywał świat i był dla obdarowanego sowitym dziedzictwem. Na dworach królów, przy stołach bogaczy, przed drzwiami zakochanych słuchano poetów, zamykając ucho i duszę na wszystkie inne sprawy, podobnie jak czujemy błogość i stajemy w zachwycie, gdy spośród krzewów, przez które przechodzimy, wydobędzie się głęboko wzruszający głos słowika! Znajdowali przyjazną gościnę w świecie, a ich stan, pozornie niski, wywyższał ich tym więcej. Bohater przysłuchiwał się ich pieśniom, a zwycięzca świata składał hołd poecie, gdyż rozumiał, że bez niego olbrzymie jego istnienie przeminęłoby jak burza; kochający pragnął tak tysiąckrotnie i tak harmonijnie odczuwać swe pragnienie i upojenie, jak je umiały malować natchnione usta; nawet bogacz nie mógł we własnych oczach uczynić tak cennymi swych posiadłości, swych bożków, jak wydawały się, gdy je oświetlił blask ducha rozumiejącego każdą wartość i wznoszącego ją na wyżyny. Co więcej, któż, proszę cię, wytworzył bóstwa, podniósł nas ku nim, zniżył ich ku nam, jeśli nie poeta?

— Przyjacielu — rzekł Werner po niejakiem namyśle — często już żałowałem, że usiłujesz przemocą wygnać ze swej duszy to, co tak żywo czujesz. Albo myłę się mocno, albo lepiej byś chyba zrobił, gdybyś do pewnego stopnia ustąpił sobie, zamiast trawić się sprzecznościami tak trudnej rezygnacji i wraz z jedną niewinną przyjemnością pozbawiać się radości wszystkich innych.

— Czy mam ci się przyznać, przyjacielu — odparł Wilhelm — i czy nie uznasz, że jestem śmieszny, gdy ci powiem, że jakkolwiek ich unikam, ciągle jeszcze ścigają mnie te obrazy i że badając swe serce, czuję w nim tkwiące silnie, a nawet silniej niż poprzednio wszystkie dawniejsze pragnienia? Ale cóż mnie nieszczęsnemu pozostaje obecnie? Ach, kto by mi przepowiedział, że tak rychło miały się złamać skrzydła mego ducha, na których wlatywałem w nieskończoność i którymi spodziewałem się niewątpliwie ogarnąć coś wielkiego; kto by mi to przepowiedział, byłby mnie w rozpacz pogrążył. A nawet teraz jeszcze, kiedy sąd nade mną się odbył, teraz, kiedy straciłem tę, która zamiast bóstwa miała spełnić moje pragnienia, cóż mi pozostaje, jak tylko oddać się najsroższym bólom? O bracie — mówił dalej — nie zaprzeczam, w moich tajemnych planach była mi ona hakiem, na którym wisi drabinka sznurowa; ufny poszukiwacz przygód mimo niebezpieczeństwa unosi się w powietrzu, żelazo pęka, a on leży zmiażdżony u stóp swoich pragnień. I dla mnie teraz nie ma już pociechy, nie ma żadnej nadziei! Nie zostawię — zawołał, zrywając się z miejsca — ani jednego z tych nieszczęsnych papierów!

Poeta



I znowu pochwycił parę zeszytów, podarł je i rzucił w ogień. Werner chciał go wstrzymać, ale na próżno.

— Zostaw mnie — zawołał Wilhelm. — Co znaczą te nędzne kartki? Dla mnie nie są już one ani stopniem, ani zachętą. Czy mają pozostać, by mnie katować aż po koniec życia? Czy mają może kiedyś służyć światu do szyderstwa zamiast wzbudzać współczucie i dreszcze? Biada mnie i mojemu losowi! Teraz dopiero pojmuję skargi poetów, smętnych mędrców z konieczności. Jakże długo uważałem, że jestem niewzruszony, że nie można mnie zranić. Ach! Teraz widzę, że dawna głęboka rana nie może się zrosnąć, nie może się zagoić; czuję, że ją muszę zabrać ze sobą do grobu. Nie! Ani na jeden dzień w życiu ból mnie nie opuści, aż w końcu mnie zabije, a jej wspomnienie zostanie przy mnie, ze mną będzie żyć i umierać, wspomnienie niegodnej — ach, przyjacielu! — jeśli szczerze mam mówić, z pewnością nie całkiem niegodnej! Jej stan, jej losy tysiącrotnie usprawiedliwiały ją przede mną. Byłem zbyt okrutny; tyś mnie przejął swoim chłodem, swoją surowością, tyś moje rozprężone zmysły uwięził i nie pozwolił, bym zrobił dla siebie i dla niej to, com był winien nam obojgu. Kto wie, w jaki stan ją wprowadziłem; a teraz z wolna spada mi na sumienie, że porzuciłem ją w takim zwątpieniu, w takiej bezradności! Czyż nie było możliwe, że się mogła usprawiedliwić? Czyż nie było możliwe? Ileż to nieporozumień może świat wtrącić z zamęt, ileż okoliczności może wybłagać przebaczenie dla największego nawet błędu? Jakże często wyobrażam ją sobie siedzącą samotnie w ciszy, wspartą na łokciu. „Oto — mówi ona — ta wierność, ta miłość, którą mi zaprzysiągł! Tak brutalnym ciosem przerywać piękne życie, które nas jednoczyło!...”

Wybuchnął potokiem łez, opuszczając twarz na stół i zwilżając pozostałe papiery.

Werner stał w największym zakłopotaniu. Nie przypuszczał, że może dojść do tak nagłego rozpłomienia namiętności. Kilka razy chciał przerwać przyjacielowi, kilka razy zwrócić rozmowę w inną stronę, na próżno! Nie oparł się rwącemu prądowi. I teraz wytrwała przyjaźń musiała objąć swe obowiązki. Pozwolił przejść najgwałtowniejszemu napadowi bólu, swoją cichą obecnością najlepiej dając poznać szczerą, czyste współczucie; i tak spędzili ten wieczór: Wilhelm zatopiony w cichych echach swojego bólu, a Werner przerażony nowym wybuchem namiętności, którą, zdawało mu się, od dawna opanował i pokonał dobrą radą i gorliwą perswazją.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Po takich nawrotach Wilhelm zwykł był przeważnie tym gorliwiej poświęcać się interesom i aktywności i była to najlepsza droga, by uciec z labiryntu, który znowu starał się go zwabić. Jego uprzejmość wobec obcych, łatwość prowadzenia korespondencji we wszystkich prawie żywych językach dawały ojcu i jego partnerowi handlowemu coraz więcej nadziei i pocieszały ich co do jego choroby, której przyczyna pozostała im nieznaną, i co do przerwy w wykonaniu ich planu. Po raz drugi zadecydowano o podróży Wilhelma; i oto zastajemy go na koniu, z tłumoczkim z tyłu, rozweselonego swobodnym powietrzem i ruchem, zmierzającego w stronę gór, gdzie miał załatwić kilka poleceń.

Przebywał powoli doliny i góry z uczuciem największego zadowolenia. Zwieszające się skały, szumiące strumienie, obrosłe ściany, głębokie przepaście widział tu po raz pierwszy, a przecież najdawniejsze jego sny młodzieńcze bujały już wśród takich okolic. Na ten widok czuł się jakby odmłodzony; wszystkie przecierpiane bóle starły się z jego duszy i z całą pogodą deklamował przed sobą ustępy z rozmaitych poetów, a szczególnie z *Pastor fido*<sup>52</sup>, które w tych samotnych miejscach przyływały gromadnie do jego pamięci. Przypominał też sobie niektóre ustępy ze swoich własnych pieśni, recytując je ze szczególnym zadowoleniem. Leżący przed nim świat ożywał wszystkimi postaciami przeszłości, a każdy krok ku przyszłości pełny był dla niego przeczuć o ważnych czynach i zastanawiających zdarzeniach.

Wielu ludzi idących za nim, mijając go z pozdrowieniem i śpiesznie ciągnąc dalej w góry po stromej ścieżce, przerywało mu kilkakrotnie cichą rozmowę ze sobą, ale nie zwracał na nich uwagi. W końcu przyłączył się do niego rozmowny towarzysz i opowiedział przyczynę ciężkiej pielgrzymki.

<sup>52</sup>*Il pastor fido* (wł.: Wierny pasterz) — tragicomedia pasterska z 1590 autorstwa Giovanniego Battisty Guariniego; także tytuł opartej na niej opery Georga Friderica Haendla z 1712. [przypis edytorski]

— W Hochdorfie — rzekł — dziś wieczorem dają komedię, na którą zbiera się całe sąsiedztwo.

— Jak to! — zawołał Wilhelm. — Wśród tych samotnych gór, przez te nieprzekniete lasy aktorstwo znalazło sobie drogę i zbudowało dla siebie świątynię? I ja mam pielgrzymować na tę uroczystość?

— Jeszcze bardziej się pan zdziwisz — odparł tamten — usłyszawszy, kto będzie tę sztukę przedstawiać. W tej miejscowości jest duża fabryka, dająca utrzymanie wielu ludziom. Przedsiębiorca, żyjący z dala, że tak powiem, od wszelkiego towarzystwa ludzkiego, nie umie w zimie zająć swoich robotników lepszym sposobem niż tylko namawiając ich, by grali komedię. Tak tedy spędzają długie wieczory, a dziś, w dzień urodzin starego, wyprawiają na jego cześć osobną uroczystość.

Wilhelm przybył do Hochdorfu, gdzie miał przenocować, i zsiadł z konia przy fabryce, której przedsiębiorca także znajdował się w jego spisie jako dłużnik.

Gdy wymienił swe nazwisko, stary zawołał zdziwiony:

— Ach, łaskawy panie, czy pan jesteś synem dzielnego męża, któremu winienem tyle wdzięczności, a także pieniędzy? Pański ojciec był w stosunku do mnie tak cierpliwy, że musiałbym być łotrem, gdybym śpiesznie i ochoczo nie zapłacił. Przybywasz pan w samą porę, ażeby zobaczyć, że mówię całkiem poważnie.

Przywołał żonę, którą również uradował widok młodzieńca; zapewniała, że jest podobny do ojca, i żałowała, że nie może go przenocować z powodu napływu wielu obcych.

Interes był jasny i uregulowany został natychmiast; Wilhelm włożył rulonik złota do kieszeni i życzył sobie, żeby inne interesy poszły mu tak gładko.

Zbliżyła się godzina przedstawienia; czekano tylko jeszcze na nadleśniczego, który też wreszcie przybył, wszedł z kilkoma strzelcami i przyjęto go z najwyższym szacunkiem.

Towarzystwo poprowadzone tedy zostało do teatru, na który przeznaczono stodołę leżącą tuż przy ogrodzie. Budynek i scena, choć bez szczególnego smaku, były dość porządnie i zgrabnie urządzone. Jeden z malarzy pracujących w fabryce był pomocnikiem przy teatrze w stolicy i stworzył teatr, choć trochę niezdarnie: las, ulicę i pokój. Tak jak była, zajmowała. Intryga — dwóch kochanków chciało wyrwać dziewczynę opiekunowi, a potem sobie nawzajem — wywoływała różne interesujące sytuacje. Była to pierwsza sztuka, jaką nasz przyjaciel widział po tak długiej przerwie; zrobił co do niej kilka uwag. Pełno w niej było działania, ale nie malowała prawdziwych charakterów. Podobała się i bawiła. Takie są początki wszelkiej sztuki teatralnej. Człowiek niewykształcony czuje zadowolenie, widząc, że coś się dzieje; wykształcony chce odczuwać, a rozmyśl jest miły tylko dla najwyżej wykształconego. Aktorom chętnie by tu i ówdzie dopomógł, gdyż mało co brakowało, by mogli stać się o wiele lepsi.

Jego cichym rozmyślaniami przeszkodził dym tytoniowy, rozchodzący się coraz silniej. Nadleśniczy zaraz po rozpoczęciu sztuki zapalił fajkę, a niebawem i wielu innych pozwoliło sobie na to samo. Wielkie psiska tego pana wyprawiały niegodziwe sceny. Wyrzucono je wprawdzie, ale wkrótce znalazły sobie drogę tylnymi drzwiami, wpadły na scenę, popędziły ku aktorom i w końcu, przeskoczywszy orkiestrę, dostały się do swego pana, zajmującego pierwsze miejsce na parterze.

Po ukończeniu sztuki wystawiono okolicznościowe ofiarowanie. Na ołtarzu stał, obwieszony wieńcami wizerunek przedstawiający starego w ślubnym stroju. Wszyscy aktorzy składali przed nim hołd w pokornych postawach. Wystąpiło najmłodsze dziecko, białe ubrane, i wyrecytowało wierszowaną mowę, która wzruszyła do łez całą rodzinę, a nawet nadleśniczego, który przypomniał sobie przy tym własne dzieci.

Tak skończyło przedstawienie się, a Wilhelm nie mógł się powstrzymać, by nie wejść na scenę, obejrzeć aktorki z bliska, pochwalić je za grę i udzielić im na przyszłość kilku rad.

Inne naszego interesy przyjaciela, jakie załatwił z wolna w większych i mniejszych miejscowościach górskich, nie poszły wszystkie ani tak szczęśliwie, ani z takim przyjemnieniem. Niektórzy dłużnicy prosili o zwłokę, inni byli niegrzeczni, jeszcze inni zaprzeczali istnieniu długu. Stosownie do polecenia musiał niektórych zaskarżyć; trzeba było wyszukać adwokata, zaznajomić go ze sprawą, stawać przed sądem i odbywać tym podobne nieprzyjemne czynności.

Równie źle wiodło mu się, gdy chciano mu okazać szacunek. Znalazł niewielu ludzi, którzy mogli go czegoś nauczyć, niewielu, z którymi spodziewałby się zawrzeć korzystny stosunek handlowy. A że na nieszczęście przypadły też dni deszczowe i podróż konno w tych okolicach połączona była z nieznośnymi trudami, dziękował więc niebu, gdy znów zbliżył się do nizin i ujrzał u stóp gór, w blasku słonecznym, leżące na pięknej i urodzajnej równinie nad spokojną rzeką, pogodne miasteczko, w którym nie miał wprawdzie wcale interesów, lecz dlatego właśnie postanowił spędzić tu parę dni, by zapewnić odpoczynek i sobie, i koniowi, wielce zmęczonemu złą drogą.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Gdy zsiadł z konia przed jakąś gospodą na rynku, ruch był w niej bardzo wesoły, a przynajmniej bardzo żywy. Wielkie towarzystwo linoskoczków, tancerzy i kuglarzy, mających przy sobie silnego człowieka, wtargnęło tu z kobietami i dziećmi i dopuszczało się jednej swawoli po drugiej, przygotowując się do występu publicznego. Już to kłócili się z gospodarzem, już to ze sobą nawzajem, a jeżeli ich spory były niemiłe, to objawy ich zadowolenia były zgoła nieznośne.

Niepewny, czy ma odejść czy zostać, Wilhelm stał w bramie i przypatrywał się robotnikom, którzy zaczęli wznosić rusztowanie na placu.

Dziewczyna obnosząca róże i inne kwiaty nadstawiła mu koszyk; kupił piękny bukiet, który z zamilowaniem związywał inaczej, przypatrując mu się z lubością, gdy w drugiej gospodzie, stojącej na rogu placu, otworło się okno i ukazała się w nim pięknie zbudowana panna. Pomimo odległości mógł spostrzec, że jej twarz ożywia przyjemna wesołość. Włosy blond, niedbale rozpuszczone, spadały jej na szyję; zdawało się, że się ogląda za przybyszem. Jakiś czas potem z bramy owego domu wyszedł chłopak w fartuszkach fryzjerskim i w białej kurteczce, podbiegł do Wilhelma, pozdrowił go i rzekł:

— Ta panna przy oknie kazała się zapytać, czy nie zechciałbyś pan odstąpić jej część pięknych kwiatów?

— Są wszystkie na jej usługi — odparł Wilhelm, oddając małemu posłańcowi bukiet, a zarazem składając piękności ukłon, na który odpowiedziała przyjaznym skinieniem i oddaliła się od okna.

Rozmyślając nad tym miłym zdarzeniem, poszedł na górę do swego pokoju, gdy przeciw niemu wyskoczyło jakieś młode stworzenie, które ściągnęło na siebie jego uwagę. Krótki jedwabny stanik z rozciętymi hiszpańskimi rękawami, wąskie, długie spodnie z bufami były dziecku bardzo do twarzy. Długie, czarne włosy były skędzierzawione i owinięte wkoło głowy w pukle i warkocze. Patrzył na tę postać ze zdziwieniem i nie mógł się zdecydować, czy ma ją uważać za chłopca czy za dziewczynę. Skłonił się jednak wkrótce ku drugiej alternatywie i gdy przechodziła koło niego, zatrzymał ją, powiedział dzień dobry i zapytał, do kogo należy, chociaż łatwo już mógł się zorientować, że musi być członkiem skaczącego i tańczącego towarzystwa. Popatrzyła na niego ostrym, ukośnym spojrzeniem czarnych oczu, bez odpowiedzi uwalniając się od niego i biegnąc do kuchni.

Stanąwszy na górze, zastał w szerokim przedsionku dwu mężczyzn, którzy się ćwiczyli w fechtunku, a raczej starali się wzajemnie wypróbować swą zręczność. Jeden był widocznie z towarzystwa, które roztasowało się w tym domu, drugi miał minę mniej dziką. Wilhelm przyglądał się im i miał pobudkę do podziwu; a gdy niedługo potem czarnobrody, muskularny szermierz opuścił plac walki, drugi z wielką grzecznością podał rapier Wilhelmowi.

— Jeżeli pan chcesz przyjąć ucznia do nauki — rzekł tenże — to bardzo mi będzie miło odważyć się na kilka ruchów z panem.

Zaczęli walczyć, a chociaż nieznamy był nieporównanie biegły od świeżego przybysza, miał przecież tyle grzeczności, że zapewniał, iż wszystko zależy od wprawy; i rzeczywiście, Wilhelm dowiódł, że pobierał niegdyś naukę od dobrego i gruntownie wyszkolonego fechtmistrza niemieckiego.

Rozmowę ich przerwał hałas, z jakim wychodziło z gospody różnobarwne towarzystwo, by zawiadomić miasto o swym przedstawieniu i obudzić pożądanie ku swym sztukom. Za dobosem jechał przedsiębiorca na koniu, za nim tancerka na podobnym kościotrupie, prowadzonym przez dziecko ustrojone we wstążki i świecidła. Następnie

sza pieszo reszta trupy; niektórzy lekko i swobodnie nieśli na plecach dzieci w awanturicznych pozycjach; wśród nich uwagę Wilhelma znów zwróciła młoda czarnowłosa, posępna postać.

Wśród tłoczącego się pospólstwa przebiegał pocieszny Pajac<sup>53</sup>, rzucając łatwo zrozumiałe żarty, to całując jakąś dziewczynę, to szturchając chłopaka, rozdawał kartki z ogłoszeniami i wzbudzał wśród ludu niepowstrzymane pragnienie poznania go bliżej.

W drukowanych zawiadomieniach wychwalane były różnorodne sztuki pokazywane przez towarzystwo, a szczególnie przez niejakiego monsieur<sup>54</sup> Narcisse i damoiselle<sup>55</sup> Landrinette, którzy oboje jako osoby w rolach głównych mieli tyle roztropności, że wstrzymali się od pochodu, nadając sobie przez to znakomitsze stanowisko i budząc większą ciekawość.

W czasie pochodu znów dała się widzieć piękna sąsiadka z okna, a Wilhelm nie zaniebdał zapytać się o nią swego towarzysza. Ten, którego tymczasem nazwiemy Laertesem, ofiarował się zaprowadzić do niej Wilhelma.

— Ja i ta panna — rzekł z uśmiechem — jesteśmy dwiema pozostałościami z towarzystwa aktorów, które niedawno temu tu się rozwiązało. Wdzięk miejscowości skłonił nas do pozostania tu przez pewien czas i korzystania w spokoju z uzbieranej odrobiny gotówki, gdy tymczasem nasz przyjaciel wyjechał, by poszukać sposobu utrzymania dla siebie i dla nas.

Laertes poszedł zaraz z nowym znajomym do drzwi Filiny, gdzie pozostawił go na chwilę, by w sąsiednim sklepie kupić cukierki.

— Podziękujesz mi pan z pewnością — rzekł wróciwszy — że panu ułatwiam tę miłą znajomość.

Panna wyszła ku nim z pokoju, mając na stopach lekkie pantofelki z wysokimi obcasami. Zarzuciła czarną mantylkę na biały negliż, który dlatego właśnie, że nie był zupełnie czysty, nadawał jej wygląd domowy i nieceremonialny; krótka spódniczka pozwalała oglądać najśliczniejsze w świecie nóżki.

— Witam pana serdecznie — rzekła do Wilhelma — przyjmij pan dzięki za piękne kwiaty.

Jedną ręką prowadziła go do pokoju, drugą przyciskała do piersi bukiet. Gdy usiedli i zajęli się obojętną rozmową, której potrafiła nadać zwrot zachwycający, Laertes wysypał jej na kolana smażone migdały; natychmiast się do nich rzuciła.

— Patrz pan — zawołała — co to za dziecko z tego młodziana! Zechce w pana wmówić, że jestem wielką miłośniczką takich łakoci, gdy tymczasem to właśnie on żyć nie może bez spożywania jakiegoś przysmaku.

— Niech tylko zechce pani przyznać — odparł Laertes — że w tym, jak i w wielu innych rzeczach chętnie dotrzymujemy sobie towarzystwa. Na przykład — dodał — dziś jest bardzo piękny dzień; sądzę, że moglibyśmy pojechać na spacer i zjeść obiad we młynie.

— I owszem — rzekła Filina — powinniśmy naszemu nowemu znajomemu okazać trochę urozmaicenia.

Laertes poskoczył — bo nie chodził nigdy — a Wilhelm chciał pójść na chwilę do siebie, by kazać doprowadzić do porządku swoje włosy, które z podróży wyglądały jeszcze jakby zburzone.

— Możesz pan to zrobić tutaj! — rzekła. Zawołała swego małego lokaja i w arcyzręczny sposób zmusiła Wilhelma, żeby zdjął surdut, wdział jej pudermantel<sup>56</sup> i w jej obecności dał się ufrizować.

— Nie należy marnować ani chwili — rzekła — nie wiadomo, jak długo będzie się razem.

Chłopak, raczej uparty i niechętny niż niezręczny, brał się nie najlepiej do rzeczy, targał Wilhelma i nie zamierzał, jak się zdawało, uwinąć się prędko. Filina strofowała go parę razy za niegrzeczność, w końcu odepchnęła go niecierpliwie i odpędziła do drzwi. Potem sama się zabrała do dzieła i z wielką łatwością i powabem trefiła włosy naszego

<sup>53</sup>Pajac (wł. *Pagliaccio*) — postać z włoskiej *commedia dell'arte*. [przypis edytorski]

<sup>54</sup>monsieur (fr.) — pan. [przypis edytorski]

<sup>55</sup>damoiselle (fr.) — dama. [przypis edytorski]

<sup>56</sup>pudermantel (z niem.) — tu: podwłosnik, pelerynka z białej, lekkiej tkaniny, chroniąca ubiór podczas czesania lub pudrowania włosów i peruki. [przypis edytorski]

przyjaciela, chociaż także się nie śpieszyła i to raz, to drugi raz ganiła to i owo w swej pracy, nie mogąc uniknąć dotykania jego kolan swoimi i nachylania bukietu i piersi tak blisko jego ust, że niejednokrotnie doznawał pokusy, by wycisnąć na nich pocałunek.

Gdy Wilhelm oczyścił sobie skroń nożykiem, rzekła do niego:

— Weź pan to i pamiętaj przy tym o mnie.

Był to zgrabny nożyk; trzonek z wyrzynanej stali ukazywał przyjazne słowa: „Pamiętajcie o mnie”. Wilhelm włożył go do kieszeni, podziękował i prosił o pozwolenie odwzajemnienia się jej podarunkiem.

Wszyscy tedy byli już gotowi. Laertes sprowadził powóz i rozpoczęła się bardzo wesoła jazda. Filina rzucała coś niecoś każdemu ubogiemu, który ją prosił o jałmużnę, darząc go zarazem wesołym słowem.

Zaledwie przybyli do młyna i zamówili jedzenie, przed domem dała się słyszeć muzyka. Byli to górnicy, wyśpiewujący przy cytrze i metalowym trójkącie różne zgrabne piosenki żywymi i donośnymi głosami. Niebawem zbiegający się tłum zamknął się w koło, a nasze towarzystwo okazywało mu z okien swoje uznanie. Spostrzegłszy, że są słuchani z uwagą, rozszerzyli swe koło i zdawali się przygotowywać do swego najważniejszego kawałka.

Po pewnej przerwie wystąpił górnik z motyką i przedstawiał czynność wyrzucania ziemi, gdy inni grali poważną melodię. Wkrótce potem wyszedł z tłumu chłop i dał tamtemu, pantomimicznie grożąc, do zrozumienia, że powinien z tego miejsca odejść. Towarzystwo było tym zdziwione i wtedy dopiero poznało górnika przebranego za chłopca, gdy otworzył usta i na sposób recytatywu lajał tamtego, że śmiał się rządzić na cudzym gruncie. Tamten nie tracił wcale fantazji, ale zaczął dowodzić rolnikowi, że ma prawo pracować tutaj motyką, przy czym wyłożył mu pierwsze zasady górnictwa. Chłop, nie rozumiejąc cudzoziemskiej terminologii, zadawał różne niedorzeczne pytania, z czego widzowie, czując się mądrzejsi, śmiali się do rozpuku. Górnik starał go się nauczyć i wskazywał mu korzyści, które w końcu i na niego spłyną, gdy zostaną wydobyte podziemne bogactwa kraju. Chłop, grożący z początku kijami, powoli dał się ułagodzić; obaj rozstali się jako dobrzy przyjaciele; szczególnie wszakże górnik wyszedł ze sporu w sposób jak najzaszczytniejszy.

— Na tym małym dialogu — rzekł Wilhelm przy stole — mamy najdobitniejszy przykład, jak pożyteczny mógłby być teatr dla wszystkich stanów, ile by korzyści samo państwo mogło z niego wyciągnąć, gdyby na scenie wystawiano czynności, zajęcia i przedsięwzięcia ludzi z ich dobrej, pochwały godnej strony i z tego punktu widzenia, z którego samo państwo musi je szanować i ochraniać. Teraz przedstawiamy tylko śmieszny stronę ludzi; komediopisarz jest jakby szyderczym cenzorem, który wszędzie czujnym okiem wypatruje wad swych współobywateli i zdaje się wtedy tylko zadowolony, gdy może im przypiąć jakąś łatkę. Czyżby to nie było pracą przyjemną i stosowną dla męża stanu, żeby rozejrzał się w naturalnym wzajemnym wpływie wszystkich stanów i kierował pracami poety mającego wystarczająco humoru? Jestem przekonany, że tym sposobem można by wymyślić dużo sztuk bardzo zajmujących, a zarazem pożytecznych i wesołych.

— O ile mogłem zauważyć w swoich licznych wędrówkach — rzekł Laertes — to wszędzie umieją tylko zakazywać, przeszkadzać i zniechęcać, rzadko zaś nakazywać, pomagać i nagradzać. Pozwalają działać się w świecie wszystkiemu, dopóki nie stanie się szkodliwie; wówczas gniewają się i biją.

— Dajcie mi pokój z państwem i mężami stanu — rzekła Filina — nie mogę ich sobie inaczej wyobrazić jak w perukach, a peruka, ktokolwiek ją nosi, wzbudza w moich palcach konwulsyjne ruchy; chciałabym ją zaraz zerwać z czcigodnego jegomości, poskakać wokół pokoju i wyśmiać łyska.

Kilkoma żywymi śpiewkami, które bardzo pięknie wykonała, Filina przecięła rozmowę i nagliła do spieszego powrotu, aby nie opuścić obejrzenia sztuk linoskoczków. Zabawna aż do nadmiernej swobody, hojność wobec ubogich okazywała również przy powrocie, aż wreszcie, gdy jej i jej towarzyszącej skończyły się pieniądze, pewnej dziewczynie rzuciła z powozu swój słomiany kapelusz, a jakiejś staruszce chustkę na szyję.

Filina zaprosiła obu towarzyszy do swego mieszkania, ponieważ z jej okien — jak mówiła — można było lepiej widzieć widowisko publiczne niż z drugiej gospody.

Przybywszy na miejsce, zastali rusztowanie wzniesione, a tyły ozdobione wywieszonymi kobiercami. Położono już deski rozpędowe, przymocowano luźną linę do słupów,

a naprężoną przeciągnięto przez kozły. Plac był dość zapełniony ludem, a w oknach siedzieli różnego rodzaju widzowie.

Pajac najpierw przygotował publiczność do uwagi i dobrego humoru kilkoma głupstwami, z których widzowie zawsze zwykle się śmiali. Kilkoro dzieci z ciałami o najdziwniejszych wykrzywieniach wzbudzało już to podziw, już to grozę, a Wilhelm nie mógł nie uczuć głębokiej litości, ujrawszy dziecko, któremu od pierwszego wejrzenia współczuł, wykonywające z pewnym trudem dziwaczne ruchy. Wkrótce jednak weseli skoczkiem wywołali żywe zadowolenie, gdy zrazu pojedynczo, potem jeden za drugim, a wreszcie wszyscy razem wykonywali skoki w powietrzu w tył i wprzód. Głośne klaskanie i wesołe okrzyki wydobyły się z całego zgromadzenia.

Ale potem uwaga zwróciła się całkiem na inny przedmiot. Dzieci jedno po drugim musiały wejść na linę, i to najpierw początkujące, ażeby swymi ćwiczeniami przedłużyć widowisko i pokazywać jasno trudność sztuki. Z dość dużą zręcznością popisywali się także mężczyźni i dorosłe kobiety, ale nie byli to jeszcze ani monsieur Narcisse, ani damoiselle Landrinette.

Na koniec wyszli oni z rodzaju namiotu, spoza czerwonych zasłon i swoją przyjemną postacią oraz ozdobnym strojem nie zawiedli szczęśliwie do tej pory żywionej nadziei widzów. On, żwawy chłopak średniego wzrostu, o czarnych oczach i wielkim harcacie<sup>57</sup>; ona, nie mniej dobrze i silnie zbudowana; oboje popisywali się kolejno na linie lekkimi poruszeniami, skokami i niezwykłymi postawami. Jej lekkość, jego śmiałość, dokładność, z jaką oboje wykonywali sztuki, wznagły z każdym krokiem i skokiem ogólne zadowolenie. Godność w ich zachowaniu, widoczne nadszkakiwanie okazywane im przez innych stwarzały wrażenie, że są panami i mistrzami całej trupy, a każdy uważa ich za godnych tego stanowiska.

Zapał ludu udzielił się widzom przy oknach; panie wpatrywały się śmiało w Narcyza, panowie w Landrynetę. Lud krzyczał z radości, a bardziej doborowa publiczność nie powstrzymywała się od oklasków; ledwie że śmiano się jeszcze z Pajaca. Niewielu tylko się wymknęło, gdy członkowie trupy przeciskali się przez tłum, zbierając pieniądze do cynowych talerzy.

— Zdaje mi się — rzekł Wilhelm do Filiny, która leżała przy nim na oknie — że dobrze wywiązałeś ze swojego zadania; podziwiam rozsądek, z jakim najdrobniejszej nawet sztuczce, wykonanej po kolei, właściwym we czasie, umieli nadać znaczenie i z jakim brak wprawy swych dzieci i wirtuozerię najlepszych spomiędzy siebie potrafili złączyć w jedną całość, która z początku zwracała naszą uwagę, a potem zabawiła nas jak najprzyjemniej.

Lud z wolna się rozszedł, a plac opustoszał, gdy Filina i Laertes zaczęli sprzeczkę o postać i zręczność Narcyza i Landrynety i drażnili się wzajemnie. Wilhelm ujrzał, że cudowne dziecko stało przy innych bawiących się dzieciach na ulicy; zwrócił na nie uwagę Filiny, która zgodnie ze swym żywym usposobieniem natychmiast zawołała i skinęła na dziecko, a gdy nie chciało przyjść, zbiegła, śpiewając, ze schodów i wprowadziła je na górę.

— Oto zagadka — zawołała, wciągając dziecię przeze drzwi.

Pozostało przy wejścia, jakby chciało zaraz się wymknąć, położyło prawą rękę na piersi, lewą na czole i pochyliło się głęboko.

— Nie lękaj się, moja mała — rzekł Wilhelm, idąc ku niej.

Popatrzyła na niego niepewnym wzrokiem i postąpiła kilka kroków naprzód.

— Jak się nazywasz? — zapytał.

— Nazywają mnie Mignon.

— Ile masz lat?

— Nikt ich nie rachował.

— Kto był twoim ojcem?

— Duży diabeł umarł.

— To dosyć dziwne! — zawołała Filina.

Pytano ją jeszcze o to i owo; odpowiadała łamaną niemczyzną i dziwnie uroczystym tonem, przy czym zawsze przykładła ręce do piersi i głowy i pochyliła się głęboko.

Wilhelm nie mógł się jej napatrzeć. Jego oczy i serce przyciągał niepowstrzymanie tajemniczy stan tej istoty. Szacował, że ma dwanaście do trzynastu lat; ciało miała dobrze

<sup>57</sup>harcap (z niem.) — warkocz noszony przez mężczyzn w XVIII w. [przypis edytorski]

zbudowane, tylko jej członki wskazywały na silniejszy wzrost, albo też wskazywały, że został wstrzymany. Rysy jej nie były regularne, ale uderzające, czoło miała tajemnicze, nos nadzwyczaj piękny, a usta, chociaż wydawały się zanadto zamknięte jak na jej wiek i chociaż niekiedy wykrzywiła wargi w jedną stronę, zawsze jeszcze były szczere i dosyć powabne. Ciemnawy kolor jej twarzy ledwie dawał się rozpoznać pod makijażem. Postać ta wyryła się w duszy Wilhelma bardzo głęboko; patrzył wciąż na nią, milczał i pograżony w myślach zapomniał o obecnych. Filina obudziła go z tego półsnu, wręczając dziecku trochę pozostałych cukierków i dając znak, żeby się oddaliło. Dziewczynka złożyła ukłon i jak błyskawica pomknęła do drzwi.

Kiedy nadszedł już czas, że nasi nowi znajomi mieli się rozstać wieczorem, umówili się o przejażdżkę nazajutrz. Chcieli znowu zjeść obiad w innym miejscu, w pobliskiej leśniczówce. Wilhelm tego wieczoru powiedział jeszcze wiele na pochwałę Filiny, ale Laertes zbywał go krótko i lekko.

Na drugi dzień, odbywszy znowu przez godzinę ćwiczenia szermierskie, poszli do gospody Filiny, przed którym ujrzeni już zajeżdżający zamówiony powóz. Ale jakże Wilhelm się zdziwił, gdy powóz znikł, a jeszcze bardziej, gdy Filiny nie zastali w domu.

— Z kilkoma obcymi, którzy przybyli dziś rano — opowiadano — wsiadła do powozu i odjechała.

Przyjaciel nasz, który w jej towarzystwie obiecywał sobie przyjemną zabawę, nie mógł ukryć doznanej przykrości. Laertes, przeciwnie, zaśmiał się i zawołał:

— Taką ją lubię! To do niej podobne! Chodźmy no tylko prosto do leśniczówki; niech sobie będzie gdzie chce, nie porzucimy z jej powodu naszej przechadzki.

Kiedy po drodze Wilhelm nie przestawał ganić tej niekonsekwencji postępowania, Laertes rzekł:

— Nie mogę nazwać tego niekonsekwencją, jeśli ktoś pozostaje wierny swemu charakterowi. Kiedy ona czegoś się podejmuje lub coś komuś przyrzeka, to zawsze pod przemilczanym warunkiem, że będzie jej dogodnie wykonać zamiar lub dotrzymać przyrzeczenia. Chętnie daje podarki, ale trzeba być przygotowanym na odwzajemnienie się jej w ten sam sposób.

— To dziwny charakter — zauważył Wilhelm.

— Wcale nie dziwny, tylko nie jest obłudna. Dlatego ją lubię, owszem jestem jej przyjacielem, że tak czysto przedstawia mi pleć, dla której mam wiele powodów, by ją nienawidzić. Jest dla mnie prawdziwą Ewą, pra... pra... babką płci niewieściej; takie są wszystkie, tylko nie chcą, żeby im to mówiono.

Prowadząc rozmowę, w której Laertes bardzo żywo wypowiadał swą nienawiść do płci żeńskiej, nie podając jednak przyczyny, weszli w las, dokąd Wilhelm wkroczył bardzo rozstrojony, gdyż słowa Laertesa ożywiły w nim na nowo wspomnienia o związku z Marianną.

Niedaleko ocienionego źródła, pod wspaniałymi starymi drzewami zastali Filinę siedzącą samotnie przy kamiennym stole. Na spotkanie zaśpiewała im wesołą piosenkę, a gdy Laertes zapytał ją o towarzyszy, zawołała:

— Pięknie ich wyprowadziłam w pole; zadrwiłam z nich, jak na to zasługiwali. Już w drodze wystawiłam ich hojność na próbę, a ponieważ spostrzegłam, że należeli do skąpych łakomców, postanowiłam zaraz ich ukarać. Gdyśmy przybyli na miejsce, zapytali kelnera, co jest do jedzenia, a ten ze zwykłą potoczystością języka wyrecytował wszystko, co było, i więcej niż było. Widziałam ich zakłopotanie, patrzyli na siebie, zacinali się i pytali o cenę. „Co się panowie tak długo namyślacie? — zawołałam. — Jedzenie to sprawa kobiety, ja się o nie zakłopotzę”. Potem zaczęłam zamawiać niedorzeczny obiad, do którego niektóre dodatki musiały zostać przyniesione przez posłańców z sąsiedztwa. Kelner, którego kilka skrzywieniami ust zrobiłam swoim zaufanym, dopomógł mi w końcu; wyobrażeniem wspaniałej uczytki takeśmy ich zastraszyli, że nie czekając długo, zabrali się i poszli na przechadzkę po lesie, z której pewnie już nie powrócą. Śmiałam się, śmiałam przez kwadrans i śmiać się będę, ile razy wspomnę sobie te twarze.

Przy stole Laertes przypomniał sobie podobne wypadki; wpadli na opowiadanie sobie wesołych historyjek, nieporozumień i figlów.

Jakiś znajomy z miasta, przechodząc przez las z książką w ręku, przysiadł się do nich i wychwalał piękne miejsce. Zwracał ich uwagę na szmer źródła, na ruch gałęzi, na przedzierające się przez liście promienie słońca i na śpiew ptaków. Filina zaśpiewała pieśń o kukułce, która najwyraźniej nie spodobała się przybyszowi; wkrótce się pożegnał.

— Obym już więcej nie słyszała o przyrodzie i scenach przyrody — zawołała Filina po jego odejściu. — Nie ma nic nieznośniejszego niż rachowanie zawczasu przyjemności, której się potem używa. Kiedy jest pogoda, idzie się na przechadzkę, tak jak się tańczy, kiedy zagrają. Ale któż chciałby choćby na chwilę myśleć o muzyce albo też o pięknej pogodzie? Tancerz nas zajmuje, nie skrzypce, a patrzeć w parę pięknych, czarnych oczu aż nadto dobrze robi parze oczu niebieskich. Cóż na to poradzą źródła i studnie, i stare spróchniałe lipy!

Mówiąc to, patrzyła na Wilhelma, który siedział naprzeciw niej z takim błyskiem w oczach, że nie mógł mu nie pozwolić przedrzeć się przynajmniej aż do drzwi swego serca.

— Ma pani słuszność — odparł z niejakim zakłopotaniem — człowiek jest dla człowieka najbardziej zajmujący i być może wyłącznie on powinien go zajmować. Wszystko inne, co nas otacza, jest tylko albo żywiołem, w którym żyjemy, albo narzędziem, którym się posługujemy. Im więcej przy tych rzeczach się zatrzymujemy, im bardziej zwracamy na nie uwagi i bierzemy w nich udział, tym słabsze staje się poczucie własnej wartości i poczucie społeczeństwa. Ci, którzy przywiązują wielką wagę do ogrodów, budowli, ubrań, strojów czy jakiegokolwiek rzeczy, są mniej towarzyscy i uprzejmi; tracą z oczu ludzi, których których niewielu udaje im się rozweselić i zgromadzić. Czyż nie widzimy tego także na scenie? Dobry aktor każe nam rychło zapomnieć o nędznej, niezdarnej dekoracji; przeciwnie, najpiękniejszy teatr czyni nas wielce czułymi na brak dobrych aktorów.

Po obiedzie Filina siedła w ocienionej bujnej trawie. Dwaj jej przyjaciele musieli jej przynosić kwiaty w obfitości. Splotła sobie wieniec i włożyła go na głowę; wyglądała niesłychanie czarująco. Kwiaty wystarczyły jeszcze i na drugi; uwiła go, gdy obaj mężczyźni usiedli koło niej. Kiedy wśród rozmaitych żartów i napomknięć był gotów, włożyła go z największym wdziękiem na głowę Wilhelma, poprawiając kilka razy, dopóki się zdawało się, że dobrze się trzyma.

— A ja, jak się okazuje, zostanę z niczym? — rzekł Laertes.

— Wcale nie — odparła Filina. — Nie będziesz się skarżył.

Zdjęła sobie wieniec z głowy i włożyła go Laertesowi.

— Gdybyśmy byli współzawodnikami — rzekł — moglibyśmy się gwałtownie spierać, który z nas dwu doznał od ciebie większej łaski.

— To bylibyście głupcami — odparła, przechylając się ku niemu i nadstawiając usta do pocałunku, ale natychmiast odwróciła się, objęła Wilhelma ramieniem i wycisnęła gorący pocałunek na jego wargach.

— Który smakuje najlepiej? — zapytała żartobliwie.

— Dziwna rzecz — zawołał Laertes. — Wygląda na to, że coś podobnego nigdy nie mogłoby smakować jak piołun.

— Nie mniej niż każdy dar — rzekła Filina — którego się używa bez zawiści i zarozumiałości. Teraz — zawołała — miałabym jeszcze ochotę z godzinę potańczyć, a potem powinniśmy znowu obejrzeć się za naszymi skoczkami.

Przyszedłszy do gospody, zastano tam muzykę; Filina, będąc dobrą tancerką, ożywiła swoich obu towarzyszy. Wilhelm nie był niezręczny, ale brakowało mu wypracowanej praktyki. Przyjacieli i przyjaciółka podjęli go się wyuczyć.

Spóźnili się: linoskoczkowie już rozpoczęli pokazywać swe sztuki. Na placu zebrało się wielu widzów; gdy nasi przyjaciele przyszli, uderzył ich zgiełk, który ściągnął wielką liczbę ludzi ku bramie zajazdu, gdzie ulokował się Wilhelm.

Wilhelm skoczył, ażeby zobaczyć, co to takiego, i przedzierając się przez tłumy, z oburzeniem spostrzegł, że zwierzchnik towarzystwa linoskoczków usiłował wyciągnąć z domu za włosy owo interesujące dziecko i biczem niemiłosiernie okładał małe ciało. Wilhelm przyskoczył jak błyskawica do tego człowieka i chwycił go za piersi.

— Puszczaj dziecko! — krzyczał jak szalony. — Albo jeden z nas zostanie tu na miejscu.



Równocześnie ujął jegomościa za gardło z taką siłą, jaką gniew tylko nadać może, że ten sądził, iż się udusi, wypuścił dziecko i starał się bronić przeciw nacierającemu. Kilku ludzi, którzy litowali się nad dzieckiem, ale nie ośmielili się zacząć sprzeczki, pochwycili zaraz linoskoczka za ramiona, rozbroili go i grozili mu, łając i wymyślając. On, widząc, że pozostała mu tylko broń ust, zaczął strasznie odgrażać się i kłąć: że leniwe niemrawe stworzenie nie chce spełniać, co do niej należy, że się wzbrania tańczyć taniec na jajkach, który obiecał publiczności, że ją zbije na śmierć i nikt mu nie może w tym przeszkodzić. Usiłował się uwolnić, chcąc znaleźć dziecko, które wpadło w tłum. Wilhelm wstrzymał go i zawołał:

— Nie prędzej zobaczysz lub dotkniesz to dziecko, aż przed sądem zdasz sprawę, gdzie je ukradłeś; gnębić cię będę do ostatka; nie umkniesz mi.

Słowa te, wypowiedziane przez Wilhelma w rozgorączkowaniu, bez przemyślenia i zamiaru, w niejasnym tylko poczuciu albo, jeśli kto woli, w natchnieniu, uspokoiły zaraz miotającego się człowieka. Zawołał:

— Co ja mam robić z tym bezużytecznym stworzeniem? Zapłać mi pan, ile mnie kosztują jej ubrania, a możesz ją pan zatrzymać; jeszcze tego wieczora możemy się dogadać.

Pośpieszył potem ciągnąć dalej przerwane widowisko i ułagodzić zaniepokojenie publiczności kilkoma świetnymi sztukami.

Kiedy było już cicho, Wilhelm szukał dziecka, ale nigdzie go nie odnalazł. Jedni powiadali, że je widzieli na strychu, inni że na dachach sąsiednich domów. Przetrzęsawszy wszystkie miejsca, trzeba się było uspokoić i poczekać, czy samo nie zechce wrócić.

Tymczasem Narcyz wrócił do domu, a Wilhelm wypytywał go o losy i pochodzenie dziecka. Nic o tym nie wiedział, bo nie od dawna był w tym towarzystwie; opowiedział natomiast z wielką łatwością i lekkomyślnością swoje własne przypadki. Gdy Wilhelm wieszował mu wielkiego powodzenia, jakim się cieszył, wyraził wobec tego obojętność.

— Jesteśmy przyzwyczajeni — rzekł — że się z nas śmieją i że nas podziwiają, ale nawet największe uznanie nie polepsza naszej doli. Przedsiębiorca opłaca nas i patrzy, żeby wyszedł na swoje.

Potem pożegnał się i chciał śpiesznie się oddalić. Na pytanie, dokąd tak szybko dąży, młodzieniec uśmiechnął się i wyznał, że jego postać i talenty zjednały mu korzystniejsze uznanie niż oklaski publiczności; otrzymał zaproszenie od kilku kobiet, które bardzo gorąco pragnęły poznać go bliżej, i lęka się, czy zdąży przed północą ze wszystkimi odwiedzinami, jakie ma złożyć. Nie przestawał opowiadać swych przygód z największą szczerością i byłby wymienił nazwiska, ulice i domy, gdyby Wilhelm nie odrzucił takiej niedyskrecji i grzecznie go nie odprawił.

Laertes tymczasem bawił Landrynetę i zapewniał, że w pełni zasługuje na to, by być i pozostać kobietą.

Nastąpiła rozmowa z przedsiębiorcą co do dziecka, które odstąpione zostało naszemu przyjacielowi za 30 talarów i względem niego czarnobrody, gwałtowny Włoch zrzekał się całkowicie swoich pretensji, ale co do pochodzenia nie chciał wyznać nic więcej ponad to, że je wziął do siebie po śmierci swego brata, którego z powodu nadzwyczajnej zęczności nazywano dużym diabłem.

Następny dzień zeszedł w większości na poszukiwaniach dziecka. Na próżno przepatrzone wszystkie zakątki gospody i sąsiedztwa; zniknęło i obawiano się, czy nie skoczyło do wody albo nie zrobiło sobie innej krzywdy.

Wdzięki Filiny nie mogły zażegnać niepokoju naszego przyjaciela. Spędził smutny, pełen rozmyślań dzień. Nawet wieczorem, choć skoczki i tancerze starali się ze wszystkich sił, by się jak najlepiej zalecić publiczności, umysł jego nie mógł się rozweselić i rozerwać.

Skutkiem zbiegowiska z sąsiednich okolic, liczba ludzi niezmiernie wzrosła, toteż burza oklasków ogromnie się wzmogła. Skoki przez miecze i przez beczkę o papierowym dnie wzbudziły wielką sensację. Ku ogólnej grozie, wzburzeniu i zdziwieniu siłacz, położywszy się głową i nogami na dwu rozstawionych krzesłach, dał sobie na wiszącym w powietrzu ciele położyć kowadło i kilku dzielnych czeladników kowalskim wykuć na nim podkowę.

I tak zwanej siły Herkulesowej — kiedy to szereg mężczyzn, stojąc na ramionach pierwszego szeregu, sam podtrzymuje kobiety i młodzieńców, tak że w końcu powstaje

żywa piramida, której wierzchołek zdobi, jak gałka i chorągiewka, dziecko głową na dół — nigdy jeszcze w tych stronach widziano i godnie zakończyła całe widowisko. Narcyz i Landrynetta dali się obnosić w lektykach na ramionach reszty towarzyszy przez główne ulice miasta wśród głośniejszych okrzyków ludu. Rzucano im wstążki, bukiety i jedwabne chustki i przeciskano się, by zajrzeć im w twarz. Wszyscy wydawali się szczęśliwi, że mogą na nich patrzeć i że zaszczyt zostali spojrzeniem.

— Jakież aktor, jakież pisarz, ba, jakież człowiek w ogóle nie widziałby się na szczycie swych pragnień, gdyby wywarł tak ogólny wpływ jakimś szlachetnym słowem albo dobrym czynem? Cóż by to było za cenne było wrażenie, gdyby można było dobre, szlachetne, godne uczucia ludzkości równie szybko rozprzestrzenić porażeniem prądem elektrycznym i wzbudzić podobny zachwyt wśród ludu, jak tego dokonali ci ludzie swoją cielesną zręcznością; gdyby można przejąć tłum współczuciem dla wszystkiego, co ludzkie, gdyby można go było wyobrażeniem szczęścia i nieszczęścia, mądrości i głupoty, nawet nierozumu i niedorzeczności zapalić, wstrząsnąć i duszę jego ospałą wprawić w swobodny, żywy i czysty ruch!

Tak mówił nasz przyjaciel, a gdy ani Filina, ani Laertes nie zdawali się skłonni do prowadzenia dalej takiej rozmowy, bawił się sam jeden tymi ulubionymi spostrzeżeniami, przechadzając się po mieście do późna w nocy i rozmyślając znowu z całą żywością i z całą swobodą wyzwolonej wyobraźni nad swym dawnym pragnieniem, by dobro, szlachetność, wielkość uzmysłowić w przedstawieniu teatralnym.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Następnego dnia, gdy linoskoczkowie z wielkim hałasem odjechali, natychmiast zjawiała się Mignon i podeszła do Wilhelma i Laertes kontynuujących swoje ćwiczenia szermierskie w sali.

— Gdzieś ty się ukrywała? — zapytał przyjaźnie Wilhelm. — Narobiłaś nam wiele kłopotu.

Dziecko nic nie odpowiedziało i patrzyło na niego.

— Teraz należysz do nas — zawołał Laertes — kupiliśmy cię.

— Ile zapłaciłeś? — zapytało dziecko sucho.

— Sto dukatów — odrzekł Laertes — jeżeli je zwrócisz, możesz być wolna.

— To pewnie dużo? — spytało dziecko.

— Oczywiście; obyś się tylko dobrze sprawowała.

— Będę służyć — odparła.

Od tej chwili zważała pilnie, jakie posługi spełniał lokaj u obu przyjaciół, a nazajutrz nie pozwoliła już wejść mu do pokoju. Chciała wszystko robić sam, i wykonywała swe prace wprawdzie powoli i czasem niezręcznie, ale dokładnie i z wielką starannością.

Często stawała nad naczyniem z wodą i myła sobie twarz z taką pilnością i gwałtownością, że prawie poraniła sobie policzki, aż Laertes pytaniami i dokuczaniem dowiedział się, że próbuje na wszelkie możliwe sposoby pozbyć się makijażu z policzków i że wskutek gorliwości, z jaką to robiła, wywołaną tarcie czerwoność poczytuje za najbardziej uporczywy barwnik. Wytłumaczono jej to i przestała, a kiedy już całkiem się uspokoiła, ukazała się jej piękna ciemna cera, choć lekko zaczerwieniona.

Pociągnięty lekkomyślnymi powabami Filiny i tajemniczą obecnością dziecka bardziej niż się przed sobą przyznawał, Wilhelm spędzał dzień po dniu w tym dziwnym towarzystwie, a usprawiedliwiał to wobec siebie pilnym ćwiczeniem się w fechtunku i tańcu, do czego, jak sądził, nie tak łatwo mógłby kiedyś znowu znaleźć sposobność.

Niemal się zdziwił i do pewnego stopnia uradował, gdy pewnego dnia ujrzał przybywających państwa Melina, którzy zaraz po pierwszym wesołym, przywitaniu zaczęli wywiadywać się o dyrektorkę i innych aktorów i z wielkim przerażeniem dowiedzieli się, że tamta już dawno odeszła, a ci z małymi wyjątkami rozproszyli się.

Młoda para, której, jak wiemy, Wilhelm dopomógł, rozejrzała się w kilku miejscowościach, szukając miejsca w teatrze, nie znalazła go i w końcu skierowała się do tego miasteczka, ponieważ w nim, jak twierdzili ludzie spotkani po drodze, miała tu znajdować się dobra scena.

Gdy się zaznajomiono, Filinie wcale nie spodobała się pani Melina, a żywemu Laertesowi pan Melina. Pragnęli czym prędzej pozbyć się przybyszów, a Wilhelm nie mógł im wyjednać łaskawszego usposobienia, chociaż parokrotnie zapewniał, że to bardzo dobrzy ludzie.

Właśnie też dotychczasowe wesołe życie trojga naszych poszukiwaczy przygód zakłócone zostało w niejednym przez powiększenie się towarzystwa; ponieważ Melina, który zamieszkał w tym samym zajeździe co Filina, zaczął zaraz wchodzić w targi i kłótnie. Chciał mieć lepszą kwatere, obfitsze jadło i szybszą obsługę za mniejsze pieniądze. W krótkim czasie gospodarz i służący zirytowali się, a kiedy inni, chcąc żyć wesoło, przystawali na wszystko i czym prędzej płacili, aby nie myśleć już o tym, co się zjadło, to obiad Meliny, który regularnie kazał go poprawiać, ciągle musiał się być zaczynany od początku, tak że Filina bez ogródek nazywała go zwierzęciem przeżuującym.

Jeszcze wstrętniejsza dla wesołej dziewczyny była pani Melina. Ta młoda kobieta miała pewne wykształcenie, ale brakowało jej całkowicie bystrości i ducha. Deklamowała niezłe i chciała deklamować ciągle, spostrzegano się jednak rychło, że to była tylko deklamacja wyrazów, ciężąca na poszczególnych ustępach, a niedająca poznać i odczuć całości.

Przy tym wszystkim mało komu, zwłaszcza wśród mężczyzn, wydawała się niemiła. Przeciwnie, ci, którzy przestawali z nią bliżej, przyznawali jej zazwyczaj piękny rozum; była ona bowiem osobą, gdybym chciał nazwać jednym słowem: odczuwającą; umiała schlebiać przyjacielowi, o którego szacunek się troszczyła, ze szczególną uwagą wchodzić w jego myśli, jak tylko mogła najdalej, a gdy już całkowicie sięgały poza jej widnokrąg, przyjmować z zachwytem takie nowe zjawisko. Potrafiła mówić i milczeć, i z wielką ostrożnością badać, jaką kto ma słabe strony, chociaż nie była złośliwa ani chytra.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Tymczasem Melina wypytał się dokładnie o pozostałości po poprzedniej dyrekcji. Zarówno dekoracje, jak garderoba były zastawione u kilku handlarzy, a notariusz otrzymał od dyrektorki zlecenie, żeby jeśli się znajdzie amator, przystał pod pewnymi warunkami na sprzedaż z wolnej ręki. Melina chciał obejrzeć rzeczy i zabrał ze sobą Wilhelma. Ten, gdy otwarto im pokój, poczuł pewną skłonność, do której sam przed sobą się nie przyznawał. Jakkolwiek pomalowane dekoracje były w bardzo złym stanie, jakkolwiek tureckie i pogańskie stroje, stare cudaczne suknie dla mężczyzn i kobiet, szaty dla czarowników, Żydów i klech nader były niepozorne, nie mógł się jednak oprzeć się wrażeniu, że najszczęśliwsze chwile życia spędził w pobliżu podobnej tandety. Gdyby Melina mógł zajrzeć do jego serca, gorliwiej namawiałby go do wydania pieniędzy na oswobodzenie, ponowne ożywienie i złożenie tych rozproszonych członków w piękną całość.

— Jakże szczęśliwym byłbym człowiekiem — zawołał Melina — gdybym miał tylko dwieście talarów, aby na początek zapewnić sobie własność tych pierwszych potrzeb teatralnych. Jakże rychło chciałbym wystawić małe widowisko, które z pewnością zaraz mogłoby nas wyżywić w tym mieście, w tej okolicy.

Wilhelm milczał i obaj w zamyśleniu opuścili ponownie zamknięte skarby.

Od tego czasu Melina nie prowadził innych rozmów, jak tylko o projektach i planach, jak można urządzić teatr i przy tym zarobić. Starał się zainteresować Filinę i Laertesa; proponowano też Wilhelmowi, żeby sypnął pieniędzmi i przyjął za nie zabezpieczenie. Ale jemu dopiero przy tej okazji przyszło na myśl, że nie powinien bawić tu tak długo; wymówił się więc i zabrał się do przygotowań do dalszej podróży.

Tymczasem postać i istota Mignon stawały się dla niego coraz bardziej czarujące. We wszystkim, co robiło to dziecko, było coś szczególnego. Nie schodziła ze schodów ani nie wchodziła na nie, tylko skakała; wchodziła na poręcze ganków i suwała się po nich, a zanim się kto spostrzegł, siedziała już na szafie i przez chwilę była spokojna. Wilhelm zauważył też, że dla każdego miała specjalny rodzaj powitania. Jego od pewnego czasu witała z rękoma skrzyżowanymi na piersiach. W niektóre dni była całkiem niema, czasami czasem odpowiadała na więcej różnych pytań, zawsze dziwnie, ale tak, że nie można było różnić, czy to był dowcip, czy nieznaną języczką; mówiła bowiem łamaną niemiecką, przeplatając ją wyrazami francuskimi i włoskimi. Co do swojej służby było to dziecko niezmordowane i wstawało wraz ze słońcem; wieczorem natomiast gdzieś się wcześniej

podziewało, spało w izdebce na gołej ziemi i niczym nie dało się nakłonić do przyjęcia pierzyny lub siennika. Często zastawał dziewczynkę, jak się myśla. Jej ubranie było czyste, chociaż prawie wszystko na niej było dwu lub trzykrotnie łatane. Powiedziano też Wilhelmowi, że co dzień bardzo rano chodzi na mszę; poszedł raz za nią i zobaczył, jak klęczy w kącie kościoła z różańcem i pobożnie się modli. Nie spostrzegła go; wrócił do domu; wiele rozmyślał o tej postaci i nie mógł dojść do żadnego konkretnego wniosku.

Ponowne naciski Meliny o sumę na wykupienie wspomnianego sprzętu teatralnego jeszcze bardziej skłoniły Wilhelma do myślenia o odjeździe. Zamierzał napisać jeszcze i wysłać dzisiejszą pocztą list do rodziny, która od dawna już nie miała od niego wiadomości; właściwie zaczął pisać list do Wenera z opowiadaniem swoich przygód, nie spostrzegając się, że nieraz się oddalił od prawdy, już zaszedł dość daleko, gdy ku swemu zmartwieniu znalazł na tylnej stronie arkusza kilka spisanych wierszy, które zaczął przepisywać ze swego portfela dla pani Meliny. Gniewnie podarł arkusz i odłożył powtórzenie swoich wyznań do następnego dnia pocztowego.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Towarzystwo nasze o znów się zebrało, a Filina, która bacznie obserwowała każdego przebiegającego konia i każdy przejeżdżający powóz, zawołała z wielką żywością:

— Nasz pedant! Przybywa nasz najmilszy pedant! Kogo też on ma ze sobą? — krzyknęła i pomachała przez okno; powóz stanął.

Z powozu wysiadł jakiś nędzny biedak, którego ze sfatygowanego ciemnoszarego surduta i spodniego ubrania w złym stanie można było wziąć za jednego z tych magistrów, którzy zwykli butwieć po akademiach; gdy zdjął kapelusz, żeby powitać Filinę, odsłonił lichy upudrowaną, ale poza tym bardzo sztywną perukę. Filina przesłała mu ręką mnóstwo pocałunków.

Tak jak znajdowała swoje szczęście w kochaniu niektórych mężczyzn i cieszeniu się ich miłością, tak niewiele mniejszą przyjemnością było dla niej, którą sprawiała sobie jak można było najczęściej, że nader swobodnie drwiła z pozostałych, których w tej właśnie chwili nie lubiła.

Przez wrzawę, z jaką przyjęła starego przyjaciela, zapomniano zwrócić uwagę na innych, którzy z nim przyszedli. Wilhelmowi zdawało się jednak, że zna dwie kobiety i podstarzałego mężczyznę, który wszedł za nimi. Szybko okazało się, że całą trójkę widział niejednokrotnie przed kilkoma laty w trupie, która grała w jego rodzinnym mieście. Od tego czasu córki podrosły, stary jednak niewiele się zmienił. Grywał zazwyczaj dobrodusznych hałaśliwych starców, jakich teatr niemiecki jest pełny i jakich nierzadko spotyka się w życiu powszednim.

Ponieważ cechą naszych rodaków jest spełniać i wyświadczać dobro bez wielkiego zachodu, rzadko tedy myślą o tym, że istnieje też sztuka czynienia dobrze z elegancją i wdziękiem, owszem, popychani duchem sprzeczności, łatwo popadają w ten błąd, iż swą najpiękniejszą cnotę ukazują tylko w kontraście, przez swoje mrukliwe zachowanie się. Takie role nasz aktor grywał bardzo dobrze, a grał je tak często i wyłącznie takie, że skutkiem tego i w życiu powszednim przyjął podobny sposób postępowania.

Wilhelm, rozpoznawszy go, doznał wielkiego wzruszenia, gdyż przypomniał sobie, jak często widywał tego człowieka na scenie obok swej ukochanej Marianny; słyszał jeszcze jego łajania, słyszał jej pieszczotliwy głos, jakim w niektórych rolach odpowiadała na jego szorstkość.

Na pierwsze żywo zdane nowo przybyłym pytanie, czy można gdzieś znaleźć miejsce lub się go spodziewać, otrzymano niestety odpowiedź negatywną i musiano przyjąć do wiadomości, że towarzystwa, o które pytano, były obsadzone, a niektóre z nich nawet w niebezpieczeństwie rozpadnięcia się z powodu zbliżającej się wojny. Hałaśliwy starzec ze zmartwienia i z zamilowania do odmiany odrzucił wraz córkami korzystne warunki, najął powóz na spółkę z pedantem, którego spotkał po drodze, i przybył tutaj, gdzie, jak się okazało, także nie było rady.

Czas, w którym inni bardzo żywo rozmawiali o swoich sprawach, Wilhelm spędził na rozmyślaniu. Pragnął, żeby mówił tylko starzec, pragnął i lękał się usłyszeć cokolwiek o Mariannie, toteż gnębił go wielki niepokój.

Grzeczności nowo przybyłych kobiet nie mogły go wyrwać z marzeń, ale sprzeczka, która się wywiązała, zwróciła jego uwagę. Fryderyk, ów chłopiec o blond włosach, który zwykł usługiwać Filinie, tym razem stanowczo się opierał, kiedy miał nakryć do stołu i przynieść jedzenie.

— Zobowiązałem się — zawołał — służyć pani, ale nie być na rozkazy wszystkim ludziom.

O to rozpoczęła się gwałtowna kłótnia. Filina obstawała przy tym, że powinien spełnić swój obowiązek, a kiedy uparcie się opierał, powiedziała mu bez ogródek, że może sobie pójść, dokąd chce.

— To pani może się zdaje, że nie mogę od pani odejść? — zawołał; odszedł, zawiązał węzełek i pospiesznie opuścił dom.

— Idź, Mignon — rzekła Filina — i zamów co potrzeba, powiedz lokajowi i pomóż w usłudze!

Mignon stanęła przed Wilhelmem i zapytała lakonicznie jak zwykle:

— Czy powinnam? Czy trzeba?

A Wilhelm odparł:

— Zrób, moje dziecko, co ci panienska powiedziała.

Dziecko wystarało się o wszystko i przez cały wieczór z wielką troskliwością usługiwało gościom.

Po obiedzie Wilhelm starał się odbyć przechadzkę sam na sam ze starcem; udało mu się i po kilku pytaniach, jak mu się dotychczas powodziło, skierował rozmowę na dawniejsze towarzystwo, a w końcu ośmielił się zapytać o Mariannę.

— Nic mi pan nie mów o tym obrzydłym stworzeniu! — zawołał stary — przysięgłem nie myśleć o niej więcej!

Wilhelm był zaskoczony tym stwierdzeniem, ale znalazł się w jeszcze większym kłopotcie, gdy stary w dalszym ciągu pomstował na jej lekkomyślność i rozpustę. Nasz przyjaciel chętnie przerwałby rozmowę, ale musiał wysłuchać hałaśliwych wywnętrzeń się obcego człowieka.

— Wstydzę się — mówił on dalej — że miałem do niej słabość. Ale gdybyś pan znał bliżej tę dziewczynę, z pewnością byś mi pan wybaczył. Była taka zgrabna, naturalna i dobra, tak uprzejma i pod każdym względem znośna. Nigdy bym nie pomyślał, żeby zuchwałość i niewdzięczność miały być głównymi cechami jej charakteru.

Wilhelm przygotował się już na usłyszenie o niej rzeczy jak najgorszych, gdy naraz spostrzegł ze zdziwieniem, że ton starego staje się łagodniejszy; w końcu brakło mu słów, wyjął chustkę z kieszeni, by otrzeć łzy, które całkiem odebrały mu głos.

— Co panu? — zawołał Wilhelm. — Co takiego nagle zmienia pańskie uczucia w przeciwnym kierunku? Nie kryj się pan przede mną, los tej dziewczyny bardziej mnie obchodzi, niż pan sobie wyobrażasz; niech wiem wszystko.

— Mało mam do powiedzenia — odparł stary, przechodząc znowu do swego surowego, mrukliwego głosu. — Nigdy jej nie daruję tego, com dla niej wycierpiał. Miała zawsze — mówił dalej — do mnie pewne zaufanie; kochałem ją jak córkę, a że moja żona żyła jeszcze, postanowiłem wziąć ją do siebie i wyratować ją z rąk starej, z opieki której niewiele dobrego sobie obiecywałem. Żona mi umarła; projekt się rozbił. Pod koniec pobytu w pańskim mieście rodzinnym, niecałe trzy lata temu, spostrzegłem w niej widoczny smutek; zapytałem ją, ale unikała odpowiedzi. Na koniec wybraliśmy się w podróż. Jechała ze mną na jednym wozie; zauważyłem, do czego się zresztą niebawem przyznała, że jest przy nadziei i najbardziej obawia się, że zostanie wyrzucona przez dyrektora. Istotnie, odkrył to niebawem to, natychmiast zerwał z nią kontrakt, który zresztą był tylko na sześć tygodni, zapłacił, co się należało, i nie zważając na żadne przedstawienia, zostawił w małym miasteczku, w lichym zajeździe. Niech lichy porwie wszystkie rozpustne dziewczki — zawołał stary ze wstrętem — a szczególnie tę, która zmarnowała mi tyle godzin życia. Co mam długo opowiadać, jak się zająłem, com dla niej zrobił, ilem na nią wydał, jak nawet pod jej nieobecność miałem nad nią pieczę. Wolałbym pieniądze w staw rzucić, a czas tracić na hodowanie parszywych psów, niżbym miał kiedykolwiek zwrócić najmniejszą uwagę na takie stworzenie. I cóż? Z początku otrzymywałem listy z podziękowaniami, wiadomości z miejsc jej pobytu, a w końcu ani słowa; nawet podziękowań za pieniądze, które wysłałem jej na pológ. O, udawanie i lekkomyślność kobiet są tak dobrze do siebie

dobrane, że zapewniają im wygodne życie, a uczciwemu człowiekowi niejedną bolesną godzinę!...

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wyobraźcie sobie stan Wilhelma, gdy po tej rozmowie wrócił do domu. Wszystkie jego dawne rany zostały rozdarte na nowo i na nowo odżyło uczucie, że ona niezupełnie była niegodna jego miłości, gdyż w zainteresowaniu starego, w pochwałę, jaką jej mimo woli musiał oddać, naszemu przyjacielowi ukazała się na nowo cała jej wartość; co więcej, nawet gwałtowna skarga namiętnego człowieka nie zawierała niczego, co mogłoby ją poniżyć w oczach Wilhelma. Sam bowiem uznawał się za współwinnego jej występku, a jej końcowe zamilknięcie nie wydawało mu się wcale naganne; przeciwnie, myślał o tym tylko ze smutkiem, widział ją jako położnicę, jako matkę z jego dzieckiem, a obrazy te wzbudziły w nim bolesne uczucie.

Mignon czekała na niego i świeciła mu na schodach. Postawiwszy świecę, prosiła go o pozwolenie, żeby mu mogła jeszcze tego wieczoru służyć jakąś sztuczką. Wolałby się od tego uwolnić, zwłaszcza że nie wiedział, co to będzie. Nie mógł jednak niczego odmówić temu dobremu stworzeniu. Po krótkiej chwili weszła ponownie. Niosła pod pachą kobierzec, który rozesłała na ziemi. Wilhelm pozwolił jej na to. Postawiła na kobiercu cztery świece, po jednej w każdym rogu. Koszyczek z jajami, który następnie przyniosła, sprawił, że jej zamiar stał się jaśniejszy. Zręcznie odmierzonymi krokami uwijała się po kobiercu i układała jajka w pewnych odstępach, potem zawołała człowieka, który był w gospodzie i grał na skrzypcach. Stanął w kącie ze swoim instrumentem; zawiązała sobie oczy, dała znak i równocześnie z muzyką, jak nastawione kółka w maszynie, rozpoczęła swoje ruchy, wybijając takt i melodię uderzeniami kastanietów.

Zręcznie, lekko, szybko, dokładnie wykonywała taniec. Tak blisko i z taką swobodą stąpała między jajami i koło nich, że co chwila można było pomyśleć, iż rozdepcze lub też przy chybkich zwrotach odepchnie któreś z ich. Bynajmniej! Nie dotknęła żadnego, chociaż przemykała się przez rzędy najrozmaitszymi krokami, krótkimi i szerokimi, a nawet podskokami, w końcu zaś na pół klęcząc.

Niepowstrzymana jak mechanizm zegarka przebiegała swą drogę, a dziwna muzyka dawała ciągle od początku wychodzącemu i rozwijającemu się tańcowi coraz nową pobudkę przy każdym powtórzeniu. Wilhelma całkowicie pochłonęło dziwaczne widowisko; zapomniał o swych troskach, śledził każde poruszenie kochanej istoty i dziwił się, jak w tym tańcu wybornie się odbijał jej charakter.

Pokazała się surowa, ostra, oschła, gwałtowna, a w łagodnych pozycjach raczej uroczyista niż miła. W chwili tej doznał w skupieniu tego, co już czuł do Mignon. Wzdychał za tym, żeby tę opuszczoną istotę pomieścić w swym sercu jak własne dziecko, wziąć ją w objęcia i miłością ojcowską obudzić w niej zamilowanie życia.

Taniec się skończył; zsunęła po cichu jajka nogami na kupkę, żadnego nie zostawiła, żadnego nie uszkodziła i stanęła przy nich, zdejmując przepaskę z oczu i kończąc swą sztuczkę ukłonem.

Wilhelm podziękował jej, że tak zgrabnie i niespodzianie wykonała przed nim taniec, który pragnął zobaczyć. Pogłaskał ją i żałował, że się tak ciężko trudziła. Obiecał jej nowe ubranie, na co odpowiedziała:

— Twojego koloru!

I to jej obiecał, chociaż nie wiedział dokładnie, co ona przez to rozumie. Zebrała jaja i kobierzec pod pachę, zapytała, czy czegoś potrzebuje, i wymknęła się za drzwi.

Od muzykanta dowiedział się, że Mignon od pewnego czasu zadawała sobie wiele trudu, by tak długo występować mu taniec, którym było dobrze znane mu fandango, aż go mógł zagrać. Ofiarowała mu nawet za jego pracę pieniądze, których jednak nie chciał przyjąć.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Po niespokojnej nocy, którą nasz przyjaciel przeżył po części czuwając, po części dręczony ciężkimi snami, ukazującymi Mariannę już to w całej piękności, już to w nędznej postaci,

to z dzieckiem na ręku, to bez niego, za ledwie nastął poranek, gdy weszła Mignon z krawcem. Przyniosła szare sukno i niebieską kitajkę i swoim zwyczajem oświadczyła krótko, że chce mieć nowy kubraczek i spodnie żeglarskie, z niebieskimi wyłogami i wstążkami, takie, jakie widywała u chłopców w mieście.

Od czasu utraty Marianny Wilhelm porzucił wszelkie jaśniejsze barwy. Przyzwyczał się do szarości, ciemnych ubrań i chyba tylko niebieska podszewka albo kołnierzyk ożywiały nieco ów skromny ubiór. Mignon, pragnąc nosić jego barwy, przynagliła krawca, który obiecał niebawem wykonać pracę.

Lekcje tańca i szermierki, które nasz przyjaciel spędził z Laertesem, nie poszły dobrze. Przerwał je rychle przybycie Meliny, który szczegółowo dowodził, że teraz zgromadziło się już towarzystwo, które mogło zagrać wystarczającą liczbę sztuk. Ponowił swoją prośbę, żeby Wilhelm wyłożył trochę grosza na urządzenie, na co ten okazał się znowu niezdecydowany.

Wkrótce ze śmiechem i hałasem przyszła Filina z dziewczętami. Wymyśliły znowu jakiś spacer, gdyż zmiana miejsca i przedmiotów były zabawą, za którą zawsze tęskniły. Jej największym pragnieniem było codziennie jeść gdzie indziej. Tym razem miała to być przejażdżka na wodzie.

Statek, na którym mieli płynąć wzdłuż zakrętów przyjemnej rzeki, był już zamówiony przez pedanta. Filina nagliła, towarzystwo nie ościągało się i wkrótce siedzieli w łodzi.

— Cóż teraz będziemy robić? — rzekła Filina, gdy wszyscy usiedli na ławkach.

— Najprostszą rzeczą byłoby — odparł Laertes — wypróbować bez przygotowania jakąś sztukę. Niech każdy weźmie rolę, która najlepiej pasuje do jego charakteru, a zobaczymy, jak nam pójdzie.

— Wybornie! — rzekł Wilhelm. — W towarzystwie bowiem, w którym się nie udaje, w którym każdy kieruje się tylko własnym rozsądkiem, nie mogą długo mieszkać wdziek i zadowolenie! A gdzie się zawsze udaje, tam one wcale nie przychodzą. Nieźle to zatem pomysłano: zaraz z początku zgadzamy się na udawanie, a potem pod maską będziemy tak szczyrzy, jak tylko zechcemy.

— Tak jest — rzekł Laertes — dlatego tak przyjemnie żyje się z kobietami, które się nigdy pozwalają się zobaczyć w swojej naturalnej postaci.

— To sprawia — zauważyła pani Melina — że nie są tak próżne jak mężczyźni, którzy wyobrażają sobie, że są już wystarczająco godni kochania tacy, jak ich natura stworzyła.

Tymczasem płynęli wśród miłych zarośli i wzgórz, wśród ogrodów i winnic, a młode panny, szczególnie zaś pani Melina, wyrażały zachwyt nad okolicą. Ta ostatnia zaczęła nawet wygłaszać uroczyste zgrabny poemacik z gatunku opisowego o podobnej uczcie na świeżym powietrzu, ale Filina przerwała jej i podała wniosek, żeby nikt nie śmiał mówić o przedmiocie martwym; natomiast gorliwie przeprowadzała projekt improwizowanej komedii. Hałaśliwy starzec miał grać emerytowanego oficera, Laertes fechmistrza bez zajęcia, pedant Żyda; ona sama chciała być Tyrolką, a innym pozostawiła role do wyboru. Trzeba było udawać, iż stanowią towarzystwo zupełnie sobie obce, które spotkało się dopiero na statku kupieckim.

Zacząła natychmiast odgrywać swą rolę z Żydem i zapanowała ogólna wesołość.

Nie płynęli długo, gdy się żeglarz zatrzymał statek, żeby za pozwoleniem towarzystwa zabrać kogoś, kto stał na brzegu i dawał znaki.

— Właśnie to, czego jeszcze potrzebujemy — zawołała Filina — towarzystwu podróży jeszcze tylko pasażera na gapę brakowało.

Na statek wszedł dobrze zbudowany mężczyzna, którego z ubrania i szanownej miny można było wziąć za księdza. Powitał towarzystwo, które we właściwy sposób podziękowało mu i zaraz zaznajomiło ze swoją zabawą. Przyjął w niej rolę wiejskiego księdza, którą ku zdziwieniu wszystkich odegrał jak najśliczniej; to napominając, to opowiadając historyjki, ujawniając swoje słabe strony, a jednak umiając zachować godność.

Każdy, kto choćby raz wyszedł ze swojej roli, musiał dawać fant. Filina zbierała je z wielką starannością, a zwłaszcza groziła duchownemu mnóstwem pocałunków za pokutę, chociaż nigdy nie został ukarany. Natomiast Melina został całkiem obrabowany: Filina zabrała mu spinki od koszuli, sprzączki i wszystko, co było na nim ruchomego; miał on bowiem odgrywać podróżującego Anglika i w żaden sposób nie mógł wczuć się w swoją rolę.

Czas mijał tymczasem jak najprzyjemniej; każdy, jak tylko potrafił, wyteżał swoją wyobraźnię i dowcip i upiększał rolę miłymi i zabawnymi żartami. Tak przybyli do miejsca, w którym chcieli spędzić dzień, a Wilhelm wkrótce wdał się z duchownym, jak go nazwiemy ze względu na powierzchowność i rolę, w zajmującą rozmowę na przechadzce.

— Uważam, że takie ćwiczenie — rzekł Nieznajomy — jest bardzo przydatne dla aktorów, nawet w towarzystwie przyjaciół i znajomych. To najlepszy sposób na wydobyć ludzi z siebie i okrężną drogą wprowadzanie ich znowu w siebie. Powinno być wprowadzone w każdej trupie, żeby musiała się od czasu do czasu tym sposobem wprawiać, publiczność zaś z pewnością zyskałaby na tym, gdyby co miesiąc wystawiano niepisana sztukę, do czego aktorzy oczywiście musieliby się przygotowywać na licznych próbach.

— Nie należałoby — odparł Wilhelm — tego rodzaju sztuki wyobrażać sobie tak, jakby układano ją na poczekaniu, bez żadnego przygotowania, ale raczej tak, że plan, akcja i podział scen są określone, a tylko wykonanie pozostawione aktorom.

— Bardzo słusznie — rzekł Nieznajomy — i właśnie co do tego wykonania, to sztuka taka, gdyby się tylko aktorzy wdorożyli, zyskałaby nadzwyczajnie. Nie wykonanie w słowach, gdyż nimi musi swoją pracę ozdobić rozważny autor, ale wykonanie w gestach i minach, okrzykach i tym, co się z tym wiąże, słowem niema, na wpół głośna gra, która u nas, jak się zdaje, z wolna całkiem znika. Są zaiste w Niemczech aktorzy, których ciało wyraża to, co myślą i czują, którzy milczeniem, ociąganiem się, skinieniami, łagodnymi i wdzięcznymi ruchami ciała umieją przygotować mowę, a przerwy w rozmowie złączyć z całością przez stosowną pantomimę; ale ćwiczenie, które pomogłoby szczęśliwemu temperamentowi i nauczyło współzawodniczyć się z autorem, nie jest tak rozpowszechnione, jak można by sobie życzyć dla upodobania tych, co chodzą do teatru.

— A czyżby szczęśliwy temperament — odparł Wilhelm — jako rzecz pierwsza i ostatnia nie mógł sam przez się doprowadzić aktora, jak każdego innego artysty, jak każdego może człowieka, do tak wysoko postawionego celu?

— Niechby sobie był i pozostał pierwszą i ostatnią rzeczą, początkiem i końcem, ale w środku czegoś brakowałoby artyście, jeżeliby wykształcenie nie zrobiło z niego, czym być powinien, i to wczesne wykształcenie, bo może ten, któremu przypisują geniusz, jest w gorszym położeniu aniżeli ten, co posiada tylko zwykłe zdolności, gdyż tamten łatwiej niż ten może zostać spaczony i daleko silniej pchnięty na fałszywe drogi.

— Ależ — zauważył Wilhelm — czyż geniusz nie wyratuje się sam, czy nie uleczy ran, które sam sobie zadał?

— Wcale nie — odrzekł tamten — albo przynajmniej bardzo a bardzo niedostatecznie, bo niech nikt nie sądzi, żeby mógł przewyciężyć pierwsze wrażenia młodości. Jeżeli ktoś wyrósł w błogiej wolności, otoczony pięknymi i szlachetnymi przedmiotami, obcując z dobrymi ludźmi; jeżeli mistrzowie nauczyli go tego, co najpierw umieć powinien, ażeby resztę łatwiej pojąć; jeżeli się nauczył tego, czego nigdy oduczać się nie potrzebuje; jeżeli pierwsze jego czyny były tak nakierowane, że może w przyszłości łatwiej i swobodniej wykonywać dobro, nie będąc zmuszony odzwyczajając się od niczego, to człowiek taki będzie prowadził życie czystsze, doskonalsze i szczęśliwsze niż inny, który pierwsze siły młodzieńcze wyczerpał wśród oporu i błędów. Tyle się mówi i pisze o wychowaniu, a niewielu widzę ludzi, którzy by zrozumieli i w zdołali zaprowadzić tę prostą, ale wielką koncepcję, mieszczącą w sobie wszystkie inne.

— Może to i prawda — rzekł Wilhelm — bowiem każdy człowiek jest tak ograniczony, że chciałby wychować innego na swoje podobieństwo. Szczęśliwi więc ci, których bierze los w opiekę, gdyż on wychowuje każdego we właściwy sposób.

— Los — odparł Nieznajomy uśmiechając się — jest wytwornym, ale droгим ochmistrzem. Wolałbym bądź co bądź trzymać się rozumu mistrza ludzkiego. Los, dla mądrości którego mam głębokie uszanowanie, miewa w przypadku, jako środka swego działania, organ bardzo niepodatny. Rzadko bowiem ten wykonuje dokładnie i wiernie, co tamten zdecydował.

— Bardzo dziwną myśl pan wypowiadasz, jak mi się zdaje — rzecze Wilhelm.

— Wcale nie! Większość tego, co się dzieje na świecie, usprawiedliwia moje mniemanie. Czyż wiele zdarzeń nie zapowiada z początku czegoś rozumnego, a nie kończy się zazwyczaj czymś niedorzecznym?

— Pan żartujesz.

Młodość

Młodość

Los, Rozum



— A czyż nie tak samo bywa — mówił tamten dalej — z tym, co spotyka tego i owego człowieka? Dajmy na to, los przeznaczył kogoś na dobrego aktora (a dłaczegóżby nie miał nam dawać także dobrych aktorów?), a tymczasem na nieszczęście przypadek zaprowadził młodzieńca do jasełek, gdzie ten nie mógł się wcześniej powstrzymać od wzięcia udziału w czymś niesmacznym, poczytywać za bardzo interesujące, co było niedorzeczne, i tym sposobem z niewłaściwej strony doznać w młodości wrażeń, które nigdy nie wygasają, którym nigdy nie możemy odmówić pewnej przychylności.

— Skąd pan wpadł na jasełka? — przerwał mu Wilhelm z niejakim zdumieniem.

— To był dowolny przykład, jeżeli się panu nie podoba, weźmiemy inny. Los, dajmy na to, przeznaczył kogoś na wielkiego malarza, a przypadkowi spodobało się pchnąć go za młodu w brudne chaty, stajnie i obory; czyż pan sądzisz, że taki człowiek wzniesie się kiedyś do czystości, do szlachetności, do wolności ducha? Im żywiej wchłonął w młodości pierwiastek nieczysty, uszlachetniając go po swojemu, tym silniej pomści się ten pierwiastek na nim w dalszym życiu, ponieważ zrósł się z nim jak najściślej, gdy artysta starał się go przewyciężyć. Kto za młodu żył w złym, lichym towarzystwie, zawsze będzie za nim tęsknić, chociaż później pozna lepsze, bo wrażenie tamtego pozostało mu wraz ze wspomnieniem młodzieńczych, rzadko powtarzających się radości.

Łatwo sobie wyobrazić, że przy takiej rozmowie reszta towarzystwa powoli się oddaliła. Zwłaszcza Filina zaraz z początku odeszła na bok. Boczną drożyną powrócono do rozmawiających. Filina wydobyła fanty, które trzeba było wykupywać rozmaitymi sposobami, przy czym Nieznajomy zalecił się całemu towarzystwu, a szczególnie kobietom bardzo zgrabnymi pomysłami i niewymuszonym współudziałem; i tak upływały jak najprzyjemniej godziny dnia wśród żartów, śpiewów, pocałunków i wszelkiego rodzaju zalotów.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Gdy chcieli wrócić do gospody, obejrzeni się za swoim księdzem, ale ten znikł i nigdzie nie można było go znaleźć.

— To niegrzecznie — rzekła pani Melina — ze strony człowieka, który zresztą zdaje się być bardzo uprzejmy, opuszczać bez pożegnania towarzystwo, które tak mile go przyjęło.

— Przez cały ten czas zastanawiałem się — rzecze Laertes — gdzie mogłem już kiedyś widzieć tego dziwnego człowieka. Właśnie zamierzałem zapytać go przy rozstaniu.

— I mnie to samo się snuło — odparł Wilhelm — i z pewnością nie puściłbym go, póki by nam nie odsonił czegoś bliższego ze swego życia. Albo bardzo się myślę, albo już z nim gdzieś rozmawiałem.

— A jednak możecie się w tym mylić — zauważyła Filina. — Ten człowiek właściwie tylko wygląda na znajomego, ponieważ wygląda jak człowiek, a nie jak Jasiek czy Maciek.

— Cóż to ma znaczyć — rzecze Laertes — czy my nie wyglądamy także jak ludzie?

— Wiem, co mówię — odparła Filina — a jeżeli mnie nie rozumiecie, to dajcie spokój. Nie potrzebuję dodatkowo objaśniać swoich słów.

Zajechały dwa powozy. Pochwalono troskliwość Laertes, że je zamówił. Filina zajęła miejsce obok pani Meliny, naprzeciw Wilhelma, a reszta ulokowała się, jak mogła. Laertes jechał z powrotem do miasta na koniu Wilhelma, którego również przyprowadzono.

Zaledwie Filina zasiadła w powozie, zaczęła śpiewać zgrabne piosenki i zwróciła zręcznie rozmowę na opowiadania, które mogłyby być według niej z powodzeniem traktowane dramatycznie. Tym sprytnym zwrotem wprawiła rychło swego młodego przyjaciela w jak najlepszy humor; ułożył on natychmiast z bogatego zapasu swoich żywych obrazów całą sztukę, ze wszystkimi aktami, scenami, charakterami i komplikacjami. Uznano, że dobrze będzie wpleść kilka arii i śpiewów; skomponowano je, a Filina, która angażowała się we wszystko, dopasowała do nich znane melodie i od razu je zaśpiewała. Miała dzisiaj swój miły, bardzo miły dzień; potrafiła naszego przyjaciela rozruszać rozmaitymi wabikami; było mu tak błogo, jak już dawno nie było.

Od czasu, gdy tamto okrutne odkrycie co do Marianny rozdarło mu duszę, pozostał wierny ślubowi unikania zatraskującej się pułapki objęć niewieścich, strzeżenia się płci przewrotnej, zamykania w swej piersi bólów, skłonności, słodkich życzeń. Sumiennosc,

z jaką dotrzymywał tego ślubu, dawała tajemną pożywkę całej jego istocie, a że serce nie mogło pozostać bez współczucia, więc miłosne wywnętrzanie się stało się jego potrzebą. Chodził teraz znowu jakby otoczony pierwszą mgłą młodości; oczy jego obejmowały z radością każdy poważny przedmiot, a jego sąd nigdy nie był oględniejszy co do jakiejś miłej postaci. Jak niebezpieczna dla niego w takim stanie musiała być przebiegła dziewczyna, łatwo sobie, niestety, wyobrazić.

W gospodzie zastali już w pokoju Wilhelma wszystko gotowe na przyjęcie: krzesła ustawione do odczytu, na środku stół, na którym miała stać misa z ponczem.

Sztuki z czasów rycerstwa niemieckiego były właśnie wtedy nowością i ściągnęły na siebie uwagę i zamiłowanie publiczności. Stary zrzęda przywiózł ze sobą jedną sztukę tego rodzaju; postanowiono zrobić odczyt. Usiedli. Wilhelm wziął egzemplarz i zaczął czytać.

Rycerzy w zbrojach, stare zamki, szczerłość, uczciwość i słowność, a zwłaszcza niezależność postaci przyjęto z wielkim uznaniem. Prelegent wysiłał się, jak mógł, a towarzystwo nie posiadało się z radości. Między drugim a trzecim aktem pojawił się poncz w dużej wazie, a że w samej sztuce bardzo wiele pito i trącano się, nic nie było zatem naturalniejszego, niż żeby towarzystwo w każdym takim razie przypadku żywo stawiało się na miejscu bohatera, zaraz pobrzękiwało szklankami i wiwatowało na cześć ulubieńca wśród postaci.

Każdy płonął ogniem najszlachetniejszego ducha narodowego. Jakże wielce podobało się temu niemieckiemu towarzystwu, że mogło stosownie do swego charakteru zabawiać się poetycznie na własnym gruncie! Krypty i piwnice, zrujnowane zamki, mech i spróchniałe drzewa, a nade wszystko nocne sceny z Cyganami i tajemny sąd wywarły niesamowity efekt. Każdy aktor widział się już, jak niebawem w hełmie i zbroi, każda aktorka, jak w dużym stojącym kołnierzu pokaże publiczności swoją niemieckość. Każdy chciał zaraz przyswoić sobie imię ze sztuki lub z dziejów niemieckich, a pani Melina zaklinała się, że syna lub córkę, ku czemu miała nadzieję, ochrzci nie inaczej jak Adalbertem<sup>58</sup> albo Matyldą<sup>59</sup>.

Koło piątego aktu uznanie stało się hałaśliwsze i głośniejsze, a nawet w końcu, gdy bohater umknął swemu prześladowcy i ukarał tyrana, zachwyty był tak wielki, że przysięgano, iż nigdy nie spędzono tak szczęśliwych godzin. Melina, którego natchnął napój, był najgłośniejszy, a gdy opróżniono drugą wazę ponczu i zbliżała się północ, Laertes przysięgł uroczyście, że żaden człowiek nie jest godzien kiedykolwiek przytykać warg do tych szklanic, i wraz z tą przysięgą rzucił swoją szklanką za siebie, za okno na ulicę. Inni poszli za jego przykładem i pomimo protestów przybyłego gospodarza także sama waza do ponczu, której po takiej uczcie nie wolno było bezcześcić bezbożnym napojem, została rozbita na tysiąc kawałków. Filina, po której najmniej było widać upojenie, gdy tymczasem obie panienki w nienajprzyzwoitszych pozycjach rozłożyły się na kanapie, pobudzała innych do hałasu, ciesząc się ze zniszczenia. Pani Melina deklamowała jakieś wzniosłe poematy, a jej mąż, który w oszołomieniu nie był zbyt miły, zaczął wymyślać na złe przyrządzenie ponczu, zapewniając, że on całkiem inaczej rozumie urządzenie uczty, a gdy Laertes kazał mu się uciszyć, stał się jeszcze głośniejszy i bardziej grubiański, tak że w końcu Laertes, niedługo się namyślając, rzucił mu w głowę odłamkami wazy, wzmagając tym hałas.

Tymczasem nadeszła straż nocna i żądała wypuszczenia do domu. Wilhelm, rozpalony czytaniem, chociaż pił mało, miał dosyć kłopotu, aby z pomocą gospodarza uspokoić ludzi pieniędzmi i dobrym słowem, a członków towarzystwa w ich niemiłym położeniu odstawić do domu. Wróciwszy, śpiący i niezadowolony, rzucił się w ubraniu na łóżko, a nic nie mogło się równać nieprzyjemnemu uczuciu, gdy nazajutrz otworzył oczy i ponurym okiem spozjrzał na spustoszenia minionego dnia, na śmiecie i złe skutki, jakie wywarło pełne fantazji, życia i dobrych intencji dzieło poety.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Po krótkim namyśle przywołał zaraz gospodarza i kazał zarówno szkody, jak ucztę zapisać na swój rachunek. Równocześnie nie bez przykrości dowiedział się, że jego koń został

<sup>58</sup>Adalbert z Magdeburga (ok. 910–981) — niemiecki mnich i opat benedyktyński, pierwszy arcybiskup Magdeburga, misjonarz, pracownik dworu cesarza Ottona I; święty Kościoła katolickiego. [przypis edytorski]

<sup>59</sup>Matylda — tu zapewne: Matylda von Ringelheim (ok. 895–968), żona króla Niemiec Henryka I Ptasznika, matka cesarza Ottona I; święta katolicka. [przypis edytorski]

wczoraj tak zajeżdżony przez Laertesa, iż zapewne, jak się to zwykle mówić, ochwacił<sup>60</sup> się, i że kowal mało daje nadziei na jego powrót do zdrowia.

Natomiast pozdrowienie od Filiny, które pomachała mu z okna, wprawiło go znowu w pogodne usposobienie i natychmiast poszedł do najbliższego sklepu kupić dla niej jakiś podarunek, który winien jej był dotąd za piękne dziewczęcę od pudru, i musimy przyznać, nie trzymał się w granicach proporcjonalnego odwzajemnienia się. Kupił jej nie tylko parę bardzo ładnych kolczyków, ale wziął nadto kapelusz, chusteczkę na szyję i kilka innych drobiazgów, które, jak widział pewnego dnia, hojnie wyrzuciła.

Pani Melina, która przyszła go obserwować właśnie wtedy, gdy wręczał swoje dary, wystarała się jeszcze przed obiadem o sposobność zrobienia bardzo poważnych wymówek co do jego uczucia dla tego dziewczęcia; on zaś był tym bardziej zdziwiony, że niczego się mniej nie spodziewał niż takich zarzutów. Przysiągł uroczyście, że mu ani na myśl nie przyszło starać się o tę osobę, której przypadki znał dobrze; tłumaczył się, jak mógł, ze swego przyjaznego i grzecznego względem niej postępowania, ale bynajmniej nie uspokoił pani Meliny, która stawiała się coraz bardziej niezadowolona, spostrzegając, że pochlebstwo, którym zyskała sobie pewien rodzaj skłonności naszego przyjaciela, nie wystarcza do obrony tego posiadania przeciwko napadom osoby żywej, młodszej i obficie uposażonej przez naturę.

Jej męża, gdy się zeszli przy stole, zastali również w bardzo złym humorze; zaczął go już objawiać w drobnostkach, gdy wtem wszedł gospodarz i doniósł o przybyciu harfiarza.

— Niewątpliwie posłuchacie państwo z przyjemnością — rzekł on — muzyki i śpiewu tego człowieka; kto tylko go posłyszysz, nie może się powstrzymać, by go nie podziwiać i dać trochę grosza.

— Wyrzuc go pan — odparł Melina — nie jestem wcale usposobiony do słuchania lirnika, a wśród nas są przecież śpiewacy, którzy także chcieliby coś zarobić.

Słowom tym towarzyszyło ukośne, złośliwe spojrzenie zwrócone w stronę Filiny. Zrozumiała je i jego zmartwieniu Meliny zaraz była gotowa wziąć w obronę zapowiedzianego śpiewaka. Zwróciła się do Wilhelma i rzekła:

— Czy nie powinniśmy posłuchać tego człowieka, czy nic nie zrobimy, aby się wyrwać z tych okropnych nudów?

Melina chciał jej odpowiedzieć i spór mógłby się zaognić, gdyby Wilhelm nie był pozdrowił wchodzącego właśnie człowieka, przywołując go skinieniem.

Postać tego dziwnego gościa wprawiła całe towarzystwo w zdumienie, tak że zajął on krzesło, zanim ktokolwiek ośmielił się go zapytać lub cokolwiek powiedzieć. Jego łysa czaszka otoczona była odrobiną siwych włosów, wielkie, niebieskie oczy patrzyły łagodnie spod długich białych rzęs. Nos miał pięknie ukształtowany, a długa biała broda nie zakrywała uprzejmych ust; długa, ciemnobraunatna szata otaczała smukłe ciało od szyi aż do stóp. Na harfie, którą postawił przed sobą, zaczął preludia.

Miłe dźwięki, wydobyte przez niego z instrumentu, rozpogodziły niebawem towarzystwo.

— Zwykle też śpiewasz, dobry starcze — rzekła Filina.

— Daj nam coś, co rozweseliłoby serce i ducha wraz ze zmysłami — rzekł Wilhelm. — Instrument powinien tylko towarzyszyć głosowi, gdyż melodie, pasaże i skoki bez słów i znaczenia wydają mi się podobne do motyli lub ładnych pstrych ptaków, które unoszą się w powietrzu na naszych oczach, za którymi ciągle gonimy, chcąc je schwytać; przeciwnie śpiew: unosi się jak duch ku niebu i pobudza naszą lepszą część, by mu towarzyszyła.

Starzec spojrział na Wilhelma, potem w górę, uderzył kilka razy w harfę i zaczął pieśń. Zawierała ona pochwałę śpiewu, wysławiała szczęście śpiewaków i napominała ludzi, by ją czcili. Wyśpiewał tę pieśń z takim życiem i prawdą, że zdawało się, jakby stworzył ją w tej chwili i przy tej okazji. Wilhelm ledwie się wstrzymał, by nie objąć go za szyję; tylko obawa, żeby nie wzbudzić głośnego śmiechu, ściągnęła go na krzesło; inni bowiem robili już po cichu jakieś głupie uwagi i spierali się, czy to ksiądz, czy Żyd.

Kiedy spytano o autora pieśni, nie dał jasnej odpowiedzi, zapewnił tylko, że śpiewok ma pod dostatkiem i że pragnie tylko, aby się podobały. Większość towarzystwa była wesola i radosna, nawet Melina otworzyła się na swój sposób i gdy rozmawiano z sobą

<sup>60</sup>ochwacić — uszkodzić miękkie części końskiego kopyta, wywołując ich zapalenie. [przypis edytorski]

i żartowano, starzec zaczął śpiewać dowcipną pochwałę życia towarzyskiego. Wychwał powabnymi dźwiękami jedność i uprzejmość. Naraz śpiew stał się suchy, surowy i zmęczony, gdy oplakiwał zawzięte zamknięcie się w sobie, nierozumną nieprzyjaźń i niebezpieczną niezgodę, a każda dusza z ochotą odrzuciła te niewygodne więzy, gdy unosząc się na skrzydłach ujmującej melodii, sławił twórców pokoju i opiewał szczęście dusz, które się odnalazły.

Zaledwie skończył, Wilhelm zawołał do niego:

— Kimkolwiek jesteś, przybywasz do nas jak duch opiekuńczy ze słowami błogosławieństwa i życiodajności, przyjmij mój podziw i podziękowanie! Czuj, że wszyscy cię podziwiamy, i powiedz nam, jeżeli czegoś potrzebujesz!

Starzec milczał, powiódł palcami po strunach, potem szarpnął je silniej i śpiewał:

«Co tam rozbrzmiewa tak w oddali,  
Od bramy, dźwięcząc głucho?  
Niech śpiew ten w przodków sali  
Napawa nasze ucho!»  
Tak mówił król; paż się uwinął,  
A gdy powrócił, król nań skinął:  
«Wprowadzić mi starego!»

«Pozdrawiam was, szlachetne pany,  
Pozdrawiam, piękne damy!  
Gwiazd świetnych tutaj wiec zebrany,  
Lecz imion ich nie znamy.  
W tej sali, gdzie przepychu tyle,  
Olśniony wzrok mój choć na chwilę  
Niech wielbi gwiazdy owe».

I przymrużywszy śpiewak oczy,  
Uderzył w pełne tony.  
Rycerzy wzrok się wkoło toczy  
A niewiast w dół spuszczoney.  
Król rad był z pieśni, więc przy trunku  
Rozkazał piewcy w podarunku  
Złocisty łańcuch podać.

«Ten łańcuch złoty to nie znamię  
Potulnej piewcy duszy;  
Daj go rycerzom, których ramię  
Potęgę wrogów kruszy;  
Daj kanclerzowi; on z ochotą  
Tę nową też nagrodę złotą  
Przy innych nosić będzie.

Ja śpiewam, jako ptaszek śpiewa,  
W gęstwinie tam nad wodą;  
Ta pieśń, co z piersi się wylewa,  
Sama sobie nagrodą.  
Lecz skoro prosić, to szklanicę  
Z ochotą w ręce chwyć,  
Najprzedniejszego wina».

Do ust przyłożył złote wino  
I spełnił napój smaczny.  
«Błogosławiona bądź, gościno,  
Gdzie dar to małoznaczny!

Gdy szczęście służy wam statecznie,  
Dziękujcie Bogu tak serdecznie,  
Jak ja wam dziś dziękuję». <sup>61</sup>

Gdy śpiewak skończył pieśń, chwycił szklankę nalanego mu wina i wypił je z przyjaznym wyrazem twarzy, zwracając się do swoich dobroczyńców, a w zgromadzeniu zapanała powszechna radość. Klaskano i wołano, żeby mu ta szklanica wyszła na zdrowie, na pokrzepienie jego starych członków.

Zaśpiewał jeszcze kilka romanc <sup>62</sup> i wzbudzał coraz większe ożywienie w towarzystwie.

— Czy znasz, stary, melodię *Pasterz się do tańca stroił*? — zawołała Filina.

— A jakże — odparł — jeżeli zechcesz pani zaśpiewać pieśń, ja nie zawiodę.

Filina wstała i trzymała się pogotowiu. Stary rozpoczął melodię, a ona śpiewała pieśń, której nie możemy przytoczyć naszym czytelnikom, gdyż może uznaliby ją za niesmaczną, a nawet nieprzyzwoitą.

Tymczasem towarzystwo, stając się coraz to weselsze, wypilo jeszcze niejedną butelkę wina i zaczęło być bardzo głośnie. Ponieważ jednak naszemu przyjacielowi unosiły się w świeżej jeszcze pamięci smutne następstwa wesołości, starał się ją przerwać, włożył starcowi do ręki hojne wynagrodzenie za jego trudy; inni także coś niecoś dodali, pozwolono mu odejść i spocząć i obiecano sobie na wieczór powtórna przyjemność z jego umiejętności.

Gdy się oddalił, Wilhelm rzekł do Filiny:

— Nie mogę wprawdzie uznać w pani zmysłowej piosnce zalety ani poetyckiej, ani obyczajowej, ale jeżeli pani z tak samą naiwnością, właściwością i wdziękiem wykonasz kiedykolwiek w teatrze coś odpowiedniego, to z pewnością otrzymasz pani ogólne żywe oklaski.

— Tak — odrzekła Filina — musi to być bardzo przyjemne wrażenie grzać się przy lodzie.

— W ogóle — mówił Wilhelm — jak dalece ten człowiek zawstydzą niejednego aktora! Czyś pani zauważyła, jak trafny był wyraz dramatyczny jego romanc? Niewątpliwie w jego śpiewie było więcej wyrazistości niż w naszych sztywnych osobach na scenie; można by wykonanie niektórych sztuk uważać raczej za opowiadanie, a tym muzycznym opowiadaniom przypisać zmysłową obecność.

— Jesteś pan niesprawiedliwy! — odparł Laertes. — Nie uważam się ani za wielkiego aktora, ani za śpiewaka, ale wiem, że muzyka, kierując poruszeniami ciała, nadaje im życie, że zarazem przepisuje im miarę; jeżeli zaś deklamacja i sposób przedstawienia są mi już wskazane przez kompozytora, to jestem całkiem innym człowiekiem, aniżeli kiedy w dramacie prozą winienem to wszystko stworzyć i wynaleźć sobie miarę i deklamację, w czym mi jeszcze każdy grający może przeszkodzić.

— Ja tyle tylko wiem — rzecze Melina — że człowiek ten istotnie zawstydzą nas w jednym punkcie, i to w punkcie głównym. Siła jego talentów pokazuje się w korzyści, jaką z nich czerpie. Nas, którzy może niebawem będziemy w kłopotcie, skąd dostaniemy obiad, skłania, by podzielić się z nim naszym obiadem. Umie on pieniądze, moglibyśmy wykorzystać dla zapewnienia sobie jakichś warunków, wywabić nam z kieszeni piosenką. Wydaje się rzeczą tak przyjemną wyrzucać pieniądze, którymi by można było zapewnić egzystencję sobie i innym.

Wskutek tej uwagi rozmowa przybrała nie najprzyjemniejszy obrót. Wilhelm, do którego właściwie zarzut był zwrócony, odpowiedział z niejakim roznamiętnieniem, a Melina, który nie był szczególnie delikatny, wypowiedział w końcu swoje skargi w dość suchych słowach.

— Minęły już dwa tygodnie — mówił — jak oglądaliśmy zastawiony tu teatr i garderobę, mogliśmy mieć jedno i drugie za bardzo mizerną sumkę. Zrobiłeś mi pan wówczas nadzieję, że mi na tyle udzielisz kredytu, a dotychczas nie spostrzegłem, żebyś pan myślał

<sup>61</sup>Co tam rozbrzmiewa tak w oddali... — przekład Ludwika Jenikiego, trochę zmieniony i skombinowany z przekładem Syrokomli dla większej zgodności z oryginałem. [przypis tłumacza]

<sup>62</sup>romanca — sławiący bohaterów utwór liryczno-epicki, zbliżony do ballady. [przypis edytorski]

o tym i zbliżył się do jakiegoś postanowienia. Gdybyś się wówczas wziął do rzeczy, byliśmy już teraz w ruchu. Zamiaru odjazdu dotychczas pan nie wykonałeś, a pieniądze, jak mi się zdaje, przez ten czas nie oszczędzałeś, przynajmniej są osoby umiejące znaleźć zawsze sposobność, żeby rzeczy prędzej się skończyły.

Zarzut ten, niezupełnie niesłuszny, dotknął naszego przyjaciela. Odpowiedział na niego coś niecoś żywo, a nawet gwałtownie, a ponieważ towarzystwo powstało i rozproszyło się, pomknął do drzwi, dając dość wyraźnie do zrozumienia, że nie chce więcej spędzać czasu z tak niegrzecznymi i niewdzięcznymi ludźmi. Zły, zeszedł na dół, usiadł na kamiennej ławce, która stała przed bramą gospody, i nie spostrzegł, że na poły z ochoty, na poły ze zmartwienia wypił więcej niż zazwyczaj.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Po jakimś czasie, który spędził siedząc i patrząc przed siebie, zaniepokojony różnymi myślami, Filina wyszła przez frontowe drzwi, śpiewając, usiadła przy nim, ba! należałoby prawie powiedzieć, na nim, tak blisko do niego się przysunęła, wspierając się na jego ramionach, bawiła się jego kędziorami, głaskała go i obdarzała najmiłszymi słowami na świecie. Prosiła go, żeby został i nie opuszczał jej samej wśród towarzystwa, w którym by z nudów umarła, mówiła, że nie może już wytrzymać pod jednym dachem z Meliną i dlatego się tu przeniosła.

Na próżno starał się zbyć ją, przekonując, że dłużej zostać ani może, ani powinien. Nie przestawała prosić, co więcej, niespodzianie objęła go ramieniem za szyję i pocałowała go z najżywszym wyrazem pożądania.

— Czyś oszalała, panno Filino? — zawołał Wilhelm, starając się oswobodzić. — Robić otwartą wszystkim ulicę świadkiem takich pieszczot, na które wcale nie zasługuję! Daj mi pani spokój, nie mogę zostać i nie zostanę.

— A ja cię będę trzymała — odrzekła — i dopóty tu na ulicy będę cię całowała, póki mi nie przyrzeczesz, czego sobie życzę. Zaśmieję się na śmierć — mówiła dalej — po tej poufałości wezmą mnie pewnie ludzie za twoją żonę od miesiąca, a małżonkowie widząc tak wdzięczną scenę, chwalić mnie będą przed swymi kobietami jako wzór dziecięco naiwnej czułości.

Przechodziło właśnie kilka osób, a ona całowała go jak najwdzięczniej, on zaś, by nie wywoływać zgorszenia, był zmuszony grać rolę cierpliwego małżonka. Następnie robiła ludziom miny się za plecami i rozswawolona popełniała różnorodne zbereźstwa, aż w końcu musiał przyrzec, że zostanie dziś jeszcze i jutro, i pojutrze.

— Z pana to prawdziwy pień! — rzekła następnie, odczepiwszy się od niego. — A ja głupia jestem, że marnuję na pana tyle uprzejmości.

Wstała rozdrażniona i uszła kilka kroków; potem wróciła, śmiejąc się, i zawołała:

— Zdaje mi się, że dlatego właśnie zadurzyłam się w tobie; pójdę i przyniosę pończochę, aby mieć coś do roboty. Siedźże, żebyś zastała kamiennego człowieka na kamiennej ławce.

Tym razem sądziła go niesprawiedliwie, bo chociaż tak bardzo usiłował się od niej uwolnić, to gdyby był z nią w ustronnej altanie, nie zostawiłby prawdopodobnie pieszczot bez odpowiedzi.

Rzuciwszy na niego swawolne spojrzenie, weszła do domu. Nie ciągnęło go, by pójść za nią, przeciwnie, jej postępowanie na nowo wywołało w nim wstręt; a jednak, sam nie wiedząc dlaczego, wstał z ławki i poszedł za nią.

Miał właśnie wejść w drzwi, gdy nadszedł Melina, przemówił do niego potulnie i prosił o wybaczenie za parę zbyt twardych wyrażań, które wypowiedział podczas sprzeczki.

— Nie bierz mi pan za złe — mówił dalej — że w stanie, w jakim się znajduję, okazuję się może zanadto nieufny, ale troska o żonę, a wkrótce zapewne i o dziecko, nie pozwala mi żyć spokojnie z dnia na dzień i spędzać czasu na używaniu przyjemnych wrażeń, jak to wolno panu. Namyśl się pan i jeżeli możesz, to uczyn mi właścicielem sprzętu teatralnego, który się tu znajduje. Nie będę długo pańskim dłużnikiem, a pozostanę za to wiecznie wdzięczny.

Wilhelm, który niechętnie zatrzymał się na progu, za który ciągnęła go niepokonana w tej chwili skłonność ku Filinie, odpowiedział, zaskoczony, z roztargnieniem i skwapliwą dobroduszością:

— Jeżeli mam tym sposobem uczynić pana szczęśliwym i zadowolonym, to nie będę się już dłużej namyślać. Idź pan i ulóż się. Gotów jestem jeszcze dziś wieczór albo jutro wypłacić pieniądze.

Następnie podał Melinie rękę na potwierdzenie obietnicy i rad był wielce, gdy go ujrzał szybko oddalającego się ulicą; niestety po raz drugi wstrzymano go od wtargnięcia do domu, i to w nieprzyjemniejszy sposób.

Jakiś młodzieniec z zawiniątkiem na plecach nadszedł ulicą i przystąpił do Wilhelma, który od razu poznał w nim Fryderyka.

— Jestem z powrotem! — zawołał, spoglądając swymi wielkimi, niebieskimi oczyma wesoło w górę i wkoło na wszystkie okna. — Gdzie panienska? Licha tam wytrzymać dłużej na świecie, nie widząc jej!

Gospodarz, który właśnie nadszedł, odpowiedział:

— Jest na górze.

W kilku skokach chłopak znalazł się na schodach, a Wilhelm pozostał na progu jakby przyrośnięty. W pierwszej chwili byłby chłopca ściągnął za włosy ze schodów; potem gwałtowny kurcz namiętnej zazdrości nagle zatamował bieg jego sił życiowych i myśli, a kiedy powoli przyszedł do siebie z osłupienia, opanowały go niepokój, niezadowolenie, jakich nigdy w życiu jeszcze nie odczuwał.

Poszedł do swego pokoju i zastał Mignon zajętą pisaniem. Dziecko od pewnego czasu z wielką pilnością starało się spisywać wszystko, co umiało na pamięć, a to, co napisało, dawało do poprawy swemu panu i przyjacielowi. Była niestrudzona i robiła dobrze, tylko litery były nierówne, a wiersze krzywe. I tu jej ciało zdawało się opierać duchowi. Wilhelm, któremu, gdy był spokojny, wielką radość sprawiała gorliwość dziewczynki, tym razem mało zwracał uwagi na to, co mu pokazała; czuła to i zasmuciło ją to, tym bardziej że, jak sądziła, bardzo dobrze spełniła swe zadanie.

Niepokój Wilhelma wypędził go na korytarze gospody, gdzie wałęsał się z jednego rogu w drugi, to znów schodził do bramy. Nadjechał jakiś jeździec, przystojny i pomimo podeszłych lat okazujący wiele żywotności. Gospodarz pośpieszył na jego spotkanie, podał mu rękę jak znajomemu przyjacielowi i zawołał:

— Hej, masztalerz<sup>63</sup>, czy cię zobaczymy?

— Myślę tu tylko popasać — odparł przybysz — muszę zaraz jechać do majątku, aby kazać czym prędzej wszystko urządzić. Hrabia przybywa jutro z żoną; zamieszkają tam pewien czas, aby jak najlepiej ugościć królewicza \*\*\*, który prawdopodobnie w tej okolicy założy kwaterę główną.

— Szkoda, że pan nie możesz u nas zostać — odrzekł gospodarz — mamy dobre towarzystwo.

Pacholek jeźdźca, który przyklusował za nim, odebrał konia masztalerzowi, który zaczął rozmawiać w bramie z gospodarzem, patrząc z boku na Wilhelma.

Ten, zauważywszy, że o nim mowa, oddalił się i przechadzał się ulicą w tę i z powrotem.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

W gryzącym niepokoju, jaki go opanował, przyszło mu na myśl odszukać starca, którego harfą spodziewał się wypłoszyć złe duchy. Gdy spytał o niego, wskazano mu lichą gospodę w odległym zakątku miasteczka; a w niej po schodach trzeba było wspiąć się na poddasze, skąd usłyszał dobiegający z izdebki łagodny dźwięk harfy. Były to tony wzruszające serce, żalobne, a towarzyszyła im pieśń smutna, trwożna. Wilhelm przysunął się do drzwi, a że poczciwy starzec wygłaszał coś w rodzaju fantazji, powtarzając ciągle, po części śpiewając, po części recytatywem parę zwrotek tylko, słuchający uważnie mógł niebawem zrozumieć te mniej więcej słowa:

Kto we łzach chleba nie pożywał,  
Kto nigdy pełnej troski nocy

<sup>63</sup>masztalerz — starszy stajenny; osoba zajmująca się końmi. [przypis edytorski]

Na łożu, płacząc, nie przebywał;  
Nie zna was, o niebieskie mocy!

Wy to nas wprowadzacie w życie,  
Wy to robicie nas winnymi  
Potem nas cierpieniem karmicie,  
Bo każdy grzech każn ma na ziemi!

Żalosa, serdeczna skarga głęboko zapadła w duszę słuchacza. Zdawało mu się, jakoby niekiedy lzy nie pozwalały starym ciągnąć dalej; potem brzmiały same struny tylko, aż znowu głos mieszał się z nimi z cicha urwanymi dźwiękami. Wilhelm stał przy odrzwiach; dusza jego była głęboko wzruszona, smutek nieznanego otworzył mu ściśnięte serce; nie oparł się współczuciu, nie mógł i nie chciał powstrzymać łez, które i z jego oczu wywołała w końcu serdeczna skarga starca. Wszystkie cierpienia przygniatające mu duszę rozwinęły się równocześnie; oddał się im całkowicie, popchnął drzwi i stanął przed starcem, który zmuszony był za siedzenie obrać sobie nędzne posłanie, jedyny sprzęt tego biednego mieszkania.

— Jakżeż ty obudził w duszy mojej uczucia, poczciwy starcze? — zawołał — wszystko, co w moim sercu tkwiło, wy dobyłeś na jaw; nie przerywaj sobie, lecz w dalszym ciągu, łagodząc własne cierpienia, uszczęśliwaj przyjaciela.

Starzec chciał powstać i coś powiedzieć; Wilhelm nie dał mu, gdyż zauważył już przy obiedzie, że stary nie miał ochoty mówić; usiadł przy nim na sienniku.

Starzec osuszył lzy i zapytał, uśmiechając się uprzejmie:

— Jak pan tu zaszedłeś? Chciałem służyć panu dziś wieczór.

— Spokojniej nam tutaj — odparł Wilhelm. — Śpiewaj mi, co chcesz, co odpowiada twemu położeniu, i tak się zachowuj, jakby mnie tu wcale nie było. Zdaje mi się, jakobyś dzisiaj nie mógł się mylić. Uważam cię za bardzo szczęśliwego, że w samotności możesz się tak przyjemnie zajmować i zabawiać i że będąc wszędzie obcy, znajdujesz we własnym sercu najmiłszych znajomych.

Starzec spojrział na struny i po łagodnej przygrywce zanucił i śpiewał:

Kto się na ustroniu kryje,  
Wnet zostanie sam,  
Każdy kocha, każdy żyje,  
Z męki cudzej drwi.

Tak! Zostawcie mnie mej męce,  
A jeśli choć raz  
Samotności wpadnę w ręce,  
Już nie będę sam!

Skrada z cicha się kochanek:  
Lubaż sama tam?  
Tak się skrada w noc i ranek  
Samotna ma każn,

Samotny mój ból.  
Ach, dopiero aż tam, w grobie,  
Gdy sam odpocznę sobie,  
Opuści mnie on!

Przewleklibyśmy zanadto opowiadanie, a mimo to nie moglibyśmy oddać wdzięku dziwnej rozmowy, jaką prowadził nasz przyjaciel z tym niepospolitym nieznanym. Na wszystko, co mówił mu młodzieniec, stary odpowiadał w najzupełniejszej harmonii tonami obudzającymi pokrewne uczucia i otwierającymi szerokie pole dla wyobraźni.



Kto uczestniczył kiedyś w zebraniu ludzi pobożnych, którzy sądzą, że oddzieliwszy się od kościoła, będą się budowali czystiej, serdeczniej i bardziej duchowo, ten potrafi sobie wyrobić niejakię pojęcie o obecnej scenie; przypomni sobie, jak to odprawiający nabożeństwo umie przystosowywać do słów wiersze śpiewu, który wznosi duszę tam, gdzie mówca pragnie, aby lot swój rozwinęła; jak wkrótce potem ktoś inny ze zgromadzenia w innej melodii dodaje wiersz innej pieśni, a do tego znów dołącza inny trzeci, przez co pokrewne idee pieśni, z których brano wiersze, bywają budzone, ale każdy ustęp wskutek nowego połączenia staje się nowy i indywidualny, jakby w tej właśnie chwili został stworzony; i tym sposobem ze znanego zakresu wyobrażeń, ze znanych pieśni i wierszy powstaje dla tego oddzielnego towarzystwa, dla tej chwili osobna całość, której wykonanie ożywia, wzmacnia i koi. Tak starzec budował swego gościa, znanymi i nieznanymi pieśniami i zwrotkami wprawiając w ruch dalekie i bliskie uczucia, czuwające i drzemiące, przyjemne i bolesne wzruszenia, z czego w obecnym stanie naszego przyjaciela było można wróżyć najlepszy skutek.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

I rzeczywiście, wracając, zaczął wyraźniej niż dotychczas rozmyślać o swym położeniu i z postanowieniem wyrwania się z niego, przybył do domu, gdy gospodarz na wstępie zwierzył mu się, że panna Filina wywarła wielkie wrażenie na hrabiowskim koniuszym, który spełniwszy swe zlecenie w majątku, powrócił z niezmiernym pośpiechem i zajada z nią właśnie dobrą wieczerzę w jej pokoju.

W tej samej chwili wszedł Melina z notariuszem; udali się razem do pokoju Wilhelma, gdzie ten, choć z pewnym ociąganiem, dotrzymał obietnicy, wypłacił trzysta talarów na weksel Meliny, który oddał je zaraz notariuszowi, a w zamian otrzymał akt dopełnionego kupna wszystkich sprzętów teatralnych, jakie miały mu zostać przekazane mu nazajutrz rano.

Ledwie się rozstali, gdy uszu Wilhelma doszedł okropny krzyk w domu. Usłyszał jakiś gniewny, groźący, młodociany głos, który załamał się w niezmierny płacz i zawodzenie. Słyszał, jak ta skarga szła z góry na dół tuż przy jego pokoju, ku podwórzu.

Gdy ciekawość wywabiła naszego przyjaciela, zastał Fryderyka jakby w szaleństwie. Chłopak płakał, zgrzytał, tupał, groził zaciśniętymi pięściami i zachowywał się bardzo nieprzyzwoicie z gniewu i zmartwienia. Mignon stała naprzeciwko i patrzyła ze zdziwieniem, a gospodarz objaśnił do pewnego stopnia to zdarzenie.

Chłopak po swym powrocie, gdy Filina dobrze go przyjęła, był zadowolony, wesół i rześwy, śpiewał i skakał, póki Filina nie zawarła znajomości z koniuszym. Wtedy ta istota pośrednia między chłopcem i młodzieńcem zaczęła okazywać swoje niezadowolenie, trzaskać drzwiami, biegać z góry na dół i z dołu do góry. Filina kazała mu służyć dziś wieczór do stołu, wskutek czego stał się jeszcze burkliwszy i oporniejszy; w końcu zamiast postawić półmisek z potrawką na stole między panną a gościem, którzy siedzieli dość blisko siebie, rzucił nim między nich, za co koniuszy dał mu kilka tęgich policzków i wyrzucił za drzwi. Gospodarz pomagał potem obojgu się oczyścić, gdyż ich ubrania były bardzo brzydko poplamione. Chłopak, dowiedziawszy się o dobrym skutku swej zemsty, zaczął śmiać się głośno, choć mu łzy ciągle jeszcze spływały po policzkach. Przez czas jakiś cieszył się serdecznie, aż przypomniła mu się zniewaga zadana przez przez silniejszego i znów zaczął wrzeszczeć i grozić.

Wilhelm wobec tej sceny stał zamyślony i zawstydzony. Widział tu w rysach silnych i przesadzonych przedstawione własne wnętrza; on także płonął niepokromioną zazdrością i on, gdyby go nie wstrzymywało poczucie przyzwoitości, chętnie zaspokoiłby dzikie pragnienie, chętnie by, ciesząc się złośliwie z cudzej szkody, zranił ukochaną osobę i rzucił wyzwanie rywalowi; pragnąłby był unicestwić ludzi, którzy zdawali się istnieć tylko dla zrobienia mu przykrości.

Laertes, który również przyszedł i dowiedział się o całej historii, podjudzał jeszcze rozszłoszczonego chłopaka, gdy ten zaklinał się, przysięgał, że koniuszy musi mu dać satysfakcję, że nigdy nie ścierpi, by obraza na nim przyschła, że jeżeli koniuszy odmówi, to on potrafi się zemścić.

Laertes był tu w swoim żywiole. Poszedł poważnie na górę wyzwać koniuszego w imieniu chłopaka.

— To zabawne — rzekł tenże — takiej zabawy anim się spodziewał tego wieczoru.

Zeszli na dół, a Filina za nimi.

— Mój synu — rzecze koniuszy do Fryderyka — jesteś dzielnym chłopakiem i ja nie wzbraniam się skrzyżować z tobą oręż, ale ponieważ nierówność naszych lat i sił czyni tę sprawę trochę dziwną, proponuję zatem zamiast innej broni parę rapierów; potrzemy końce kredą, a kto drugiemu zada pierwszy cios lub też ich najwięcej naznaczy na surducie, ten uważać się ma za zwycięzcę i zostanie przez drugiego ugoszczony najlepszym winem, jakie można znaleźć w mieście.

Laertes zdecydował, że propozycja może zostać przyjęta; Fryderyk był mu posłuszny jako swemu mistrzowi. Przyniesiono rapier; Filina usiadła, robiąc na drutach i z wielkim spokojem przypatrując się walczącym.

Koniuszy, który bardzo dobrze fechtował, miał tyle grzeczności, że oszczędzał przeciwnika i dał sobie zrobić na surducie kilka plam kredowych, po czym uściskali się i sprowadzono wino. Koniuszy chciał poznać pochodzenie Fryderyka i jego dzieje, a ten opowiedział nieraz już powtarzaną bajeczkę, z którą zamierzamy zapoznać naszych czytelników przy innej sposobności.

W duszy Wilhelma tymczasem pojedynek ten uzupełnił portretu jego własnych uczuć, gdyż nie mógł przed sobą taić, że chętnie by wymierzył rapier, a co lepsza, miecz przeciwko koniuszemu, chociaż wiedział, że ten go o wiele przewyższa w sztuce szermierczej. Na Filinę jednak nie rzucił nawet okiem, strzegł się wypowiedzieć jakieś zdanie, które mogłoby zdradzić jego wzruszenie, i wypiwszy kilka szklanek za zdrowie szermierzy, pośpieszył do swego pokoju, gdzie go obsiadły tysiące przykrych myśli.

Przypomnił sobie czasy, kiedy jego ducha wznosiło nieograniczone, pełne nadziei dążenie, kiedy we wszelkiego rodzaju upojeniu pływał jak w żywiole. Widział jasno, że popadł teraz w jakąś błąkaninę, wśród której kosztował, tylko siorbając, co dawniej wchłaniał całymi lykami; ale nie mógł wyraźnie rozpoznać, jaką niemożliwą do przewyciężenia potrzebę stworzyła dla niego natura i jak bardzo ta potrzeba została rozbudzona, na wół zaspokojona i zwiedziona przez okoliczności.

Nikogo zatem nie powinno dziwić, że rozważając stan swój i zastanawiając się nad wyjściem z niego, popadł w największe zamieszanie. Nie dosyć na tym, że wskutek przyjaźni z Laertesem, wskutek skłonności do Filiny, wskutek zainteresowania Mignon zatrzymał się dłużej, niż należało, w jednym miejscu i w towarzystwie, w którym mógł odżywić swoją ulubioną namiętność, jakby ukradkiem zaspokoić swoje pragnienia i nie stawiając sobie celu, pójść za swymi dawniejszymi marzeniami. Sądził, że starczy mu sił do wyplątania się z tych stosunków i natychmiastowego odjazdu. Ale oto dopiero co wdał się w interes pieniężny z Meliną, poznał zagadkowego starca, którego nieopisanie gorąco pragnął zrozumieć. Po długim rozmyślaniu i miotaniu się postanowił, albo przynajmniej zdawało mu się, że stanowczo postanowił nie dopuścić, by to go powstrzymało.

— Muszę odjechać — zawołał — chcę odjechać!

Rzucił się na krzesło bardzo wzruszony.

Weszła Mignon i zapytała, czy ma go okryć.

Zbliżyła się po cichu, bardzo ją bolało, że dzisiaj tak krótko ją zbył.

Nie ma nic bardziej wzruszającego, niż kiedy miłość, która rozwijała się w milczeniu, niż kiedy wierność, która umacniała się w ukryciu, w końcu w stosownej godzinie ujawnia się temu, który dotychczas nie był jej godzien. Długo i szczerze zamknięty pączek dojrzał, serce zaś Wilhelma nie mogło być wrażliwsze.

Stała przed nim i widziała jego niepokój.

— Panie — zawołała — jeżeli jesteś nieszczęśliwy, co się stanie z Mignon?

— Kochane stworzenie — rzekł, biorąc ją za rękę — stanowisz także część moich cierpień. Muszę odjechać.

Spojrzała mu w oczy, błyszczące od powstrzymywanych łez, i gwałtownie uklękła przed nim. Trzymał jej rękę, położyła głowę na jego kolanach i nic nie mówiła. Bawił się jej włosami i był serdeczny. Długo milczała. Wreszcie poczuł w niej jakieś drżenie, które się zaczęło cicho i rosnąć, szerzyło się po wszystkich członkach.

— Co się z tobą dzieje, Mignon! — zawołał. — Co ci jest?

Miłość, Milczenie,  
Wierność

Podniosła główkę i spojrzała na niego, chwyciła się naraz za serce ruchem okazującym tłumienie bólu. Podniósł ją, a ona padła mu na piersi; przycisnął ją i całował. Nie odpowiedziała ani uściskiem ręki, ani żadnym poruszeniem. Trzymała się za serce i naraz wydała krzyk, któremu towarzyszyły kurczowe ruchy ciała. Porwała się i zaraz padła przed nim na ziemię, jakby wszystkie stawy miała połamane. Był to okropny widok!

— Dziecko moje! — zawołał, podnosząc ją i mocno ściskając. — Dziecko moje, co ci jest?

Drgawki trwały dalej, z serca udzielając się obwisłym członkom; wisiała tylko na jego ramionach. Przycisnął ją do serca i zwilżył swymi łzami. Wtem zdawało się, że znowu się przeży, jak ktoś, kto cierpi największy ból cielesny, a niebawem z nową gwałtownością ożywiły się wszystkie jej członki i jak zatrząskująca się sprężyna rzuciła mu się na szyję, gdy w jej wnętrzu jakby coś nagle pękło, a w tejże chwili z zamkniętych oczu popłynął strumień łez na jego łono. Trzymał ją mocno. Płakała, a żaden język nie wypowie potęgi tych łez. Długie włosy rozplotły się i zwisały z płaczącej, a cała jej istota zdawała się niepowstrzymanie topnieć w potoku łez. Jej zeszywniałe członki rozluźniły się, dusza jej się wylała, a w zamieszaniu tej chwili Wilhelm lękał się, żeby nie rozplynęła się w jego objęciach i nie zniknęła bez śladu. Przyciskał ją coraz silniej.

— Dziecko moje — wołał — dziecko moje! Jesteś moja, jeżeli to słowo może cię pocieszyć. Jesteś moja! Zatrzymam cię, nie opuszczę cię!

Jej łzy wciąż płynęły. W końcu wyprostowała się. Delikatna radość błyszczała w jej twarzy.

— Mój ojciec — zawołała — więc mnie nie opuścisz! Chcesz być moim ojcem! Jestem twoim dzieckiem!

Przed drzwiami zaczęła zacząć łagodnie grać harfa; starzec przyniósł swe najserdeczniejsze pieśni jako wieczorny dar dla swego przyjaciela, który coraz silniej ściskając w objęciach swe dziecko, poił się najczystszy nieopisanym szczęściem.

# KSIĘGA III

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa,  
Pomarańcz blask majowe złoci drzewa,  
Łagodny wiatr z jasnego nieba wieje,  
Gdzie cichy mirt i laurów wzniosłe knieje?  
Znasz-li ten kraj?

Tam, ach tam, chciałabym być  
I ciebie, kochanku mój, przy sobie mieć!

Znasz-li ten dom? Na słupach strop spoczywa,  
Sala się skrzy, gmach blaskiem swym olśniewa,  
Posągów tłum stojąc na mnie spoziera.  
«O, dziecię me — pyta — co ci doskwiera?»  
Znasz-li ten kraj?

Tam, ach tam, chciałabym być,  
I ciebie, obrońco mój, przy sobie mieć!

Znasz-li ten brzeg, gdzie po skalistych górach  
Strudzony muł swej drogi szuka w chmurach?  
Gdzie w głębi jam smoków ród starych przebywa,  
Gdzie pęka gład a nad nim ognista ulewa.  
Znasz-li ten kraj?

Ach, do tego kraju tam  
Wiedzie droga, ojczyzna mój, czas już i nam!<sup>64</sup>

Gdy nazajutrz rano Wilhelm rozejrzał się za Mignon, nie znalazł jej i dowiedział się tylko, że wyszła wcześniej z Meliną, który wstał wcześniej, żeby zająć się garderobą i resztą sprzętu teatralnego.

Po kilku godzinach Wilhelm usłyszał muzykę przed drzwiami. Sądził z początku, że to znowu przybył harfiarz, wkrótce jednak wyróżnił dźwięki cytry, a głos, który zaczął śpiewać, był głosem Mignon. Otworzył drzwi, dziewczynka weszła i zaśpiewała pieśń, którą dopiero co podaliśmy.

Melodia i wyrazistość bardzo się podobały naszemu przyjacielowi, choć nie mógł zrozumieć wszystkich słów. Kazał sobie powtórzyć i objaśnić zwrotki, spisał je i przetłumaczył na niemiecki. Oryginalność zwrotów wszakże mógł naśladować tylko w przybliżeniu; dziecinna niewinność wyrazu znikła, gdy zepsuty język stał się jednolity, a brak związku został usunięty. Wdzięk zaś melodii z niczym nie dawał się porównać.

Każdą zwrotkę zaczynała uroczyście i wspaniale, jakby chciała zwrócić uwagę na coś nadzwyczajnego, jakby wypowiadała coś ważnego. Przy trzecim wierszu śpiew stawał się bardziej przytłumiony i posępniejszy, a słowa: „Znasz-li ten kraj?” przy końcu zwrotki wypowiadała tajemniczo i z namysłem; w wyrazach: „tam, ach tam!” tkwiła niepokonana tęsknota, a: „czas już i nam” umiała przy każdym powtórzeniu tak zmienić, że brzmiało w nich już to prośba i naleganie, już to pełne obietnic ponaglanie.

Ukończywszy pieśń po raz drugi, zatrzymała się chwilę, bystro spojrziała na Wilhelma i zapytała:

— Znasz-li ten kraj?

— Mowa tu pewnie o Włoszech — odrzekł Wilhelm. — Skąd znasz tę piosenkę?

<sup>64</sup>Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa... — z przeróbki Mickiewicza mogło w tej pieśni pozostać zaledwie kilka wierszy, gdyż szło o wierne odtworzenie oryginału. [przypis tłumacza]

— Włochy! — powiedziała Mignon znacząco. — Jeżeli pojedziesz do Włoch, weź mnie z sobą, mnie tu zimno.

— Czyś już tam była, moja malutka? — spytał Wilhelm.

Dziewczynka milczała, nic więcej nie można było z niej wydobyć.

Melina, który nadszedł, obejrzał cytrę i cieszył się, że już tak ładnie została naprawiona. Instrument ten należał do inwentarza starej garderoby. Mignon wyprosiła ją sobie dziś rano; harfiarz zaraz ją zaciągnął, a dziewczynka rozwinęła przy tej sposobności talent, którego jeszcze w niej nie znano.

Melina przejął już garderobę ze wszystkim, co do niej należało; niektórzy członkowie rady miejskiej obiecali mu zaraz pozwolenie na przedstawienia przez jakiś czas. Wracał właśnie z wesołym sercem i rozjaśnioną twarzą. Wydawał się całkiem innym człowiekiem; był bowiem łagodny, grzeczny dla wszystkich, a nawet uprzedzający i ujmujący. Winił sobie szczęścia, że będzie mógł zatrudnić i na pewien czas zaangażować przyjaciół, którzy dotychczas żyli w kłopotach i bez zajęcia; żałował przy tym, że na początek nie zdoła według zdolności i talentów wynagrodzić wybornych aktorów, którzy sprowadzili mu to szczęście, gdyż musi przede wszystkim spłacić dług wobec tak wspaniałomyślnego przyjaciela, jakim się okazał Wilhelm.

— Nie mogę wyrazić — rzekł mu Melina — jaki dowód przyjaźni mi pan dajesz, dopomagając do dyrekcji teatru. Gdy pana spotkał, znajdowałem się w bardzo dziwnym położeniu. Przypominasz pan sobie, jak żywo przy pierwszym naszym spotkaniu wyraziłem wstręt do teatru, a przecież ożeniwszy się, musiałem z miłości dla żony, która obiecywała sobie wiele przyjemności i powodzenia, starać się o miejsce w teatrze. Nie znalazłem go, przynajmniej czegoś przyzwoitego, natomiast, na szczęście, znalazłem kilku przemysłowców, którzy w nadzwyczajnych razach mogli potrzebować kogoś, kto potrafiłby obchodzić się z piórem, umiał po francusku, a i z rachunkami dawał sobie radę. Przez pewien czas szło mi bardzo dobrze; płacono mi nieźle, sprawilem sobie to i owo, a stosunki moje nie przynosiły mi wstydu. Nadzwyczajne jednak interesy moich chlebodawców skończyły się, o trwałym utrzymaniu nie było co myśleć, a żona moja tym gwałtowniej parła się do teatru, niestety, w takim czasie, kiedy się znajdowała w stanie nie najkorzystniejszym do przedstawienia się przyzwoicie publiczności. Teraz mam nadzieję, że zakład, który z pomocą pańską urzędę, będzie dobrym początkiem dla mnie i mojej rodziny; zawdzięczam panu swoje przysze szczęście, niech się dzieje, co chce.

Wilhelm wysłuchał tych wynurzeń z zadowoleniem; wszyscy też aktorzy byli dosyć radzi z oświadczeń nowego dyrektora, cieszyli się w duszy, że tak rychło znalazło się miejsce, i byli skłonni poprzestać na początek na szczupłej gaży; większość bowiem uważała to, co im tak niespodzianie zaofiarowano, za dodatek, na który przed chwilą zgola nie mogli liczyć. Melina zamierzał wyzyskać to nastawienie, starał się zręcznie pomówić z każdym osobno i potrafił niebawem jednego w ten, drugiego w inny sposób namówić, że gotowi byli czym prędzej zawrzeć umowy, ledwie się zastanawiając nad nowym stosunkiem i uważając za rzecz pewną, że będą mogli się uwolnić z sześciotygodniowym wypowiedzeniem.

Warunki miały być już ujęte w należytą formę, Melina zaś myślał o sztukach, którymi naprzód chciał przywabić publiczność, gdy wtem posłaniec zapowiedział koniuszemu przybycie państwa, a ten kazał wyprowadzić rozstawnie<sup>65</sup> konie.

Wkrótce potem nadjechał wysoko obładowany powóz; przed zajazdem z kozła zeskokczyło dwu lokajów, a Filina swoim zwyczajem pierwsza się nawinęła, stanąwszy w bramie.

— Kto to? — zapytała hrabina, wchodząc.

— Aktorka, do usług waszej ekscelencji — zabrzmiała odpowiedź, gdy filutka przybierała skromną twarz i pokorne gesty, kłaniała się i całowała damę w suknię.

Hrabia, widząc stojących wkoło jeszcze kilka osób, które także przedstawiły się jako aktorzy, wypytywał się o siły towarzystwa, o ostatnie miejsce pobytu i o dyrektora.

— Gdyby to byli Francuzi — rzekł do żony — moglibyśmy zrobić księciu następcy przyjemną niespodziankę i urządzić u nas dla niego ulubioną rozrywkę.

<sup>65</sup>rozstawne konie — świeże, niezmućzone konie umieszczane dawniej w pewnych odległościach w karczmach lub innych punktach na trasie, żeby umożliwić podróżnym wymianę zmęczonych wierzchowców lub zwierząt w zaprzęgu i dzięki temu szybsze przebycie drogi. [przypis edytorski]

— Chodziłoby o to — odpowiedziała hrabina — czybyśmy nie mogli tym ludziom, chociaż są na nieszczęście tylko Niemcami, kazać grać na zamku, dopóki książę będzie u nas bawić. Mają trochę zręczności. Wielkie towarzystwo najlepiej daje się zabawić teatrem, a baron pewnie by ich przeciwzył.

Mówiąc to, weszli na górę, a Melina zaprezentował się tam jako dyrektor.

— Niech zwoła swoich ludzi — rzekł hrabia — i niech mi ich przedstawi, żebym zobaczył, co z nich może być. Przejrzę także spis sztuk, które by mogli wystawiać.

Melina, oddając niskie ukłony, oddalił się z pokoju i wrócił niebawem z aktorami. Cisnęli się jeden przed drugim; jedni przedstawili się źle z wielkiej chęci podobania się, a drudzy nie lepiej, występując lekkomyślnie. Filina okazywała wszelki szacunek hrabinie, która była nadzwyczaj łaskawa i przyjazna; hrabia oglądał pozostałych. Pytał każdego o fach i wskazał Melinie, że należy ściśle pilnować się fachów; ten przyjął to zdanie z największym nabożeństwem.

Hrabia następnie każdemu z nich zwrócił uwagę, co ma szczególniejsz studiuować, co ma poprawić w swej figurze i postawie, pokazał im wyraźnie, czego Niemcom zawsze brakuje i wykazał się tak niezwykłą wiedzą, że wszyscy w największej pokorze stali przed tak oświeconym znawcą i dostojnym opiekunem i ledwie śmieli oddychać.

— Kim jest ten człowiek w kącie? — zapytał hrabia, spoglądając na kogoś, kto dotychczas nie został mu przedstawiony.

Zbliżyła się chuda postać w wytartym, poplamionym na łokciach surducie; licha peruka pokrywała głowę pokornego klienta.

Człowiek ten, którego już znamy z poprzedniej księgi jako ulubieńca Filiny, zwykł był grywać pedantów, profesorów i poetów i przeważnie przyjmować takie role, gdzie ktoś miał dostać kije lub zostać obłany. Przyzwyczał się do pewnych pochlebnych, śmiesznych, trwożnych ukłonów, zaś jęśliwa mowa, w jego rolach stosowna, rozśmieszała widzów, tak że nadal uważano go za pożytecznego członka towarzystwa, zwłaszcza że był usłużny i uprzejmy. Zbliżył się po swojemu do hrabiego, skłonił się przed nim i odpowiadał na pytania tak, jak się zwykł zachowywać w swych rolach na scenie. Hrabia przypatrywał mu się z uprzejmą uwagą i z namysłem przez czas jakiś, a potem zawołał, zwracając się do hrabiny:

— Przyjrzyj się dobrze, moje dziecko, temu człowiekowi, gwarantuję, że jest lub może zostać wielkim aktorem.

Człowiek ten z całego serca złożył niezgrabny ukłon, tak że hrabia musiał się głośno zaśmiać i zawołał:

— Spisuje się znakomicie! Założyłbym się, że potrafi zagrać, co zechce, i szkoda, że go dotąd nie użyto do czegoś lepszego.

Tak nadzwyczajne wyróżnienie zabolalo innych, tylko Melina tego nie odczuł, przeciwnie, przyznał hrabiemu całkowitą słusność i odpowiedział z miną pełną uszanowania:

— Ach tak, i jemu, i wielu z nas brakowało tylko takiego znawcy i takiej zachęty, co wszystko obecnie znaleźliśmy u waszej ekscelencji.

— Czy to całe towarzystwo? — spytał hrabia.

— Niektórzy członkowie są nieobecni — odparł roztropny Melina — a w ogóle gdybyśmy tylko znaleźli wsparcie, moglibyśmy bardzo rychło z sąsiedztwa złożyć komplet.

Tymczasem Filina rzekła do hrabiny:

— Jest jeszcze na górze bardzo ładny młodzieniec, który z pewnością wkrótce nadałby się na pierwszego kochanka.

— Dlaczegoż mi się nie pokaże? — zauważyła hrabina.

— Sprowadzę go — rzekła Filina, śpiesząc ku drzwiom.

Zastała Wilhelma zajętego jeszcze z Mignon i namówiła go, żeby się pokazał. Poszedł za nią z pewną niechęcią, ale pchała go ciekawość, słysząc bowiem o dostojnych osobach, pragnął gorąco poznać je bliżej.

Wszedł do pokoju, a czy jego spotkały się natychmiast z oczyma hrabiny, zwróconymi ku niemu. Filina pociągnęła go do damy, gdy hrabia zajmował się innymi. Wilhelm ukłonił się i na rozmaite pytanie, które zadawała mu urocza dama, odpowiadał nie bez zmieszania. Jej uroda, młodość, wdzięk, strój i wykwintne zachowanie zrobiły na nim najprzyjemniejsze wrażenie, zwłaszcza że jej słowom i gestom towarzyszyła pewna wstydlivość, a nawet, można by powiedzieć, zakłopotanie.

Przedstawiono go także hrabiemu, ale ten mało na niego zważał, tylko podszedł do żony przy oknie i zdawał się pytać ją o coś. Można było zauważyć, że jej zdanie w najwyższym stopniu zgadzało się z jego zdaniem, a nawet, że go o coś gorąco prosiła i umacniała w jego opinii.

Niebawem odwrócił się do towarzystwa i rzekł:

— Nie mogę się obecnie zatrzymywać, ale przyślę do was przyjaciela, a jeżeli podacie przystępne warunki, i nie pożałujecie trudów, to nie mam nic przeciwko temu, abyście grali na zamku.

Wszyscy okazali mu z tego powodu wielką radość, zwłaszcza Filina, która z nader wielką żywością całowała ręce hrabiny.

— Pamiętaj, mała — rzekła dama, głaszcząc lekkomyślną dziewczynę po policzku — pamiętaj, moje dziecko, przyjdź do mnie; dotrzymam obietnicy, tylko lepiej się ubierz.

Filina tłumaczyła się, że mało może wydawać na swoją garderobę, a hrabina zaraz kazała pokojówkom dać jej angielski kapelusz i jedwabną chustkę na szyję, które łatwo było wydobyć z pakunków. Sama też hrabina przystroiła Filinę, która nie przestała się poruszać i zachowywać z świętoszkowatą, niewinną minką.

Hrabia podał rękę małżonce i sprowadził ją na dół. Przechodząc, pozdrowiła przyjaźnie całe towarzystwo i raz jeszcze obróciła się ku Wilhelmowi, mówiąc do niego z łaskawą miną:

— Zobaczmy się znowu niebawem.

Tak szczęśliwe widoki ożywiły całe towarzystwo, każdy pozwalał swobodnie snuć się nadziejom, pragnieniom i fantazjom, każdy mówił o rolach, które chciałby zagrać, o powodzeniu, jakiego by doznał. Melina rozważał, jak mógłby kilkoma przedstawieniami szybko wyciągnąć trochę grosza od mieszkańców miasteczka i zarazem rozbijać towarzyszy do gry; inni tymczasem poszli do kuchni zamówić lepszy obiad niż zwykle.

## ROZDZIAŁ DRUGI

W kilka dni potem przybył baron, a Melina przyjął go nie bez bojaźni. Hrabia zapowiedział go jako znawcę i trzeba było się obawiać, żeby nie odkrył niebawem słabej strony gromadki i nie spostrzegł, iż nie stoi przed nim uformowana trupa, ponieważ mogliby obsadzić zaledwie jedną sztukę; wkrótce jednak zarówno dyrektor jak i wszyscy członkowie pozbyli się wszelkiej troski, gdyż baroni okazał się człowiekiem, który na teatr ojczysty zapatrywał się z największym entuzjazmem, dla którego każdy aktor i każde towarzystwo było miłe i pożądane. Przywitał ich wszystkich uroczyście, uważał się za szczęśliwego, że tak niespodzianie spotyka scenę niemiecką, wchodzi z nią w stosunek i wprowadza na zamek swego krewnego. Wyjął potem z kieszeni zeszyt, w którym Melina spodziewał się ujrzeć punkty umowy, ale było to zupełnie coś innego. Baron prosił, żeby uważnie posłuchali dramatu, który on sam ułożył i który chciałby, żeby zgrali. Chętnie stanęli kołem i cieszyli się, że tak małym kosztem mogą zapewnić sobie łaskę tak potrzebnego człowieka, chociaż każdy po grubości zeszytu lękał się nadmiernej długości. Tak też było rzeczywiście: sztuka miała pięć aktów i była tego rodzaju, który nigdy nie ma końca.

Bohater był dostojnym, cnotliwym, wspaniałomyślnym człowiekiem, przy tym niezrozumianym i prześladowanym, który jednak odniósł w końcu zwycięstwo nad swymi wrogami i byłaby ich następnie spotkała najsurowsza sprawiedliwość poetycka, gdyby im natychmiast nie przebaczył.

Podczas gdy czytano tę sztukę, każdy słuchacz miał dosyć swobody do pomyślenia o sobie i powoli, powoli wznieść się z tej pokory, ku której jeszcze przed chwilą czuł skłonność, do szczęśliwego samozadowolenia i z tego punktu rozpatrywać najpoważniejsze widoki przyszłości. Ci, którzy nie znaleźli w sztuce odpowiedniej dla siebie roli, uznali ją w duszy za złą i poczytywali barona za autora nieszczęśliwego; natomiast inni, ku największemu zadowoleniu twórcy, nie ustawali w pochwałach takiego ustępu, przy którym mieli nadzieję dostawać oklaski.

Z kwestią ekonomiczną załatwiono się szybko. Melina potrafił zawrzeć kontrakt z baronem na swoją korzyść i utrzymać go w tajemnicy przed resztą aktorów.

Melina rozmawiał z baronem o Wilhelmie, mimochodem zapewniając, że się bardzo dobrze kwalifikuje na poetę teatralnego i ma niezłe zdolności nawet na aktora. Baron

zawarł z nim zaraz znajomość jako z kolegą, a Wilhelm wyprodukował parę drobnych sztuk, które obok kilku innych pozostałości ocalały przypadkiem w dniu, kiedy większość swoich prac rzucił w ogień. Baron chwalił zarówno sztuki, jak i czytanie, powtórzył jako rzecz znaną, że przyjdzie z innymi do zamku; odchodząc, obiecał wszystkim najlepsze przyjęcie, wygodne mieszkanie, dobre jadło, uznanie i podarunki, a Melina dodał jeszcze zapewnienie pewnej sumki kieszonkowego.

Można sobie wyobrazić, w jak dobre usposobienie wprawiły całe towarzystwo te odwiedziny, gdy widzieli naraz przed sobą zaszczyt i wygodę zamiast stanu niepokoju i przygnębienia. Z góry już na ten rachunek oddali się wesołości i każdy uważał za nieprzyzwoite zatrzymać choćby grosz w kieszeni.

Wilhelm zastanawiał się tymczasem, czy ma wraz z towarzystwem pójść do zamku, i zdawało mu się, że wypada tam iść z więcej niż jednego powodu. Melina spodziewał się, że za pomocą tego korzystnego układu będzie mógł przynajmniej częściowo zmniejszyć swój dług, a nasz przyjaciel, który się wyprawił się, żeby poznać ludzi, nie chciał zaniedbać sposobności dokładniejszego rozejrzenia się w wielkim świecie, gdzie miał nadzieję zebrać wiele spostrzeżeń nad życiem, nad samym sobą i sztuką. Przy tym nie chciał przyznać się przed sobą, jak dalece pragnął zbliżyć się do pięknej hrabiny. Starał się w ogóle przekonać samego siebie o wielkiej korzyści, że bliższe poznanie dostojnego i bogatego świata przyniesie mu wielki pożytek. Rozmyślał nad hrabią, hrabiną, baronem, nad swobodą, pewnością i wdziękiem ich zachowania się, i zostawszy sam, zawołał z zachwytem:

— Trzykroć szczęśliwymi należy nazwać tych, których samo urodzenie wynosi ponad niższe szczeble ludzkości, którzy nie potrzebują nie tylko przechodzić przez te warunki, w których niejedyn pocziwy człowiek trwożnie spędza cały czas swego życia, ale nawet bawić tam jako goście. Ich pogląd z wyższego punktu widzenia stanowiska musi być ogólny i słuszny, a każdy krok życia łatwy! Od urodzenia wsiedli niejako w okręt, by w tej przeprawie, którą wszyscy musimy odbyć, korzystać z pomyślnego wiatru, a przeczekać przeciwny, zamiast tak jak inni zapracowywać się pływaniem własnymi rękami, mało mieć pożytku z pomyślnego wiatru, a podczas burzy ginąć po łatwym wyczerpaniu sił. Jakąż wygodę, jaką łatwość zapewnia dziedziczny majątek i jak bezpiecznie kwitnie handel ugruntowany na dobrym kapitale, tak że nie każda nieszczęsna próba zmusza do zaprzestania czynności! Któż lepiej znać może wartość i bezwartościowość rzeczy ziemskich, jak ten, który miał możliwość używania ich od młodości; i któż wcześniej skierować może swego ducha ku temu, co konieczne, co pożyteczne, co prawdziwe, jeżeli nie ten, kto o tylu omyłkach przekonać się może w tych latach, kiedy mu jeszcze nie brak sił do rozpoczęcia nowego życia!

Tak to nasz przyjaciel wysławiał szczęście tych wszystkich, którzy znajdują się w wyższych regionach, a także i tych, którzy się do tych sfer zbliżają, mogą z tego źródła czerpać, i wielbił swego ducha opiekuńczego, który przygotował się, by i jego poprowadzić po tych stopniach w górę.

Tymczasem Melina, który długo łamał sobie głowę, jakby tu stosownie do życzenia hrabiego i własnego swego przekonania podzielić towarzystwo na fuchy i przydzielić każdemu jego określoną rolę, gdy przyszło do wykonania, musiał w końcu poprzestać na tym, żeby w tak szczupłym personelu znaleźć aktorów chętnych do podjęcia się wedle możliwości tej lub owej roli. Zazwyczaj jednak Laertes podejmował się kochanków, Filina pokojówek, dwie młode panny dzieliły się na naiwne i tkliwe kochanki, stary gdera grywany był najlepiej. Melina sam sądził, że powinien występować w charakterze „kawalera”; pani Melina, ku swemu największemu zmartwieniu, musiała przejść do specjalności młodych żon, a nawet czułych matek; a ponieważ w nowszych sztukach, choć się zdarzali pedanci i poeci, rzadko byli przedstawiani ze śmiesznej strony, więc znany ulubieniec hrabiego musiał odtąd grać prezydentów i ministrów, tych bowiem zwykle malowano jako łotrów, a w piątym akcie smagano. Melina z przyjemnością jako kamerjunkier<sup>66</sup> lub szambelan tykał grubiaństwa, jakie na niego spadały ze strony uczciwych Niemców stosownie do tradycyjnego zwyczaju w wielu ulubionych sztukach, bo przy tej sposobności mógł się zgrabnie wystrójć i przybierać dworską minę, na co, jak sądził, miał pełne przyzwolenie.

<sup>66</sup>kamerjunkier — młodszy szambelan. [przypis edytorski]



Wkrótce z różnych stron napłynęli aktorzy, których przyjmowano bez szczególnego egzaminu, ale też zatrzymywano bez szczególnych warunków.

Wilhelm, którego Melina na próżno kilkakrotnie starał się namówić na rolę kochanka, wziął się do rzeczy z wielkim zapasem dobrej woli, chociaż nasz nowy dyrektor bynajmniej nie darzył uznaniem jego trudów, sądził bowiem, że wraz z tytułem nabył i niezbędnego znawstwa; zwłaszcza wykreślanie było jednym z jego najprzyjemniejszych zajęć; za pomocą tego środka potrafił sprowadzić sztukę do należytej miary czasu, nie bacząc na żadne inne względy. Widowiska były licznie odwiedzane, publiczność bardzo zadowolona, a mieszkańcy miasteczka odznaczający się najlepszym smakiem utrzymywali, że teatr w stolicy wcale nie jest tak dobrze obsadzony jak ich własny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Nadszedł wreszcie czas, kiedy należało się przygotować do przeprawy, oczekując pojazdów i wozów, zamówionych do przewiezienia całej naszej trupy na zamek hrabiego. Już napróżd powstały spory, kto z kim ma jechać, jak ma się siedzieć. W końcu z trudem obmyślony i ustalony został porządek i podział, lecz niestety bez skutku. O wyznaczonej godzinie nadeszło mniej powozów, niż się spodziewano, i trzeba się było do tego dostosować. Baron, który niebawem nadjechał na koniu, podał za powód to, że w zamku wszystko jest w wielkim poruszeniu, gdyż nie tylko książę ma przybyć kilka dni wcześniej, niż myślano, lecz nadto spadły już obecnie niespodziane odwiedziny; że miejsca bardzo ubywa, że z tego powodu również oni (tj. aktorzy) nie będą mieli tak dobrego mieszkania, jakie im poprzednio wyznaczono, czego on nadzwyczaj żałuje.

Rozmieszczono się w powozach, jak było można, a że pogoda była znośna, zamek zaś tylko o kilka godzin odległy, najweselsi woleli puścić się w drogę piechotą niż czekać na powrót pojazdów. Karawana pociągnęła z radosnymi okrzykami, po raz pierwszy nie kłopotując się, czym zapłacić gospodarzowi. Zamek hrabiego stał im przed oczyma jak czarodziejski pałac, byli najszczęśliwszymi i najweselszymi ludźmi w świecie i każdy mimochodem, stosownie do swego sposobu myślenia, wiązał z tym dniem pasmo szczęścia, honoru i dobrobytu.

Ulewny deszcz, który spadł niespodziewanie, nie mógł ich oderwać od tych przyjemnych uczuć, ale gdy stawał się coraz uporczywszy, i gęstszy, wielu z nich odczuło pewne niedogodności. Nadeszła noc i nic nie mogło im się wydać bardziej pożądane niż pałac hrabiego oświetlony na wszystkich piętrach, który im błysnął z pagórka tak, że mogli policzyć okna.

Gdy się przybliżyli, ujrzeli, że wszystkie okna oficyn<sup>67</sup> również są oświetlone. Każdy rozmyślał, który też to pokój będzie jego; większość zadowalała się skromnie izdebką na poddaszu lub w oficynach.

Przejeżdżali przez wieś koło karczmy. Wilhelm kazał stanąć, aby tu wysiąść, gospodarz jednak zapewnił go, że nie mógłby mu dać ani kawałka miejsca. Pan hrabia bowiem z powodu przybycia niespodzianych gości zamówił zaraz całą karczmę, a na pokojach już od wczoraj zapisano kredą, kto ma w nich mieszkać. Wbrew woli zatem nasz przyjaciel musiał wjechać wraz z resztą towarzystwa na podwórzec zamkowy.

W jednej z oficyn ujrzeli kucharzy krzątających się pilnie około ognia; sam ten widok już ich pokrzepił; lokaje śpiesznie poskoczyli ze światłem na schody frontowego budynku, a serca pocziwych wędrowców rozplywały się na myśl o tym, co ich czeka. Ale jakże się zdziwili, gdy przyjęcie to skończyło się straszliwymi przekleństwami. Lokaje łajali woźniców, że tutaj zajechali; powinni byli, wołali, zawrócić i dalej w górę do starego zamku, bo tutaj wcale nie ma miejsca dla tych gości! Do tej nieprzyjaznej i niespodzianej odprawy dołączyli jeszcze różnorodne szyderstwa i śmiali się z siebie, że przez tę omyłkę zostali wyciągnięci na deszcz.

Wciąż lało, na niebie nie było ani jednej gwiazdy, a towarzystwo ruszyło teraz wyboistą ścieżką pomiędzy dwoma murami do starego tylnego zamku, który stał niezamieszkały od czasu, gdy ojciec hrabiego zbudował frontowy. Jedne wody zatrzymały się na podwórzu,

Karczma, Gospodarz

<sup>67</sup>oficyna — budynek przy dworze, przeznaczony dla służby lub na pomieszczenia gospodarcze. [przypis edytorski]

inne na długiej, sklepionej drodze do bramy, a woźnice, chłopci ze wsi, wyprzęgli konie i pojechali do siebie.

Gdy nikt się nie zjawił na przyjęcie towarzystwa, wysiedli, wołali, szukali; na próżno! Wszystko pozostało ciemne i ciche. Wiatr dął przez wysoką bramę, ponuro wyglądały stare wieże i podwórza, których kształty zaledwie mogli odróżnić w mroku. Marzli i drżeli, kobiety bały się, dzieci zaczęły płakać; niecierpliwość ich rosła z każdą chwilą, a tak szybka zmiana losu, na którą nikt nie był przygotowany, zupełnie zabiła ich z pantaląku.

Ponieważ co chwila oczekiwali, że ktoś przyjdzie i im otworzy, ponieważ już to deszcz, już to wicher mamił ich, tak że nieraz im się zdawało, iż słyszą kroki upragnionego klucznika zamkowego, pozostali czas jakiś zniechęceni i bierni; nikomu nie przyszło na myśl pójść do nowego zamku i poprosić litościwe dusze o pomoc. Nie mogli pojąć, gdzie się podział ich przyjaciel baron, i znajdowali się w bardzo przykrym położeniu.

Na koniec ludzie rzeczywiście nadeszli, a po głosach poznano w nich owych pieszych, którzy zostali na drodze za jadącymi. Opowiedzieli, że baron spadł z konia, ciężko skaleczył się w nogę i że ich również, gdy się rozpytywali w zamku, opryskliwie skierowano tutaj.

Całe towarzystwo było w największym kłopotcie; radzono, co począć, i nie zdecydowano się na nic. W końcu ujrano z daleka przychodzącą latarnię i odetchnięto swobodniej; jednak nadzieja rychłego wybawienia znikła znowu, gdy zjawisko się zbliżyło i stało się wyraźniejsze. Był to pacholek, który świecił znanemu koniuszemu hrabiego, a ten, zbliżywszy się, wypytywał bardzo gorąco o pannę Filinę. Zaledwie wyszła z gromady, bardzo natarczywie ofiarował się zaprowadzić ją do nowego zamku, gdzie przygotowano dla niej miejsce z pokojówkami hrabiny. Niedługo się namyślała, by przyjęc propozycję, chwyciła się jego ramienia i polecivszy kuferek swój pozostałym, chciała z nim odejść; jednak zastąpiono im drogę, pytano, proszono, zaklinano koniuszego tak, że ten w końcu, byleby się wydostać ze swą piękną, przyrzekł wszystko i zapewnił, że za chwilę zamek będzie otwarty, a oni jak najlepiej ulokowani. Wkrótce potem ujrzeli znikające światło jego latarni i długo na próżno spodziewali się nowego światła, aż wreszcie po wielu słowach, narzekaniach i łajaniach ukazało im się i ożywiło ich niejaką pociechą i nadzieją.

Jakiś stary stróż otworzył bramę dawnego budynku, w którą wdarli się pędem. Każdy troszczył się o swoje rzeczy, żeby je wydostać i wciągnąć do pokoju. Większość tych rzeczy, podobnie jak osób, była porządnie przemoczona. Przy jednej świecy wszystko szło bardzo powoli. W gmachu popychano się, potykano się, upadano. Proszono o więcej światła, proszono o napalenie. Jednosylabowy stróż z nieodpartej konieczności pozostawił swoją latarnię, odszedł i nie wrócił.

Teraz zaczęto przepatrywać dom; drzwi wszystkich pokojów były otwarte; duże piece, tkane obicia, wykładane podłogi pozostały jeszcze po dawniejszej świetności, ale innych sprzętów nie można było znaleźć, ani stołu, ani stołka, ani zwierciadła, zaledwie jakieś olbrzymie puste łóżka, pozbawione wszelkiej ozdoby i wszystkiego, co niezbędne. Na siedzenia wybrano mokre kufty i tłumoki, część zmęczonych wędrowców rozciągnęła się na podłodze, Wilhelm usiadł na stopniach, Mignon ułożyła się na jego kolanach; dziewczynka była niespokojna, a na pytanie, czego chce, odpowiedziała:

— Głodna jestem!

Nie znalazł przy sobie niczego, czym mógłby zaspokoić żądanie dziecka; reszta towarzystwa także przejadła cały zapas, musiał biedne stworzenie pozostawić bez pokrzepienia. W całym zdarzeniu zachowywał się biernie, zamknięty w sobie; przykro mu było bardzo i gniewał się na siebie, że nie wytrwał w swym zamiarze i nie wysiadł przy karczmie, choćby miał zająć siedlisko na strychu.

Inni zachowywali się różnie, stosownie do usposobienia. Niektórzy przynieśli kupę starego drzewa do olbrzymiego kominka w sali i zapalili stos z okrzykami wielkiej radości. Na nieszczęście i ta nadzieja osuszenia się i ogrzania została okropnie zawiedziona, bo kominek stał tam tylko dla ozdoby i od góry był zamurowany; dym wracał niebawem i zapełnił cały pokój; suche drewno, trzeszcząc, buchnęło płomieniem, ale i płomień został wypchnięty z powrotem; prąd wiatru wdzierający się przez stłuczone szyby nadawał mu chwiejny kierunek; obawiali się, by nie podpalić zamku, musieli rozrzucić ogień, deptać, gasić; dym się zwiększał, położenie stawało jeszcze nieznośniejsze, byli bliscy rozpaczy.

Wilhelm schronił się przed dymem do oddalonego pokoju, dokąd wkrótce przyszła za nim Mignon i wprowadziła pięknie ubranego lokaja, który niósł wysoką, jasno palącą

się latarnię o podwójnej świecy; zwrócił się on do Wilhelma i podając mu na pięknym porcelanowym talerzu cukierki i owoce, rzekł:

— Przysłała to panu młoda panienska z tamtego zamku, z prośbą, żebyś pan połączył się z towarzystwem; kazała powiedzieć — dodał z lubieżną miną — że jej bardzo dobrze i że chciałaby podzielić swoje zadowolenie z przyjacielem.

Wilhelm niczego mniej się nie spodziewał, jak takiego oświadczenia, gdyż od czasu przygody na kamiennej ławce okazywał Filinie wyraźną wzdargę i tak dalece był zdecydowany nie mieć z nią odtąd nic wspólnego, iż teraz także zamierzał odesłać słodki dar; tylko proszący wzrok Mignon skłonił do przyjęcia go i do podziękowania w imieniu dziewczynki; od zaproszenia wymówił się. Prosił lokaja, żeby choć trochę zajął się potrzebami przybyłego towarzystwa i wypytywał o barona. Leżał on w łóżku, ale z tego, co wiedział lokaj, powierzył już komuś innemu zadanie opieki nad umieszczonymi w tak nędznej gościnie.

Lokaj odszedł i zostawił Wilhelmu jedną ze swych świec, którą ten w braku lich-tarza musiał na futrynie okna przyklepić, mogąc się w swoich rozmyślaniach przyrzeć przynajmniej oświetlonym czterem ścianom pokoju. Bo dużo jeszcze upłynęło czasu, zanim dały się czuć przygotowania, mające na celu spoczynek naszych gości. Powoli zjawiały się świece; ale bez szczyptic, potem kilka krzesel, następnie w godzinę koldry, dalej poduszki, wszystko porządnie przemoczone, i było już dobrze po północy, gdy wreszcie przyniesiono sienniki i materace, które byłyby niezmiernie pożądane, gdyby się wpiereg ukazały.

Między jednym i drugim przyniesiono też trochę jedzenia i napitku, co spożyto, niewiele się wdając w krytykę, chociaż wyglądało to bardzo podobnie do beładnie zebranych niedojadków i dawały nieszczegółne świadectwo o szacunku, jakim darzono gości.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Wskutek beztroski i łobuzerstwa kilku swawolnych towarzyszy niepokój i dolegliwości tej nocy zwiększyły się, ponieważ wzajemnie się dręczyli, budzili i płatali po kolei różne figle. Następny ranek rozpoczął się od głośnych narzekań na przyjaciela, pana barona, że ich tak zwiódł i dał im całkiem inny obraz porządku i wygod, jakie mieli zastać. Ku ich zdziwieniu i pociesze, sam hrabia zjawił się bardzo wcześniej z kilkoma lokajami i dowiadywał się o ich potrzeby. Mocno był oburzony, usłyszawszy, jak ich przyjęto, a baron, którego przyprowadzono kulejącego, oskarżał marszałka dworu, iż się przy tej sposobności zachował wbrew rozkazom, i sądził, że trzeba mu sprawić tęgą łaźnię.

Hrabia natychmiast rozkazał, żeby w jego obecności wszystko uporządkowano dla możliwie największej wygody gości. Przyszło następnie kilku oficerów, którzy zaraz się wywiadywali o aktorki, a hrabia kazał sobie przedstawić całe towarzystwo, przemawiał do każdego po imieniu i urozmaicał rozmowę żartami, tak że wszyscy byli zachwyce-ni tak łaskawym panem. W końcu wystąpić musiał i Wilhelm, do którego przyłączyła się Mignon. Wilhelm tłumaczył się, jak mógł, ze swej śmiałości, hrabia zaś zdawał się przyjmować jego obecność jako rzecz znaną.

Jakiś pan stojący obok hrabiego, którego wzięto za oficera, chociaż nie nosił munduru, osobno rozmawiał z naszym przyjacielem i wyróżnił się ponad wszystkich. Wielkie, jasnoniebieskie oczy błyszcząły spod wysokiego czoła, blond włosy miał niedbale rozrzucone, a średni wzrost ukazywał osobowość dzielną, stanowczą i zdeterminowaną. Pytania jego były żywe i zdawało się, że znał się na wszystkim, o co zapytywał.

Wilhelm wypytywał o tego człowieka barona, ale ten nie miał o nim wiele dobrego do powiedzenia. Ma rangę majora, jest właściwie ulubieńcem księcia następcy, zajmuje się najtajniejszymi jego sprawami i uważany jest za jego prawą rękę, a nawet można mniemac, iż to jego naturalny syn. Był we Francji, Anglii, Włoszech z poselstwami; wszędzie bywa odznaczany, co czyni go zarozumiałym; wyobraża sobie, że zna gruntownie literaturę niemiecką i pozwala sobie na różne szyderstwa z niej. Baron unikał z nim, jak mówił, wszelkiej rozmowy i radził Wilhelmu, ażeby miał się od niego z daleka, gdyż w końcu każdemu daje się we znaki. Nazywają go Jarno, ale nie wiedzą, co to nazwisko ma znaczyć.

Wilhelm nie miał na to nic do powiedzenia, gdyż czuł pewną skłonność ku nieznanemu, choć było w nim coś zimnego i odpychającego.

Towarzystwo zostało rozmieszczone w zamku a Melina bardzo surowo nakazywał, żeby się odtąd sprawowali przyzwoicie, żeby kobiety mieszkaly osobno i żeby każdy zwrócił uwagę i dbał tylko o swe role, o sztukę. Przepisy i prawidła, składające się z wielu punktów, przybił na wszystkich drzwiach. Wyznaczona została suma kary pieniężnej, jaką każdy sprawca miał wkładać do wspólnej puszki.

Niewiele zważano na te przepisy. Młodzi oficerowie ciągle się kręcili, żartowali nie najwykwintniej z aktorkami, naśmiewali się aktorów i złamali cały ten policyjny porządek, zanim zdążył się przyjąć. Goniono się po pokojach, przebierano się, ukrywano. Melina, który z początku chciał okazać pewną surowość, był do głębi wzburzony rozmaitymi psotami, a gdy hrabia posłał po niego wkrótce potem, aby obejrzał miejsce, gdzie miał być urządzony teatr, kłopoty jeszcze się pogorszyły. Młodzi panicze wymyślali różne płaskie figle, przy pomocy niektórych aktorów stawały się one jeszcze niesmaczniejsze, wydawało się, jakby cały stary zamek opanowała rozszalała armia, a swawola ustała nie wcześniej, aż ruszono do obiadu.

Hrabia zaprowadził Melinę do dużej sali, należącej jeszcze do starego zamku, ale połączonej galerią z nowym; można było w niej bardzo dobrze urządzić małą scenkę. Tam roztropany gospodarz zaraz wskazał, co i jak należało zrobić.

Robotę podjęto z wielkim pośpiechem; postawiono i ozdobiono podwyższenie dla sceny, wykorzystano wszystkie zabrane ze sobą zdadne do użytku dekoracje, a resztę wykonano na miejscu z pomocą kilku zręcznych ludzi hrabiego. Wilhelm wziął udział w tej pracy, pomógł ustalić perspektywę, odmierzyć kontury i wielce troszczył się o to, aby nie stało się coś niestosownego. Hrabia, który często tam zaglądał, był tym bardzo zadowolony, pokazywał, jak należało właściwie zrobić to, co już zrobili, i dowiódł przy tym niezmiernych wiadomości w każdej sztuce.

Wnet zaczęto próby na serio, do czego mieliby dosyć miejsca i czasu, gdyby im ustawnie nie przeszkadzali schodzący się w wielkiej liczbie obcy ludzie. Codziennie przybywali bowiem nowi goście, a każdy chciał na własne oczy obejrzeć towarzystwo.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Baron przez dni kilka zatrzymywał Wilhelma nadzieją, iż zostanie osobno przedstawiony hrabinie.

— Tyle naopowiadałem — mówił on — tej wytwornej damie o pańskich pełnych natchnienia i uczucia sztukach, że pragnie koniecznie pomówić z panem i posłyszeć co nieco z pańskich utworów. Niechże się pan przygotowuje, by móc pójść do niej na pierwsze skinienie, bo w najbliższy spokojny ranek z pewnością pana zawołają.

Wskazał mu potem małą sztukę, którą miał naprzód odczytać, gdyż nią się jak najlepiej zarekomenduje. Dodał, że dama wielce żałuje, iż Wilhelm przybył w tak zajętych czasie i że cierpieć musi niewygody w starym zamku wraz z resztą towarzystwa.

Z wielką tedy pilnością Wilhelm zabrał się do sztuki, którą miał rozpocząć swój występ na wielkim świecie.

— Pracowałeś dotychczas — rzekł do siebie — w cichości dla siebie; otrzymałeś pochwałę jedynie od kilku przyjaciół; przez długi czas wątpieś o swym talencie i nadal musisz się martwić, jesteś na dobrej drodze, czy masz tyle talentu co skłonności do teatru. Wobec uszu tak wyćwiczonych znawców, w gabinecie, gdzie nie ma żadnej iluzji, próba jest bardziej niebezpieczna niż gdzie indziej, a nie chciałbym przecie zaniedbać sposobności, by tę przyjemność dołączyć do dawniejszych rozkoszy i poszerzyć nadzieję na przyszłość.

Brał więc jedną sztukę po drugiej, odczytywał je z największą uwagą, poprawiał tu i ówdzie, deklamował je głośno, aby w mowie i sposobie wyrażania się nabyć biegłości, i tę sztukę, którą najlepiej przestudiował, za pomocą której spodziewał się osiągnąć najwyższy zaszczyt, włożył do kieszeni, kiedy pewnego poranka wezwany został do hrabiny.

Baron zapewniał go, że będzie sama, tylko ze swą dobrą przyjaciółką. Gdy wszedł do pokoju, baronowa von C\*\* powitała go z wielką uprzejmością, cieszyła się, że się z nim zapoznała i przedstawiła go hrabinie, która właśnie kazała się fryzować i przyjęła go

uprzejmymi słowami i spojrzeniami, ale niestety przy jej krześle ujrzał Filinę, klęczącą i robiącą rozmaite głupstwa.

— To piękne dziecko — rzekła baronowa — śpiewało nam różne rzeczy. Niech dokończy zaczęta piosenkę, abyśmy nic z niej nie stracili.

Wilhelm wielce cierpliwie słuchał śpiewki, pragnąc, żeby fryzjer odszedł, zanim on zacznie czytać. Podano mu filiżankę czekolady, do której sama baronowa przyniosła mu sucharki. Mimo to śniadanie mu nie smakowało, gdyż żywo chciał odczytać pięknej hrabiny coś, co by ją mogło zająć, czym by się mógł jej spodobać. I Filina także stała mu na drodze, bo jako słuchaczka nieraz już była dla niego niedogodna. Z bólem patrzył fryzjerowi na ręce i z każdą chwilą miał coraz lepszą nadzieję na skończenie się jego budowy.

Tymczasem wszedł hrabia i opowiadał o mających dziś nadjechać gościach, o rozporządzeniu dnia i o innych domowych sprawach. Gdy się oddalił, kilku oficerów prosiło o pozwolenie, by mogli złożyć swe uszanowanie hrabinie, gdyż musieli odjechać jeszcze przed obiadem. Kamerdyner skończył robotę, a hrabina kazała wpuścić tych panów.

Baronowa starała się zabawiać naszego przyjaciela i okazywała mu wiele szacunku, co przyjmował ze czcią, chociaż cokolwiek roztargniony. Dotykał niekiedy rękopisu w kieszeni, co chwila spodziewał się wezwania i prawie zabrakło mu cierpliwości, gdy wpuszczono kupca galanteryjnego, który nielitościwie otwierał jedno po drugim swoje tektury, skrzynki, pudła i z właściwą temu plemieniu natarczywością pokazywał każdy gatunek towarów.

Towarzystwo powiększało się. Baronowa spojrzała na Wilhelma i coś po cichu powiedziała do hrabiny; spostrzegł to, nie rozumiejąc celu, który jasno stanął przed nim dopiero w domu, dokąd odszedł po godzinie niespokojnego i daremnego czekania. Znalazł w kieszeni piękny angielski portfel. Baronowa wsunęła mu go kryjomu; wkrótce potem przybył mały Murzynek hrabiny, który przyniósł mu ładnie haftowaną kamizelkę, nie mówiąc wyraźnie od kogo.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Mieszanina uczuć zawodu i wdzięczności popsuka mu całą resztę dnia, aż wieczorem znów znalazł sobie zajęcie, gdy Melina zwierzył mu się, iż hrabia mówił o prologu, który miał być wystawiony na cześć księcia następcy w dzień jego przyjazdu. Miały w nim występować uosobione przymioty tego wielkiego bohatera i przyjaciela ludzkości. Cnoty te miały wystąpić razem, wyśpiewać jego chwałę, a na końcu otoczyć jego popiersie wieńcami z kwiatów i liści laurowych, przy czym miał jasno przeświecać anagram jego nazwiska i książęcy kapelusz. Hrabia polecił Melinie postarać się o wiersze i o inne szczególne wystawienia takiej sztuki, a Melina wyraził nadzieję, że Wilhelm, któremu to łatwo przyjdzie, chętnie mu w tym pomoże.

— Jak to! — zawołał tenże rozdrażniony. — Czyż to nie mamy już nic prócz popiersi, przekreślonych nazwisk i alegorycznych figur, by uczcić księcia, który moim zdaniem zasłużył na całkiem inną pochwałę? Jakże to może pochlebiać rozumnemu mężowi, gdy widzi się wystawiony *in effigie*<sup>68</sup>, a jego imię przeświecające na zatłuszczonym papierze! Lękam się bardzo, żeby alegorie, zwłaszcza przy naszej garderobie, nie dały pobudki do jakichś dwuznaczności i żartów. Jeśli pan chcesz coś takiego robić lub kazać zrobić, nie mogę mieć nic przeciw temu, tylko proszę, żeby mnie w to nie mieszać.

Melina tłumaczył się, że pan hrabia dał tylko ogólnikowy zarządek, a co do reszty im pozostawił urządzenie sztuki.

— Bardzo chętnie przyczynię się — odparł Wilhelm — do sprawienia przyjemności tym doskonałym państwu, a moja muza nie miała jeszcze tak miłego zajęcia, jak zabrać głos, choćby nawet jękając się tylko, ku pochwałę księcia, który zasługuje na tak wielką cześć. Pomyślę nad tym, może mi się uda tak rozmieścić naszą małą trupę, żebyśmy przynajmniej wywołali jakiś efekt.

Od tej chwili Wilhelm gorliwie rozmyślał nad poleceniem. Zanim zasnął, prawie wszystko uporządkował, a nazajutrz wcześniej rano był gotów, sceny naszkicowane, a nawet niektóre z najważniejszych scen i śpiewów ujęte w wiersze i na papierze.

<sup>68</sup>*in effigie* (łac.) — pod postacią obrazu, wizerunku. [przypis edytorski]

Zaraz z rana Wilhelm pośpieszył do barona, aby porozmawiać o pewnych okolicznościach, i przedłożył mu swój projekt. Bardzo się on spodobał baronowi, który jednak okazał niejakiemu zdziwienie; wczoraj bowiem słyszał, jak hrabia mówił o zupełnie innej sztuce, która miała być, według jego zamysłu, przełożona na wiersze.

— Nie wydaje mi się prawdopodobne — odparł Wilhelm — aby było zamiarem hrabiego kazać przygotowywać sztukę dokładnie tak, jak powiedział Melinie; jeżeli się nie mylę, chciał tylko swoją wskazówką skierować nas właściwą drogę. Miłośnik i znawca daje poznać artyście, czego sobie życzy, i pozostawia mu staranie o wykonanie dzieła.

— Bynajmniej — odrzekł baron — pan hrabia jest pewny, że sztuka zostanie wystawiona tak, jak podał, a nie inaczej. Pańska jest wprawdzie podobna do jego pomysłu, ale jeśli zechcemy ją przeprowadzić i odwieść go od pierwszej myśli, to musimy to uskutecznić przez panie. Szczególnie baronowa potrafi wybornie brać się do takich operacji; idzie tylko o to, czy pański plan tak się jej podoba, żeby zechciała podjąć się sprawy, a wtedy uda się z pewnością.

— I bez tego potrzebujemy pomocy pań — rzekł Wilhelm — nasz personel bowiem i nasza garderoba nie wystarczyłyby może na przedstawienie. Liczyłem na kilkoro ładnych dzieci, które biegają po domu, a które należą do kamerdynera i marszałka.

Prosił potem barona, by zaznajomił panie z jego planem. Ten wrócił niebawem i przyniósł wiadomość, iż chcą z nim pomówić osobiście. Dziś wieczorem, gdy panowie zasiądą do gry, która z powodu przybycia pewnego generała będzie pewnie poważniejsza niż zwykle, damy pod pozorem znużenia miały odejść do swych pokojów, Wilhelm miał zostać wprowadzony tajemnymi schodami i mógł wówczas jak najlepiej wyłożyć swoją sprawę. Ten rodzaj tajemnicy, mówił baron, nadaje przygodzie podwójny wdzięk, zwłaszcza baronowa cieszy się jak dziecko z tej schadzki, a jeszcze bardziej z tego, że miało to być dokonane tajemnie i zręcznie przeciwko woli hrabiego.

Pod wieczór o wyznaczonej porze przysłano po Wilhelma i ostrożnie wprowadzono na górę. Sposób, w jaki baronowa spotkała go w małym gabinecie, przypomniał mu na chwilę dawniejsze szczęśliwe czasy. Zaprowadziła go do pokoju hrabiny; zaczęły się tedy pytania, badania. Przedstawił swój plan z możliwie największym zapalem i żywością, tak że zupełnie zjednał sobie panie, a czytelnicy nasi pozwolą, że pokrótce ich z nim zapoznamy.

W scenie wiejskiej dzieci miały rozpocząć sztukę tańcem, który wyobrażał zabawę, w której jeden chodzi w kółko i usiłuje zająć miejsce drugiego. Potem miały zmieniać gry, a dalej przy nieustających kolejnych płasach śpiewać wesołą piosenkę. Następnie miał nadejść harfiarz z Mignon, obudzić ciekawość i zwabić wielu wieśniaków; stary miał występować różne pieśni na cześć pokoju, odpoczynku, wesołości, a Mignon wykonać taniec z jajkami.

Tę niewinną zabawę przerywa muzyka wojskowa; na zgromadzenie napada oddział żołnierzy. Mężczyźni porywają się do obrony i doznają porażki; dziewczęta uciekają, lecz zostają schwytane. Wszystko ginąć się zdaje wśród zgiełku, gdy nadchodzi jakaś osoba, którą poeta wahał się jeszcze określić, i sprowadza spokój wiadomością, że wódz niedaleko. Tu odmalowano jak najpiękniej charakter bohatera, przyrzeczono wśród wojny bezpieczeństwo, postawiono zapory swawoli i gwałtom. Obchodzi się powszechnie święto na cześć wspaniałomyślnego wodza.

Panie były wielce zadowolone z planu; utrzymywały tylko, że dla przypodobania się hrabiemu trzeba koniecznie włożyć do sztuki coś alegorycznego. Baron podał projekt, żeby dowódcę żołnierzy oznaczyć jako ducha niezgody i gwałtu, żeby potem nadeszła Minerwa<sup>69</sup>, zakuła go w kajdany, przekazała wiadomość o przybyciu bohatera i wypowiedziała jego pochwałę. Baronowa podjęła się przekonania hrabiego, że podany przezeń plan, z pewną jedynie zmianą, został wykonany; przy czym żądała wyraźnie, ażeby w końcu sztuki ukazało się koniecznie popiersie, anagram z nazwiska i książęcy kapelusz, gdyż w przeciwnym razie wszelkie porozumienie byłoby daremne.

Wilhelm, który już sobie wyobrażał w myślach, jak pięknie wysławi bohatera przez usta Minerwy, ustąpił na tym punkcie dopiero po długim oporze, czuł się jednak zmuszony w sposób jak najprzyjemniejszy. Piękne oczy hrabiny i jej miłe zachowanie łatwo by go nawet skłoniły do zaniechania najpiękniejszej choćby i najdroższej inwencji, wielce

<sup>69</sup>Minerwa (mit. rzym.) — bogini mądrości i sztuk, utożsamiana z grecką Ateną. [przypis edytorski]

pożądaną jedność kompozycji i wszystkich ładnych szczegółów oraz do działania wbrew swemu sumieniu poetyckiemu. Natomiast ciężka walka czekała jego mieszczańskie sumienie, gdy przy dokładniejszym rozkładzie ról panie nastawały wyraźnie, że i on grać musi.

Laertes otrzymał dla siebie owego gwałtownego boga wojny, Wilhelm przedstawiał miał przywódcę wieśniaków, który miał do wypowiedzenia bardzo zręczne i uczuciowe wiersze.

Wymawiał się gorąco czas jakiś, ale w końcu się poddał; nie znalazł mianowicie żadnego tłumaczenia, gdy baronowa perswadowała mu, że ta scena w zamku może być przecie uważana tylko za teatr amatorski, w którym i ona by chętnie grała, gdyby można było zrobić stosowny wstęp. Następnie panie nader uprzejmie pożegnały się z naszym przyjacielem. Baronowa zapewniła go, że jest niezrównanym człowiekiem, i odprowadziła go aż do małych schodków, gdzie uściskiem ręki życzyła mu dobrej nocy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pobudzony szczerym zainteresowaniem okazanym sprawie przez damy, stanął jak żywy plan, który przez opowiadanie stał się dla niego jaśniejszy. Większość nocy i cały następny ranek poświęcił jak najstaranniejszemu zwierzowaniu dialogów i pieśni.

Miał już wszystko prawie gotowe, gdy go zawołano do nowego zamku, gdzie, jak się dowiedział, państwo, którzy właśnie jedli śniadanie, chcieli z nim pomówić. Wszedł do sali; baronowa znowu wyszła mu naprzeciw i pod pozorem, że chce mu powiedzieć dzień dobry, szepnęła potajemnie:

— Niech pan nic więcej nie mówi o swej sztuce prócz tego, o co będziesz pytany.

— Słyszę — rzekł do niego hrabia — żeś pan bardzo pilny i pracujesz nad moim prologiem, jaki chcę dać na cześć księcia. Chwałę to, że chcesz pan wprowadzić tam Minerwę, i zawczasu myślę, jak należy ubrać boginię, żeby nie uchybić przeciw kostiumom. Kazałem więc przynieść z biblioteki wszystkie książki, w których znajduje się jej wizerunek.

W tejże chwili do sali weszło kilku lokajów z wielkimi koszami pełnymi książek wszelkiego rodzaju formatów.

Montfaucon<sup>70</sup>, zbiory starożytnych posągów, gemm i monet, pisma mitologiczne wszelkiego rodzaju zostały otwarte; porównywano postaci. Ale i tego nie było jeszcze dosyć! Wyborna pamięć hrabiego przedstawiała mu wszystkie chyba Minerwy, jakie mogły znajdować się na miedziorytach tytułowych, winietach lub gdzie indziej. Z tego powodu musiano przynosić z biblioteki jedno dzieło po drugim, tak że w końcu hrabia siedział wśród stosu książek. Wreszcie, gdy już sobie nie przypominał żadnej innej Minerwy, zawołał, śmiejąc się:

— Założyłbym się, że w całej bibliotece nie ma już Minerw, i zapewne pierwszy raz się zdarzyło, żeby zbiór książek był tak całkowicie ogołocony z wizerunków swej opiekuńczej bogini.

Całe towarzystwo cieszyło się z tego konceptu, a zwłaszcza Jarno, który podjudzał hrabiego, żeby kazał znosić coraz więcej książek, śmiał się do rozpuku.

— No, a teraz — rzekł hrabia, zwracając się do Wilhelma — główną rzeczą jest wiedzieć, którą boginię masz pan na myśli? Minerwę czy Palladę<sup>71</sup>? Boginię wojny czy sztuki?

— Czy nie byłoby najstosowniej, wasza ekscelencjo — odparł Wilhelm — nie wypowiadać się pod tym względem konkretnie i ponieważ w mitologii gra rolę podwójną, dać jej i tutaj ukazać się w podwójnej właściwości? Zapowiada przybycie wojownika, ale po to tylko, ażeby lud uspokoić, wychwala bohatera, ale wywyższa jego człowieczeństwo, przezwycięża gwałty i przywraca wśród ludu radość i spokój.

<sup>70</sup>Montfaucon, Bernard de (1655–1741) — francuski mnich, uczony, paleograf, uważany za jednego z założycieli nowożytnej archeologii; autor m.in. 15-tomowego dzieła *L'antiquité expliquée et en représentée* (1719–1724), w wielkim formacie in folio, zawierającego miedzioryty przedstawiające zabytki klasycznej starożytności. [przypis edytorski]

<sup>71</sup>Pallada a. Pallas (mit. gr.) — przydomek Ateny, dziewiczej bogini mądrości i wojny sprawiedliwej. [przypis edytorski]

Baronowa, lękając się, żeby Wilhelm się nie zdradził, wysunęła czym prędzej nadwornego krawca hrabiny, który miał wyrazić swoje zdanie, jak najlepiej wykonać taką starożytną suknię. Człowiek ten, doświadczony w szyciu masek, łatwo potrafił wywiązać się z zadania, a że pani Melina pomimo swej daleko posuniętej brzemienności przyjęła rolę niebiańskiej dziewicy, powiedziano mu, żeby z niej zdjął miarę, a hrabina wyznaczyła, chociaż ku niezadowoleniu swoich pokojówek, suknie z garderoby, które miały pójść w tym celu do przeróbki.

Baronowa umiała w zręczny sposób znowu usunąć na bok Wilhelma i niebawem dała mu znać, że się postarała i o resztę rzeczy. Posłała zaraz do niego muzykanta, kierującego kapelą dworską hrabiego, ażeby mógł już to skomponować niezbędne kawałki, już to wyszukać w zapasach muzycznych odpowiednich melodii.

Odtąd wszystko szło według życzenia, hrabia nie dopytywał się już o sztukę, lecz się zajął głównie prześwietlając dekoracją, który miał zadziwić widzów przy końcu sztuki. Jego pomysłowość oraz zręczność jego cukiernika wydały rzeczywiście bardzo przyjemne oświetlenie. W licznych swoich podróżach widział bowiem wspaniałe uroczystości tego rodzaju, przywiózł z sobą wiele miedziorytów i rysunków, i umiał z wielkim smakiem określić, jak się co robiło.

Tymczasem Wilhelm ukończył sztukę, dał każdemu rolę, objął swoją, a muzyk, który zarazem znalazł się bardzo dobrze na tańcu, urządził balet i tak szło wszystko jak najlepiej.

Zaszła tylko niespodziewana przeszkoda, która groziła pozostawieniem przykłej luki. Obiecywał sobie nader wielki efekt z tańca Mignon z jankami, jakżeż więc się zdziwił, kiedy dziewczynka ze zwykłą sobie oschłością odmówiła udziału, twierdząc, że należy teraz do niego i nie pójdzie już do teatru. Starał się wzruszyć rozmaitymi namowami i nie przestawał, aż zaczęła gorzko płakać, upadła mu do nóg i wołała:

— Drogi ojczu! Ty też nie zbliżaj się do desek!

Nie zważał na to ostrzeżenie, rozmyślając, w jaki sposób mógłby uczynić tę scenę interesującą za pomocą innego pomysłu.

Filina, która grać miała jedną z dziewczyn wiejskich, a w tańcu w rzędzie śpiewać osobno i poddawać wiersze chórowi, cieszyła się z tego niesłychanie. Zresztą szło jej według wszystkiego życzenia, miała osobny pokój, ciągle kręciła się koło hrabiny, bawiąc ją małpimi figlami i otrzymując za to codziennie podarunki: uszyto też dla niej suknię do tej sztuki, a że miała lekkie, naśladowcze usposobienie, więc niebawem z przestawania z paniami przyswoiła sobie tyle, ile jej odpowiadało i w bardzo krótkim czasie wyrobiła się na światową, umiejącą dobrze się zachowywać damę. Nadszkakiwanie koniuszego zwiększało się raczej, niż zmniejszało, a ponieważ oficerowie także silnie na nią nacierali, a znalazła się wśród tak hojnego żywiołu, przyszło jej na myśl odgrywać oporną i ćwiczyć się zręcznie w zachowaniu niejakiej wytworności postawy. Zimna i sprytna, w ciągu tygodnia poznała słabości całego domu, tak że gdyby mogła postępować z pewnym planem, łatwo dorobiłaby się fortuny. Ale i tu używała swych przymiotów na to tylko, aby się zabawić, aby spędzić dobrze dzień i być impertynencką tam, gdzie jej zdaniem można to było zrobić bez niebezpieczeństwa.

Wyuczono się rolę; zapowiedziano próbę generalną; hrabia chciał być na niej, a jego żona zaczęła się martwić, czy sztuka mu się podoba. Baronowa przywołała potajemnie Wilhelma; im bardziej zbliżała się godzina, tym większy okazywano niepokój, gdyż ostatecznie z pomysłu hrabiego nic a nic nie pozostało. Jarno, który wszedł na to, został wciągnięty do tajemnicy. Zabawiło go to serdecznie i bardzo chętnie ofiarował paniom swe usługi.

— Byłoby to bardzo źle, łaskawa pani — rzekł — gdyby się pani sama nie potrafiła z tej sprawy wywikłać; lecz na wszelki wypadek pozostanę na czatach.

Baronowa opowiedziała następnie, jak to przedstawiała hrabiemu całą sztukę, ale zawsze tylko kawałkami i bez porządku, tak że jest on przygotowany na każdy szczegół, lecz ciągle trwa w przekonaniu, iż całość zbiegnie się z jego pomysłem.

— Dziś wieczorem — rzekła — podczas próby przysiądę się do niego i będę się starała odrywać jego uwagę. Mistrza ogni sztucznych uprzedziłam już także, iżby dekorację na końcu zrobił bardzo ładnie, ale żeby brakowało w niej jakiejś drobnostki.

— Znam dwór — odpowiedział Jarno — gdzieby potrzebowaliśmy takich czynnych a mądrych przyjaciół jak pani. Jeśli dzisiejszego wieczoru obmyślane przez panią środki



nie będą już działały, skin' pani na mnie, a ja wyprowadzę hrabiego i nie wpuszczę go wcześniej, aż wystąpi Minerwa i spodziewane będą niebawem posiłki od iluminacji. Już od dni kilku mam mu powiedzieć coś, co dotyczy jego kuzyna, a co z różnych powodów ciągle odkładałem. I to uczyni mu dystrakcję, choć nie najprzyjemniejszą.

Jakieś interesy nie pozwoliły hrabiemu być na początku próby, potem zabawiła go baronowa. Pomoc Jarna zgoła nie była potrzebna. Chociaż bowiem hrabia miał na myśli dosyć sprostowań, poprawek i zmian, całkiem się jednak zapomniał w rozmowie, a że pani Melina w końcu mówiła według jego smaku, iluminacja zaś poszła dobrze, okazał się zupełnie zadowolony. Dopiero gdy wszystko już minęło i zabrano się do właściwej sztuki, zdawało się, że go uderzyła różnica; zaczął rozważać, czy prolog był rzeczywiście jego pomysłem? Na dany znak wypadł z zasadzki Jarno; wieczór przeszedł, wiadomość, że księżę istotnie przybywa, sprawdziła się; kilka razy wyjeżdżano konno, by zobaczyć obozującą w sąsiedztwie straż przednią, zamek pełen był zgielku i niepokoju, a nasi aktorzy, których potrzeby nie zawsze były najlepiej zaopatrywane przez niechętną służbę, gdy nikt o nich szczególnie nie pamiętał, musieli spędzać czas na oczekiwaniach i ćwiczeniach w starym zamku.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Przybył wreszcie księżę; generalicja, oficerowie sztabu i reszta świty, która jednocześnie nadciągnęła, liczni ludzie, którzy zawitali już to w odwiedziny, już to w interesach, uczynili zamek podobnym do ula, w którym właśnie odbywa się rojenie. Każdy się cisnął, by widzieć znakomitego księcia, i każdy podziwiał jego uprzejmość i przystępność; każdy się zdumiewał, spostrzegając najprzyjemniejszego dworzanina w bohaterze i wodzu.

Wszyscy domownicy z dworu musieli wedle rozkazu hrabiego być na swych stanowiskach w chwili przybycia księcia; aktorzy nie powinni się pokazywać, gdyż przygotowywane uroczystości miały być niespodzianką dla księcia; toteż wieczorem, gdy wprowadzono go do wielkiej, wybornie oświetlonej sali, przyozdobionej gobelinami z zeszłego stulecia, zdawało się, że najzupełniej się nie spodziewał jakiegoś widowiska, a tym mniej prologu na swoją cześć. Wszystko odbyło się jak najlepiej, a po przedstawieniu trupa musiała wyjść i ukazać się księciu, który umiał każdego o coś jak najuprzejmiej zapytać, każdemu jak najgrzeczniej coś powiedzieć. Wilhelm jako autor musiał wystąpić oddzielnie i otrzymał również swoją czastkę uznania.

O prolog nikt się wiele nie dopytywał; w kilka dni potem wyglądało tak, jakby nigdy nic podobnego nie wystawiono, tylko Jarno rozmawiał o tym z Wilhelmem i bardzo rozumnie chwalił, dodał jednakże:

— Szkoda, że grasz pan pustymi orzechami o puste orzechy.

Przez kilka dni wyrażenie to tkwiło w myśli Wilhelma; nie wiedział, jak sobie je tłumaczyć ani co z niego wywnioskować.

Tymczasem towarzystwo grało, jak tylko mogło najlepiej przy swych zasobach, i wysiłało się, ażeby ściągnąć na siebie uwagę widzów. Niezasłużona pochwała orzeźwiała aktorów, siedząc w starym zamku sądzili naprawdę, że owo wielkie zgromadzenie ciśnie się właściwie tylko ze względu na nich, że po przedstawieniach ściąga do nich mnóstwo obcych i że są punktem środkowym, wokół którego wszystko się kręci i porusza.

Tylko Wilhelm spostrzegł, ku swemu wielkiemu zmartwieniu, iż rzecz ma się zupełnie inaczej. Bo chociaż księżę, siedząc na swym krześle, przysłuchiwał się z największą sumiennością pierwszym przedstawieniom od początku do końca, to później z wolna zdawał się ich pod jakimś pozorem unikać. Ci właśnie, których Wilhelm w rozmowie poczytywał za najrozumniejszych, z Jarnem na czele, spędzali w teatrze jedynie przelotne chwile, poza tym siedzieli w przedsiönku, grali lub też zdawali się rozmawiać o interesach.

Wilhelma bolało bardzo, iż wobec swoich wytrwałych usiłowań nie otrzymuje oczekiwanego uznania. Przy wyborze sztuk, przy odpisywaniu ról, częstych próbach i innych tym podobnych okolicznościach przychodził gorliwie z pomocą Melinie, który, czując w duszy swą nieudolność, zgodził się w końcu na jego współudział. Wilhelm pilnie zapamiętywał role, wypowiadał je żywo, z zapalem oraz z taką układnością, na jaką pozwalało to szczupłe wykształcenie, które sam sobie zdobył.

Nieustające jednak współzucie barona rozwiewało jednak wszelkie wątpliwości reszty towarzystwa, gdyż zapewniał, że wywarli największe wrażenie, zwłaszcza kiedy przedstawiono jedną z jego własnych sztuk; żałował tylko, że książę ma skłonność wyłącznie do teatru francuskiego, a część jego ludzi, pomiędzy którymi wyróżniał się szczególnie Jarno, przeciwnie, namiętnie oddawała pierwszeństwo okropnościom sceny angielskiej.

Ale o ile tym sposobem sztuka naszych aktorów nie była najlepiej uznana i podziwiana, o tyle wobec ich osób widzowie obu płci nie pozostawali zupełnie obojętni. Już wyżej wzmiankowaliśmy, że aktorki od początku przyciągały uwagę młodych oficerów, później wszakże stały się szczęśliwsze i dokonały ważniejszych podbojów.

Lecz zamilczmy o tym i zróbmy tylko spostrzeżenie, iż Wilhelm z każdym dniem stawał się coraz bardziej interesujący dla hrabiny, a i w nim także kiełkować zaczęła cicha skłonność ku niej. Gdy znajdował się na scenie, nie mogła oderwać od niego oczu, a on niebawem, jak się zdawało, grał i deklamował dla niej tylko, ku niej zwrócony. Patrzenie wzajem na siebie było dla nich niewymowną przyjemnością, której całkowicie oddali swe niewinne dusze, nie żywiąc silniejszych pragnień i nie troszcząc się o następstwa.

Jak poprzez dzielącą ich rzekę dwie nieprzyjazne forpoczty<sup>72</sup> spokojnie i wesoło gwarzą ze sobą nie myśląc o wojnie, którą prowadzą ze sobą dwie walczące strony, tak hrabina i Wilhelm zamieniali znaczące spojrzenia ponad olbrzymią przepaścią urodzenia i stanu, a każde z nich po swej stronie sądziło, że może się bezpiecznie oddać swoim uczuciom.

Baronowa tymczasem wybrała sobie Laertesa, który wielce jej się podobał jako dzielny, dziarski młodzieniec i który pomimo swej niechęci do kobie, nie gardził przecież przelotną awanturką i teraz też rzeczywiście wbrew swej woli dałby się ująć uprzejmości i urokowi baronowej, gdyby mu przypadkiem baron nie oddał dobrej, albo jak kto chce, złej przysługi, zapoznając go bliżej z usposobieniem tej pani.

Gdy bowiem Laertes kiedyś ją głośno chwalił i przedkładał nad wszystkie inne jej płci, baron rzekł żartobliwie:

— Widzę, jak się rzeczy mają; nasza kochana przyjaciółka znowu jednego zyskała do swoich chlewików.

To nieszczęśliwe porównanie, które aż zanadto jasno wskazywało na niebezpieczne pieszczoły Kirke<sup>73</sup>, niezmiernie dotknęło Laertesa i nie mógł bez wzburzenia słuchać barona, który mówił dalej bezlitośnie:

— Każdy obcy sądzi, że jest pierwszym, któremu dostaje się w udziale tak miłe postępowanie; ale się myli strasznie, gdyż myśmy wszyscy przechodzili tę drogę; mężczyzna, młodzieniec czy chłopiec, kimkolwiek jest, musi na jakiś czas jej się oddać, do niej przylgnąć i tęsknić się o nią ubiegać.

Szczęśliwca, który wchodząc do ogrodów czarodziejki, napotyka właśnie wszystkie błogości sztucznej wiosny, nic nie może bardziej nieprzyjemnie zdziwić, niż gdy niespodzianie odchrząknie jakiś przeobrażony poprzednik, podczas gdy on pragnąłby pochwycić uchem jedynie śpiew słowika.

Laertes po takim odkryciu wstydył się z całej duszy, że jego próżność raz jeszcze go zmamiła, by pomyśleć dobrze, choćby w najmniejszej mierze, o jakiegokolwiek kobiecie. Całkowicie więc ją zaniedbał; przystał do koniuszego, z którym fechtował się pilnie i chodził na polowania, a na próbach i przedstawieniach zachowywał się tak, jakby to była tylko drobnostka.

Hrabia i hrabina przywoływali niekiedy z rana do siebie niektórych z towarzystwa, a wówczas wszyscy znajdowali powody, żeby zazdrościć Filinie niezasłużonego szczęścia. Hrabia miał swego ulubieńca w pedancie, którego często godzinami zatrzymywał przy swej toalecie. Stopniowo ubrano tego człowieka, zaopatrzone i wyposażone go aż do zegarka i tabakierki.

Czasami też towarzystwo, czy to całe, czy pojedynczo wzywane było przed dostojnych państwa po obiedzie. Uważali to za wielki zaszczyt, nie spostrzegając, że w tym samym czasie kazano strzelcom i lokajom zwoływać pewną liczbę psów i przeprowadzać po podwórzu zamkowym konie.

<sup>72</sup>*forpoczta* — wojskowy oddział zwiadowczy lub wysunięte stanowisko posterunkowe. [przypis edytorski]

<sup>73</sup>*Kirke* (mit. gr.) — bohaterka *Odysei* Homera, czarodziejka, która towarzyszy Odyseusza zmieniała w świnie. [przypis edytorski]

Wilhelmowi powiedziano, żeby przy sposobności wychwalał ulubieńca księcia, Racine'a<sup>74</sup>, a przez to budził w nim i o sobie dobre mniemanie. Na jednym z takich poobiednich przyjęć znalazł po temu okazję, gdy zawezwano także i jego, a książe spytał go, czy pilnie czytuje wielkich dramaturgów francuskich, na co Wilhelm żywo odpowiedział twierdząco. Nie zauważył, że książe, nie czekając na jego odpowiedź, już miał się odwrócić i skierować do kogoś innego; przeciwnie, uczepił się go i prawie drogę mu zastąpił, mówiąc dalej: że bardzo wysoko ceni teatr francuski i czyta dzieła wielkich mistrzów z zachwytem, że go mianowicie przejęła szczerą radością wieść, iż książe oddaje najzupełniejszą sprawiedliwość wielkim talentom takiego Racine'a.

— Wyobrażam sobie — mówił następnie — jak dalece dostojne i znakomite osoby muszą cenić poetę, który tak doskonale i trafnie maluje stosunki sfer wyższych. Corneille<sup>75</sup> malował, że tak powiem, wielkich ludzi, a Racine znakomite osoby. Czytając jego dramaty, zawsze wyobrażam sobie poetę, który żyje na świetnym dworze, ma przed oczyma wielkiego króla, przestaje z najlepszymi i wnika w tajemnice ludzkości, ukrywające się za bogato haftowanymi zasłonami. Gdy studiuję jego *Brytanika*, jego *Berenikę*, wydaje mi się, iż naprawdę znajduję się na dworze, że jestem wtajemniczony w wielkie i małe sprawy tych przybytków bogów ziemskich i oczyma subtelnie czującego Francuza widzę królów, których wielbi cały naród, dworzan, którym zazdroszczą tysiące, w ich naturalnej postaci, z ich wadami i cierpieniami. Anegdota mówiąca, że Racine na śmierć się zamartwił, dlatego że Ludwik XIV<sup>76</sup> nie spojrział na niego, dał mu odczuć swoje niezadowolone, jest dla mnie kluczem do wszystkich jego dzieł; niepodobna też, ażeby poeta tak wielkich zdolności, którego życie i śmierć zależały od królewskiego spojrzenia, nie miał pisać sztuk, które byłyby godne pochwały króla i pana.

Jarno podszedł i przysłuchiwał się ze zdziwieniem naszemu przyjacielowi; książe, który nie odpowiedział i tylko okazał swe uznanie uprzejmym spojrzeniem, zwrócił się w inną stronę, chociaż Wilhelm, który nie wiedział jeszcze, że nieprzyzwoicie jest w takich okolicznościach prowadzić dalej rozmowę i chcieć wyczerpać temat, byłby mówił daleko więcej, pragnąc dowieść księciu, że czytał jego ulubionego poetę nie bez korzyści i uczucia.

— Czyż pan nigdy nie widział jakiej sztuki Szekspira? — zapytał Jarno, odciągawszy go na stronę.

— Nie — odrzekł Wilhelm — od czasu bowiem, kiedy stały się w Niemczech bardziej znane, zaniedbałem teatr i nie wiem, czy się mam cieszyć, iż obecnie przypadkowo odnowiłem starą młodzieńczą zabawę i zajęcie. A to wszystko, co słyszałem o tych sztukach, nie zaciekawiało mnie bynajmniej do zapoznania się z takimi dziwacznymi potwornościami, które zdają się wykraczać poza wszelkie prawdopodobieństwo, poza wszelką przyzwoitość.

— A ja bym jednak panu radził — odparł Jarno — spróbować; nie zaszkodzi, gdy się zobaczy choćby najdziwniejszą rzecz własnymi oczyma. Pożyczę panu kilka sztuk, a pan nie możesz lepiej zużytkować swego czasu, jak usunąwszy się od wszystkich, zagłębiać w latarnię magiczną tego nieznanego świata w samotni swego starego mieszkania. To grzech, że pan marnujesz godziny, by te mały uczynić podobniejszymi do ludzi i uczyć tych psów tańczyć. Stawiam tylko jeden warunek: byś się nie gorszył formą; resztę mogę pozostawić trafności pańskiego poczucia.

Konie stały przed bramą; Jarno wraz z kilkoma jeźdźcami wsiadł na nie, by się zabawić polowaniem. Wilhelm patrzył za nim smutno. Chętnie by porozmawiał jeszcze z tym człowiekiem, który, chociaż w niezbyt przyjazny sposób, podsuwał mu nowe pojęcia, pojęcia, jakich potrzebował.

Zbliżając się do rozwoju swych sił, zdolności i poglądów, człowiek popada niekiedy w zakłopotanie, z którego łatwo mógłby go wyprowadzić jakiś dobry przyjaciel. Jest jak wędrowiec, który niedaleko oberży wpadł do wody; gdyby ktoś go natychmiast chwycił i wyciągnął na brzeg, skończyłoby się tylko na zmoknięciu, zamiast tego, żeby miał sam

<sup>74</sup>Racine, Jean Baptiste (1639–1699) — francuski dramaturg, autor tragedii opartych na motywach klasycznych i biblijnych, m.in. *Andromacha* (1667), *Fedra* (1677), *Berenika* (1670), *Brytanik* (1669). [przypis edytorski]

<sup>75</sup>Corneille, Pierre (1606–1684) — francuski dramaturg, autor tragedii klasycystycznych. [przypis edytorski]

<sup>76</sup>Ludwik XIV (1638–1715) — król Francji (od 1643), zwany „Królem Słońce”, panujący w okresie szczytowego rozwoju francuskiej monarchii absolutnej. [przypis edytorski]

dopłynąć do przeciwnego brzegu i uciążliwym, dalekim manowcem dążyć do zamierzonego przez siebie celu.

Wilhelm zaczął przeczuwać, że na świecie dzieje się inaczej, niż sobie wyobrażał. Wiadział z bliska ważne i wpływowe życie znakomitych i wielkich i dziwił się, jak oni potrafili nadać mu łatwą przyzwoitość. Wojsko w marszu, książę-bohater na jego czele, tylu współpracujących wojowników, tylu tłoczących się czcicieli pobudzało jego wyobraźnię.

W takim usposobieniu otrzymał przyobiecane książki i niebawem, jak łatwo się domyśleć, porwał go prąd owego wielkiego geniuszu i uniósł go ku nieprzejrzanemu morzu, w którym bardzo rychło zatonął i znikł całkowicie.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Stosunek barona do aktorów doznał w ciągu ich pobytu na zamku różnych zmian. Z początku było obopólne zadowolenie, bo gdy baron po raz pierwszy w życiu ujrział jedną ze swoich sztuk, którymi już ożywiał teatr amatorski, w ręku prawdziwych aktorów i na drodze do przyzwoitego przedstawienia, wpadał w najlepszy humor, okazywał się hojny i u każdego kupca galanteryjnego, jacy się tam pojawiali, kupował podarunki dla aktorek, aktorom zaś dostarczał ekstra niejednej butelki szampana; oni też ze swej strony zajmowali się gorliwie jego sztukami, a Wilhelm nie szczędził pilności, by jak najdokładniej wyuczyć się na pamięć wspaniałych mów znakomitego bohatera, którego rola jemu się dostała.

Z wolna wszelako wkradały się pewne niesnaski. Uprzedzenie barona do niektórych ulubionych aktorów stawało się z każdym dniem coraz widoczniejsze, a to oczywiście musiało rozdrażniać resztę. Ulubieńców swoich wyróżniał z całą wyłącznością i przez to wprowadził do towarzystwa zazdrość i niezgodę. Melina, który w spornych wypadkach już i bez tego nie mógł sobie dać rady, znajdował się w stanie bardzo nieprzyjemnym. Chwaleni przyjmowali pochwałę, nie będąc zbyt wdzięczni za nią, a upośledzeni dawali wszelkimi sposobami poznać swe niezadowolenie i zdołali przebywanie wśród nich tak wysoko dawniej szanowanego opiekuna uczynić tak lub inaczej niemiłym; ba! niemało pożywki dostała ich uciecha z cudzej biedy, kiedy pewien wierszyk, którego autora nie znano, wywołał w zamku dużo zamieszania. Dotychczas zawsze zwracano uwagę na przedstawianie barona z komediantami, ale robiono to w dosyć delikatny sposób; sprowadzano nań rozmaite historyjki, wymyślano rozmaite wypadki, nadając im postać wesołą i zabawną. W końcu zaczęto opowiadać, że powstaje jakiś rodzaj zawodowej zawiści między nim a niektórymi aktorami, którzy także wyobrażali sobie, iż są pisarzami, i na tej to gawędzie opiera się wierszyk, o którym mówiliśmy, a który brzmi jak następuje:

Ja, biedaczysko, panie baronie,  
Zazdrość ciębie dostojęństw — wiem,  
I zaszczytnego miejsca przy tronie,  
I twoich pięknych kawałów ziem,  
I obronnego ojców zamczyska,  
Kniej pełnych zwierza, gdzie broń twa błyska.

Mnie, biedakowi, panie baronie,  
Do zazdrośczenia i ty coś masz,  
Bowiem natury matczyne dłonie  
Od lat chłopięcych miałem za straż;  
W głowie myśl lekka, zdrowa się kupi<sup>77</sup>,  
Biedoklep zawsze, lecz nigdy głupi.

A więc, kochany panie baronie,  
Obaj zostawmy wszystko, jak jest;  
Tyś synem ojca w pięknej koronie,  
Ja matki mojej zatrzymam chrzest.  
Na złe zawiści nie trwońmy czasu,

<sup>77</sup>kupić się (daw., gw.) — skupiać się, gromadzić się. [przypis edytorski]

Niech nas nie nęcą cudze tytuły,  
Ty nie pożądaj miejsc wśród Parnasu<sup>78</sup>,  
Ja nic nie pragnę od kapituły.<sup>79</sup>

Zdania o tym wierszu, który w kilku prawie nieczytelnych odpisach znajdował się w różnych rękach, były bardzo podzielone; domyślić się autora nikt nie potrafił, a gdy z pewną złośliwą uciechą zaczęto się bawić wierszem, Wilhelm stanowczo się temu sprzeciwił.

— My, Niemcy — zawołał — zasłużyliśmy, by nasze muzy pozostały w pogardzie, jaką tak długo cierpiały, gdyż nie umiemy cenić ludzi wyższego stanu, zajmujących się w jakikolwiek sposób naszą literaturą. Urodzenie, stan i majątek nie są bynajmniej w sprzeczności z geniuszem i smakiem, nauczyły nas tego inne narody, liczące wśród swoich najlepszych głów wielką ilość szlachty. Jeżeli dotychczas w Niemczech było dziwem, gdy człowiek wysoko urodzony poświęcał się naukom, jeżeli dotychczas niewiele tylko znakomitych nazwisk stało się jeszcze znakomitszymi wskutek skłonności do sztuk i nauk i jeżeli natomiast niejedno wysunęło się z ciemności i wystąpiło jak nieznane gwiazdy na widnokręgu, to tak nie będzie zawsze i chyba się bardzo mylę, albo pierwsza klasa narodu znajduje się na drodze posługiwania się swą wyższością ku osiągnięciu także w przyszłości najpiękniejszego wieńca muz. Toteż nie ma dla mnie nic bardziej nieprzyjemnego, jak kiedy widzę nie tylko mieszczanina szydzącego ze szlachcica umiającego cenić muzy, lecz także osoby wyższego stanu starające się nierozważnie i kapryśnie, a ze złośliwą radością, której nigdy pochwalić nie można, odstraszyć równych sobie od tej drogi, na której każdego czeka cześć i zadowolenie.

Te ostatnie słowa były skierowane, jak się zdawało, przeciw hrabiemu, o którym Wilhelm słyszał, iż wierszyk ten poczytywał za istotnie dobry. Niewątpliwie panu temu, który zawsze zwykł był żartować z barona we właściwy sobie sposób, pożądana była taka sposobność, by móc dotknąć jakkolwiek bądź swego krewnego. Każdy miał własne domysły co do autora wiersza, a hrabia, który nie lubił, żeby go prześcigano w bystrości, wpadł na myśl, którą natychmiast gotów był zaprzysiąc, że wiersz pochodzić może od jego pedanta, który był bardzo dowcipnym jegomościem i u którego już od dawna dostrzegał taki geniusz poetycki. Chcąc sprawić sobie prawdziwą przyjemność, kazał pewnego poranka zawołać tego aktora i ten musiał w obecności hrabiny, baronowej i Jarna odczytać wiersz na swój sposób, za co dostał pochwałę, uznanie i podarunek; na pytanie hrabiego, czy nie posiada jakichś innych jeszcze wierszy z czasów dawniejszych, odpowiedział jednak roztropnie — przecząco. I tak pedant obwołany został poetą, dowcipnisiem, a w oczach tych, którzy byli baronowi przychylni, paszkwilantem i złym człowiekiem. Od tego czasu hrabia okłaskiwał go coraz więcej, jakkolwiek grał swą rolę, tak że biedak napuszył się, a w końcu prawie oszalał i myślał o tym, jakby zająć, na podobieństwo Filiny, pokój w nowym zamku.

Gdyby plan ten mógł wykonać natychmiast, byłby uniknął wielkiego nieszczęścia. Idąc bowiem pewnego wieczoru późno do starego zamku i drepcząc omackiem po ciemnej wąskiej drożynie, został nagle napadnięty, przytrzymany przez kilka osób, gdy inne zamasyście go okładały i tak go w mroku omlóciły, że się aż ślaniał i z trudem tylko dowlókł się do swych towarzyszy, którzy, chociaż udawali oburzonych, czuli w duchu wielką radość z tego przypadku i ledwie mogli się powstrzymać od śmiechu, widząc go tak srodze ogrzmoconego, a jego nowy ciemny surdut cały okurzony i poplamiony białymi cętkami, jakby się bił z młynarzami.

Hrabia, zaraz o tym zawiadomiony, wybuchnął nieopisanym gniewem. Uważał ten postępek za największą zbrodnię, zakwalifikował go jako zakłócenie spokoju zamkowego i kazał swemu sędziemu przedsięwziąć jak najsurowsze poszukiwania. Popstrzony biały surdut miał stanowić główną poszlakę. Wszystko, co tylko w zamku mogło mieć do czynienia z pudrem i mąką, poddano także badaniu, ale na próżno.

<sup>78</sup>*Parnas* — pasmo górskie w środkowej Grecji, wg mit. gr. będące siedzibą boga Apollina, opiekuna sztuk, oraz orszaku otaczających go Muz, patronek różnych kunsztów. [przypis edytorski]

<sup>79</sup>*Ja, biedaczysko, panie baronie...* — przekład Kazimierza Glińskiego. [przypis tłumacza]

Baron zapewniał uroczyście, klnąc się na honor, że ów rodzaj żartów bardzo mu się co prawda nie podobał i że zachowanie się pana hrabiego nie było zbyt przyjacielskie, ale że on był wyższy nad to, że w przypadku, jaki spotkał poetę czy paszkwilanta, jak go tam kto nazwie, nie miał najmniejszego udziału.

Inne zajęcia przybyszy i wrzawa domowa wkrótce podały w zapomnienie całą sprawę, a nieszczęśliwy ulubieniec drogo musiał opłacić przyjemność chlubienia się przez czas krótki cudzymi piórkami.

Trupa nasza, grająca regularnie co wieczór i w ogólności bardzo dobrze utrzymywana, w miarę powodzenia zaczęła stawiać coraz większe żądania. Niebawem jedzenie, picie, usługa, mieszkanie stały się dla niej za szczupłe; nalegano na swego opiekuna, żeby bardziej dbał o nich i zapewnił im wreszcie te przyjemności i wygody, jakie im przyobiecował. Skargi ich rozlegały się coraz głośniejsze, a usiłowania ich przyjaciela, by im uczynić zadość, stawały się coraz bardziej bezowocne.

Wilhelm tymczasem, prócz na próbach i w godzinach gry, ukazywał się coraz rzadziej. Zamknięty w jednym z najbardziej oddalonych pokojów, dokąd wstęp dozwolony był chętnie tylko Mignon i harfiarzowi, żył i zatapiał się w świetle Szekspirowskim; tak że poza sobą nic nie widział i nic nie czuł.

Opowiadają o czarnoksiężnikach, którzy za pomocą magicznych formuł ściągają do swej izby niezmierne mnóstwo różnorodnych postaci duchowych. Zaklęcia bywają tak potężne, że przestrzeń pokoju wkrótce się wypełnia, a duchy, tłumnie zebrane przy nakreślonym kółku, coraz bardziej rosną w liczbę koło tego kółka i unoszą się ponad głową mistrza w ciągle chwiejącej się przemianie. Każdy kącik zapchany, każdy gzymś zajęty, jaja się rozdymają, a postaci olbrzymie ściągają się w grzyby. Na nieszczęście czarodziej zapomniiał słowa, którym mógłby tę powódź duchów zmusić do odpływu.

Tak to siedział Wilhelm, a z nieznaną szybkością powstawały w nim tysiączne uczucia i zdolności, o których nie miał nigdy żadnego pojęcia ani przeczucia. Nic nie go mogło wyrwać z tego stanu i był bardzo niezadowolony, gdy komuś podobało się przyjść do niego, by go bawić tym, co się działo na zewnątrz.

Toteż ledwie słyszał, gdy mu przyniesiono wiadomość, że na podwórzu zamkowym ma się odbyć egzekucja, ma być chłostany jakiś chłopak, na którego padło podejrzenie nocnego napadu, a że nosi surdut fryzjerski, prawdopodobnie musiał się znajdować między zbójami. Chłopak wprawdzie — mówiono — przeczy uporczywie i dlatego nie można go ukarać formalnie, ale chcą mu dać jako włóczędze pamiętne i wysłać go dalej, ponieważ błąkał się kilka dni w okolicy, zatrzymywał się nocą po młynach, a w końcu przystawił drabinę do muru ogrodowego i wlaź nań.

Wilhelm nie widział w tej całej sprawie niczego godnego szczególnej uwagi, gdy wtem Mignon wpadła szybko i zapewniła go, że schwytyany jest Fryderykiem, który od czasu kłótni z koniuszym znikł z towarzystwa i oczu aktorów.

Interesując się tym chłopcem, Wilhelm śpiesznie się oddalił i na podwórzu zamkowym zastał już przygotowania, gdyż hrabia lubił uroczystość nawet w takich wypadkach. Przyprawiono chłopca; Wilhelm podszedł i prosił, ażeby się wstrzymano, on bowiem zna chłopca i ma do przytoczenia o nim różne rzeczy. Z trudnością przyszło mu zyskać posłuchanie, w końcu otrzymał pozwolenie pomówienia z delikwentem. Ten zapewnił, że o napadzie, w którym aktor jakiś miał być znieważony, nie wie nic a nic; że się kręcił koło zamku i nocą się wemknął dlatego tylko, aby wynaleźć Filinę, że już się dowiedział o jej sypialni i że z pewnością byłby do niego trafił, gdyby go tymczasem nie schwytyano.

Wilhelm, nie chcąc dla honoru towarzystwa wyjawiać stosunków, pośpieszył do koniuszego i prosił go, by znając osoby i dom, zechciał pośredniczyć w tej sprawie i uwolnić chłopca.

Ten kapryśny człowiek wymyślił przy pomocy Wilhelma historyjkę, jak to chłopiec należał do trupy, uciekł z niej, ale znowu pragnął w niej się znajdować i zostać przyjętym; jak z tego powodu miał zamiar odnaleźć nocą niektórych ze swych opiekunów i polecić się ich łasce.

Zaświadczone zresztą, że się dobrze sprawował; wdały się w to damy, puszczono chłopca. Wilhelm wziął go z sobą i odtąd liczył go jako trzecią osobę tej dziwnej rodziny, którą od pewnego czasu uważał za swoją. Starzec i Mignon chętnie przyjęli powracające-

go i wszyscy troje zobowiązali się służyć pilnie swemu przyjacielowi i obrońcy i sprawić mu jakąś przyjemność.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Filina z każdym dniem lepiej wkradała się w łaski pań. Kiedy były zebrane same, kierowała zazwyczaj rozmowę na mężczyzn, którzy się tam uwijali, a Wilhelm nie należał do ostatnich w liczbie tych, którymi się zajmowano. Bystrej dziewczynie nie było tajemnicą, że zrobił silne wrażenie w sercu hrabiny; opowiadała więc o nim, co wiedziała i czego nie wiedziała; strzegła się wszakże wyjawić cośkolwiek, co mogłoby być wytłumaczone na jego niekorzyść, sławiła natomiast jego szlachetność, hojność a zwłaszcza skromność w zachowaniu się względem płci niewieściej. Na wszystkie inne pytania, jakie jej zadawano, odpowiadała roztropnie, a kiedy baronowa spostrzegła wznoszącą się skłonność swojej pięknej przyjaciółki, odkrycie to było i dla niej bardzo pożądane. Bowiem jej stosunki do wielu mężczyzn, w ostatnich zaś dniach szczególnie do Jarna, nie uszły uwagi hrabiny, której czysta dusza nie mogła patrzeć na taką lekkomyślność bez niezadowolenia i łagodnej nagany.

Tym sposobem zarówno baronowa, jak Filina, miały każda własny interes w tym, żeby naszego przyjaciela zbliżyć do hrabiny, a Filina prócz tego spodziewała się przy sposobności pracować także dla siebie i jeżeli można, odzyskać utraconą przychyłność młodzieńca.

Pewnego dnia, kiedy hrabia z resztą towarzystwa pojechał na polowanie i spodziewano się panów dopiero na drugi dzień, baronowa obmyśliła żart właściwy jej usposobieniu; lubiła bowiem się przebierać i występowała dla zadziwienia towarzystwa to jako dziewczyna wiejska, to jako paż, to jako dojeżdżacz. Nadawała sobie przez to pozór wróżki, która wszędzie jest obecna, a zwłaszcza tam, gdzie się jej najmniej spodziewają. Nic nie dorównywało jej radości, gdy przez czas jakiś niepoznana usługiwała towarzystwu lub w jakiś inny sposób przebywała wśród niego i w końcu w sposób żartobliwy dawała się odkrywać.

Pod wieczór kazała zawołać Wilhelma do swego pokoju, a że właśnie miała jeszcze coś do zrobienia, Filina winna go była przygotować.

Przyszedł i nie bez zdziwienia zastał w pokoju zamiast szanownych pań lekkomyślną dziewczynę. Przywitała go z pewną przyzwoitą otwartością, w której się dotąd ćwiczyła, zmuszając go tym sposobem również do grzeczności.

Z początku żartowała w ogólności ze szczęścia, jakie go prześladowuje, a które, jak sądzi, i teraz tutaj go sprowadziło; potem w sposób miły zrobiła mu wyrzut za postępowanie, jakim ją dotychczas dręczył, ganiła i obwiniała sama siebie, wyznała, że zresztą zasłużyła na takie jego zachowanie się, opisała szczerze stan, który nazywała dawniejszym, i dodała, żeby musiała sama sobą pogardzać, gdyby nie zdolna była się zmienić i uczynić godną jego przyjaźni.

Wilhelma mowa ta wzruszyła. Za mało miał znajomości świata, by wiedzieć, że właśnie ludzie całkiem lekkomyślni i do niezdolni poprawy częstokroć najgoręcej się obwiniają, z wielką szczerością wyznają swe błędy i żałują za nie, chociaż nie posiadają najmniejszej siły, by zejść z drogi, na którą ich przemożnie porywa natura. Nie mógł tedy pozostać niechętny ślicznej grzesznicy; wdał się z nią w rozmowę i dowiedział się o projekcie dziwnego przebrania, którym zamierzano zadziwić piękną hrabinę.

Miał w tym skrupuły, których nie ukrywał przed Filiną, ale baronowa, która właśnie w owej chwili nadeszła, nie dała mu czasu na wahanie się, przeciwnie, pociągnęła go za sobą, zapewniając, że to najlepsza pora.

Ściemniało się; zaprowadziła go do garderoby hrabiego, kazała mu zdjąć surdut i założyć jedwabny szlafrok hrabiego, włożyła mu następnie czapkę z czerwoną wstążką, zaprowadziła go do gabinetu i poleciła mu usiąść w dużym krześle i wziąć książkę: sama zapaliła lampę Arganda<sup>80</sup>, która przed nim stała i nauczyła go, co ma robić i jaką grać rolę.

<sup>80</sup>*lampa Arganda* — rodzaj lampy olejowej z knotem w postaci pustej w środku rurki oraz podwójnym obiegami powietrza, dającej kilkakrotnie więcej światła niż tradycyjne, skonstruowany ok. 1782 przez genewskiego fizyka, chemika i wynalazcę Ami Arganda (1750–1803). [przypis edytorski]

Powiedziała, że oznajmi hrabinie niespodziane przybycie męża i jego zły humor; ona przyjdzie, kilka razy przemierzy pokój, potem usiądzie na poręczu krzesła, położy rękę na jego ramieniu i powie parę słów. On ma grać rolę małżonka jak można najdłużej i najlepiej, ale kiedy będzie się musiał w końcu odkryć, to niechże będzie ślicznie ugrzeczny i elegancki.

Siedział tedy Wilhelm dosyć niespokojny w tym dziwnym przebraniu; projekt zaskoczył go, a wykonanie wyprzedziło namysł. Baronowa wysła już z pokoju, kiedy dopiero spostrzegł, jak niebezpieczne było stanowisko, które zajął. Nie zapierał przed sobą, że piękno, młodość, wdzięk hrabiny zrobiły na nim wrażenie, ale ponieważ z usposobienia daleki był od wszelkiej pustej galanterii, a zasady nie pozwalały mu na myśl o poważniejszych zamiarach, był więc rzeczywiście w tej chwili wielce zakłopotany. Równie wielka przejmowała go obawa, by nie podobać się hrabinie, albo podobać się więcej, niż wypada.

Przed jego wyobraźnią zjawiał się ponownie każdy powab niewieści, jaki kiedykolwiek na niego podzielał. Marianna ukazała mu się w białym rannym szlafrocuku i błagała go o pamięć. Uprzejmość Filiny, jej piękne włosy i przypochlebiające zachowanie się zostały ożywione przez jej ostatnią obecność; wszystko jednak usuwało się jakby za zasłonę odalenia, kiedy wyobrażał sobie szlachetną, kwitnącą hrabinę, której ramię miał za chwilę poczuć na swej szyi, której niewinne pieszczoty był obowiązany odwzajemnić.

Ani przeczuwał nawet, w jak dziwny sposób zostanie wydobyty z tego kłopotliwego położenia. Bo jakże wielkie było jego zdziwienie, ba! przestрах, gdy drzwi za nim otworzyły się, a on za pierwszym ukradkowym spojrzeniem w zwierciadło dostrzegł bardzo wyraźnie hrabiego, który wszedł ze świecą w rękę. Wahał się co ma zrobić, czy siedzieć, czy wstać, uciekać, wyznać, wyprzeć się, czy błagać o przebaczenie — trwało to jednak chwil kilka zaledwie. Hrabia, który nieruchomo stał w drzwiach, cofnął się i zamknął je po cichu. W tej chwili bocznymi drzwiami wskoczyła baronowa, zgasła lampę, porwała Wilhelma z krzesła i pociągnęła za sobą do gabinetu. Szybko zdjął z siebie szlafrok, który natychmiast wrócił na swe zwykłe miejsce. Baronowa zarzuciła surdut Wilhelma na ramię i pośpieszyła wraz z nim przez kilka izb, przejść i przepierzeń do swego pokoju, gdzie Wilhelm po uspokojeniu się baronowej usłyszał od niej, że poszła do hrabiny, aby zanieść zmyśloną wiadomość o przybyciu hrabiego.

— Wiem już o tym — odrzekła hrabina. — Co mogło się stać? Widziałam go właśnie, jak wjeżdżał boczną bramą.

Baronowa przerażona, jak mówiła, natychmiast pobiegła do pokoju hrabiego po Wilhelma.

— Na nieszczęście przyszła pani za późno! — zawołał Wilhelm. — Hrabia był już przedtem w pokoju i widział mnie siedzącego.

— Czy poznał pana?

— Nie wiem. Widział mnie w zwierciadle tak jak ja jego, a zanim przekonałem się, czy to widmo czy on sam, cofnął się i zamknął za sobą drzwi.

Zakłopotanie baronowej wzrosło, kiedy lokaj przyszedł po nią, mówiąc, że hrabia znajduje się u swej żony. Odeszła przygnębiona i zastała hrabiego spokojnego wprawdzie i zamyślnego, ale w wypowiedziach łagodniejszego i uprzejmiejszego niż zazwyczaj. Nie wiedziała co myśleć. Rozmawiali wydarzeniach z polowania i przyczynach wcześniejszego powrotu. Rozmowa niebawem się urwała. Hrabia zamilkł; zastanowiło to baronową, kiedy zapytał o Wilhelma i wyraził życzenie, żeby go przyzwano, aby coś odczytał.

Wilhelm, który w pokoju baronowej ubrał się ponownie i cokolwiek uspokoił, zjawiał się na rozkaz z pewnym niepokojem. Hrabia dał mu książkę, z której czytał, nie bez zmieszania, jakąś awanturniczą opowieść. W głosie jego przebijała jakaś niepewność, jakieś drżenie, co na szczęście zgodne było z treścią opowiadania. Hrabia kilkakrotnie dawał przyjazne oznaki upodobania i chwalił szczególny ton czytania, aż w końcu odprawił naszego przyjaciela.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Zaledwie Wilhelm odczytał kilka sztuk Szekspira, a już ich wpływ na niego tak był silny, że nie mógł się dalej posuwać w studiowaniu. Całą jego duszą wstrząsało wzruszenie. Szu-



kał sposobności pomówienia z Jarnem i nie zdołał mu się dosyć nadziękować za sprawioną radość.

— Przewidywałem — rzekł ten — że nie zdołasz pozostać obojętny na świetne przymioty najbardziej niezwykłego i najdziwniejszego ze wszystkich pisarzy.

— Tak — zawołał Wilhelm — nie przypominam sobie, żeby jakakolwiek książka, człowiek lub jakiś wypadek życiowy wywarły na mnie tak wielkie wrażenie, jak te wyborne sztuki, które dzięki łaskawości pańskiej poznałem. Wydają się dziełem geniuszu niebiańskiego, zbliżającego się do ludzi, by ich zapoznać z samymi sobą w sposób jak najłagodniejszy. To wcale nie poezje! Wydaje się nam, jakbyśmy stali przed otwartymi olbrzymimi księgami losu, w których świszczy wicher najburzliwszego życia i przewraca ich kartki potężnie a chyżo. Ich siła i łagodność, wrzawa i spokój, tak mnie zdumiały i wytrąciły ze zwykłej kolei myśli, że tęsknię tylko za chwilą, kiedy będę mógł czytać dalej.

— Brawo! — rzekł Jarno, podając rękę naszemu przyjacielowi i ściskając ją. — Tego właśnie pragnąłem! A skutki, jakich się spodziewam, z pewnością nie każą na siebie czekać.

— Chciałbym — odparł Wilhelm — móc odkryć panu wszystko, co się obecnie we mnie dzieje. Wszystkie przeczucia, jakie niegdyś miałem co do ludzkości i jej losów, jakie niespostrzeżone przeze mnie samego towarzyszyły mi od młodości, znajduję w sztukach Szekspira spełnione i rozwinięte. Wydaje się, jakby odsłonił nam wszystkie zagadki, chociaż nie można powiedzieć: oto tu albo tam jest rozwiązanie. Jego ludzie wydają się ludźmi naturalnymi, a jednak nimi nie są. Te najbardziej tajemnicze i najbardziej złożone twory natury działają przed nami w jego sztukach tak, jak gdyby były zegarami, których cyferblat i wnętrze zrobiono z kryształu; pokazują one zgodnie ze swym przeznaczeniem bieg godzin, a zarazem można w nich rozpoznać te tryby i sprężyny, które je poruszają. Tych kilka spojrzeń, jakie rzuciłem w świat Szekspira, nęci mnie bardziej niż cokolwiek innego, by w świecie rzeczywistym stawiać prędsze kroki naprzód, skąpać się w nurcie losów, jakie nad nim zawisły, i kiedyś, jeśli mi się poszczęści, zaczerpnąć parę pucharów z wielkiego morza prawdziwej natury i napoić ze sceny spragnioną publiczność mojej ojczyzny.

— Jakże mnie cieszy to usposobienie umysłu, w jakim pana widzę — rzekł Jarno, kładąc wzruszonemu młodzieńcowi rękę na ramieniu. — Nie zaniechaj pan zamiaru rozpoczęcia aktywnego życia i śpiesz się dzielnie zużytkować te piękne lata, jakie panu przypadły w udziale. Jeżeli mogę w czymś panu pomóc, zrobię to z całego serca. Nie pytałem jeszcze, jak pan wszedłeś do tego towarzystwa, w którym którym się pan ani nie urodziłeś, ani nie wykształciłeś. Tyle się tylko spodziewam i widzę, że się pan pragniesz wyrwać z niego. Nic nie wiem o pańskim pochodzeniu, o pańskich stosunkach domowych; namyśl się pan, co mi zechcesz powierzyć. Powiem panu tyle tylko: czasy wojenne, w których żyjemy, mogą wywołać szybką zmianę losu; jeżeli pan poświęcisz swe siły i zdolności naszej służbie, nie lękając się trudów, a w razie konieczności i niebezpieczeństwa, to zaraz mam sposobność umieścić pana na stanowisku, którego zajmowania przez jakiś czas nie będziesz pan potem potrzebował żałować.

Wilhelm nie umiał dostatecznie wyrazić swojej wdzięczności i był gotów swemu przyjacielowi i opiekunowi opowiedzieć całe dzieje swego życia.

Podczas tej rozmowy zapuścili się głęboko w park i dotarli do gościńca, który go przecinał. Jarno milczał przez chwilę, a potem rzekł:

— Zastanów się pan nad moją propozycją, a gdy się zdecydujesz, daj mi za kilka dni odpowiedź i obdarz mnie swoim zaufaniem. Zapewniam pana, niepojętą było dla mnie dotychczas rzeczą, jak się pan mogłeś pospolitować z takim motłochem. Często kroć ze wstrętem i przykrością patrzyłem, jak pan, byle tylko żyć jako tako, musiałeś oddawać swe serce jakiemuś wędrownemu rybałtowi i głupiemu dwuznacznemu stworzeniu.

Jeszcze nie skończył, gdy nadjechał pośpiesznie jakiś oficer na koniu, a za nim szedł pacholek, trzymając konia za uzdę. Jarno żywo i głośno go pozdrowił. Oficer zeskokczył z konia; uściskali się i rozmawiali ze sobą, gdy Wilhelm, zdziwiony ostatnimi słowami swego wojowniczego przyjaciela, zatopiony w sobie stał na stronie. Jarno przeglądał papiery, które wręczył mu przybyły, a ten przystąpił do Wilhelma, podał mu rękę i zawołał z emfazą:

— Zastaję pana w godnym towarzystwie; pójdź pan za radą swego przyjaciela i spełnij pan zarazem przez to życzenia nieznajomego, który serdecznie się panem interesuje.

Powiedziawszy to, objął Wilhelma, przycisnął go żywo do piersi. W tym czasie zbliżył się Jarno i rzekł do przybysza:

— Najlepiej, jeśli pojedę razem z panem, będziesz mógł otrzymać potrzebne rozporządzenia i odjedziesz jeszcze przed nocą.

Obaj skoczyli następnie na konie i pozostawili naszego zdziwionego przyjaciela jego własnym rozmyślaniom.

Ostatnie słowa Jarna brzmiały mu jeszcze w uszach. Nieznośnie mu to było słyszeć, że ta para istot ludzkich, która bez niczyjej krzywdy pozyskała jego skłonność, tak nisko ceniona była przez człowieka, którego tak bardzo poważał. Dziwny uścisk oficera, którego nie znał, zrobił na nim małe wrażenie; zaledwie na chwilę zajął jego ciekawość i wyobraźnię; ale słowa Jarna dotknęły jego serce, głęboko był zraniony; toteż wracając, wybuchnął na siebie wyrzutami, że mógł się na chwilę nie poznać i zapomnieć o odstręczającym chłodzie Jarna, który wygląda mu z oczu i wyraża się we wszystkich gestach.

— Nie! — zawołał — wyobrażasz tylko sobie, ty wystygły światowcze, że możesz być przyjacielem! Wszystko, co zdołasz mi zaofiarować, nie jest warte tego uczucia, jakie mnie wiąże z tymi nieszczęśliwymi. Co za szczęście, że jeszcze zawczasu odkrywam, czego mogłem od ciebie oczekiwać!

Mignon, która wyszła na jego spotkanie, objął ramionami i zawołał:

— Nie, nic nas nie rozdzieli, małe, dobre stworzenie! Pozorna mądrość świata wymusi na mnie, bym cię opuścił lub zapomniał, co ci jestem winien.

Dziecko, którego gwałtowne pieszczoty dawniej zwykł odsuwać, ucieszyło się tym niespodzianym objawem czułości i tak silnie silnie się do niego przytuliło, że ledwie z trudem mógł się w końcu oswobodzić.

Od tego czasu zwracał większą uwagę na postęпки Jarna, które nie wszystkie wydały mu się godne pochwały; przeciwnie, zdarzało się niejedno, co mu się zgoła nie podobało. I tak na przykład powziął silne podejrzenie, że wiersz na barona, który biedny pedant tak drogo przypłacił, był robotą Jarna. A że ten wobec Wilhelma kpił sobie z wypadku, nasz przyjaciel widział w tym oznakę nader zepsutego serca, bo cóż mogło być złośliwszego niż drwić z niewinnego, którego cierpienia się spowodowało, i nie myśleć ani o zadośćuczynieniu, ani o wynagrodzeniu. Wilhelm chętnie sam by to załatwił, gdyż wskutek bardzo dziwnego przypadku wpadł na ślad sprawców owego nocnego przestępstwa.

Dotychczas potrafiono ukrywać przed nim, że w dolnej sali starego zamku kilku młodych oficerów przepędzało całe noce na wesołej zabawie z niektórymi aktorami i aktorkami. Pewnego poranku, wstawszy rano według zwyczaju, przypadkiem zaszedł do owego pokoju i zastał młodych panów, zabierających się do bardzo dziwnego czyszczenia swoich ubrań. Nawrzucali do miski z wodą utartej kredy, szczotką przenosili rozczyn na swoje kamizelki i spodnie, nie zdejmując ich, i tym sposobem bardzo prędko przywracali czystość swojej garderobie. Przyjacielowi naszemu, dziwiącemu się temu środkowi, przyszedł na myśl biało okurzony i poplamiony surdut pedanta; podejrzenie wzmogło się, gdy się dowiedział, że w tym towarzystwie znajdowało się kółko krewnych barona.

Aby to podejrzenie jeszcze sprawdzić, starał się tych paniczów zająć małym śniadaniem. Byli bardzo ożywieni i opowiadali wiele wesołych anegdot. Zwłaszcza jeden, który przez pewien czas był przy werbunku, nie mógł się nachwalić przebiegłości i zabiegliwości swego pułkownika, który potrafił do siebie przyciągać wszelkiego rodzaju ludzi i każdego po swojemu wywieść w pole. Opowiadał szczegółowo, jak młodzież z dobrych domów, o starannym wychowaniu, szła na lep różnorodnych obietnic co do przyzwoitego pomieszczenia i serdecznie śmiał się z tych dudków<sup>81</sup>, którym w początku tak bardzo pochlebiało, gdy im jakiś poważny, dzielny, roztropny i hojny oficer wyrażał szacunek i przyrzekał wywyższenie.

Jakże błogosławił Wilhelm swego ducha opiekuńczego, który niespodzianie ukazał mu przepaść, do skraju której bez własnej się winy zbliżył. W Jarnie widział już tylko po prostu werbownika; uścisk nieznajomego oficera łatwo sobie teraz tłumaczył. Zbrzydził sobie nastrój tych ludzi i od tej chwili unikał zetknięcia z każdym, kto nosił mundur,

<sup>81</sup>dudek (daw., pot.) — głupiec. [przypis edytorski]

toteż bardzo by miła mu była wiadomość, że wojsko rusza dalej, gdyby nie równoczesna obawa, że ma być wygnany, może na zawsze, z pobliza swojej pięknej przyjaciółki.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Tymczasem baronowa spędziła kilka dni dręczona troską i niezaspokojoną ciekawością. Postępowanie bowiem hrabiego od czasu owej przygody było dla niej zupełną zagadką. Wypadł ze swego trybu: z jego zwyczajnych żartów nie słyszano zgoła nic. Jego wymagania względem aktorów i służby znacznie się zmniejszyły. Z pedanterii i rozkazującego tonu spostrzegano niewiele śladów, był raczej spokojny i zamknięty w sobie, wydawał się jednak wesołym i istotnie jakimś innym człowiekiem. Do czytania, do którego dawał niekiedy powód, wybierał książki poważne, często religijne, a baronowa żyła w ustawicznej obawie, czy poza tym pozornym spokojem nie kryje się tajony gniew, cichy zamiar pomśzczenia przypadkowo odkrytego przestępstwa. Postanowiła zatem zwierzyć się Jarnie, a mogła to zrobić tym łatwej, że zostawała z nim w stosunku, w którym zwykło się niewiele przed sobą ukrywać. Od niedawna był Jarno jej oddanym przyjacielem; mieli jednak dosyć roztropności, by swą skłonność i swe radości ukrywać przed hałaśliwym światem, który ich otaczał. Tylko hrabina zauważyła ten nowy romans, a baronowa najprawdopodobniej starała się zająć czymś także przyjaciółkę, by uniknąć cichych wyrzutów, jakie niekiedy musiała znosić od tej szlachetnej duszy.

Zaledwie baronowa opowiedziała swemu przyjacielowi o tym zdarzeniu, gdy ten, śmiejąc się, zawołał:

— Pewnie stary sędzi, że widział samego siebie, lęka się, żeby to zjawisko nie zwiastowało mu nieszczęścia, a może i śmierci, więc spotulniał jak wszyscy półludzie, kiedy pomyślał o rozwiązaniu, którego nikt nie uniknął, ani uniknie. Ale szal! ponieważ mam nadzieję, że jeszcze długo pożyje, więc przy tej sposobności tak wytresujemy, żeby przestał być uciążliwy dla żony i towarzystwa domowego.

Zaczęli tedy, skoro zdarzyła się stosowna chwila, opowiadać w obecności hrabiego o przeczuciach, zjawieniach i tym podobnych. Jarno udawał niedowiarka, jego przyjaciółka również, a posuwali to tak daleko, że w końcu hrabia wziął Jarna na stronę, zganiał jego wolnomysłność i starał się go własnym przykładem przekonać o możliwości i rzeczywistości takich historii. Jarno udawał zadziwionego, wątpiącego, a wreszcie przekonanego, ale za to zaraz potem, wśród ciszy nocnej, tym weselej podkpiwał z przyjaciółką ze słabego światowca, którego naraz widmo wyleczyło z jego ułomności i który dlatego tylko zasługiwał na pochwałę, że z taką odwagą oczekiwał grożącego nieszczęścia, a może nawet śmierci.

— Ale nie miałby chyba takiej odwagi wobec najbardziej naturalnego następstwa, jakie mogło mieć to zjawisko — zawołała baronowa z właściwą sobie wesołością, do której nader łatwo przechodziła, gdy tylko pozbyła się troski z serca.

Jarno został hojnie wynagrodzony; ukuto nowe pomysły, żeby uczynić hrabiego jeszcze potulniejszym, a skłonność hrabiny do Wilhelma jeszcze bardziej pobudzić i wzmocnić.

W tym celu opowiedziano całą historią hrabinie, z czego okazała się z początku niezadowolona, ale potem zaczęła się zamyślać i w chwilach spokoju rozważała, jak się zdawało, rozstrzygała i odmalowywała sobie tę scenę, którą dla niej przygotowano.

Czynione wtedy ze wszystkich stron przygotowania nie pozostawiały już żadnej wątpliwości, że wojska niebawem wyruszą dalej i że książę następcą zmieni swoją główną kwaterę; co więcej, mówiono, że i hrabia także opuści swe dobra i znowu wróci do miasta. Nasi aktorzy zatem łatwo mogli sobie wyobrazić przyszłe trudne położenie, ale jeden tylko Melina podjął odpowiednie kroki, gdy inni starali się tylko wyzyskać z tej chwili wszystko, co mogło być dla nich najprzyjemniejsze. Wilhelm tymczasem był zajęty po swojemu. Hrabina zażądała od niego odpisu jego sztuk, a on poczytywał życzenie uprzejmej kobiety za najpiękniejszą nagrodę.

Młody autor, który nie widział się jeszcze w druku, zwraca w takim wypadku największą uwagę na czystość i ozdobność swoich odpisu dzieł. Jest to doprawdy złoty wiek autorstwa; czujemy się przeniesieni w te stulecia, kiedy to druk nie zalał jeszcze świata tak wielce nieużytecznymi pismami, kiedy tylko cenne twory ducha były przepisywa-

ne i przechowywane przez najszlachetniejszych ludzi; a jakże łatwo wpada się wówczas w błędne przekonanie, że starannie opracowany rękopis jest również cennym tworem ducha, zasługującym na to, by znawca i opiekun go posiadał i przechowywał.

Dla uczczenia księcia, który miał wkrótce wyjechać, urządzono wielką biesiadę. Zaproszono wiele pań z sąsiedztwa, a hrabina zawczasu się ubrała. Włożyła tego dnia suknię bogatszą niż zazwyczaj. Fryzura i upiększenia były bardziej wyszukane, przyozdobiła się wszystkimi swymi klejnotami. I baronowa również zrobiła wszystko, co się dało, by ubrać się wspaniale i ze smakiem.

Filina, spostrzegłszy, że obu paniom w oczekiwaniu gości czas się dłuży, zaproponowała, żeby zawołać Wilhelma, który pragnie oddać gotowy już rękopis i odczytać jeszcze parę drobiazgów. Przyszedł i wchodząc, zdumiał się postacią i wdziękiem hrabiny, które przez jej strój stały się jeszcze bardziej widoczne. Na rozkaz pań czytał, ale tak źle i z takim roztargnieniem, że gdyby słuchaczki nie były nader wyrozumiałe, wkrótce poleciłyby mu odejść.

Ilekrót spojrzął na hrabinę, zdawało mu się, że przed oczyma pojawia mu iskra elektryczna; w końcu nie wiedział już, skąd zaczerpnąć oddechu do recytacji. Piękna pani podobała mu się zawsze, ale teraz wydawało mu się, że nigdy nie widział nic doskonalszego, a treścią tysiącznych myśli, jakie krzyżowały się w jego duszy, mogło być mniej więcej, co następuje:

Jakże głupio tylu poetów i tak zwanych uczuciowych ludzi buntuje się przeciwko strojowi i wspaniałości, pragnąc widzieć kobiety wszystkich stanów w samych tylko prostych, zgodnych z naturą ubiorach. Ganią strój, nie rozważwszy, że to wcale nie ten nieszczęśliwy strój nasz się nie podoba, gdy widzimy bogato i cudacznie ubraną brzydką lub mniej piękną osobę; ale chciałbym zgromadzić tu wszystkich znawców z całego świata i zapytać ich, czy by życzyli sobie ująć cokolwiek z tych fałd, z tych wstążek i koronek, z tych buf, loków i błyszczących kamieni? Czy nie baliby się zakłócić to przyjemne wrażenie, które nasuwa się im tutaj w sposób tak ochoczy i naturalny? Tak jest, mogę powiedzieć: naturalny! Jeżeli Minerwa wyskoczyła z głowy Jowisza w pełnej zbroi, to ta bogini wydaje się, jakby lekką stopą w całym stroju swoim wyszła z jakiegoś kwiatu.

Podczas czytania tak często na nią spoglądał, jakby chciał to wrażenie wchłonąć na wieki, i kilka razy przeczytał fałszywie, nie popadając w zmieszanie, chociaż kiedy indziej mógłby boleć nad zmianą wyrazu lub nawet głoski jak nad najokropniejszą plamą całego odczytu.

Mylny hałas, jakoby nadszedli goście, położył koniec czytaniu; baronowa odeszła, a hrabina, chcąc zamknąć otwarte jeszcze biurko, wzięła szkatułkę i włożyła na palce jeszcze kilka pierścionków.

— Niebawem się rozstaniemy — rzekła, z oczyma utkwionymi w szkatułkę — przyjmij pan tę pamiątkę od dobrej przyjaciółki, która niczego nie pragnie goręcej, jak żeby się panu powodziło.

Wyjęła potem pierścionek, który ukazywał pod kryształem piękną plectonkę z włosów i był wysadzany kamieniami. Podała go Wilhelmowi, który wzięwszy go, nie wiedział, co mówić i co robić, ale stał jak przyrośnięty do podłogi. Hrabina zamknęła biurko i usiadła na sofie.

— A ja mam odejść z próżnymi rękoma — rzekła Filina, klękając po prawej stronie hrabiny. — Patrzcie no na człowieka, który nie w porę tak wiele ma słów w ustach, a teraz nie może wyjąkać nawet nędznego podziękowania! Dalejże, mój panie, przynajmniej pantominą spełnij swój obowiązek, a jeśli dzisiaj sam nic nie umiesz wymyślić, to przynajmniej mnie naśladowuj.

Filina chwyciła prawą rękę hrabiny i całowała ją z żywością. Wilhelm rzucił się na kolana, ujął lewą rękę i przycisnął ją do swoich warg. Hrabina wydawała się zakłopotana, ale nie gniewna.

— Ach — zawołała Filina — widziałam już tak wiele ozdób, ale nigdy jeszcze pani, która była tak godna, by je nosić. Co za bransolety! Ale też co za ręka! Co za naszyjnik! Ale co za pierś!

— Cicho, przylepko — zawołała hrabina.

— Czy to wyobraża pana hrabiego! — rzekła Filina, wskazując bogaty medalion, który hrabina miała po lewej stronie na drogich łańcuszkach.

— Odmalowany tu jako narzeczony — odpowiedziała hrabina.  
— Więc wówczas był taki młody? — zapytała Filina. — O ile wiem, państwo są małżeństwem zaledwie od kilku lat.

— Ta młodość poszła na rachunek malarza — odparła hrabina.

— Piękny mężczyzna! — rzekła Filina. — Ale czy nigdy — mówiła dalej, kładąc rękę na sercu hrabiny — nie wcisnął się do tej ukrytej puszkii jakiś inny obraz?

— Bardzo zuchwała jesteś, Filino! — zawołała. — Popsułam cię. Niech drugi raz czegoś podobnego nie słyszę.

— Kiedy się pani gniewa, jestem nieszczęśliwa — zawołała Filina, zerwała się i wybiegła za drzwi.

Wilhelm trzymał jeszcze najpiękniejszą rękę w swoich dłoniach. Wpatrywał się uparcie w zameczek bransolety, na którym ku jego wielkiemu zdziwieniu widać było początkowe litery jego imienia i nazwiska ułożone z brylancików.

— Czy w tym cennym pierścieniu — zapytał skromnie — posiadam naprawdę włosy pani?

— Tak jest — odrzekła półgłosem.

Potem zebrawszy siły, rzekła, ściskając mu rękę:

— Wstań pan; żegnam pana.

— Tu jest moje nazwisko — zawołał — jakimś arcydziwnym wypadkiem!

Wskazał zameczek bransolety.

— Jak to? — zawołała hrabina. — To litery mojej przyjaciółki.

— To początkowe litery mego imienia i nazwiska. Niech pani o mnie nie zapomina. Obraz pani pozostanie niezatarty w moim sercu. Żegnam panią; pozwól mi uciec!

Ucałował jej rękę i chciał powstać, ale jak bywa we śnie, kiedy jedna nadzwyczajność następuje po drugiej, tak on, sam nie wiedząc, jak się to stało, trzymał hrabinę w objęciach; jej usta spoczywały na jego, a ich wzajemne gorące pocałunki napępniały ich tą błogością, jaką spijamy jedynie z pierwszej pryskającej piany świeżo nalanego pucharu miłości.

Jej głowa wspierała się na jego ramieniu, a o zgniecionych kędziorach i wstążkach nie myśleli. Opasywała go ramieniem, on objął ją z żywością i przyciskał raz po raz do piersi. O, czemuż taka chwila nie może trwać wiecznie! Biada zazdrosnemu losowi, który nawet naszym przyjaciołom przerwał te chwile!

Jakże się przeląkł Wilhelm, jak ogluszony porwał się ze snu szczęścia, kiedy hrabina naraz z krzykiem odskoczyła od niego i uniosła rękę ku sercu.

Stał przed nią oszołomiony; ona trzymała drugą rękę przed oczyma i po chwili zawołała:

— Oddał się pan, śpiesz!

Wciąż stał.

— Opuść mnie pan — wołała, a odrywając rękę od oczu i patrząc na niego wzrokiem nie do opisania, dodała najśłodszym głosem:

— Unikaj mnie, jeżeli mnie pan kochasz.

Wilhelm wyszedł z pokoju i był znów w swojej izdebce, zanim nabrał świadomości, gdzie się znajduje.

Nieszczęśliwi! Jakież dziwne ostrzeżenie przypadku czy też opatrności ich rozdzieliło?

Pocałunek

# KSIĘGA IV

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Laertes stał w zamyśleniu przy oknie i wsparłszy się na ręce, wyglądał na pole. Filina, przemknąwszy przez dużą salę, oparła się na przyjacielu i żartowała z jego poważnej miny.

— Nie śmieć się — odrzekł — obrzydliwa to rzecz, jak ten czas mija, jak się wszystko zmienia i kończy! Patrz no, tu jeszcze niedawno był piękny obóz, jak wesoło wyglądały namioty! Jakże tam wrzało życie! Jak staranną rozciągano straż nad całym obszarem! A teraz wszystko już znikło. Jeszcze tylko przez krótki czas pozostawi ślad po sobie zgnieciona trawa i wykopane doły do gotowania; potem wszystko zaorzą, a obecność tylu tysięcy dzielnych mężczyzn w tej okolicy będzie się tulać jedynie w głowach kilku starych ludzi.

Filina zaczęła śpiewać i zaciągnęła przyjaciela na taniec do sali.

— Ponieważ nie możemy dogonić czasu, kiedy już minął — zawołała — to czcijmy go przynajmniej wesoło i wdzięcznie jak piękne bóstwo, kiedy koło nas przebiega.

Zrobili zaledwie kilka zwrotów, kiedy przez salę przeszła pani Melina. Filina była tyle złośliwa, że i ją także zaprosiła do tańca, by tym sposobem przypomnieć jej zepsutą figurę, spowodowaną stanem brzemienności.

— Ach — rzekła za jej plecami Filina — żebym już nigdy nie zobaczyła kobiety przy nadziei.

— Ona jednak ją ma — rzekł Laertes.

— Ale to jej nie do twarzy. Czy zauważyłeś, jak przednia fałda jej skróconej sukni wybiega zawsze naprzód, ilekroć ona się poruszy? Ona nie ma żadnego sposobu ani zręczności, żeby sobie jako tako poradzić i ukryć swój stan.

— Daj spokój — odparł Laertes — czas przyjdzie jej z pomocą.

— Byłoby to jednak daleko ładniej — zawołała Filina — gdyby dzieci strząsało się z drzew.

Wszedł baron i powiedział im coś przyjaznego w imieniu hrabiego i hrabiny, którzy wcześniej wyjechali, i dał im kilka prezentów.

Potem udał się do Wilhelma, który zabawiał się z Mignon w bocznym pokoju. Dziewczę bardzo przyjaźnie i serdecznie wypytywało Wilhelma o jego rodziców, siostry, braci i krewnych i przypomniało mu tym sposobem o obowiązku przekazania rodzinie wiadomości o sobie.

Baron wraz z pożegnalnym pozdrowieniem od od państwa przyniósł mu zapewnienie, że hrabia był z niego nader zadowolony, z jego gry, prac poetyckich i wysiłków teatralnych. Na dowód tego uczucia wyciągnął woreczek, przez którego piękną siatkę przebijała powabna barwa nowych sztuk złota; Wilhelm cofnął się i wzbraniał się go przyjąć.

— Niech pan ten podarunek — mówił dalej baron — uważa za wynagrodzenie za swój czas, za uznanie za pańskie trudy, a nie za zapłatę za pański talent. Jeżeli dzięki niemu zyskujemy dobre imię i przychyłność ludzi, to słuszne, żebyśmy pilnością i wysiłkiem zdobywali sobie zarazem środki do zaspokojenia naszych potrzeb, ponieważ nie jesteśmy przecież samym duchem. Gdybyśmy byli w mieście, gdzie można znaleźć wszystko, to zamienilibyśmy tę małą sumkę na zegarek, pierścionek czy coś podobnego, ale teraz daję panu prosto do rąk czarodziejską różdżkę; spraw sobie pan za to jakiś klejnot, który będzie dla pana najmiłszy i najużyteczniejszy, i zachowaj go pan na naszą pamiątkę. Przy tym miej pan szacunek i dla woreczka. Panie zrobiły go same, a ich zamiarem było, aby przez naczynie uczynić miłszą do przyjęcia samą zawartość.

— Daruj mi pan — odparł Wilhelm — moje zakłopotanie i niepewność, czy mam przyjąć ten dar. Niszczy on niejako moje szczuplutkie usługi i przeszkadza swobodnemu bujaniu szczęśliwego wspomnienia. Pieniądze są dobrą rzeczą, gdy coś ma się zatrzeć, a ja nie życzyłbym sobie całkiem zatrzeć się w pamięci państwa domu.

— Tak też nie będzie — odrzekł baron — ale sam, mając tak delikatne uczucia, nie zechcesz pan żądać, żeby czuł się całkowicie dłużnikiem pańskim hrabia, człowiek, którego największą ambicją jest być względnym i sprawiedliwym. Nie uszło to jego uwagi, ile pan sobie trudu zadawałeś i jak cały swój czas poświęcałeś jego zamiarom; ba, wie, że chcąc

przyśpieszyć pewne przygotowania, nie szczędziłeś pan własnych pieniędzy. Jakże się przed nim ukazę, jeżeli nie będę go mógł zapewnić, że jego uznanie sprawiło panu przyjemność?

— Gdybym myślał tylko o sobie — odpowiedział Wilhelm — gdybym chciał pójść jedynie za własnymi uczuciami, to nie zważając na wszelkie powody, uparcie wzbraniałbym się przyjąć ten dar, jakkolwiek piękny i zaszczytny, ale nie przeczę, że w chwili, gdy mnie zawstydzą, wydobywa mnie zarazem z zakłopotania, w którym znajdowałem się dotychczas w stosunku mojej rodziny i które mi sprawiło niejedną cichy smutek. Nie najlepiej gospodarowałem tymi pieniędzmi i tym czasem, z których winienem zdać sprawę; otóż dzięki wspaniałomyślności pana hrabiego będę mógł spokojnie przekazać rodzinie szczęśliwą wiadomość o tym, do czego mnie to dziwne zboczenie z drogi doprowadziło. Poświęcam delikatność, która nas w takich okolicznościach ostrzega jak drażliwe sumienie, wyższemu obowiązkowi i ażeby móc odważnie stanąć przed wzrokiem mego ojca, stoję zawstydzony przed pańskim.

— To dziwne — odrzekł baron — jakie dziwnie wahamy się, by przyjąć pieniądze od przyjaciół i dobrodziejów, od których każdy inny podarunek wzięlibyśmy się z podziękowaniem i radością. Natura ludzka ma więcej podobnych osobliwości, by rodzic i starannie żywić takie skrupuły.

— Czyż nie tak samo jest ze wszystkimi punktami honoru? — spytał Wilhelm.

— A tak — odrzekł baron — i innymi przesądami. Nie chcemy ich wypłenić, by przypadkiem nie wyrwać wraz z nimi roślin szlachetnych. Ale cieszy mnie to zawsze, kiedy niektóre osoby czują, co mogą i powinny przekraczać, i z przyjemnością wspominam anegdotę o tym dowcipnym poecie, co napisał kilka sztuk dla teatru dworskiego, które zasłużyły na zupełną pochwałę monarchy. „Muszę go okazać nagrodzić — rzekł wspaniały panujący — niech wybadają, czy klejnot sprawi mu przyjemność, czy też nie pogardzi przyjęciem pieniędzy”. Poeta w zwykły sobie, żartobliwy sposób odpowiedział przyslanemu dworakowi: „Serdecznie dziękuję za łaskawe względy, a ponieważ cesarz codziennie bierze od nas pieniądze, to nie widzę, dlaczego miałbym się wstydzić przyjmując pieniądze od niego”.

Ledwie baron opuścił pokój, Wilhelm skwapliwie policzył gotówkę, która wpadła mu tak niespodzianie i, jak sądził, tak niezasłużenie. Zdawało się, jakby wartość i ważność złota, które odczuwamy dopiero w późniejszych latach, po raz pierwszy ukazały mu się z przeczucia, gdy piękne, błyszczące sztuki wysuwały się z ładnego woreczka. Obrachował się i przekonał, że biorąc pod uwagę przyrzeczenie Meliny co do natychmiastowego zwrotu zaliczki, ma w kasie tyle samo, a nawet więcej niż w dniu, kiedy Filina poprosiła go o pierwszy bukiet. Z ukrytym zadowoleniem spojrzął na swój talent, z pewną dumą na szczęście, które go prowadziło i mu towarzyszyło. Pewny siebie porwał tedy za pióro, by napisać list, który miał wyrwać rodzinę z niepewności i przedstawić w jak najlepszym świetle jego dotychczasowe postępowanie. Pomiął właściwe opowiadanie i w słowach znaczących a tajemniczych dawał tylko odgadywać to, co go mogło spotkać. Dobry stan kasy, zysk, który zawdzięczał swemu talentowi, łaska możnych, przychyłność kobiet, znajomości zawarte w szerokim kole, rozwój zdolności cielesnych i duchowych, nadzieja na przyszłość — tworzyły tak cudny obraz powietrzny, że nawet fatamorgana nie mogłoby dziwniej oddziaływać.

Złożywszy list, ciągnął dalej w tym szczęśliwym upojeniu długą rozmowę z samym sobą, powtarzając treść tego, co napisał, i wyobrażając sobie aktywną i godną przyszłość. Przykład tylu dzielnych wojowników przejął go zapalem, poezja Szekspirowska otworzyła przed nim nowy świat, a z ust pięknej hrabiny wciągnął w siebie niewymowny ogień. To wszystko nie mogło, nie powinno pozostać bez wpływu na życie.

Przyszedł koniuszy i zapytał, czy się uwinęli z pakowaniem. Niestety, nikt prócz Meliny o tym nie pomyślał. Trzeba się było spieszyć zabrać do roboty. Hrabia obiecał kazać przewieźć całe towarzystwo o kilka dni drogi; konie były już gotowe i na długo dawać ich nie było można. Wilhelm zapytał o swój kufer; pani Melina zabrała go sobie; zażądał pieniędzy, pan Melina upakował je z wielką troskliwością na samym spodzie kuфра. Filina rzekła:

— W moim jest jeszcze miejsce.

Wzięła ubranie Wilhelma i kazała Mignon przynieść resztę rzeczy. Wilhelm, choć z niechęcią, musiał na to przystać.

Kiedy się pakowali i wszystko przygotowywali, Melina rzekł:

— Przykro mi, że podróżujemy jak linoskokczkowie i jarmarczni szarlatani; chciałbym, żeby Mignon wdziała kobiece suknie i żeby harfiarz kazał sobie jeszcze prędko ostrzyć brodę.

Mignon przytuliła się do Wilhelma i rzekła z wielką żywością:

— Jestem chłopcem, nie chcę być dziewczyną!

Starzec milczał, a Filina przy tej sposobności zrobiła parę wesołych uwag o cechach hrabiego, ich opiekuna.

— Jeżeli harfiarz obetnie sobie brodę — rzekła — to niech ją starannie przyszyje na wstążce i zachowa, żeby mógł ją sobie przyczepić, jak tylko spotka gdzieś w świecie hrabiego, gdyż jedynie broda zjednała mu łaskę tego pana.

Kiedy na nią nalegano, żądając objaśnienia tych dziwacznych słów, powiedziała, co następuje:

— Hrabia sądzi, że bardzo przyczynia się do złudzenia, kiedy aktor nawet w życiu powszednim gra dalej swą rolę i zachowuje swój charakter; z tego powodu był on tak łaskaw dla pedanta i utrzymywał, że harfiarz bardzo zręcznie postępuje, nosząc swoją fałszywą brodę ciągle, nie tylko wieczorem w teatrze, ale i w dzień także, i cieszył się bardzo, że maskarada tak naturalnie wygląda.

Gdy inni żartowali sobie z tej omyłki i z dziwacznych opinii hrabiego, harfiarz odszedł z Wilhelmem na stronę, pożegnał się z nim i prosił ze łzami, żeby go natychmiast odprawiono. Wilhelm perswadował mu, zapewniając, że będzie go bronić przed wszystkimi, że mu nikt włosa nie dotknie, a tym mniej nie utnie wbrew jego woli.

Starzec był bardzo wzruszony, a w jego oczach pałał dziwny ogień.

— Nie ta pobudka mnie stąd wypędza — zawołał — już od dawna po cichu czynię sobie wyrzuty, że przy panu pozostaję. Nigdzie nie powinienem bawić długo, gdyż ściga mnie nieszczęście i szkodzi tym, którzy stają się mymi towarzyszami. Lękaj się pan wszystkiego, jeżeli mnie nie puścisz, ale nie wypytuj mnie; nie należę do siebie, nie mogę pozostać.

— Do kogóż należysz? Kto może nad tobą wywierać taką władzę?

— Proszę pana, zostaw mi moją straszną tajemnicę i puść mnie! Zemsta, która mnie prześladowuje, nie należy do zakresu sędziego ziemskiego; poddany jestem nieuniknionemu losowi, nie mogę pozostać i nie powinienem!

— W tym stanie, w jakim cię widzę, nie puszczę cię z pewnością.

— Byłoby zbrodnią wobec ciebie, mój dobroczyńco, gdybym się ociągał. Ja jestem bezpieczny przy panu, ale pan jesteś w niebezpieczeństwie. Pan nie wiesz, kogo pielęgnujesz koło siebie. Jestem winny, ale raczej nieszczęśliwy niż winny. Moja obecność płoszy szczęście, a dobry uczynek staje się bezowocny, jeżeli do niego przystąpię. Muszę być niestały i w ciągłym ruchu, ażeby mnie nie porwał mój nieszczęsny geniusz, który ściga mnie z wolna i wtedy tylko daje się spostrzec, kiedy chcę złożyć swą głowę i spocząć. Nie mogę okazać większej wdzięczności inaczej, niż opuszczając pana.

— Dziwny człowieku! Nie zdołasz mi odebrać zaufania do siebie, jak niemniej nadziei, że cię ujrzę szczęśliwym. Nie będę wkraczał w tajemnice twego zabobonu, ale jeżeli już żyjesz w przeczuwaniu cudownych związków i przepowiedni, to ci powiadam na twoją pociechę i zachętę: zwiąż się z moim losem, a zobaczymy, który duch jest silniejszy, czy twój czarny, czy mój biały.

Wilhelm skorzystał z tej sposobności, ażeby mu powiedzieć niejedno słowo pociechy, bowiem od jakiegoś czasu zaczął przypuszczać, że dziwny jego towarzysz jest człowiekiem, który wskutek przypadku czy losu obciążył się jakąś wielką winą i jej wspomnienie wciąż wlecze za sobą. Przed kilkoma dniami Wilhelm słuchał jego śpiewu i zapamiętał następujące wiersze:

Dla niego światło porannego słońca  
Czysty widnokrąg płomieniem zalewa,  
A piękny świat ten od końca do końca  
Dla winowajcy w nicość się rozwiewa.



Cokolwiek tedy mówił starzec, Wilhelm zawsze znajdował silniejszy argument, umiał wszystko obrócić i wytłumaczyć na dobre, umiał przemówić tak uczciwie, serdecznie i pocieszająco, że starzec, jak się zdawało, odżywał i pozbywał się swoich urojeń.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Melina miał nadzieję utrzymać się wraz ze swym towarzystwem w jakimś małym, ale zamożnym mieście. Już znajdowali się w miejscu, do którego zawiozły ich konie hrabiego, i oglądali się za innymi końmi i wozami, żeby ruszyć dalej. Melina wziął na siebie przewóz i okazał się według swego zwyczaju bardzo skąpy. Natomiast Wilhelm, mając piękne dukaty hrabiny w kieszeni, sądził, że ma najzupełniejsze prawo użycia ich w sposób wesoły, i nader łatwo zapomniał, że już je bardzo chępliwie wpisał do tego świetnego bilansu, jaki posłał rodzinie.

Jego przyjaciel Szekspir, którego z wielką radością uznał za swego ojca chrzestnego i tym chętniej kazał się nazywać Wilhelmem, dał mu poznać pewnego księcia, który przez czas jakiś bawi wśród niskiego, ba, złego nawet towarzystwa i pomimo swej szlachetnej natury znajduje przyjemność w grubiaństwie, niezgrabności i ograniczeniu takich całkiem zmysłowych jegomościów. Ideał, do którego mógł porównywać swój obecny stan, był mu wielce pożądanym, a oszukiwanie samego siebie, ku czemu dośledził w sobie prawie nieprzewidywaną skłonność, stawało się przez to nadzwyczaj ułatwione.

Zaczął więc rozmyślać nad swoim ubraniem. Uznał, że kurtka, na którą można w razie koniecznej potrzeby zarzucić płaszcz, jest bardzo stosownym odzieniem dla wędrowca. Długie, dziane spodnie i para sznurowanych trzewików wydały mu się prawdziwym strojem piechura. Potem sprawił sobie piękną jedwabną szarfę, którą opasał się pod pozorem utrzymywania ciała w ciepłe, natomiast uwolnił szyję z niewoli zawiązki i kazał przyczepić sobie do koszuli parę kawałków muślinu, które wypadły jakoś trochę za szeroko i przybrały całkiem wygląd starożytnego kołnierza. Piękny jedwabny halsztuk<sup>82</sup>, ocalona pamiątka po Mariannie, lekko tylko związany, leżał pod muślinową kryzą. Okrągły kapelus z pstrą taśmą i wielkim piórem dopełniał tego przebrania.

Kobiety zaklinały się, że doskonale mu w tym stroju. Filina okazała się całkiem oczarowana i wyprosiła sobie jego piękne włosy, które on, chcąc jak najbardziej zbliżyć się do ideału natury, obciął sobie niemiłosiernie. Niemało mu się tym zaleciła, a nasz przyjaciel, który swoją szczodrobliwością zyskał prawo postępowania z innymi na wzór księcia Henryka, niebawem sam nabrał upodobania w obmyślaniu i wykonywaniu niedorzecznych figli. Fechtowano się, tańczono, wynajdowano różne gry, a w wesołości serca używano dobrą miarką znośnego wina, jakie zastano; Filina zaś wśród nieładu takiego życia czatowała na opornego bohatera, o którego oby się troszczył jego dobry duch.

Jedna wyborna zabawa, sprawiająca towarzystwu szczególną przyjemność, polegała na improwizowanej grze, w której naśladowali i karykaturowali swoich dotychczasowych opiekunów i dobroczyńców. Niektórzy z nich doskonale podpatrzyli cechy zewnętrznego wyglądu różnych znakomitych osób, a naśladowanie ich reszta towarzystwa przyjmowała z największym uznaniem, a kiedy Filina wydo była z tajnego archiwum swoich doświadczeń kilka zabawnych oświadczeń miłości, jakie ku niej zwrócono, ledwie nie pękano ze śmiechu, radując się z cudzego nieszczęścia.

Wilhelm ganił ich niewdzięczność, ale odpowiedziano mu, że tamci dostatecznie zasłużyli to, co otrzymali, i że w ogóle postępowanie względem tak zasłużonych ludzi, za jakich sami się uważali, nie było wcale najlepsze. Uskarżano się na to, że obchodzono się z nimi z niewielkim szacunkiem, że nimi pomiatano. Żarty, drwiny i przedrzeźnianie rozpoczynały się na nowo; stawali się coraz przykrzejsi i coraz bardziej niesprawiedliwi.

— Chciałbym — mówił na to Wilhelm — ażeby z waszych wypowiedzi nie przewidywała ani zawiść, ani miłość własna i żebyście rozpatrywali te osoby i ich stosunki z prawdziwego punktu widzenia. Ważna to rzecz już przez samo urodzenie być postawionym na wywyższonym miejscu w społeczeństwie ludzkim. Komu odziedziczone bogactwa zapewniły zupełną swobodę bytu, kto od samej młodości widzi się bogato otoczony wszystkimi, że tak się wyrażę, przydatkami ludzkości, ten pospolicie przywyka uważać

<sup>82</sup>halsztuk — chustka na szyję, wiązana wysoko pod brodą przez mężczyzn w końcu XVIII i w XIX w., poprzednik krawata. [przypis edytorski]

te dobra za rzecz pierwszą i największą, a wartość istoty ludzkiej, od przyrody pięknie uposażonej, nie jest dla niego należycie zrozumiała. Postępowanie wyższych z niższymi i pomiędzy sobą mierzy się według zalet zewnętrznych; pozwalają oni każdemu popisywać się swoim tytułem, stanowiskiem, ubiorem i ekwipażem<sup>83</sup>, tylko nie swoimi zasługami.

Słowa te towarzystwo przyjęło z niezmiernymi pochwałami. Uznano za rzecz wstrętną, że człowiek zasłużony musi zawsze stać w tyle i że na wielkim świecie niepodobna znaleźć ani śladu obejścia naturalnego i serdecznego. Szczególnie co do tego ostatniego punktu coraz bardziej zapędzano się w nagany.

— Nie gańcie ich za to — zawołał Wilhelm — raczej litujcie się nad nimi! Bo oni rzadko kiedy mają żywsze poczucie tego szczęścia, które my uznajemy za najwyższe, a które płynie z wewnętrznego bogactwa natury. Tylko nam, biednym, którzy mało albo nic nie posiadamy, dano nasycić się w obfitej mierze szczęśliwością przyjaźni. My nie możemy ukochanych naszych ani łaską wywyższyć, ani upodobaniem wzbogacić, ani podarkami uszczęśliwić. Mamy tylko samych siebie. Samych siebie tedy musimy oddać w całości i jeżeli ma to posiadać jakąś wartość, zapewnić przyjacielowi to dobro na wieki. Co za rozkosz, co za szczęście dla dającego i odbierającego! W jaki błogi stan wprawia nas wierność! Daje przemijającemu życiu ludzkiemu niebiańską pewność, stanowi główny skarb naszego bogactwa.

Gdy to mówił, Mignon zbliżyła się do niego, objęła swymi szczupłymi ramionami i oparła główkę na jego piersi. On położył rękę na głowie dziecka i mówił dalej:

— Jak łatwo wielkiemu panu pozyskać umysły! Jak łatwo przyswajać sobie serca! Uprzejme, przychylnie, jako tako ludzkie obejście czyni cuda, a jakże wiele ma on środków zatrzymania przy sobie raz zdobytych umysłów! Dla nas wszystko zdarza się rzadziej, przychodzi trudniej, więc naturalną jest rzeczą, że do tego, cośmy sobie zyskali lub zrobili, przywiązujemy większą wartość. Jakież to wzruszające przykłady wiernych służących, którzy poświęcają się dla swych panów! Jak pięknie odmalował nam takich Szekspir! Wierność jest w tym wypadku usiłowaniem szlachetnej duszy zrównania się z kimś wyższym. Przez ustawiczne przywiązanie i miłość sługa staje się równy swemu panu, który w przeciwnym razie może słusznie uważać go tylko za płatnego niewolnika. Tak jest, te cnoty są tylko dla stanu niższego i nie może się on bez nich obejść, one go pięknie przystrajają. Kto się może łatwo wypłacić, łatwo też bywa wiedziony na pokuszenie, by się też i z wdzięczności wywinąć. Tak, w tym znaczeniu mogę, jak mniemam, utrzymywać, że wielki pan może mieć wprawdzie przyjaciół, ale nie może być przyjacielem.

Mignon przyciskała się do niego coraz mocniej.

— No — rzekł ktoś z towarzystwa — my też nie potrzebujemy ich przyjaźni i nigdyśmy jej nie żądali. Tylko niechże się lepiej znają na sztukach pięknych, którymi chcą się przecie opiekować. Kiedyśmy grali jak najlepiej, nikt nas nie słuchał; wszystko było wynikiem stronniczości. Komu sprzyjano, ten się podobał, a nie sprzyjano temu, kto zasłużył na to, żeby się podobać. Można się było zdumiewać, jak nieraz ściągały na siebie uwagę i uznanie głupstwa i niesmaczne wybryki.

— Odliczywszy to, co było skutkiem radości z cudzej biedy i ironią — odparł Wilhelm — sądzę, że w sztuce bywa tak jak w miłości. Jakże człowiek światowy może w swoim rozproszonym życiu utrzymać tę spójność wewnętrzną, w której trwać winien artysta, jeżeli chce stworzyć coś doskonałego, a która nie powinna też być obca nawet temu, kto pragnie wziąć taki udział w dziele, jakiego artysta sobie życzy i spodziewa się. Wiercie mi, moi przyjaciele, z talentami jest tak samo jak z cnotą: trzeba je kochać dla nich samych albo też dać im zupełnie spokój. A jednak i jedno, i drugie nie inaczej może zostać poznane i nagrodzone, jak tylko, gdy się w nich można ćwiczyć w ukryciu, na podobieństwo jakiejś niebezpiecznej tajemnicy.

— Ale tymczasem, zanim znajdzie nas jakiś znawca, można z głodu umrzeć — zawołał któryś z kąta.

— Nie tak zaraz — odparł Wilhelm. — Widziałem, że póki ktoś żyje i się rusza, zawsze znajdzie pożywienie, chociażby nie najobfitsze. I na cóż przecie możecie się uskarżać? Czyśmy całkiem niespodziewanie, wtedy właśnie, gdy z nami było najgorzej, nie

<sup>83</sup>ekwipażem (z fr. *équipement*) — przest.: ogół rzeczy potrzebnych do wygodnej podróży, w szczególności zaprzęg, pojazd, wyposażenie, bagaż. [przypis edytorski]

zostali dobrze przyjęci i ugosczeni? A teraz, kiedy nam jeszcze niczego nie brakuje, czyż nam przychodzi do głowy zrobić cokolwiek dla naszego wydoskonalenia i posunięcia się naprzód? Zajmujemy się postronnymi rzeczami i na podobieństwo uczniaków odsuwamy od siebie wszystko, co mogłoby nam przypomnieć nasze lekcje.

— Doprawdy — rzekła Filina — nie ma na to odpowiedzi! Wybierzmy sobie sztukę; zagramy ją natychmiast. Każdy niech stara się ze wszystkich sił, jakby stał przed najliczniejszym audytorium.

Nie zastanawiano się długo; wyznaczono sztukę. Była ona jedną z tych, które wówczas znajdowały w Niemczech wielki rozgłos, a teraz poszły w zapomnienie. Niektórzy gwizdali jakąś symfonię; każdy szybko obmyślił swoją rolę, rozpoczęto i odegrano całą sztukę z największą uwagą i nadspodziewanie dobrze. Klaskano sobie wzajemnie po kolei; rzadko trzymano się tak dobrze.

Skończywszy, doznali wszyscy wyjątkowego zadowolenia, już to z powodu dobrze spędzonego czasu, już to dlatego, że każdy w szczególności mógł być kontent z samego siebie. Wilhelm długo wygłaszał pochwały, a zabawa ich była wesoła i pogodna.

— Zobaczylibyście — wołał nasz przyjaciel — jak daleko byśmy szaszli, gdybyśmy dalej ciągnęli nasze ćwiczenia w taki sposób, a nie poprzestawali tylko na mechanicznym, obowiązkowym, rzemieślniczym uczeniu się na pamięć, próbowaniu i graniu. Na jak większą pochwałę zasługują muzycy, jak się oni zachwycają, jak są dokładni, kiedy przedsięwzięją swoje wspólne ćwiczenia swoje. Jak się oni starają o jednakowe nastrojenie instrumentów, jak ściśle trzymają się taktu, jak subtelnie umieją wyrazić siłę i słabość tonu! Żadnemu na myśl nie przychodzi zyskiwać sobie pochwałę za pomocą zbyt głośnego akompaniowania, gdy inny gra solo. Każdy stara się grać w duchu i myśli kompozytora i każdy usiłuje dobrze wyrazić to, co mu powierzono, czy to jest czymś małym, czy wielkim. Czyż nie powinniśmy i my zabierać się do pracy z taką ścisłością i z takim ożywieniem, kiedy uprawiamy sztukę o wiele subtelniejszą od wszelkiego rodzaju muzyki, kiedy powołani jesteśmy przedstawiać ujmująco i zachwycająco najpospolitsze i najrzadsze uzewnętrznienie ludzkości? Czyż może być coś obrzydliwszego niż paskudzić na próbach, a na przedstawieniu zdawać się na humor i los szczęścia? Powinniśmy nasze największe szczęście i zadowolenie zasadzać na tym, żeby dążyć do harmonii, żebyśmy się sobie nawzajem podobali i o tyle tylko cenili uznanie publiczności, o ileśmy je już sami pomiędzy sobą niejako zapewnili. Dlaczego kapelmistrz jest pewniejszy swojej orkiestry niż dyrektor swego widowiska? Dlatego, że tam każdy musi wstydzić się swej omyłki, obrażającej ucho zmysłowe; a jakże to rzadko widziałem, by aktor uznał i wstydził się swoich przebaczonych i nieprzebaczonych omyłek, obrażających tak okropnie ucho wewnętrzne! Pragnąłbym tylko, żeby scena była tak wąska jak sznur linoskoczka, żeby się żaden niezgrabiasz nie ważył na nią wchodzić, gdy obecnie każdy czuje w sobie dosyć zdolności, by na niej paradować.

Towarzystwo dobrze przyjęło tę apostrofę<sup>84</sup>, gdyż każdy był przekonany, że to nie o była mowa, bo przecież dopiero co tak dzielnie się trzymał wobec innych. Zgodzono się owszem, żeby w tym samym duchu, jak zaczęto, uprawiać wspólne opracowywanie sztuk w czasie tej podróży i później, jeśli pozostaną razem. Zauważono tylko, że ponieważ to jest sprawą dobrego humoru i wolnej woli, to nie powinien się mieszać do tego żaden dyrektor. Przyjęto za rzecz dowiedzioną, że wśród dobrych ludzi forma republikańska jest najlepsza; utrzymywano, że stanowisko dyrektora powinno być przechodnie; miałby on być wybierany przez wszystkich, a za każdym razem dodawano by mu rodzaj małego senatu. Tak się przejęli tą myślą, że pragnęli ją zaraz urzeczywistnić.

— Nic nie mam przeciwko temu — rzekł Melina — jeśli w czasie podróży chcemy zrobić taką próbę; chętnie zawieszam swoją władzę dyrektorską, aż przybędziemy na miejsce.

Miał nadzieję, że przy tym coś zaoszczędzi i niektóre wydatki zepchnie na małą rzeczpospolitą lub tymczasowego dyrektora.

Zaczęto się więc bardzo żywo naradzać, w jaki sposób najlepiej ustanowić formę nowego państwa.

<sup>84</sup>*apostrofa* — figura retoryczna polegająca na bezpośrednim zwróceniu się do fikcyjnego lub realnego adresata. [przypis edytorski]

— To państwo koczujące — rzekł Laertes — nie będziemy przynajmniej mieli sporów o granice.

Przystąpiono zaraz do rzeczy i wybrano Wilhelma na pierwszego dyrektora. Ustawiono senat, kobiety otrzymały miejsce i głos, przedkładano wnioski, odrzucano, uchwalano. Czas przy tej zabawie mijał niepostrzeżenie, a ponieważ spędzano go mile, sądzono też, że istotnie zrobiono coś pożytecznego i za pomocą nowej formy otwarto nowe widoki dla ojczyznej sceny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Widząc towarzystwo w tak dobrym usposobieniu, Wilhelm spodziewał się także, iż będzie mógł roztrząsać z nim poetyckie zalety sztuk.

— Nie wystarczy — mówił do nich, gdy się zeszli nazajutrz — że aktor rozpatrzy sztukę powierzchownie, osądzi ją według pierwszego wrażenia i wyraził swoje upodobanie lub nieupodobanie bez jej rozbioru. To dopuszczalne dla widza, który chce się wzruszać i bawić, ale nie oceniać we właściwym znaczeniu słowa. Ale aktor powinien móc zdać sprawę ze sztuki oraz z powodów swej pochwały czy nagany, a jakże tego dokona, jeżeli nie potrafi wnikać w myśl swego autora i w jego zamiary. W tych dniach tak żywo zauważyłem w sobie błąd sądzenia sztuki według jednej roli, rozważania tej roli samej w sobie, a nie w związku z całością, że opowiem wam ten przykład, jeśli tylko zechcecie mnie łaskawie posłuchać... Znacie niezrównanego *Hamleta* Szekspirowskiego z odczytu, który wam jeszcze w zamku sprawił największą przyjemność. Zamierzaliśmy grać tę sztukę, a ja, nie wiedząc, co robię, wziąłem rolę królewicza; sądziłem, że ją studiuję, zacząwszy uczyć się na pamięć najsilniejszych ustępów, monologów i tych scen, w których się potęga duszy, wzniosłość myśli i żywość swobodnie rozwijają, w których wzruszone serce może ukazać się w pełnym uczucia wyrażeniu. I sądziłem, że wnikam w ducha roli, biorąc niejako na siebie brzemień głębokiej melancholii i starając się pod tym naciskiem iść za moim wzorem przez dziwny labirynt mnóstwa kapryśków i dziwactw. Tak to uczyłem się na pamięć, tak się ćwiczyłem i zdawało mi się, że powoli zlewam się z moim bohaterem w jedną osobę. Jednak im dalej szedłem, tym trudniejsze wydawało mi się przedstawienie całości, tak że w końcu wydało mi się rzeczą prawie niemożliwą dojść do jakiegoś ogólnego poglądu. Wtedy przeszedłem sztukę w nieprzerwanym kolejnym następstwie, ale i wówczas, niestety, niejedno nie dało mi się zharmonizować. Te charaktery, te wyrażenia zdawały się sobie zaprzeczać i zwątpiłem niemal, czy znajdę ton, w którym bym mógł wypowiedzieć całą swą rolę ze wszystkimi odchyleniami i odcieniami. Długo męczyłem się na próżno na tych błędnych ścieżkach, aż wreszcie błysła mi nadzieja zbliżenia się do celu całkiem inną drogą. Wyszukałem wszystkie ślady, jakie ukazywały się w charakterze *Hamleta* w czasach poprzedzających śmierć jego ojca; zauważyłem, czym ten interesujący młodzieniec był niezależnie od tego smutnego zdarzenia, niezależnie od następnych strasznych wypadków, i czym by się może stał bez nich. Delikatny i szlachetny w zawiązku, wyrósł ten królewski kwiat pod bezpośrednimi wpływami majestatu; pojęcie prawa i władzy królewskiej, uczucie dobra i przyzwoitości wraz ze świadomością wyżyn swego urodzenia rozwijały się w nim równocześnie. Był panującym, panującym z rodu, i pragnął panować dlatego tylko, ażeby dobry mógł bez przeszkody pozostać dobrym. Przyjemny z postaci, grzeczny z natury, uprzejmy z serca, miał się stać wzorem młodzieży i radością świata. Nie będąc jakąś gwałtowną namiętnością, miłość jego do Ofelii była spokojnym przedsmakiem słodkich potrzeb, jego zapal do ćwiczeń rycerskich nie był zupełnie samoistny, przeciwnie, musiał zostać zaostrzony i pobudzony pochwałami, jakich udzielano komuś trzeciemu; obdarzony czystym uczuciem, znał uczciwość i umiał cenić spokój, jakiego doznaje szczerzy umysł na łonie przyjaźni. Do pewnego stopnia potrafił rozpoznawać i doceniać dobro i piękno w sztukach i umiejętnościach; rzeczy niesmaczne były mu wstrętne, a jeżeli w jego delikatnej duszy mogła zakiełkować nienawiść, to o tyle tylko, ile potrzeba, ażeby pogardzać zmiennymi i fałszywymi dworakami i igrzać z nimi szydęrczo. Z usposobienia był spokojny, w zachowaniu się prosty, ani lubił próżnowania, ani też zbyt nie pragnął pracy. Rozbujanie akademickie zdawał się uprawiać dalej i na dworze. Miał więcej wesołości usposobienia niż serca, był dobrym towarzyszem, uległym, skromnym, troskliwym; mógł przebaczyć obrazę i zapomnieć o niej, ale

nigdy się nie mógł pogodzić z tym, kto przekracza granice słuszności, dobra i przyzwoitości... Kiedy będziemy znowu wspólnie czytali sztukę, osądźcie sami, czy jestem na dobrej drodze. Bądź co bądź spodziewam się, że swoje mniemanie mogę w całości udowodnić przytoczeniami.

Wykładowi temu głośno przyklaśnięto; przewidywano już w myśli, że sposób postępowania Hamleta bardzo dobrze da się wyjaśnić; cieszą się tą metodą wnikania w ducha pisarza. Każdy postanowił sobie przestudiować także tym sposobem jakąś sztukę i rozwikłać myśl autora.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Towarzystwo musiało zostać w tym miejscu tylko kilka dni, a już niektórym jego członkom przytrafiły się nieprzykre przygody, w szczególności zaś Laertes wabiła pewna dama, posiadająca majątek w sąsiedztwie, względem której wszakże zachował się nadzwyczaj zimno, a nawet niegrzecznie i musiał z tego powodu znieść od Filiny wiele kpinek. Skorzystała z tej sposobności, by opowiedzieć naszemu przyjacielowi nieszczęsne dzieje miłości, wskutek których biedny młodzian zniechęcił się do całego rodu niewieściego.

— Któż mu weźmie za złe — zawołała — że nienawidzi ród, który spletał mu takiego figla i dał mu w jednym bardzo skoncentrowanym napoju do połknięcia wszystkie zła, jakich w ogóle mężczyźni mogą się obawiać od kobiet? Wyobraź pan sobie: w ciągu dwudziestu czterech godzin był kochankiem, narzeczonym, mężem, rogaczem, pacjentem i wdowcem! Nie wiem doprawdy, czy można by komuś gorzej dopiec.

Laertes, na pół śmiejąc się, na pół zirytowany, wybiegł z izby, a Filina we właściwy sobie, niezmiernie miły sposób zaczęła opowiadać historię, jak Laertes, będąc osiemnastoletnim młodzieńcem, dopiero co wszedłszy do pewnej trupy dramatycznej, spotkał piękną, czternastoletnią dziewczynę, która zamierzała właśnie odjechać wraz z ojcem, który poróżnił się z dyrektorem.

— Zakochał się — mówiła — śmiertelnie na poczekaniu, przekładał ojcu wszelkie możliwe powody, żeby pozostał, i w końcu przyrzekł poślubić dziewczynę. Po kilku przyjemnych godzinach narzeczeństwa spoufalił się, spędził szczęśliwą noc jako małżonek, potem żona jego nazajutrz, gdy on był na próbie, ustroiła go w rogi, jak to stanowi małżeńskiemu przystało; ale ponieważ ze zbyt wielkiej czułości zanadto wcześniej pośpieszył do domu, znalazł niestety na swym miejscu starszego kochanka, z zapalczywą namiętnością zamachnął się, wyzwał kochanka i ojca i wyszedł z tej sprawy z niemałą raną. Ojciec i córka odjechali potem zaraz nocą, a on niestety pozostał podwójnie ranny. Nieszczęście zaprowadziło go do najgorszego w świecie felczera i biedaczysko, ach, z przygody tej się wydostał z czarnymi zębami i kaprawymi oczyma. Godzien pożałowania, bo poza tym to najdzielniejszy chłopak, jakiego święta ziemia dźwiga. Przykro mi zwłaszcza — dodała — że ten biedny wariat nienawidzi teraz kobiet, bo kto kobiet nienawidzi, jakże żyć może?

Melina przerwał jej, donosząc, że już wszystko jest całkiem gotowe do wyjazdu i że jutro rano mogą wyruszyć. Wręczył im instrukcję, w jaki sposób mieli jechać.

— Jeżeli jakiś dobry przyjaciel weźmie mnie na swoje łono — rzekła Filina — to będę rada z tego, że nam wąsko i niewygodnie siedzieć; poza tym wszystko mi jedno.

— Nic nie szkodzi — rzekł Laertes, który także nadszedł.

— Nieprzyjemnie! — powiedział Wilhelm i oddalił się.

Za swoje pieniądze znalazł jeszcze jeden całkiem wygodny wóz, którego Melina nie chciał najać. Zrobili inny podział i cieszyli się, że można odjeżdżać wygodnie, kiedy nadeszła frasobliwa wiadomość, że na drodze, którą chcieli obrać, ukazał się oddział ochotników, od którego niewiele dobrego się spodziewano.

Na miejscu zwrócono baczną uwagę na tę nowinę, chociaż była ona niejasna i dwuznaczna. Według pozycji armii wydawało się rzeczą niemożliwą, ażeby jakiś oddział nieprzyjacielski mógł się tam przemknąć albo też żeby przyjazny mógł pozostać tak daleko w tyle. Każdy usiłował z wielką gorliwością opisać, jako wielce groźne to niebezpieczeństwo, jakiego się towarzystwo spodziewało, i doradzał, żeby wybrało inną drogę.

Większość popadła z tego powodu w niepokój i obawę, a kiedy, zgodnie z nową republikańską formą, zwołano wszystkich członków państwa, aby się naradzić nad tym

nadzwyczajnym wypadkiem, prawie jednogłośnie wyrazili zdanie, że należy albo uniknąć nieszczęścia i pozostać na miejscu, albo też ominąć je i wybrać inną drogę.

Tylko Wilhelm, niedotknięty obawą, poczytywał za rzecz brzydką z powodu pustej pogłoski wyrzekać się planu, który obmyślono z tak wielką rozważą. Dodawał im odwagi, a jego dowodzenia były dzielne i przekonujące.

— Toż to — mówił — same tylko pogłoski, a ileż im podobnych powstaje podczas wojny! Rozumni ludzie powiadają, że to rzecz nieprawdopodobna, ba, prawie niemożliwa. Czyż w tak ważnej sprawie mamy opierać swoje postępowanie na zwykłej gadaninie? Marszruta, którą wam nakreślił pan hrabia i na którą opiewa nasz paszport, jest najkrótsza i znajdujemy na niej najlepszą drogę. Prowadzi nas do miasta, gdzie ujrzycie swoich znajomych, przyjaciół, gdzie oczekiwać możecie dobrego przyjęcia. Droga dookolna także nas tam zaprowadzi, ale na jakież narazi nas niedogodności, jak nas daleko odwiedzie! Czy możemy mieć nadzieję, że w tej późnej porze roku damy sobie radę? A ileż przez to strwonimy czasu i pieniędzy!

Mówił jeszcze długo i przedstawiał sprawę z tak różnostronnie korzystnych względów, że obawa artystów zmniejszyła się, a odwaga wzrosła. Umiał im tak wiele powiedzieć o karności wojskowej w regularnej armii, a maruderów i tłuszcę zbiegów odmalować jako nic nieznaczących, a samo nawet niebezpieczeństwo przedstawić tak uroczo i wesoło, że wszystkim umysły się rozjaśniły.

Laertes od pierwszej chwili był po jego stronie i zapewniał, że się nie zawaha i nie ustąpi. Stary zrzęda znalazł przynajmniej kilka zgodnych wyrażen, wypowiedzianych we właściwy mu sposób, Filina wyśmiewała ich wszystkich razem, a że pani Melina, która pomimo daleko posuniętej brzemienności, nie straciła przecież swojej przyrodzonej odwagi, uznała projekt za bohaterski, tedy Melina, który zresztą wiele się spodziewał zaoszczędzić na najkrótszej drodze, na którą się zgodził, nie mógł się dłużej opierać i zgodzono się na projekt z całego serca.

Zaczęto więc na wszelki wypadek przygotowywać się do obrony. Kupiono dwa kordelasy<sup>85</sup> i zawieszono je przez ramiona, na pięknie haftowanych rzemieniach, Wilhelm prócz tego włożył za pas parę króćców<sup>86</sup>; Laertes nadto miał przy sobie dobrą strzelbę; z wielką tedy wesołością puszczono się w drogę.

Na drugi dzień furmani, znający dobrze okolicę, zaproponowali odpoczynek obiadowy na lesistej wyniosłości, gdyż wieś była jeszcze daleko i przy ładnym dniu zwykle tamtędy się jedzie.

Pogoda była piękna i wszyscy chętnie się zgodzili na propozycję. Wilhelm pośpieszył naprzód piechotą przez góry, a każdy, kto go spotkał, musiał się zdumieć jego odznaczającą się postacią. Prędkim i ochoczym krokiem szedł w las, Laertes gwizdał za nim, kobiety jedynie wlokły się wozem. Mignon biegła również obok, dumna z kordelasa, którego nie można jej było odmówić, kiedy się towarzystwo zbroiło. Wokół kapelusza owinęła sznur pereł, który Wilhelm zachował z pamiętek po Mariannie. Fryderyk blondyn niósł strzelbę Laertes'a; harfiarz miał najbardziej pokojową powierzchowność. Jego długa suknia była wsunięta za pas, szedł więc swobodnie. Opierał się na sękatym kij, swój instrument pozostawiwszy na wozie.

Dostawszy się nie bez utrudzenia na wyżynę, od razu rozpoznali wskazane miejsce po pięknych bukach, które je otaczały i osłaniały. Długa, łagodnie spływająca na dół polanka, zapraszała do pozostania; źródelko dawało najmiłsze orzeźwienie, a po drugiej stronie przez wąwozy i wyręby ukazywały się dalekie, piękne, budzące nadzieję widoki. Leżały tam wioski i młyny w jarach, miasteczka na równinie, a nowe, w dali ukazujące się góry, czyniły widok jeszcze radośniejszym, występując tylko jako łagodne ograniczenie.

Pierwsi przybysze objęli okolicę w posiadanie, wypoczywali w cieniu, rozniecili ogień i zajęci, śpiewając, oczekiwali na resztę towarzystwa, które schodziło się powoli i jednogłośnie witało miejsce, piękną pogodę, niewymownie śliczną okolicę.

<sup>85</sup>*kordelas* — długi nóż myśliwski, służący do oprawiania upolowanej zwierzyny; niegdyś również element uzbrojenia. [przypis edytorski]

<sup>86</sup>*króćcie* — broń palna podobna do pistoletu, ładowana od przodu, z zamkiem skałkowym; pistolet podróżny. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Jeżeli się nieraz spędziło miłe i wesołe godziny wśród czterech ścian, to naturalnie o wiele większe ożywienie musiało się objawić tutaj, gdzie otwarte powietrze i piękna okolica zdawały się oczyszczać każdy umysł. Wszyscy czuli się bliżsi sobie, wszyscy pragnęli całe życie spędzić w tak przyjemnym otoczeniu. Zazdrozczono myśliwym, węglarzom i drwalom, to jest ludziom, których zawód utrzymuje w tych szczęśliwych miejscach zamieszkania, nade wszystko jednak wysławiali urocze gospodarstwo bandy Cyganów. Zazdrościli tym dziwnym ludziom, którzy w błogim próżnowaniu nasycić się mogą wszystkimi cudnymi wdziękami przyrody; cieszyli się, że choć w pewnej mierze byli podobni do nich.

Tymczasem kobiety zaczęły gotować kartofle i wydobywać i przygotowywać przyniesione jedzenie. Kilka garnków stało przy ogniu; towarzystwo w grupach rozłożyło się pod drzewami i krzakami. Dziwaczne ubiory i różnorodna broń nadawały im cudaczny wygląd. Konie pasły się na boku, a gdyby zechciano ukryć wozy, to widok tej małej hordy byłby aż do złudzenia romantyczny.

Wilhelm doznawał nigdy dotychczas nieodczuwanego zadowolenia. Mógł sobie tu wyobrazić wędrowną kolonię, a siebie jako jej przywódcę. W tej myśli rozmawiał ze wszystkimi i przystrajał omamienie chwili, jak można było najpoetyczniej. Nastroje w towarzystwie wzrosły: jedli, pili i wykrzykiwali wesoło, i wielokrotnie wyznawali, że nigdy nie przeżyli piękniejszych chwil.

Gdy tylko zadowolenie się wzmogło, wśród młodych ludzi obudził się popęd do działania. Wilhelm i Laertes chwycili rapiery i tym razem rozpoczęli swoje ćwiczenia w zamiarze teatralnym. Chcieli przedstawić pojedynek, w którym Hamlet i jego przeciwnik znajdują tak tragiczny koniec. Obaj przyjaciele byli przekonani, że w tej ważnej scenie nie powinno się uderzać tylko niezręcznie w tę i ową stronę, jak to zazwyczaj się dzieje w teatrach; spodziewali się przedstawić wzór, jak na przedstawieniu można dać zajmujące widowisko nawet dla znawcy sztuki szermierskiej. Wokół nich utworzyła się galeria; obaj walczyli gorliwie i ze znajomością rzeczy, zainteresowanie widzów wzrastało z każdym pchnięciem.

Nagle w pobliskim krzaku padł strzał, a zaraz potem drugi; towarzystwo poderwało się przerażone. Wkrótce ujrzano zbrojnych ludzi przyskakujących do tego miejsca, gdzie konie jadły obrok, niedaleko wypakowanych wozów.

Płec niewieścia wydała ogólny krzyk; nasi bohaterowie odrzucili rapiery, chwycili za pistolety, pośpieszyli na spotkanie rozbójników i wśród gwałtownych pogróżek zażądali zdania sprawy z zamiaru.

Kiedy odpowiedziano im lakonicznie kilkoma strzałami z muszkietów<sup>87</sup>, Wilhelm wypalił swój pistolet w kędzierzawego, który wszedł na wóz i rozciął postronki pakunków. Trafiony, spadł natychmiast; Laertes także dobrze wycelował i obaj przyjaciele wydobywali odważnie broń zza pasa, kiedy część bandy zbójczej, złorzecząc i wrzeszcząc, rzuciła się na nich, dała kilka strzałów i przeciwstawiła się ich odwadze błyszczącymi szablami. Nasi młodzi bohaterowie trzymali się dzielnie; przywołali resztę swoich towarzyszy i zachęcali ich do ogólnej obrony. Niebawem Wilhelm stracił widok światła i świadomość tego, co się dzieje. Ogluszony strzałem, który go ranił między piersią a lewym ramieniem, i ciosem, który przeciął mu kapelusz i przeszedł prawie do czaszki, upadł na ziemię i o nieszczęśliwym końcu tego napadu miał się dowiedzieć dopiero później z opowiadania.

Kiedy znowu otworzył oczy, znalazł się w najdziwniejszym położeniu. Pierwszą rzeczą, jaka ukazała mu się z mroku, ciągle jeszcze zasłaniającego mu wzrok, była twarz Filiny, która pochylała się nad jego twarzą. Czuł się słaby, a kiedy się poruszył, żeby się podnieść, znalazł się na łonie Filiny, na które też opadł na powrót. Siedziała na murawie, łagodnie przyciskała do siebie głowę wyciągniętego przed sobą młodzieńca i, o ile mogła, przygotowywała dla niego miękkie oparcie na swoich ramionach. Mignon klęczała z rozpuszczonymi, okrwawionymi włosami u jego nóg i obejmowała je, płacząc gwałtownie.

Kiedy Wilhelm spojrział na swoje zakrwawione ubranie, łamiącym się głosem zapytał, gdzie jest i co się stało z nim i innymi. Filina prosiła go, żeby się zachowywał spokojnie;

<sup>87</sup> *muszkiet* — ciężka strzelba lontowa, gładkolufowa, ładowana odprzodowo. [przypis edytorski]

wszyscy inni — mówiła — znajdują się w bezpiecznym miejscu, nikt nie jest ranny prócz niego i Laertes. Więcej nic nie chciała opowiadać i prosiła go usilnie, żeby leżał spokojnie, gdyż rany jego opatrzone źle i z pośpiechem.

Podał Mignon rękę i dopytywał się o przyczynę okrwawionych kędziorów dziecka, które, jak sądził, również zostało ranne.

Ażeby go uspokoić, Filina opowiedziała, że to pocziwe stworzenie, zobaczywszy swego przyjaciela rannego, w pośpiechu na nic się nie oglądało, ażeby zatamować krew, ujęło swoje włosy bujające wokół głowy, ażeby nimi zatkać rany, ale wkrótce musiało zaniechać daremnego przedsięwzięcia. Następnie opatrzone mu rany za pomocą gąbki i mchu, a Filina oddała na ten cel swoją chusteczkę.

Wilhelm spostrzegł, że Filina siedziała oparta plecami o swój kufer, który wyglądał na całkiem dobrze zamknięty i nieuszkodzony. Zapytał tedy, czy i inni byli tak szczęśliwi, iż ocalili swoje manatki? Odpowiedziała wzruszeniem ramion i spojrzaniem na polankę, gdzie tu i ówdzie leżały rozrzucone rozbite skrzynki, połamane kufry, porozrywane zawiniątka i mnóstwo drobnych sprzętów. Na miejscu nikogo nie było widać; a dziwna grupa znajdowała się tu sama jedna.

Wilhelm dowiadywał się teraz więcej, niż pragnął wiedzieć; reszta mężczyzn, którzy bądź co bądź mogli jeszcze stawić opór, została zastraszona i niebawem pokonana; jedni uciekli, drudzy z przerażeniem przypatrywali się porażce. Woźnice, którzy z powodu swych koni najuparciej się trzymali, zostali powaleni i związani, i w krótkim czasie wszystko splądrowano i zabrano. Zatrwożeni podróżni, gdy tylko minęła troska o życie, zaczęli oplakiwać swe straty, czym najprędzej pośpieszyli do pobliskiej wioski, zabierając ze sobą lekko ranionego Laertes a i szczupłe resztki swojego mienia. Harfiarz oparł swój uszkodzony instrument o drzewo i pośpieszył razem z innymi do owej miejscowości, by wyszukać cyrulika<sup>88</sup> i poskoczyć, jak będzie mógł najrychlej, z pomocą swemu dobroczyńcy, pozostawionemu, jakby już był martwy.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Troje naszych nieszczęśliwych wędrowców pozostało jeszcze przez dość długi czas w dziwnym położeniu; nikt im nie śpieszył z pomocą. Nadszedł wieczór; groziło zbliżenie się nocy; obojętność Filiny zaczęła się zamieniać w niepokój; Mignon biegała w tę i z powrotem i niecierpliwosć dziewczęcia zwiększała się z każdą chwilą. Wreszcie, kiedy ich życzenie się spełniło i jacyś ludzie zbliżali się do nich, opanowała ich nowa obawa. Bardzo wyraźnie usłyszeli tętent koni na drodze, którą i oni przedtem przybyli, i przejął ich strach, żeby jakieś towarzystwo nieproszonych gości nie zechciało znowu odwiedzić tego wybranego miejsca, żeby zebrać pokłosie.

Jakżeż więc przyjemnie się zdziwili, kiedy się zza krzaków ukazała jadąca na siwku kobieta w towarzystwie jakiegoś starszego pana i kilku jeźdźców; za nimi podążali giermkowie, służący i oddział huzarów.

Filina, niezmiernie zdumiona tym zjawiskiem, zamierzała właśnie zawołać i błagać piękną amazonkę<sup>89</sup> o pomoc, gdy ta, zdziwiona, zwróciła już oczy na dziwną grupę, natychmiast zawróciła konia, podjechała i zatrzymała się. Gorliwie się wypytywała o rannego, którego położenie na łonie lekkomyślnej Samarytanki<sup>90</sup> wydawało się widocznie nader niezwykle.

— Czy to pani mąż? — zapytała Filinę.

— To tylko dobry przyjaciel — odrzekła ona tonem, który Wilhelmowi wydał się nadzwyczaj niemiły.

Utkwił on wzrok w łagodne, szlachetne, spokojne, współczujące rysy twarzy przybyłej; zdawało mu się, że nigdy nie widział niczego godniejszego i miłszego. Szeroki paltot męski ukrywał przed nim jej postać, widać pożyczyla go od jednego ze swych towarzyszy, żeby zabezpieczyć się przed wieczornym chłodem.

<sup>88</sup>*cyrulik* — fryzjer wykonujący również proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

<sup>89</sup>*amazonka* — kobieta uprawiająca jazdę konną; od nazwy mitycznego plemienia kobiet-wojowniczek. [przypis edytorski]

<sup>90</sup>*Samarytanki* — mieszkanka staroż. krainy Samarii, między Galileą a Judeą; przen.: miłosierna kobieta, śpiesząca z pomocą rannym, chorym i słabym. [przypis edytorski]



Tymczasem zbliżyli się także i jeźdźcy; niektórzy zsiadli z koni; dama zrobiła to samo i wypytywała ze współczuciem o wszystkie okoliczności wypadku, który spotkał podróżnych, a zwłaszcza o rany rozciągniętego młodzieńca. Potem szybko się odwróciła i wraz ze starszym panem poszła na bok do powozów, które z wolna podjeżdżały pod górę i zatrzymywały na wybranym miejscu.

Młoda pani, postawszy chwilę u drzwiczek jednej z karet i pomówiwszy z przybyszami, zaprowadziła przysadzystego mężczyznę, który z niej wysiadł, do naszego rannego bohatera. Po skrzynce, którą miał w ręce, i po skórzanej torbie z narzędziami można w nim było poznać chirurga. Jego zachowanie było raczej szorstkie niż ujmujące, ale jego ręka lekka, a pomoc pożądana.

Dokładnie zbadawszy sprawę, oświadczył, że rana nie jest niebezpieczna, że ją zaraz opatrzy, po czym będzie można przewieźć chorego do najbliższej wsi.

Troskliwość młodej damy zdawała się zwiększać.

— Patrz no pan — rzekła, przeszedłszy się kilka razy i sprowadziwszy znowu starego jegomościa — patrz no pan, jak go urządzono! A czyż nie cierpi z naszego powodu?

Wilhelm słyszał te słowa, ale ich nie rozumiał. Ona przechadzała się niespokojnie; n zdawało się, że nie może oderwać się od widoku rannego, a zarazem bała się wykroczyć przeciw przyzwoitości, gdyby stanęła w tej chwili, gdy zaczęto go, choć z trudem, rozbierać. Chirurg rozciął właśnie lewy rękaw, gdy stary jegomość podszedł do niej i poważnym tonem przedstawiał jej konieczność wyruszenia w dalszą podróż. Wilhelm zwrócił na nią oczy i tak był przeniknięty jej spojrzeniami, że ledwie czuł, co się z nim działo.

Filina tymczasem wstała, by ucałować rękę łaskawej pani. Kiedy obie stały przy sobie, naszemu przyjacielowi zdawało się, iż nigdy nie widział takiej różnicy. Filina nigdy dotąd nie ukazała mu się w tak niekorzystnym świetle. Wydawało mu się, że nie powinna się zbliżać do owej szlachetnej istoty, a tym bardziej jej dotykać.

Dama wypytywała Filinę o różne rzeczy, ale po cichu. W końcu obróciła się do starszego pana, który nadal stał sztywno, i rzekła:

— Kochany wuju, czy mogę być hojna na twój koszt?

I natychmiast zdjęła płaszcz, nieomylnie z zamiarem oddania go rannemu i nieokrytemu.

Wilhelm, którego dotychczas podtrzymywało uzdrawiające spojrzenie jej oczu, teraz, kiedy płaszcz opadł, zdziwił się jej piękną postacią. Zbliżyła się do niego i łagodnie nałożyła na niego okrycie. I w chwili, kiedy chciał otworzyć usta i wyszeptać parę słów podziękowania, żywe wrażenie jej obecności tak dziwnie podziało na jego zmysły, już i bez tego rozdrażnione, że zaraz wydało mu się, jakby jej głowę otaczały promienie i na całą jej postać splotywały z wolna jakieś jarzące światło.

Wtedy właśnie chirurg poruszył go trochę silniej, zabierając się do wydobycia kuli tkwiącej w ranie. Święta znikła sprzed oczu omdlewającego: stracił przytomność, a kiedy znów doszedł do siebie, nie było już ani jeźdźców i powozów, ani piękności i jej towarzyszy.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Gdy przyjaciel nasz został obwiązany i ubrany, chirurg oddalił się, a równocześnie nadszedł harfiarz z pewną liczbą wieśniaków. Zrobiwszy pośpiesznie nosze z uciętych gałęzi i splecionego chrustu, złożyli na nich rannego i znieśli go powoli z góry pod przewodnictwem strzelca na koniu, pozostawionego przez tamto towarzystwo. Harfiarz, milcząc, zatopiony w sobie, niósł uszkodzony swój instrument; kilku ludzi dźwigało kufer Filiny, ona sama wlokła się z zawiniątkiem, Mignon zaś skakała to naprzód, to w bok przez krzaki i las i oglądała się tęsknie na swego chorego obrońcę.

Ten, zawinięty w ciepły płaszcz, spoczywał spokojnie na noszach. Elektryczne ciepło zdawało się płynąć z delikatnej wełny do jego ciała; dość, że czuł się w najprzyjemniejszym usposobieniu. Piękna posiadaczka ubrania potężnie na niego podziała. Ciągłe jeszcze widział płaszcz spadający z jej ramion, stojącą przed nim szlachetną postać otoczoną promieniami, a dusza jego ściagała znikłą poprzez góry i bory.

Dopiero wraz z zapadającą nocą orszak dotarł do karczmy we wsi, gdzie znajdowała się reszta towarzystwa, oplakując rozpaczliwie niepowetowane straty. Jedna izdebka tego

schronienia nabita była ludźmi; jedni leżeli na słomie, drudzy zajęli ławki, inni wcisnęli się za piec, a pani Melina w sąsiednim pokoju oczekiwała trwożliwie rozwiązania. Strach przyspieszył je, a po pomocy gospodyni, kobiety młodej i niedoświadczonej, niewiele dobrego można było sobie obiecywać.

Gdy nowi przybysze zażądali, żeby ich wpuszczono, powstał ogólny pomruk. Utrzymywano teraz, że jedynie za radą Wilhelma i pod jego szczególnym przewodnictwem wybrano tę niebezpieczną drogę i narażono się na to nieszczęście. Zrzucano na niego winę za niepowodzenie, odmawiano mu wejścia przez drzwi i powiadano, żeby sobie poszukał innego przytułku. Filinę przyjęto jeszcze pogardliwiej; harfiarz i Mignon mieli także za swoje.

Strzelec, któremu jego piękna pani surowo nakazała troskliwość o ranionego, niezbyt długo cierpliwie przysłuchiwał się kłótni; wpadł na towarzystwo z przekleństwami i pogroźkami; nakazał obecnym ścisnąć się i zrobić miejsce dla przybyłych. Zaczęto się jako tako urządzać. Strzelec przygotował dla Wilhelma miejsce na stole, który przysunął do kąta, Filina kazała postawić obok swój kufer i usiadła na nim. Każdy ścisnął się, jak mógł, a strzelec odszedł, by zobaczyć, czy nie zdoła znaleźć wygodniejszego mieszkania dla małżeństwa.

Zaledwie wyszedł, zaczęła się na nowo odzywać głośno niechęć, a zarzuty sypały się jeden po drugim. Każdy wymieniał i podnosił swoją stratę; ganiono lekkomyślność, przez którą tyle wycierpiano, nie kryto się nawet z radością, jaką odczuwano z powodu ran naszego przyjaciela, wyszydzano Filinę i chciano jako występki przedstawić sposób, w jaki ocalała swój kufer. Z różnych uszczypliwości i przycinków należałoby wnioskować, że podczas rabunku i obezwładnienia, starała się zyskać łaskę herszta bandy i kto wie jakimi sztukami i uprzejmościami wymogła na nim oddanie jej kufra. Utrzymywano, że oddała się gdzieś na dość długo. Ona nic nie odpowiadała i pobrzękiwała tylko wielkimi kłódkami swego kufra, żeby przekonać zazdrośników o swej obecności i zwiększyć rozpacz gromady własnym szczęściem.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wilhelm, chociaż osłabł z powodu znacznej utraty krwi, a po ukazaniu się owego anioła pomocy stał się łagodny i cichy, nie mógł dłużej powstrzymać swego oburzenia na ostrą, a niesprawiedliwą gadaninę, którą, wobec jego milczenia, niezadowolone towarzystwo ciągle wznowiało. Poczul się na tyle wzmocniony, by się podnieść i przedstawić im niegodziwość, z jaką niepokoił swego przyjaciela i dowódcę. Podniósł zawiązaną głowę do góry i podpierając się z trudnością, oparty o ścianę, tak zaczął mówić:

— Tłumaczę sobie bólem, jakiego każdy doznaje z powodu swej straty, że mnie obrażacie w chwili, kiedy byście mnie żałować powinni, że stajecie przeciwko mnie i odpychacie mnie po raz pierwszy, kiedy mógłbym od was oczekiwać pomocy. Za usługi, jakie wam okazałem, za uprzejmości, jakie wam świadczyłem, czułem się dotychczas dostatecznie wynagrodzony waszą wdzięcznością, waszym przyjaznym postępowaniem; nie pobudzajcie mnie, nie zmuszajcie mego serca, żebym się cofnął myślą i przypomniał sobie, com dla was zrobił; taki obrachunek stałby się dla mnie zbyt bolesny. Przypadek sprowadził mnie do was, okoliczności i tajemna skłonność zatrzymały mnie przy was. Brałem udział w waszych pracach, w waszych zabawach; moje szczupłe wiadomości były na wasze usługi. Teraz w przykry sposób składacie na mnie winę za niedolę, jaka nas spotkała... ależ przypomnijcie sobie, że pierwsza myśl obrania tej drogi przyszła od obcych ludzi, była przez was wszystkich roztrząsana i zarówno przez każdego z was, jak i przeze mnie została uznana za dobrą. Gdyby podróż nasza odbyła się szczęśliwie, to każdy by się chwalił z dobrego pomysłu, iż tę drogę doradził, iż ją wybrał spośród innych; z przyjemnością przypominałby sobie nasze narady i prawo głosowania, z którego korzystał; teraz mnie samego tylko robicie odpowiedzialnym, zrzucacie na mnie winę, którą bym chętnie wziął na siebie, gdyby mnie od niej nie uwalniała najwyraźniejsza świadomość, ba, gdybym się nie mógł na was samych powołać. Jeżeli macie coś przeciw mnie do powiedzenia, to wyłóżcie rzecz porządnie, a ja potrafię się obronić; jeżeli zaś nie możecie przytoczyć nic dowodnego, to milczcie i nie dręczcie mnie, zwłaszcza teraz, gdy tak bardzo potrzebuję spokoju.

Zamiast odpowiedzi dziewczęta zaczęły znowu płakać i szczegółowo opowiadać o swej stracie. Melina był całkiem zbity z pantafyku, bo niewątpliwie postradał bardzo dużo, więcej, niż można by myśleć. Jak szalony miotał się po ciasnym pomieszczeniu, bił głową o ścianę, kłął i lajał najnieprzyzwoiciej; a ponieważ właśnie nadeszła z pokoju gospodyni, donosząc, że jego żona urodziła martwe dziecko, pozwolił sobie na najgwałtowniejsze wybuchy, a jednogłośnie z nim płakali, krzyczeli, warczeli i hałasowali wszyscy, jeden przez drugiego.

Wilhelm, którego aż do głębi wzburzało zarówno współczucie dla ich stanu, jak i wstręt do ich pospolitego sposobu myślenia, pomimo osłabienia ciała czuł w sobie całą żywotność potęgi swej duszy.

— Prawie muszę wami pogardzać — zawołał — jakkolwiek godni jesteście politywania. Żadne nieszczęście nie upoważnia was do obarczania niewinnego zarzutami; jeżeli zawiniłem w swojej części co do tego kroku, to cierpię za tę swoją część. Leżę tu ranny, a jeżeli towarzystwo straciło, to ja tracę najwięcej. Co zrabowano z garderoby, co przepadło z dekoracji, było moje, gdyż pan, panie Melina, jeszcze mi nie zapłaciłeś, a ja teraz zwalnię pana całkowicie z tego zobowiązania.

— Łatwo panu darować, czego nikt już nie odzyska — zawołał Melina. — Pańskie pieniądze leżały w kufrze moich kobiet, a pan winienesz, że one przepadły. Ale, och, gdyby to było wszystko!

Zaczął znów tupać, kłąć i krzyczeć. Każdy przypominał sobie piękne ubrania z garderoby hrabiego, sprzączki, zegarki, tabakierki, kapelusze, które Melina tak szczęśliwie wytargował od kamerdynera. Każdemu przyszły też znowu na pamięć jego własne, chociaż o wiele szczuplejsze, skarby; z przykrością patrzono na kufer Filiny; dawano do zrozumienia Wilhelmowi, że doprawdy wcale nieźle zrobił, przyłączając się do tej piękności za pośrednictwem jej szczęścia ocalając swe mienie.

— Czyż sądzicie — zawołał on wreszcie — że będę mieć coś tylko dla siebie, dopóki wy cierpicie niedostatek, i czyż to po raz pierwszy dzielę się z wami uczciwie w potrzebie? Otwórzmy kufer, a co jest mojego, złożę na rzecz wszystkich.

— To mój kufer — rzekła Filina — i nie prędzej go otworzę, aż mi się będzie podobało. Tych kilka błyskotek, które dla pana schowałam, niewiele przyniesie, chociażby się je sprzedała najuczciwшему Żydowi. Myśl pan o sobie, ile będzie kosztowało leczenie, co cię może spotkać w obcym kraju.

— Nie odmówisz mi, Filino, tego, co moje, a i ta odrobina poratuje nas w pierwszej kłopotliwej chwili. A wszak człowiek posiada coś jeszcze, czym może dopomóc swoim przyjaciółom, a co niekoniecznie musi być brzęczącą monetą. Wszystko, co jest we mnie, pójdzie na ofiarę dla tych nieszczęśliwych, którzy z pewnością, opamiętawszy się, żalować będą obecnego postępowania. Tak jest — mówił dalej — czuję, że jesteście w potrzebie, zrobię dla was wszystko, co będę mógł; obdarzcie mnie znowu swoim zaufaniem, uspokójcie się na chwilę, przyjmijcie, co wam obiecuję. Kto chce w imieniu wszystkich otrzymać ode mnie przyrzeczenie?

Tu wyciągnął rękę i zawołał:

— Przyrzekam, że nie odstąpię was, nie opuszczę was dopóty, dopóki każdy nie ujrzy swej straty podwójnie i potrójnie wynagrodzonej, dopóki o stanie, w jakim się znajdujecie, z czyjejkolwiek tam winy, nie zapomnicie i nie zamienicie go na szczęśliwszy.

Wciąż trzymał wyciągniętą rękę, ale nikt nie chciał jej chwycić.

— Przyrzekam to raz jeszcze — zawołał, opadając na poduszkę.

Wszyscy milczeli; wstyd im było, ale nie doznali pociechy, a Filina, siedząc na swym kufrze, rozlupywała orzechy, które znalazła w kieszeni.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Strzelec wrócił z kilkoma ludźmi i zabierał się do wyniesienia rannego. Namówił miejscowego proboszcza, by przyjął parę małżeńską; kufer Filiny wyciągnięto, a ona poszła za nim z naturalną układnością. Mignon biegła naprzód, a gdy chory przybył na probostwo, dano mu szerokie łoże małżeńskie, które już od dawna stało tam przygotowane jako łóżko gościnne i honorowe. Tu dopiero spostrzeżono, że rana się otworzyła i obficie krwawi. Trzeba było zająć się nowym obwiązaniem. Chory dostał gorączki, Filina

czuwała nad nim nieustannie, a gdy ją zmogło znużenie, zastąpił ją harfiarz; Mignon, z mocnym postanowieniem czuwania, zasnęła w kątku.

Nazajutrz, gdy Wilhelm trochę się wzmocnił, dowiedział się od strzelca, że ci państwo, którzy wczoraj im przyszli z pomocą, niedawno opuścili swe dobra, aby uniknąć starć wojennych i zatrzymać się w jakiejś zaciszniejszej okolicy aż do zawarcia pokoju. Wymienił nazwisko starszego pana i jego siostrzenicy, wskazał miejsce, do którego najpierw się udadzą, oświadczył Wilhelmowi, że panienska zobowiązała go do zajęcia się opuszczonymi.

Wchodzący chirurg przerwał żywe wyrazy wdzięczności, jakie Wilhelm wylewał względem strzelca, zrobił szczegółowy opis ran, zapewnił, że łatwo się zagoją, jeżeli pacjent zachowa się spokojnie i będzie się szanował.

Po odjeździe strzelca Filina opowiedziała, że zostawił jej woreczek z dwudziestoma luidorami, że księdzu dał wynagrodzenie za mieszkanie i u niego też złożył na koszty leczenia dla chirurga; że ona uchodzi całkiem za żonę Wilhelma, że raz na zawsze wprowadza się do niego w tym charakterze i nie pozwoli, żeby się starał o inną opiekę.

— Filino — rzekł Wilhelm — już z powodu nieszczęścia, jakie nas spotkało, dłużny ci zostałem niejedno podziękowanie, a nie chcę, aby mój dług wobec ciebie się powiększył. Jestem niespokojny, dopóki jesteś koło mnie, gdyż nie wiem, czym mógłbym wynagrodzić twoje trudy. Oddaj mi moje rzeczy, które ocalałaś w swym kufrze, przyłącz się do reszty towarzystwa, poszukaj innego mieszkania, przyjmij moje podziękowanie i złoty zegarek jako drobną pamiątkę; tylko zostaw mnie, twoja obecność niepokoi mnie bardziej, niż myślisz.

Gdy skończył, zaśmiała mu się w twarz.

— Jesteś głupcem — rzekła — nie nabierzesz rozumu. Wiem lepiej, z czym ci dobrze; zostanę, nie ruszę się z miejsca. Nigdy nie liczyłem na wdzięczność mężczyzn, a więc i na twoją; a jeżeli cię kocham, cóż ci do tego?

Została i niebawem potrafiła przypodobać się proboszczowi i jego rodzinie, zawsze będąc wesołą, umiając każdemu coś podarować, wiedząc, jak z każdym rozmawiać, a mimo to robiąc zawsze, co chciała. Wilhelm miał się nieźle, chirurg, człowiek niewykształcony, ale nie bez zręczności, pozwolił działać naturze, tak że pacjent znalazł się wkrótce na drodze do wyzdrowienia. Pragnął znów być zdrowy, aby móc gorliwie doprowadzić do skutku swoje plany i życzenia.

Bezustannie przypominał sobie to zdarzenie, które wywarło niezatarte wrażenie na jego umyśle. Widział zjawiającą się na koniu spoza krzewów piękną amazonkę; zbliżała się ku niemu, zsiadła, przechadzała się tam i z powrotem i troszczyła się o niego. Widział spadające z jej ramion okrycie, potem znikającą w blasku jej twarz, jej postać. Wszystkie jego młodzieńcze marzenia wiązały się z tym obrazem. Zdawało mu się, jakby teraz własnymi oczyma ujrział szlachetną, bohaterską Kloryndę<sup>91</sup>; przyszedł mu znowu na myśl chory królewicz, do łoża którego przystępuje w skromnym milczeniu piękna współczująca królewna.

— Czyżby w młodości naszej, jakby we śnie — mówił niekiedy po cichu sam do siebie — nie mogły się nam zjawiać obrazy przyszłych losów i przecuciowo stawać się widome naszemu naiwnemu oku? Czyżby nie mogły istnieć rozsiane ręką przyrody zarodki tego, co nas ma spotkać, czyżbyśmy nie mogli mieć przedsmaku owoców, które kiedyś dopiero spożywać mamy?

Przymusowy spoczynek dawał mu czas do tysięcznego powtarzania tej sceny. Tysięckrotnie przypominał sobie dźwięk tego łagodnego głosu i jakże zazdrościł Filinie, że ucałowała tę pomocną rękę. Często cała ta historia wydawała mu się snem tylko i byłby ją uważał za baśń, gdyby nie było pozostało okrycie, które go upewniało o rzeczywistości zjawiska.

Z największą troskliwością o to ubranie łączyło się najżywsze pragnienie przyodziania się w nie. Gdy tylko wstał, zarzucił je na siebie i przez cały dzień bał się, żeby go nie poplamić lub w jakiś inny sposób nie uszkodzić.

<sup>91</sup>*Klorynda* — bohaterka poematu Torquata Tassa *Jerozolima wyzwolona*, dzielna wojowniczką muzułmańska, córka króla etiopskiego Synapa. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Laertes odwiedził przyjaciela. Przy owej gwałtownej scenie w karczmie nie był obecny, leżał bowiem w pokoju na górze. Swoją stratę znosił bardzo spokojnie i pocieszał się swoim zwyczajnym: a cóż tam! Opowiadał o różnych śmiesznych rysach towarzystwa, drwił zwłaszcza z pani Melina, że dlatego tylko oplakuje stratę swej córki, iż nie mogła mieć staroniemieckiej przyjemności ochrzczenia jej Mechtyldą. Co do jej męża, to podobno okazało się, iż miał przy sobie dużo pieniędzy i że już wówczas nie potrzebował bynajmniej zasiłku, który wyludził od Wilhelma. Melina zamierzał jakoby odjechać najbliższą pocztą i zażądać od Wilhelma listu polecającego do przyjaciela, dyrektora Serlo, w którego trupie spodziewa się znaleźć miejsce, gdy własne przedsiębiorstwo się rozchwiało.

Mignon przez kilka dni zachowywała się bardzo cicho, a kiedy na nią nalegano, przyznała się w końcu, że miała wywichniętą prawą rękę.

— Zawdzięczasz to swemu zuchwałstwu — rzekła Filina.

I zaczęła opowiadać, jak dziewczynka w czasie utarczki, zobaczywszy przyjaciela w niebezpieczeństwie, dobytej kordelasa i dzielnie rzuciła się na rozbójników. W końcu porwano ją za rękę i odrzucono na bok.

Łajano ją, że nie powiedziała o swoim cierpieniu wcześniej, ale zrozumiano, że się bała chirurga, który dotychczas miał ją za chłopca. Starano się zaradzić złu, musiała nosić rękę na przewiązce. Z tego powodu znowu się rozdrażniła, gdyż najlepszą część starania i czuwania nad swoim przyjacielem musiała pozostawić Filinie, a ta miła grzesznica okazała się wtedy tym bardziej aktywna i uważna.

Pewnego poranka, kiedy Wilhelm się obudził, znalazł się dziwnie blisko niej. Na swym szerokim łożu w czasie niespokojnego snu zsunął się całkiem na tylną stronę. Filina leżała wyciągnięta w poprzek na przedniej części; widocznie zasnęła, siedząc na łożku i czytając. Książka wypadła jej z ręki; upadła na wznak głową tuż przy jego piersi, na którą spłynęły falami jej rozpuszczone blond włosy. Nieład senny bardziej niż sztuka i zamiar potęgował jej wdzięki; dziecięcy, pogodny spokój malował się na jej twarzy. Przez pewien czas patrzył na nią i jakby robił sobie wyrzuty za przyjemność, z jaką się jej przypatrywał, i nie wiemy, czy błogosławił, czy też przeklinał swój stan, który czynił odpoczynek i umiarkowanie jego obowiązkiem. Dość długo już przyglądał się jej uważnie, kiedy zaczęła się poruszać. Przymknął z wolna oczy, ale nie mógł się powstrzymać, by przymrużonymi nie patrzeć na nią, gdy się znów przysrajala i odchodziła, by zapytać o śniadanie.

Jeden po drugim zjawiali się u Wilhelma wszyscy aktorzy, żądali mniej lub bardziej niegrzecznie i porywczo listów polecających i pieniędzy na drogę i zawsze je otrzymywali, chociaż Filina się zżymała. Na próżno tłumaczyła swemu przyjacielowi, że strzelec pozostawił także i tym ludziom znaczną sumę i że oni go tylko okpiwają. Z tego powodu wdali się w ożywiony spór, a Wilhelm znów twierdził stanowczo, że ona również powinna dołączyć do reszty towarzystwa i szukać szczęścia u Serla.

Jej zwykły spokój opuścił ją tylko na chwilę; potem szybko przysła do siebie i zawołała:

— Gdybym tylko miała znów swego blondyna, nie dbałabym o was wszystkich.

Miała na myśli Fryderyka, który gdzieś zniknął z tego wybranego miejsca i nie pokazywał się.

Na drugi dzień Mignon przyniosła do łoża chorego wiadomość, że Filina w nocy odjechała i że wszystko, co do niego należało, bardzo porządnie złożyła w bocznym pokoju.

Odczuł jej nieobecność; utracił w niej wierną piastunkę, wesołą towarzyszkę rozmowy; odzwyczaił się od samotności. Ale Mignon brak ten niebawem wypełniła.

Odkąd ta lekkomyślna piękność otoczyła rannego swymi przyjaznymi staraniami, mała wycofywała się powoli i zamknęła się w sobie; ale teraz, gdy znowu zyskała wolne pole, wystąpiła z troskliwością i miłością, była gorliwa w służeniu mu i wesoła w bawieniu go.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Szybkimi krokami zbliżał się do wyzdrowienia; miał nadzieję, że za kilka dni będzie mógł wyruszyć w podróż. Nie myślał wcale prowadzić dalej włóczędzkiego życia bez planu;

na przyszłość jego drogę miały wyznaczać celowo stawiane kroki. Naprzód chciał wyszukać dobroczynnych państwa, by im wyrazić swą wdzięczność, potem pośpieszyć do swego przyjaciela dyrektora, aby się zaopiekować, jak mógł najlepiej, unieszczęśliwionym towarzystwem, a zarazem odwiedzić zaprzyjaźnionych kupców, w adresy których był zopatrzone, i załatwić powierzone sobie interesy. Pocieszał się nadzieją, że szczęście, jak poprzednio, tak i na przyszłość będzie mu towarzyszyć i da mu sposobność za pomocą szczęśliwej spekulacji powetować straty i zapełnić znowu braki jego kasy.

Z każdym dniem rosło jego pragnienie zobaczenia swej wybawicielki. Aby określić plan podróży, zasięgnął rady duchownego, który miał dobre wiadomości geograficzne i statystyczne i posiadał ładny zbiór książek i map. Szukali miejsca, które obrała sobie za siedzibę podczas wojny ta szlachecka rodzina; szukali też wieści o niej samej; ale miejscowości nie znaleziono w żadnej geografii ani na żadnej mapie, a podręczniki genealogiczne niczego nie mówiły o takiej rodzinie.

Wilhelm zaniepokoił się, a gdy wypowiedział głośno swą troskę, harfiarz oświadczył, że ma powody uważać, iż strzelec z jakiegokolwiek przyczyny zataił prawdziwe nazwisko.

Wilhelm, sądząc, że teraz znajduje się w pobliżu pięknej pani, spodziewał się, że otrzyma o niej jakąś wiadomość, jeśli wyśle harfiarza, ale i ta nadzieja zawiodła. Bez względu na to, jak bardzo starzec troskliwie się wypytywał, nie mógł wpaść na trop. W tamtych czasach odbywały się w tych okolicach różnorodne ożywione ruchy i nieprzewidziane przemarsze; nikt nie zwrócił szczególnej uwagi na podróżujących, tak że wyprawiony posłaniec, aby nie być poczytanym za żydowskiego szpiega, musiał zawrócić i stanąć przed swoim panem i przyjacielem bez gałązki oliwnej.<sup>92</sup> Złożył ściśle sprawozdanie, jak się starał spełnić polecenie, i usiłował oddalić od siebie najłżejsze posądzenie o niedbalstwo. Próbował wszelkimi sposobami zmniejszyć troskę Wilhelma, przypominał sobie wszystko, co słyszał poprzednio od strzelca, i snuł różne domysły, przy czym w końcu uwydatniła się pewna okoliczność, dzięki której mógł Wilhelm objaśnić niektóre z zagadkowych słów pięknej nieznajomej.

Mianowicie, banda rozbójnicza czatowała nie na trupę wędrowną, lecz na owych państwa, u których słusznie spodziewała się wiele pieniędzy i kosztowności i o przejeździe których musiała mieć dokładne wiadomości. Nie wiadano, czy napad ten przypisać oddziałowi ochotników, czy maruderom, czy też rozbójnikom. Dość że na szczęście znakomitej i bogatej karawany, jako pierwsi przybyli na miejsce ludzie nieznaczeni i biedni i ulegli losowi, jaki był zgotowany dla tamtych. Do tego się odnosiły słowa młodej damy, które Wilhelm wybornie zapamiętał. Jeżeli tedy mógł być zadowolony i szczęśliwy, że jakiś opatrnościowy duch przeznaczył go na ofiarę, by ocalić doskonałą śmiertelniczkę, to z drugiej strony był bliski rozpacz, że zniknęła wszelka nadzieja na jej odnalezienie, zobaczenie jej znowu, przynajmniej na chwilę.

Tym, co zwiększało w nim dziwne wzruszenie, było podobieństwo, które, jak mu się zdawało, odkrył między hrabiną a piękną nieznajomą. Były do siebie podobne jak dwie siostry, z których żadna nie może być nazwana ani starszą, ani młodszą, gdyż wydają się bliźniaczkami.

Wspomnienie uroczej hrabiny było mu nad wyraz słodkie. Aż zanadto ochoczo przypominał sobie jej obraz. Ale tu wmieszała się postać pięknej amazonki; jedno zjawisko przekształciło się w drugie, a on nie był w stanie utrwalić ani jednego, ani drugiego.

Jakże cudowne wydało mu się podobieństwo ich pisma! W portfelu bowiem przechowywał śliczną piosenkę napisaną przez hrabinę, a w okryciu znalazł bilecik, w którym z wielką a delikatną troskliwością dowiadywano się o zdrowie wuja.

Wilhelm był przekonany, że liścik ten pisała jego wybawicielka, że został on posłany z jednego pokoju do drugiego w gospodzie w czasie podróży i że został schowany do kieszeni przez wuja. Trzymał oba rękopisy jeden obok drugiego, a jeżeli mu się niegdyś tak bardzo podobały ozdobnie stawiane litery hrabiny, to w podobnych, ale swobodniejszych kreskach nieznajomej znajdował niewymownie ujmującą harmonię. Bilecik nie zawierał

<sup>92</sup>bez gałązki oliwnej — nawiązanie do biblijnej *Księgi Rodzaju*: bogobojny Noe przed zesłaniem na ziemię niszczycielskim potopem z rozkazu Boga zbudował według szczegółowych wskazówek arkę (rodzaj statku), dzięki której uratował swoją rodzinę oraz po parze każdego rodzaju zwierząt. Aby dowiedzieć się, czy wody potopu już opadły i można bezpiecznie opuścić arkę, co jakiś czas wysyłał ptaki; powrót gołębic z gałązką oliwną o świeżych liściach był dla niego znakiem, że ziemia jest dostatecznie sucha. [przypis edytorski]

nic zgoła, a nawet same kreski zdawały się go wywyższać, jak poprzednio obecność piękności.

Popadł w marzycielską tęsknotę i jakże zgodna z jego uczuciami była pieśń, którą właśnie w tej chwili śpiewali Mignon i harfiarz, jako chwilowy duet, nadając jej najserdeczniejszy wyraz:

Ten tylko, co tęskni, zna  
Głębię mych żali!

Sam, ach, bez radości dnia  
Wzrok puszcza dalej,

W ową stronę patrzę ja,  
Gdzieśmy się kochali.

Bo kto mnie kocha i zna,  
Żyje w oddali.

Szum w głowie, a tu pierś ma  
Ogniem się pali.

Ten jeno, co tęskni, zna  
Głębię mych żali!...

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Łagodne uroki drogiego ducha opiekuńczego zamiast wprowadzić naszego przyjaciela na jakąś drogę, żywiły i wzmagaly niepokój, jakiego przedtem doświadczał. Tajny żar przemkał się po jego żyłach; określone i nieokreślone przedmioty przepływały przez jego duszę i wzbudzały nieskończone pragnienie. To chciał mieć rumaka, to skrzydła, a gdy mu się wydawało, że nie może pozostać, najpierw zaczął się zastanawiać, dokąd tak naprawdę chce się udać.

Nic jego losów tak dziwnie się splątała; chciał zobaczyć te dziwaczne węzły rozwiązane lub rozcięte. Nieraz, słysząc tętent konia lub turkot powozu, wyglądał szybko oknem w nadziei, że ktoś przybywa do niego z odwiedzinami i choćby tylko przypadkiem przyniesie mu wiadomość, pewność i radość. Wymyślał sobie historyjki, jak to jego przyjaciel Werner mógłby zejść w te strony i zaskoczyć go, że może się tutaj ukazać Marianna. Dźwięk każdego rogu pocztowego wstrząsał nim. Melina może przysłać wiadomość o swoim losie, a zwłaszcza strzelec powinien wrócić i zaprosić go do tej uwielbianej piękności.

Z tego wszystkiego nie spełniło się, niestety, nic i musiał w końcu znowu pozostać sam, a kiedy roztrząsał na powrót przeszłość, jedna okoliczność stawała się tym wstrętniejsza i nieznośniejsza, im bardziej ją rozważał i badał. Było nią jego nieszczęśliwie zakończone przewodnictwo, o którym nie mógł myśleć bez przykrości. Bo chociaż wieczorem owego fatalnego dnia potrafił się niezłe wytłumaczyć, nie mógł przecież ukryć przed sobą samym swojej winy. Przeciwnie, w chwilach hipochondrii cały nieszczęsny przypadek przypisywał tylko sobie.

Miłość własna sprawia, że zarówno nasze zalety, jak i wady wydają się o wiele ważniejsze niż są w rzeczy samej. Wzbudził do siebie zaufanie, pokierował wolą innych i wysunął się naprzód kierowany niedoświadczeniem i śmiałością; ogarnęło ich niebezpieczeństwo, któremu nie mogli sprostać. Głośne i ciche zarzuty ściagały go, a kiedy wzburzonemu towarzystwu po dotkliwej stracie przyrzekł nie opuścić go, dopóki nie wynagrodzi mu straty z nadstatkiem, musiał się skarcić za nowe zuchwalstwo, z jakim ważył się brać na swoje barki zło, które spadło na wszystkich. Już to wyrzucał sobie, że złożył takie przyrzeczenie pod wpływem podrażnienia i nacisku chwili, już to czuł znowu, że to dobroduszne wyciągnięcie ręki, której nikt nie raczył przyjąć, było lekką formalnością wobec ślubu złożonego w sercu. Rozmyślał o sposobach, by być dla nich dobroczynnym i użytecznym, i zawsze znajdował pobudkę do przyspieszenia podróży do Serla.

Spakował tedy swoje rzeczy i nie czekając na pełne wyzdrowienie, nie słuchając rady pastora i chirurga, wyjechał w dziwnym towarzystwie Mignon i starca, byle uciec od bezczynności, w jakiej los go ponownie zbyt długo zatrzymał.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Serlo przyjął go z otwartymi ramionami i wołał do niego:

— Czy to pana widzę? Czy poznaję pana? Mało albo nic się pan nie zmieniłeś. Czy pańska miłość do najszlachetniejszej sztuki ciągle jest tak silna i żywotna? Tak bardzo cieszę się z pańskiego przybycia, że już nie czuję nieufności, jaką obudziły ostatnie listy pańskie.

Wilhelma zastanowiły te słowa, prosił o ich wyjaśnienie.

— Postąpiłeś pan ze mną — odparł Serlo — nie jak stary przyjaciel; traktowałeś mnie jak wielkiego pana, któremu ze spokojnym sumieniem polecić można ludzi do niczego. Los nasz zależy od opinii publiczności, a obawiam się, czy ten pański pan Melina ze swymi towarzyszami zdoła u nas zasłużyć na dobre przyjęcie.

Wilhelm chciał coś powiedzieć na ich korzyść, ale Serlo zaczął ich opisywać tak bezlitośnie, że nasz bohater ucieszył się, gdy do pokoju weszła jakaś panna, która przerwała rozmowę i została mu zaraz przedstawiona przez przyjaciela jako siostra Aurelia. Przyjęła go jak najuprzejmiej, a jej rozmowa była tak zajmująca, że nie spostrzegł nawet wyraźnego rysu cierpienia, który wzbudzał szczególne zainteresowanie jej rozumną twarzą.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Wilhelm znalazł się znowu w swoim żywiole. W swoich pogadankach znajdował przedtem słuchaczy uprzejmych tylko z potrzeby, a teraz miał szczęście rozmawiać z artystami i znawcami, którzy nie tylko doskonale go rozumieli, ale którzy także odpowiadali na jego mowę w sposób pouczający. Z jaką szybkością rozpatrywano najnowsze sztuki! Z jaką pewnością wydawano o nich zdania! Jakże umiano zbadać i ocenić osąd publiczności! Z jaką chyżością objaśniano się wzajemnie!

Wobec zamilowania Wilhelma do Szekspira rozmowa musiała się z konieczności skierować na tego pisarza. Z najwyższą niecierpliwością oczekiwał epoki, jaką by te wyborne sztuki sprawić musiały w Niemczech, i niebawem wyjechał ze swoim *Hamletem*, który go tak mocno zajmował.

Serlo zapewniał, że gdyby to było możliwe, już dawno wystawiłby tę sztukę, że chętnie wzięłby sobie rolę Poloniusza. A potem dodał z uśmiechem:

— A Ofelie się znajdują, bylebyśmy tylko mieli królewicza.

Wilhelm nie zauważył, że Aurelii zdawał się nie podobać ten żart brata; przeciwnie, według swego zwyczaju szeroko i pouczająco rozprawiał, w jakim rozumieniu chciałby, żeby grano *Hamleta*. Szczegółowo przedstawił im wyniki, którymi zajmował się, jak widzieliśmy poprzednio, i dokładał wszelkich starań, ażeby przeprowadzić swoje mniemanie, chociaż Serlo podnosił wiele wątpliwości co do jego hipotezy.

— No dobrze — rzekł tenże w końcu — przystajemy na pańskie wywody; cóż pan dalej stąd wyjaśnisz?

— Wiele, wszystko — odparł Wilhelm. — Wyobraź pan sobie królewicza, jak go odmalowałem, którego ojciec niespodzianie umiera. Ambicja i żądza panowania to nie są namiętności, które go ożywiają; podobało mu się, że jest synem króla, ale teraz dopiero zmuszony jest zwrócić baczniejszą uwagę na przepaść oddzielającą króla od poddanych. Prawo do korony nie było dziedziczne; dłuższe jednak życie ojca umocniłoby pretensje jego jedyne go syna i zapewniłoby nadzieję na otrzymanie korony. Tymczasem widzi się oto przez swojego stryja, pomimo pozornych przyrzeczeń, może na zawsze wykluczony, czuje się tak biedny co do łaski, co do dóbr, i obcy w tym, co od dzieciństwa mógł poczytywać za swoją własność. Tu umysł jego przybiera pierwszy smutny kierunek. Czuje, że nie jest już kimś więcej, ba, nawet nie tyle znaczy co każdy szlachcic; udaje, że jest sługą wszystkich, nie jest grzeczny, nie jest uprzejmy, on jest poniżony i potrzebujący. Za swym dawniejszym stanem ogląda się jak za minionym snem. Na próżno stryj chce mu dodać otuchy, ukazać mu jego położenie z innego punktu widzenia; poczucie własnej nicości nigdy go nie opuszcza. Drugi cios, jaki w niego uderzył, zranił go głębiej, przygniótł silniej. To małżeństwo jego matki. Jemu, przywiązanemu i czulemu synowi, pozostała po śmierci ojca jeszcze matka; spodziewał się, że w towarzystwie żyjącej szlachetnej matki



będzie czcił bohaterską postać wielkiego zmarłego; traci jednak i matkę w sposób gorszy, niż gdyby mu ją śmierć porwała. Znika ten tchnący ufnością obraz, jaki kochające dziecko tak chętnie sobie tworzy o rodzicach; od zmarłego nie ma pomocy, w żyjącej nie ma oparcia. I ona także jest kobietą i ją także obejmuje nazwa rodzajowa: ułomność. Teraz dopiero czuje się naprawdę złamany, naprawdę osierocony, a żadne szczęście świata nie może mu zastąpić tego, co utracił. Ponieważ z natury nie jest smutny ani zamyślony, smutek i zamyślenie stają mu się ciężkim brzemieniem. Tak widzimy go występującego. Nie sądzę, żebym do sztuki wkładał coś swojego lub też w jakimś rysie przesadzał.

Serlo spojrział na siostrę i rzekł:

— Czy dałem ci fałszywy wizerunek naszego przyjaciela? Dobrze zaczyna; niejedno nam jeszcze opowie i w wielu rzeczach przegada.

Wilhelm zaprzysiągł się głośno i gorąco, że nie chce przegadać, lecz przekonać, i prosił tylko o chwilę jeszcze cierpliwości.

— Wyobraźcie sobie — żywo zawołał — tego młodzieńca, tego syna królewskiego, uprzytomnijcie sobie jego położenie, a potem obserwujcie go, kiedy się dowiaduje, że pojawia się postać jego ojca; stańcie przy nim owej straszliwej nocy, kiedy czcigodny duch pokazuje się jemu samemu. Ogarnia go straszliwa zgroza; przemawia do cudownego zjawiska, widzi jego skinienie, idzie za nim i słucha. Rozlega mu się w uszach straszne oskarżenie przeciw jego stryjowi, wezwanie do zemsty i uporczywie powtórzona prośba: „Pamiętaj o mnie!”. A kiedy duch zniknął, kogóż przed sobą widzimy? Młodego bohatera, który dyszy zemstą? Urodzonego władcę, który czuje się szczęśliwy, że został wezwany przeciwko uzurpatorowi swojej korony? Nie! Zdumienie i melancholia opadają osamotnionego; staje się cierpki dla uśmiechniętych łotrów, przysięga, że nie zapomni o zmarłym i kończy znaczącym westchnieniem: „Czas wyszedł ze swych fug; biada mi, żem się zrodził, by go naprawiać”<sup>93</sup>. W tych słowach leży, jak mi się widzi, klucz do całego zachowania się Hamleta, i jest dla mnie jasne, że Szekspir chciał przedstawić: wielki czyn złożony na duszę, która do tego czynu nie dorosła. I w tym rozumieniu, moim zdaniem, opracowana została konsekwentnie cała sztuka. Zasadzono tu dąb w cenne naczynie, które powinno by było przyjmować w łono swoje tylko śliczne kwiaty; korzenie się rozszerzają; naczynie pęka. Istota piękna, czysta, szlachetna, wysoce moralna, bez siły zmysłowej tworzącej bohatera, ginie pod ciężarem, którego nie może ani unieść, ani odrzucić; każdy obowiązek jest dla niej święty, ale ten za ciężki. Zażądano od niej rzeczy niemożliwej, nie niemożliwej samej w sobie, ale takiej, która dla niej jest niemożliwa. Jak on się wije, szamoce, lęka się, to występuje naprzód, to się cofa, doświadcza przypomnień, sam sobie wciąż przypomina, a w końcu prawie traci z oczu swój zamiar, ale nigdy nie doznaje uczucia radości!

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Weszło kilka osób, które przerwały rozmowę. Byli to wirtuozi, zbierający się zazwyczaj u Serla raz w tygodniu na koncertik. Lubił on bardzo muzykę i utrzymywał, że aktor bez takiego zamiłowania nigdy nie zdoła dojść do jasnego pojęcia i poczucia własnej sztuki. Tak jak o wiele łatwiej i przyzwoiciej się poruszamy, kiedy ruchom towarzyszy i kieruje nimi melodia, tak też aktor powinien swoją rolę prozaiczną komponować niejako w duchu, żeby jej nie psuł monotonią według własnego indywidualnego usposobienia, ale żeby ją opracował w należyтым urozmaiceniu według taktu i miary.

Aurelia, jak się zdawało, brała niewielki udział w tym, co się działo; w końcu zaprowadziła naszego przyjaciela do bocznego pokoju, a stanąwszy przy oknie, patrząc na usiane gwiazdami niebo, rzekła:

— Jeszcze niejedno nam się od pana należy o Hamlecie; nie będę jednak nagliła i pragnę, żeby i brat zechciał posłuchać, co pan masz jeszcze do powiedzenia, ale racz mi pan powiedzieć swoje myśli o Ofelii.

— O niej niewiele da się powiedzieć — odparł Wilhelm — bo jej charakter wykończony został kilkoma tylko mistrzowskimi rysami. Cała jej istota pływa w dojrzałej,

<sup>93</sup>Czas wyszedł ze swych fug; biada mi, żem się zrodził, by go naprawiać — Szekspir, *Hamlet*, akt I, scena 5 (spotkanie Hamleta z duchem ojca), ostatnie słowa Hamleta w tej scenie; w tłum. Józefa Paszkowskiego z 1862: „Świat wyszedł z formy / I mnież to trzeba wracać go do normy!”. [przypis edytorski]

łagodnej zmysłowości. Jej skłonność do królewicza, do ręki którego może rościć pretensję, płynie z samego źródła, dobre serce tak się całkowicie poddaje swemu pragnieniu, że ojciec i brat obaj się lękają, obaj wprost i bez ogródek ostrzegają. Przyzwoitość, podobnie jak lekka gaza na jej piersi, nie może skryć ruchów jej serca, przeciwnie, staje się zdrajcą tych lekkich poruszeń. Wyobraźnia jej jest przepojona, jej cicha skromność dyszy miłosną żądzą i gdyby wygodna bogini Sposobność potrząsała drzewkiem, to owoc spadłby natychmiast.

— A kiedy naraz widzi, że została opuszczona — rzekła Aurelia — odepchnięta i pogardzona, kiedy w duszy jej oszalałego kochanka przemieniają się wyżyny na głębiny i kiedy on, zamiast słodkiego pucharu miłości, podaje jej gorzki kielich cierpień...

— Serce jej pęka — zawołał Wilhelm — cała budowa jej istnienia wychodzi ze swoich fug, śmierć jej ojca wpada jak burza i piękny budynek upada.

Wilhelm nie zauważył, z jakim wyrazem twarzy Aurelia wypowiedziała ostatnie słowa. Zatopiony jedynie w dziele sztuki, w jego harmonii i doskonałości, nie domyślał się, że jego przyjaciółka doznawała całkiem innego wrażenia, że pod działaniem tych cieni dramatycznych obudził się w niej własny, głęboki ból.

Aurelia nadal trzymała głowę w dłoniach, a oczy, napelniające się łzami, zwracała ku niebu. W końcu nie mogła dłużej tać skrywanego bólu; ujęła przyjaciela za obie ręce i zawołała do zdumionego jej zachowaniem:

— Przebac pan, przebac zatrwożonemu sercu! Towarzystwo krępuje mnie i więzi; muszę się starannie ukrywać przed swoim nielitościwym bratem; pańska zaś obecność rozwiązała wszystkie więzy. Przyjacielu! — mówiła dalej — znamy się tylko chwilę, a już stajesz się pan moim powiernikiem.

Ledwie mogła wymówić te słowa i pochyliła się na jego ramię.

— Nie myśl pan źle o mnie — rzekła, łkając — że się tak rychło przed panem wywnętrzam, że mnie widzisz tak słabą. Bądź, pozostań pan moim przyjacielem, zasługuję na to.

Przemówił do niej bardzo serdecznie; na próżno! Jej lzy płynęły i zagłuszały jej słowa.

W tej chwili bardzo nie w porę wszedł Serlo, a z nim wielce niespodzianie Filina, którą trzymał za rękę.

— Oto pani przyjaciel — rzekł do niej — uciesz się, że może panią powitać.

— Jak to? — zawołał zdziwiony Wilhelm. — Więc panią tutaj spotykam?

Poważnie a skromnie podeszła ku niemu, przywitała go, wychwalała dobroć Serla, że ją przyjął do swojej wybornej trupy bez zasługi z jej strony, jedynie w nadziei, że się rozwinie. Względem Wilhelma zachowywała się po przyjacielsku, ale z pełnym szacunku dystansem.

To udawanie trwało tylko, póki nie zostali sami. Bo gdy Aurelia odeszła, żeby ukryć swój ból, a Serla zawezwano, Filina popatrzyła naprzód bardzo uważnie na drzwi, czy oboje naprawdę odeszli, potem jak szalona skakała po izbie, usiadła na ziemi i o mało nie udusiła się od chichotu i śmiechu. Potem podskoczyła, przemawiała do naszego przyjaciela i cieszyła się niezmiernie swoim roztroprnym postępowaniem, iż wyprzedziwszy Wilhelma, rozpoznała grunt i zagnieżdżyła się.

— Tu panuje rozmaitość — rzekła — tak właśnie, jak lubię. Aurelia miała nieszczęśliwy romans z pewnym szlachcicem, który musi być okazałym mężczyzną i którego sama chciałabym kiedyś zobaczyć. Pozostawił jej pamiętkę, albo się bardzo grubo myłę. Biega tu sobie chłopczyk, może trzyletni, piękny jak słońce; ojcaszek musi być wielce miły. Dzieci w ogóle nie lubię, ale ten bęben podoba mi się. Dobrze sobie policzyłam. Śmierć jej męża, nowa znajomość, wiek dziecka, wszystko zgadza się doskonale. Teraz przyjaciel poszedł swoją drogą; od roku już jej nie widział. Z tego powodu jest niepokieszona i ma złamane serce. Głupia! Brat ma wśród trupy tancerkę, z którą się pieści, aktoreczkę, z którą jest poufały, w mieście jeszcze kilka kobiet, którym nadskakuje, a ja także znajduję się na liście. Głupiec! O reszcie tłumu posłyszysz jutro. A teraz jeszcze słówko o Filinie, którą znasz; ta arcygłupia zakochana jest w tobie.

Przysięgała, że to prawda, i zaklinała się, że to czysty żart. Prosiła usilnie Wilhelma, żeby się zakochał w Aurelii; wtedy dopiero śliczna byłaby heca.

— Ona ściga swego niewiernego, ty za nią, ja za tobą, a brat za mną. Jeżeli to nie da zabawy na pół roku, to niech umrę w pierwszym epizodzie, jaki się przyłączy do tego czworako splątanego romansu.

Prosiła go, by jej nie psuł roboty i okazywał jej tyle szacunku, na ile zechce zasłużyć swym publicznym postępowaniem.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Nazajutrz z rana Wilhelm pomyślał o odwiedzeniu pani Melina; nie zastał jej w domu; zapytał o resztę członków wędrownego towarzystwa i dowiedział się, że Filina zaprosiła ich na śniadanie. Z ciekawości pośpieszył na miejsce zebrania i ujrzał ich wszystkich w stanie wielkiego rozradowania i wesołości. Roztropne stworzonko zgromadziło ich, ugościło czekoladą i dało im do zrozumienia, że jeszcze nie wszystkie widoki zamknięte, że swoim wpływem spodziewa się przekonać dyrektora, jak korzystną dla niego będzie rzeczą przyjąć do swego towarzystwa tak uzdolnionych ludzi. Przysłuchiwali się jej uważnie, łkali jedną filiżankę po drugiej, uważali dziewczynę za wcale niezłą i postanowili mówić o niej jak najlepiej.

— Czy naprawdę sądzisz pani — rzekł Wilhelm, pozostawszy sam na sam z Filiną — że Serlo zdecyduje się jeszcze zatrzymać naszych towarzyszy?

— Wcale nie — odparła Filina — i nic mi na tym zresztą nie zależy; przeciwnie, chciałabym, żeby sobie odjechali, im prędzej, tym lepiej! Tylko Laertesa pragnęłabym zatrzymać; reszty powoli jakoś się pozbędziemy.

Potem dała naszemu przyjacielowi do zrozumienia, że jest głęboko przekonana, iż nie będzie już dłużej zagrzebywać swego talentu, lecz wstąpi na deski pod kierunkiem takiego Serla. Nie mogła się dostatecznie nachwalić porządku, smaku, ducha, jaki tu panował; mówiła tak ujmująco do naszego przyjaciela, tak pochlebnie o jego talentach, że jego serce i wyobraźnia z równą siłą się przychyliły do tego projektu, jak rozsądek i rozum od niego się oddalały. Ukrywał swoją skłonność przed sobą i przed Filiną i spędził dzień niespokojnie, nie mogąc się zdecydować, by pójść do swego korespondenta handlowego i odebrać listy, jakie mogły się tam dla niego znajdować. Bo chociaż mógł sobie wyobrazić niepokój swojej rodziny przez cały ten czas, obawiał się jednak poznać szczegółowo ich troski i wyrzuty, a to tym bardziej, że tego wieczoru obiecywał sobie wielką i czystą rozkosz na przedstawieniu nowej sztuki.

Serlo wahał się dopuścić go na próbę.

— Musisz nas pan wprzód poznac z najlepszej strony — rzekł — zanim się zgodzimy, żebyś nam w karty zaglądał.

Z największym jednak zadowoleniem był też przyjaciel nasz potem wieczorem na przedstawieniu. Po raz pierwszy widział tak doskonały teatr. Przypisywano wszystkim aktorom wyborne uzdolnienia, szczęśliwe przymioty oraz wzniosłe i jasne pojęcie o swej sztuce, a jednak nie byli oni równi sobie, ale wspierali się wzajem po kolei, dodawali sobie zapachu, a w całej swojej grze byli bardzo ściśli i dokładni.

Można było od razu odczuć, że Serlo był duszą ogółu i wyróżniał się nader korzystnie. Pogodne usposobienie, umiarkowaną żywość, trafne poczucie przyzwoitości przy wielkim darze naśladowania trzeba było w nim podziwiać, kiedy wchodził na scenę, kiedy otworzył usta. Wewnętrzna pogoda jego istoty zdawała się rozlewać na wszystkich słuchaczy, a umiejętny sposób, w jaki swobodnie i lekko wyrażał najdelikatniejsze odcienie ról, wzbudzał tym większą radość, ile że umiał ukryć sztukę, którą wskutek ustawicznego ćwiczenia uczynił swoją własnością.

Jego siostra, Aurelia, nie pozostała w tyle i otrzymała jeszcze większe oklaski, wzruszając serca ludzi, których on umiał tak dobrze rozpogadzać i rozweselać.

Po kilku bardzo przyjemnie spędzonych dniach Aurelia zawiadzała naszego przyjaciela. Pośpieszył do niej i zastał ją leżącą na kanapie; widocznie cierpiała na ból głowy, a całe jej zachowanie nie mogło ukryć gorączkowego niepokoju. Jej oczy rozjaśniły się, gdy spojrzała na wchodzącego.

— Daruj pan — zawołała na przywitanie — zaufanie, jakie pan we mnie wzbudziłeś, uczyniło mnie słabą. Dotychczas mogłam się moimi bólami bawić w cichości, a nawet

dawały mi one siłę i pociechę; a teraz pan, nie wiem jakim sposobem, zerwał się więzy milczenia i mimo woli weźmiesz pan udział w walce, jaką ze samą sobą prowadzę.

Wilhelm odpowiedział jej przyjaźnie i zobowiązująco. Zapewnił, że jej obraz i jej cierpienia ciągle się unoszą przed jego duszą, że prosi ją o zaufanie, że ofiaruje się jej na przyjaciela.

Gdy to mówił, jego wzrok przyciągnął chłopiec, który siedział przed nią na ziemi i przerzucał różnorodne zabawki. Mógł on mieć, jak to już Filina powiedziała, około trzech lat i Wilhelm teraz dopiero zrozumiał, dlaczego płocha, w wyrażeniach swoich rzadko podniosła dziewczyna porównała chłopca do słońca. Bo wokół otwartych czarnych oczu i pełnej twarzyczki wiły się przepiękne złote kędziory; na osłepiająco białym czole ukazywały się delikatne, ciemne, lekko zgięte brwi, a na policzkach błyszczała żywa barwa zdrowia.

— Usiądź pan przy mnie — rzekła Aurelia. — Patrzysz pan na szczęśliwe dziecię ze zdziwieniem; doprawdy wzięłam je z radością na swe barki, troskliwie się nim opiekuję, ale też po nim właśnie mogę ocenić stopień moich cierpień, gdyż one rzadko pozwalają mi odczuć wartość takiego daru. Pozwól mi pan — mówiła dalej — żebym panu powiedziała o sobie i swoim losie, gdyż to dla mnie ważne, ażebyś mnie pan fałszywie nie oceniał. Myślałam, że mam kilka swobodnych chwil, dlatego pana zawezwałam; oto jesteś przy mnie i straciłam wątek. „Jeszcze jedno porzucone stworzenie na świecie!”, powiesz pan. Jesteś mężczyzną i myślisz sobie: „Jakże się ona miota wobec koniecznego zła, jakie pewniej od śmierci unosi się nad kobietą, wobec niewierności mężczyzny, głupia!..” O mój przyjacielu, gdyby los mój był pospolity, zniosłabym chętnie zło pospolite, ale on jest tak nadzwyczajny! Dlaczegoż nie mogę go panu pokazać w zwierciadle, dlaczego nie mogę nie poprosić kogoś, żeby panu o nim opowiedział! O, gdybym została uwiedziona, zaskoczona i potem opuszczona, to w rozpaczy byłaby jeszcze jakaś pociecha, ale jestem w położeniu daleko gorszym; zawiodłam sama siebie, sama siebie mimowiednie oszukałam i tego właśnie nigdy sobie nie mogę przebaczyć.

— Mając tak szlachetny sposób myślenia — odparł przyjaciel — nie możesz pani być całkiem nieszczęśliwa.

— A czy pan wiesz, komu zawdzięczam mój sposób myślenia? — zapytała Aurelia. — Najgorszemu wychowaniu, jakie kiedykolwiek mogło zepsuć dziewczynę, najgorszemu przykładowi, by uwieść zmysły i skłonności. Po przedwczesnej śmierci matki najpiękniejsze lata rozwoju spędziłam u ciotki, która gardziła prawami uczciwości. Ślepo się poddawała każdej skłonności, czy to panowała nad przedmiotem, czy też była jego niewolnicą, jeżeli tylko mogła o sobie zapomnieć, nurzając się w dzikiej rozpuszcie. A my, dzieci z czystym i jasnym wejrzeniem niewinności, jakież pojęcia musieliśmy wyrobić sobie o rodzie męskim? Jakże tępy, natarczywy, zuchwały, niezgrabny był każdy, którego ona ku sobie wabiła! Jakże natomiast syty, napuszony, pusty i niesmaczny, skoro tylko znalazł zadowolenie swoich pragnień! Tak całymi latami widziałam tę kobietę poniżoną pod rozkazami najgorszych ludzi; jakież to spotkania musiała znosić i z jakim czołem godzić się ze swym losem, ba, jakim sposobem znosić te haniebne więzy! Tak to poznałam waszą płęć, przyjacielu, a jakże namiętnie znienawidziłam ją, zauważywszy, jak mi się zdawało, że nawet znośni mężczyźni w stosunku do płci naszej jakby wyrzekali się wszelkich dobrych uczuć, do których natura mogła ich skądinąd uczynić zdolnymi. Niestety, w takich okolicznościach musiałam też doznać wielu smutnych doświadczeń i co do własnej płci swojej i doprawdy jako szesnastoletnia dziewczyna byłam rozsądniejsza, niż jestem teraz, teraz, kiedy sama siebie ledwie rozumiem. Dlaczego jesteśmy tak rozsądne, kiedyśmy młode, tak rozsądne, aby się stawać coraz głępszymi!

Chłopiec hałasował, Aurelia zniecierpliwiła się i zadzwoniła. Weszła staruszka, by go zabrać.

— Ciągłe cię jeszcze bolą zęby? — spytała Aurelia kobietę, mającą podwiązaną twarz.

— Prawie nie do zniesienia — odparła stara przytłumionym głosem.

Podniosła chłopca, który wydawał się zadowolony, że może z nią iść, i zabrała go.

Ledwie dziecko znikło, Aurelia zaczęła gorzko płakać.

— Umiem tylko narzekać i skarżyć się — zawołała — i wstyd mi leżeć tu przed panem jak jakiś robak. Przytomność mnie już odbiegła i nie mogę dalej opowiadać.

Mężczyzna, Kobieta, Zdrada

Kobieta, Młodość,  
Mądrość, Głupota

Choroba

Zatrzymała się i milczała. Jej przyjaciel, który nie chciał prawić zwykłych ogólników, a nie umiał powiedzieć nic konkretnego, uściśnął jej rękę i przez chwilę przyglądał się jej. W końcu, zakłopotany, podniósł książkę, którą znalazł leżącą przed sobą na stoliku; były to dzieła Szekspira, otwarte na *Hamlecie*.

Serlo, który właśnie wszedł do pokoju, zapytawszy siostrę o zdrowie, spojrzął na książkę, którą nasz przyjaciel trzymał w ręce, i zawołał:

— Znowu zastaję pana nad pańskim Hamletem? Doskonale! Naszły mnie właśnie pewne wątpliwości, które zdają się bardzo uszczuplać to kanoniczne poważanie, jakie wielce byś pan pragnął przyznać tej sztuce. Sami przecież Anglicy wyznali, że główny interes kończy się na trzecim akcie, że dwa ostatnie tylko z biedą łączą się z całością; i to prawda, że pod koniec sztuka ani idzie, ani pomyka.

— Bardzo możliwe — odparł Wilhelm — że niektórzy członkowie narodu, który może się wykazać tyloma arcydziełami, wskutek uprzedzeń i ograniczoności skłaniają się do fałszywych sądów, ale to nie powinno nam przeszkadzać patrzeć własnymi oczyma i być sprawiedliwymi. Daleki jestem od tego, żebym miał ganić plan tej sztuki; przeciwnie, sądzę, że większego jeszcze nie wymyślono, ba, nie jest on wymyślony, on stał się.

— Jak to pan zechcesz wytłumaczyć? — zapytał Serlo.

— Niczego nie chcę tłumaczyć — odparł Wilhelm — przedstawię tylko panu, jak to sobie wyobrażam.

Aurelia uniosła się na poduszce, oparła się na ręce i patrzyła na naszego przyjaciela, który z największą pewnością, iż ma rację, tak mówił dalej:

— Tak to się nam podoba, tak to wielce pochlebia, kiedy widzimy bohatera, który działa sam przez się, który kocha i nienawidzi stosownie do rozkazów swego serca, który coś przedsięwzię i wykonuje, usuwa wszystkie przeszkody i dochodzi do wielkiego celu. Historycy i poeci chcieliby w nas wmówić, że tak dumny los może przypaść człowiekowi. Tutaj dowiadujemy się czego innego; bohater nie ma żadnego planu, ale sztuka jest ułożona z planem. Tu zbrodniarza nie spotyka kara według idei o pomście przeprowadzonej oschle i uparcie, nie, tu się dokonuje czyn zbrodniczy, rozwija się w swych skutkach, porywa za sobą niewinnych; zbrodniarz zdaje się chcieć wymknąć z otchłani, która na niego czeka, i wpada w nią wtedy właśnie, gdy zamyślał szczęśliwie dokończyć swej drogi. Jest to bowiem właściwością strasznego czynu, że ściąga zło nawet na niewinnego, tak jak właściwością dobrej czynności jest, iż zapewnia korzyść nawet niezasłużonemu, chociaż sprawca pierwszego lub drugiej nie bywa ukarany ni nagrodzony. Tu, w naszej sztuce, jakże cudownie! Czyściec wysyła swego ducha i żąda pomsty, ale na próżno! Ani ziemnym, ani podziemnym żywiołom nie może się udać, co pozostawiono samemu losowi. Godzina sądu nadchodzi. Zło pada wraz z dobrem. Jedno pokolenie zostaje skoszone, a drugie kielkuje.

Po przerwie, podczas której patrzyli na siebie, Serlo zabrał głos:

— Nieszczęśliwie robisz pan komplement Opatrzności, wynosząc poetę; a potem wydaje mi się, że pan ku czci swego poety, jak inni ku czci Opatrzności, podsuwasz mu zamiary i plany, o których on ani myślał.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

— Pozwól mi pan — rzekła Aurelia — zadać sobie jedno pytanie. Przejrzałam na nowo rolę Ofelii, jestem z niej zadowolona i ufam, że pod pewnymi warunkami potrafię ją zagrać. Ale powiedz pan, czy poeta nie powinien był innych piosenek włożyć w usta swej obłąkanej? Czyż nie można było wybrać fragmentów z melancholijnych ballad? Co robią dwuznaczności i lubieżne głupstwa w ustach tej szlachetnej dziewczyny?

— Najdroższa przyjaciółko — odparł Wilhelm — i w tym nie mogę ustąpić ani na jotę. I w tych dziwactwach, i w tej pozornej nieprzyzwoitości mieści się głębokie znaczenie. Wiemy przecież zaraz na początku sztuki, czym zajęty jest umysł dobrego dziewczęcia. Żyła sobie spokojnie, ale ledwie ukrywała swoją tęsknotę, swoje pragnienia. Potajemnie w jej duszy dzwięczały tony lubieżności i ileż razy na podobieństwo nieostrożnej piastunki musiała próbować uspić swą zmysłowość piosenkami, które czyniły ją tylko czujniejszą. W końcu, gdy zostaje jej odebrana władza nad sobą samą, gdy jej serce jest na języku, język ten staje się jej zdrajcą i w niewinności obłąkania pieści się wobec króla i królo-

wej echem swych ulubionych płochych pieśni: o dziewczynie uwiedzionej, o dziewczynie skradającej się do chłopca i tak dalej.

Jeszcze nie powiedział wszystkiego, kiedy nagle przed jego oczyma pojawiła się dziewczyna, której żadnym sposobem nie umiał sobie wyjaśnić.

Serlo kilka razy wchodził do pokoju i znów wychodził, nie dając poznać, żeby czynił to z jakimś zamiarem. Naraz podszedł do toaletki Aurelii, pochwycił szybko coś, co na niej leżało, i z łupem pośpieszył do drzwi. Ledwie Aurelia spostrzegła jego postępek, poderwała się, zabiegła mu drogę, rzuciła się na niego z niesłychaną namiętnością i chwyciła za koniec zabranego przedmiotu. Mocowali się z sobą i szarpali nader uporczywie, zawzięcie okręcali się i owijali wokół siebie; on śmiał się, ona płonęła gniewem, a gdy Wilhelm nadbiegł, by ich rozdzielić i uspokoić, nagle ujrzał, że Aurelia odskakuje na bok z obnażonym sztyletem w dłoni, podczas gdy Serlo ze złością rzuca na ziemię pochwę, która została mu w rękę. Wilhelm cofnął się zdziwiony, a jego milczące zdumienie zdawało się pytać o powód, dla którego mogła między nimi powstać tak dziwna walka z okazji tak niespodziewanego sprzętu domowego.

— Niech pan zostanie naszym rozjemcą — powiedział Serlo. — Co jej po tej ostrej stali? Niech ją panu pokaże. Ten sztylet wcale nie przystoi aktorce; szpiczasty i ostry jak igła i nóż! Na co te żarty? Jak będzie tak gwałtowna, może sobie kiedyś przypadkiem zrobić krzywdę. Czuję serdeczną nienawiść do takich dziwactw: poważna myśl tego rodzaju jest szaleństwem, a tak niebezpieczne cacko jest wstrętne.

— Mam go znowu! — zawołała Aurelia, wznosząc do góry błyszczącą klingę. — Teraz lepiej ukryję swego wiernego przyjaciela. Przebac mi — krzyknęła, całując stal — że cię tak zaniedbałam.

Serlo, jak się zdawało, zaczął się gniewać na serio.

— Uważaj, jak sobie chcesz, bracie — mówiła dalej — a czy możesz wiedzieć, czy czasem nie dostał mi się pod tą postacią jakiś cenny talizman? Czy nie znajdę w nim pomocy i rady w najgorszym wypadku? Czy wszystko musi być szkodliwe, co wygląda niebezpiecznie?

— Takie gadanie, w którym nie ma sensu, może mnie o szaleństwo przyprawić — odrzekł Serlo i z tajonym gniewem opuścił pokój.

Aurelia włożyła starannie sztylet do pochwy i schowała go przy sobie.

— Wróćmy do rozmowy, którą przerwał nieszczęsny brat — rzekła, kiedy Wilhelm zadał kilka pytań z powodu dziwnego sporu.

— Muszę uznać pańską charakterystykę Ofelii — mówiła dalej — nie chcę lekceważyć zamiaru poety, ale mogę jej żałować raczej niż czuję. Pozwól mi pan jednak zrobić jedną uwagę, do której w tym krótkim czasie często dawałeś mi pan okazję. Z podziwem spostrzegam w panu głęboki i trafny pogląd, którym oceniasz poezję, a zwłaszcza poezję dramatyczną; najgłębsze otchłanie inwencji nie są przed panem ukryte, a najsubtelniejsze rysy wykonania nie uchodzą pańskiej uwagi. Chociaż nigdy nie widziałeś pewnych przedmiotów w naturze, poznajesz pan prawdę w obrazie; wydaje się, jakby w panu spoczywało przecucie całego świata, które swym harmonijnym dotknięciem poezja budzi w panu i rozwija. Bo doprawdy — ciągnęła dalej — z zewnątrz nic do pana nie wchodzi; trudno by mi było przytoczyć kogoś, kto by jak pan tak mało znał ludzi, z którymi żyje, kto by ich tak z gruntu opacznie rozumiał. Pozwól mi pan sobie powiedzieć: kiedy się słyszy pana objaśniającego swego Szekspira, to mniema się, że przybywasz pan właśnie z rady bogów, gdzie pan posłyszałeś, jak się tam umawiano, by tworzyć ludzi; a przeciwnie, kiedy pan przestajesz z ludźmi, widzę w panu jakby pierwsze, zrodzone jako dorosłe, dziecię stworzenia, które ze szczególnym podziwem i budującą dobroduszością przypatruje się lwom i małpom, owcom i słoniom i przemawia do nich w prostocie ducha jak do równych sobie, ponieważ i one tam istnieją, i one się poruszają.

— Pocucie mojej studenckiej istoty, droga przyjaciółko — odparł Wilhelm — jest mi nieraz uciążliwe i będę pani wdzięczny, jeśli zechcesz mi pomóc wyrobić sobie jaśniejsze wyobrażenia o świecie. Od młodości zwracałem oczy ducha bardziej do wewnątrz niż na zewnątrz i dlatego jest rzeczą bardzo naturalną, że przynajmniej do pewnego stopnia poznałem człowieka, chociaż ludzi bynajmniej nie rozumiem i nie pojmuję.

— Doprawdy — rzekła Aurelia — z początku podejrzewałam pana, że mówiąc tyle dobrego o ludziach, których przysłałeś memu bratu, chciałeś sobie z nas żarty stroić, kiedy zestawiłam pańskie listy z zaletami tych ludzi.

Spostrzeżenie Aurelii, jakkolwiek mogło być prawdziwe i jakkolwiek jej przyjaciel chętnie uznawał w sobie tę wadę, sprowadziło z sobą pewne przygnębienie, a nawet pewną obrazę, tak że Wilhelm zamilkł i skupił się w duchu, już to żeby nie dać poznać po sobie, iż został dotknięty, już to, żeby w swym sercu zbadać, na ile zarzut ten był prawdziwy.

— Nie powinieneś pan być przygnębiony z tego powodu — mówiła Aurelia dalej — do światła rozumu możemy dostać się zawsze, ale pełni serca nikt nam dać nie może. Jeśli jesteś pan powołany na artystę, to niech pan zachowa ten mrok i tę niewinność, jak można najdłużej; są one piękną osłonką nad młodym pączkiem; dosyć nieszczęścia, gdy się za wcześniej otworzymy. Z pewnością dobrze to jest, jeżeli nie zawsze znamy tych, dla których pracujemy. O, i ja byłam niegdyś w tym szczęśliwym stanie, kiedy wstępowałam na scenę z wysokim pojęciem o sobie i o swoim narodzie. Czymże nie byli Niemcy w mej wyobraźni, czym być nie mogli! Do tego narodu przemawiałam, ponad który wznosiło mnie małe rusztowanie, od którego oddzielał mnie szereg lamp, a ich blask i kopeć przeskadzały mi dobrze odróżniać przedmioty przede mną. Jakże miły był mi dźwięk oklasków, płynący ku mnie z tłumu; z jaką wdzięcznością przyjmowałam podarunek, który mi jednogłośnie przez tyle rąk był ofiarowany! Długo się tak kołysałam; jak ja działałam, tak tłum oddziaływał na mnie; byłam z moją publicznością w najlepszym porozumieniu; odczuwałam, jak mi się zdawało, doskonałą harmonię i za każdym razem widziałam przed sobą najszlachetniejszych i najlepszych z narodu. Na nieszczęście, nie sama tylko aktorka swoim temperamentem i sztuką przyciągała do siebie przyjaciół teatru; mieli oni także na widoku dziewczynę młodą, pełną życia. Dali mi niedwuznacznie do zrozumienia, że moim obowiązkiem było podzielać z nimi osobiście wzruszenia, jakie w nich obudziłam. Niestety, nie była to moja rzecz; pragnęłam wznosić ich umysły, ale do tego, co oni nazywali swoim sercem, nie rościłam najmniejszej pretensji; i oto wszystkie stany, wieki i charaktery jeden po drugim stały mi się uprzykrzone, a nic nie było dla mnie dotkliwsze niż to, że nie mogłam jak inna uczciwa dziewczyna zamknąć się w swoim pokoju i oszczędzić sobie niejednego kłopotu. Mężczyzn wyglądali dla mnie w większości tak, jak przywykłam ich widzieć u swej ciotki, a byłiby i tym razem znowu obudzili we mnie wstręt, gdyby mnie nie bawiły ich dziwactwa i niedorzeczności. Ponieważ nie mogłam uniknąć ich widoku, czy to w teatrze, czy w miejscach publicznych, czy w domu, postanowiłam spędzić ich wszystkich z czat, a mój brat dzielnie mi w tym dopomógł. I jeżeli pomyślisz pan sobie, że od ruchliwego subiekta<sup>94</sup> i zarozumiałego kupczyka aż do zręcznego rozważnego światowca, męznego żołnierza i rączego księcia, wszyscy powoli paradowali przede mną i każdy na swój sposób zamyślał zawiązać romans, to wybaczysz mi, że sobie wyobrażałam, iż dosyć dobrze zaznajomiłam się ze swym narodem. Fantastycznie wystrojonego studenta, skromnego i dumnie zakłopotanego uczonego, chwiejnego w nogach, zadowolonego z siebie kanonika, sztywnie ugrzecznionego przemysłowca, rubasznego barona wiejskiego, przyjacielskiego gładko-płaskiego dworaka, młodego księdza, który zbacza z drogi, poważnego, jak jak również chybkiego i dzielnie spekulującego kupca — wszystkich widziałam w ruchu, i na Boga, niewiele się wśród nich znalazło takich, którzy by zdołali wznieść we mnie choćby tylko pospolite zainteresowanie; przeciwnie, było to dla mnie rzeczą niezmiernie przykrą, że musiałam pojedynczo inkasować wraz z uprzykrzeniem i nudami poklask głupców, który w całości był mi tak miły, który w masie tak chętnie przyjmowałam. Kiedy oczekiwałam rozsądnego komplementu za moją grę, gdy się spodziewałam, że powinni pochwalić autora, którego ceniłam wysoko, robili spostrzeżenia jedne głębsze od drugich i wymieniali jakąś niesmaczną sztukę, w której chcieli mnie zobaczyć. Kiedy w towarzystwie nasłuchiwałam wkoło, czy jakiś szlachetny, pomysłowy, dowcipny rys nie obudzi oddźwięku i w stosownym wypadku znów nie wypłynie, rzadko mogłam ślad tego odnaleźć. Pomyłki wynikłe stąd, że aktor zaplątał się w mowie lub dał się słyszeć z jakimś prowincjonalizmem to były te ważne punkty, których się czepiali, których puścić się nie chcieli. Nie wiedziałam w końcu, dokąd się zwrócić; wyobrażali sobie, że są za mądrzy, żeby się dać bawić, i sądzili, że mnie cudownie bawią, uwijając

<sup>94</sup>subiekt (daw.) — sprzedawca w sklepie. [przypis edytorski]

się przy mnie. Zaczęłam gardzić nimi wszystkimi z całej duszy i doznałam takiego uczucia, jak gdyby cały naród zupełnie świadomie za pośrednictwem swoich posłów chciał się przy mnie prostytuować. Wydał mi się on w całości tak niezgrabny, tak źle wychowany, tak lichy wykształcony, tak pozbawiony zdolności podobania się, tak próżny smaku... Często wołałam: „Trzewika zapiąć na sprzączkę nie potrafi żaden Niemiec, który się tego nie nauczył od obcego narodu!” Widzisz pan, jak byłam zaślepiona, jak hipochondrycznie niesprawiedliwa! A im dłużej to trwało, tym choroba moja stawała się cięższa. Mogłam się pozbawić życia, ale wpadłam w inną ostateczność: wyszłam za mąż albo raczej dopuściłam, żeby mnie wydano. Brat mój, przejąwszy teatr na siebie, bardzo pragnął mieć pomocnika. Wybór jego padł na młodzieńca, który nie był mi wstrętny, któremu brakło wszystkiego, co mój brat posiadał: talentu, życia, ducha i szybkiego usposobienia, ale u którego znajdowało się to wszystko, na czym tamtemu zbywało: zamiłowanie do porządku, pilność, wyborczy dar gospodarowania i obchodzenia się z pieniędzmi. Został moim mężem, nie wiem zresztą jak; żyliśmy ze sobą, nie wiem dobrze dlaczego. Dość że sprawy nasze szły pomyślnie. Mieliśmy duże dochody, co było wynikiem działalności mego brata; szafowaliśmy nimi dobrze, a to było zasługą mego męża. Nie myślałam już o świecie i narodzie. Ze światem nie miałam nic wspólnego, a pojęcie narodu zatraciłam. Jeżeli występowałam, to czyniłam to w celu zapewnienia bytu; otwierałam usta dlatego tylko, że nie mogłam milczeć, że przecież wyszłam po to, ażeby mówić. Jednak nie myślę przedstawiać rzeczy zbyt czarno, właściwie oddałam się całkowicie zamiarom brata; on dbał o poklask i pieniądze, gdyż mówiąc między nami, lubi on być chwalony i potrzebuje dużo. Otóż nie grałam odtąd według własnego poczucia, według swego przekonania, lecz według jego wskazówek, a jeżeli tylko w grze mu dogodziłam, byłam zadowolona. On kierował się wszystkimi słabostkami publiczności; pieniądze napływały, mógł żyć wedle swej fantazji i nam dobrze z nim było. Popadłam tymczasem w rzemieślniczą rutynę. Dni spędzałam bez radości i zainteresowania; moje małżeństwo było bezdzietne i krótkotrwałe. Mąż zachorował, siły wyraźnie go opuszczały, troska o niego przerwała moją ogólną obojętność. W tych czasach zawarłam pewną znajomość, z którą zaczęło się dla mnie nowe życie, nowe i szybsze, gdyż niebawem dobiegnie końca.

Milczała czas jakiś, a potem ciągnęła dalej:

— Naraz zaczyna się moja zachcianka gadatliwości; nie ufam sobie, bym mogła dalej otwierać usta. Pozwól mi pan nieco wypocząć; nie możesz pan odejść, nie dowiedziawszy się obszernie o całym moim nieszczęściu. Zawołaj pan tymczasem Mignon i wysłuchaj, czego chce.

Podczas opowiadania Aurelii dziewczynka była kilka razy w pokoju. Ponieważ przy jej wejściu mówiono ciszej, wymykała się zaraz, siedziała w sali spokojnie i czekała. Kiedy kazano jej wejść, przyniosła ze sobą książkę, którą wkrótce po kształcie i oprawie poznano jako mały atlas geograficzny. U proboszcza z ogromnym zdziwieniem ujrzała mimochodem pierwsze mapy, dużo go o nie wypytywała i w miarę możliwości dowiadywała się sama. Zdawało się, że wskutek tych nowych wiadomości żądza nauki stawała się u niej o wiele jeszcze żywsza. Prosiła usilnie Wilhelma, by jej kupił tę książkę, mówiąc, że dała za nią w zastaw księgarzowi swoje wielkie srebrne sprzączki i chciałyby je jutro rano wykupić, gdyż dziś wieczór było już zbyt późno. Zezwolono jej na to, a ona zaczęła już to recytować, co wiedziała, już to zadawać swoim zwyczajem najdziwniejsze pytania. I tu znów można było zauważyć, że pomimo wielkiego wysiłku pojmowała z trudnością i mozolem. Tak też było z jej pisaniem, które ją kosztowało wiele wysiłku. Ciągle jeszcze mówiła bardzo łamaną niemieczyzną i tylko kiedy otwierała usta do śpiewu, kiedy dotknęła cytry, zdawała się posługiwać jedynym organem, za pomocą którego mogła odkryć i objawić głąb duszy.

A ponieważ mowa teraz o niej, musimy też nadmienić o zakłopotaniu, w jakie od pewnego czasu nieraz wprawiała naszego przyjaciela. Kiedy przychodziła lub odchodziła, kiedy mówiła dzień dobry lub dobranoc, tak mocno ujmowała go w ramiona i całowała go z takim żarem, że gwałtowność tej kielkującej często przejmowała go strachem i niepewnością. Drgająca żywość w jej postępowaniu zdawała się zwiększać z każdym dniem, a cała jej istota poruszała się w nieustannej skrytości. Nie mogła wytrwać, żeby kręcić w rękę nie jakiegoś sznurka, nie miąć sukna, nie żuć papieru lub drewna. Każda z jej zabaw służyła, jak się zdawało, tylko do wyładowania jakiegoś wewnętrznego gwałtownego



wstrząśnienia. Jedynie wówczas zdawała się cieszyć pewną wesołością, gdy była blisko małego Felisia, z którym bardzo zręcznie umiała sobie radzić.

Aurelia, która odpocząwszy, zamierzała rozmówić się ostatecznie ze swym przyjacielem o przedmiocie, który jej tak bardzo leżał na sercu, zniecierpliwiła się tym razem upartą obecnością dziewczynki i dała jej do zrozumienia, że powinna odejść, a ponieważ nic to nie pomagało, musiano ją wyprosić wyraźnie i wbrew jej woli.

— Muszę panu — rzekła Aurelia — resztę moich dziejów opowiedzieć teraz albo nigdy. Gdyby mój tkliwie kochany, niesprawiedliwy przyjaciel był stąd o kilka mil tylko, powiedziałabym: „Siadaj pan na koń, jakimkolwiek sposobem zawrzyj pan z nim znajomość, a kiedy powrócisz, z pewnością przebaczysz mi pan i pożałujesz mnie z serca”. Teraz mogę panu tylko słowami wyrazić, jak był godny kochania i jak mocno go kochałam. Poznałam go właśnie w tym krytycznym czasie, kiedy musiałam obawiać się o życie męża. Wrócił dopiero co z Ameryki, gdzie wspólnie z kilkoma Francuzami służył z wielkim wyróżnieniem pod sztandarem Stanów Zjednoczonych. Przywitał mnie z pewną siebie przyzwoitością, z otwartą serdecznością, mówił o mnie, o moim położeniu, o mojej grze jak stary znajomy, z takim zrozumieniem i tak dobitnie, że po raz pierwszy mogłam radować się, iż byt mój tak jasno rozpoznaję w innej istocie. Sądy jego były słuszne, choć nie potępiające, trafne, choć nie niemiłe. Nie okazywał wcale surowości, a jego beztroska była zarazem powabna. Wydawał się przyzwyczajony do szczęścia u kobiet, co przykuło moją uwagę; nie pochlebiał jednak ani nie nadszakał, co czyniło mnie nieostrożną. W mieście mało z kim przestawał, zazwyczaj jeździł konno, odwiedzał wielu znajomych w stolicy i zajmował się interesami swego domu. Kiedy wracał, zajeżdżał do mnie, obchodził się z moim coraz to słabszym mężem z gorącą troskliwością, za pośrednictwem zdolnego lekarza sprowadzał ulgę cierpiącemu, a jak interesował się wszystkim, co mnie dotyczyło, tak też i mnie zainteresował swoimi losami. Opowiedział mi dzieje swojej kampanii, swojej niezwalzonej skłonności do stanu żołnierskiego, swoje stosunki rodzinne; wtajemniczył mnie w swoje obecne zajęcia. Dość że nie miał nic tajnego przede mną; odkrył mi głębi duszy, pozwolił zajrzeć w najskrytsze jej kąci; poznałam jego zdolności, jego namiętności. Po raz pierwszy w życiu zaznałam serdecznego, umysłowego pożycia. Pociągnął mnie, porwał ku sobie, zanim mogłam się nad sobą zastanowić... Tymczasem utraciłam męża niemal tak, jak go przyjął. Ciężar spraw teatralnych spadł teraz całkowicie na mnie. Brat mój, nieposzlakowany w teatrze, był zawsze do niczego w gospodarstwie; ja myślałam o wszystkim i uczyłam się przy tym swoich ról pilniej niż kiedykolwiek. Grałam znowu jak dawniej, a nawet ze wzmożoną siłą i nowym życiem, wprawdzie przez niego i dla niego, ale nie zawsze mi to wychodziło dobrze, kiedy wiedziałam, że mój szlachetny przyjaciel jest na przedstawieniu; kilka razy jednak słyszał mnie ukryty, a możesz pan sobie wyobrazić, jak przyjemnie zaskoczyły mnie jego o nieoczekiwane oklaski... Niewątpliwie jestem dziwnym stworzeniem. W każdej roli, jaką grałam, miałam właściwie zawsze taki nastrój, jak gdybym go chwaliła i mówiła ku jego czci, bo to było usposobieniem mego serca, jakiegokolwiek zresztą wygłaszałam słowa. Jeżeli wiedziałam, że jest wśród słuchaczy, nie pozwalałam sobie mówić z całą namiętnością, jak gdybym nie chciała mu wprost przed nim samym narzucać swojej miłości, swojej pochwały, ale gdy był nieobecny, popuszczałam sobie cugli, grałam jak mogłam najlepiej, z pewnym spokojem, z nieopisanym zadowoleniem. Poklask znowu mnie radował, a kiedy sprawiałam przyjemność publiczności, pragnęłam zawsze móc zawołać: „To jemu to zawdzięczacie!...”. Tak jest, stosunek do publiczności, do całego narodu zmienił się u mnie jakby cudem. Naród ukazał mi się znowu w najkorzystniejszym świetle i bardzo się dziwiłam swemu dotychczasowemu zaślepieniu. „Jakże to nierozsądną było rzeczą — mówiłam często sama do siebie — kiedy dawniej wymyślałaś na naród, dlatego właśnie, że jest narodem. Czyż pojedynczy ludzie mogą, czyż powinni być tak interesujący? Bynajmniej! Zachodzi pytanie, czy wśród wielkiego tłumu rozdzielone jest mnóstwo przymiotów, sił i uzdolnień, które mogą zostać rozwinięte wskutek szczęśliwych okoliczności, które mogą być przez znakomitych mężów skierowane do jednego wspólnego celu”. Cieszyłam się tedy, że wśród współziomków znajdowałam tak mało wybitnej oryginalności; cieszyłam się, że nie gardzili przyjęciem wskazówek z zewnątrz; cieszyłam się, że znalazłam kierownika. Lothar — pozwól mi pan nazywać mego przyjaciela jego ukochanym imieniem — przedstawiał mi zawsze Niemców od strony dzielności i wykazał mi, że nie ma w świecie

mężniejszego narodu, jeżeli tylko dobrze jest prowadzony, a ja wstydziałam się, że nigdy nie pomyślałam o pierwszym przymocie ludu. Znał on dzieje i zostawał w stosunkach z większością zasłużonych mężów swego wieku. Chociaż był młody, pilnie przyglądał się dorastającej, pełnej nadziei młodzieży swej ojczyzny, cichym pracom skrzętnych i czynnych mężów w tylu różnorodnych zawodach. Kazał mi się rozejrzeć po Niemczech, czym są i czym być by mogły; wstyd mi było, że osądziłam naród według skłębionego tłumu, który się wciska do garderoby teatralnej. Wskazał mi obowiązek, żebym i w swoim zawodzie była także prawdziwa, pomysłowa i ożywcza. Teraz, ilekroć wchodziłam na scenę, wydawałam się sobie natchniona. Mierne ustępy w moich ustach stawały się złotem, a gdyby mi wówczas jakiś poeta dopomógł stosownym utworem, wywołałabym najcudowniejsze skutki... Tak żyłam jako młoda wdowa całe miesiące. On nie mógł się beze mnie obejść, a ja byłam nad wyraz nieszczęśliwa, kiedy nie przybywał. Pokazywał mi listy swoich krewnych, swojej precudnej siostry. Interesował się najdrobniejszymi okolicznościami moich stosunków; niepodobna pomyśleć serdeczniejszej, doskonalszej jedności. Imię miłości nie zostało wymówione. Odjeżdżał i wracał, wracał i odjeżdżał — a oto, mój przyjacielu, wielka już pora, żebyś i ty się oddalił...

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Wilhelm nie mógł już dłużej odkładać odwiedzin u swych przyjaciół handlowych. Poszedł tam nie bez zakłopotania; wiedział bowiem, że zastanie u nich listy od rodziny. Bał się wyrzutów, jakie musiały zawierać; prawdopodobnie zawiadomiono także dom handlowy o niepewności, w jakiej się znajdowano z jego powodu. Po tylu rycerskich przygodach wzdrygał się na myśl ukazania się w szkolnej postawie i postanowił działać bardzo hardo, aby tym sposobem pokryć swe zakłopotanie.

Jednak ku jego wielkiemu zdziwieniu i zadowoleniu wszystko poszło bardzo dobrze i pomyślnie. W wielkim, ożywionym i zajęтым kantorze miano zaledwie czas odszukać jego listy; o jego przedłużającej się nieobecności pomyślano tylko przelotnie.

A kiedy otworzył listy ojca i swego przyjaciela Wernera, uznał je za całkiem znośne. Starzec, mając nadzieję na obszerny dziennik, którego prowadzenie zalecił gorliwie synowi przy rozstaniu i do którego wręczał mu tabelaryczny schemat, wydawał się dość spokojny co do milczenia w pierwszych chwilach i uskarżał się tylko na zagadkowość pierwszego i jedynego listu, wysłanego jeszcze z zamku hrabiiego. Werner żartował tylko, we właściwy sobie sposób, opowiadał wesołe plotki miejskie i prosił o wiadomości o przyjaciółach i znajomych, których Wilhelm niezawodnie w obfitości pozna, bawiąc w dużym mieście handlowym.

Nasz przyjaciel, rad niezmiernie, że się tylko na tym skończyło, odpowiedział natychmiast w kilku swobodnie pisanych listach i obiecał ojcu obszerny dziennik podróży ze wszystkimi żądanymi uwagami z zakresu geografii, statystyki i handlu. W podróży wiele widział i żywił nadzieję, że będzie mógł ułożyć z tego niezły zeszyt. Nie spostrzegł, że znajdował się niemal w takim samym położeniu, jak wówczas kiedy zapalał świece i zwoływał widzów na przedstawienie sztuki, która nie była ani napisana, ani tym bardziej wyuczona na pamięć. Więc też kiedy naprawdę chciał się zabrać do tej roboty, zauważył niestety, że mógłby wprawdzie mówić i opowiadać o uczuciach i myślach, o pewnych doświadczeniach serca i umysłu, ale nie o przedmiotach zewnętrznych, na które, jak teraz dostrzegł, nie zwracał najmniejszej uwagi.

W tym kłopotcie wybornie przydały mu się wiadomości jego przyjaciela Laertes. Przyzwyczajenie związało ze sobą tych dwu młodzieńców, chociaż tak byli do siebie niepodobni, a Laertes, pomimo wszystkich swoich wad wskutek dziwactw był naprawdę zajmującym człowiekiem. Obdarzony pogodnym, szczęśliwym usposobieniem, mógłby się zestarzeć, nie rozmyślając zgoła nad swoim stanem. Tymczasem wszakże nieszczęście i choroba pozbawiły go niezmarzonego uczucia młodości, a otworzyły mu wzrok na marność, na fragmentaryczność naszego istnienia. Stąd wziął się kapryśny, rapsodyczny sposób myślenia o przedmiotach, a raczej wyrażania bezpośrednich wrażeń przez nie wywoływanych. Niechętnie przebywał w samotności, wałęsał się po wszystkich kawiarniach, po wszystkich gospodach, a jeśli pozostawał w domu, to opisy podróży były dla niego najmiłą, bo jedyną lekturą. Znalazszy wielką wypożyczalnię książek, mógł do woli za-

spokając to upodobanie, tak że niebawem połowa świata tłukła się w jego doskonałej pamięci.

Jakżeż więc łatwo mógł dodać otuchy swojemu przyjacielowi, kiedy ten przyznał mu się do zupełnego braku zapasów do wykonania sprawozdania, które tak uroczyście przyrzekł.

— No, to zrobimy sztuczkę — rzekł — która nie będzie miała równej sobie. A czyż to Niemcy nie są z jednego końca w drugi przejeżdżone, przemierzone, przekroczone, przepelnione i przefrunięte? I czyż każdy podróżnik niemiecki nie ma tej świetnej wyгоды, iż każe publiczności zwracać sobie swoje wielkie czy małe wydatki? Podaj mi tylko swoją marszrutę podróży, zanim się do nas dostałeś; resztę wiem. Wyszukam źródła i książki pomocnicze do twego dzieła; co do mil kwadratowych, które nie zostały wymierzone, i co do liczby ludności, której nie rachowano, nie pozwolimy, żeby ich w nim brakowało. Dochody państw weźmy z kalendarzyków i tabel, które, jak wiadomo, są najpewniejszymi dokumentami. Na nich oprzemy nasze wywody polityczne; nie zabraknie nam też spostrzeżeń co do rządów. Paru panujących opiszemy jako prawdziwych ojców ojczyzny, ażeby nam tym łatwiej uwierzono, kiedy kilku innym przypniemy łatki; a jeżeli nie będziemy przejeżdżali właśnie przez miejsce zamieszkania jakich znakomitych mężów, to spotkamy się z nimi w gospodzie i każemy im mówić sobie w zaufaniu najniedorzeczniejsze androny. Przede wszystkim zaś nie zaniedbamy wpleść jak najpowabniej romansu z jakąś naiwną dziewczyną, a zrobi się dzieło, które nie tylko ojca i matkę napełni zachwytem, ale za które ci zapłaci z ochotą każdy księgarz.

Wzięli się do roboty i obaj przyjaciele mieli dużo przyjemności przy pracy, równocześnie zaś Wilhelm wieczorem na przedstawieniu i w towarzystwie Serla i Aurelii znajdował największe zadowolenie, a myśli jego, które aż nazbyt długo kręciły się w ciasnym obrębie, z każdym dniem rozszerzały się coraz bardziej.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Z niezmiernym zainteresowaniem dowiadywał się po kawałku o biegu życia Serla; nie było bowiem zwyczajem tego dziwnego człowieka zwierzać się poufnie i mówić o czymkolwiek bez przerw i przeszkód. Był on, można powiedzieć, zrodzony i wykarmiony w teatrze. Gdy jeszcze był niemowlęciem, umiał samą swoją obecnością wzruszać widzów, gdyż i wówczas już autorzy znali te naturalne i niewinne środki pomocnicze, a jego pierwsze wyrazy: „ojciec” i „matka” przynosiły mu w ulubionych sztukach największe uznanie, zanim wiedział, co znaczyło klaskanie. Niejednokrotnie jako Amor<sup>95</sup> zlatywał na ziemię, drząc w podtrzymującym go przyrządzie; jako Arlekin<sup>96</sup> wyklął się z jajka, a jako mały psotnik wcześniej już płatał najpociesniejsze figle.

Niestety, oklaski otrzymywane w ciągu świetnych wieczorów musiał bardzo drogo opłacać w przerwach między nimi. Ojciec jego, przeświadczony, że uwagę dzieci można wzbudzić i utrzymać jedynie biciem, ćwiczył go w pewnych odmierzonych odstępach czasu przy uczeniu się każdej roli, nie dlatego, iżby dziecko było niezręczne, ale żeby z tym większą pewnością i stałością mogło się okazywać zręczne. Tak niegdyś przy ustawianiu kamieni granicznych wymierzano stojącym wokół dzieciom potężne policzki, a najstarsi ludzie przypominają sobie jeszcze dokładnie to miejsce. Wzrastał i okazywał nadzwyczajne zdolności umysłu i wielką sprawność ciała, a przy tym niepospolitą giętkość zarówno w dziedzinie wyobrażeń, jak w działaniu i gestach. Jego dar naśladowniczy przewyższał wszelkie przypuszczenia. Już jako chłopiec naśladował ludzi tak dobrze, iż można było uwierzyć, że się je widzi, chociaż nie były do niego wcale podobne kształtem, wiekiem i charakterem, a pomiędzy sobą różniły się znacznie. Prócz tego nie zbywało mu na darze przystosowania się do świata, a gdy tylko uświadomił sobie trochę swoje siły, uznał za rzecz najnaturalniejszą umknąć od ojca, który chociaż rozum chłopca wzrastał, a jego zręczność się zwiększała, uważał jeszcze za konieczne dopomagać im surowym traktowaniem.

Jakże szczęśliwy czuł się tedy wyzwolony chłopak w swobodnym świecie, gdy jego sawizdrzalskie sztuki zyskiwały mu dobre przyjęcie! Jego dobra gwiazda zaprowadziła go

<sup>95</sup>Amor (mit. rzym.) — bóg miłości, syn Wenus i Marsa, przedstawiony jako skrzydlaty chłopczyk z łukiem. [przypis edytorski]

<sup>96</sup>Arlekin — postać błazna we włoskiej *commedia dell'arte*, występująca w czarnej masce i kostiumie zszytym z kolorowych trójkątów albo rombów. [przypis edytorski]

Dziecko, Przemoc, Ojciec,  
Obyczaje

najpierw w zapusty do klasztoru, gdzie z powodu śmierci jednego z ojców, który miał się zająć procesjami i za pomocą maskarad duchownych rozweselać wspólnotę chrześcijańską, zjawił się jako anioł stróż śpieszący z pomocą. Wziął też zaraz na siebie rolę Gabriela w Zwiastowaniu i nie sprawił niemiłego wrażenia na ładnej dziewczynie, która jako Maryja z zewnętrzną pokorą, a wewnętrzną dumą bardzo wdzięcznie przyjęła jego eleganckie pozdrowienie. Grał z powodzeniem najważniejsze role w misteriach i nie za byle co się poczytywał, gdy w końcu nawet jako Zbawiciel świata został wyśmiany, obity i rozpięty na krzyżu.

Kilku żołdaków zbyt naturalnie zapewne grało przy tej sposobności swe role; ażeby tedy zemścić się na nich jak najprzyzwoiciej, ubrał ich z okazji Sądu Ostatecznego w najwspanialsze szaty cesarzów i królów, a gdy ci, wielce zadowoleni ze swoich ról, pośpieszyli naprzód, by móc w niebie paradować przed innymi, on w tej właśnie chwili najniespodziewaniej wyruszył naprzeciw nim w postaci diabła i ku najserdeczniejszemu zbudowaniu wszystkich widzów i żebraków, tego wymłócił ich pogrzebaczem i bez litości powpychał ich znowu do jamy, gdzie ich wielce dotkliwie przyjął nagle wybuchający ogień.

Był dość roztropny, by przewidzieć, że koronowane głowy nie zapomną jego swawoli i nie będą miały szacunku nawet wobec jego uprzywilejowanego urzędu oskarżyciela i oprawcy; zanim tedy jeszcze nastąpiło Królestwo Boże, umknął stamtąd po cichu i w sąsiednim mieście przyjęty został z otwartymi ramionami przez towarzystwo, które nazywano wtedy „Dziećmi wesołości” (*Kinder der Freude*). Byli to rozumni, dowcipni, ruchliwi ludzie, którzy dobrze rozumieli, iż suma naszego istnienia podzielona przez rozum nigdy nie daje całości, lecz zawsze pozostaje dziwny ułamek. W pewnych określonych chwilach starali się umyślnie pozbyć tego niedogodnego, a kiedy wmiesza się do całej masy, niebezpiecznego ułamka. Przez jeden dzień w tygodniu byli całkowitymi błaznami i wtedy karcili wzajemnie za pomocą przedstawień alegorycznych to, co podczas reszty dni zauważyli błazeńskiego w sobie lub w innych. Chociaż środek ten był niewątpliwie prymitywniejszy niż wynik wykształcenia, wskutek którego człowiek moralny przywyka codziennie do spostrzeżeń nad sobą, do wymówek i kar, był on jednak weselszy i pewniejszy, bo nie zapierając się pewnego ukochanego w sobie błazna, uważano go przecież za to tylko, czym był istotnie, gdy przeciwnie, na innej drodze, przy pomocy ludzenia samego siebie, częstokroć zdobywa on sobie panowanie w domu i wtrąca w tajemną niewolę rozum, który sobie wyobraża, że tego błazna już dawno wypędził.

Maska błazeńska obchodziła po kolei całe towarzystwo i każdemu wolno było w dniu na niego przypadającym przyozdabiać ją charakterystycznie własnymi lub cudzymi właściwościami. W czasie karnawału pozwalano sobie na największą swobodę i współzawodniczono z usiłowaniami duchowieństwa w zabawieniu i przyciągnięciu ludu do siebie. Uroczyste alegoryczne występy cnót i grzechów, sztuk i umiejętności, części świata i pór roku uzmysłowiały ludowi mnóstwo pojęć i dawały mu wyobrażenie na odległe tematy, toteż żarty te nie były bezużyteczne, gdy z drugiej strony maskarady duchowne utwierdzały tylko we wstrętnych zabobonach.

Tutaj także młody Serlo był w swoim żywiole; nie miał faktycznie talentu wynalazczego, natomiast z największą zręcznością potrafił to, co już wynaleziono, zużytkować, postawić na nogi i nadać mu dobry pozór. Jego pomysły, dar naśladowczy, a nawet żrący dowcip, który mógł co najmniej raz w tygodniu ostrzyć się zupełnie swobodnie, nawet o swoich dobroczyńców, uczyniły go całemu towarzystwu potrzebnym, ba, niezbędnym.

Ale jego niespokojny duch wygnał go wkrótce z tego korzystnego położenia w inne strony ojczyzny, gdzie musiał przejść przez nową szkołę. Przybył do wykształconej, ale pozbawionej wyobraźni części Niemiec, gdzie ku czci dobra i piękna nie zbywa bynajmniej na prawdzie, ale za to zbywa często na dowcipie; swoimi maskami niczego tu nie mógł uzyskać; musiał się starać działać na serce i uczucie. Czas tylko krótki bawił tu w małych i dużych towarzystwach i przy tej okazji podpatrzył właściwości wszystkich sztuk i aktorów. Szybko pojął monotonię, panującą wtedy w teatrze niemieckim, niedorzeczny spadek i dźwięk aleksandrynow<sup>97</sup>, napuszony, płaski dialog, suchość i pospolitość

<sup>97</sup>aleksandrym (lit.) — forma wierszowa, w której szósta sylaba wersu i szósta sylaba po średniówce stanowią ostatnie sylaby akcentowane półwersów; aleksandrynem pisze się utwory o charakterze heroicznym, np. tragedie czy epeje. [przypis edytorski]

bezpośrednich kaznodziejów moralności, a zarazem spostrzegł, co wzruszało i podobało się. Nie jakaś jedna rola w sztukach mających powodzenie, ale całe utwory z łatwością zapadały mu w pamięci, a równocześnie i ten szczególny ton aktora, który je wypowiadał, wywołując oklaski!

Otóż przypadkiem wśród tych wycieczek, kiedy mu zupełnie brakło pieniędzy, wpadł na myśl przedstawiania samemu całych sztuk, zwłaszcza w dworach szlacheckich i po wsiach, i tym sposobem zapewnienia sobie wszędzie i utrzymania, i noclegu. W każdej karczmie, w każdym pokoju i ogrodzie mógł zaraz roztoczyć swój teatr; z chytrą powagą i pozornym zapałem umiał sobie pozyskać wyobraźnię widzów, otumanić ich zmysły i we własnych ich oczach przemienić starą szafę w zamek, a wachlarz w sztylet. Ciepło młodzieńcze zastępowało mu brak głębokiego uczucia, jego gwałtowność wydawała się potęgą, a przypochlebianie się czułością. Tym, którzy znali już teatr, przypominał on wszystko, co niegdyś widzieli i słyszeli, a w innych budził poczucie czegoś cudownego oraz życzenie dokładniejszego się z tym zapoznania. Co w jednym miejscu wywarło wrażenie, nie zaniedbywał powtórzyć tego w innym, a jego w sercu zapanowywała psotna radość, jeśli wszystkich ludzi w jednakowy sposób mógł na poczekaniu wystrychnąć na dudków.

Ze swoim żywym, swobodnym i niczym nieskrępowanym duchem doskonalił się bardzo szybko, często powtarzając role i całe sztuki. Niebawem deklamował i grał stosownie do sensu niż te wzory, które z początku tylko naśladował. Tą drogą doszedł powoli do grania w sposób naturalny, a jednak zawsze maskujący jego własną osobę. Wydawał się zachwycony i czatował na efekt, a jego największą dumą było wzruszać ludzi stopniowo. Nawet to szalone rzemiosło, jakie uprawiał, zmusiło go niebawem do postępowania z pewnym umiarkowaniem, i tak, częścią z musu, częścią z instynktu, nauczył się tego, o czym tak niewielu aktorów wydaje się mieć jakiegokolwiek pojęcie: żeby organów i gestów używać ekonomicznie.

Tym sposobem umiał poskromić i zainteresować sobą nawet szorstkich i nieprzychylnych ludzi. Ponieważ wszędzie zadowolony był z pożywienia i przytułku, każdy podarunek, jaki mu wręczano, przyjmował z wdzięcznością, co więcej, odrzucał niekiedy pieniądze, jeśli ich miał swoim zdaniem pod dostatkiem; odsyłał go sobie tedy z listami polecającymi, i tak wędrował przez czas długi z jednego dworu do drugiego, wzniciając niejedną rozrywkę, niejednej sam używając, nie bez wielce miłych i zręcznych awanturek.

Z przyczyny wewnętrzznego chłodu duszy nie kochał właściwie nikogo; z przyczyny przenikliwości swego wzroku, nie mógł nikogo poważać; widział bowiem zawsze tylko zewnętrzne właściwości ludzi i znosił je do swego zbioru mimicznego. Przy tym jednak jego indywidualność czuła się nadzwyczaj obrażona, jeśli się nie każdemu podobał i jeśli nie wszędzie wywoływał oklaski. Zwracał baczną uwagę, jak je osiągnąć, i powoli tak wyćwiczył swój zmysł, że nie tylko w przedstawieniach, ale nawet w życiu potocznym nie występował inaczej, jak przypochlebiając się. Tak to jego usposobienie, talent i sposób życia wzajemnie na siebie oddziaływały, iż niepostrzeżenie wyrobił się na doskonałego aktora. Ba, wskutek dziwnego na pozór, ale bardzo naturalnego w gruncie działania i oddziaływania, wskutek rozmyślu i wprawy, jego recytacja, deklamacja i gra mimiczna wzniosły się na bardzo wysoki stopień prawdy, swobody i szczerości, gdy tymczasem on sam w życiu i w towarzystwie stawał się, jak się zdawało, coraz bardziej skryty, sztuczny, nawet obłudny i nieufny.

O jego losach i przygodach opowiemy może w innym miejscu, a tu zauważymy tylko tyle, że w dobie późniejszej, kiedy już był człowiekiem dojrzałym, mającym wyrobione imię i bardzo dobre, choć nie bardzo pewne stanowisko, przywykł w rozmowie w sposób subtelny, częścią ironiczny, częścią szydlerczy, grać rolę sofistę<sup>98</sup> i przez to rozbijać prawie każde poważne porozumienie się.

Używał mianowicie tej maniery względem Wilhelma, skoro ten, jak to mu się często zdarzało, miał ochotę zawiązać ogólną teoretyczną rozmowę. Mimo to chętnie ze sobą przestawali, a ich rozmowa wskutek obustronnego nastroju stawała się ożywiona. Wilhelm pragnął wszystko rozwijać z pojęć, jakie sobie wyrobił, i chciał obrabiać rzecz

<sup>98</sup>*sofista* — tu: człowiek rozmyślnie używający nieuczciwej argumentacji w celu udowodnienia fałszywej tezy. [przypis edytorski]

o sztuce w pewnym ścisłym związku. Chciał ustalić wyraźne prawidła, określić, co jest słuszne, piękne i dobre, i co zasługuje na uznanie; słowem, traktował wszystko jak najpoważniej. Serlo, przeciwnie, brał rzeczy bardzo lekko i nie odpowiadając nigdy wprost na pytanie, umiał za pośrednictwem jakiejś anegdoty lub żartu przytoczyć wielce zręczne i wielce zajmujące wyjaśnienie i pouczyć towarzystwo, rozweselając je.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Kiedy oto Wilhelm w ten sposób nader mile spędzał czas, Melina i inni w tym kłopotliwym znajdowali się położeniu. Zjawiali się niekiedy przed naszym przyjacielem jak złe duchy i nie tylko swoją obecnością, ale także częstokroć ponurymi twarzami i gorzkimi słowami zatrawali niejedną chwilę. Serlo nie dopuścił ich nawet do występów gościnnych, nie mówiąc już o tym, że nie robił im nadziei zaangażowania, a mimo to powoli poznał wszystkie ich uzdolnienia. Ile razy aktorzy zgromadzili się u niego w celu zabawy towarzyskiej, miał zwyczaj dawać coś do czytania, a nieraz i sam się do tego przykładał. Wybierał sztuki, które miały być jeszcze wystawiane, których od dawna nie grano, i to w większości urywkami tylko. Po pierwszym przedstawieniu kazał też te powtarzać miejsca, w których miał coś do nadmienienia, zwiększał przez to zastanowienie artystów i wzmacniał ich ufność, iż trafiają we właściwy punkt. A jak nie wielki, ale trafny rozsądek więcej może dokonać dla zadowolenia innych niż zmacony i niewyklarowany geniusz, tak i on za pośrednictwem jasnej rozważki, jaką niepostrzeżenie rozbudzał, podnosił średnie talenty do uzdolnienia budzącego podziw. Niemało się przyczyniało do tego i to, że kazał czytać także wiersze i budził w nich poczucie powabu, jaki wzniesia w duszy dobrze odany rytm: gdy w innych towarzystwach dramatycznych zaczynało już wygłaszać tylko taką prozę, jaka mogła być osądzona byle czym nosem.

Przy takich okazjach poznał także wszystkich przybyłych aktorów, osądził, czym byli i czym stać się mogli, i po cichu postanowił natychmiast skorzystać z ich talentów, jak tylko dokona się grożąca jego towarzystwu rewolucja. Przez pewien czas zostawił sprawę naturalnemu biegowi, wszystkie wstawiennictwa Wilhelma za aktorami zbywał wzruszeniem ramion, aż ujrzał stosowną porę i niespodzianie złożył propozycję swemu młodemu przyjacielowi, żeby on sam wstąpił do jego teatru i że pod tym warunkiem zaangażuje i innych.

— Więc ci ludzie nie muszą być tak do niczego, jak mi ich pan dotychczas przedstawiał — odpowiedział mu Wilhelm — jeżeli teraz mogą być przyjęci wszyscy razem, a zdawałoby mi się, że ich talenty powinny i bez mnie pozostać takie same.

Serlo objaśnił mu następnie pod pieczęcią milczenia swoje położenie: jego pierwszy kochanek robi minę, by go przy odnowieniu umowy drożej opłacić, on natomiast wcale nie ma ochoty mu ustępować, zwłaszcza iż upodobanie w nim publiczności już nie jest tak wielkie. Jeżeli go puści, to za nim pójdzie cała świta, przez co towarzystwo straci wprawdzie kilku dobrych, ale też i kilku miernych członków. Potem wskazał Wilhelmowi, czego spodziewa się zyskać w nim, w Laertesie, w starym gderze, a nawet w pani Melina. Ba, obiecał zjednać stanowcze powodzenie staremu pedantowi jako Żydowi, ministrowi i w ogóle jako łotrowi.

Wilhelm zdumiał się i przysłuchiwał się wykładowi nie bez niepokoju, i tylko aby coś powiedzieć, odrzekł, głęboko odetchnąwszy:

— Mówisz pan bardzo przychylnie o dobrych tylko stronach, jakie w nas znajdujesz i jakich się po nas spodziewasz; ale jakże się rzecz ma ze słabą stroną, która z pewnością nie uszła pańskiej bystrości?

— Tę zmienimy wkrótce pracą, ćwiczeniem i rozmyślaniami na mocną — odparł Serlo. — Pomiędzy wami wszystkimi, którzy przecie jesteście tylko naturalistami i partaczami, nie ma ani jednego, kto nie dawałby co do siebie mniejszej lub większej nadziei; gdyż o ile mogę osądzić wszystkich, nie ma tam ani jednej pałki, a tylko pałki są niepoprawne, czy są niepodatne i niegiętki z zarozumiałości, czy z głupoty lub hipochondrii.

Serlo podał następnie w kilku słowach warunki, jakie mógł i chciał nałożyć, prosił Wilhelma o rychłą decyzję i pozostawił go w niemałym niepokoju.

Przy dziwacznej i jakby tylko dla żartu podjętej pracy nad owym zmyślonym opisem podróży, który układał z Laertesem, stał się baczniejszy niż kiedykolwiek na stosunki

i życie powszednie świata rzeczywistego. Teraz dopiero sam zrozumiał zamiar ojca, gdy tak żywo zalecał mu prowadzenie dziennika. Po raz pierwszy uczuł, jak przyjemną i pożyteczną rzeczą może być stać się pośrednikiem tyłu zawodów i potrzeb i pomagać w rozprzestrzenianiu życia i działalności w najdalszych górach i lasach łądu stałego. Ożywione miasto handlowe, w którym się znajdował, przy ruchliwości Laertesa, który wszędzie go za sobą ciągnął, dało mu najwyrazistsze pojęcie wielkiego centrum, skąd wszystko wypływa i dokąd wszystko wraca; i po raz pierwszy jego duch, przypatrując się temu rodzajowi działalności, naprawdę doznawał rozkoszy.

Kiedy znajdował się w takim właśnie stanie duszy, Serlo uczynił mu propozycję i na nowo w nim ożywił pragnienia, skłonność, zaufanie w swój wrodzony talent oraz poczucie zobowiązania względem niezaradnego towarzystwa.

— I oto znowu — rzekł sam do siebie — stoję na rozstajnych drogach między dwiema niewiastami, które ukazały mi się w młodości. Jedna nie wygląda już tak marnie jak dawniej, a druga nie tak wspaniale. Czujesz pewien rodzaj wewnętrznego powołania, by pójść za jedną albo za drugą, a z obu stron pobudki zewnętrzne są dosyć silne; wydaje ci się rzeczą niemożliwą powziąć decyzję; pragniesz, żeby jakaś przewaga z zewnątrz zmusiła cię do wyboru; a jednak, jeżeli dobrze siebie zbadasz, to jedynie zewnętrzne okoliczności wytwarzają w tobie skłonność do handlu, zysku i posiadania, ale twoja serdeczna potrzeba rodzi i żywi życzenia, by coraz bardziej rozwijać i kształcić zdolności ku dobru i pięknu, które mogą w tobie spoczywać, czy są cielesne, czy duchowe. I czyż nie powinienem czcić losu, który bez mojego przyczynienia się prowadzi mnie tutaj do celu wszystkich moich pragnień? Czyż wszystko, co sobie niegdyś wymarzyłem i zamierzałem, nie urzeczywistnia się obecnie bez mojego współdziałania? Rzecz dziwna! Człowiek wydaje się nie być z niczym bardziej spoufalony jak ze swymi nadziejami i życzeniami, które długo żywi i przechowuje w sercu; a jednak, kiedy go one spotykają, kiedy mu się same jakby narzucają, nie poznaje ich i cofa się przed nimi. Wszystko, o czym tylko śnić sobie pozwalałem przed ową nieszczęsną nocą, która mnie oddaliła od Marianny, stoi oto przede mną i samo mi się ofiaruje. Tutaj zbiec chciałem, a zostałem łagodnie sprowadzony; u Serla chciałem szukać utrzymania, teraz on mnie szuka i podaje warunki, których jako początkujący nigdy nie mogłem się spodziewać. Czy to miłość jedynie do Marianny przywiązywała mnie do teatru? Czy też miłość to sztuki przyciągała mnie do dziewczyny? Czy owo wpatrywanie się w scenę, owo krążenie wokół niej było jedynie pożądaniem człowieka nieporządnego, niespokojnego, który pragnął prowadzić dalej życie, na jakie mu nie pozwalały stosunki świata mieszczańskiego; czy też to wszystko było czymś innym, czystszy, godniejszym? I cóż mogło cię skłonić do zmiany dawniejszych swoich upodobań? Czy raczej sam nieświadomie nie szedłeś za swoim planem? I czyż teraz ostatniego kroku nie należy tym bardziej pochwalić, iż nie masz przy tym żadnych pobocznych zamiarów i że zarazem możesz dotrzymać uroczyste danego słowa i uwolnić się od ciężkiej winy w sposób szlachetny?

Wszystko, co żyło w jego sercu i wyobraźni, ustępowało sobie miejsca jedno po drugim wśród najwyższej przemiany. Że mógł zatrzymać swoją Mignon, że nie potrzebował odpychać harfiarza, było wcale nie małym ciężarkiem na szali jego postanowień; a jednak wahała się ona wciąż jeszcze, gdy swoim zwyczajem szedł odwiedzić swoją przyjaciółkę Aurelię.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

Zastał ją na łóżku; wydawała się uspokojona.

— Czy sądzisz pani, że jutro będziesz mogła grać? — zapytał.

— Ależ tak — odparła żywo — pan wiesz, nic mnie od tego nie powstrzyma... Gdybym tylko знаła środek odsunięcia od siebie oklasków naszego parteru; robią to w dobrej myśli, a zarzną mnie jeszcze. Onegdaj sądziłam, że mi serce chyba pęknie! Dawniej mogłam to znosić, kiedy się sama sobie podobałam, kiedy długo się uczyłam i przygotowywałam, wtedy cieszyłam się, jeśli ze wszystkich stron odzywały się przychylnie oznaki, że mi się powiodło. Teraz nie mówię, czego chcę, ani też, jakbym chciała; daję się porwać, płacząc się, a moja gra sprawia daleko większe wrażenie. Oklaski stają się głośniejsze, a ja myślę sobie: „Gdybyście wiedzieli, co was zachwyca! Wzruszają was niejasne, gwałtowne,

nieokreślone dźwięki, wymuszają na was podziw, a wy nie czujecie, że okazaliście waszą życzliwość tonom cierpienia nieszczęśliwej...”. Dziś rano uczyłam się; teraz powtórzyłam i odbyłam próbę. Jestem zmęczona, złamana, a jutro wszystko znów zacznie się od początku. Jutro wieczorem ma być przedstawienie. Tak się wlokę w tę i z powrotem, nudzi mnie wstawanie, a przykro mi kłaść się do łóżka. Wszystko u mnie wciąż kręci się w kółko. Raz zjawiają się przede mną niemiłe pociechy, to znów odrzucam je i przeklinam. Nie chcę się poddać, nie chcę się poddać konieczności — dlaczego konieczne ma być to, co mnie zabija? Czy nie mogłoby być inaczej? I za to muszę zapłacić, że jestem Niemką; jest to cechą Niemców, że do wszystkiego są ciężcy, że wszystko nad nimi ciąży.

— O, moja przyjaciółko! — przerwał jej Wilhelm — przestań sama wyostrzać sztylet, którym ustawicznie się ranisz! Czyż nic pani nie pozostaje? Czyż twoja młodość, postać, zdrowie, talenty są niczym? Jeżeliś pani straciła jakieś dobro bez swej winy, czy dlatego masz już i wszystko precz odrzucać? Jestże i to konieczne?

Milczała kilka chwil, potem wybuchła:

— Doskonale wiem, że to strata czasu, miłość to nic innego jak strata czasu! Czegóż bym nie mogła i nie powinna była dokonać! Teraz wszystko stało się niczym. Jestem biednym zakochanym stworzeniem, niczym tylko zakochanym! Miejże pan nade mną litość, na Boga, jestem biednym stworzeniem!

Pogrążyła się w sobie i po krótkiej przerwie zawołała gwałtownie:

— Przywykliście do tego, że się wam wszystko rzuca na szyję. Nie, nie może czuć, żaden mężczyzna nie zdoła ucuć wartości kobiety umiejącej się szanować! Wobec wszystkich aniołów bożych, wobec wszystkich obrazów błogości, jakie sobie stwarza czyste, dobroduszne serce, nie ma nic bardziej niebiańskiego nad istotę niewieścią, która oddaje się ukochanemu mężczyźnie! Jesteśmy zimne, dumne, wyniosłe, jasne, rozumne, jeżeli zasługujemy na nazwę kobiet, a wszystkie te zalety składamy u stóp waszych, gdy tylko kochamy, gdy tylko spodziewamy się pozyskać miłość wzajemną. Ach, jakżeż to ja z wiedzą i wolą całe swe istnienie precz odrzuciłam! Ale też teraz będę rozpaczać, rozpaczać naumyślnie. Nie pozostanie we mnie ani jednej kropli krwi, której bym nie skarciła, ani jednego włókienka, którego bym nie pragnęła udręczyć. Uśmiechnijże się pan, śmieję się z tego teatralnego wylewu namiętności!

Daleko było naszemu przyjacielowi do jakiegokolwiek wybuchu śmiechu. Straszny stan jego przyjaciółki, na pół naturalny, na pół wymuszony, aż zanadto go dręczył. Odczuwał katusze nieszczęsnego naprężenia; w mózgu mu się kotłowało, a jego krew znajdowała się w gorączkowym ruchu.

Wstała i chodziła po pokoju w tę i z powrotem.

— Wypowiadam sama przed sobą wszystko, dlaczego nie powinnam go była kochać — zawołała. — Wiem także, że on na to nie zasługuje; odwracam umysł to tu, to tam, staram się zająć, jak tylko mogę. Obieram sobie nieraz rolę, chociaż nawet nie mam jej grać; ćwiczę się w dawnych, które znam na wylot, coraz to gorliwiej i usilniej, aż do drobiazgów, ćwiczę się i ćwiczę — o drogi przyjacielu, o mój powierniku, co to za okropna praca odwracać się gwałtem od siebie samej! Rozum mój cierpi, mózg mój naprężony; ażeby się obronić przed obłąkaniem, oddaję się znowu uczuciu, że go kocham. Tak jest, kocham go, kocham go! — zawołała wśród potoku łez — kocham go i tak chcę umrzeć...

Ujął ją za rękę i prosił jak najusilniej, żeby się samowolnie nie dręczyła.

— O — rzekł — jakże to dziwna rzecz, że człowiekowi odmawiane bywa nie tylko to, co jest niemożliwe, ale nawet niejedno, co jest możliwe. Nie przeznaczono pani, byś znalazła wierne serce, które by stało się całym jej szczęściem. Mnie zaś przeznaczono, bym całą błogość swego życia przywiązał do nieszczęśliwej, którą ciężarem swej wierności przyniotłem do ziemi jak trzcinę, a może nawet zmiążdżyłem.

Opowiadał Aurelii swoje dzieje z Marianną i mógł się teraz na nie powołać. Spojrzała mu nieruchomo w oczy i zapytała:

— Czy możesz pan powiedzieć, żeś nigdy jeszcze nie zwiódł kobiety, żeś się nie starał u żadnej wyludzić jej łaski lekkomyślnym nadszkakiwaniem, przewrotnymi zapewnieniami, przejmującymi serce przysięgami?

— Mogę — odrzekł Wilhelm — i to bez chępliwości, życie moje bowiem było bardzo proste i rzadko wystawiany byłem na pokusę próby. A jakąż to przestrogą, piękna moja, szlachetna przyjaciółko, jest ten smutny stan, w którym cię widzę. Przyjmij pani



ode mnie ślub, który odpowiada w zupełności mojemu sercu, który wskutek wzbudzonego przez ciebie wzruszenia przyoblekł się u mnie w mowę i formę, a przez tę chwilę został uświęcony; będę się opierał każdej przelotnej skłonności, a nawet najpoważniejszą zachowam w mej piersi; wyznania miłości nie usłyszysz z moich warg żadna istota niewieścia, której bym nie mógł poświęcić życia całego...

Spojrzała na niego z dzięką obojętnością i kiedy jej podawał rękę, oddaliła się o kilka kroków.

— Nic na tym nie zależy! — zawołała — tyle a tyle łez niewieścich więcej albo mniej; morze przez to nie wzrośnie. A jednak — mówiła dalej — wśród tysięcy jedna ocalona, i to coś znaczy, wśród tysięcy znaleźć jednego uczciwego, to nie do odrzucenia! Czy też wiesz pan, co przyrzekasz?

— Wiem — odparł Wilhelm z uśmiechem, zatrzymując jej rękę.

— Przyjmuję — odrzekła i uczyniła ruch prawą ręką tak, że on myślał, iż ujmie jego prawicę; ale ona szybko sięgnęła do kieszeni, błyskawicznie wyjęła sztylet i czubkiem i ostrzem przeciągnęła mu po ręce. Cofnął ją szybko, ale krew już ciekła.

— Was, mężczyzn, trzeba ostro nakarbować, żebyście coś zauważyli — zawołała z dziką wesołością, która niebawem przemieniła się w porywczą zabiegliwość.

Wzięła swą chusteczkę i obwiązała mu rękę, ażeby zatamować tryskającą krew.

— Przebacz pan na pół obłąkanej — zawołała — i nie żałuj tych kropli krwi. Usposokołam się; znów jestem sobą. Na kolanach będę przeproszała; zostaw mi pan pociechę, że cię uleczę.

Pośpieszyła do swej szafy, wyjęła płótno i jakieś narzędzia; zatamowała krew i starannie opatrzyła ranę. Cięcie przeszło przez pięść wprost pod wielkim palcem, przecięło linię życia i kończyło się u małego palca. Przewiązywała je w milczeniu i zatopiona w sobie z jakąś poważną zadumą.

On pytał kilkakrotnie:

— Najdroższa, jakżeś mogła zranić swego przyjaciela?

— Cicho! — odpowiedziała, kładąc palec na ustach. — Cicho!

# KSIĘGA V

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

I tak Wilhelm do dwu dawniejszych ran, ledwie zabliznionych, dostał świeżą trzecią, która mu wielce była niedogodna. Aurelia nie chciała przystać, żeby zażądał pomocy chirurga; sama przewijała mu rękę wśród mnóstwa dziwacznych mów, ceremonii i zamawiań i tym sposobem wprawiała go w bardzo przykre położenie.

Ale nie tylko on, wszystkie w ogóle osoby znajdujące się w jej otoczeniu cierpiały na jej niepokoju i dziwactwach; nikt jednak bardziej niż mały Feliś. Pod takim uciskiem żywe dziecko stało się nadzwyczaj niecierpliwe i wciąż okazywało się tym bardziej grzeczne, im więcej go strofowała i napominała.

Chłopak miał upodobanie w pewnych przywyknieniach, które zazwyczaj nazywają brzydkimi i którym matka wcale nie myślała ustępować. Pił na przykład chętniej z butelki niż ze szklanki, potrawy smakowały mu widocznie lepiej z półmiska niż z talerza. Takiej nieprzyzwoitości nie darowywano mu, a kiedy zostawił otworem lub zatrzasnął drzwi oraz kiedy na usłyszany rozkaz albo nie ustąpił natychmiast, albo też wybiegał z hałasem, musiał wówczas wysłuchać długiej lekcji, choć potem nie dawał po sobie poznać najmniejszej poprawy. Co więcej, jego przywiązanie do Aurelii zdawało się co dzień bardziej zanikać; w jego głosie nie było wcale czułości, kiedy nazywał ją matką, lgnął natomiast namiętnie do starej mamki, która mu też naturalnie na wszystko pozwalała.

Lecz i ta od niejakiego czasu tak się rozchorowała, że musiano ją przenieść z domu do spokojniejszego mieszkania, a Feliś znalazłby się zupełnie osamotniony, gdyby nie zjawiała się Mignon jako pełen miłości duch opiekuńczy. Ślicznie się bawili wzajem oboje; ona go uczyła krótkich piosenek, a on, mając bardzo dobrą pamięć, powtarzał je często ku zdumieniu słuchaczy. Chciała mu także objaśniać mapy, którymi nadal była bardzo zainteresowana, ale chwyciła się przy tym nie najlepszej metody. Zdawało się bowiem, że co do krajów, nie miała w gruncie rzeczy żadnej innej ciekawości prócz tej, czy są ciepłe, czy zimne. O biegunach Ziemi, o strasliwym przy nich lodzie i o wzmagającym się ciepłe w miarę oddalania się od nich umiała doskonale zdać sprawę. Jeśli ktoś wybierał się w podróż, to pytała o to jedynie, czy idzie na północ, czy na południe i usiłowała odszukać drogi na swych małych mapkach. Zwłaszcza kiedy Wilhelm mówił o podróżach, słuchała nader uważnie i wydawała się zawsze zasmucona, gdy tylko rozmowa przechodziła na inny przedmiot. O ile nie dawała się namówić do przyjęcia jakiejś roli albo nawet do pójścia do teatru, kiedy w nim grano, o tyle chętnie i pilnie uczyła się na pamięć ód i pieśni, a kiedy oddeklowała taki wiersz, zazwyczaj w poważnym i uroczystym rodzaju, częstokroć niespodziewanie, jakby bez przygotowania, budziła w każdym zdumienie.

Serlo, który przywykł zwracać uwagę na każdy ślad kielkującego talentu, starał się ją zachęcać; najbardziej jednak zaleciła mu się ona nader wdzięcznym, urozmaiconym, a niekiedy nawet ochoczym śpiewem; w ten sposób również harfiarz zyskał sobie jego łaski.

Serlo, chociaż sam nie miał talentu do muzyki i nie grał na żadnym instrumencie, umiał jednakże ocenić jej wysoką wartość; starał się, jak mógł najczęściej, sprawić sobie tę rozkosz, z którą żadna inna nie może się równać. Raz na tydzień miewał koncert, a teraz przy pomocy Mignon, harfiarza i Laertesa, który na skrzypcach dość był zręczny, wytworzyła się dziwna kapela domowa.

Zwykł mawiać:

— Człowiek tak jest skłonny do zadowalania się najpospolitszymi rzeczami, duch i zmysły tak łatwo tępią na wrażenia piękna i doskonałości, że należałoby wszystkimi sposobami podtrzymywać w sobie zdolność ich odczuwania. Bez takiej bowiem rozkoszy nikt nie może całkowicie się obejść, a tylko nieprzywyknięcie do rozkoszowania się czymś dobrym jest przyczyną, że wielu ludzi znajduje przyjemność nawet w rzeczy głupiej i niesmacznej, jeżeli tylko jest nowa. Trzeba by — mówił — co dzień wysłuchać przynajmniej jakiejś piosenki, odczytać jakiś dobry wiersz, zobaczyć jakiś ładny obraz i, jeżeli to tylko możliwe, powiedzieć parę rozumnych słów.

Wobec takiego sposobu myślenia, który u Serla wypływał niejako z natury, osobom go otaczającym nie mogło braknąć przyjemnej zabawy.

Wśród takiego rozbawionego nastroju przyniesiono raz Wilhelmowi list zapieczętowany czarnym lakiem. Pieczętka Wenera zwiastowała jakąś smutną wiadomość; mocno się też przeraził, gdy znalazł w kilku zaledwie słowach doniesienie o śmierci swego ojca. Po niespodziewanej a krótkiej chorobie zeszedł on z tego świata, pozostawiając swoje sprawy domowe w jak największym porządku.

Ta nieprzeczuwana wiadomość dotknęła Wilhelma do głębi duszy. Odczuł głęboko, jak częstokroć nieopatrznie zaniedbujemy przyjaciół i krewnych, dopóki wraz z nami cieszą się pobyt na ziemi, i jak wówczas dopiero żałujemy tego zaniedbania, gdy miły stosunek przynajmniej na teraz został zerwany. Jakoż boleść z powodu przedwczesnego zgonu poczciwego człowieka złagodzić mogło to jedynie uczucie, że na świecie mało on kochał, oraz to przekonanie, że mało używał.

Myśli Wilhelma zwróciły się niebawem ku jego własnym stosunkom; poczuł się niemal zaniepokojony. Człowiek nie może znaleźć się w bardziej niebezpiecznym położeniu, niż kiedy okoliczności zewnętrzne sprowadzają wielką zmianę jego stanu, a sposób jego czucia i myślenia nie jest do niej przygotowany. Następuje wówczas epoka bez epoki i tym większa powstaje stąd sprzeczność, im mniej człowiek spostrzega, że się jeszcze do nowego stanu nie doksztalił.

Wilhelm stał się wolny w chwili, gdy nie mógł jeszcze być z samym sobą w zgodzie. Nastrój jego był szlachetny, zamiary czyste, a przedsięwzięcia wydawały się nie do pogardzenia. To wszystko mógł wyznaczyć przed sobą z niejaką otuchą; miał jednak dosyć sposobności, by zauważyć, że zbywało mu na doświadczeniu, wskutek tego przywiązywał nadmierną wagę do doświadczenia innych i do wyników, jakie oni stąd z przekonaniem wyciągali, a tym sposobem popadał coraz bardziej w błędne koło. Sądził, że najłatwiej zdobędzie, czego mu brakuje, jeśli zatrzyma i sprowadzi wszystko, co godnego pamięci nasunie mu się w książkach i w rozmowie. Zapisywał tedy obce i własne mniemania i myśli, a nawet całe rozmowy, które go zajmowały, i tym sposobem utwierdzał niestety zarówno fałsz, jak prawdę, zbyt długo bawił przy jednej myśli, ba, można by powiedzieć, przy jednej sentencji i porzucał przy tym swój naturalny tryb myślenia i działania, idąc częstokroć za obcym światłem jak za gwiazdą przewodnią. Gorycz Aurelii i chłodna pogarda jego przyjaciela Laertesa dla ludzi częściej, niż należało, mąciły jego zdanie; nikt wszakże nie był dla niego niebezpieczniejszy niż Jarno, człowiek, którego jasny rozsądek wydawał o sprawach bieżących sąd trafny i stanowczy, ale miał przy tym tę wadę, że te poszczególne sądy wypowiadał z pewnym rodzajem uogólnienia, gdy przecież wyroki rozsądku mają właściwie znaczenie na raz tylko, i to w ściśle określonym wypadku, i stają się niesłuszne, gdy się je rozciągają na następny.

Tak to, starając się dojść do zgody z sobą samym, Wilhelm coraz bardziej oddalał się od zbawiennej jedności, a wśród tego zamętu tym łatwiej było jego namiętnościom wyzyskiwać na swą korzyść wszystkie usiłowania i jeszcze więcej mylić go względem tego, co ma robić.

Serlo użył wiadomości o śmierci na swoją korzyść i właściwie co dzień więcej miał przyczyn, by myśleć o innym urządzeniu swych przedstawień. Musiał albo odnowić stare umowy, na co nie miał wielkiej ochoty, zwłaszcza że kilku aktorów, którzy uważali się za niezbędnych, co dzień stawało się bardziej nie do zniesienia; albo też nadać towarzystwu całkiem nową postać, czego też istotnie pragnął.

Nie naciskając tedy sam na Wilhelma, pobudzał Aurelię i Filinę, a inni towarzysze, tęskniący do zaangażowania, także nie dali spokoju naszemu przyjacielowi, tak że stał na rozstajnych drogach w niemałym kłopotcie. Któż by pomyślał, że list Wenera, napisany w całkiem przeciwnej myśli, miał go w końcu popchnąć do stanowczego kroku. Pomijamy tylko wstęp, a poza tym podajemy list ten z małymi zmianami.

## ROZDZIAŁ DRUGI

„Tak było i tak też zapewne musi być dobrze, że każdy przy każdej sposobności zajmuje się swoim rzemiosłem i przejawia swą działalność. Zaledwie poczciwy starzec zamknął powieki, a już w ciągu następnego kwadransu w domu nic się nie działo w jego duchu.

Przyjaciele, znajomi i krewni cisnęli się jedni za drugimi, szczególnie zaś te wszystkie rodzaje ludzi, którzy przy takich okazjach mają coś do zyskania. Przynoszono, wynoszono, płacono, pisano i rachowano; jedni znosili wino i ciasta, drudzy pili i jedli; nikogo jednak nie widziałem poważniej zajętego niż kobiety, gdy wyszukiwały strojów żałobnych.

Przebac mi tedy, mój drogi, że przy tej sposobności i ja myślałem o swojej korzyści, okazując się twojej siostrze pomocny i czynny, jak tylko zdołałem, gdy to w pewnej mierze było stosowne, i dałem jej do zrozumienia, że teraz naszą jest rzeczą przyspieszyć związek, z którym ojcowie nasi z powodu zbyt wielkich ceregieli zwlekli aż do tego czasu.

Ależ nie myśl, iżby nam przyszło na myśl obejmować w posiadanie duży pusty dom. Jesteśmy skromniejsi i rozsądniejsi; posłuchaj naszego planu. Siostra twoja po wyjściu za mąż przenosi się zaraz do naszego domu, a także i twoja matka.

„Jak to możliwe?” — zapytasz; toż wy sami ledwie się mieścicie w gnieździe. W tym sztuka, mój kochany! Zręczne urządzenie umożliwi wszystko, i nie uwierzysz, ile się znajduje przestrzeni, kiedy się zabiera mało miejsca. Duży dom sprzedajemy, do czego się właśnie nastęrcza dobra sposobność; osiągnięte stąd pieniądze przynosić będą setne procenty.

Mam nadzieję, że się na to zgodzisz, i życzę, żebyś nie odziedziczył żadnego z bezpłodnych upodobań swojego ojca i dziadka. Ten swe zasadzał najwyższe szczęście na mnóstwie niepozornych dzieł sztuki, którymi nikt, śmiem twierdzić, nikt nie mógł się z nim razem rozkoszować; tamten żył wśród kosztownego urządzenia, którym nikomu z sobą rozkoszować się nie dał. My chcemy zrobić inaczej i spodziewam się twej zgody.

Prawda, ja sam w całym naszym domu zajmuję miejsce jedynie przy swoim biurku i nie wiem jeszcze, gdzie postawią kiedyś kołyskę, ale za to przestrzeń poza domem jest tym większa. Kawiarnia i kluby dla męża, przechadzki i przejażdżki dla żony, a piękne wycieczki na wieś dla obojga. Przy tym największym jest zyskiem, iż nasz okrągły stół zostaje zupełnie zajęty i będzie dla ojca rzeczą niemożliwą widywać przyjaciół, którzy tym lekkomyślniej sobie z nim poczynają, im więcej on zadawał sobie trudu, by ich ugościć.

Byle tylko nic zbytecznego w domu! Byle nie za wiele mebli, sprzętów, byle nie powóz i konie! Nic prócz pieniędzy oraz w sposób rozumny co dzień robić, co ci się podoba. I garderoba niepotrzebna, co największego i najlepszego, zawsze na sobie; mąż niech zedrże swoje ubranie, a żona swoje niech przehandluje, jak tylko trochę z mody wyjdzie. Nic dla mnie nie ma nieznośniejszego niż taki stary kram majątności. Gdyby mi chciano podarować choćby najdroższy kamień z warunkiem, żebym go co dzień nosił na palcu, nie przyjąłbym go, bo jakże można pomyśleć sobie o jakiejś przyjemności wobec martwego kapitału? Takie oto moje wesołe wyznanie wiary: robić interesy, gromadzić pieniądze, wesoło się zabawiać ze swoimi, a o resztę świata o tyle się tylko troszczyć, o ile użytkować go można.

Powiesz teraz zapewne: jakże w tym trzeźwym planie waszym pomyślano o mnie? Gdzież ja się podzieję, jeżeli mi dom ojcowski sprzedacie, a w swoim nie macie wolnego ani jednego miejsca?

To niewątpliwie rzecz główna, braciszku, i zaraz się do niej zwrócę, jak tylko złożę ci należną pochwałę za doskonale zużytkowanie czasu.

Powiedz no, jak się do tego wziąłeś, że w ciągu kilku tygodni stałeś się znawcą wszystkich rzeczy pożytecznych i zajmujących? O ile znam twoje zdolności, nie byłbym przypuszczał w tobie takiej uwagi i takiej wytrwałości. Twój dziennik przekonał nas, z jak wielkim pożytkiem odbyłeś swą podróż; opis fabryk żelaza i miedzi jest wyborny i świadczy o znacznym zagłębieniu się w sprawę. I ja także zwiedzałem je niegdyś, ale moje sprawozdanie, gdy porównuję je z twoim, wygląda strasznie po partacku. Cały list o wyrobie płótna jest nauczający, a uwaga o współzawodnictwie bardzo trafna. W niektórych miejscach porobiłeś błędy w dodawaniu, ale wybaczyć je nader łatwo.

Co jednak mnie i mojego ojca najbardziej i najgoręcej cieszy, to twoje gruntowne poglądy na zagospodarowanie, a zwłaszcza na ulepszanie majątków ziemskich. Mamy nadzieję kupić wielkie dobra, będące w sekwestrze<sup>99</sup>, w bardzo urodzajnej okolicy. Obrócimy na to pieniądze, jakie weźmiemy za dom ojcowski; część się dokończy, a część pozostanie na dobrach; otóż liczymy na ciebie, że się tam udasz, będziesz doglądał ulep-

<sup>99</sup>sekwestr — zajęcie majątku w celu zapewnienia realizacji dochodzonego roszczenia. [przypis edytorski]

szeń, i tak dobra mogą, żeby nie mówić za wiele, w ciągu lat kilku wzrosnąć o trzecią część wartości, odprzeda się je wtedy, poszuka się lepszych, poprawi się i przehandluje znowu — a do tego tyś chwat. Nasze pióra tymczasem nie pozostaną w domu bezczynne i niebawem dobijemy się stanu godnego zazdrości.

Teraz bądź zdrow! Używaj życia w podróży i udawaj się tam, gdzie znajdziesz przyjemność i pożytek. Przed upływem pół roku nie potrzebujemy cię; możesz więc do woli rozglądać się po świecie, gdyż w podróżach doświadczony człowiek osiąga najlepsze wykształcenie. Bądź zdrow, ciesz się, że tak z tobą ściśle się złączyłem, a teraz nawet w duchu działalności zjednoczyłem”.

Jakkolwiek list był dobrze napisany i jakkolwiek zawierał tyle prawd ekonomicznych, nie podobał się Wilhelmowi, i to nie w jednym. Pochwała, jaką otrzymał za swoje zmyślane wiadomości statystyczne, technologiczne i agronomiczne, była dla niego cichym wyrzutem, a ideał szczęścia w życiu mieszczańskim, jaki mu nakreślił jego szwagier, wcale go nie pociągał; czuł się raczej popchnięty przez jakiegoś tajemniczego ducha sprzeczności ku stronie wprost przeciwnej. Nabrał przekonania, że jedynie w teatrze może dopełnić wykształcenia, jakie zamierzał nabyć, i tym silniej zdawał się umocniony w swoim postanowieniu, im żywiej Werner, bez swej wiedzy, stał się jego przeciwnikiem. Zebrał potem wszystkie swoje argumenty i utwierdził w sobie to mniemanie tym bardziej, im więcej sądził, że ma przyczyn, żeby je roztropnemu Wernerowi w przedstawić powabnym światłem, i tym sposobem powstała odpowiedź, którą tu również zamieszczamy.

## ROZDZIAŁ TRZECI

„List twój jest tak dobrze napisany i tak zręcznie a roztropnie pomyślany, iż nic nie można do niego dodać. Darujesz mi wszelako, gdy powiem, że można mniemać, utrzymywać i czynić coś wprost mu przeciwnego, a jednak mieć słusność. Twój tryb istnienia i myślenia zasada się na nieograniczonym posiadaniu i na łatwym, wesołym sposobie używania, a nie potrzebuję ci mówić, że nie mogę w tym znaleźć nic, co by mnie pociągało.

Przede wszystkim, muszę ci, niestety, wyznaczyć, że mój dziennik został spisany z kilku książek przy pomocy przyjaciela, z konieczności zadośćuczynienia woli ojca, i że wprawdzie znam zawarte w nim rzeczy i wiele jeszcze innych tego rodzaju, ale wcale ich nie rozumiem ani nie potrafiłbym się z nimi obchodzić. Cóż mi po wyrabianiu dobrego żelaza, jeśli moje własne wnętrze pełne jest żuzli? Albo cóż mi po doprowadzeniu do ładu jakiegoś majątku, jeśli sam z sobą jestem w rozterce?

Powiem ci jednym słowem: wykształcić się w całości swojej osoby było moim niejasno pojmowanym życzeniem i zamiarem od lat młodocianych. I teraz jeszcze żywię te same dążenia, tylko że środki, które mnie do tego doprowadzą, stały mi się cokolwiek wyraźniejsze. Widziałem więcej świata, niż ci się zdaje, i lepiej go użyłem, niż mniemasz. Toteż zwróć na to, co ci mówię, niejaką uwagę, chociażby to było niezupełnie w twoim guście.

Gdybym był szlachcicem, to spór nasz dałby się prędko załatwić; ale ponieważ jestem tylko mieszczańcem, muszę więc obrać sobie własną drogę i chciałbym, żebyś mnie rozumiał. Nie wiem, jak jest w obcych krajach, ale w Niemczech dla tylko szlachcica dostępne jest pewne ogólne, że tak powiem, osobiste wykształcenie. Mieszczanin, choć położy zasługi i wykształci swój umysł do najwyższego stopnia, osobistość jego przecie ginie, jakkolwiek zajmie stanowisko. Kiedy dla szlachcica, przestającego z najwykwintniejszymi sferami, staje się obowiązkiem nadanie sobie wytwornej układności; kiedy układność ta, przed którą nie zamykają się ani drzwi, ani bramy, staje się układnością swobodną; kiedy swoją postacią, swoją osobą, czy to przy dworze, czy w armii, płacić musi: to ma on przyczynę na nią liczyć cokolwiek i okazywać, że na nią liczy. Pewien uroczysty wdzięk wobec rzeczy zwyczajnych, pewien lekkomyślny powab wobec poważnych i doniosłych jest mu zupełnie do twarzy, bo dowodzi, że wszędzie zachowuje on równowagę. Jest on osobą publiczną, a im udatniejsze są jego ruchy, im dźwięczniejszy głos, im układniejsza i wymienniejsza cała jego istota, tym jest on doskonalszy. Jeżeli względem wysoko i nisko postawionych, względem przyjaciół i krewnych zawsze pozostaje taki sam, to nic w nim wytknąć nie można, niepodobna go sobie życzyć innym. Niech sobie będzie chłodny, ale rozumny; zamaskowany, ale zręczny. Jeżeli zewnętrznie w każdej chwili swego życia

umie panować nad sobą, to nikt nie może od niego wymagać więcej, a wszystkie inne przymioty, jakie w sobie lub przy sobie posiada, zdolność, talent, bogactwo, wszystkie wydają się tylko dodatkami.

A teraz wyobraź sobie jakiegoś mieszczanina, który by chciał rościć sobie jakąś pretensję do owych przywilejów; spotka go całkowite niepowodzenie i tym nieszczęśliwszy czuć by się musiał, im więcej natura dała mu zdolności i popędu do takiego zachowywania się.

Jeżeli szlachcic w życiu pospolitym nie zna żadnych granic, jeżeli z niego można utworzyć króla lub postaci do królów podobne, to może on wszędzie ze spokojnym przeświadczeniem stawać przed równym sobie, może wszędzie pchać się naprzód, gdy przeciwnie, mieszczaninowi przystoi najlepiej, jeśli ma jasne ciche poczucie linii granicznej, jaką przed nim przeciągnięto. On nie może pytać: „Czym jesteś?”, ale tylko: „Co masz? jaki rozum, jaką wiedzę, jaką zdolność, jaki majątek?”. Kiedy szlachcic, przedstawiając osobistość, wszystko daje, to mieszczanin przez swoją osobistość nie daje nic i dać nic nie zdoła. Tamten może i powinien wydawać się; ten powinien tylko być, a to, czym chce się wydawać, jest śmieszne i niesmaczne. Tamten powinien czynić i działać, ten powinien dostarczać i gromadzić, powinien kształcić poszczególne zdolności, aby się stać na coś zdatnym, i z góry już się przypuszcza, że w istocie jego nie ma i nie może być harmonii, albowiem, aby stać się zdatnym na coś w jeden sposób, musi zaniedbać wszystkie inne.

Winna tej różnicy nie jest jakaś przemoc szlachty i uległość mieszczan, ale sam układ społeczeństwa; czy się w tym kiedyś coś zmieni i co się zmieni, mało mnie obchodzi; dość że wśród obecnego stanu rzeczy muszę myśleć o sobie samym i jak mam siebie samego oraz to, co jest dla mnie nieodbitą potrzebą, ocalić i osiągnąć.

Otóż ja właśnie mam nieodpartą skłonność do owego harmonijnego wykształcenia natury mojej, jakiego mi odmawia moje urodzenie. Odkąd od ciebie odjechałem, wiele zyskałem przez ćwiczenie ciała, wiele się pozbyłem ze swojej zwykłej nieśmiałości i umiem się nieźle pokazać. Wykształciłem również swoją mowę i głos i mogę powiedzieć bez próżności, że w towarzystwach nie doznaję niepowodzenia. Nie zapieram się tedy przed tobą, że z każdym dniem coraz bardziej staje się we mnie nieprzezwyyczajony popęd do zostania osobą publiczną oraz podobania się i działania w szerszym zakresie. Przyłącza się do tego moja skłonność do poezji i do wszystkiego, co z nią związane, oraz potrzeba wykształcenia swego ducha i smaku, ażebym powoli i w tej rozkoszy, bez której obejść się nie mogę, tylko dobro rzeczywiście uważał za dobro i piękno za piękno.

Z tego widzisz, że to wszystko znaleźć mogę tylko w teatrze i że tylko w tym jedynym żywiole mogę się poruszać i kształcić według życzenia. Na deskach ukazuje się ukształcony człowiek tak samo osobiście w blasku swoim, jak w klasach wyższych, duch i ciało muszą przy każdym wysiłku iść równym krokiem i tam będę mógł być i wydawać się tak dobrze jak nigdzie indziej. A jeżeli obok tego zechcę jeszcze szukać zajęć, to jest tam dosyć utrapień mechanicznych, tak że mogę codziennie dostarczać ćwiczeń swojej cierpliwości.

Nie rozpoczynaj ze mną o to sporu, bo zanim mi odpiszesz, już krok ten zrobię. Ze względu na panujące przesady zmienię swoje nazwisko, bo i tak wstydzę się występować jako Meister (mistrz). Bądź zdrów. Majątek nasz jest w tak dobrych rękach, że się o niego wcale nie troszczę; czego będę potrzebował, zażądam przy sposobności od ciebie; nie będzie tego wiele, gdyż mam nadzieję, że moja sztuka powinna mnie wyżywić”.

Ledwie wysławszy list, Wilhelm natychmiast dotrzymał słowa i ku wielkiemu zdziwieniu Serla i innych oświadczył wyraźnie, że poświęca się byciu aktorem i pragnie zawrzeć umowę na dogodnych warunkach. Szybko doszło co do nich do zgody, gdyż Serlo już poprzednio podał takie, iż Wilhelm i inni mogli być z nich zupełnie zadowoleni.

Całe poszkodowane towarzystwo, z którym tak długo się bawiliśmy, zostało od razu przyjęte, ale z wyjątkiem chyba Laertesa nie okazywało Wilhelmowi wdzięczności. Jak bez ufności stawiali żądania, tak przyjęli ich spełnienie bez podziękowań. Większość wołała przypisać swoje zatrudnienie wpływowi Filiny i dziękczynienia ku niej zwracała.

Tymczasem przygotowane umowy zostały podpisane, a przez niewytłumaczone skójarzenie wyobrażeń w chwili gdy Wilhelm podpisywał swoją zmyśloną nazwiskiem, zjawił się przed jego wyobraźnią obraz owego miejsca w lesie, gdzie leżał ranny na łonie Filiny. Z zarośli wyjechała na dereszu uprzejma amazonka, zbliżyła się ku niemu i zsiadła. Jej filantropijne usiłowanie zmuszało ją do chodzenia i wracania; na koniec stanęła

przed nim. Ubranie opadło z jej ramion; twarz jej i postać zaczęły błyszczeć — i zniknęła. Toteż podpisał umowę zmyślnym nazwiskiem całkiem mechanicznie, nie wiedząc, co robi, i dopiero po podpisaniu poczuł, że Mignon stała u jego boku, trzymała go za ramię i próbowała mu z lekka odciągnąć rękę.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Na jeden z warunków, pod którymi Wilhelm wstąpił do teatru, Serlo zgodził się nie bez zastrzeżeń. Tamten żądał, ażeby *Hamleta* wystawiono w całości, bez żadnych okaleczeń, ten zaś o tyle tylko przyjmował to dziwne żądanie, o ile ono się okaże możliwe do spełnienia. Otóż niejednokrotnie wiedli z tego powodu spór, gdyż jeden i drugi mieli bardzo odmienne przekonania, co jest możliwe, a co niemożliwe, oraz co da się ze sztuki odrzucić, nie kalecząc jej.

Wilhelm znajdował się jeszcze w tym szczęśliwym okresie, kiedy nie możemy zrozumieć, iżby w ukochanej dziewczynie, w uwielbianym pisarzu mogło być cokolwiek wadliwego. Nasze postrzeganie ich jest tak całkowite, tak zgodne z sobą, że i w nich domyślać się musimy takiej samej zupełnej harmonii. Serlo natomiast chętnie dostrzegał braki i może widział ich za wiele; zazwyczaj jego bystry rozum chciał w dziele sztuki uznawać tylko mniej lub więcej niedoskonałą całość. Sądził on, że w ten sposób oceniając sztuki, niewiele ma się powodów do postępowania z nimi ze zbyt wielkim szacunkiem, toteż i Szekspir, a zwłaszcza *Hamlet* musiał wiele ucierpieć.

Wilhelm nie chciał nawet słuchać, kiedy Serlo mówił o oddzielaniu plew od pszenicy.

— To nie pomieszane z pszenicą plewy — wołał — to pień, konary, gałęzie, liście, pączki, kwiaty i owoce. Czyż jedno nie jest tu z drugim i wskutek drugiego?

Serlo utrzymywał, że nie potrzeba całego pnia na stół przynosić; artysta musi swoim gościom podawać złote jabłka w srebrnych lupinach.

Prześcigali się w porównaniach, a ich zdania oddalały się od siebie widocznie coraz bardziej.

Nasz przyjaciel został doprowadzony niemal do rozpacz, gdy raz po długim sporze Serlo doradził mu jako najprostszy środek chwycić pióro i powykreślać w tragedii to, co się na nic nie zdało i zdać nie mogło, złączyć kilka osób w jedną, a jeżeli Wilhelm w tej mierze nie ma jeszcze dostatecznej biegłości albo też nie ma do tego należytej odwagi, to niech jemu zostawi tę pracę, a on rychło się z nią załatwi.

— To się nie zgadza z naszą umową — odparł Wilhelm. — Jak pan możesz być tak lekkomyślny, posiadając tyle smaku?

— Mój przyjacielu — zawołał Serlo — i pan się taki staniesz. Aż nadto dobrze znam obrzydliwość takiego postępowania, jakie może jeszcze w żadnym w świecie teatrze nie było zastosowane. Ale gdzie jest jakiś inny tak sponiewierany jak nasz? Do tego wstrętnego okaleczania zmuszają nas autorzy, a publiczność na nie pozwala. Ileż to mamy sztuk, które by nie przekraczały miary personelu, dekoracji i mechaniki teatralnej, czasu, wymowy i sił fizycznych aktora? A przecie musimy grać i grać ciągle, i to grać ciągle nowe rzeczy. Czyż nie powinniśmy przy tym wyciągnąć naszych korzyści, kiedy okaleczonymi dziełami tyleż dokażemy, jak i całymi? Toż sama publiczność nasuwa nam te korzyści! Niewiele Niemców, a może też niewiele ludzi ze wszystkich nowszych narodów ma poczucie całości estetycznej; chwalą oni i ganią tylko kawałkami, zachwycają się tylko kawałkami, a dla kogóż jest to większym szczęściem, jak nie dla aktora, jeżeli teatr zawsze pozostanie tylko czymś ułamkowym i sztukowanym?

— Jest tym — odparł Wilhelm — ale czy powinien tym pozostać? Czyż powinno pozostać wszystko, co jest? Nie przekuj mnie pan, że masz słuszność; gdyż żadna w świecie siła nie mogłaby mnie skłonić do dotrzymania umowy, którą bym zawarł wśród najgrubszego omamienia.

Serlo nadał sprawie zwrot żartobliwy i zachęcał Wilhelma, żeby ich częste rozmowy o *Hamlecie* raz jeszcze rozważył i sam obmyślił środki do pomyślnego opracowania.

Po kilku dniach spędzonych w samotności Wilhelm zjawił się z wesołym wejrzeniem.

— Albo się bardzo myślę — zawołał — albo też trafiłem na sposób zaradzenia całości. Ba, jestem przekonany, że Szekspir sam by tak zrobił, gdyby jego geniusz nie był tak

mocno skierowany ku głównemu wątkowi, a może wprowadzony w błąd przez nowele, którymi się posługiwał.

— Mów pan — rzekł Serlo, siadając z powagą na kanapie — będę słuchać spokojnie, ale tym surowiej sądzić.

— Nie boję się — odparł Wilhelm — niech no pan tylko posłucha! Po najdokładniejszym zbadaniu, po najdojrzalszym zastanowieniu odróżniam w układzie tej sztuki dwie rzeczy: pierwsza to wielkie wewnętrzne stosunki osób i zdarzeń, potężne wyniki powstające z charakterów i czynności figur głównych: te są w szczegółach wyborne, a kolejność, w jakiej zostały przedstawione, w niczym nie da się poprawić. Żaden rodzaj obróbki nie może ich zburzyć, ba, ledwie że nie skoślawić. Właśnie te każdy pragnie widzieć, tych nikt tknąć się nie waży, te się głęboko wrażają w duszę i te też, jak słyszę, prawie wszystkie przeniesiono do teatru niemieckiego. W tym tylko, jak sądzę, zblądzono, że drugą rzecz, na jaką w tej sztuce należy zwrócić uwagę, to jest zewnętrzne stosunki osób, kiedy przenoszą się z jednego miejsca na drugie albo też w ten czy ów sposób wskutek pewnych przypadkowych wydarzeń wchodzą ze sobą w związek, poczytywano za zbyt mało znaczące, mówiąc o nich mimochodem tylko lub nawet całkiem je odrzucając. Nici te są wprawdzie cienkie i odosobnione, ale przenikają one przecież całą sztukę i trzymają w kupie to, co by się bez nich rozpadło i rozpada się istotnie, jeśli się je odetnie, mniemając, że się zrobiło co potrzeba, kiedy się pozostawiło ich końce. Do tych stosunków zewnętrznych liczę: rozruchy w Norwegii, wojnę z młodym Fortynbrasem, poselstwo do starego stryja, załagodzenie rozterki, wyprawę młodego Fortynbrasa do Polski i jego powrót przy końcu; podobnie powrót Horacego z Wittenbergi, chęć Hamleta udania się tamże, podróż Laertesza do Francji, jego przyjazd, wysłanie Hamleta do Anglii, jego niewolę u rozbójników morskich, śmierć dwu dworzan wskutek listu Uriaszowego<sup>100</sup>: wszystko to są okoliczności, które wzdłuż i wszerek mogą rozciągnąć romans, ale które nadzwyczajnie szkodzą jedności tej sztuki, zwłaszcza że bohater nie zna planu, i w najwyższym stopniu są wadliwe.

— Tak mówiącego słucham chętnie! — zawołał Serlo.

— Nie przerywaj mi pan — odparł Wilhelm — nie mógłbyś mnie pan ciągle chwalić. Błędy te są jak czasowe podpory budynku, których nie powinno się odejmować, nie podłożywszy wprzód twardego muru. Moim tedy zamiarem jest nie tykać zgoła owych pierwszych wielkich sytuacji, lecz je, na ile się tylko da, zachować zarówno w całości, jak i w szczegółach; te zaś zewnętrzne, odosobnione, rozproszone i rozprasające motywy wszystkie od razu odrzucić i zamiast nich użyć jednego jedyne.

— A to jakiego? — zapytał Serlo, podnosząc się ze swego spokojnego siedzenia.

— On znajduje się już w samej sztuce — odrzekł Wilhelm — robię tylko z niego właściwy użytek. Są to rozruchy w Norwegii. Oto masz pan mój plan do oceny. Po śmierci starego Hamleta Norwegowie, wcześniej zawojowani, burzą się. Namiestnik tameczny wysłał swego syna Horacego, dawnego kolegę Hamleta, kolegę wyróżniającego się wśród innych dzielnością i roztropnością, do Danii, by nastawał na uzbrojenie floty, które za nowego króla, oddanego rozpuście, postępuje bardzo opieszale. Horacy zna starego króla, gdyż uczestniczył w ostatnich jego bitwach, a nawet był u niego w łaskach; wskutek tego pierwsza scena z duchami nic nie straci. Nowy król daje potem posłuchanie Horacemu i posyła Laertesza do Norwegii z wiadomością, że flota niebawem przybędzie; tymczasem Horacy otrzymuje rozkaz przyśpieszenia jej uzbrojenia; matka zaś nie chce zezwolić, by Hamlet udał się z Horacym na morze, jak sobie tego życzył.

— Bogu dzięki! — zawołał Serlo — to i pozbędziemy się Wittenbergi i uniwersytetu, które mi zawsze były kamieniem obrazu. Pański pomysł uważam za bardzo dobry, gdyż prócz jedynie dwu dalekich obrazów, Norwegii i floty, widz nie potrzebuje sobie nic więcej wyobrażać; resztę widzi już, reszta dzieje się przed nim, gdy w przeciwnym razie wyobrażenia jego musiałaby się błąkać po całym świecie.

<sup>100</sup>śmierć dwu dworzan wskutek listu Uriaszowego — nawiązanie do biblijnej postaci Uriasza Hetyty, męża Batszeby i dowódcy w armii króla Dawida. Dawid uwiódł Batszebę, a kiedy okazało się, że kobieta jest w ciąży, wysłał Uriasza na wojnę, potajemnie rozkazując żołnierzom opuścić dowódcę w czasie zażartej bitwy, by zginął. W tragedii *Hamlet* król Klaudiusz postanawia pozbyć się tytułowego księcia i wysłał go do Anglii z dwójką dworzan, dając im list, na podstawie którego Hamlet ma zostać uwięziony i zabity, jednak ten wykrada list i zmienia jego treść, wydając tym samym wyrok śmierci na obu dworzan. [przypis edytorski]



— Łatwo pan zgadniesz — odrzekł Wilhelm — jak teraz mogę utrzymać w kupie i resztę. Kiedy Hamlet odkrywa Horacemu występki swego ojczyzny, ten radzi mu pojechać wraz z nim do Norwegii, zapewnić sobie wojsko i powrócić z bronią w ręku. A że Hamlet staje się zbyt niebezpieczny dla króla i królowej, nie mają oni łatwiejszego środka pozbycia się go, jak wysłać go do floty i dać mu za szpiegów Rosenkranza i Gildensterna; a ponieważ tymczasem Laertes powrócił, ten zapalony aż do skrytobójstwa młodzieniec będzie wysłany za nim. Flota z powodu niepomyślnego wiatru nie może ruszyć; Hamlet raz jeszcze wraca; jego wędrówkę przez cmentarz może da się szczęśliwie umotywować; jego spotkanie się z Laertesem przy grobie Ofelii jest wielkim niezbędnym momentem. Potem niech król rozważy, iż lepiej jest pozbyć się Hamleta natychmiast; uroczystość odjazdu, pozornego pogodzenia się z Laertesem, odprawia się wspaniale, przy czym odbywają się igrzyska rycerskie, a Hamlet i Laertes walczą ze sobą. Bez czterech trupów nie mogą zakończyć sztuki; nikt nie powinien pozostać. Ponieważ ludowi przywrócone zostaje prawo wyboru, Hamlet umierając daje swój głos za Horacym.

— Dalejże — odrzekł Serlo — siadaj pan czym prędzej i opracuj sztukę; pomysł pochwalam w zupełności; żeby tylko ochota nie wystygła.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Wilhelm od dawna już zajmował się tłumaczeniem *Hamleta*; posługiwał się przy tym ładną pracą Wielanda<sup>101</sup>, za pośrednictwem której po raz pierwszy poznał Szekspira. Co w niej było opuszczone, to dodawał i tym sposobem wszedł w posiadanie pełnego egzemplarza w chwili, kiedy co do obrobienia jako tako zgodził się z Serlem. Zaczął tedy według swego planu wyjmować i wtrącać, dzielić i łączyć, zmieniać, a często znów przywracać, co zmienił; gdyż jakkolwiek był zadowolony z swojego pomysłu, zawsze przy wykonaniu go mu wydawało się, że oryginał bądź co bądź ulega zepsuciu.

Ukończywszy robotę, odczytał ją Serlowi i reszcie towarzystwa. Okazali się bardzo zadowoleni; zwłaszcza Serlo zrobił niejedną przychylną uwagę.

— Bardzo trafnie zauważyłeś pan — mówił między innymi — że sztuce tej towarzyszą zewnętrzne okoliczności, lecz muszą być prostsze, niż je nam dał wielki poeta. Co się dzieje poza teatrem, czego widz nie widzi, co musi sobie wyobrażać, to jakby tło, przed którym grające figury się poruszają. Jeden wielki widok na flotę i Norwegię wyjdzie sztuce na dobre; gdyby się go zupełnie usunęło, tobyśmy mieli tylko scenę rodzinną i nie przedstawiłby się w całej swojej godności rozległy pomysł, że wskutek zbrodni i wszeteczeństw wewnętrznych ginie tu cały dom królewski. Ale gdyby znowu owo tło pozostało różnorodne, ruchome, zmaczone, to wyrządziłoby krzywdę wrażeniu figur.

Wilhelm stanął znowu po stronie Szekspira, wykazując, że pisał on dla wyspiarzy, dla Anglików, którzy w tle przywykli widzieć tylko okręty i podróże morskie, brzegi Francji i korsarzy, i że to, co dla nich jest czymś zupełnie zwykłym, nas już wprawia w roztargnienie i zamieszanie.

Serlo musiał ustąpić i obaj na to się zgodzili, że ponieważ sztuka ma pójść na teatr niemiecki, to takie poważniejsze, prostsze tło najlepiej będzie dostosowane do naszych wyobrażeń.

Role już dawniej rozdano; Poloniusza objął Serlo, Aurelia Ofelię, Laertes był już wskazany swoją nazwą, młody, przysadkowaty, wesoły, nowo przybyły młodzieniec otrzymał rolę Horacego, tylko co do króla i ducha znajdowano się w jakimś kłopotcie. Dla obu ról był tam tylko stary zrzęda. Serlo proponował pedanta na króla, ale Wilhelm opierał się temu bardzo stanowczo. Nie można się było zdecydować.

Dalej Wilhelm pozostawił w swej sztuce obie role Rosenkranza i Gildensterna.

— Dlaczegoś pan nie złączył ich w jedną? — zapytał Serlo — toż tego skrócenia tak łatwo dokonać.

— Niech mnie Bóg strzeże od takich skrótów, które zarazem szkodzą sensowi i efektowi! — odparł Wilhelm. — To, czym są ci dwaj ludzie i co robią, nie może być przedstawione przez jednego. W takich drobnostkach okazuje się wielkość Szekspira. To ciche

<sup>101</sup> Wieland, *Christoph Martin* (1733–1813) — niemiecki poeta i prozaik, pierwszy tłumacz Shakespeare'a na jęz. niemiecki; autor m.in. powieści *Agaton* (1776), jednego z pierwszych utworów z gatunku *Bildungsroman* (przedstawiającego proces psychologicznego, moralnego i społecznego formowania się osobowości głównego bohatera). [przypis edytorski]

pojawianie się, to uniżanie się i mydlkowanie, to potakiwanie, to schlebianie i głaskanie, ta zwrotność, to wyslizgiwanie się, ta ogólnikowość i czczość, to prawnicze szelmostwo, ta nieudolność, jakże to wszystko może być wyrażone przez jednego człowieka? Powinno by ich być przynajmniej tuzin, gdyby się ich mieć mogło, gdyż są oni czymś tylko w towarzystwie, są oni towarzystwem, a Szekspir był bardzo skromny i roztropny, kiedy kazał występować dwóm tylko takim przedstawicielom. Prócz tego potrzebuję ich w swoim opracowaniu jako pary, która kontrastuje z jednym dobrym, doskonałym Horacym.

— Rozumiem pana — rzekł Serlo — damy sobie jakoś radę. Jednego damy Elmirze (tak nazywano starszą córkę zrzędy); to nie zaszkodzi, że dobrze wyglądają, a ja tak te lalki wystroję i wytresuję, że będzie aż miło.

Filina cieszyła się niezmiernie, że miała grać księżną w małej komedyjce.

— Tak zrobię to naturalnym — zawołała — że się czym prędzej za drugiego wychodzi, kiedy się pierwszego nadzwyczajnie kochało!... Spodziewam się, że pozyskam ogromne oklaski, a każdy mężczyzna zapagnie stać się trzecim.

Aurelia, słuchając takich słów, twarzą wyrażała niezadowolenie; jej niechęć do Filiny wzmagala się z każdym dniem.

— Wielka szkoda — rzekł Serlo — że nie mamy baletu; bo musiałabyś mi pani ze swoim pierwszym i drugim mężem zatańczyć *pas des deux*<sup>102</sup>, a stary zasypiałby według taktu, a nóżki i łydeczki pani nadzwyczaj by się mile zachowywały tam w tyle na teatrze dzieciennym.

— O moich łydeczkach wiesz pan niewiele — odparła drwiąco — a co do moich nówek — zawołała, sięgając rąco pod stół, wydobywając swoje pantofelki i kładąc je obok siebie przed Serlem — oto są kopytka i proszę pana znaleźć zgrabniejsze...

— Pani wzięła na serio! — odrzekł, patrząc na ładne półbuciki. — Z pewnością, niełatwo można by zobaczyć coś wdzięczniejszego.

Była to robota paryska; Filina otrzymała je w podarunku od hrabiny, damy sławnej ze swej pięknej nogi.

— Powabna rzecz! — zawołał Serlo. — Serce mi skacze, gdy na nie patrzę.

— Co za konwulsje! — rzekła Filina.

— Nic nie przewyższy pary pantofelków tak delikatnej, pięknej roboty — mówił Serlo — lecz ich dźwięk jest jeszcze powabniejszy od ich widoku.

Podniósł je i opuszczał je kolejno, jeden po drugim na stół kilka razy.

— Co to ma znaczyć? Połóż je pan! — zawołała Filina.

— Mamże powiedzieć? — odparł z udaną skromnością i chytrą powagą. — My, starzy kawalerowie, którzy w nocy przeważnie bywamy sami, a przecie jak inni ludzie boimy się i w ciemności tęsknimy za towarzystwem, zwłaszcza w karczmach i obcych miejscach, gdzie niezupełnie jakoś swojo, uważamy za rzecz pocieszającą, kiedy jakieś pocziwe dziecko chce nam dotrzymywać towarzystwa i obecności. Noc; leży się w łóżku, słycać szmer, drży się; drzwi się otwierają, poznaje się miły, piskliwy głosik, coś się wkrada, kotary szeleszczą, klip! klap! pantofle spadają i hu! już się nie jest samym. Ach, przyjemny, jedyny dźwięk, kiedy obcaski uderzają o podłogę! Im są zgrabniejsze, tym dźwięk ich delikatniejszy. Niech sobie mówią o Filomeli<sup>103</sup>, o szemrzących strumykach, o szumie wiatrów i o wszystkim, co kiedykolwiek grało i świszczało, ja pozostanę przy klip! klap! klap! klap! to najpiękniejszy temat do ronda<sup>104</sup>, którego się pragnie słuchać wciąż od początku.

Filina wzięła mu z rąk pantofle i rzekła:

— Jakże je wykoślawiłam! Są dla mnie zbyt szerokie.

Potem bawiła się nimi i tarła je podeszwami.

— Jakże się to rozgrzewa! — zawołała, przykładając jedną podeszwę do policzka; następnie potarła ją mocno i zwróciła ją w stronę Serla.

<sup>102</sup>*pas des deux* (fr.) — duet w balecie klasycznym, taniec wykonywany przez pierwszego solistę i pierwszą solistkę, którego celem jest ukazanie ich kunsztu tanecznego. [przypis edytorski]

<sup>103</sup>*Filomela* — imię żeńskie pochodzenia greckiego, oznaczające „przyjaciółka pieśni”; w mit. gr.: siostra Prokne, żony króla Tereusa, który ją zgwałcił i uciął jej język, aby o zdradzie nie dowiedziała się żona; została zamieniona przez bogów w słowika (tak w *Metamorfozach* Owidiusza), wg innych wersji w jaskółkę. [przypis edytorski]

<sup>104</sup>*rondo* a. *rondeau* (fr.) — forma w muzyce (również w poezji i tańcu), której konstrukcja opiera się na wielokrotnych powtórzeniach tematu. [przypis edytorski]

Ten dobrodusznie chciał się przekonać o ciepłe, a ona: „klip! klap!” zawołała, wymierzając mu obcasem tęgę uderzenie, tak że z krzykiem cofnął rękę.

— Nauczę was myśleć przy moich pantoflach o czymś innym — rzekła Filina, śmiejąc się.

— A ja cię nauczę zwodzić starych ludzi jak dzieci! — odkrzyknął Serlo; po czym poskoczył, objął ją gwałtownie i ukradł jej niejednego całusa, a ona każdy z nich dawała z poważnym oporem kunsztownie wymóc na sobie.

Wskutek szamotania się opadły długie jej włosy i owinęły się wokół grupy; krzesło przewróciło się na podłogę, a Aurelia, obrażona do żywego tą swawolą, wstała z obrzydzeniem.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Chociaż przy nowym opracowaniu *Hamleta* kilka postaci odpadło, liczba ich wszakże wciąż jeszcze pozostała bardzo znaczna, a towarzystwo niemal nie wystarczało.

— Jeżeli tak dalej pójdzie — rzekł Serlo — to i nasz sufler będzie musiał wyjść ze swej dziury, dołączyć do nas i zostać postacią.

— Nieraz już podziwiałem go na jego stanowisku — odparł Wilhelm.

— Nie sądzę, żeby można było mieć doskonalszego podpowiadacza — rzekł Serlo. — Żaden widz nigdy go nie posłyszy, my na scenie chwytamy każdą zgłoskę. On jakby wytworzył sobie do tego właściwy głos i jest niby duchem, który w potrzebie zrozumiałe nam podszeptuje. Czuje, jaką część swej roli aktor zna doskonale i z daleka już przewiduje, kiedy go zawiedzie pamięć. W niektórych wypadkach, kiedy zaledwie mogłem odczytać rolę, podpowiadał mi słowo po słowie i grałem z powodzeniem; ma przecie swoje dziwactwa, które by każdego innego uczyniły nieużytecznym: bierze tak serdeczny udział w sztukach, że ustępów patetycznych nie deklamuje wprawdzie, ale wygłasza je z głębokim uczuciem. Tym narowem niejednokrotnie wprowadził mnie w błąd.

— A mnie znowu — rzekła Aurelia — innym swoim dziwactwem zmusił raz do zatrzymania się w miejscu bardzo niebezpiecznym.

— Jakże to się mogło stać wobec jego uwagi? — zapytał Wilhelm.

— W niektórych miejscach — odparła Aurelia — bywa tak wzruszony, że płacze rzewnymi łzami i na pewien czas zupełnie traci przytomność, a nie są to właściwie tak zwane wzruszające miejsca, które go w ten stan wprawiają; są to, jeśli tylko potrafię się jasno wyrazić, piękne miejsca, z których czysty duch poety przegląda jakby z jasnych otwartych oczu, miejsca, wobec których my, artyści, doznajemy co najwyżej radości, a na które tysiące ludzi zgola nie zważa.

— I dlaczego z tak wrażliwą duszą nie ukazuje się na scenie?

— Ochryply głos i sztywna postawa wykluczają go ze sceny, a jego hipochondryczna natura z towarzystwa — odparł Serlo. — Ileż to ja sobie trudu zadałem, by go do siebie przyzwyczaić! A jednak na próżno. Czyta wybornie, jak nikt inny, o ile doświadczyłem; nikt nie zachowuje tak jak on delikatnej linii granicznej między deklamacją a uczuciowym recytowaniem.

— Znalazłem! — zawołał Wilhelm. — Znalazłem! Co za szczęśliwe odkrycie! Mamy tedy aktora, który nam wypowie ustęp o srogim Pirrusie<sup>105</sup>!

— Trzeba mieć tyle namiętności co pan — odparł Serlo — aby wszystko zużytkować dla swego zamiaru.

— Oczywiście, bardzo się martwiłem — zawołał Wilhelm — żeby tego miejsca nie wypadło opuścić, przez co by cała sztuka kulała.

— Nie mogę tego zrozumieć — rzekła Aurelia.

— Mam nadzieję, że niebawem podzielisz pani moje zdanie — odparł Wilhelm. — Szekspir wprowadza przybyłych aktorów z podwójnym zamiarem. Najpierw człowiek, który deklamuje z tak wielkim wzruszeniem o śmierci Priama<sup>106</sup>, wywiera głębokie wra-

<sup>105</sup>ustęp o srogim Pirrusie — w tragedii Szekspira *Hamlet*, w rozmowie z przybyłymi na dwór aktorami (akt II, scena 2), główny bohater mówi do jednego z nich, że słyszał go deklamującego fragment sztuki, w której Eneasz opowiada Dydonie o śmierci króla Troi Priama, zaczynający się od słów: „Okrutny Pirrus, jak ów zwier hirkkański...” (tłum. Józef Paszkowski). [przypis edytorski]

<sup>106</sup>Priam (mit. gr.) — król Troi podczas wojny trojańskiej, mąż Hekuby, ojciec licznych dzieci, m.in. Parysa, Hektora i Kasandry. [przypis edytorski]

zenie na samym królewiczu, czulszym robi sumienie wahającego się młodzieńca; tym sposobem scena ta staje się przygrywką do tej, w której małe widowisko tak silnie oddziałuje na króla. Hamlet czuje się zawstydzony przez aktora, który bierze tak wielki udział w cudzym, ba, w zmyślnym cierpieniu, a wskutek tego powstaje w nim natychmiast myśl uczynienia w tenże sam sposób próby na sumieniu swego ojczy. Co to za wspaniały monolog, którym się kończy akt drugi! Jakże się cieszę na myśl, że go będę wygłaszał: „O jakież ze mnie nikczemnik, jaki podły niewolnik! Czyż to nie jest zgrozą, że ten tu aktor jedynie wskutek zmyślenia, wskutek snu namiętności tak umie nagiąć swą duszę wedle swej woli, że jej działanie bladłością pokrywa jego oblicze: łyż w oku! zamęt w ruchach! głos złamany! cała jego istota przeniknięta jednym uczuciem; i to wszystko o nic — o Hekubę<sup>107</sup>! Czymże jest Hekuba dla niego albo on dla Hekuby, żeby aż płakał z jej powodu?”

— Żebyśmy tylko potrafili tego człowieka wprowadzić na scenę! — rzekła Aurelia.

— Musimy go — odparł Serlo — wprowadzać powoli. Na próbach niech czyta to miejsce, a my powiemy, że oczekujemy na aktora, który ma je grać, i tak zobaczymy, jakby się do niego zabrać.

Gdy się co do tego zgodzili, rozmowa przeszła na ducha. Wilhelm nie chciał przystać na danie pedantowi roli żyjącego króla, żeby zrzęda mógł grać ducha; sądził natomiast, że trzeba będzie poczekać jeszcze jakiś czas, zanim się nie zgłosi trochę więcej aktorów, a pomiędzy nimi może się znaleźć stosowna osoba.

Można tedy sobie wyobrazić, jak zdziwił się Wilhelm, kiedy wieczorem pod adresem swego nazwiska teatralnego, znalazł na swym stole zapieczętowany następujący bilecik, kreślony dziwnym charakterem:

„Jesteś, o rzadki młodzieńcze, w wielkim, jak wiemy, kłopotcie. Ledwie ludzi znajdujesz do swego *Hamleta*, a cóż dopiero duchy! Gorliwość twoja zasługuje na cud; cudu dokonać wprawdzie nie możemy, ale stanie się coś cudownego. Jeżeli masz ufność, to w oznaczonej godzinie duch się zjawi! Bądź odważny i pozostań pewny siebie. Nie potrzeba odpowiedzi, dowiemy się o twoim postanowieniu”.

Z tym dziwnym listem pośpieszył do Serla, który odczytał go raz i drugi, a w końcu z zafrasowaną miną powiedział, że to ważna rzecz, że trzeba się dobrze namyśleć, czy można i czy należy się na to odważyć.

Rozmawiali długo za i przeciw; Aurelia milczała i od czasu do czasu uśmiechała się, a kiedy po kilku dniach znów była o tym mowa, dała dość wyraźnie do zrozumienia, że uważa to za żart ze strony Serla. Prosiła Wilhelma, żeby się przestał niepokoić i cierpliwie oczekiwał ducha.

W ogóle Serlo był w najlepszym humorze; odchodzący bowiem aktorzy starali się grać jak najlepiej, żeby było ich za co żałować, a z ciekawego oczekiwania na nowe towarzystwo mógł się spodziewać także jak najlepszego przyjęcia.

Także przestawanie z Wilhelmem wywarło na niego pewien wpływ. Zaczął więcej mówić o sztuce, bo ostatecznie był przecie Niemcem, a naród ten chętnie zdaje sobie sprawę z tego, co robi. Wilhelm zapisał sobie niejedną z takich rozmów, a że opowiadanie nie może tu być tak często przerywane, podamy także dramaturgiczne rozprawki przy innej sposobności dla tych z czytelników naszych, którzy się tym interesują.

Szczególnie wesoły był Serlo pewnego wieczoru, mówiąc, jak zamierza przedstawić rolę Poloniusza.

— Obiecuję tym razem — rzekł — bardzo godnego człowieka wystrychnąć na dudka; należyty spokój i pewność, pustkę i nadętość, uprzejmość i niesmaczne maniery, swobodę i uległość, dobroduszną chytrość i kłamaną prawdę, wszystko oddam bardzo powabnie, gdzie ich miejsce. Postaram się przedstawić i wygłosić jak najdawniej takiego siwego, uczciwego, wytrwałego, pracowitego półotra, a w tym niezłą przysługę wyświadczą mi trochę ostre i grube rysy pędzla naszego autora. Będę mówił jak książka, jeśli się przygotuję, a jak głupiec, kiedy będę w dobrym usposobieniu. Będę płaski, a żeby

<sup>107</sup>Hekuba (mit. gr.) — żona Priama, królowa Troi. [przypis edytorski]

każdemu dokuczyć, a zawsze tak zręczny, żeby nie spostrzegać, kiedy ze mnie ludzie kpią. Rzadko którą rolę wziąłem z taką ochotą i przebiegłością.

— Żebym to ja po mojej się tyle spodziewać! — rzekła Aurelia. — Nie mam ani dosyć młodości, ani dość miękkości, by się utrzymać w tym charakterze. Jedno wiem tylko, niestety: uczucie, które Ofelię pozbawia przytomności, nie opuści mnie.

— Nie myślimy brać tego dosłownie — odparł Wilhelm — bo właściwie moje pragnienie, by grać Hamleta, przy każdym studiowaniu sztuki najgorzej wprowadzało mnie w błąd. Im bardziej się wpatruję w swą rolę, tym mocniej się przekonuję, że w całej mojej postaci nie ma ani jednego rysu fizjonomii, jaką Szekspir daje swemu Hamletowi. Kiedy sobie dobrze rozważę, jak ściśle się wszystko wiąże w roli, to ledwie dowierzam, bym mógł wywołać choć znośne wrażenie.

— Wstępujesz pan w zawód aktorski z wielką sumiennością — odrzekł Serlo. — Aktor zastosowuje się do roli, jak może, a rola przylega do niego, jak musi. Ale jakżeż to Szekspir narysował swego Hamleta? Czy on do pana tak bardzo niepodobny?

— Przede wszystkim Hamlet jest blondynem — odpowiedział Wilhelm.

— To mi się wydaje wyszukane — rzekła Aurelia. — Z czego pan to wnioskuje?

— Jako Duńczyk, jako mieszkaniec północy jest on blondynem od urodzenia i ma niebieskie oczy.

— Czyżby Szekspir wspominał o tym?

— Nie zostało to wyraźnie powiedziane, ale w związku z innymi miejscami wydaje mi się to rzeczą niezaprzeczoną. Fechtunek mu ciąży, pot spływa mu z twarzy, a królowa powiada: „Jest gruby, niechże odetchnie”. Czy można go sobie wyobrazić tu inaczej jak blondyna i o dobrej tuszy? Bo bruneci rzadko za młodu są w tym przypadku. A czyż jego bujająca melancholia, jego miękka żaloba, jego brak stanowczości w czynie nie lepiej zgadza się z taką postacią, niż gdy sobie wyobrazicie smukłego młodzieńca o ciemnych puklach, od którego oczekuje się więcej stanowczości i zwinności?

— Psujesz mi pan wyobraźnię — zawołała Aurelia — precz mi z pańskim tłustym Hamletem! Nie przedstawiaj nam pan swego opasłego królewicza! Daj nam pan raczej jakieś *qui pro quo*<sup>108</sup>, które by nas zajęło, które by nas wzruszyło. Intencja autora nie tyle nas obchodzi, co nasze zadowolenie, a my pożądamy powabu, który jest dla nas jednorodny.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pewnego wieczoru towarzystwo spierało się, co zasługuje na pierwszeństwo: romans czy dramat? Serlo zapewniał, że to daremny spór, nieprowadzący do niczego; i ten, i tamten mogą być w swoim rodzaju wyborne, byleby tylko trzymały się w granicach swego gatunku.

— Ja sam nie mam jeszcze o tym dostatecznie jasnego pojęcia — powiedział Wilhelm.

— A któż je ma? — odparł Serlo. — A przecież warto byłoby cokolwiek dokładniej zapoznać się z tą sprawą.

Rozmawiali dużo tak i owak, a w końcu taki był mniej więcej wynik ich rozważań:

Zarówno w romansie, jak w dramacie widzimy ludzką naturę i działanie. Różnica pomiędzy tymi dwoma rodzajami poezji polega nie tylko na formie zewnętrznej, nie tylko na tym, że w jednym osoby mówią same, a w drugim zazwyczaj o nich się opowiada. Niestety, wiele dramatów to tylko dialogowane romanse, a nie byłoby rzeczą niemożliwą napisać dramat w listach.

W romansie powinny być przeważnie przedstawiane nastroje i zdarzenia, w dramacie — charaktery i czyny. Romans musi postępować powoli, a nastroje postaci głównej muszą w jakiś sposób wstrzymywać popęd całości ku rozwojowi. Dramat powinien pośpieszać, a charakter postaci głównej musi zdążać do rozwiązania i jedynie być wstrzymywany. Bohater romansu musi być bierny, a przynajmniej nie w wysokim stopniu czynny; od dramatycznego wymaga się działania i czynu. Grandison, Klarysa, Pamela<sup>109</sup>, Pleban

<sup>108</sup>*qui pro quo* (łac.) — nieporozumienie, pomyłka co do osoby. [przypis edytorski]

<sup>109</sup>*Grandison, Klarysa, Pamela* — tytułowe postacie romansów epistolarnych angielskiego pisarza Samuela Richardsona, prekursora powieści: *Dzieje sir Charlesa Grandisona* (1753), *Klarysa czyli historia młodej damy* (1748), *Pamela czyli cnota nagrodzona* (1740). [przypis edytorski]

z Wakefield<sup>110</sup>, Tom Jones<sup>111</sup> są przecie osobami jeżeli nie biernymi, to opóźniającymi rozwój, a wszystkie zdarzenia bywają modelowane w pewnej mierze według ich nastrojów. W dramacie bohater niczego nie modeluje według siebie; wszystko mu stawia opór, a on uprzęta i usuwa przeszkody ze swej drogi, albo też im ulega.

Zgodzono się także na to, że w romansie można zezwolić na grę przypadku, ale że musi on być kierowany i prowadzony przez nastroje osób; że natomiast los, który ludzi, bez ich przyczynienia się, wskutek niezależnych zewnętrznych okoliczności pcha ku nieprzewidzianej katastrofie, może mieć miejsce tylko w dramacie; że przypadek może wywoływać sytuacje patetyczne, lecz nigdy tragicznych; że przeciwnie, los musi być zawsze straszny, a staje się tragiczny w znaczeniu najwyższym, kiedy winne i niewinne, a od siebie wzajem niezależne czyny wprowadza w nieszczęsne zagmatwanie.

Roztrząsania te naprowadziły znowuż na cudnego *Hamleta* i na właściwości tej sztuki.

— Bohater — mówiono — posiada właściwie także tylko nastroje; zdarzenia jedynie się ku niemu zwracają, a z tego względu sztuka ta ma w sobie coś z rozciągłości romansu, ale ponieważ los nakreślił plan, ponieważ sztuka rozpoczyna się od strasznego czynu, a bohater jest wciąż popychany do strasznego czynu, więc jest ona tragiczna w najwyższym znaczeniu i nie znosi żadnego innego zakończenia prócz tragicznego.

Miała się tedy odbyć próba czytana, którą Wilhelm uważał właściwie za uroczystość. Z góry skolajonował rolę, tak że z tej strony nie mogło być żadnego uchybienia. Wszyscy aktorzy byli obeznani ze sztuką, toteż starał się tylko przed rozpoczęciem przekonać ich o ważności próby czytanej.

— Jak się wymaga od każdego muzyka — mówił on — ażeby przynajmniej do pewnego stopnia mógł grać z nut, tak też powinien każdy aktor, ba, każdy dobrze wychowany człowiek ćwiczyć się w czytaniu bez przygotowania, by natychmiast zdołał pochwycić charakter danego dramatu, poematu, opowieści i wygłosić je biegle. Uczenie się na pamięć nic nie pomoże, jeżeli aktor nie wniknął wpierw w ducha i myśl dobrego pisarza; litera nic nie działa.

Serlo zapewniał, że przychylnie przyjrzy się każdej innej próbie, nawet próbie generalnej, jeśli próba czytana odbędzie się z należytych zrozumieniem.

— Bo zazwyczaj — powiedział — nie ma nic zabawniejszego, niż kiedy aktorzy mówią o studiowaniu; to mi tak wygląda, jak kiedy wolnomularze<sup>112</sup> mówią o pracy.

Próba odbyła się według życzenia i można powiedzieć, że sława i dobre przyjęcie towarzystwa ugruntowały się na tych kilku dobrze zużytych godzinach.

— Dobrześ pan zrobił, mój przyjacielu — rzekł Serlo, gdy znów zostali sami — przemawiając tak poważnie do naszych współpracowników, chociaż obawiam się, że chyba nie spełnią pańskich życzeń.

— Dlaczego? — zapytał Wilhelm.

— Zauważyłem — odparł Serlo — że choć łatwo jest wprawić w ruch wyobraźnię ludzi, choć chętnie słuchają baśni, to rzadko się zdarza znaleźć wśród nich pewien rodzaj wyobraźni produktywnej. Wśród aktorów rzuca się to w oczy. Każdy jest wielce zadowolony, gdy bierze piękną, godną pochwały, błyskotliwą rolę, lecz rzadko kto robi coś więcej niż postawienie się z zadowoleniem na miejscu bohatera, przy czym wcale nie troszczy się o to, czy też go ktokolwiek za niego weźmie. Pojmować jednak żywo, co sobie autor w sztuce zamierzył, co trzeba odjąć ze swej indywidualności, aby uczynić zadość roli, jakim sposobem za pośrednictwem własnego przeświadczenia, że się jest całkiem innym człowiekiem, można pozyskać także widza dla takiego przeświadczenia, jakim sposobem wewnętrzną prawdą potęgi przedstawienia przemienić te deski w świątynie, a te tektury

<sup>110</sup>*Pleban z Wakefield* — tytułowy bohater powieści irlandzkiego pisarza Olivera Goldsmitha z roku 1766. [przypis edytorski]

<sup>111</sup>*Tom Jones* — tytułowy bohater oświeceniowej powieści przygodowo-obyczajowej *Historia życia Toma Jonesa, czyli dzieje podrzutka* (1749) angielskiego pisarza Henry'ego Fieldinga. [przypis edytorski]

<sup>112</sup>*wolnomularze* — masoni, członkowie powstałego w XVIII w. hermetycznego stowarzyszenia międzynarodowego o hierarchicznej strukturze wewnętrznej, którego przedmiotem zainteresowania jest duchowe doskonalenie człowieka i braterstwo ludzi różnych religii, narodowości i poglądów, pielęgnowanie zasad moralnych i idei Oświecenia; symbolika masonerii odwołuje się do przenośni budowania jako obowiązku każdego z członków, do używanych symboli należą przedmioty używane w pracy przez dawnych murarzy: węgielnica, kielnia, fartuch, pion i młotek; nazwa „wolnomularstwo” oznacza wolne murarstwo, gdyż słowo „murarz” i „mularz” były synonimami. [przypis edytorski]

w lasy — to niewielu jest dane. O tej wewnętrznej sile ducha, przez którą jedynie widz bywa omamiony, o tej kłamanej prawdzie, która sama tylko wywołuje efekt, przez którą wyłącznie osiąga się złudę, o tym wszystkim któż ma pojęcie?

— Ależ nie nastawaj pan zbyt mocno na wnikanie w ducha i wrażenie! Najbezpieczniejszym środkiem jest, jeśli naszym przyjaciółom z początku wyjaśnimy spokojnie znaczenie litery i otworzymy im rozum. Kto ma zdolności, podąży potem sam ku pomysłowemu i pełnemu uczucia wyrażeniu; a kto ich nie ma, nigdy przynajmniej nie zagra i nie zdeklamuje całkiem fałszywie. Co do mnie, zarówno u aktorów, jak i w ogóle, nie znam szkodliwszej zarozumiałości nad tę, kiedy ktoś rości sobie pretensje do ducha, zanim litera stała się dla niego zupełnie wyraźna i zrozumiała.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wilhelm przyszedł na pierwszą próbę teatralną bardzo wcześnie i znalazł się na deskach sam. Miejsce to zadziwiło go i przywołało najcudniejsze wspomnienia. Dekoracja leśna i wiejska stała tu zupełnie tak, jak na scenie jego miasta rodzinnego, i to właśnie również na próbie, kiedy w tamten dzień Marianna wyznała mu swą gorącą miłość i przyrzekła mu pierwszą szczęśliwą noc. Chaty wieśniaków podobne były do siebie w teatrze tak samo jak na wsi; prawdziwe poranne słońce, wpadając poprzez na pół otwartą okiennicę, oświetlało część ławki, która była słabo przymocowana przy drzwiach; tylko niestety, nie świeciło tak jak wówczas na łonie i piersiach Marianny. Usiadł, zamyślił się nad tą dziwną zgodnością i jakby miał przecucie, że może w tym miejscu ujrzy ją niebawem znowu. Ach, a to było tylko po prostu sztuką końcową, do której należały te dekoracje, dawaną wówczas bardzo często w teatrze niemieckim...

Rozmyślania przerwali mu inni nadchodzący aktorzy, z którymi zjawili się razem dwaj przyjaciele teatru i garderoby i z zapalem powitali Wilhelma. Jeden z nich był niejako przybocznym pani Melina; drugi zaś zupełnie szczerym miłośnikiem sztuki aktorskiej, a obaj w tym rodzaju przyjaciół, jakich sobie może życzyć każde dobre towarzystwo. Trudno było powiedzieć, czy teatr bardziej znali, czy lubili. Lubili go zanadto, ażeby go znać dobrze; znali go dosyć, aby dobro cenić, a zło potępiać. Jednak wobec ich zamiłowania mierność nie była dla nich rzeczą nieznośną, a wspaniała rozkosz, z jaką nasycali się dobrem przed przedstawieniem i po nim, nie da się wyrazić słowami. Strona mechaniczna sprawiała im radość, duchowa ich zachwyciała, a ich zamiłowanie tak było wielkie, że nawet pokawalkowana próba wprawiała ich w pewien rodzaj złudzenia. Braki, zdawało się, umykały wciąż w dal przed nimi, a dobre rzeczy dotykały ich jak przedmiot rzeczywisty. Jednym słowem byli miłośnikami, jakich życzy sobie artysta w swoim zawodzie. Najmilsza ich wędrownica prowadziła z kulis na parter, z parteru do kulis; najprzyjemniejszym miejscem pobytu była garderoba, najpilniejszym zajęciem poprawianie czegoś w postawie, ubraniu, wygłasaniu i deklamacji aktorów, najżywszą ich rozmową — o sprawionym efekcie, a najustawiczniejszym usiłowaniem — żeby aktor wciąż był uważny, czynny i skrupulatny, żeby mu zrobić coś dobrego lub miłego i sprawić towarzystwu tę i ową przyjemność bez marnotrawstwa. Oni dwaj wyjednali dla siebie wyłączne prawo ukazywania się na scenie na próbach i przedstawieniach. Co do wystawienia *Hamleta*, nie we wszystkich punktach zgadzali się z Wilhelmem; tu i ówdzie ustępował im, przeważnie jednak utrzymywał się przy swym zdaniu, a w ogólności rozmowy te wielce się przyczyniły do wykształcenia jego smaku. Dał poznać obu przyjaciółom, jak wielce ich ceni; oni natomiast przepowiadali z tych połączonych usiłowań ni mniej, ni więcej, jak nową epokę dla teatru niemieckiego.

Obecność tych obu panów na próbach była bardzo użyteczna. Mianowicie przekonali naszych aktorów, że na próbie trzeba ustawicznie łączyć postawę i akcję z mową i wszystko przez przyzwyczajenie jednoczyć mechanicznie tak, jak się to zamierza pokazać na przedstawieniu. Zwłaszcza nie należy na próbie tragedii robić rękami byle jakich ruchów; aktor tragiczny, który na próbie zażywa tabakę, zawsze przejmuje niepokojem; gdyż najprawdopodobniej na przedstawieniu w odpowiednim miejscu brak mu będzie tego niucha. Ba, utrzymywali oni, że nigdy nie należy robić próby w butach, jeżeli rolę trzeba grać w trzewikach. Nic jednak, wedle ich zapewnienia, bardziej ich nie bolało, jak to, kiedy kobiety na próbach chowały ręce w fałdy sukien.

Prócz tego skutek zachęty tych panów stało się jeszcze coś bardzo dobrego, mianowicie, że wszyscy mężczyźni nauczyli się musztry.

— Przy tak wielu rolach wojskowych — powiadali — nie ma widoku smutniejszego niż ludzie nieokazujący najmniejszej wprawy, gdy powinni paradować po scenie w mundurze pułkownika lub majora.

Wilhelm i Laertes pierwsi poddali się pedagogice podoficera, a przy tym w dalszym ciągu z wielkim natężeniem prowadzili swe ćwiczenia szermiercze.

Tyle to trudu zadawali sobie dwaj panowie w wykształceniu towarzystwa, które się tak szczęśliwie dobrało. Troszczyli się o przyszłe zadowolenie publiczności, gdy ta od czasu do czasu podkpiwała z ich tak wyraźnego amatorstwa. Nie wiedziano, jak dalece należała się im wdzięczność, zwłaszcza że nie zaniedbywali często wdrażać aktorom tej głównej zasady, iż przede wszystkim obowiązkiem ich jest mówić głośno i zrozumiale. Znaleźli co do tego więcej oporu i niechęci, niż zrazu myśleli. W większości aktorzy chcieli być słuchani tak, jak mówili, a niewielu tylko usiłowało mówić tak, żeby ich można było słyszeć. Niektórzy składali winę na budynek, inni mówili, że przecież nie można krzyczeć, kiedy się mówi naturalnie, tajemnie lub czule.

Nasi przyjaciele teatru, mając niewysłowioną cierpliwość, starali się wszelkimi sposobami rozplątać to zamieszanie i zapobiec temu uporowi. Nie szczydzili ani racji, ani pochlebstw i osiągnęli w końcu swój zamiar, przy czym wielce im się przydał dobry przykład Wilhelma. Wyprosił sobie, żeby na próbach siadali w najodleglejszych kątach, a gdy tylko rozumieć go będą nie całkiem dokładnie, żeby stukali kluczem o ławkę. Wyglądał dobrze, wymawiał tonem umiarkowanym, podnosił go stopniowo, ale nie popadał w krzyk nawet w najgwałtowniejszych miejscach. Stukające klucze przy każdej następnej próbie słyhać było coraz mniej; powoli i inni zezwolili na taką samą operację i można było mieć nadzieję, że w końcu sztuka będzie mogła być rozumiana przez każdego, we wszystkich zakątkach teatru.

Widać z tego przykładu, jak chętnie ludzie pragną osiągnąć cel tylko na własny sposób, ile potrzeba zabiegów, by sprawić, żeby zrozumieli to, co się właściwie jest oczywiste, i jak trudno temu, kto pragnie czegoś dokonać, wyjaśnić należycie pierwsze warunki, pod którymi jedynie przedsięwzięcie staje się możliwe.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Prowadzono tedy dalej konieczne przygotowania do dekoracji, kostiumów i innych niezbędnych rzeczy. Co do niektórych scen i ustępów Wilhelm miał szczególne wymagania, którym Serlo ustępował, częściowo ze względu na umowę, częściowo z przekonania; przy tym miał nadzieję pozyskania sobie Wilhelma tą uprzejmością, a następnie tym łatwiejszego kierowania nim według swoich zamiarów.

I tak na przykład król i królowa mieli przy pierwszym posłuchaniu ukazać się na tronie, dworzanie stać po bokach, a Hamlet w sposób nieznaczący pomiędzy nimi.

— Hamlet — mówił Wilhelm — powinien zachowywać się spokojnie; jego czarny ubiór dostatecznie go już wyróżnia. Powinien raczej ukrywać się niż się wybijać naprzód. Dopiero wówczas, gdy posłuchanie się skończy, gdy król rozmawia z nim jak z synem, wtedy niechaj wystąpi i scena potoczy się swoją koleją.

Jeszcze jedną wielką trudność stanowiły dwa obrazy, na które Hamlet tak gwałtownie powołuje się w scenie z matką.

— Powinny — rzekł Wilhelm — oba być dla mnie widoczne w całej wielkości naturalnej w głębi pokoju, obok drzwi głównych, a mianowicie stary król powinien być w pełnej zbroi, tak jak duch, i wisieć po tej samej stronie, gdzie się ten ukazuje. Chciałbym, żeby figura prawą ręką przybrała postawę nakazującą, była trochę odwrócona i patrzyła jakby przez ramię, iżby zupełnie upodobniła się do ducha w chwili, gdy wychodzi drzwiami. Wywrze to wielki efekt, kiedy w owej chwili Hamlet spoglądać będzie ku duchowi, a królowa na obraz. Ojczym niech będzie przedstawiony w płaszczu królewskim, lecz mniej świetnym niż tamten.

Było też jeszcze kilka innych punktów, o których może zdarzy się nam sposobność pomówić.



— Obstawiasz pan nieodwołalnie przy tym, żeby Hamlet na końcu umarł? — spytał Serlo.

— Jakżeż ja go mogę utrzymać przy życiu — odrzekł Wilhelm — kiedy cała sztuka pędzi go ku śmierci? Mówiliśmy już przecie o tym bardzo obszernie.

— Ale publiczność pragnie mieć go żywego.

— Chętnie jej dogodzę w czymkolwiek innym, ale tym razem jest to rzecz niemożliwa. I my pragniemy, żeby dłużej pożył dzielny, użyteczny człowiek umierający na chroniczną chorobę. Rodzina płacze i zaklina lekarza, który nie może go ocalić; a jak on nie zdoła oprzeć się konieczności przyrody, tak i my nie możemy rozrządzać uznaną koniecznością sztuki. To niedorzeczna uległość wobec tłumu, kiedy się w nim budzi uczucia, jakich pragnie doznawać, a nie te, jakich doznawać powinien.

— Kto przynosi pieniądze, może żądać towaru według swego gustu.

— Do pewnego stopnia: jednak wielka publiczność zasługuje, żeby ją szanowano, żeby nie traktowano jej jak dzieci, którym się chce odebrać pieniądze. Niech w nich budzą z wolna, przez rzeczy dobre, poczucie i smak dla rzeczy dobrych, a będzie wydawała swe pieniądze z podwójnym zadowoleniem, gdyż przy takim wydatku nic jej zarzucić nie może rozsądek, ani sam rozum. Można jej pochlebiać jak ukochanemu dziecku, pochlebiać, by je poprawić, by je kiedyś do rozumu doprowadzić, a nie jak osobom wpływowym i bogatym, by uwiecznić błąd, który się wyzyskuje.

Omawiali tak jeszcze kilka innych spraw, odnoszących się zwłaszcza do pytania, co trzeba by było jeszcze zmienić w sztuce, a co ma pozostać nienaruszone. Nie zapuszczamy się tu dalej w te kwestie, ale może kiedyś przedstawimy samo to nowe opracowanie *Hamleta* tej części czytelników naszych, która mogła by się tym zainteresować.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Minęła próba generalna, trwała ona nadmiernie długo. Serlo i Wilhelm znaleźli jeszcze to i owo do zrobienia, gdyż pomimo znacznego czasu zużytego na przygotowanie, odłożono nader konieczne urządzenia na ostatnią chwilę.

I tak na przykład obrazy dwu królów nie były jeszcze gotowe, a scena między Hamletem a jego matką, scena, po której spodziewano się tak wielkiego efektu, wyglądała jeszcze bardzo blade, ponieważ nie byli na niej obecni ani duch, ani jego malowany wizerunek. Serlo żartował przy tej sposobności i mówił:

— Ślicznie byśmy się doprawdy urządzili, gdyby duch się nie zjawił, gdyby straż walczyła rzeczywiście z powietrzem, a mowę ducha musiał wypowiedzieć zza kulis nasz suffer.

— Nie odstrasżajmy naszego cudownego przyjaciela swoją niewiarą — odparł Wilhelm — przyjdzie z pewnością we właściwym czasie, zdumiewając zarówno nas, jak i widzów.

— Doprawdy — zawołał Serlo — będę się cieszyć, jeśli jutro odegra się sztukę; sprawa nam ona większy kłopot, niż sądziłem.

— Ale nikt w świecie nie będzie się cieszył bardziej ode mnie, jeśli odegramy jutro sztukę — zauważyła Filina — chociaż moja rola tak mało mi dolega. Bo ciągle i ciągle słuchać rozmów o jednej rzeczy, z czego przecie nic ważniejszego nie wyniknie, tylko przedstawienie, które, jak tyle setek innych, zostanie zapomniane, do tego nie starczy mi cierpliwości. Nie róbcież, na miłość boską, tyle zachodów! Goście, wstając od stołu, mają potem coś do zarzucenia każdej potrawie; ba, kiedy się ich słyszy rozmawiających w domu, to ledwie pojmują, jakim sposobem mogli taką mizериę wytrzymać.

— Pozwól mi wykorzystać swoje porównanie na moją korzyść, piękne dziecko! — odparł Wilhelm. — Pomyśl no pani, czego natura i sztuka, handel, rzemiosła i przemysł dokonać muszą razem, żeby mogła zostać wydana uczta. Ile to lat musi spędzić jelen w lesie, ryba w rzece lub morzu, aż się godna stanie do ukazania się na naszym stole, a ileż to mają do zrobienia gospodyni i kucharka w kuchni! Z jaką niedbałą swobodą spija się po obiedzie troskę najbardziej oddalonego winiarza, żeglarza, piwniczego, jak gdyby to tak być już musiało. I dlatego mieliby ci wszyscy ludzie nie pracować, nie tworzyć i nie przygotowywać, a gospodarz nie miałby tego wszystkiego starannie zbierać i utrzymywać, że w końcu przyjemność spożycia jest przemijająca? Ależ żadna rozkosz nie jest przemijająca, gdyż wrażenie przez nią pozostawione jest trwale, a co się czyni z pilnością i wytężeniem,

Pieniądz

to udziela samemu widzowi pewnej ukrytej siły, o której wiedzieć nie można, jak daleko rozciąga swe działanie.

— Mnie to wszystko jedno — odparła Filina — ale i tym razem musiałam doświadczyć, że mężczyźni zawsze są sami ze sobą w niezgodzie. Przy całej swojej sumienności i chęci, by nie okaleczyć wielkiego autora, wypuszczacie przecież ze sztuki najpiękniejszą myśl.

— Najpiękniejszą? — zawołał Wilhelm.

— Pewnie, że najpiękniejszą, z której sam Hamlet wyciąga dla siebie korzyść.

— I cóż to za myśl? — zapytał Serlo.

— Gdybyś pan miał na głowie perukę — odparła Filina — tobym ją panu zdjęła pięknie, ładnie, bo widać potrzeba panu koniecznie rozum otworzyć.

Inni zamyślili się, a rozmowa utknęła. Powstano, było już późno, zdawało się, że chciano się rozejść. Kiedy tak stali niezdecydowani, Filina zaczęła śpiewać piosenkę bardzo ładną i przyjemną na nutę:

Niech ustaną smutne śpiewy,  
Że samotna bywa noc;  
Nie, bynajmniej, piękne dziewy —  
Towarzyską jest jej moc.

Jak niewiastę Bóg mężowi  
Połowicą<sup>113</sup> raczył dać;  
Tak pół życia noc stanowi,  
I piękniejsze pół — to znać.

Dniem możecie się radować,  
Co rozkoszy szereg rwie?  
Dobrze w nim jest baraskkować,  
Lecz nic więcej; nie, o! nie!

Kiedy zaś w nocnej godzinie  
Słodko spada lampy mrok  
I z ust do ust rączo płynie  
Żart i miłość, błądzi wzrok,

Kiedy chybkie<sup>114</sup> wolne chłopię,  
Co zazwyczaj dziko mknie,  
Przy małutkiej nieraz stopie  
Wśród igraszek wstrzyma się,

Kiedy słowik zakochanym  
Piosnką o miłości skrzy,  
Co więzionym, zatroskanym  
Jako «ach!» i «biada!» brzmi,

Z jakże lekkim serca drzeniem  
Wysłuchujecie się w ten dzwon,  
Co dwunastym uderzeniem  
Daje wam spokoju plon!

A więc, gdy ci dzień się dłuży,  
Zważ to sobie, serce me:  
Każdy dzionek z trosk ma stróży,  
Noc zaś ma rozkosze swe.

Noc, Rozkosz

<sup>113</sup>polowica (daw.) — połowa; przen.: żona, małżonka. [przypis edytorski]

<sup>114</sup>chybki (daw.) — szybki i zwinny. [przypis edytorski]

Skończywszy, lekko się ukloniła, a Serlo wykrzyknął dla niej głośne brawo. Skoczyła do drzwi i oddaliła się ze śmiechem. Słyszano, jak zbiegając ze schodów, śpiewała i stukala obcasami.

Serlo wszedł do bocznego pokoju, a Aurelia zatrzymała się jeszcze kilka chwil przed Wilhelmem, który życzył jej dobrej nocy, i rzekła:

— Jakże ona jest dla mnie wstrętna! Wstrętna dla mej wewnętrznej istoty, aż do najdrobniejszych przypadłości. Prawa ręka czarna przy włosach blond i kresa na czole mają dla mnie coś tak niemiłego, coś tak nikczemnego, że zawsze mam ochotę cofnąć się na dziesięć kroków od niej. Niedawno żartowała, że kiedy była dzieckiem, ojciec rzucił jej talerzem w głowę, od czego do dziś nosi znak. Bo też jest dobrze naznaczona na oczach i czole, żeby się jej strzeżono.

Wilhelm nic nie odpowiedział, Aurelia zaś, jak się zdawało, z większym gniewem mówiła dalej:

— Prawie mi niepodobna przemówić do niej przyjaznym, grzecznym słowem, tak mocno jej nienawidzę, a przecież ona taka przylepka. Pragnęłabym się jej pozbyć. I ty, mój przyjacielu, masz jakąś słabość dla tego stworzenia, zachowani, które mnie drażni w duszy, względy, które graniczą z szacunkiem, a na które ona, na Boga, nie zasługuje!

— Jakakolwiek jest, winienem jej wdzięczność — odparł Wilhelm. — Jej postępowanie warte nagany, jej charakterowi oddać muszę sprawiedliwość.

— Charakterowi! — zawołała Aurelia. — Czyż pan sądzisz, że takie stworzenie ma charakter? O, mężczyźni, poznają was po tym! Takich kobiet jesteście warcil!

— Czyżbyś mnie podejrzewała, moja przyjaciółko? — odparł Wilhelm. — Mogę zdać sprawę z każdej minuty, jaką z nią spędziłem.

— No, no! — rzekła Aurelia. — Już późno, nie spierajmy się. Wszyscy jak jeden, jeden jak wszyscy! Dobranoc, mój przyjacielu! Dobranoc, mój śliczny rajski ptaku!

Wilhelm zapytał, skąd mu się dostał ten honorowy tytuł.

— Innym razem — odrzekła Aurelia — innym razem. Powiadają, jakoby one wcale nie miały nóg, jakoby pływały tylko w powietrzu i żywiły się eterem. Ale to baśń — mówiła dalej — zmyślenie poetyckie. Dobranoc, niechże się panu przyśni coś pięknego, jeśli masz szczęście.

Weszła do swego pokoju i pozostawiła go samego; pośpieszył do swej izdebki. Wpół gniewny chodził w tę i z powrotem. Żartobliwy, ale stanowczy ton Aurelii obraził go; czuł głęboko, jaką krzywdę mu wyrządziła. Z Filiną nie mógł się obchodzić niechętnie lub niegrzecznie; względem niego w niczym nie zawiniła, a zresztą tak daleki czuł się od wszelkiej skłonności ku niej, że mógł dumnie i mężnie wytrzymać sąd nad sobą samym.

Zamierzał się właśnie rozbierać, pójść do sypialni i odsunąć kotary, gdy ku swemu największemu zdziwieniu zobaczył parę kobiecych pantofelków przed łóżkiem, jeden stał, drugi leżał... Były to pantofle Filiny, poznał je aż nadto dobrze, sądził też, że spostrzega jakiś nieporządek w kotarach, bo zdawało mu się, że się one poruszają; stał i wpatrywał się pilnie.

Nowe wzruszenie duszy, które poczytywał za gniew, zatamowało mu oddech, po krótkim przestanku, ochłonawszy, zawołał pewnym siebie głosem:

— Proszę wstawać, Filino! Co to ma znaczyć? Gdzież twoja roztropność, twoje dobre prowadzenie się? Czy mamy jutro stać się przedmiotem plotek?

Nic się nie ruszyło.

— Nie żartuję — mówił dalej — te igraszki względem mnie są zupełni niestosowne. Żadnego głosu! Żadnego poruszenia!

Krokiem stanowczym i gniewnym zbliżył się wreszcie do łóżka i rozsunął szybko kotary.

— Proszę wstawać — rzekł — jeżeli nie mam pani na tę noc pozostawić pokoju.

Z wielkim zdumieniem zauważył, że łóżko jest puste, a poduszki i kołdrę w najpiękniejszym spokoju. Obejrzał się, szukał, przetrząsał wszystko i nie znalazł ani śladu figlarza. Za łóżkiem, za piecem, za szafami niczego nie było; poszukiwał coraz to pilniej, ba, złośliwy obserwator mógłby pomyśleć, że szukał, by znaleźć.

Sen go odbiegł; Wilhelm położył pantofle na stole; przechadzał się wzdłuż i wszerz, stawał niekiedy przy stole, a figlarny chochlik, który go szpiegował, zapewnia, że znaczną

część nocy zajmował się nader miłymi kopytkami, że przypatrywał się im z pewnym zainteresowaniem, brał je w ręce, bawił się nimi i dopiero nad ranem rzucił się w ubraniu na łóżko, zasypiając wśród najdziwniejszych majaczeń.

I rzeczywiście spał jeszcze, kiedy wszedł Serlo i zawołał:

— A pan gdzie? Jeszcze w łóżku? Czy podobna! Szukałem pana w teatrze, gdzie jeszcze niejedno jest do zrobienia.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Ranek i popołudnie upłynęły szybko. Teatr był już pełny, a Wilhelm pośpiesznie się ubierał. Nie mógł ją teraz założyć maski z taką swobodą, z jaką po raz pierwszy ją przymierzał; ubrał się czym prędzej, aby zbyć. Kiedy zeszedł do kobiet w pokoju spotkań, zakrzyrzały go jednogłośnie, że nic na nim nie leży jak trzeba, że piękny pióropusz jest skrzywiony, że sprzączka niedociągnięta; zaczęto znowu rozdzierać, zszywać, zakładać. Rozpoczęła się symfonia; Filina miała coś do zarzucenia kryzie, Aurelia — wiele do wytknięcia płaszczowi.

— Dajcie mi spokój, dzieciaki — zawołał — to zaniedbanie zrobi mnie prawdziwym Hamletem.

Kobiety nie chciały go puścić i w dalszym ciągu stroiły. Symfonia zamilkła; rozpoczęła się sztuka. Przejrzał się w zwierciadło, nacisnął kapelusz głębiej na czoło i poprawił makijaż.

W tej chwili ktoś wpadł i zawołał:

— Duch! Duch!

Wilhelm przez cały dzień nie miał czasu pomyśleć o głównej trosce: czy duch przybędzie. Teraz całkiem zniknęła, należało tylko oczekiwać nader dziwnej roli gościnniej. Przyszedł maszynista teatralny, zapytując o to i owo; Wilhelm nie miał czasu, by się przyrzeć widziadłu, i pośpieszył, by stanąć przy tronie, na którym król i królowa, otoczeni swym dworem, jaśnieli już w całej wspianiałości; posłyszał już tylko ostatnie słowa Horacego, który w pomieszaniu mówił o zjawieniu się ducha i jak się zdawało, prawie zapomniawszy swej roli.

Druga kurtyna podniosła się w górę; ujrzał pełny teatr przed sobą. Horacy, skończywszy swą mowę, odpawiony przez króla, przecisnął się do Hamleta i jakby przedstawiając się królewiczowi, rzekł:

— Diabeł siedzi w pancerzu! Nabawił strachu nas wszystkich!

Między jedną sceną a drugą widziano tylko dwu dużych mężczyzn stojących w kulisach, w białych płaszczach i kapturach, a Wilhelm, któremu w roztargnieniu, niepokoju i zakłopotaniu, jak mu się zdawało, pierwszy monolog się nie udał, chociaż przy odejściu towarzyszyły mu żywe oklaski, wystąpił wśród strasznej, dramatycznej nocy zimowej rzeczywiście bardzo rozstrojony. Skupił jednak siły i z należytych spokojem wypowiedział tak stosownie umieszczony ustęp o biesiadach i pijatce mieszkańców północy, że zapomniawszy skutku tego, tak samo jak widzowie, o duchu i przeraził się istotnie, gdy Horacy zawołał:

— Patrzcie no, nadchodzi!

Odwrócił się gwałtownie, a szlachetna wysoka postać, cichy, niedosłyszany chód, lekkie ruchy w zbroi, która wydawała się ciężka, zrobiły na nim tak silne wrażenie, że stanął jak skamieniały i mógł ledwie półgłosem zawołać:

— O, wy aniołowie i duchy niebieskie, brońcie nas!

Nie odrywał oczu od ducha, odetchnął kilkakrotnie, a swą przemowę wypowiedział w sposób tak zawikłany, poszarpany i wymuszony, że największa nawet sztuka nie zdołałaby wyrazić jej tak doskonale.

Jego przekład tego ustępu bardzo mu się przydał. Trzymał się ściśle oryginału, którego sam tylko szyk wyrazów, jak mu się zdawało, wypowiadał stan umysłu zdumionego, przerażonego, zdjętego grozą.

— Czy jesteś dobrym duchem, czy potępionym koboldem, czy przynosisz z sobą wonie niebios, czy pary piekielne, czy dobre, czy złe jest twe przedsięwzięcie, zjawiasz się w tak szanownej postaci, tak, mówię z tobą, nazywam cię Hamletem, królem, ojcem, o! odpowiedz mi!

Wśród publiczności zauważyć można było nadzwyczaj wielkie wrażenie. Duch skinął, królewicz poszedł za nim wśród rozgłosnych oklasków.

Sceneria się zmieniła, a gdy przyszedli na oddalone miejsce, duch niespodzianie zatrzymał się i odwrócił; wskutek tego Hamlet znalazł się trochę za blisko niego. Z upragnieniem i ciekawością Wilhelm natychmiast zajął pod spuszczone przyłbicę, ale zobaczył tylko wgłębione oczy obok ładnie ukształtowanego nosa. Trwożnie śledząc, stał przed nim, ale gdy spod hełmu wydobyły się pierwsze dźwięki, gdy dźwięczny, tylko nieco szorstki głos dał się słyszeć słowami: „Jestem duchem ojca twego”, Wilhelm wzdrygnąwszy się, odstąpił kilka kroków, a i cała publiczność się wzdrygnęła. Głos każdemu wydawał się znany i Wilhelmowi zdawało się, że jest podobny do głosu jego ojca. Te nadzwyczajne wzruszenia i wspomnienia, ciekawość odkrycia dziwnego przyjaciela i obawa, by go nie obrazić, nawet niestosowność, iż w tej sytuacji jako aktor poszedł zbyt blisko niego, wstrząsały Wilhelma w przeciwnych kierunkach. Podczas długiego opowiadania ducha zmieniał swą postawę tak często, wydawał się tak niezdecydowany i skłopotany, tak uważny i tak roztargniony, że gra jego wywołała powszechny podziw, duch zaś — powszechną grozę. Ten przemawiał raz z głębokim uczuciem przygnębienia raczej niż narzekania, ale przygnębienia duchowego, powolnego i niezgłębionego. Był to smutek wielkiej duszy, która oddzielona jest od wszystkich rzeczy ziemskich, a jednak podlega nieskończonym cierpieniom... W końcu duch się zapadł, ale w dziwny sposób, gdyż lekka, szara, przezroczysta gaza, która zdawała się wydobywać z rozpadliny jak para, rozpostarła się nad nim i wraz z nim opadła w dół.

Wtedy powrócili przyjaciele Hamleta i przysięgli na miecz. Wówczas stary kret tak się okazywał ruchliwy pod ziemią, że gdziekolwiek stanęli, zawsze odzywał się im pod nogami: „Przysięgnijcie!”, a oni, jakby ziemia pod nimi się paliła, szybko śpieszyli z jednego miejsca na drugie. Tam zaś, gdzie stawali, ukazywał się za każdym razem płomyk spod ziemi, wzmagając efekt i pozostawiając wszystkim widzom najgłębsze wrażenie.

Potem szła już sztuka bez przerwy swoją drogą; nic się nie psuło, wszystko się udawało; publiczność okazywała zadowolenie; ochota i dzielność aktorów zdawały się zwiększać z każdą sceną.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Kurtyna zapadła, a żywe oklaski rozległy się ze wszystkich kątów i końców. Cztery trupy książęce podskoczyły chyżo do góry i ścisnęły się z radości. Poloniusz i Ofelia także wyszli ze swych grobów i słyszeli jeszcze z żywym zadowoleniem, jak namiętnie oklaskiwano Horacego, kiedy wyszedł z zapowiedzią przedstawienia. Nie pozwolono mu mówić o żadnej innej sztuce, lecz domagano się gwałtownie powtórzenia dzisiejszej.

— Wygraliśmy! — zawołał Serlo. — Ale też dziś wieczorem już ani jednego rozumnego słowa! Wszystko zależy od pierwszego wrażenia. Nie można żadnemu aktorowi brać za złe, jeśli w swych pierwszych występach jest przewidujący i upiera się przy swoim.

Nadszedł kasjer i wręczył mu ciężką szkatułę.

— Dobrze zadebiutowaliśmy — zawołał — a przesąd wyjdzie na naszą korzyść. A gdzież jest przyrzeczona kolacja? Powinniśmy dzisiaj nieźle sobie podjeść.

Umówili się, że pozostaną w swoich ubiorach teatralnych i sami zrobią sobie uroczystą ucztę. Wilhelm podjął się wystarać o lokal, a pani Melina o jedzenie.

Pokój, w którym zazwyczaj w innej porze malowano, został ślicznie wyprzątnięty, obstawiony różnymi drobnymi dekoracyjkami i tak ustrojony, że podobny był częściowo do ogrodu, częściowo do kolumnady. Przy wejściu olśniewał towarzystwo blask wielu świec, które poprzez dym najdelikatniejszych kadzideł, których nie żałowano, rozlewały uroczystą poświatę nad pięknie przybranym i zastawionym stołem. Okrzykami pochwalono przybory i rzeczywiście przystojnie zajęto miejsca; wydawało się, jakby jakaś rodzina królewska zebrała się w państwie duchów. Wilhelm siedział między Aurelią a panią Melina, Serlo między Filiną i Elmirą, nikt nie był niezadowolony z siebie ani ze swojego miejsca.

Dwaj przyjaciele teatru, którzy się tu także znaleźli, wzmagali szczęśliwe usposobienie towarzystwa. Podczas przedstawienia zachodzili kilka razy na scenę i nie mogli się

Uczta

dosyć nagadać o zadowoleniu swoim własnym i powszechnym; teraz jednak przystąpili do szczegółów; każdy został hojnie nagrodzony za swą część.

Z żywością nie do uwierzenia podnoszona była jedna zaleta po drugiej, jeden ustęp po drugim. Sufferowi, który siedział skromnie przy końcu stołu, dostała się wielka pochwała za jego srogiego Pirrusa; fechtunku Hamleta i Laertesza nie umiano dosyć się nasławić; smutek Ofelii był piękny i wzniosły nad wszelki wyraz; o grze Poloniusza nie potrzeba było zgola mówić; każdy obecny słyszał swoją pochwałę w innej i przez nią.

Ale i nieobecny duch otrzymał swą część pochwały i podziwu. Wypowiedział on swą rolę bardzo udatnym głosem i z wielkim zrozumieniem; dziwiono się zaś najbardziej temu, że się wydawał powiadomiony o wszystkim, co się działo wśród towarzystwa. Podobny był zupełnie do malowanego obrazu, jakby pozował przed artystą, a przyjaciele teatru nie mogli się dosyć nawychwalać, jak starannie wyglądał, kiedy wystąpił niedaleko od malowidła i przechodził koło swego wizerunku. Powiadali, że prawda i złuda dziwnie się przy tym pomieszały i że rzeczywiście nabywało się przekonania, iż królowa nie widzi jednej z postaci. Przy tej sposobności chwalono mocno panią Melina, że w tym miejscu wpatrywała się w górę w obraz, gdy Hamlet wskazywał ducha na ziemi.

Wywiadywano się, jak widziadło mogło się wśliznąć, i od maszynisty teatralnego dowiedziano się, że przez tylne drzwi, które kiedy indziej zawsze są zakryte dekoracjami, ale na ten wieczór, ponieważ użyto sali gotyckiej, zostały odsłonięte, weszły w białych płaszczach i kapturach dwie duże figury, których nie można było odróżnić, i prawdopodobnie po skończeniu trzeciego aktu tamtędy też wyszły<sup>115</sup>.

Serlo chwalił ducha szczególnie za to, że nie jęczał tak po dziadowsku, a co więcej, przy końcu dodał ustęp lepiej przystający tak wielkiemu bohaterowi, by przejąć zapalem swego syna. Wilhelm zachował ten ustęp w pamięci i obiecał wprowadzić go do rękopisu.

Wśród wesołości uczyły nie spostrzeżono, że brakowało dzieci i harfiarza; niebawem jednak zjawili się w sposób nader przyjemny. Weszli bowiem razem ustrojony cudacznie; Feliks bił w trójkąt, Mignon w tamburyn, a stary zawiesił na sobie ciężką harfę i niosąc ją przed sobą, grał na niej. Obchodzili stół i śpiewali różne pieśni. Dano im jeść, a goście sądzili, że okażą dzieciom dobrodziejstwo, gdy im dadzą tyle słodkiego wina, ile tylko zechcą pić, bo i samo towarzystwo nie szczędziło cennych butelek, które przyszły tego wieczora w kilku koszach jako dar przyjaciół teatru. Dzieci wciąż skakały i śpiewały, a szczególnie Mignon była rozbrykana, jak jej nigdy nie widziano. Biła w tamburyn z całą możliwą wytwornością i ożywieniem, to przyciskając palcem skórę, szybko pociągała nim w różne strony, to stukając w nią grzbietem ręki, to stawami, ba, wraz ze zmieniającymi się rytmami uderzała pergamin to o kolana, to o głowę, to znów potrząsając dzwoneczkami, pozwalała brzmieć tylko im i tym sposobem z najprostszego instrumentu wydobywała bardzo rozmaite tony... Nahałasowawszy się czas długi, usiedli przy stole na fotelu, który pozostał niezajęty, właśnie naprzeciw Wilhelma.

— Nie zajmujcie fotela! — zawołał Serlo. — Stoi pewnie dla ducha; jeżeli nadejdzie, może być źle z wami.

— Ja go się nie boję — odparła Mignon — jeżeli przyjdzie, to wstaniemy. On jest moim stryjem; nic złego mi nie zrobi.

Słowa te zrozumiał ten tylko, kto wiedział, że swego domniemanego ojca nazywała dużym diabłem.

Towarzystwo spojrzawszy po sobie i umocniło się jeszcze bardziej w podejrzeniu, że Serlo coś wie o zjawieniu się ducha. Gawędzono i pito, a dziewczęta spoglądały niekiedy bojaźliwie ku drzwiom.

Dzieci, które siedząc w dużym fotelu, tylko wystawały ponad stół jak marionetki ze skrzyni, zaczęły wykonywać sztuki w tym guście. Mignon bardzo zręcznie naśladowała chrapliwy ton, a w końcu dzieci zetknęły się głowami na krawędzi stołu w ten sposób, jaki wytrzymać mogą tylko drewniane lalki. Mignon rozochociła się aż do szaleństwa, a towarzystwo, chociaż z początku mocno się śmiało z igraszki, musiało jej wreszcie położyć koniec. Ale mało pomagały przemowy, bo wtem skoczyła i szalała wokół stołu z tamburynem w ręku. Włosy jej powiewały, a kiedy odrzucała głowę w tył, a wszystkie swe

<sup>115</sup>po skończeniu trzeciego aktu (...) wyszły — duch ojca Hamleta po raz ostatni pojawia się w sztuce w czwartej i ostatniej scenie trzeciego aktu (rozmowa Hamleta z matką). [przypis edytorski]

członki niby w powietrze, wydawała się podobna do menady<sup>116</sup>, której dzikie i prawie niemożliwe postawy dziś jeszcze wprawiają nas w zdziwienie na starych pomnikach.

Pobudzony talentem dzieci i ich hałasem, każdy starał się czymś przyczynić do zabawienia towarzystwa. Kobiety śpiewały kanony, Laertes naśladował słowika, a pedant dał koncert *pianissimo*<sup>117</sup> na drumli<sup>118</sup>. Tymczasem sąsiedzi i sąsiadki grali w różne gry, przy których spotykają się i łączą ręce, a niejedna para nie obyła się bez wyrażenia czułości brzemiennej nadzieją. Pani Melina zwłaszcza, jak się zdawało, nie ukrywała żywej skłonności ku Wilhelmowi. Było już późno w nocy i Aurelia, która prawie sama jedna zachowała jeszcze panowanie nad sobą, powstając, upomniała innych, żeby się rozeszli.

Serlo dał jeszcze na pożegnanie fajerwerk, w sposób prawie niepojęty naśladowując ustami ton raket, szmermeli<sup>119</sup> i kół ognistych. Trzeba było jedynie zamknąć oczy, a złudzenie byłoby zupełne. Tymczasem każdy powstał, podano kobietom ramię, by je odprowadzić do domu. Wilhelm szedł na końcu z Aurelią. Na schodach spotkał ich maszynista teatralny i rzekł:

- Oto zasłona, w której zniknął duch. Zawisła na zapadni; znaleźliśmy ją dopiero co.
- Dziwna relikwia! — zawołał Wilhelm, biorąc zasłonę.

W tej chwili poczuł, że ktoś chwycił go za lewe ramię, a zarazem doznał silnego bólu. Mignon trzymała się w ukryciu, chwyciła go i ukąsiła w ramię. Zbiegła przed nim ze schodów i znikła.

Kiedy towarzystwo wyszło na świeże powietrze, niemal każdy spostrzegł, iż tego wieczoru za wiele dobrego sobie pozwolono. Nie żegnając się, wszyscy rozstali się ze sobą.

Zaledwie dostał się do swego pokoju, Wilhelm, rzucił ubranie i zgasiwszy świecę, pośpieszył do łóżka. Sen miał go natychmiast opanować, jednak szmer, który zdawał się wychodzić zza pieca w pokoju, obudził jego uwagę. Przed jego rozgrzaną wyobraźnią unosił się już obraz króla w zbroi; podniósł się, by przemówić do widziadła, gdy wtem poczuł, że oplatają go delikatne ramiona, usta zamykają gorące pocałunki, a o jego pierś pierś się opiera, której odtrącić nie miał odwagi.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Nazajutrz rano Wilhelm obudził się z nieprzyjemnym uczuciem, a jego łóżko było puste. Z oszołomienia, niezupełnie przespianego, głowę miał osowiałą, a wspomnienie o nocnych odwiedzinach nieznajomej czyniło go niespokojnym. Pierwsze jego podejrzenie padło na Filinę, a jednak to miłe ciało, które obejmował ramionami, nie wydawało mu się jej ciałem. Wśród gorących pieścizot nasz przyjaciel usnął u boku tej dziwnej, milczącej nieznajomej, a teraz nie można było odnaleźć żadnego jej śladu. Wyskoczył z łóżka, a ubierając się, zauważył, że drzwi, które zazwyczaj zaryglowywał, były tylko przymknięte, a nie umiał sobie przypomnieć, czy je zamknął wczoraj wieczorem.

Najdziwniejsza jednak wydała mu się zasłona ducha, którą znalazł na swym łóżku. Przyniósł ją ze sobą na górę i prawdopodobnie sam ją rzucił tam, gdzie leżała. Była to szara gaza, a na jej obwódce zobaczył pismo wyhaftowane czarnymi literami. Rozwinął ją i odczytał te wyrazy: „Po raz pierwszy i ostatni! Uciekaj, młodzieńcze, uciekaj!”. Uderzyło go to i nie wiedział, co miał myśleć.

W tej samej chwili weszła Mignon i przyniosła mu śniadanie. Wilhelma zadziwił widok dziecka, a nawet można powiedzieć, przeraził. Zdawało się, że tej nocy nagle podrosła; przystąpiła do niego z wyniosłą szlachetną przystojnością i spojrzała mu bardzo poważnie w oczy, tak że nie mógł znieść jej wzroku. Nie przytuliła się do niego jak dawniej, kiedy zwykle ścisnęła mu rękę, całowała w policzek, usta, łokieć lub ramię, ale oporządziwszy jego rzeczy, w milczeniu odeszła.

Tymczasem zbliżyła się pora naznaczonej próby czytanej; zgromadzono się, a wszyscy byli rozstrojeni z powodu wczorajszej uczy. Wilhelm, jak tylko mógł, skupił siły,

<sup>116</sup>menady (gr.: szalejące) a. *bachantki* (mit. gr.) — kobiety z orszaku boga wina i płodności Dionizosa, tańczące w nieokiełznanej religijnej ekstazie. [przypis edytorski]

<sup>117</sup>*pianissimo* (wł., muz.) — bardzo cicho. [przypis edytorski]

<sup>118</sup>drumla — prosty, niewielki ludowy instrument muzyczny, zbudowany z ruchomej podłużnej blaszki ujętej obejmą; grający zwykle wkłada nieruchomą obejmę do ust, językiem wprawiając w drgania blaszkę, przy czym jama ustna pełni rolę pudła rezonansowego. [przypis edytorski]

<sup>119</sup>szmermel — wężykowaty fajerwerk; raca. [przypis edytorski]

ażeby nie wykroczyć zaraz z początku przeciwko swoim tak żywo głoszonym zasadom. Jego wielka wprawa pomogła mu, gdyż wprawa i przyzwyczajenie muszą w każdej sztuce wypełniać braki, jakie by chętnie i często po sobie zostawiały talent i fantazja.

Bądź co bądź jednak można było przy tej sposobności sprawdzić spostrzeżenie, że powinno się rozpocząć od uroczystości żadnego stanu, który ma trwać dłużej, który ma się stać istotnym powołaniem, istotnym trybem życia. Obchodźmy uroczyste to tylko, co zostało szczęśliwie ukończone; wszystkie ceremonie na początku wyczerpują ochotę i siły, które mają wywoływać dążenie i dopomagać nam w znoszeniu ustawicznych trudów. Wśród wszystkich uroczystości uroczystość weselna jest najbardziej niestosowna, żadna inna nie powinna być obchodzona z większą niż ta ciszą, pokorą i nadzieją.

Tak włókł się dzień dalej, a Wilhelmowi nigdy jeszcze żaden nie wydał się tak powszedni. Zamiast zwykłej rozmowy wieczorem zaczął ziewać, zainteresowanie *Hamletem* wyczerpało się i uznawano prawie za rzecz niewygodną, że następnego dnia ma być wystawiony powtórnie. Wilhelm pokazał zasłonę ducha; trzeba było wyprowadzić stąd wnioski, że duch już się nie zjawi. Serlo mianowicie był tego zdania; zdawało się, że był dobrze zaznajomiony z radami dziwnej postaci; natomiast słowa: „Uciekaj, młodzieńcze, uciekaj!” nie dawały się wytłumaczyć. Jakże mógł Serlo być zgodny z kimś, kto widocznie nosił się z zamiarem usunięcia najznakomitszego aktora z jego towarzystwa?...

Okazało się tedy koniecznością dać rolę ducha zrzędzie, a rolę króla pedantowi. Obaj oświadczyli, że już je przestudiowali, i nic dziwnego, gdyż wobec wielu prób i szerokiego traktowania tej sztuki, wszyscy się z nią zaznajomili tak dobrze, że łatwo w ogóle mogli się pozamieniać rolami. Mimo to naprędce zrobiono trochę prób, a kiedy się dosyć późno rozchodzono, przy pożegnaniu Filina szepnęła Wilhelmowi po cichu:

— Muszę zabrać swoje pantofle, nie zasuniesz rygła, prawda?

Słowa te, gdy przyszedł do swego pokoju, wprawiły go w niejakie zakłopotanie; potwierdzały przypuszczenie, iż gościem nocy poprzedniej była Filina, a my zmuszeni jesteśmy przychylić się do tego mniemania, zwłaszcza że nie możemy odkryć przyczyn, które nasuwały Wilhelmowi wątpliwości i zwracały go ku innemu, dziwacznemu podejrzeniu. Przeszedł się kilka razy niespokojnie w tę i z powrotem po pokoju i rzeczywiście nie zasnął jeszcze rygła.

Wtem do izby wpadła Mignon, objęła go i zawołała:

— Mistrzu <sup>120</sup>, ratuj dom! Pali się!

Wilhelm wyskoczył za drzwi, a ogromny dym z wyższego piętra buchał ku niemu. Na ulicy słychać już było okrzyk: „Gore!” Harfiarz zaś ze swym instrumentem w ręce zbiegał bez tchu wśród dymu ze schodów. Aurelia wypadła ze swego pokoju i rzuciła małego Felisia Wilhelmowi na ręce.

— Ratuj pan dziecko! — zawołała. — My zajmiemy się resztą.

Wilhelm, który nie poczytywał niebezpieczeństwa za tak wielkie, zamierzał przede wszystkim dotrzeć do przyczyny pożaru, aby go, jeśli się da, stłumić w zarodku. Odał dziecko starcowi i rozkazał mu pośpieszyć na dół kamiennymi kręconymi schodami, które poprzez małe sklepienie prowadziły do ogrodu, i pozostać z dziećmi na otwartym powietrzu. Mignon wzięła świecę, by mu poświecić. Wilhelm prosił następnie Aurelię, aby swoje rzeczy ratowała tą samą drogą. Sam zaś poprzez dym darł się na górę; na próżno jednak wystawiał się na niebezpieczeństwo. Płomień widocznie przedostawał się z sąsiedniego domu i objął już belkowanie strychu i lekkie schody; inni, którzy przybiegli na ratunek, cierpieli jak i on od dymu i ognia. Dodawał im jednak odwagi i wołał o wodę; zaklinał ich, żeby ogniowi ustępowali tylko krok za krokiem, i obiecywał pozostać przy nich. W tej chwili przyskoczyła Mignon, wołając:

— Mistrzu, ratuj swego Feliksa! Stary oszalał! Stary go zabije!

Wilhelm, nie namyślając się, zbiegł ze schodów, a Mignon szła za nim trop w trop.

Na ostatnich stopniach, prowadzących do sklepienia ogrodowego, zatrzymał się z przerażenia. Wielkie wiązki słomy i chrustu, które tam nagromadzono, paliły się jasnym płomieniem; Felis leżał na podłodze i wrzeszczał; stary ze spuszczoną głową stał z boku przy ścianie.

<sup>120</sup>Mistrzu — w oryginale *Meister* ma podwójne znaczenie, jako nazwisko bohatera i jako imię pospolite: mistrz. Tej gry słów niepodobna oddać po polsku. „Meistrze!” (majstrze!) brzmiałoby chyba trochę trywialnie. [przypis tłumacza]



— Co robisz, nieszczęsny? — krzyknął Wilhelm.

Starzec milczał, Mignon podniosła Felisia i z trudem ciągnęła chłopca do ogrodu, gdy Wilhelm usiłował rozrzuć i przydusić ogień, ale przez to wzmagał tylko siłę i żywotność płomieni. W końcu z opalonymi rękami i włosami musiał także uciec do ogrodu, pociągając przez płomień i starca, który z opaloną brodą niechętnie szedł za nim.

Wilhelm pośpieszył natychmiast szukać dzieci w ogrodzie. Znalazł je na progu odległego domku letniego, a Mignon robiła, co mogła, by uspokoić malca. Wilhelm wziął go na łono, wypytywał, obmacywał go i nie mógł z obojga dzieci nic wydobyć, co miałyby jakiś ze sobą związek.

Tymczasem ogień opanował gwałtownie kilka domów i oświetlił całą okolicę. Przy czerwonym blasku płomieni Wilhelm obejrzał dziecko, ale nie mógł dostrzec ani rany, ani krwi, ani nawet guza. Obmacał je wszędzie; nie dawało żadnej oznaki bólu, przeciwnie, powoli uspokoiło się i zaczęło dziwić się płomieniowi, a nawet cieszyć się pięknie, wedle porządku jak jakaś iluminacja, płonącym krokwiom i zrębom.

Wilhelm nie pomyślał o ubraniu i o innych rzeczach, jakie mógł utracić; czuł silnie, jak drogie mu były te dwa stworzenia ludzkie, które widział ocalone od tak wielkiego niebezpieczeństwa. Przycisnął malca do serca z całkiem nowym uczuciem i chciał także z radosną tkliwością objąć Mignon, która jednak łagodnie się od tego usunęła, wzięła go za rękę i ją zatrzymała.

— Mistrzu! — rzekła (aż do tego wieczoru nigdy jeszcze go tak nie nazywała, gdyż pierwotnie zwykła go była zwać panem, a potem ojcem). — Mistrzu! Uszliśmy wielkiemu niebezpieczeństwu: twój Feliks był bliski śmierci.

Za pomocą wielu pytań Wilhelm dowiedział się wreszcie, że jak tylko weszli pod sklepienie, harfiarz wyrwał Mignon świecę z ręki i natychmiast zapalił słomę. Potem posadził Feliksa na podłodze, położył ręce na głowie dziecka, robiąc dziwaczne ruchy, i wydobył nóż, jakby chciał spełnić ofiarę. Dziewczyna skoczyła i wyrwała mu nóż z ręki; krzyczała, a ktoś z domu, kto wynosił jakieś rzeczy do ogrodu, przyszedł jej na pomoc, ale w zamieszaniu widocznie odszedł, zostawiając starca i dziecko samych.

Dwa czy trzy domy stały całe w płomieniach. Do ogrodu nikt nie mógł uciekać z powodu pożaru w sklepieniu ogrodowym. Wilhelmowi było przykro ze względu na przyjaciół, mniej ze względu na rzeczy. Nie śmiał opuścić dzieci, a widział coraz większe wzmaganie się klęski.

Spędził kilka godzin w bolesnym położeniu: Feliks usnął na jego łonie, Mignon leżała obok niego i trzymała go za rękę. Na koniec podjęte wysiłki stłumiły ogień. Spalone budynki zwały się; nadszedł ranek; dzieciom zaczęło być zimno, a i jemu samemu w lekkim ubraniu opadająca rosa stawała się prawie nie do zniesienia. Poprowadził je do zwalisk spalonego budynku; przy kupie węgla i popiołu znaleźli bardzo przyjemne ciepło.

Świt sprowadził wszystkich przyjaciół i znajomych w jedno miejsce. Każdy się wyrażał, nikt nie utracił wiele.

Kufer Wilhelma także się znalazł, a Serlo, gdy było koło dziesiątej, pędził do próby z *Hamleta*, przynajmniej tych kilku scen, w których występowali nowi aktorzy. Miał potem parę jeszcze rozpraw z policją. Duchowieństwo żądało, by po takim wyroku karzącego Boga teatr został zamknięty, a Serlo utrzymywał, że już to dla powetowania tego, co stracił tej nocy, już to dla rozerwania przerażonych umysłów przedstawienie zajmującej sztuki jest więcej niż kiedykolwiek na czasie. To zdanie przeważało i teatr był zapewniony. Aktorzy grali z rzadkim zapalem i z nie mniejszą niż za pierwszym razem swobodą. Widzowie, których uczucie spotęgowało się wskutek strasznej sceny nocnej, a wskutek nudów roztargnionego i popsutego dnia stało się jeszcze przystępniejsze dla interesującej zabawy, mieli więcej wrażliwości na rzeczy nadzwyczajne. W większości byli to widzowie nowi, ściągnięci sławą sztuki, niemogący robić porównań z poprzednim wieczorem. Zręda grał zupełnie w myśl nieznanego ducha, a pedant również dobrze szedł w tropy swego poprzednika, przy tym jego licha powierzchowność wyszła mu na korzyść, tak że Hamlet rzeczywiście nie krzywdził go bynajmniej, gdy go przeżywał łatanym z gałganów królem, pomimo jego płaszczu z purpury i gronostajowego kołnierza.

W dziwniejszy od niego sposób nikt chyba nie dostał się na tron, a chociaż inni, a zwłaszcza Filina, siarczyście kpili z jego nowej godności, dał do zrozumienia, że hrabia

Pożar

jako wielki znawca na pierwszy rzut oka przepowiedział o nim to i wiele więcej jeszcze; natomiast Filina zachęcała go do pokory, zapewniając, że przy sposobności wypudruje mu rękawy surduta, ażeby pamiętał o owej nieszczęsnej nocy w zamku i nosił skromnie koronę.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Obejrzano się naprędce za kwatarami, a przez to towarzystwo bardzo się rozproszyło. Wilhelm polubił domek letni w ogrodzie, przy którym spędził noc; łatwo otrzymał do niego klucze i urządził się w nim, a ponieważ Aurelii w jej nowym mieszkaniu było za ciasno, musiał zatrzymać u siebie Feliksa, a Mignon nie chciała opuścić chłopca.

Dzieci zajęły ładny pokój na pierwszym piętrze. Wilhelm zakwaterował się w sali na dole. Dzieci posnęły, ale on nie mógł znaleźć spokoju.

Obok ślicznego ogrodu, oświetlonego wspaniałe księżycem, który dopiero co wzeszedł, stały smutne ruiny, z których tu i ówdzie wydobywał się jeszcze dym; powietrze było przyjemne, a noc nadzwyczaj piękna. Przy wyjściu z teatru Filina trąciła go łokciem i szepnęła mu kilka słów, których nie dosłyszał. Był zmieszany i gniewny i nie wiedział, czego miał oczekiwać lub co robić. Przez parę dni Filina unikała go i dopiero tego wieczora dała mu znak. Niestety drzwi, których miał nie zamykać, spaliły się, a pantofelki poszły z dymem. Nie wiedział, jak ta piękność zejdzie do ogrodu, jeżeli to było jej zamiarem. Pragnął jej nie widzieć, a jednak aż nadto chętnie byłby się z nią porozumiał.

Ale co mu leżało na sercu jeszcze cięższym kamieniem, to los harfiarza, którego już potem nie widziano. Wilhelm lękał się, by przy uprzątnięciu nie znaleziono go martwego pod gruzami. Skrywał przed wszystkimi swoje podejrzenie, iż stary był sprawcą pożaru. On pierwszy bowiem wyszedł naprzeciw niego z płonącego i dymiącego poddasza, a rozpacz w galerii ogrodowej wydała mu się następstwem takiego nieszczęsnego wypadku. A jednak przy badaniu, jakie natychmiast zarządziła policja, okazało się jako rzecz prawdopodobna, że pożar powstał nie w domu, gdzie mieszkali, ale w trzecim od niego i ogień zaraz prześliznął się dalej pod dachami.

Wilhelm, siedząc w altanie, rozważał to wszystko, gdy w pobliskim korytarzu pomyślał kogoś przemykającego się. Po smutnym śpiewie, który natychmiast się rozpoczął, poznał harfiarza. Piosenka, którą mógł doskonale zrozumieć, zawierała pocieszenie nieszczęśliwego, który czuje się bardzo bliski obłąkania. Niestety, Wilhelm spamiętał tylko ostatni ustęp.

U drzwi przemknę się spokojnie,  
Kornie, cicho jako sen;  
Człek poczciwy karm<sup>121</sup> da hojnie,  
Potem pójdę dalej, hen.

Każdy szczęsnym zwać się będzie,  
Gdy ma twarz się zjawi tu;  
Łza mu spłynie, choć nie wszędzie  
Zgadnę, czemu łzawo mu.

Mówiąc te słowa, podszedł do drzwi ogrodowych, które prowadziły na oddaloną ulicę; a że je zastał zamknięte, chciał wspiąć się na ogrodzenie, lecz Wilhelm zatrzymał go, przemawiając serdecznie. Starzec prosił go, by mu otworzył, bo on chce i musi uciec. Wilhelm tłumaczył mu, że wprawdzie może wyjść z ogrodu, ale nie z miasta i przekonywał, jak dalece takim krokiem naraża się na podejrzenia; jednak na próżno! Starzec obstawał przy swoim. Wilhelm nie ustąpił i na pół przemocą zaprowadził go w końcu do domku, zamknął się tu z nim razem i prowadził z nim dziwną rozmowę, którą jednak, aby czytelników naszych nie dręczyć myślami bez związku i przykrymi uczuciami, wolimy raczej przemilczeć niż szczegółowo przytaczać.

<sup>121</sup>karm (daw.) — karma; pokarm. [przypis edytorski]

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Z wielkiego kłopotu, w jakim się znalazł Wilhelm, co ma począć z nieszczęśliwym starcem, który okazywał tak wyraźne ślady obłąkania, wydobyl go Laertes jeszcze tego samego poranku. Ten, wedle swego dawnego zwyczaju lubiąc być wszędzie, zobaczył w kawiarni człowieka, który od pewnego czasu cierpiał na wielce gwałtowne napady melancholii. Powierzono go wiejskiemu księdzu, który z opiekowania się takimi ludźmi zrobił sobie właściwe zajęcie. I tym razem udało mu się; bawił on jeszcze w mieście, a rodzina uleczonemu okazywała mu wielki szacunek.

Wilhelm pośpieszył zaraz poszukać księdza, zwierzył mu się z wypadku i porozumiał się z nim. Zdołano pod jakimś pozorem oddać mu starca. Rozstanie głęboko bolało Wilhelma, a tylko nadzieja, że go ujrzy uleczonemu, mogła mu je do pewnego stopnia uczynić znośnym, tak silnie przywykł do widzenia koło siebie tego człowieka i do słuchania jego tonów podniosłych i serdecznych. Harfa się spaliła; wystarano się o inną, którą mu dano na drogę.

Ogień pożarł także małą garderobę Mignon, a kiedy zamierzano jej sprawić coś nowego, Aurelia podała projekt, żeby ją wreszcie ubrać jak dziewczynę.

— Wcale nie! — zawołała Mignon, obstając nadzwyczaj żywo przy swym dawnym stroju, w czym musiano się zastosować do jej woli.

Towarzystwo nie miało dużo czasu na rozmysły; przedstawienia szły swoją drogą.

Wilhelm przysłuchiwał się nieraz publiczności, ale rzadko kiedy doszedł do niego głos, jakiego sobie życzył, przeciwnie, częstokroć dowiadywał się czegoś, co go zasmucało i przygnębiało. I tak na przykład zaraz po pierwszym przedstawieniu *Hamleta* pewien młodzieniec opowiadał z wielkim ożywieniem, jak był zadowolony owego wieczoru w teatrze. Wilhelm nadstawił ucha i ku swemu wielkiemu zawstydzeniu posłyszał, iż ów młodzieniec na złość siedzącym za sobą pozostał w kapeluszu na głowie i przez całą sztukę uporczywie go nie zdejmował, a o tym bohaterskim czynie wspominał z największą przyjemnością.

Ktoś inny zapewniał, że Wilhelm grał bardzo dobrze rolę Laertes, natomiast nie można być równie zadowolonym z aktora, który się podjął *Hamleta*. To pomieszanie nie było zbyt opaczne, bo Wilhelm i Laertes podobni byli do siebie, chociaż w nader odległym znaczeniu.

Trzeci bardzo żywo chwalił jego grę, zwłaszcza w scenie z matką; żałował tylko, że w tej właśnie ognistej chwili wysunęła się spod kamizelki biała tasiemka, przez co iluzja jakoby niesłychanie ucierpiała.

Tymczasem wśród towarzystwa zachodziły różnorodne zmiany. Filina od owego wieczoru po pożarze nie dała Wilhelmowi najmniejszego porozumiewawczego znaku. Najęła, jak się zdaje, naumyślnie oddalone mieszkanie, ułożyła się z Elmirą i rzadziej przychodziła do Serła, z czego Aurelia była zadowolona. Serlo, który nie przestał jej sprzyjać, odwiedzał ją niekiedy, zwłaszcza że się spodziewał zastać u niej Elmirę, i jednego wieczoru zabrał ze sobą Wilhelma. Przy wejściu obaj byli bardzo zdziwieni, ujrawszy w drugim pokoju Filinę w objęciach młodego oficera, który miał na sobie czerwony mundur i białe spodnie, a którego odwróconej twarzy nie mogli zobaczyć. Filina wyszła do przedpokoju na spotkanie odwiedzających przyjaciół i zamknęła tamtą izbę.

— Zaskoczyliście mnie panowie na dziwacznej przygodzie! — zawołała.

— Tak dalece dziwaczne to nie jest — rzekł Serlo. — Pokaż nam pani ładnego, młodego, godnego zazdrości przyjaciela; przy tym tak nas pani wymusztrowałaś, że nie możemy być zazdrośni.

— Muszę to podejrzenie zostawić panom na dłużej — odpowiedziała Filina żartobliwie — ale mogę zapewnić, że to tylko dobra przyjaciółka, która pragnie zabawić u mnie kilka dni nieznaną. Dowiedcie się panowie kiedyś o jej losach, a może nawet poznać sami tę interesującą dziewczynę i wtedy prawdopodobnie będę miała powód ćwiczenia się w skromności i wyrozumiałości, gdyż lękam się, aby panowie ze względu na nową znajomą nie zapomnieli o swojej dawnej przyjaciółce.

Wilhelm stał jak skamieniały, gdyż zaraz na pierwsze wejrzenie czerwony mundur przypomniał mu tak wielce ulubiony ubiór Marianny; to jej postać, jej blond włosy, tylko że obecny oficer wydał mu się trochę wyższy.

— Na miłość boską! — zawołał. — Zapoznaj nas pani lepiej ze swoją przyjaciółką, pozwól nam zobaczyć przebrane dziewczę. Toż jesteśmy już przecie uczestnikami tajemnicy; obiecamy, przysięgniemy, ale pozwól nam zobaczyć dziewczynę.

— W jakimże on zapale! — rzekła Filina. — Tylko spokojnie, tylko cierpliwie! Dzisiaj nic z tego nie będzie.

— Więc powiedz nam pani przynajmniej jej nazwisko! — zawołał Wilhelm.

— A to by ładna była wtedy tajemnica — odparła Filina.

— To choć imię.

— Jeżeli pan zgadniesz, to i owszem. Trzy razy możesz pan zgadywać, ale nie więcej, bo inaczej mógłbyś mnie pan przepędzić przez cały kalendarz.

— Dobrze — rzekł Wilhelm — więc Cecylia?

— Nie ma Cecylii.

— Henryka?

— Wcale nie! Miej się pan na baczności! Pańska ciekawość będzie musiała się wyspać.

Wilhelm ociągał się i drżał; chciał otworzyć usta, ale głos mu nie dopisał.

— Marianna? — szepnął wreszcie. — Marianna?

— Brawo! Trafieś pan! — zawołała Filina, obracając się swoim zwyczajem na obcasie.

Wilhelm nie mógł wymówić ani słowa, a Serlo, który nie zauważył jego wzruszenia, w dalszym ciągu nastawał na Filinę, żeby otworzyła drzwi.

Jakże oboje się zdumieli, gdy nagle Wilhelm przerwał gwałtownie ich przekomarzenia się, padł Filinie do nóg i z najżywszym wyrazem namiętności prosił ją i zaklinał.

— Pozwól mi, pani, widzieć się z tą dziewczyną! — wołał. — Ona jest moja, to moja Marianna! Ona, za którą przez wszystkie dni mego życia tęskniłem, ona, która mi wciąż jeszcze zastępuje wszystkie inne kobiety w świecie! Pójdź, pani, przynajmniej do niej, powiedz jej, że ja tu jestem, że tu jest człowiek, który swą pierwszą miłość i całe szczęście młodości swojej z nią zespolił. Chce się on usprawiedliwić, że ją nie po przyjacielsku opuścił, chce ją prosić o przebaczenie, chce jej darować, w czymkolwiek mogła przeciw niemu zawinić, nie chce nawet żadnych mieć do niej nadal pretensji, byle ją tylko raz jeszcze ujrzał, byleby się tylko przekonał, że ona żyje i jest szczęśliwa!

Filina potrząsnęła głową, mówiąc:

— Mój przyjacielu, mów po cichu! Nie zwódźmy się! A jeżeli ta panna jest rzeczywiście pańską przyjaciółką, to musimy ją oszczędzać, bo ona wcale nie przypuszcza, że pana tu ujrzy. Sprowadzają tutaj ją zupełnie inne okoliczności, a o tym wiesz pan przecie, że często chciałoby się mieć przed oczyma raczej stracha niż dawnego kochanka w niewłaściwym czasie. Zapytam ją, przygotowuję; rozważymy, co wypadnie zrobić. Jutro napiszę do pana bilet, o której godzinie masz pan przyjść lub czy możesz pan przyjść; usłuchaj mnie pan co do słowa, gdyż przysięgam, że wbrew mojej woli i woli mej przyjaciółki nikt na oczy nie zobaczy tego miłego stworzenia! Drzwi u siebie lepiej dopilnuję, a z siekierą i toporem nie zechcesz mnie pan chyba nawiedzać.

Wilhelm zaklinał ją, Serlo namawiał, na próżno! Obaj przyjaciele musieli w końcu ustąpić, opuszczając pokój i dom.

Jak niespokojną noc spędził Wilhelm, każdy sobie wyobrazi. Jak powoli upływały godziny dnia, w których oczekiwał biletu od Filiny, łatwo zrozumieć. Na nieszczęście, tego wieczoru musiał grać; nigdy nie przecierpiał większej męki. Po skończonej sztuce pośpieszył do Filiny, nie pytając wcale, czy został zaproszony. Zastał jej drzwi zamknięte, a domownicy powiedzieli, że panienka dziś rano odjechała z młodym oficerem; powiedziała wprawdzie, iż wróci za kilka dni, ale nie wierzono temu, gdyż za wszystko zapłaciła i zabrała swoje rzeczy.

Wiadomość ta sprawiła Wilhelma w wielkie rozdrażnienie. Pobiegł do Laertesza i zaproponował, by ściagać Filinę i za wszelką cenę upewnić się co do jej towarzysza. Laertes wszelako zgañił przyjaciela za jego namiętność i łatwowierność.

— Założę się — rzekł — że to nie kto inny jak Fryderyk. Chłopak jest z dobrego domu, wiem to dobrze; jest szalenie zakochany w dziewczynie i prawdopodobnie wyłudził od krewnych tyle pieniędzy, że czas jakiś będzie mógł z nią wyżyć.

Te wyjaśnienia nie przekonały Wilhelma, ale nabrał wątpliwości. Laertes perswadował mu, jak nieprawdopodobna jest bajeczka, którą wymyśliła dla nich Filina, jak dobrze figura i włosy pasowały do Fryderyka, jak niełatwe byłoby dla nich wyrównać przewagę

o dwanaście godzin, a przede wszystkim, że Serlo nie mógłby się w przedstawieniach obejść bez nich obydwu.

Wszystkie te wywody tyle jedynie w końcu sprawiły, że Wilhelm wyrzekł się myśli osobistego pościgu. Laertes potrafił jeszcze tej samej nocy sprowadzić dzielnego człowieka, któremu można było dać polecenie. Był to człek stateczny, który niejednym państwu służył w podróżach za posłańca i przewodnika, a teraz właśnie był bez zajęcia. Dano mu pieniądze, powiadomiono go o całej sprawie i zlecono, by odszukał i dopędził zbiegów, nie tracił ich następnie z oczu i natychmiast doniósł przyjaciołom, gdzie i jak tamtych znalazł.

W tej samej godzinie siadł na koń i pojechał w trop za dwuznaczną parą, a Wilhelm tym zarządzeniem uspokoił się przynajmniej do pewnego stopnia.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Wyjazd Filiny nie zrobił nadzwyczajnego wrażenia ani w teatrze, ani wśród publiczności. We wszystkim mało miała powagi; kobiety powszechnie jej nienawidziły, a mężczyźni chętniej by ją widzieli w cztery oczy niż na scenie; tym sposobem jej piękny i przydatny dla teatru talent był stracony. Inni członkowie towarzystwa zadawali sobie tym więcej trudu; zwłaszcza pani Melina odznaczała się wielce pilnością i uwagą. Pochwyciła nareszcie zasady Wilhelma, zastosowała się do jego teorii i jego przykładu i miała odtąd coś takiego w zachowaniu, co uczyniło ją bardziej interesującą. Przyswoiła sobie niebawem właściwą grę i całkowicie odzyskała naturalny ton rozmowy i do pewnego stopnia ton uczucia. Umiała sobie radzić z kapryсами Serla i dla przypodobania mu się ćwiczyła się w śpiewie, w czym zaszła wkrótce tak daleko, jak tego potrzeba do zabawy towarzyskiej.

Towarzystwo uzupełniono świeżo przyjętymi aktorami, a ponieważ Wilhelm i Serlo działali każdy po swojemu, tamten przy każdej sztuce kładąc nacisk na znaczenie i ton całości, ten zaś opracowując sumiennie poszczególne części, chwalebna gorliwość ożywiła też artystów, a publiczność żywo się nimi interesowała.

— Jesteśmy na dobrej drodze — rzekł raz pewnego Serlo — a jeżeli tak dalej wytrwamy, to i publiczność niebawem się na niej znajdzie. Bardzo łatwo można ludzi wprowadzić w błąd głupimi i niestosownymi przedstawieniami, lecz jeżeli się im poda w sposób zajmujący rzeczy rozumne i stosowne, to z pewnością po nie sięgną. To, w czym głównie nasz teatr szwankuje i dlaczego ani aktorzy, ani widzowie nie opamiętują się, to zbyt wielka w nim pstrokaczna, to brak jakiejś granicy, o którą oprzeć by można swe zdanie. Wcale mi się to nie wydaje zaletą, żeśmy swój teatr rozszerzyli jakby na jakąś nieskończoną widownię przyrody; a przecież ani dyrektor, ani aktor nie może już teraz się zacieśniać, dopóki chyba gust narodu w dalszym rozwoju nie wyznaczy należnego kresu. Każde dobre społeczeństwo istnieje jedynie w pewnych warunkach, tak też i dobry teatr. Pewne maniery i sposoby mówienia, pewne przedmioty i rodzaje zachowania się muszą być wykluczone. Nie stajemy się przecie biedniejsi, kiedy swe gospodarstwo ścieśniamy.

Pod tym względem mniej więcej zgadzali się ze sobą lub nie zgadzali. Wilhelm i większość aktorów byli po stronie teatru angielskiego, Serlo i niektórzy po stronie francuskiego.

Zgodzono się wszakże na to, by w wolnych godzinach, których aktor ma niestety tak wiele, wspólnie czytać najslawniejsze sztuki obu teatrów i zwracać uwagę na to, co w nich jest najlepsze i najbardziej godne naśladowania. Rzeczywiście też rozpoczęto tę pracę od kilku sztuk francuskich. Gdy tylko zaczynało się czytanie, Aurelia za każdym razem wychodziła. Z początku uważano, że jest chora, ale raz zapytał ją o to Wilhelm, którego to raziło.

— Nigdy nie będę obecna przy takim czytaniu — odrzekła — bo jak ja mogę słuchać i sądzić, kiedy mi się serce rozdziera? Nienawidzę języka francuskiego z całej duszy.

— Jak można być — zawołał Wilhelm — wrogiem języka, któremu zawdzięczamy większość swego wykształcenia i któremu wiele jeszcze zawdzięczać będziemy musieli, zanim nasza istota zdoła się ukształtować.

— To wcale nie uprzedzenie! — odparła Aurelia. — Nieszczęsne wrażenie, nienawistne wspomnienie o moim wiarołomnym przyjaciołku odebrało mi zamiłowanie do tego pięknego i wykształconego języka. Jakże ja go teraz nienawidzę z całego serca! W czasie

naszej przyjaźni pisywał po niemiecku, a jaką serdeczną, prawdziwą, jędrną niemczyzną! Dopiero kiedy się chciał mnie pozbyć, zaczął pisać po francusku, co przedtem zdarzało się czasami w żartach. Czułam, spostrzegałam, co to miało znaczyć. Co mu wstyd było wypowiedzieć w mowie ojczystej, to mógł napisać ze spokojnym sumieniem. Do zastrzeżeń, połowiczności i kłamstw to język wyborny; jest to język *perfide*<sup>122</sup>! Bogu dzięki, nie znajduję ani jednego wyrazu niemieckiego, ażeby wyrazić to, co znaczy *perfide* w całej swej rozciągłości. Nasz biedny przymiotnik *treulos*<sup>123</sup> jest w porównaniu z nim niewinnym dzieckiem. *Perfide* znaczy wiarołomnego z dodatkiem rozkoszy, pychy i radości z cudzej szkody. O, zazdrości można wykształcenia narodowi, który potrafił w jednym słowie wyrazić tak delikatne odcienie. Francuszczyzna słusznie jest mową świata, godną zostać mową powszechną, aby się tylko wszyscy nawzajem mogli dobrze oszukiwać i okłamywać. Jego listy francuskie dawały się wciąż jeszcze czytać dosyć dobrze. Jeśli się chciało to sobie wyobrazić, brzmiały one ciepło, a nawet namiętne, ale obejrzone dokładnie, były to tylko frazesy, przekłete frazesy! Zepsuł mi całą przyjemność tej mowy, literatury francuskiej, a nawet przyjemność pięknego i wytwornego wyrażania się szlachetnych dusz w tym języku; wzdrygam się, słysząc jakieś słowo francuskie!

W ten sposób mogła mówić całymi godzinami, okazywać swój wstręt i każdą inną rozmowę przerywać albo rozstrajać. Serlo wcześniej czy później z pewną goryczą kładł koniec jej posępnym wywnętrzaniom się, ale zazwyczaj na taki wieczór rozmowa była już rozbita.

Na ogół, niestety, tak bywa, że wszystko, co ma być dokonane przez liczne zjednoczone osoby i okoliczności, nie może się długo utrzymać w stanie doskonałym. Co do towarzystwa teatralnego, tak samo jak co do państwa, co do kółka przyjaciół, jak i co do armii, daje się zwykle wskazać chwilę, kiedy znajdowały się na najwyższym stopniu swej doskonałości, swej zgody, swego zadowolenia i działalności; częstokroć wszakże personel szybko się zmienia, nowi członkowie wstępują, osoby przestają odpowiadać okolicznościom, okoliczności osobom; wszystko się przeinacza i co przedtem było zjednoczone, niebawem się rozpada.

Tak też można było powiedzieć, że towarzystwo Serla przez pewien czas było tak doskonałe, jak tylko pochwalić się tym mogło którekolwiek niemieckie. Większość aktorów była całkiem na swoim miejscu, wszyscy mieli dosyć do roboty i wszyscy czynili chętnie, co było do zrobienia. Osobiste stosunki były znośne, a każdy zdawał się wiele obiecywać w swej sztuce, ponieważ każdy stawiał pierwsze kroki z zapałem i rześkością. Wkrótce jednak okazało się, że niektórzy byli tylko automatami, którzy mogli zdobyć jedynie to, co się dawało osiągnąć bez uczucia; a niebawem przymieszały się namiętności, które zazwyczaj każdemu dobremu urządzeniu stoją na przeszkodzie i wszystko tak łatwo rozrywają, co rozumni i zacni ludzie pragną utrzymać w skupieniu.

Odjazd Filiny nie był tak nic nieznaczący, jak sądzono z początku. Z wielką zręcznością umiała rozbawić Serla, a innych wabić w mniejszym czy większym stopniu. Gwałtowność Aurelii zносиła nader cierpliwie, a najistotniejszym jej zajęciem było pochlebiać Wilhelmowi. Tym sposobem była ona jakby łącznikiem całości, a jej utrata musiała dać się niebawem odczuć.

Serlo nie mógł żyć bez jakiejś miłości. Elmira, która w krótkim czasie dorosła i stała się nawet, powiedzieć by prawie można, piękna, już od dawna zwróciła jego uwagę, a Filina była dość roztropna, by tę zauważoną przez siebie namiętność popierać.

— Trzeba się czasami — zwykła mówić — zajmować kojarzeniem; toż nam nic innego nie zostaje, kiedy się starzejemy.

Wskutek tego Serlo i Elmira tak się ze sobą zbliżyli, że wkrótce po odjeździe Filiny doszli do zgody, a romansik ten tym więcej ich oboje zajmował, że ze wszech miar musieli go trzymać w tajemnicy przed starcem, który by takiej nieprawidłowości płazem nie puścił. Siostra Elmiry była także w porozumieniu, a Serlo musiał z tego powodu wiele wybaczać obu dziewczętom. Jedną z ich największych wad było niepomiarkowane łakomstwo, ba, jeśli wolicie, nieznośna żarłoczność, w czym zgoła były niepodobne do Filiny,

<sup>122</sup>*perfide* (fr.) — perfidny; zdradziecki. [przypis edytorski]

<sup>123</sup>*treulos* (niem.) — wiarołomny, niewierny. [przypis edytorski]

której nowego powabu do ukochania dodawało to, że żyła jakby powietrzem tylko, jadła bardzo mało i jedynie piankę z kieliszka szampana wciągała z największą elegancją.

Otóż Serlo, jeśli się chciał podobać swojej pięknej, musiał łączyć śniadanie z obiadem, a do tego za pośrednictwem podwieczorka dosnuć kolację. Przy tym miał pewien plan, którego wykonanie nabawiało go niepokojem. Zdawało mu się, że odkrył niejaką skłonność między Wilhelmem i Aurelią i bardzo sobie życzył, ażeby się stała poważna. Spodziewał się, że całą mechaniczną część gospodarstwa teatralnego będzie mógł obciążyć Wilhelma i znaleźć w nim jako w swym pierwszym szwagrze wierne i pracowite narzędzie. Już z wolna niepostrzeżenie przerzucił na niego większość kłopotów, Aurelia pilnowała kasy, a Serlo żył znowu całkiem według swego upodobania jak za dawniejszych czasów. Było jednak coś, co tajemnie dręczyło zarówno jego, jak i siostrę.

Publiczność ma właściwy sposób postępowania względem ludzi publicznych o uznanych zasługach; powoli, powoli zaczyna się stawać co do nich obojętna, a darzy łaskami o wiele mniejsze, lecz świeżo ukazujące się talenty; wobec tamtych stawia przesadne wymagania, a od tych przyjmuje wszystko ochoczo.

Serlo i Aurelia mieli dosyć sposobności, żeby się nad tym zastanowić. Nowi przybysze, zwłaszcza młodzi i przystojni, zwrócili ku sobie całą uwagę, wszystkie oklaski, a tych dwoje musiało w większości przypadków po najgorliwszych usiłowaniach odchodzić bez pożądanego dźwięku uderzających o siebie dłoni. Zapewne przyłączyły się do tego inne jeszcze przyczyny. Duma Aurelii była rażąca, a o jej pogardzie dla publiczności wielu wiedziało. Serlo pochlebiał wprawdzie każdemu poszczególnemu człowiekowi, ale jego drwiące słowa na temat ogółu były także nieraz obnoszone i powtarzane. Natomiast nowi członkowie byli po części obcy i nieznanymi, po części młodzi, mili i potrzebowali pomocy, toteż wszyscy znaleźli opiekunów.

Nadto zaszły niebawem wewnętrzne niepokoje i niejedno niezadowolenie, bo gdy tylko spostrzeżono, że Wilhelm objął stanowisko reżysera, większość aktorów zaczęła się stawać tym niesforniejsza, im bardziej pragnął według swego widzenia rzeczy wprowadzić więcej porządku i dokładności we wszystkim, a szczególnie nastawał na to, żeby cała mechaniczna strona nade wszystko odbywała się punktualnie i porządnie.

W krótkim tedy czasie cały stosunek, który rzeczywiście utrzymywał się dość długo w stanie prawie idealnym, stał się tak pospolity, jak w pierwszym lepszym teatrze wędrownym. I niestety w chwili, kiedy Wilhelm pracą, pilnością i wysiłkami zaznajomił się ze wszystkimi wymaganiami zawodu i doskonale ku temu uformował zarówno swoją osobę, jak i zabiegliwość, w ponurych godzinach wydawało mu się w końcu, że rzemiosło to mniej niż jakiegokolwiek inne zasługuje na potrzebny ku temu wydatek czasu i sił. Zajęcie było uciążliwe, a nagroda szczupła. Wolalby obrać każde inne, przy którym, jeżeli się je załatwiło, można żyć spokojnie ducha, niż to, w którym pokonawszy trudy mechaniczne, jedynie najwyższym napięciem umysłu i uczucia można osiągnąć cel swojej czynności.

Musiał słuchać skarg Aurelii na rozrzutność brata, musiał udawać, że nie rozumie napomknienia Serla, kiedy ten starał się go z dala nakłonić do małżeństwa z siostrą. Musiał przy tym ukrywać się ze zgrzyotą, która go gnębiła nader silnie, gdy wyprawiony za dwuznacznym oficerem posłaniec nie powracał i nie dawał znać o sobie; a przyjaciel nasz mógł się lękać, że Mariannę swoją utracił po raz drugi.

W tym samym czasie przypadła powszechna żałoba, która zmusiła ich do zamknięcia teatru na kilka tygodni. Skorzystał z tej wolnej chwili, by odwiedzić księdza, u którego umieszczony został harfciarz. Znalazł go w milej okolicy, a pierwszym, którego spostrzegł na probostwie, był starzec, dający chłopcu lekcję na swoim instrumencie. Okazał wielką radość na widok Wilhelma, powstał i podał mu rękę, mówiąc:

— Widzisz pan, że przydam się jeszcze na coś w świecie; pozwolisz pan, żebym odbył naukę, bo godziny są rozłożone.

Ksiądz powitał Wilhelma przyjaźnie i opowiedział mu, iż starzec jest na bardzo dobrej drodze i spodziewać się można zupełnego wyzdrowienia.

Rozmowa ich przeszła naturalnie na metodę leczenia obłąkanych.

— Prócz strony fizycznej — mówił duchowny — która stawia nam często niepokonane trudności i co do której zasięgam rady myślącego lekarza, środki lecznicze co do obłąkania uważam za bardzo proste. To te same, które nie pozwalają ludziom zdrowym

nabawić się obłąkania. Budźmy ich własną działalność, przyzwyczajajmy ich do porządku, dajmy im do zrozumienia, że swój byt i los mają wspólny z tyloma innymi, że niezwykle talent, największe szczęście i najgorsze nieszczęście są tylko małymi odstępstwami od rzeczy zwykłych — a żadne obłąkanie się nie zakradnie, jeśli zaś już istnieje, to zniknie powoli! Zrobiłem dla starca rozkład godzin; uczy kilkoro dzieci grać na harfie, pomaga w robotach ogrodowych i jest już o wiele pogodniejszy. Pragnie spożywać jarmuż, który uprawia, i chce pilnie uczyć mego syna, któremu na wypadek śmierci podarował harfę, aby chłopak mógł z niej również korzystać. Jako duchowny nie bardzo się rozwodzę nad jego dziwnymi skrupułami, ale aktywne życie sprowadza za sobą tyle wydarzeń, że niebawem musi poczuć, że wszelkiego rodzaju wątpliwości mogą zostać usunięte jedynie przez działanie. Z wolna biorę się do dzieła; jeżeli zaś zdołam jeszcze pozbawić go brody i szaty, to zyskam wiele, nic bowiem bardziej nie przybliży nas do obłąkania, jak to, kiedy się od innych odróżniamy, a nic tak dalece nie podtrzymuje zdrowego rozsądku jak życie trybem wspólnym z wieloma ludźmi. A ileż to jest niestety w naszym wychowaniu i w naszych instytucjach społecznych rzeczy, które nas i dzieci nasze do wariacji przysposabiają!

Wilhelm bawił u tego rozumnego człowieka kilka dni i dowiedział się nader zajmujących historii nie tylko o ludziach szalonych, ale i o takich, których zwykle się uważa za roztropnych, ba, za mądrych nawet, a których dziwactwa blisko graniczą z obłąkaniem.

Potrójnie jednak ożywiła się rozmowa, kiedy przyszedł lekarz, który zwykł był często odwiedzać swego przyjaciela księdza i dopomagać mu w jego filantropijnych usiłowaniach. Był to mężczyzna w podeszłym wieku, który mimo słabowitego zdrowia wiele przepędził lat na wykonywaniu najszlachetniejszych obowiązków. Był wielkim przyjacielem życia wiejskiego i prawie nie mógł wytrzymać bez otwartego powietrza; przy tym był nadzwyczajnie towarzyski i czynny i od lat wielu miał szczególną skłonność do zawierania przyjaźni ze wszystkimi księżmi wiejskimi. Każdemu, o którym wiedział, że ma jakieś pożyteczne zajęcie, starał się pomagać wszelkimi sposobami; innych, którzy nie mieli nic określonego, starał się nakłonić do jakiegoś amatorskiego upodobania, a że równocześnie miał stosunki ze szlachtą, urzędnikami i sędziami, w ciągu tedy lat dwudziestu po cichu bardzo wiele przyczynił się do uprawy niejednej gałęzi gospodarstwa wiejskiego i wprowadził w ruch wszystko, co korzystne dla roli, zwierząt i ludzi, a tym sposobem szerzył najistotniejszą oświatę.

— Dla człowieka — mówił on — jedno jest tylko nieszczęście, kiedy się w nim zagnieździ jakakolwiek myśl, która nie ma żadnego wpływu na aktywne życie albo go nawet od aktywnego życia odwodzi. Mam teraz — ciągnął dalej — taki wypadek z dostojnym i bogatym małżeństwem, wobec którego do tej pory nie powiodło mi się z żadną sztuką; wypadek ten należy niemal do twojego zawodu, kochany pastorze, a ten młodzieniec nie rozgłosi go przecie... Podczas nieobecności pewnego dostojnego męża, wskutek żartu, którego pochwalić całkiem niepodobna, przebierają pewnego młodzieńca w domowy ubiór tego pana. Jego małżonka miała zostać przez to oszukana, a chociaż mi to opowiedziano tylko jako figiel, lękam się jednak bardzo, czy nie miano zamiaru szlachetnej i miłej damy sprowadzić z prawej drogi. Mąż wraca niespodziewanie, wchodzi do swego pokoju, sądzi, że widzi siebie samego i od tego czasu popada w melancholię, w której żywi przeświadczenie, że niebawem umrze. Powierza się osobom, które go bałamucają ideami religijnymi, i nie wiem, jakim by go sposobem powstrzymać, by nie dołączył wraz z żoną do herrnhutów<sup>124</sup> i nie pozbawił swych krewnych większości majątku, gdyż dzieci nie ma.

— Wraz z żoną? — zawołał porywczo Wilhelm, którego opowiadanie niemało przeraziło.

— I niestety! — odparł lekarz, poczytując okrzyk Wilhelma jedynie za wyraz filantropijnego współczucia — damę tę trapi smutek jeszcze głębszy, który sprawia, że oddalenie się od świata nie jest jej wstrętne. Właśnie młodzieniec ów żegna się z nią; ona nie ma dość oględności, by ukryć kielkującą skłonność; on się ośmiela, bierze ją w objęcia i przyciska silnie do jej piersi wielki portret małżonki, wysadzany brylantami. Ona

<sup>124</sup>*herrnhuti* (z niem. *Herrnhut*: Straż Pańska) a. *bracia morawscy* — ewangelicka wspólnota kościelna ukształtowana w XVIII w. przez uciekinierów religijnych, którzy schronili się w Saksonii, kontynuująca doktrynę i tradycje braci czeskich (ruchu wyłonionego z husytyzmu). [przypis edytorski]



uczują ból gwałtowny, który powoli mija, pozostawiając z początku małe zaczerwienienie, ginące potem bez śladu. Jako człowiek jestem przekonany, że nie ma ona sobie nic więcej do wyrzucenia, jako lekarz jestem pewny, że ów ucisk nie będzie miał złych następstw, ale ona nie daje sobie wyperswadować, że tam nie ma stwardnienia, a kiedy chce się wyperswadować jej to uprzedzenie za pomocą dotyku, utrzymuje, że to tylko w tej chwili nic nie czuć, że to cierpienie zakończy się rakiem; tym sposobem jej młodość, jej urok zostały całkiem stracone i dla niej, i dla innych.

— O, ja nieszczęsny! — zawołał Wilhelm, uderzając się w czoło i wybiegając z towarzystwa w pole.

Nigdy jeszcze się nie znajdował w takim stanie.

Lekarz i ksiądz, niezmiernie zdumieni tym odkryciem, mieli wieczorem dosyć z nim do czynienia, kiedy powróciwszy, w szczegółowym zwierzeniu o owym wypadku gorąco się oskarżał. Obaj wielce się nim zainteresowali, zwłaszcza że pod wrażeniem chwili w czarnych barwach odmalował im także swe ogólne położenie.

Nazajutrz lekarz nie dał się długo prosić i wraz z nim udał się do miasta, by mu dotrzymać towarzystwa i, jeżeli będzie można, udzielić pomocy Aurelii, którą nasz przyjaciel opuścił w niepocieszających okolicznościach.

Zastali ją rzeczywiście w gorszym stanie, niż mniemali. Miała rodzaj ogarniającej ją gorączki, którą tym trudniej było leczyć, że Aurelia swoim zwyczajem naumyślnie ją podtrzymywała i zwiększała. Obcy nie został przedstawiony jako lekarz i zachowywał się bardzo ujmująco i roztropnie. Mówiono o stanie jej ciała i duszy, a świeży przyjaciel opowiadał niejedną historię o tym, jak pewne osoby pomimo takiego chorobliwego usposobienia mogą dożyć podeszłego wieku, że w takich razach nic nie ma szkodliwszego niż umyślne odnawianie namiętnych wzruszeń. Przede wszystkim nie skrywał tego, że uważał za nader szczęśliwe te osoby, które wobec, niedającej się uleczyć całkowicie chorobliwości miały pociąg do oddania się prawdziwie religijnemu nastrojowi. Mówił to w sposób bardzo skromny i niby historycznie, obiecał przy tym dostarczyć swoim nowym przyjaciółom wielce interesującą lekturę rękopisu, który otrzymał z rąk zmarłej już natenczas, doskonalej przyjaciółki.

— Jest on mi nieskończenie drogi — rzekł on — powierzam państwu sam oryginał. Tylko tytuł jest mojej ręki: *Zwierzenia pięknej duszy*.

O dietetycznym i lekarskim traktowaniu nieszczęśliwej rozstrojonej Aurelii lekarz udzielił Wilhelmu najlepszej rady, jaką miał, obiecał pisywać i jak tylko będzie można, przybyć osobiście.

Tymczasem podczas nieobecności Wilhelma następowała zmiana, której nie mógł się domyślać. Od chwili, kiedy wziął na siebie kierownictwo, traktował cały interes z pewną swobodą i hojnością, zważał głównie na sprawę, a mianowicie, co się tyczyło ubiorów, dekoracji i rekwizytów, sprawiał wszystko przystojnie i obficie, chcąc zaś podtrzymać dobrą wolę ludzi, schlebiał też ich własnej korzyści, ponieważ nie mógł wpłynąć na nich szlachetniejszymi pobudkami; a poczytywał się za uprawnionego w tej mierze tym bardziej, że Serlo sam nie rościł najmniejszych pretensji do miana dobrego gospodarza, lubił słuchać pochwał o świetności swego teatru i był zadowolony, gdy Aurelia, prowadząca całe gospodarstwo, po zaspokojeniu wszystkich kosztów zapewniała, że nie ma wcale długów i jeszcze dawała tyle, ile było potrzeba na pokrycie długów, które by Serlo mógł zaciągnąć nadzwyczajną szczodrością dla swych piękności czy z też innym sposobem.

Melina, który tymczasem zajmował się garderobą, swoim zwyczajem w milczeniu przypatrywał się chłodno i chytrze całej sprawie, a wobec oddalenia się Wilhelma i wzmagającej się choroby Aurelii potrafił dać odczuć Serlowi, że można by mieć więcej dochodu, mniej wydawać i albo coś odłożyć, albo też wreszcie wedle woli żyć jeszcze weselej. Serlo chętnie tego słuchał, a Melina odważył się wysunąć ze swoim planem.

— Nie chcę utrzymywać — rzekł on — że którykolwiek z aktorów ma obecnie za wielką gażę; są to ludzie pełni zalet i byliby pożądanymi w każdym miejscu, ale w porównaniu do dochodu, jaki nam przynoszą, otrzymują jednak za dużo. Moim projektem byłoby urządzić operę, a co się tyczy dramatu, to muszę panu powiedzieć, że jesteś pan człowiekiem, który sam może wymyślić cały dramat. Czyż pan sam nie doświadczasz teraz tego, że pańskie zalety źle są oceniane? Nie dlatego, że pańscy współgrający są wyborni, ale dlatego że są dobrzy, nie oddają już należnej sprawiedliwości pańskiemu nadzwyczajne-

mu talentowi. Przedstaw się pan, jak to zresztą bywało, sam jeden, staraj się pan ściągnąć do siebie ludzi miernych, ba, złych nawet, że tak powiem, za szczupłą gaź, okrzysz tę zgrają, jak pan to doskonale umiesz, pod względem mechanicznym, obróć pan resztę na operę, a zobaczysz, że tym samym wysiłkiem i tym samym kosztem wzbudzisz pan większe zadowolenie i zyskasz nieporównanie więcej pieniędzy niż dotychczas.

Serlowi zbyt to pochlebiali, ażeby jego zarzuty mogły mieć jakąkolwiek siłę. Przyznał się chętnie Melinie, że przy swoim zamiłowaniu do muzyki już od dawna pragnął czegoś podobnego, ale uważa przy tym, iż przez to upodobania publiczności jeszcze bardziej skierują się na manowce i że przy takim zmąceniu teatru, który nie jest naprawdę ani operą, ani dramatem, musi zniknąć nawet resztką smaku do jakiegoś określonego i zupełnego dzieła sztuki.

Melina niezbyt delikatnie żartował z tego rodzaju pedantycznych ideałów Wilhelma, z zarozumiałości, by kształcić ogół widzów zamiast kształcenia się według tego ogółu, a obaj z mocnym przekonaniem zgodzili się na to, że należy tylko ściągać pieniądze, bogacić się albo żyć wesoło, i prawie nie ukrywali przed sobą, iż pragnęli jedynie pozbyć się tych osób, które ich planowi stawały na przeszkodzie. Melina żałował, iż słabowite zdrowie Aurelii nie obiecywało jej długiego życia, myślał jednak zupełnie co innego. Serlo niby to ubolewał, że Wilhelm nie jest śpiewakiem, i dawał przez to do zrozumienia, iż niebawem uzna go za zbyt cennego. Melina wystąpił z całym rejestrem oszczędności, jakie by należało zrobić, a Serlo widział w nim potrójne zastępstwo swego pierwszego szwagra.

Czuli dobrze, iż musieli sobie przyrzec tajemnicę o tej rozmowie, a przez to jeszcze bardziej się ze sobą związali i korzystali ze sposobności, by potajemnie rozprawiać o wszystkim, co się działo, ganić to, co przedsiębrali Aurelia i Wilhelm, i w myśli coraz lepiej opracowywać swój nowy projekt.

Jakkolwiek obaj trzymali plan swój w ukryciu, jakkolwiek nie zdradzali się słowami, nie byli jednak dosyć polityczni, by utaić swoje uczucia w swoim postępowaniu. Melina sprzeciwił się Wilhelmowi w kilku wypadkach, które należały do jego zakresu, a Serlo, który nigdy nie obchodził się z siostrą delikatnie, stawał się tym przykrzejszy, im bardziej zwiększała się jej słabowitość i im bardziej mogła zasługiwać na wyrozumiałość wobec swych nierównych, namiętnych usposobień.

W tym właśnie czasie wzięto do gry *Emilię Galotti*<sup>125</sup>. Sztuka ta była bardzo szczęśliwie obsadzona i w ograniczonym zakresie tej tragedii każdy mógł ukazać całą różnorodność swojej gry. Serlo jako Marinelli był na swoim miejscu, Odoardo był reprezentowany bardzo dobrze, pani Melina grała matkę z wielkim zrozumieniem, Elmira w roli Emilii odznaczyła się na swą korzyść, Laertes jako Appiani występował z wielką przyzwoitością, a Wilhelm poświęcił kilka miesięcy studiów na rolę księcia. Przy tej sposobności zarówno sam ze sobą, jak z Serlem i Aurelią często dyskutował, jaka jest różnica między szlachetnym a pańskim zachowaniem się i o ile tamto w tym, ale nie to w tamtym musi być zawarte.

Serlo, który sam jako Marinelli grał dworaka czysto, bez karykatury, wypowiedział w tej mierze niejedną dobrą myśl.

— Pańska układność — mówił — jest bardzo trudna do naśladowania, ponieważ jest właściwie negatywna i wymaga długiej i wytrwałej wprawy. Nie należy bowiem w swoim zachowaniu okazywać niczego, co oznaczałoby dostojność, gdyż tym sposobem łatwo się popada w formalistyczną nadętość; powinno się raczej unikać wszystkiego, co jest niedostojne, co jest pospolite; nigdy nie należy zapominać się, zawsze zwracać uwagę na siebie i innych, niczego sobie nie pozwalać, innym nie okazywać względów ani za wiele, ani za mało, niczym nie dać się wzruszyć, niczym dotknąć, nigdy się nie zagalopować, umieć w każdej chwili panować nad sobą i utrzymywać tym sposobem zewnętrzną równowagę, jakkolwiek by się wewnętrznie burzyło. Człowiek szlachetny może się niekiedy zaniedbać, dostojny nigdy. Ten jest jak człowiek pięknie ubrany: nie będzie się o nic opierał, a każdy będzie strzec się, by się o niego nie otrzeć; wyróżnia się od innych, a jednak nie powinien stać samotnie, albowiem jak w każdej sztuce, tak i w tej, rzecz najtrudniejszą ostatecznie należy wykonać z łatwością; tak też człowiek dostojny mimo całego oddzielania się po-

<sup>125</sup>*Emilia Galotti* — pięcioaktowa tragedia Gottholda Ephraima Lessinga napisana w 1772, z akcją rozgrywającą się we Włoszech, ujawniająca zakłamanie i niemoralność władzy. [przypis edytorski]

winien zawsze wydawać się związany z innymi, nigdzie sztywny, wszędzie zręczny, zawsze się zjawiać jako pierwszy, a nigdy się jako taki nie narzucać. Widać więc z tego, że aby się okazać dostojnym, trzeba nim być rzeczywiście; widać dalej, dlaczego przeciętne kobiety mogą prędzej niż mężczyźni nadać sobie ten wygląd, dlaczego dworacy i żołnierze najrychlej osiągają tę układność.

Wilhelm tedy był już prawie zrozpaczony swą rolą, ale Serlo znów mu dopomógł, udzielając mu nader subtelnych spostrzeżeń na temat szczegółów i tak go strojąc, że na przedstawieniu reprezentował, przynajmniej w oczach tłumu, wcale wytwornego księcia.

Serlo obiecał podzielić się z nim po przedstawieniu uwagami, jakie jeszcze o nim może poczynić, jednak nieprzyjemna kłótnia między bratem a siostrą przeszkodziła wszelkiej krytycznej rozmowie.

Aurelia odegrała rolę Orsiny w taki sposób, jakiego się zapewne już nigdy nie zobaczy. Rolę znała w ogóle bardzo dobrze i na próbach traktowała ją obojętnie, ale na przedstawieniu usunęła, że tak powiem, wszystkie śluzę swego indywidualnego smutku, a z tego wynikło takie odegranie, jakiego by sobie nie mógł wyobrazić żaden poeta w pierwszym zapale wzruszenia. Niezmiernie oklaski publiczności nagrodziły jej bolesne wysiłki, ale też spoczywała na pół omdlała na krześle, kiedy odszukano ją po przedstawieniu.

Serlo z powodu jej przesadnej gry, jak ją nazwał, i z powodu odsłonięcia głębi serca przed publicznością, której mniej więcej znana była owa fatalna historia, już dał poznać swoje oburzenie i jak zwykł był czynić w gniewie, zaczął zgrzytać zębami i tupać nogami.

— Zostawcie ją — rzekł, gdy znalazł ją na krześle otoczoną przez aktorów. — Niedługo wyjdzie na scenę całkiem nago i wtedy dopiero będą przyjemne oklaski.

— Niewdzięczny! — zawołała Aurelia. — Nieludzki! Niebawem zaniosą mnie nagą tam, gdzie żadne oklaski do uszu naszych nie dochodzą!

To powiedziawszy, poderwała się i pobiegła do drzwi. Służąca zapomniała przynieść jej płaszcz; lektyki nie było; padał deszcz, a ostry wiatr dął po ulicach. Na próżno jej perswadowano, gdyż była niezmiernie rozgrzana; szła umyślnie powoli i wychwalała chłód, który, jak się zdawało, pożądliwie wdychała. Ledwie zaszła do domu, już ledwie mogła mówić powodu z chrypki, ale nie przyznała się, że czuje całkowitą sztywność w karku i pleców. Wkrótce opanował ją rodzaj paraliżu języka, tak że mówiła jeden wyraz zamiast drugiego; zaniesiono ją do łóżka; często stosowane środki uśmierzały jeden ból, ale ujawniał się drugi. Gorączka się wzmogła, a stan chorej stał się niebezpieczny.

Nazajutrz miała godzinę spokoju. Kazała zawołać Wilhelma i oddała mu list.

— To pismo — rzekła — już od dawna oczekuje na tę chwilę. Czuję, że koniec mego życia jest bliski; przyrzeknij mi pan, że je sam oddasz i że kilkoma słowami pomścisz moje cierpienia na niewiernym. Nie jest nieczuły i przynajmniej moja śmierć powinna go na chwilę zabołeć.

Wilhelm wziął list, pocieszając ją jednak i chcąc oddalić od niej myśl o śmierci.

— Nie — odrzekła — nie odbieraj mi pan mojej najbliższej nadziei. Długo oczekiwałam śmierci i z radością przyjmę ją w objęcia.

Wkrótce potem nadszedł przyrzeczony przez doktora rękopis. Prosiła Wilhelma, by jej coś z niego przeczytał, a wrażenie, jakie sprawił, czytelnik najlepiej będzie mógł ocenić, gdy zapozna się z następną księgą. Gwałtowne i zacięte usposobienie naszej biednej przyjaciółki stało się naraz łagodniejsze. Odebrała list i napisała inny, jak się zdaje, w bardzo pojednawczym nastroju; prosiła też Wilhelma, żeby pocieszał jej przyjaciela, jeśliby wiadomość o jej śmierci go zasmuciła, żeby go zapewnił, iż mu przebaczyła i życzy mu wszelkiego szczęścia.

Od tego czasu była bardzo milcząca i zdawała się zaprzątnięta tylko kilkoma myślami, jakie starała się przyswoić z rękopisu, z którego Wilhelm musiał jej od czasu do czasu czytywać. Jej opadnięcie z sił nie było widoczne i Wilhelm pewnego poranku, gdy ją chciał odwiedzić, niespodzianie znalazł ją martwą.

Ze względu na szacunek, jaki dla niej żywił, i na przyzwyczajenie przestawiania z nią, jej strata była dla niego bardzo bolesna. Była jedyną osobą, która postępowała z nim naprawdę szczerze, a chłód Serla w ostatnich czasach odczuł aż nadto silnie. Śpieszył się zatem wypełnić przyjęte przez siebie poselstwo i pragnął odejść na jakiś czas. Z drugiej strony odjazd ten był wielce pożądanym dla Meliny; ten bowiem, prowadząc bardzo rozległą

korespondencję, wszedł właśnie w porozumienie z jakimś śpiewakiem i śpiewaczką, którzy mieli tymczasowo za pomocą przerywników przygotować publiczność do przyszłej opery. Utrata Aurelii i oddalenie się Wilhelma miały być w ten sposób na razie pokryte, a nasz przyjaciel rad był ze wszystkiego, co mu ułatwiało urlop na kilka tygodni.

Wyrobił on sobie dziwnie poważne wyobrażenie o danym sobie poleceniu. Śmierć przyjaciółki wzruszyła go głęboko, a ponieważ widział ją ustępującą z widowni tak przedwcześnie, musiał przeto z konieczności być wrogo usposobiony wobec tego, kto skrócił jej życie i to krótkie istnienie uczynił tak męczącym. Pomimo ostatnich łagodnych słów umierającej postanowił sobie przy wręczeniu listu wypowiedzieć surowy sąd o niewiernym przyjacielu, a że nie chciał polegać na przypadkowym nastroju, pomyślał o mowie, która w opracowaniu stała się patetyczniejsza, niż wypadało.

Nabrawszy dostatecznego przekonania o dobrej kompozycji swego przemówienia, ucząc się go na pamięć, przygotowywał się do odjazdu. Mignon była obecna przy pakowaniu i zapytała go, czy jedzie na południe, czy na północ, a kiedy dowiedziała się, że na północ, rzekła:

— To zaczekam na ciebie tutaj.

Prosiła go o sznur pereł Marianny, którego lubemu stworzeniu nie mógł odmówić; chusteczkę na szyję już miała przedtem. Natomiast włożyła mu do tłumoczek zasłonę ducha, chociaż powiedział jej, że mu się ta gaza na nic nie przyda.

Melina objął kierownictwo, a jego żona przyrzekła doglądać macierzyńskim okiem oboje dzieci, z którymi Wilhelm rozstawał się z przykrością. Feliks był bardzo wesół przy pożegnaniu, a kiedy go pytano, czego sobie życzy, by mu przywieziono, powiedział:

— Słuchaj, przyprowadź mi jakiegoś ojca.

Mignon wzięła odjeżdżającego za rękę, a wspiąwszy się na palce, wycisnęła mu na ustach serdeczny i gorący pocałunek, bez tkliwości jednak, i rzekła:

— Mistrzu, nie zapominaj o nas i wracaj prędko.

I tak zostawiamy naszego przyjaciela rozpoczynającego podróż wśród tysiąca myśli i wzruszeń, a na zakończenie wpisujemy tu jeszcze wiersz, który Mignon z wielką wyrazistością kilkakrotnie deklamowała, a którego nie mogliśmy umieścić poprzednio z powodu nawału tylu dziwnych wydarzeń.

Nie każ mi mówić, ja milczeć muszę,  
Gdyż tajemnica wiąże mnie;  
Chciałabym ci całą odkryć duszę,  
Lecz los nie pozwala, nie!

W porze właściwej mroki nocy mkną  
Przed blaskiem słońca, co światłem olśniewa,  
Skała odmyka pierś na oścież swą  
I skryte wody po ziemi rozlewa.

Każdy w objęciach druha spokój śni,  
Serdecznie mogąc swe żale wyłożyć,  
Lecz tu przysięga usta zwierza mi,  
A Bóg je tylko może sam otworzyć.

# KSIĘGA VI

## ZWIERZENIA PIĘKNEJ DUSZY

Aż do ósmego roku życia byłam dzieckiem zupełnie zdrowym, ale o tym okresie tyleż wiem w swoich wspomnieniach, co i o dniu narodzin. Z początkiem ósmego roku dostałam krwotoku, a w tej chwili dusza moja była cała wrażeniem i pamięcią. Najdrobniejsze okoliczności tego wypadku stoją mi wciąż jeszcze przed oczyma, jak gdyby zdarzył się wczoraj.

W czasie dziewięciomiesięcznego pozostawania w łóżku, co cierpliwie znosiłam, położone zostały, jak mi się zdaje, podwaliny pod cały mój tryb myślenia, gdyż memu duchowi dostarczono pierwszych środków rozwijania się w sposób sobie właściwy.

Cierpiałam i kochałam: oto istotny stan mojego serca. W najgwałtowniejszym kaszlu i osłabiającej gorączce byłam cicha jak ślimak chowający się do swego domku; kiedy oddychałam cokolwiek swobodniej, pragnęłam doznawać jakiejś przyjemności, a że wzbroniono mi wszelkiej innej rozkoszy, starałam się zabawić niewinnie oczyma i uszami. Przynoszono mi lalki i książeczki z obrazkami, a kto chciał usiąść na moim łóżku, musiał mi coś opowiadać.

Od matki z ochotą się dowiadywałam dziejów biblijnych; ojciec opowiadał mi o przedmiotach natury. Posiadał ładny zbiorek. Stamtąd przynosił przy sposobności jedną szufladę po drugiej, pokazywał mi, co w nich było, i wyjaśniał zgodnie z prawdą. Zasuszone rośliny i owady oraz niektóre rodzaje preparatów anatomicznych, skóra ludzka, kości, mumie i tym podobne dostawały się do łóżka chorej dziewczynki; ptaki i zwierzęta, zabite przez niego na polowaniu, były mi pokazywane, zanim poszły do kuchni; ażeby zaś i pan święta miał głos na tym zgromadzeniu, ciotka opowiadała mi historie miłosne i czarodziejskie baśnie. Wszystko wchłaniałam, wszystko puszczało korzenie. Miewałam godziny, w których żywo zabawiałam się z niewidzialnymi istotami; pamiętam jeszcze kilka wierszy, jakie wówczas podyktowałam matce do napisania.

Często opowiadałam ojcu, czego się od niego nauczyłam. Nie brałam zazwyczaj lekarstwa, nie pytałam: „Gdzie rosną rzeczy, z których je sporządzono? Jak wyglądają? Jak się nazywają?”. Jednak i opowiadania ciotki nie padały na skałę. Myślą ubierałam się w piękne szaty i spotykałam nader miłych królewiczów, którzy nie mogli spocząć ni wytchnąć, póki się nie dowiedzieli, kim jest ta nieznaną piękność. Podobnego rodzaju przygodę z uroczym aniołkiem, który w białej odzieży i ze złotymi skrzydłami bardzo usilnie koło mnie chodził, rozsnuwałam tak długo, że jego obraz fantazja moja podniosła aż do zjawienia prawie.

Po upływie roku niemal całkowicie wróciłam do zdrowia, ale z dzieciństwa nie pozostało mi nic szalonego. Nie mogłam nawet bawić się lalkami; pragnęłam istot, które by odwzajemniały moją miłość. Psy, koty i ptaki, jakich różne gatunki hodował mój ojciec, sprawiały mi wielką przyjemność; ale czegoż bym nie dała, by posiadać stworzenie, które w jednej z baśni ciotki grało bardzo ważną rolę. Była to owieczka, którą wiejska dziewczyna złapała w lesie i wyhodowała, ale w tym miłym zwierzątku tkwił zaklęty królewicz, który się w końcu ukazał znowu jako piękny młodzieniec i swoją ręką nagroził swoją dobrodziejkę.

Bardzo pragnęłam mieć taką owieczkę! Ale cóż, nie można było takiej znaleźć, a ponieważ wszystko wokół mnie odbywało się w sposób tak naturalny, musiałam z wolna prawie utracić nadzieję na posiadanie tak cudownej własności. Pocięłam się tymczasem, czytając książki, w których opisywano cudowne wydarzenia. Spośród wszystkich najmilszy dla mnie był *Chrześcijański niemiecki Herkules*<sup>126</sup>; pobożna historia miłosna była zupełnie według mojej myśli. Jeżeli jego Waliskę coś spotykało — a spotykały ją rzeczy straszne — on modlił się naprzód, zanim pośpieszył jej na pomoc, i te modlitwy znajdowały się w książce w całej rozciągłości. Jakże mi się to podobało! Pociąg do rzeczy

<sup>126</sup> *Chrześcijański niemiecki Herkules* — niem. *Des Christlichen Teutschen Groß-Fürsten Herkules Und der Böhmischen Königlischen Fräulein Valjska Wunder-Geschichte* (Cudowna historia chrześcijańskiego wielkiego księcia niemieckiego Herkulesa i czeskiej królewskiej panny Valiski, 1659–1660), autorstwa Andreasa Heinricha Bucholtza, pierwsza dworska powieść historyczna w literaturze niemieckiej nieopierająca się na zagranicznych wzorach, licząca 1800 stron druku. [przypis edytorski]

niewidzialnych, który wciąż odczuwałam, choć niewyraźnie, wzmagał się przez to, gdyż raz na zawsze Bóg miał być moim powiernikiem.

Gdy podrosłam, czytałam Bóg wie co, bez ładu i składu; ale *Oktawia rzymska*<sup>127</sup> otrzymała pierwszeństwo nad wszystkimi. Prześladowanie pierwszych chrześcijan, ujęte w romans, budziło we mnie najżywsze zainteresowanie.

Wtem matka zaczęła zrzędzić na ciągle czytanie; żeby ją zadowolić, ojciec jednego dnia odebrał mi książki z ręki, a drugiego mi je zwrócił. Miała tyle rozsądku, by zrozumieć, że nie ma na to rady, i odtąd nastawała już tylko, aby i Biblia była równie pilnie czytana. Do tego nie trzeba było mnie nakłaniać i czytałam księgi święte z wielkim zainteresowaniem. Przy tym matka dbała zawsze, by do moich rąk nie trafiła żadna z uwodzicielskich ksiązek; sama odrzuciłabym była każde sprośne pismo, gdyż moi królewicze i królowny byli wszyscy nadzwyczaj cnotliwi, ale poza tym o historii naturalnej rodu ludzkiego wiedziałam więcej, niż dawałam poznać; nauczyłam się zaś tego głównie z Biblii. Zastanawiające ustępy porównywałam ze słowami i rzeczami, które wpadały mi w oczy, i wobec mojej żądzy wiedzy i daru kombinacyjnego szczęśliwie wydobywałam prawdę. Gdybym słyszała o czarownicach, musiałabym się zapoznać i z czarnoksięstwem.

Matce mojej i tej żądzy wiedzy mam do zawdzięczenia, iż przy tak silnym pociągu do ksiązek nauczyłam się gotować, ale na to warto było popatrzeć. Zarznąć kurę lub prosię było dla mnie uroczystością. Ojcu odnosiłam wnętrzości, a on rozmawiał ze mną o nich jak z młodym studentem i często z serdeczną radością zwał mnie swoim niedoszłym synem.

Tak skończyłam dwunasty rok. Uczylałam się francuskiego, tańca i rysowania i otrzymywałam zwykle lekcje religii. Przy tej ostatniej powstawały we mnie pewne uczucia i myśli nieodnoszące się wszakże wcale do mojego stanu. Chętnie słuchałam o Bogu, byłam dumna z tego, że mogę o nim mówić lepiej niż moi rówieśnicy; przeczytałam gorliwie kilka ksiązek, które uzdolniły mnie do paplania o religii, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy pomyśleć, jak się rzecz ma ze mną, czy też dusza moja tak jest ukształtowana, czy podobna jest do zwierciadła, w którym odwieczne słońce mogło by się odbijać; założyłam to już z góry na zawsze.

Francuskiego uczylałam się z wielką ochotą. Nauczyciel był dzielnym człowiekiem. Nie był on lekkomyślnym empirykiem ani suchym gramatykiem; posiadał wiedzę, widział świat i ludzi. Wraz z nauką języka różnymi sposobami zaspokajał moją żądzę wiedzy. Kochałam go tak mocno, że z bijącym sercem oczekiwałam jego przyjścia.

Rysunki nie sprawiały mi trudności, zaszła bym w nich dalej, gdyby mistrz mój miał głowę i wiadomości, ale on miał tylko ręce i wprawę.

Taniec z początku dawał mi najmniej przyjemności; moje ciało było zanadto wrażliwe i uczylałam się jedynie w towarzystwie mojej siostry. Pomysł naszego tancmistrza, by wszystkim swoim uczniom i uczennicom wydać bal, całkiem inaczej ożywił ochotę do tego ćwiczenia.

Spośród wielu chłopców i dziewczynek wyróżniali się dwaj synowie nadwornego marszałka: młodszy w moim wieku, drugi o dwa lata starszy, dzieci tak wielkiej piękności, że według powszechnego zdania przewyższały wszystkie piękne dzieci, jakie kiedykolwiek widziano. A i ja, ledwie je ujrzałam, nie patrzyłam już na żadnego z całej gromady. W owej chwili tańczyłam uważnie i pragnęłam tańczyć pięknie. Jak się to stało, że i ci chłopcy mnie również wyróżnili spośród wszystkich innych? Dość że od pierwszej godziny byliśmy najlepszymi przyjaciółmi i jeszcze się nie skończyła zabawa, a już uzgodniłszy, gdzie mamy się znów spotkać w najbliższym czasie. Wielka dla mnie radość! Ale byłam aż zachwycona, kiedy nazajutrz każdy z nich w uprzejmym liściku, któremu towarzyszył bukiet, dowiadywał się o moje zdrowie. Już nigdy później nie doznałam takiego uczucia jak wówczas! Na grzeczności odpowiedziałam grzecznościami, na liściki liścikami. Kościół i przechadzki stały się odtąd miejscami schadzek; nasi młodzi znajomi już zawsze zapraszali nas razem, ale mieliśmy dość przebiegłości, żeby rodzice tyle tylko dostrzegli, ileśmy tego sobie życzyli.

<sup>127</sup>*Oktawia rzymska* — niem. *Römische Octavia*, obszerna niemiecka powieść historyczna Antona Ulricha Herzoga von Braunschweig-Wolfenbüttel, opublikowana w 1677 w trzech tomach, w wersji rozszerzonej uzupełniona o trzy kolejne tomy, pośmiertnie wydano tom siódmy; w krótszej wersji pierwszej liczy ok. 7000 stron. [przypis edytorski]

Miałam tedy dwu kochanków na raz. Nie zdecydowałam się na żadnego; obaj mi się podobali i byliśmy ze sobą w najlepszym porozumieniu. Wtem starszy mocno zachorował; ja sama często już chorowałam i umiałam cierpiącego ucieszyć przesyłką niejednej grzeczności i stosownych dla chorego łakoci, tak że jego rodzice, wdzięcznie przyjmując tę uprzejmość, dali posłuch prośbie drogiego syna i gdy tylko opuścił łóżko, zaprosili mnie do niego wraz z mymi siostrami. Tkliwość, z jaką mnie spotkał, nie była dziecinna i od tego dnia zdecydowałam się na niego. Zaraz mnie ostrzegł, ażeby się ukrywać przed bratem, ale niepodobna już było zataić ognia, a zazdrość młodszego uzupełniała romans. Płatał nam tysiące figłów; z przyjemnością niszczył naszą radość i przez to zwiększał namiętność, którą starał się zburzyć.

Tak więc znalazłam rzeczywiście upragnioną owieczkę, a ta namiętność, jak poprzednio choroba, wywarła na mnie ten skutek, że stałam się cicha i zaniechałam hałaśliwych przyjemności. Byłam samotna i wzruszona, a Bóg znowu mnie ogarnął. Pozostał moim powiernikiem i pamiętam dobrze, jak wytrwale, jak łzawo modliłam się za chłopca, wciąż zapadającego w chorobę.

Chociaż w zdarzeniu tym było tak wiele dziecinności, przyczyniło się ono jednak do wykształcenia mego serca. Dla nauczyciela języka francuskiego musieliśmy codziennie zamiast zwykłego tłumaczenia pisywać listy własnego pomysłu. Ja przedstawiałam własne dzieje miłosne pod imionami Fillidy i Damona. Starzec niebawem to przejrzał, a chcąc, bym była szczerą, mocno chwalił moją pracę. Stawałam się coraz śmielsza, rozpisywałam się otwarcie i byłam wierna prawdzie nawet w szczegółach. Nie wiem już, przy jakim ustępie miał sposobność powiedzieć:

— Jakie to ładne, jak to naturalne! Ale niech dobra Fillida ma się na baczności; to się wkrótce może stać rzeczą poważną.

Bolało mnie, że do tej pory nie uważał sprawy za poważną, i zapytałam podrażniona, co rozumie przez rzecz poważną? Nie dał się pytać dwa razy i tak wyraźnie się wypowiedział, iż ledwie mogłam ukryć przerażenie. Ale ponieważ zaraz potem poczułam przykrość i wzięłam mu za złe, iż mógł takie mieć myśli, zebrałam siły, a chcąc usprawiedliwić swoją piękność, rzekłam z pałającymi policzkami:

— Ależ, proszę pana, Fillida jest uczciwą dziewczyną!

Otóż był tyle złośliwy, iż wydrwił mnie wraz z moją uczciwą bohaterką, a ponieważ mówiliśmy po francusku, igrał wyrazem *honnête*, przeprowadzając uczciwość Fillidy przez wszystkie znaczenia. Poczulałam śmieszność i strasznie się zmieszałam. On, nie chcąc mnie przestraszyć, urwał, ale przy innych okazjach znów kierował rozmowę na tę drogę. Dramaty i historyjki, jakie przy nim czytałam i tłumaczyłam, dawały mu często powód do okazania, jak słabą ochroną bywa tak zwana cnota przeciw porywom namiętności. Już się nie sprzeciwiałam, lecz potajemnie dręczyło mnie to, a jego uwagi ciążyły mi.

Z moim dobrym Damonem przerwały się powoli wszelkie związki. Złośliwe zabiegi młodszego zniszczyły nasz stosunek. Niedługo potem obaj młodzieńcy zmarli w rozkwicie. Bolało mnie to, lecz wkrótce poszli w niepamięć.

Fillida dorastała szybko, była zupełnie zdrowa i zaczęła widywać świat. Księżę dziedziczny ożenił się i wkrótce potem po śmierci ojca wstąpił na tron. Dwór i miasto były w niezmiernym ruchu. Wtedy moja ciekawość miała wiele pożywki. Dawano komedie, bale i wszystko, co się z tym łączy, a chociaż rodzice, o ile mogli, trzymali nas z dala, trzeba jednak było pokazać się na dworze, gdzie zostałam przedstawiona. Obcy napływali, we wszystkich domach był wielki świat; nam samym zarekomendowano kilku kawalerów, a innych wprowadzono do domu, zaś u mego stryja można było napotkać wszystkie nardy.

Mój zacny mentor nie przestał mnie ostrzegać w sposób skromny, ale trafny, a ja wciąż miałam mu to za złe. Wcale nie byłam przekonana o prawdzie jego twierdzeń i może miałam też wówczas słuszość, może on jej nie miał, uważając kobiety za tak słabe we wszelkich okolicznościach, lecz mówił zarazem tak natarczywie, iż razu pewnego zdjął mnie strach, że może ma słuszość, rzekłam tedy do niego bardzo żywo:

— Ponieważ niebezpieczeństwo jest tak wielkie, a serce ludzkie tak słabe, prosić będę Boga, żeby mnie uchronił.

Ta naiwna odpowiedź zdawała się go cieszyć; pochwalił moje postanowienie, ale wówczas bynajmniej nie myślałam tego na serio; było to tylko puste słowo, gdyż uczucia dla

Niewidzialnego wygasły we mnie prawie zupełnie. Wielki rój, którym była otoczona, czynił mnie roztargnioną i porywał mnie ze sobą jak potężny strumień. Były to najbardziej puste lata mego życia. Całymi dniami mówić o niczym, nie mieć żadnej zdrowej myśli, a tylko marzyć — to były moje sprawy. Nie pomyślałam nawet o ukochanych książkach. Ludzie, którzy mnie otaczali, nie mieli wyobrażenia o umiejętnościach; byli to dworacy niemieccy, a ta klasa nie miała wtedy najmniejszej kultury.

Taki tryb życia, można sobie pomyśleć, musiał mnie chyba zaprowadzić na skraj zepsucia. Żyłam tylko wśród zmysłowej rzeźkości, nie skupiałam się, nie modliłam, nie myślałam o sobie ani o Bogu, ale poczytuję to za zrządzenie Opatrzności, że nie podobał mi się żaden z tych wielce pięknych, bogatych i dobrze ubranych mężczyzn. Byli rozpustni i nie ukrywali tego; to mnie odstraszyło; swoją rozmowę zaprawiali dwuznacznikami, to mnie obrażało; zachowywałam się względem nich chłodno; ich nieobyczajność przekraczała nieraz wszelką miarę; pozwalałam więc sobie być grubiańska.

Prócz tego mój starzec wyjaśnił mi raz poufnie, iż z większością tych nieznośnych jegomości nie tylko cnota, lecz także i zdrowie dziewczyny bywa w niebezpieczeństwie. Wtedy ogarnął mnie wstręt do nich i już bałam się, jeśli któryś z nich w jakikolwiek sposób zanadto zbliżał się do mnie. Strzegłam się szklanek i filiżanek, jak i krzesła, z którego jeden z nich powstał. Tym sposobem byłam bardzo izolowana moralnie i fizycznie, a wszystkie grzeczności, jakie mi mówili, przyjmowałam dumnie jak należne kadzidło.

Spomiędzy obcych, którzy wtenczas u nas bawili, wyróżnił się mianowicie jeden młodzieniec, którego w żartach przezwaliliśmy Narcyzem. Zyskał on sobie rozgłos w zawodzie dyplomatycznym i miał nadzieję otrzymania korzystnego miejsca na naszym nowym dworze wśród różnych zmian, jakie na nim zachodziły. Zaznajomił się niebawem z moim ojcem, a jego wiadomości i postępowanie otwarły mu wstęp do zamkniętego koła najgodniejszych mężów. Ojciec mój mówił wiele na jego pochwałę, a jego piękna postać robiłaby dużo większe wrażenie, gdyby w całej jego istocie nie przebijał się pewien rodzaj upodobania do samego siebie. Widywałam go, myślałam o nim przychylnie, ale nigdy ze sobą nie rozmawialiśmy.

Na pewnym wielkim balu, na którym i on się znajdował, tańczyliśmy z sobą menueta; ale i to si tańce skończyło bez bliższej znajomości. Kiedy rozpoczęły się żywsze, których zazwyczaj unikałam z miłości do ojca, zatroskanego o moje zdrowie, udałam się do sąsiedniego pokoju i rozmawiałam ze starszymi przyjaciółkami, które zasiadły do gry.

Narcyz, który przez jakiś czas hasał z innymi, również przyszedł do pokoju, w którym się znajdowałam, i uspokoiwszy się po krwawieniu z nosa, które napadło go w tańcu, zaczął ze mną rozmawiać o tym i owym. W ciągu pół godziny rozmowa stała się tak zajmująca, chociaż się do niej nie przymieszał ani cień czułości, że już oboje nie mogliśmy znieść tańca. Drażniono nas tym wkrótce, ale nie daliśmy się wywieść w pole. Następnego wieczoru mogliśmy znowu rozpocząć naszą rozmowę i bardzo dbaliśmy o zdrowie.

Zawiązała się tedy znajomość. Narcyz nadskakiwał mnie i moim siostram i teraz dopiero znowu zaczęłam baczyć na to, co wiedziałam, o czym myślałam, co czułam i o czym umiałam się wypowiadać w rozmowie. Mój nowy przyjaciel, który od dawna był w najlepszych towarzystwach, miał prócz fachu historycznego i politycznego, które znał na wylot, nader rozległe wiadomości literackie i nie była dla niego obca żadna nowość, jaka się pojawiała we Francji. Przynosił mi i przysyłał niejedną przyjemną i pożyteczną książkę, ale trzeba to było trzymać w większej tajemnicy niż jakieś zakazanie porozumienia miłosne. Ośmieszono uczone kobiety i nie chciano znosić nawet wykształconych, prawdopodobnie dlatego, że poczytywano za niegrzeczne pozwalać na ośmieszanie tyłu mężczyzn nieuków. Nawet mój ojciec, dla którego ta nowa sposobność kształcenia mego umysłu wielce była pożądana, żądał wyraźnie, ażeby to literackie zajęcie pozostało tajemnicą.

Tak trwał nasz stosunek prawie okrągły rok, a nie mogę powiedzieć, żeby Narcyz w jakikolwiek sposób okazywał mi miłość lub tliwość. Pozostał grzeczny i uczynny, ale nie okazywał wcale afektu; zdawało się raczej, że powab najmłodszej mojej siostry, która była wtedy nadzwyczaj piękna, nie był mu obojętny. W żartach nadawał jej różne przyjazne imiona z obcych języków, z których kilkoma mówił bardzo dobrze i z których szczególne zwroty chętnie mieszał do rozmowy niemieckiej. Ona nieszczególnie odwzajemniała jego grzeczności; była uwiązana na innej niteczce, a ponieważ odznaczała się porywcznością, a on

Kobieta, Książka, Nauka



wrażliwością, to często spierali się o drobnostki. Z matką i ciotkami umiał być na dobrej stopie i tak z wolna stał się członkiem rodziny.

Kto wie, jak długo byśmy jeszcze żyli dalej w ten sposób, gdyby nasze stosunki wskutek szczególnego wypadku nie zmieniły się nagle. Proszono mnie wraz z siostrami do pewnego domu, do którego nie lubiłam chodzić. Towarzystwo było zbyt mieszane i można tam było częstokroć zastać ludzi, jeżeli nie zupełnie nieokrzesanych, to w każdym razie nader płaskich. Tym razem zaproszony był także Narcyz i dla niego byłam skłonna pójść; miałam bowiem przynajmniej pewność, że znajdę kogoś, z kim będę mogła rozmawiać po swojemu. Już przy stole mieliśmy do zniesienia niejedną przykrość, gdyż niektórzy mężczyźni pili okrutnie; po jedzeniu miało i musiało się grać w fanty. Odbywało się to bardzo hałaśliwie i żywo. Narcyz miał zapłacić jakiś fant; polecono mu powiedzieć całemu towarzystwu do ucha coś takiego, co dla każdego byłoby miłe. Może za długo bawił się przy mojej sąsiadce, żonie kapitana. Nagle tenże wyciął mu policzek tak, że mnie, siedzącej tuż obok, posypał się puder w oczy. Kiedy przetarłam oczy i cokolwiek ochłodziłam z przerażenia, ujrzałam obu z gołymi szpadami. Narcyzowi krew płynęła, a tamtego, niepanującego nad sobą od wina, gniewu i zazdrości, ledwie powstrzymywała cała reszta towarzystwa. Wzięłam Narcyza pod ramię i wyprowadziłam drzwiami na piętro, do innego pokoju, a ponieważ nie uważałam mego przyjaciela za bezpiecznego przed jego szalonym przeciwnikiem, natychmiast zaryglowałam drzwi.

Zazdrość, Kobieta, Gniew

Oboje nie uważaliśmy rany za poważną, widzieliśmy bowiem tylko lekkie cięcie przez rękę; wkrótce jednak spostrzeżliśmy strumień krwi spływający po plecach i ukazała się wielka rana na głowie. Zdjął mnie strach. Pobiegłam na schody, by posłać po pomoc, ale nie mogłam dostrzec nikogo, gdyż wszyscy pozostali na dole, by poskromić wściekłego człowieka. Na koniec przybiegła, skacząc, jedna z córek domu, a jej wesołość niemało mnie wystraszyła, gdyż z powodu szalonego widowiska i przekłętej komedii zaśmiewała się prawie na śmierć. Prosiłam ją usilnie, by wystarała mi się o chirurga, a ona, szalejąc po swojemu, zbiegła natychmiast ze schodów, by jakiegoś przyprowadzić.

Wróciłam do swego rannego, przewiązałam mu rękę swoją chusteczką, a głowę ręcznikiem, który wisiał na drzwiach. Wciąż silnie krwawił, chirurg nie przychodził, ranny zbladł i zdawał się popadać w omdlenie. W pobliżu nie było nikogo, kto mógłby mi pomóc; wzięłam go swobodnie w objęcia i starałam się go rozweselić głaskaniem i pieścizotami. Zdawało się, iż działa to jako duchowy środek leczniczy; nie utracił przytomności, ale siedział śmiertelnie błądy.

Nadeszła wreszcie skrzętna gospodyni; jakże się przeraziła, ujrzawszy przyjaciela w tej postaci, spoczywającego w moich objęciach, a nas oboje oblanych krwią; nikt bowiem nie wyobrażał sobie, iż Narcyz został ranny, wszyscy sądzili, że go szczęśliwie odciągnęłam.

Wtedy zjawilo się pod dostatkiem wina, pachnącej wódki i wszystkiego, co mogło pokrzepić i orzeźwić; wtedy też przyszedł chirurg; mogłabym więc odejść, ale Narcyz trzymał mnie za rękę, a nawet gdyby mnie nie trzymał, pozostałabym. Podczas przewiązywania nacierałam go wciąż winem i mało zważałam na to, że wokół stało już całe towarzystwo. Chirurg skończył, ranny pożegnał się ze mną w uprzejmym milczeniu i został zaniesiony do domu.

Wtedy pani domu zaprowadziła mnie do swej sypialni; musiała mnie całkiem rozebrać, a nie powinnam zamilczeć, że kiedy zmywano jego krew z mego ciała, po raz pierwszy przypadkiem zauważyłam w zwierciadle, że mogę się uważać za piękną nawet bez okrycia. Nie mogłam wdziać na powrót żadnej sztuki mej odzieży, a ponieważ wszystkie osoby w tym domu były albo niższe, albo tęższe ode mnie, wróciłam więc do siebie, ku najwyższemu zdziwieniu rodziców, w dziwnym przebraniu. Zmartwiło ich okropnie i moje przerażenie, i rany przyjaciela, i szaleństwo kapitana i cały wreszcie wypadek. Mało brakowało, by mój ojciec sam wyzwał kapitana, żeby natychmiast pomścić przyjaciela. Wymyślał na obecnych panów, że zaraz nie skarcili takiego rozbójniczego postępowania; było bowiem aż nadto widoczne, iż kapitan wnet po uderzeniu dobył szpady i zranił Narcyza z tyłu; cięcie przez rękę nastąpiło dopiero wtedy, gdy Narcyz również porwał za szpadę. Byłam nieopisanie wzburzona czy podniecona, czy jak mam się wyrazić; uczucie, które spoczywało na najgłębszym dnie serca, nagle przedarło się jak płomień, który wydostaje się na powietrze. A jeżeli radość i wesele są najodpowiedniejsze do obudze-

nia miłości i rozdmuchania jej w zaciszu, to przerażenie najłatwiej popycha ją, z natury serdeczną, do zdecydowania się i oświadczenia.

Dano córeczce lekarstwo i położono ją do łóżka. Wczesnym rankiem ojciec pospieszył do zranionego przyjaciela, który leżał bardzo chory na silną gorączkę poranną. Ojciec mało mi powiedział z tego, o czym z nim mówił, i starał się mnie uspokoić co do następstw, jakie mógłby mieć ten wypadek. Mowa była o tym, czy nie można by się zadowolić przeprosinami, czy też sprawę oddać sądowi i o tym podobnych rzeczach. Zbyt dobrze znałam ojca, abym mogła mu być uwierzyć, jakoby życzył sobie zakończenia sprawy bez pojedynku, ale zachowałam milczenie, gdyż dawno się od niego dowiedziałam, iż kobiety nie powinny mieszać się w takie zatargi. Zresztą wcale nie było znać, iżby między dwoma przyjaciółmi zaszło coś, co by mnie dotknęło; jednak niebawem powierzył ojciec mojej matce treść swej dalszej rozmowy.

Narczy, wedle jego słów, był niezmiernie wzruszony pomocą okazaną mu przeze mnie, uściskał ojca, oświadczył, że jest jego wiecznym dłużnikiem, zapewnił, że nie pragnie wcale szczęścia, jeżeliby nie miał dzielić go ze mną, wyprosił sobie u niego pozwolenie, by uważać go za ojca. Mama wiernie mi to wszystko powtórzyła, dołączając jednak roztropne ostrzeżenie, że nie należy znowu tak bardzo zważać na coś, co powiedziane zostało w pierwszym wzruszeniu.

— Tak, oczywiście — odpowiedziałam z przybranym chłodem, czując przy tym Bóg wie co i jak wiele.

Narczy chorował całe dwa miesiące, z powodu rany w prawej ręce nie mógł nawet pisać, okazywał mi wszakże w tym czasie swoją pamięć nader zobowiązującym zainteresowaniem. Wszystkie te grzeczności, więcej niż zwyczajne, zestawiałam z tym, co usłyszałam od matki, i moja głowa pełna była ustawicznych majaczeń. Całe miasto gadało o wypadku. Rozmawiano o tym ze mną osobliwym jakimś tonem, wyciągano z tego wnioski, które choć się starałam odsuwać jak najdalej, mocno mnie jednak obchodziły. Co przedtem było igraszką i przyzwyczajeniem, stało się wtedy rzeczą poważną i skłonnością. Niepokój, w jakim żyłam, był tym gwałtowniejszy, im staranniej usiłowałam go ukryć przed wszystkimi. Myśl utracenia Narcyza przerażała mnie, a możliwość bliższego związku wprawiała mnie w drżenie. Myśl o małżeństwie dla dziewczyny na pół roztropnej ma doprawdy coś przerażającego.

Te silne wstrząsy znowu zwróciły mnie do mnie samej. Różnobarwne obrazy rozproszonego życia, które mi dotychczas dniem i nocą bujały przed oczyma, nagle się rozwiały. Dusza moja znowu zaczęła się budzić, ale dawno przerwana znajomość z niewidzialnym przyjacielem nie dała się tak łatwo zawiązać. Pozostawaliśmy wciąż jeszcze w pewnym oddaleniu; było to już coś, lecz w porównaniu z dawniejszymi czasami zachodziła różnica wielka.

Odbył się pojedynek, w którym kapitan został ciężko ranny; lecz nic o nim nie wiedziałam, a opinia publiczna pod każdym względem była po stronie mego ukochanego, który w końcu zaczął się znowu ukazywać. Przede wszystkim kazał się zanieść z przewiązaną głową i obwinietą ręką do naszego domu. Jakże mi biło serce przy tych odwiedzinach! Cała rodzina była obecna; z obu stron poprzestano tylko na ogólnych podziękowaniach i grzecznościach; znalazł jednak sposobność, żeby dać mi kilku tajemnych oznak swojej tkliwości, przez co mój niepokój wielce się zwiększył. Kiedy całkowicie przyszedł do siebie, odwiedzał nas przez całą zimę na tej samej stopie co poprzednio, a obok wszystkich cichych oznak szczęścia i miłości, jakie mi dawał, wszystko pozostało nierozwikłane.

W ten sposób utrzymywana byłam w ciągłym zawieszeniu. Nie mogłam się zwierzyć żadnemu człowiekowi, a od Boga zanadto byłam oddalona. Zapomniałam o nim zupełnie podczas tych czterech szalonych lat, potem niekiedy o nim myślałam, ale znajomość ochłodziła, robiłam mu niejako wizyty ceremonialne, a że prócz tego, gdy się przed nim ukazywałam, kładłam zawsze piękne suknie, ukazywałam mu z zadowoleniem moją cnotę, uczciwość i zalety, jakimi się moim zdaniem odznaczałam od innych, zdawało mi się, że on mnie w stroju nie dostrzega wcale.

Bardzo zaniepokojony byłby dworak, gdyby panujący, od którego wyczekuje swego szczęścia, tak się wobec niego zachowywał, ale mnie to nie bardzo jakoś dolegało. Miałam, czego potrzebowałam, zdrowie i wygodę; jeżeli Bogu moja pamięć raczy się podobać, to dobrze; jeżeli nie, to bądź co bądź spełniałam, jak mi się zdawało, swoją powinność.

Zapewne nie myślałam tak o sobie natenczas, ale taka była rzeczywista postać mej duszy. Były już jednak przedsięwzięte środki, by moje usposobienie zmienić i oczyścić.

Nadeszła wiosna, a Narcyz odwiedził mnie bez zapowiedzi w czasie, gdy byłam zupełnie sama w domu. Zjawił się tedy jak kochanek i zapytał mnie, czy zechcę mu oddać serce, a kiedyś także i rękę, skoro otrzyma zaszczytne, dobrze płatne miejsce. Przyjęto go wprawdzie u nas na służbę, jednak z początku, lękając się jego ambicji, trzymano go z dala i nie myślano o rychłym wyniesieniu go, a przy tym, ponieważ posiadał własny majątek, dano mu małą pensję.

Pomimo całej mojej skłonności ku niemu, wiedziałam, że nie jest to człowiek, z którym by można postępować tak sobie po prostu. Zebrałam więc siły i odesłałam go do ojca, o zezwoleniu którego zdawał się nie wątpić, chcąc naprzód porozumieć się ze mną. W końcu zgodziłam się, stawiając za warunek konieczny zgodę rodziców. Rozmówił się następnie z obojgiem formalnie; oni okazali zadowolenie, dano sobie przyrzeczenie na spodziewany niebawem wypadek, iż dostanie awans. Siostry i ciotki powiadomiono o tym i zalecono im jak najsurowiej tajemnicę.

Tak tedy z kochanka stał się narzeczonym. Różnica między jednym a drugim okazała się bardzo wielka. Gdyby ktoś mógł przemienić kochanków wszystkich zacnych panien w narzeczonych, byłoby to wielkim dobrodziejstwem dla płci naszej, chociażby nawet po tym stosunku nie miało nastąpić małżeństwo. Miłość między dwiema osobami nie zwiększa się przez to, ale staje się rozumniejsza. Niezliczone drobne głupstewka, wszystkie zalecanki i kaprysy ustają. Jeżeli narzeczony oświadcza nam, że mu się bardziej podobamy w rannym czepeczku niż w najpiękniejszym przystrojeniu głowy, to rozsądnej dziewczynie fryzura stanie się obojętna i nic nie ma naturalniejszego niż to, że on myśli na serio i woli wykształcić dla siebie panią domu niż piękną lalkę dla świata. I tak to już dzieje się ze wszystkim.

Jeżeli przy tym dziewczyna ma szczęście, iż jej narzeczony posiada rozum i wiedzę, to nauczy się więcej, niż dać mogą uniwersytety i obce kraje. Nie tylko przyjmuje ona chętnie wszelkie wykształcenie, jakie on jej daje, ale także stara się posuwać coraz dalej i na tej także drodze. Miłość czyni wiele rzeczy niemożliwych możliwymi, a w końcu zaczyna się tak potrzebne i tak przystojne płci niewieściej poddanie się; narzeczony nie rozkazuje jako małżonek, prosi tylko, a jego ukochana stara się zauważyć, czego on sobie życzy, ażeby wykonać to, zanim on poprosi.

Tak mnie nauczyło doświadczenie, bez czego może rada bym się obeszła. Byłam szczęśliwa, prawdziwie szczęśliwa, jak tylko można być na świecie, to jest na krótko.

Lato minęło wśród tych cichych radości. Narcyz nie dał mi najmniejszej okazji do żalów; stawał mi się coraz miłszy, cała moja dusza rwała się do niego; wiedział o tym dobrze i umiał to cenić. Tymczasem z pozornych drobnostek rozwinęło się coś, co naszemu stosunkowi powoli miało zaszkodzić.

Narcyz obchodził się ze mną jak narzeczony i nigdy się nie ośmielił żądać ode mnie czegoś, co było nam jeszcze wzbronione. Jednak co do granic cnoty i skromności mieliśmy zdania bardzo odmienne. Ja chciałam stąpać pewną nogą i nie pozwalałam na żadną swobodę, o której by bądź co bądź cały świat nie mógł wiedzieć. On, przyzwyczajony do łakoci, uważał tę dietę za bardzo surową; w tym ujawniało się ustawiczne przeciwieństwo; chwalił moje zachowanie i usiłował podkopać moje postanowienie.

Mnie znowu przyszło na myśl wyrażenie mojego starego mistrza francuszczyzny o rzeczy poważnej, a zarazem i środek, jaki wówczas na to podałam.

Z Bogiem zaznajomiłam się znowu trochę lepiej. Dał mi tak miłego narzeczonego, byłam Mu za to wdzięczna. Sama nawet miłość ziemską ześrodkowała mego ducha i wprawiała go w ruch, a moje zajęcie się Bogiem wcale się jej nie sprzeciwiało. Bardzo naturalnie skarżyłam się przed Nim na to, co przejmowało mnie strachem, i nie spostrzegłam, iż sama życzyłam sobie i pragnęłam tego, co mnie zdejmowało strachem. Wydawałam się sobie bardzo silna i nie modliłam się bynajmniej: „I nie wódź mnie na pokuszenie”, bo wedle swojego mniemania byłam jeszcze bardzo daleko od pokuszenia. W tym swobodnym błyskotliwym stroju własnej cnoty śmiało się ukazywałam przed Bogiem; nie odepchnął mnie; przy najlżejszym ruchu ku niemu pozostawiał On w mej duszy łagodne wrażenie, a wrażenie to skłaniało mnie do zwracania się ku Niemu ponownie.

Miłość

Mąż

Shczęście

Cały świat prócz Narcyza był dla mnie martwy; nic mnie prócz niego nie nęciło. Nawet moje zamiłowanie do stroju miało jedynie to na celu, by się mu podobać; gdybym wiedziała, że na mnie nie patrzy, nie dbałabym o to. Chętnie tańczyłam, ale gdy jego przy tym nie było, to zdawało mi się, że nie mogę znieść ruchu. Na świetne przyjęcie, na którym go nie było, nie chciałam ani kupić sobie nic nowego, ani też przystroić starego według mody. Jeden był tak samo miły jak drugi, a raczej prawdę mówiąc, jeden równie nieznośny jak drugi. Uważałam wieczór za doskonale spędzony wówczas, gdy mogłam zabawić się jakąś w grę ze starszymi osobami, do czego kiedy indziej nie miałam najmniejszej ochoty, a jeżeli jakiś stary, dobry przyjaciel żartobliwie zadrwił ze mnie z tego powodu, to może po raz pierwszy tego wieczoru uśmiechnęłam się. Tak też bywało na przechadzkach i wszystkich innych zabawach towarzyskich, jakie tylko można wymyślić.

Jednego tylko sobie wybrałam,  
Dla niego zrodzoną się mniemałam,  
Pragnęłam jego tylko łask.

Bywałam też nieraz w towarzystwie samotna, a zupełna samotność najczęściej była mi miła. Ale mój czynny duch nie mógł ani spać, ani śnić; czułam i myślałam, i z wolna nabyłam łatwości rozmawiania z Bogiem o swoich uczuciach i myślach. Wtedy rozwinęły się w mej duszy uczucia innego rodzaju, które tamtych się nie sprzeciwiały. Miłość bowiem moja do Narcyza była zgodna z całym planem stworzenia i w niczym nie zawadzała moim obowiązkom. Nie sprzeciwiały się sobie, a jednak były nieskończenie różne. Narcyz był jedynym obrazem, który się przede mną unosił, do którego stosowała się cała moja miłość, drugie zaś uczucie nie odnosiło się do żadnego obrazu i było niewymownie przyjemne. Nie mam go już i nie mogę go w sobie obudzić.

Ukochany mój, który zresztą znał wszystkie moje tajemnice, o tej nie dowiedział się wcale. Zauważyłam niebawem, że myślał inaczej; często dawał mi pisma, które lekką i ciężką bronią zwalczały wszystko, co można by nazwać związkiem z Niewidzialnym. Czytałam te książki, ponieważ pochodziły od niego, a koniec końcem nie wiedziałam ani słowa z tego, co się w nich znajdowało.

Co do umiejętności i wiedzy, nie obeszło się także bez przeciwieństwa; on robił tak samo jak wszyscy mężczyźni, drwił z kobiet uczonych, a nieustannie starał się mnie kształcić. Zwykł ze mną rozmawiać o wszystkich przedmiotach, wyjąwszy naukę prawa, a przynosząc mi ustawicznie pisma najróżnorodniejszej treści, powtarzał nieraz delikatną naukę, że kobieta powinna swoją wiedzę w utrzymywać większej tajemnicy, niż kalwin<sup>128</sup> swoje wyznanie w kraju katolickim; a kiedy rzeczywiście w całkiem naturalny sposób zwykłam się ukazywać przed światem ani rozumniejsza, ani bardziej wykształcona od innych, on pierwszy nie mógł przy okazji oprzeć się próżności, by nie mówić o moich zaletach.

Pewien sławny światowiec, bardzo wówczas ceniony z powodu swego wpływu, talentów i dowcipu, znalazł na naszym dworze wielkie uznanie. Wyróżnił on mocno Narcyza i miał go ciągle przy sobie. I oni spierali się o cnotę kobiet. Narcyz zwierzył mi się obszernie z rozmowy z nim; nie ukrywałam swoich uwag, a mój przyjaciel zażądał ode mnie rozprawki na piśmie. Pisałam dosyć łatwo po francusku; przy moim starcu położyłam pod to dobre podwaliny. Korespondencja z moim przyjacielem prowadzona była w tym języku, a w ogóle subtelniejszego wykształcenia można było wtedy nabrać jedynie z książek francuskich. Rozprawka moja podobała się hrabiemu; musiałam pokazać parę drobnych piosenek, jakie niedawno stworzyłam. Dość że Narcyzowi zdawało się, iż ze swojej ukochanej może bez skrupułu wyciągnąć dla siebie korzyść i ku wielkiemu jego zadowoleniu rzecz ta zakończyła się dowcipnym listem pisanym francuskimi wierszami, który hrabia przysłał mu, odjeżdżając, a w którym wspomniano ich przyjacielski spór, w końcu zaś mego narzeczonego wysławiano jako szczęśliwca, iż po niejednym zwątpieniu i omyłce będzie mógł się najpewniej dowiedzieć, co jest cnota, w objęciach uroczej i cnotliwej małżonki.

Wiersz ten został pokazany przede wszystkim mnie, a potem prawie każdemu i każdy myślał przy tym, co chciał. Tak się działo i w wielu innych wypadkach i tak też wszyscy obcy, których on ceniał, musieli być znani w naszym domu.

<sup>128</sup>kalwin — protestant, wyznawca doktryny Jana Kalwina. [przypis edytorski]

Pewna hrabiowska rodzina zatrzymała się tu na pewien czas z powodu biegłości naszego lekarza. I w tym domu Narcyz również był przyjmowany jak syn; wprowadził mnie do niego; znajdowało się wśród tych godnych osób przyjemną zabawę dla duszy i serca, nawet zwyczajne rozrywki towarzyskie wydawały się w tym domu nie tak puste jak gdzie indziej. Każdy wiedział, jaki był nasz stosunek; traktowano nas, jak okoliczności wymagały, i pozostawiano nienaruszoną rzecz zasadniczą. Wspominam o tej jednej znajomości, gdyż w dalszym moim życiu miała ona na mnie pewien wpływ.

I tak upłynął prawie rok naszego stosunku, a razem z nim minęła i nasza wiosna! Nadeszło lato i wszystko stało się poważniejsze i gorętsze.

Wskutek paru niespodzianych wypadków śmierci opróżnione zostały urzędy, na które Narcyz mógł liczyć. Zbliżała się chwila, w której miał się rozstrzygnąć mój los, a kiedy Narcyz wraz ze wszystkimi przyjaciółmi używali wszelkich możliwych starań na dworze, by zatrzeć pewne nieprzychylnie mu wrażenia i zapewnić mu pożądane miejsce, ja zwróciłam się z prośbą do mego niewidzialnego przyjaciela. Zostałam tak przyjaźnie przyjęta, że chętnie wracałam. Zupełnie swobodnie wyznałam życzenie, by Narcyz mógł otrzymać stanowisko, ale moja prośba nie była natarczywa i nie żądałam, by stało się to ze względu na moją modlitwę.

Miejsce zostało osiągnięte przez znacznie niższego konkurenta. Przeraziłam się wielce tą wiadomością i pobiegłam do swego pokoju, który mocno za sobą zamknęłam. Pierwszy ból rozplynął się we łzach; następną myślą było, że to się nie stało przypadkiem, i zaraz za tym postanowiłam to znieść, gdyż i to pozorne nieszczęście wyjdzie mi pewnie na prawdziwą korzyść. Nadpłynęły łagodniejsze uczucia, rozbijając wszystkie chmury smutku; czułam, że z taką pomocą da się przetrwać wszystko. Przyszłam do stołu pogodna, ku największemu zdziwieniu domowników.

Narcyz mniej miał siły ode mnie; musiałam go pocieszać. I w jego rodzinie spotykały go przeciwności, które go bardzo przygnębiały, a wobec rzeczywistego zaufania, jakie między nami istniało, zwierzył mi się ze wszystkiego. Jego starania, by przejść na obcą służbę, także nie były szczęśliwsze; wszystko odczuwałam głęboko ze względu na niego i na siebie i wszystko w końcu zanosilałam tam, gdzie moja prośba została tak dobrze przyjęta.

Im łagodniejsze były te doświadczenia, tym częściej starałam się je wznawiać i szukałam pociechy ciągle tam, gdzie ją tak często znajdowałam, ale nie znajdowałam jej zawsze: doznawałam takiego uczucia jak ten, kto się chce wygrzać na słońcu, a na drodze staje mu coś, co rzuca cień. „Co to takiego?” — zadawałam sobie pytanie. Badałam tę sprawę gorliwie i zauważyłam wyraźnie, że wszystko zależy od usposobienia mej duszy; jeżeli ta nie zwracała się całkowicie w kierunku najprostszym ku Bogu, to pozostawałam chłodna, nie czułam jego oddziaływania i nie mogłam zrozumieć jego odpowiedzi. Następowало drugie pytanie: „Co przeszkadza temu kierunkowi?”. Tu byłam na szerokim polu i zaplątałam się w poszukiwanie, które trwało przez cały drugi rok moich dziejów miłosnych. Mogłam je wcześniej ukończyć, gdyż wkrótce wpadłam na trop, ale nie chciałam się do tego przyznać i szukałam tysiąca wybiegów.

Szybko zauważyłam, że prosty kierunek mej duszy doznaje skrzywienia wskutek nierozumnych roztargnień i zajęcia się błahymi rzeczami; na pytanie, jak i gdzie, mogłam sobie dość jasno odpowiedzieć. Ale jak się zachowywać w świecie, gdzie wszystko albo jest obojętne albo szalone? Mogłabym zapewne sprawy tej zgoła nie tykać i żyć dalej na chybił trafił jak inni ludzie, którzy, jak widziałam, byli zadowoleni, ale nie potrafiłam: głębi duszy sprzeciwiała mi się zbyt często. Kiedy chciałam wycofać się z towarzystwa i zmienić swe stosunki, nie mogłam. Byłam tedy zamknięta w kole; pewnych związków nie mogłam się pozbyć, a w sprawie tak dla mnie ważnej gromadziły się i tłoczyły fatalności. Często ze łzami kładłam się do łóżka i wstawałam z niego po bezsennej nocy również ze łzami; potrzebowałam silnej podpory, a tej mi Bóg nie użył, kiedy uwijałam się w błazeńskiej czapeczce.

Szło więc o rozważenie wszystkich czynności i każdej z osobna; naprzód pod ścisłe rozpatrzenie wzięłam taniec i grę. Nic nie powiedziano, nie pomyślano, nie napisano w tej sprawie za lub przeciw, czego bym nie odszukała, nie obgadała, nie odczytała, nie rozważała, nie spotęgowała, nie potępiła i czym bym nie udęczyła siebie w niesłychany sposób. Jeżeli zaniechałabym tych zabaw, z pewnością obraziłabym Narcyza, gdyż niezmiernie bał

się śmieszności, która nadaje nam wobec świata pozór bojaźliwie skrupulatnych. Ponieważ tedy czyniłam to, co uważałam za szkodliwą głupotę, bynajmniej nie z zamilowania, ale jedynie dla narzeczonego, wszystko stawało mi się okropnym ciężarem.

Bez niemiłej rozwlekłości i powtarzań nie mogłabym przedstawić dokonanych przez siebie usiłowań, by te czynności, które mnie rozpraszały i zakłócały pokój wewnętrzny, tak załatwić, by przy tym moje serce pozostało otwarte na działania niewidzialnej istoty; a jakże boleśnie musiałam to odczuć, że rozterki nie da się w ten sposób usunąć. Bo skoro tylko przywdziewałam szatę głupstwa, nie ograniczało się to tylko do maski, ale głupota przenikała mnie natychmiast na wskroś.

Czy mam tu przekroczyć prawo opowiadania jedynie historycznego i zrobić parę uwag o tym, co się we mnie działo? Co to mogło być, co przemieniło mój smak i usposobienie zmysłowe tak, iż w dwudziestym drugim roku, a nawet wcześniej, nie znajdowałam żadnej przyjemności w rzeczach, które mogą niewinnie bawić ludzi w tym wieku? Dlaczego dla mnie nie były one niewinne, dlatego że nie byłam niezaznajomiona z moją duszą, jak inni moi rówieśnicy. Nie, wiedziałam z doświadczeń, które niechcący osiągnęłam, że istnieją wrażenia wyższe, zapewniające nam prawdziwą przyjemność, jakiej na próżno szuka się w rozrywkach, i że w tych wyższych radościach kryje się zarazem tajemny skarb pokrzepienia w nieszczęściu.

Jednak zabawy towarzyskie i roztargnienia młodości musiały mieć dla mnie silny powab, kiedy nie potrafiłam oddawać się im tak, jakbym się im nie oddawała. Jakżeby dziś mogła, gdybym tylko chciała, niejedno zrobić całkiem na chłodno, co dawniej wprowadzało mnie w błąd, a nawet groziło zapanowaniem nade mną. Tu nie można się było trzymać drogi pośredniej: musiałam się pozbawić albo powabnych przyjemności, albo orzeźwiających serdecznych wrażeń.

Ale rozterka ta już była rozstrzygnięta w mej duszy, chociaż prawie nieświadomie. Jeżeli nawet było we mnie coś, co się rwało ku przyjemnościom zmysłowym, to przecież nie mogłam się już nimi rozkoszować. Chociażby ktoś nie wiem jak lubił wino, odpadnie mu wszelka ochota do picia, jeśli znajdzie się przy pełnych beczkach w piwnicy, gdzie mu zepsute powietrze grozi zaduszeniem. Czyste powietrze więcej znaczy od wina; czułam to aż nadto żywo i już od samego początku niewiele bym potrzebowała zastanowienia, by przenieść dobro nad powab, gdyby mnie nie powstrzymywała obawa utraty miłości Narcyza. Ale gdy wreszcie po tysiącrotnie wracającej rozterce, po ciągle powtarzanej rozwadze, przyjrzałam się bystro więzom, które mnie z nim łączyły, odkryłam, że były one słabe, że się dadzą rozerwać. Pojęłam od razu, że to tylko szklany słój zamyka mnie w przestrzeni pozbawionej powietrza; byle tylko starczyło siły, aby ją stłuc, a jesteście ocalona!

Co pomyślałam, na to się odważyłam. Zdjęłam maskę i za każdym razem postępowałam tak, jak kazało mi serce. Narcyza wciąż tkliwie kochałam, ale termometr, który przedtem stał w gorącej wodzie, wisiał teraz na wolnym powietrzu, nie mógł prześcignąć ciepła atmosfery.

Niestety, bardzo się ona oziębila. Narcyz zaczął się wycofywać i stawać obcy, to mu było wolno, ale termometr mój opadał w miarę tego, jak on się cofał. Moja rodzina to spostrzegła, wypytywano mnie, chciano się dziwić. Oświadczyłam z męską hardością, że do tej pory dosyć się poświęcałam, że jestem gotowa i dalej aż do końca życia dzielić z nim wszelkie przeciwności, ale że żądam całkowitej swobody w swoich działaniach, że moje postępowanie powinno zależeć od przekonania, że wprawdzie nigdy nie będę trwać uparcie przy swoim zdaniu, przeciwnie, chętnie wysłucham wszelkich dowodów, ponieważ jednak tyczy się to mego własnego szczęścia, decyzja winna zależeć ode mnie i nie zniosę żadnego przymusu. Jak żadne rozumowanie największego lekarza nie zniewoliłoby mnie do przyjęcia pokarmu, zupełnie może zdrowego i przez wielu nader ulubionego, jeżeliby własne doświadczenie dowiodło mi, iż zawsze mi szkodził (że dla przykładu przytoczę użycie kawy); tak też, a raczej w stopniu jeszcze wyższym, nie dam sobie wykazać, iżby jakakolwiek czynność, która wprawia mnie w rozstrój, była dla mnie moralnie stosowna.

A że przygotowywałam się w tajemnicy już od tak dawna, rozprawy na ten temat wydawały mi się raczej przyjemne niż przykre. Dałam upust swemu sercu i czu-

łam całą wartość swego postanowienia. Nie ustąpiłam ani na włos, a komu nie byłam winna dziecięcego uszanowania, tego zbywałam ostro. W domu wkrótce zwyciężyłam. Matka od młodości miała podobne myśli, tylko u niej nie osiągnęły one dojrzałości; żadna konieczność jej nie popychała i nie wznagala odwagi do przeprowadzenia swych przekonań. Cieszyło ją, iż widziała spełnione przeze mnie swoje ciche życzenia. Młodsza siostra, zdawało się, była za mną; druga uważała i milczała. Najbardziej sprzeciwiała się ciotka. Argumenty, które podawała, jej się niepodważalne, i były takie, gdyż były całkiem pospolite. W końcu była zmuszona wykazać jej, że pod żadnym względem nie ma głosu w tej sprawie; toteż tylko niekiedy dawała poznać, że trwa przy swoim. Była ona także jedyną osobą, która to zdarzenie z rozpatrywała bliska i nie doznała żadnych uczuć. Nie uczynię jej krzywdy, gdy powiem, że nie miała serca, a pojęcia jej były nader ograniczone.

Ojciec zachowywał się zupełnie odpowiednio do swego sposobu myślenia. Mówił ze mną o tej sprawie mało, ale często, a jego racje były rozumne i jako jego nieodparte; jedynie głębokie poczucie mojego prawa dawało mi siłę występować przeciw jego zdaniom. Niebawem wszakże sceny zmieniły się; musiałam się odwołać do jego serca. Przyparta jego rozumem, wybuchnęłam najnamiętniejszymi przedstawieniami. Dałam swobodny bieg swemu językowi i łzom. Okazałam mu, jak mocno kochałam Narcyza i jaki przyrmyś zadawałam sobie od dwóch lat, jak jestem pewna, iż robię dobrze, że gotowa jestem tę pewnością przypieczętować utratą ukochanego narzeczonego i domniemanego szczęścia, ba, jeżeli tego będzie potrzeba, nawet całym swoim mieniem, że wolę raczej opuścić ojczyznę, rodziców i przyjaciół i zarabiać na chleb na obczyźnie niż postępować wbrew swoim zasadom... Ukrył swoje wzruszenie, milczał przez jakiś czas, a w końcu wobec wszystkich opowiedział się za mną.

Narcyza od owego czasu unikał naszego domu, mój ojciec zaś przestał uczęszczać na tygodniowe zebrania, na które on się przychodził. Sprawa ta zwróciła na siebie uwagę dworu i miasta. Rozmawiano o niej, jak zwykle w takich wypadkach, w których publiczność bierze namiętny udział, ponieważ jest znarowiona wywieraniem pewnego wpływu na postanowienia słabych umysłów. Znałam świat dostatecznie i wiedziałam, że częstokroć od tych samych osób doznaje się nagany za to, do czego dało się przez nie namówić, a i bez tego wobec mego stanu wewnętrznego wszystkie takie przemijające mniemania nie osiągnęłyby najmniejszego skutku.

Natomiast nie zakazywałam sobie oddawać się swojej skłonności do Narcyza. Stał się on dla mnie niewidzialny, a moje serce względem niego się nie zmieniło. Kochałam go tkliwie, jakby na nowo, i to o wiele poważniej niż przedtem. Jeżeli nie chciał zakłócać mego przekonania, byłam jego; bez tego warunku byłabym odmówiła królestwa wraz z nim. Przez kilka miesięcy nosiłam się z tymi uczuciami i myślami, a gdy w końcu poczułam się dość spokojna i silna, by rozważnie i statecznie wziąć się do rzeczy, napisałam do niego bilet grzeczny, nie tkliwy, pytając go, dlaczego już do mnie nie przychodzi.

Znałam jego usposobienie, iż w drobniejszych sprawach nie lubił się oświadczać, lecz robił w milczeniu, co wydawało mu się dobre; dlatego teraz umyślnie nań nacierałam. Otrzymałam odpowiedź długą i, jak mi się zdawało, niesmaczną, rozwlekłym stylem i wypełnioną nic nieznaczącymi frazesami: że bez lepszego miejsca nie może się urządzić i ofiarować mi swojej ręki, że sama wiem najlepiej, jak mu dotychczas wszystko szło opornie, że jego zdaniem od tak dawna trwający, a bezowocny stosunek może zaszkodzić mojej sławie, więc powinnam mu pozwolić, iżby się trzymał jak dotąd w oddaleniu, że gdy tylko będzie mógł uczynić mnie szczęśliwą, to słowo mi dane będzie dla niego święte. Odpowiedziałam mu natychmiast, że ponieważ sprawa znana jest całemu światu, trochę to za późno oszczędzać moją dobrą sławę i że dla niej najpewniejszą obroną byłoby moje sumienie i niewinność, że jemu natomiast zwracam słowo bez namysłu i życzę, by mu się przy tym szczęśliwie powodziło. W tej samej godzinie otrzymałam krótką odpowiedź, która w rzeczy głównej brzmiała tak samo jak pierwsza. Utrzymał i teraz, że kiedy dostanie posadę, przyjdzie mnie spytać, czy zechcę dzielić z nim szczęście.

Dla mnie znaczyło to tyle co nic. Oświadczyłam swoim krewnym i znajomym, że rzecz załatwiona; było też tak rzeczywiście. Bo gdy w dziewięć miesięcy potem awansowano go według jego najświetniejszych życzeń, ofiarował mi swą rękę raz jeszcze, ale pod warunkiem, iż jako żonie człowieka, który musi prowadzić dom, wypadnie mi zmienić swój sposób myślenia. Podziękowałam grzecznie i wydostałam się z sercem i myślą

z tej historii tak, jak się śpieszymy z teatru po zapadnięciu zasłony. A że wkrótce potem, co mu przyszło już z wielką łatwością, znalazł bogatą i wpływową partię i widziałam go szczęśliwego według jego życzenia, uspokoiłam się tedy w zupełności.

Nie powinnam pominąć milczeniem, iż zanim jeszcze otrzymał posadę i potem, parę razy zwracano się do mnie z świetnymi projektami małżeństwa, ale odrzucałam je bez wahania, chociaż ojciec i matka życzyliby sobie większej uległości z mej strony.

Zdawało się teraz, że po burzliwym marcu i kwietniu przypadła mi w udziale najpiękniejsza pogoda majowa. Obok dobrego zdrowia cieszyłam się nieopisanym spokojem umysłu; rozpatrując się w sobie jak najdokładniej, zauważyłam, że na stracie zyskałam. Jako młodej i uczuciowej, przyroda wydawała mi się tysiącokrotnie piękniejsza niż przedtem, kiedy musiałam mieć towarzystwo i zabawy, aby mi się nie przykrzyło w pięknym ogrodzie. Ponieważ nie wstydziałam się już swojej pobożności, miałam też odwagę nie skrywać swojej miłości do sztuk i nauk. Rysowałam, malowałam, czytałam i znajdowałam dosyć ludzi, którzy mi dopomagali; zamiast wielkiego świata, który opuściłam, a raczej który mnie opuścił, utworzył się koło mnie szczuplejszy, ale daleko bogatszy i bardziej zajmujący. Miałam zamiłowanie do życia towarzyskiego i nie zapieram się, że po zaniechaniu dawniejszych znajomości strasznie mi było przed samotnością. Teraz miałam stratę powetowaną dostatecznie, ba, może aż zanadto. Moje znajomości teraz dopiero stały się naprawdę rozległe, nie tylko z krajowcami, których sposób myślenia zgadzał się z moim, ale i z obcymi. Moja historia stała się głośna, wielu też ludzi parła ciekawość zobaczenia dziewczyny, która Boga ceniła wyżej niż narzeczonego. W ogóle dawał się wtedy zauważyć w Niemczech pewien nastrój religijny. W wielu domach książęcych i hrabiowskich ożywiła się dbałość o zbawienie duszy. Nie brakło szlachty, która okazywała podobną troskliwość, a w niższych stanach usposobienie to było wielce rozpowszechnione.

Rodzina hrabiowska, o której wspomniałam wcześniej, przyciągała mnie ku sobie bliżej. Pomnożyła się ona tymczasem, ponieważ kilku krewnych przeniosło się do miasta. Te szanowne osoby szukały mego towarzystwa, jak ja ich. Miały one licznych krewnych, poznałam więc w tym domu mnóstwo książąt, hrabiów i panów Rzeszy<sup>129</sup>. Mój sposób myślenia nie był tajemnicą dla nikogo, a czy go szanowano, czy tylko oszczędzano, osiągnęłam swój cel i nie narażałam się na napady.

I w inny jeszcze sposób miałam być znowu wprowadzona w świat. W tym właśnie czasie brat przyrodni mego ojca, odwiedzający nas dawniej tylko mimochodem, zabawił u nas dłużej. Opuścił służbę na swym dworze, gdzie był czczony i wpływowy, dlatego tylko że nie wszystko szło po jego myśli. Rozum miał bystry, a charakter stanowczy i w tym był bardzo podobny do mego ojca, tylko że ten miał przy tym pewien stopień giętkości, wskutek czego łatwiej mu przychodziło ustępować w interesach i nie czynić niczego wbrew swemu przekonaniu, lecz dopuszczać, a następnie urażę z tego powodu zgryźć albo w samym sobie, albo w poufnym kółku rodzinnym. Stryj mój był o wiele młodszy, a jego samodzielność krzepiła się niemal jego stosunkami zewnętrznymi. Miał bardzo bogatą matkę, a od jej bliskich i dalekich krewnych mógł się jeszcze spodziewać wielkiego majątku; nie potrzebował obcego zasiłku, kiedy mój ojciec z powodu swego miernego mienia był mocno związany ze służbą poprzez pensję.

Wskutek nieszczęścia domowego stryj stał się jeszcze bardziej niewzruszony. Przedwcześnie utracił ukochaną żonę i rokującego piękne nadzieje syna, a od tego czasu chciał, zdawało się, oddalić od siebie wszystko, co nie zależało od jego woli.

W rodzinie szepetano sobie przy sposobności do ucha z pewnym zadowoleniem, że prawdopodobnie nie ożeni się powtórnie i że my, dzieci, możemy się uważać za spadkobierców jego wielkiego majątku. Ja na to nie zważałam, ale postępowanie reszty rodu było w niemałym stopniu nastrojone według tych nadziei. Wobec siły swego charakteru przywykł on nikomu nie zaprzeczać w rozmowie, ale raczej opinię każdej osoby wysłuchiwał przyjaźnie, a nawet za pomocą dowodów i przykładów podnosił sposób, w jaki ktoś sobie pewną rzecz wyobrażał. Kto go nie znał, sądził, że zawsze ma takie samo zdanie jak on, przeważał w nim bowiem rozum i mógł się wczuć we wszelkie rodzaje my-

<sup>129</sup> *Rzesza Niemiecka* — hist. określenie państwa niemieckiego, przedstawiające je jako jedność złożoną z mniejszych tworów politycznych; I Rzesza (Stara Rzesza) istniała w latach 962–1806, było to państwo niemieckie (od 1474 Święte Cesarstwo Rzymskie Narodu Niemieckiego), którego władcy nawiązywali do tradycji starożytnych cesarzy rzymskich. [przypis edytorski]



ślenia. Ze mną nie szło mu tak szczęśliwie, gdyż tu mówiło się o uczuciach, o których on nie miał pojęcia, a jakkolwiek ogłędnie, współczująco i rozumnie mówił ze mną o moim usposobieniu, było przecież dla mnie rzeczą jasną, że najwyraźniej nic nie wiedział o tym, gdzie był powód wszystkich moich działań.

A chociaż poza tym był skryty, jednak po pewnym czasie cel jego niezwykłego przebywania u nas wyszedł na jaw. Upatrzył sobie, jak to wreszcie można było zauważyć, spośród nas najmłodszą siostrę, ażeby ją według swej myśli wydać za mąż, i uczynić szczęśliwą; niewątpliwie przy swoich darach cielesnych i duchowych, zwłaszcza gdy jeszcze rzucony był na szalę znaczny majątek, mogła ona rościć sobie prawo do najpierwszych partii. Swoje zamiary względem mnie dał również poznać pantomimiczne, wystarawszy się dla mnie o miejsce kanoniczki, z którego niebawem pobierałam też dochody.

Moja siostra nie była zadowolona z jego starań i tak wdzięczna za nie jak ja. Odkryła mi swój stosunek serdeczny, który dotąd bardzo zrecznie tała, lękała się bowiem, i rzeczywiście słusznie, żebym jej nie odradzała we wszelki możliwy sposób związku z człowiekiem, który nie był powinien się jej podobać. Robiłam, co tylko mogłam i powiodło mi się. Zamiary stryja były zbyt poważne i zbyt wyraźne, a widoki dla mojej siostry, ze względu na jej światowe usposobienie, zbyt powabne, aby nie miała w sobie dość siły, by się wyrzec skłonności, którą nawet jej rozum potępiał.

Ponieważ tedy nie usuwała się już jak dawniej spod łagodnego kierownictwa stryja, położono niebawem podwaliny pod jego plan. Została damą dworu w sąsiedztwie, gdzie mógł ją oddać w opiekę i na wykształcenie pewnej przyjaciółce, która jako wielka ochmistrzyni doznawała wielkiego poważania. Towarzyszyłam jej do nowego miejsca jej pobytu. Z przyjęcia, jakiego doznałyśmy, mogłyśmy obie być bardzo zadowolone, a niekiedy musiałam się ukradkiem uśmiechać z roli, którą grałam obecnie w świecie jako kanoniczka, jako młoda i pobożna kanoniczka.

W dawniejszych czasach stosunek taki byłby mnie wprawił w zakłopotanie, a może nawet i przewrócił w głowie; teraz jednak wobec wszystkiego, co mnie otaczało, byłam bardzo swobodna. W wielkiej ciszy dawałam się parę godzin fryzować, stroiłam się i myślałam przy tym tylko o tym, że w moich stosunkach obowiązana jestem przywdziewać tę galową liberię. W przepelnionych salach rozmawiałam ze wszystkimi i z każdym kolejno, a żadna postać ani żadna istota nie wywierała na mnie silnego wrażenia. Kiedy wróciłam do domu, to zmęczenie nóg było przeważnie jedynym uczuciem, jakie ze sobą przynosiłam. Rozumowi memu byli użyteczni liczni mężczyźni, których widywałam, a jako wzór wszystkich cnót ludzkich, dobrego i szlachetnego zachowania poznałam kilka kobiet, a zwłaszcza wielką ochmistrzynię, przy której miała szczęście kształcić się moja siostra.

Po powrocie jednak odczułam nie tak pomyślne cielesne następstwa tej podróży. Pomimo największej wstrzemięźliwości i najściślejszej diety, nie byłam, jak zwykle, panią swego czasu i swoich sił. Jedzenie, ruch, wstawanie i kładzenie się do snu, ubieranie się i wyjeżdżanie nie zależały, jak w domu, od mojej woli i uczucia. W obiegu kółka towarzyskiego nie wolno się bez niegrzeczności zatrzymywać, więc też wszystko, co należało, chętnie wykonywałam, wiedząc, że to rychło minie, i czując się zdrowsza niż kiedykolwiek. Mimo to obce mi niespokojne życie silniej na mnie zapewne podziałało, niż mniemałam. Bo zaledwie wróciłam do domu i ucieszyłam rodziców zadowolającym opowiadaniem, dostałam krwotoku, który chociaż nie był niebezpieczny i prędko minął, pozostawił po sobie na długo zauważalne osłabienie.

Tu miałam powtórnie do odrobienia nową lekcję. Zrobiłam to radośnie. Nic mnie nie wiązało ze światem i byłam przeświadczona, że w nim nigdy nie znajd właściwej drogi, i tym sposobem osiągnęłam stan najpogodniejszy i najspokojniejszy, a wyrzekając się życia, zostałam utrzymana przy życiu.

Nową próbę musiałam przetrwać, kiedy matkę ogarnęła przygnębiająca słabość, którą znosiła jeszcze pięć lat, zanim spłaciła dług naturze. W tym czasie przechodziłam niejedno ćwiczenie. Często gdy jej niepokój stawał się zbyt przykry, kazała zwolować nas wszystkich nocą do swego łóżka, aby naszą obecnością przynajmniej się rozerwać, jeżeli nie pomóc sobie. Cięższy, ba, ledwie do zniesienia był ucisk, gdy także ojciec mój zaczął marnieć. Od samej młodości miewał często gwałtowne bóle głowy, które jednak najdłużej trwały trzydzieści sześć godzin. Teraz stały się trwałe, a kiedy wzmagaly się do wysokiego stopnia, to boleść rozrywała mi serce. Wobec takich nawalnic czułam najbardziej swoją

słabość cielesną, gdyż nie pozwalała mi ona spełniać moich najświętszych, najdroższych obowiązków, albo też czyniła mi ich wykonywanie nadzwyczaj uciążliwym.

Teraz mogłam sobie wypróbować, czy na obranej przeze mnie drodze znajduje się prawda czy fantazja, czy może myślałam jedynie według innych, czy też przedmiot mojej wiary jest rzeczywisty, a ku największemu mojemu pokrzepieniu przekonywałam się zawsze o tym ostatnim. Prosty kierunek serca mego ku Bogu, obcowanie z *beloved ones* (ukochanymi), szukany przeze mnie, znalazłam, a to czyniło mi wszystko lekkim. Jak wędrowiec do cienia, tak dusza moja śpieszyła do tego schroniska, kiedy z zewnątrz wszystko mnie uciskało, i nigdy nie wracała na próżno.

W nowszych czasach niektórzy obrońcy religii, którzy zdaje się więcej mają względem niej żarliwości niż uczucia, zachęcali swoich współwyznawców, by rozpowszechniali wiadomości o przykładach rzeczywistego wysłuchiwanie modlitwy, prawdopodobnie pragnąc posiadać dokument i pieczęć, by dopiec przeciwnikom w sposób prawdziwie dyplomatyczny i prawniczy. Jakże nieznane musi im być prawdziwe uczucie i jak mało musieli doznać sami prawdziwych doświadczeń!

Mogę zapewnić, że nigdy nie wracałam z niczym, kiedy wśród ucisku i biedy szukałam Boga. Mówi to nieskończenie wiele, a jednak nie mogę i nie powiem więcej. O ile każde doświadczenie w krytycznej chwili było dla mnie ważne, o tyle mdłe, błahe, nieprawdopodobne stałoby się opowiadanie, gdybym chciała przytaczać poszczególne wypadki. Jakże byłam szczęśliwa, gdy tysiące drobnych zdarzeń razem wziętych tak niezbitcie jak to, iż oddychanie jest znakiem życia, dowodziło mi, że nie jestem na świecie bez Boga. Był blisko mnie, ja byłam przed nim. Oto co mogę z całą najzupełniejszą prawdą powiedzieć, unikając naumyślnie wszelkich terminów teologicznych.

Jakże mocno pragnęłam, żebym i wtedy mogła się być obejść bez wszelkiego systemu, ale któż zawczasu zdobywa to szczęście, by mieć świadomość siebie samego w czystym związku, bez cudzych form? Całkiem poważnie traktowałam swoje zbawienie. Skromnie zaufałam cudzej powadze; oddałam się całkowicie halskiemu systemowi nawracania<sup>130</sup>, a cała moja istota nie chciała się przystosować do żadnej metody.

Według tej nauki przemiana serca musi się rozpocząć od głębokiego przerażenia się nad grzechem; serce w tej katuszy musi już to więcej, już to mniej poznać zasłużoną karę i zakosztować przedsmaku piekła, który gorczą zaprawia rozkosz grzechu. W końcu trzeba poczuć bardzo wyraźne zapewnienie łaski, które jednak w dalszym ciągu często się ukrywa i musi być na nowo poważnie poszukiwane.

Wszystko to nie ziszczało się we mnie ani nawet w przybliżeniu. Jeżeli szukałam Boga szczerze, to dawał On się znaleźć i nic mi z minionych rzeczy nie wytykał. Rozumiałam wprawdzie w następstwie doskonale, w czym nie byłam godna, i wiedziałam także, w czym jeszcze jestem godna, ale znajomość moich ułomności obywatela się zupełnie bez bojaźni. Ani nawet na chwilę nie ogarniał mnie strach przed piekłem, a w obrębie moich poglądów nie mogło się znaleźć nawet wyobrażenie złego ducha oraz miejsca kary i męki po śmierci. Ludzi, którzy żyli bez Boga, których serce zamknięte było dla zaufania i miłości względem Niewidzialnego, uważałam za tak nieszczęśliwych, że piekło i kary zewnętrzne, jak mi się zdawało, raczej obiecywały im złagodzenie kary, niż groziły jej wzmożeniem. Trzeba mi było tylko przyrzeć się ludziom, którzy dają miejsce w swej piersi uczuciom nienawistnym, którzy w jaki bądź sposób stają się zatwardziali względem dobra i chcą sobie i innym wtłoczyć zło, którzy w dziele wolą przymknąć oczy, byle tylko móc utrzymywać, że słońce nie daje światła — jakże nad wszelki wyraz nędzni wydawali mi się tacy ludzie! Któż by zdołał stworzyć piekło, by jeszcze pogorszyć ich stan!

Ta właściwość nastroju duchowego przetrwała we mnie, dzień po dniu, przez dziesięć lat. Utrzymała się w ciągu wielu prób, nawet u bolesciwego łoża śmierci mojej ukochanej matki. Miałam dość otwartości, by przy tej okazji nie ukrywać przed pobożnymi, ale całkiem formalistycznymi ludźmi mego pogodnego usposobienia i musiałam z tego powodu znieść niejedną przyjacielski wyrzut. Sądzono, że właśnie we właściwym czasie

<sup>130</sup>*halski pietyzm* (niem. *Hallischer Pietismus*) — forma pietyzmu luterańskiego, nurtu religijnego kładącego nacisk na intensywną modlitwę, studiowanie Biblii, udział w pobożnych zgromadzeniach religijnych i rygorystyczną moralność, rozwinięta w XVII w. przez teologa Augusta Hermanna Francke i jego współpracowników w pruskim mieście Halle. [przypis edytorski]

dawano mi poznać, jakiej powagi należałoby użyć, by w dniach zdrowia położyć dobre podwaliny.

Nie chciałam, by brakowało powagi. Dałam się na tę chwilę przekonać i byłabym chętnie za cenę życia była smutna i pełna przerażenia. Ale jakżeż się zdziwiłam, że to było raz na zawsze niemożliwe. Kiedy myślałam o Bogu, byłam pogodna i zadowolona, nawet przy strasznym zgonie mojej kochanej matki nie bałam się śmierci. A jednak w tych wielkich godzinach nauczyłam się wielu, i to całkiem innych rzeczy, niż mniemali moi niepowołani nauczyciele.

Powoli zaczęłam wątpić o rozumie niejednego z wielce sławnych ludzi i przechowywałam swoje przekonania w milczeniu. Pewna przyjaciółka, której zrazu za dużo ustąpiłam, chciała się ciągle mieszać do moich spraw; musiałam się i od niej oswobodzić i powiedziałam jej raz stanowczo, żeby sobie nie zadawała trudu, bo nie potrzebuję jej rady, że znam swego Boga i chcę go mieć za jedynego przewodnika. Poczuli się bardzo obrażona i sądzą, że nigdy mi całkiem nie przebaczyła.

Postanowienie uwolnienia się w rzeczach duchownych od rady i wpływa przyjaciół miało ten skutek, że i w stosunkach zewnętrznych nabrałam odwagi, by iść własną swą drogą. Bez pomocy mego wiernego niewidzialnego przewodnika mogło mi to wyjść na złe i dziś jeszcze muszę się zdumiewać nad mądrym i szczęśliwym kierownictwem. Nikt nie wiedział właściwie, na czym mi zależało, a i ja sama tego nie wiedziałam.

Rzeczy, niewytłumaczonej dotychczas złej rzeczy, dzielącej nas od istoty, której zawdzięczamy życie, od istoty, z której utrzymywać się musi wszystko, co ma się nazywać życiem, rzeczy, którą nazywają grzechem, nie znałam jeszcze wcale.

W obcowaniu z niewidzialnym przyjacielem czułam najslodsza rozkosz wszystkich moich sił żywotnych. Pragnienie napawania się tym szczęściem zawsze było tak wielkie, że chętnie opuszczałam to, co zakłócało mi to obcowanie, a w tym względzie doświadczenie było mi najlepszym mistrzem. Jednak działo się ze mną jak z chorymi, którzy nie mają wcale lekarstwa i usiłują dopomóc sobie samą dietą. Pomaga to, ale nie na długo.

Nie mogłam ciągle pozostawać w samotności, chociaż znajdowałam w niej najlepszy środek przeciw właściwemu mi rozproszeniu myśli. Jeżeli potem wchodziłam w tłum, robiło to na mnie tym większe wrażenie. Najistotniejsza dla mnie korzyść polegała na tym, że panowało we mnie zamilowanie do ciszy i że się zawsze w końcu w niej chroniłam. Jakby poprzez mrok poznałam swą nędzę i słabość i starałam się sobie pomóc tym, że się oszczędzałam, że nie wystawiałam się na niebezpieczeństwo.

Przez siedem lat zachowywałam swoją dietetyczną ostrożność. Nie uważałam się za słabszą i uważałam swój stan za pożądaną. Bez szczególnych okoliczności i stosunków zatrzymałabym się na tym stopniu, a poszłam dalej jedynie drogą niepospolitą. Wbrew radzie wszystkich przyjaciół moich zawiązałam nowy stosunek. Ich zarzuty wprawiły mnie naprzód w zdumienie. Natychmiast zwróciłam się do swego niewidzialnego przewodnika, a ponieważ ten zezwolił, bez wahania poszłam dalej swoją drogą.

W sąsiedztwie zakupił majątek człowiek wykształcony, uczuciowy i utalentowany. Pomiędzy obcymi, których poznałam, był on i jego rodzina. Zgadzałiśmy się z sobą bardzo w naszych obyczajach, urządzeniach domowych i nawykach i stąd niebawem mogliśmy przyłączyć do siebie.

Filon (tak go nazwę) był już w pewnym wieku, a memu ojcu, którego siły zaczęły się zmniejszać, w niektórych interesach dawał największą pomoc. Stał się niebawem serdecznym przyjacielem naszego domu, a ponieważ, jak powiadał, znalazł we mnie osobę, której nie cechowała rozbujalność i pustka wielkiego świata ani też suchość i bojaźliwość ciszy wiejskiej, zostaliśmy wkrótce zaufanymi przyjaciółmi. Był on mi i bardzo miły, i bardzo użyteczny.

Chociaż nie miałam najmniejszego uzdolnienia ani skłonności do zajmowania się sprawami światowymi i szukania jakiegokolwiek wpływu, jednak chętnie o tym słuchałam i dowiadywałam się, co się działo bliżej i dalej. Lubiłam zdobywać sobie bezuczuciową jasność o rzeczach światowych; uczucie, serdeczność, skłonność zachowywałam dla Boga, dla rodziny i przyjaciół.

Ci ostatni byli, że tak powiem, zazdrośni o mój nowy stosunek z Filonem i pod niejednym względem mieli słuszność, przestrzegając mnie z tego powodu. Cierpiałam bardzo w milczeniu, bowiem nawet nie mogłam ich zarzutów uważać za zupełnie puste

i interesowne. Przywykłam od dawna podporządkowywać swoje poglądy, a jednak tym razem moje przeświadczenie nie chciało się poddać. Uciekłam się do Boga, by i tutaj mnie przestrzegął, nie dopuszczał, kierował, a że następnie serce mi nie odradzało, szłam tedy dalej śmiało swą ścieżką.

Filon był w ogólności do pewnego stopnia podobny do Narcyza, tylko że pobożne wychowanie bardziej ześrodkowywało i ożywiało jego uczucie. Miał mniej próżności, więcej charakteru, a jeżeli tamten w sprawach światowych był zręczny, dokładny, wytrwały i niestrudzony, to ten był jasny, ścisły, szybki i pracował z niesłychaną łatwością. Od niego dowiedziałam się o wewnętrznych stosunkach prawie tych wszystkich dostojnych osób, których wygląd poznałam w towarzystwie, i byłam rada, że z mojej placówki mogę się z dala przypatrywać tłumowi. Filon nie mógł już nic przede mną taić; powoli zwierzył mi się ze wszystkich swoich zewnętrznych i wewnętrznych związków. Bałam się o niego, gdyż przewidywałam pewne okoliczności i powikłania, a nieszczęście nadeszło szybciej, niż przypuszczałam, gdyż pewne wyznania wciąż powstrzymywał, a w końcu nawet tyle mi tylko odkrył, że mogłam się domyślać najgorszych rzeczy.

Jakież wpływ miało to na moje serce! Osiągnęłam doświadczenia, które były całkiem dla mnie nowe. Z nieopisaną boleścią ujrzałam Agatona<sup>131</sup>, który, będąc wychowany w gajach delfickich<sup>132</sup>, winien był jeszcze opłatę za naukę i uiszczal ją teraz z ciężkimi zaległymi procentami; a tym Agatonem był mój zażyły przyjaciel. Współczucie moje było żywe i zupełne; cierpiałam wraz z nim i oboje znajdowaliśmy się w najdziwniejszym położeniu.

Długo zajmując się nastrojem jego umysłu, zwróciłam potem uwagę na siebie samą. Myśl: „Ty nie jesteś lepsza od niego” — uniosła się przede mną jak mała chmurka, powoli rozszerzała się coraz bardziej i zaciemniła całą moją duszę.

Już nie tylko myślałam: „Nie jesteś lepsza od niego”, ale czułam to, i tak to czułam, że nie chciałabym czuć tego raz jeszcze, a nierychło to bynajmniej minęło. Ponad rok czułam, że gdyby niewidzialna ręka nie ujęła mnie w karby, mogłam zostać Girardem, Cartouche’em, Damiensem<sup>133</sup> czy jakimś innym potworem; wyraźnie czułam skłonność do tego w swym sercu. Boże, co za odkrycie!

Jeżeli dotychczas nie mogłam w najmniejszym nawet stopniu zauważyć rzeczywistości grzechu poprzez własne doświadczenie, to teraz jego możliwość stała się dla mnie wyraźna w sposób najstraszliwszy w przecuciach, a przecież nie znałam zła, bałam się go tylko; czułam, że mogłabym być winna, a nie miałam się o co obwiniać.

Jakkolwiek byłam głęboko przekonana, że taka właściwość duchowa, za jaką musiałam uznać swoją, nie mogła się nadawać do połączenia z istotą najwyższą, czego się spodziewałam po śmierci, to przecież wcale się nie lękałam, bym popadła w rozdwojenie. Obok wszystkiego zła, jakie w sobie odkryłam, kochałam Go i nienawidziłam tego, co czułam, owszem pragnęłam nienawidzić jeszcze silniej, a całym życzeniem moim było zostać wybawioną od tej choroby i od tego usposobienia do choroby, i byłam pewna, że wielki lekarz nie odmówi mi swojej pomocy.

Jedynym pytaniem było: „Czym uleczyć to zło?”. Ćwiczeniem się w cnotach? O tym nie mogłam nawet myśleć. Bo przez dziesięć lat ćwiczyłam się więcej niż w samej tylko cnotcie, a przecież teraz poznane okropności leżały skryte głęboko w mej duszy. Czyżby one nie mogły być wybuchnąć, jak u Dawida, kiedy zobaczył Batszebę<sup>134</sup>, a czyż on nie był także przyjacielem Boga, a ja czyż nie byłam jak najmocniej przekonana, że Bóg jest moim przyjacielem?

<sup>131</sup>Agaton — tytułowy bohater powieści Christopa Martina Wieland, jednego z pierwszych utworów z gatunku *Bildungsroman* (przedstawiającego proces psychologicznego, moralnego i społecznego formowania się osobowości głównego bohatera). [przypis edytorski]

<sup>132</sup>gaje delfickie — gaje wokół staroż. greckiego miasta Delfy, miejsca wyroczni i ośrodka kultu Apollina, boga słońca, opiekuna sztuki, przewodnika dziewięciu muz. [przypis edytorski]

<sup>133</sup>Girard, Cartouche, Damiens — głośni przestępcy: Jean-Baptiste Girard (1680–1733), francuski jezuita oskarżony o uwiedzenie i stosunki seksualne z penitentką; Louis Dominique Cartouche (1693–1721) stał na czele bandy rozbójniczej; Robert-François Damiens (1714–1757) dokonał nieudanego zamachu na życie króla Francji Ludwika XV. [przypis edytorski]

<sup>134</sup>Dawid, kiedy zobaczył Batszebę — scena z Biblii (2 Sm 11,2): król Dawid z dachu swojego pałacu zobaczył kąpiącą się Batszebę, żonę Uriasza, dowódcy armii, i zapragnął jej. Dawid uwiódł Batszebę, a kiedy okazało się, że kobieta jest w ciąży, wysłał Uriasza na wojnę, potajemnie rozkazując żołnierzom opuścić dowódcę w czasie zażartej bitwy, by zginął. [przypis edytorski]

Czyżby to miała więc być nieunikniona słabość rodu ludzkiego? Czy mamy na to przystać, że raz kiedyś doświadczymy władzy naszej chuci, i czy przy najlepszej woli nie zostaje nam nic innego, jak brzydzić się upadkiem, w który się rzuciliśmy, a przy podobnej sposobności upaść znowu?

Z nauki moralnej nie mogłam zaczerpnąć żadnej pociechy. Nie mogła mnie zadowolić ani jej surowość, którą chce opanować naszą chuc, ani jej pobłażliwość, którą chciałyby nasze chuci zrobić cnotami. Pojęcia zasadnicze, jakimi natchnęło mnie obcowanie z niewidzialnym przyjacielem, miały już dla mnie o wiele donioślejszą wartość.

Kiedy raz rozczytywałam się w pieśniach, jakie Dawid utworzył<sup>135</sup> po tej wstrętnej katastrofie, zastanowiło mnie mocno, że mieszkające w nim zło dostrzegał już w materii, z której powstał, że jednak pragnął być oswobodzony od grzechu i że usilnie błagał o czyste serce.

Ale jakże dojść do tego? Znałam dobrze odpowiedź z ksiąg symbolicznych; było też dla mnie prawdą biblijną, że krew Jezusa Chrystusa oczyszcza nas ze wszystkich grzechów. Teraz wszakże dopiero spostrzegłam, że tak często powtarzanego tego zdania nigdy jeszcze nie rozumiałam. Pytania: „Co to znaczy?”, „Jak to się dzieje?” nurtowały mnie dniem i nocą. Na koniec zdawało mi się, że przy rozbłysku dojrzałam, iż tego, czego szukam, należy szukać w ucłowieczeniu przedwiecznego słowa, przez które stworzone zostało wszystko i my również; że Ten, który był na początku, zstąpił niegdyś jako mieszkaniec do głębin, w których my tkwimy, które On przenika i obejmuje; że przez losy nasze przeszedł stopień po stopniu, od poczęcia i urodzenia aż do grobu, że poprzez ten dziwne manowce znowu wstąpił na jasne wyżyny, gdzie i my zamieszkać mamy, aby zażywać szczęścia — to mi się objawiło jakby w rozświetlonej dali.

O, dlaczegoż, mówiąc o takich rzeczach, musimy używać obrazów wskazujących tylko stany zewnętrzne? Gdzie jest wobec niego jakaś wyżyna lub głębia, jakaś ciemność lub jasność? Mamy tylko górę i dół, dzień i noc. I właśnie dlatego On stał się do nas podobny, gdyż inaczej nie moglibyśmy mieć żadnego w Nim udziału.

Jakże jednak możemy wziąć udział w tym nieocenionym dobrodzieństwie? Wiara — odpowiada nam Pismo. A cóż to jest wiara? Uważać za prawdę opowiadanie o jakimś zdarzeniu — cóż mi to pomoże? Powinnam móc przyswoić sobie jego oddziaływanie, jego skutki. Ta wiara przyswajająca winna być swoistym, niezwykłym dla naturalnego człowieka stanem umysłu.

— A więc, o Wszecmocny, daj mi wiarę! — błagałam raz w największym ucisku serca.

Oparłam się na małym stoliku, przy którym siedziałam, i ukryłam w dłoniach zalaną łzami twarz. Byłam tu w położeniu, w jakim trzeba być, jeżeli Bóg ma zważać na naszą modlitwę, a w jakim bywa się rzadko.

Ach, któż by mógł odmalować, co wtedy czułam! Poryw zaniósł mą duszę ku krzyżowi, na którym zbladł niegdyś Jezus; był to poryw, nie mogę nazwać go inaczej, zupełnie taki sam, jaki duszę naszą unosi ku nieobecnemu kochankowi, jakieś zbliżenie, które jest pewnie o wiele istotniejsze i prawdziwsze, niż przypuszczamy. Tak moja dusza zbliżyła się do Tego, który się stał człowiekiem i umarł na krzyżu, i w tej chwili wiedziałam, co to jest wiara.

— To jest wiara! — rzekłam, podnosząc się nagle jakby na wpół przerażona.

Staralam się tedy upewnić o moim wrażeniu, o moim widzeniu i niebawem byłam przekonana, że mój Bóg zyskał zdolność udzielania się, której dawniej nie miał.

Wobec takich wrażeń opuszczają nas słowa. Mogłam je zupełnie wyraźnie odróżnić od wszelkiej fantazji; były one całkiem bez fantazji, bez obrazu, a jednak dawały właśnie pewność obecności przedmiotu, do którego się odnosiły, jak wyobrażenia, kiedy nam uprzytamnia rysy nieobecnego kochanka.

Gdy minął pierwszy zachwyty, zauważyłam, że ten stan duszy znany mi był już przedtem, ale go nigdy nie odczułam z taką siłą. Nie mogłam go nigdy przytrzymać, zachować na własność. Sądzę w ogóle, że każda dusza ludzka coś z tego doznała raz i drugi. Bez wątpienia jest on tym, co uczy każdego, iż Bóg istnieje.

<sup>135</sup>pieśniach, jakie Dawid utworzył — biblijna *Księga Psalmów* przypisuje autorstwo kilkudziesięciu z nich królowi Dawidowi. [przypis edytorski]

Z tej siły, która dawniej tylko niekiedy mnie nawiedzała, byłam dotąd bardzo zadowolona i gdyby szczególnym zrzędzeniem nie spotkała mnie w tej porze niespodziewana klęska, gdyby przy tym moja moc działania nie utraciła u mnie samej całkowitego kredytu, to pozostałabym może na zawsze zadowolona z tego stanu.

Ale od owej wielkiej chwili dostałam skrzydeł. Mogłam się wznieść ponad to, co mi przedtem zagrażało, jak ptak, śpiewając, przelatuje bez trudu ponad najbystrzejszym strumieniem, przed którym piesek zatrzymuje się, szczekając trwożliwie.

Radość moja była nie do opisania, a chociaż nikomu nic o tym nie powiedziałam, domownicy spostrzegli jednak we mnie niezwykłą wesołość, nie mogąc pojąć, jaka jest przyczyna mego zadowolenia. O, gdybym zawsze była milczała i starała się utrzymać czysty nastrój w mej duszy! O, gdybym nie dała się uwieść okolicznościom do wyjawienia mojej tajemnicy! Mogłabym wówczas oszczędzić sobie ponownie wielkiego zboczenia z drogi.

Ponieważ w poprzednim dziesięcioleciu mego pobożnego życia nie miałam w duszy tej niezbędnej siły, znajdowałam się tedy w położeniu innych uczciwych ludzi; tym sobie dopomagałam, że ciągle napelniałam fantazję obrazami mającymi związek z Bogiem, a i to już jest rzeczą prawdziwie użyteczną, powstrzymują się bowiem przez to obrazy szkodliwe i ich złe skutki. Następnie dusza nasza chwyta częstokroć ten lub ów z obrazów duchowych i z nim wznosi się cokolwiek w górę jak ptaszek młody przelatujący z gałęzi na gałąź. Dopóki się nie ma czegoś lepszego, nie można odrzucać całkowicie tego ćwiczenia.

Instytucje kościelne, dzwony, organy i śpiewy, a zwłaszcza wykłady naszych mistrzów wywołują w nas obrazy i wrażenia odnoszące się do Boga. Żadna ich byłam niewypowiedzianie; ani słota, ani niemoc cielesna nie powstrzymywała mnie od odwiedzania kościołów, a na łożu boleści jedynie dzwony niedzielne mogły we mnie budzić pewną niecierpliwość. Naszemu najwyższemu kaznodziei nadwornemu, który był człowiekiem doskonałym, przysłuchiwałam się z wielkim zainteresowaniem, a i jego koledzy byli dla mnie szacowni; umiałam znaleźć złote jabłka słowa Bożego na glinianych talerzach wśród owoców pospolitych. Do ćwiczeń publicznych przyłączano też wszelkie możliwe prywatne budujące praktyki, jak je nazywają, a przez nie podsycala się tylko fantazja i subtelniejsza zmysłowość.

Tak przywykłam do tego trybu, tak wysoce go szanowałam, że i teraz nie przyszło mi na myśl nic wyższego. Dusza moja bowiem ma tylko czułki, a nie ma oczu; dotyka tylko, a nie widzi; ach, obyś zyskała oczy i mogła patrzeć!

Nawet teraz chodziłam na kazania pełna tęsknoty; ale, ach, cóż się ze mną działo! Nie znajdowałam już tego, co kiedyś znajdowałam. Ci kaznodzieje tępili sobie zęby na lupinach, kiedy ja spożywałam ziarno. Musiałam się nimi wkrótce przesyścić; jednak za nadto byłam znarowiona, by tylko trzymać się Tego, którego przecie umiałam znaleźć. Chciałam mieć obrazy potrzebowałam, wrażeń wewnętrznych i sądziłam, że czuję czystą duchową potrzebę.

Rodzice Filona zostawali w związku z gminą herrnhucką, w jego bibliotece znajdowało się jeszcze wiele pism hrabiego<sup>136</sup>. Mówił mi o nich kilka razy bardzo jasno i zrozumiale, zachęcając mnie do przejrzenia niektórych z tych utworów, chociażby dlatego tylko, aby poznać pewne zjawisko psychologiczne. Uważałam hrabiego za zbyt wielkiego kacera<sup>137</sup>, toteż pozostawiłam nietknięty śpiewnik ebersdorfski<sup>138</sup>, który przyjaciel niemal mi wcisnął we wspomnianym celu.

W zupełnym braku wszelkich zewnętrznych środków zachęcających, pochwyciłam jakby przypadkiem ten śpiewnik i ze zdumieniem znalazłam w nim istotnie pieśni, które, co prawda w bardzo dziwnych formach, zdawały się wykazywać to, co czułam; oryginalność i naiwność wyrażen pociągnęła mnie ku sobie. Własne uczucia wydawały się tu wyrażone we własny sposób; żadna terminologia szkolna nie przypominała sztywności

<sup>136</sup>*pism hrabiego* — Zinzendorfa (1700–1760) [Nikolaus Ludwig von Zinzendorf, niemiecki hrabia, teolog ewangelicki i reformator religijny, biskup braci morawskich, opiekun i przywódca ruchu pietystycznego w Saksonii; red. WL]. [przypis tłumacza]

<sup>137</sup>*kacarz* — odstępcza religijny; heretyk. [przypis edytorski]

<sup>138</sup>*śpiewnik ebersdorfski* — książka z hymnami religijnymi bractwa herrnhutów. [przypis edytorski]

i pospolitości. Przekonałam się, że ludzie czuli, co czułam, i uważałam się za nader szczęśliwą, gdy takiego wierszyka nauczyłam się na pamięć, nosząc się z nim przez kilka dni.

Od chwili, w której objawiła mi się prawda, upłynęło w ten sposób prawie trzy miesiące. W końcu powzięłam postanowienie odkryć wszystko memu przyjacielowi Filonowi i prosić go o podzielenie się tymi pismami, które teraz bardzo mnie zaciekały. Zrobiłam tak w rzeczy samej, pomimo że coś w sercu poważnie mnie od tego odciągało.

Opowiedziałam szczegółowo całą historię Filonowi, a ponieważ on sam był w niej główną osobą, ponieważ opowiadanie moje zawierało i dla niego wielce surowe kazanie pokutne, był nadzwyczaj przerażony i wzruszony. Rozpływał się we łzach. Cieszyłam się, sądząc, że i w nim dokonana się całkowita zmiana myśli.

Zaopatrzył mnie we wszystkie pisma, jakich tylko żądałam, i miałam teraz pod dostatkiem pożywki dla swej wyobraźni. Zrobiłam wielkie postępy w sposobie myślenia i mówienia w duchu Zinzendorfa<sup>139</sup>. Nie sądźcie, żebym i obecnie nie ceniła trybu postępowania hrabiego; chętnie oddaję mu sprawiedliwość; nie jest on pustym fantastą, mówi o wielkich prawdach najczęściej ze śmiałym poletem wyobraźni, a ci, którzy go lżyli, nie zdołali przymiotów jego ani docenić, ani wyróżnić.

Pokochałam go niewymownie. Gdybym była całkiem panią siebie, opuściłabym z pewnością ojczyznę i przyjaciół i udałabym się do niego; niechybnie zrozumielibyśmy się i niebawem chyba zgodzilibyśmy się z sobą.

Dzięki niech będą memu duchowi opiekuńczemu, iż mnie wówczas utrzymał zamkniętą w obrębie domowym. Było to już wielką podróżą, kiedy mogłam wyjść do domowego ogrodu. Pielęgnowanie starego i słabowitego ojca zadawało mi dosyć pracy, a w godzinach zabawy moją rozrywkę stanowiła szlachetna fantazja. Jedynym człowiekiem, jakiego widywałam, był Filon, którego mój ojciec bardzo lubił, którego jednak otwarty względem mnie stosunek ucierpiał nieco wskutek ostatniej rozmowy. Wzruszenie nie przeniknęło weń głęboko, a że nie udało mu się kilka prób mówienia moim językiem, unikał więc tej materii tym łatwiej, że z powodu swych rozległych wiadomości umiał sprowadzać rozmowę na wciąż świeże przedmioty.

Byłam tedy siostrą herrnhucką na własną rękę i musiałam ten nowy zwrot mojego umysłu i skłonności skrywać głównie przed najwyższym kaznodzieją nadwornym, którego jako swego spowiednika miałam znaczne powody szanować, a którego wielkich zasług w moich oczach nawet teraz nie zmniejszył jego nadzwyczajny wstręt do gminy herrnhuckiej. Niestety, ten godny człowiek miał doznać wiele zmartwienia i ode mnie, i od innych.

Przed wielu laty poznał on na obczyźnie pewnego kawalera jako męża uczciwego i pobożnego i pozostawał z nim w nieprzerwanej korespondencji jako z człowiekiem, który poważnie szuka Boga. Jakże bolesne było dla duchownego przewodnika, gdy kawale ten następnie przystał do gminy herrnhuckiej i długo przebywał wśród braci; jak natomiast miło, gdy jego przyjaciel poróżnił się z tymi braćmi, postanowił zamieszkać blisko niego i na nowo poddać się całkowicie jego kierownictwu.

Otóż nowo przybyły został jakby triumfalnie przedstawiony wszystkim szczególnie umiłowanym owieczkom zwierzchniego pasterza. Nie wprowadzono go tylko do naszego domu, gdyż ojciec mój nikogo już zwykle nie widywał. Kawaler znalazł wielkie uznanie; miał dworskie maniery i uprzejmość gminy, a przy tym wiele pięknych przymiotów z natury i stał się niebawem wielkim świętym dla wszystkich, którzy go poznali, z czego niezmiernie się cieszył jego duchowny opiekun. Niestety, poróżnił się z gminą o rzeczy tylko zewnętrzne, a w duszy pozostał jeszcze całkiem herrnhutem. Chodziło mu wprawdzie rzeczywiście o istotę rzeczy, ale i jemu nader stosowne wydawały się te drobiazgi zewnętrzne, jakimi otoczył ją hrabia. Był już po prostu przyzwyczajony do tych wyobrażeń i sposobów mówienia, a jeżeli musiał się z tym starannie tać wobec swego starego przyjaciela, to tym niezbędną dla niego było rzeczą, kiedy spostrzegł wkoło siebie gromadkę osób zaufanych, występować ze swoimi wierszykami, litaniami i obrazkami, i zyskał sobie, jak łatwo zrozumieć, wielki poklask.

<sup>139</sup>Zinzendorf, *Nikolaus Ludwig von* (1700–1760) — niemiecki teolog ewangelicki i reformator religijny, biskup braci morawskich, opiekun i przywódca ruchu pietystycznego w Saksonii. [przypis edytorski]

O całej tej sprawie nic nie wiedziałam i bawiłam się dalej po swojemu. Przez czas jakiś nie znaliśmy się.

Razu pewnego odwiedziłam w wolnej chwili chorą przyjaciółkę. Zastałam tu wielu znajomych i niebawem zauważyłam, że przerwałam im jakąś rozmowę. Nie dałam tego po sobie poznać, a ku swemu wielkiemu zdziwieniu spostrzegłam na ścianie parę herrnhuckich obrazów w ozdobnych ramach. Zrozumiałam szybko, co mogło zająć w czasie, odkąd nie byłam w tym domu, i pozdrowiłam to nowe zjawisko kilkoma stosownymi wierszami.

Wyobraźcie sobie zdumienie moich przyjaciółek! Porozumialiśmy się i natychmiast doszliśmy do zgody i zaufania.

Starałam się teraz o częstszą sposobność do wyjścia. Niestety, znajdowałam ją tylko co trzy lub cztery tygodnie; zaznajomiłam się z apostołem-szlachcicem, a powoli i z całą tajemną gminą. Kiedy mogłam, uczęszczałam na ich zebrania, a wobec mego towarzyskiego usposobienia było mi nieskończenie przyjemnie słyszeć od innych i udzielać innym tego, co do tej pory wypracowywałam w sobie i z sobą tylko.

Nie byłam tak zacierzwiona, żebym nie spostrzegła, jak niewielu zaledwie odczuwało znaczenie tkliwych słów i wyrażeń i jak przez to nie posuwano się wcale dalej niż poprzednio przy mowie kościelno-symbolicznej. Mimo to szłam razem z nimi i nie dałam się obalamucić. Myślałam sobie, że nie jestem powołana do badania i doświadczania serca. Przecież już przez niejedno niewinne ćwiczenie byłam przygotowana do czegoś lepszego. Wzięłam ze sobą swoją cząstkę, a doszedłszy do głosu, nastawałam na znaczenie, które przy tak delikatnych przedmiotach raczej zakrywane niż objaśniane bywa słowami, i pozwalałam poza tym z milczącą zgodnością każdemu postępować według swego uznania.

Po tych spokojnych czasach tajemnej towarzyskiej rozkoszy nastąpiły niebawem burze publicznych rozterek i przeciwności, które na dworze i w mieście wywołały wielkie poruszenie, a nawet, można by prawie powiedzieć, spowodowały niejaki skandal. Przyszła chwila, kiedy nasz najwyższy kaznodzieja nadworny, ten wielki przeciwnik gminy herrnhuckiej, miał odkryć ku swemu błogosławionemu upokorzeniu, że jego najlepsi i dawniej najbardziej przywiązani słuchacze wszyscy opowiadają się po stronie gminy. Zabolalo go to nadzwyczajnie, w pierwszym momencie zapomniał o wszelkim umiarkowaniu, a potem nie mógł się już cofnąć, nawet gdyby był chciał. Odbyły się gwałtowne dyskusje, w których na szczęście nie byłam wymieniona z imienia, ponieważ byłam jedynie przypadkowym członkiem tak mocno zniechęconych zebranych, a nasz żarliwy przewodnik nie mógł się w sprawach miejskich obejść bez mego ojca i mego przyjaciela. Zachowałam neutralność z cichym zadowoleniem, gdyż sprawiało mi przykrość rozmawiać o takich uczuciach i przedmiotach nawet z poczciwymi ludźmi, jeżeli nie mogli objąć najgłębszego znaczenia i pozostawali tylko na powierzchni. A spierać się z przeciwnikami o to, o czym ledwie można było dojść do zgody z przyjaciółmi, wydawało mi się rzeczą nieuzasadnioną, a nawet zgubną. Wkrótce bowiem mogłam zauważyć, że mili, szlachetni ludzie, którzy w tym wypadku nie mogli powstrzymać swego serca od wstrętu i nienawiści, przechodzili bardzo prędko do niesprawiedliwości i broniąc formy zewnętrznej, burzyli niemal najlepszą cząstkę swej duszy.

Jakkolwiek ten godny człowiek mógł w tym wypadku nie mieć zgoła słuszności i jakkolwiek starano się bardzo pobudzić mnie przeciwko niemu, nigdy nie mogłam mu odmówić serdecznego szacunku. Znałam go dobrze, mogłam się z łatwością wczuć się w jego sposób patrzenia na te rzeczy. Nigdy nie widziałam człowieka bez słabości, jest ona tylko bardziej rażąca u ludzi doskonałych. Pragniemy, chcemy bądź co bądź, żeby ci, którzy są tak mocno uprzywilejowani, nie płacili też żadnego haraczu, żadnych podatków. Szanowałam go jako doskonałego człowieka i miałam nadzieję, że użyję wpływu mojej cichej neutralności, jeżeli nie do sprowadzenia pokoju, to przynajmniej rozejmu. Nie wiem, czego bym dokonała; Bóg krócej załatwił sprawę i wziął go do siebie. Przy jego marach płakali wszyscy, którzy krótko przedtem spierali się z nim o słowa. Jego uczciwości, jego bojaźni Bożej nikt nigdy nie podawał w wątpliwość.

I ja musiałam w tym czasie wypuścić z rąk bawidelka, które mi wskutek tych rozterek ukazały się do pewnego stopnia w odmiennym świetle. Stryj przeprowadził w cichości swoje plany co do mej siostry. Przedstawił jej pewnego młodzieńca z dobrym urodzeniem



i majątkiem jako narzeczonego i zdobył się na bogatą wyprawę, jak się tego po nim można było spodziewać. Ojciec mój zezwolił z radością; siostra była wolna i przygotowana i chętnie zmieniała swój stan. Wesele odbyło się na zamku stryja; zaproszona była rodzina i przyjaciele; zjechaliśmy się wszyscy w pogodnym nastroju ducha.

Po raz pierwszy w mym życiu wejście do domu wywołało we mnie podziw. Często wprawdzie słyszałam o smaku stryja, o jego włoskim budowniczym, o jego zbiorach i bibliotece, porównywałam jednak to wszystko z tym, co już widziałam, i w myśli wyrobiłam sobie o tym obraz bardzo niejednolity. Jakże więc zdziwiło mnie poważne i harmonijne wrażenie, którego doznałam, wchodząc do domu, a które wzmagало się w każdej sali i pokoju. Kiedy dawniej wspaniałość i ozdoby wprawiały mnie tylko w roztargnienie, tu czułam się skupiona i zwrócona ku sobie samej. Także we wszystkich przygotowaniach do uroczystości i uczt wspaniałość i godność budziły cichą przyjemność i równie niepojęte było dla mnie, jak jeden człowiek mógł to wszystko obmyślić i ułożyć, oraz jak mogło zjednoczyć się wielu, by wspólnie działać w tak rozległym duchu. A przy tym wszystkim i gospodarz, i jego domownicy wydawali się tak naturalni, że niepodobna było dostrzec ani śladu sztywności lub pustego ceremoniału.

Sam obrzęd ślubu rozpoczął się niespodzianie w serdeczny sposób; zaskoczyła nas wyborna muzyka wokalna, a ksiądz umiał nadać tej ceremonii całą uroczystość prawdy. Stałam obok Filona, a on zamiast mi wieszować szczęścia, rzekł z głębokim westchnieniem:

— Kiedy ujrzałem siostrę oddającą rękę, doznałem takiego wrażenia, jakby mnie obłano ukropem.

— Dlaczego? — zapytałam.

— Takiego wrażenia doznaję zawsze, kiedy się przypatruję kopulacji — odparł.

Zaśmiałam się z niego i dość często potem rozmyślałam nad jego słowami.

Wesołość towarzystwa, wśród którego wiele było młodzieży, nabierała podwójnego blasku wobec godności i powagi wszystkiego, co nas otaczało. Wszystkie meble, nakrycia stołowe, serwis, zastawa harmonizowały z całością, a jeżeli dawniej wydawało się, że budowniczy i cukiernicy wywodzili się z jednej szkoły, to tutaj cukiernik i nakrywający do stołu chodzili do szkoły razem z architektem.

Ponieważ zebranie trwało kilka dni, pomysłowy i rozumny gospodarz dbał o rozrywkę towarzystwa na najróżnorodniejsze sposoby. Nie powtórzyłam tutaj smutnego doświadczenia, jakiego doznałam niejednokrotnie w życiu, jak to bywa źle wielkiemu, mieszanemu towarzystwu, które zostawione samo sobie musi się chwycić najpospolitszych i najbardziej pustych rozrywek, ażeby raczej dobrzy niż źli członkowie uczuwali brak zabawy.

Stryj urządził zupełnie inaczej. Ustanowił dwu czy trzech marszałków, jeżeli mogą ich tak nazwać; jeden miał się troszczyć o rozrywkę młodzieży: obmyślał on tańce, przejażdżki i różne gry i kierował nimi, a że młodzież chętnie przebywa na otwartym powietrzu i nie lęka się jego wpływów, oddano jej ogród i wielką salę ogrodową, do której w tym celu przybudowano jeszcze parę galerii i pawilonów, wprawdzie tylko z desek i płótna, ale tak szlachetnie wykonanych, że przypominały kamień i marmur.

Jakże rzadki bywa festyn, na którym ten, kto sprasza gości, poczuwa się też do obowiązku wszechstronnego troszczenia się o ich potrzeby i wygody!

Dla osób starszych przygotowano polowanie i grę w karty, krótkie przechadzki, okazje do poufnych rozmów sam na sam, a ten, kto siedł do łóżka najwcześniej, był umieszczany jak najdalej od wszelakiego hałasu.

Wskutek tego ładu przestrzeń, w której się znajdowaliśmy, wydawała się małym światem, a przecież, przypatrzysz się z bliska, zamek nie był wielki, a jego bez dokładnej znajomości i bez pomysłów gospodarza trudno byłoby pomieścić w nim tylu ludzi i każdego ugościć stosownie do jego gustu.

Jak przyjemny jest dla nas widok kształtnie zbudowanego człowieka, tak też przyjemne jest całe uporządkowanie, w którym odczuwamy obecność rozsądnej, rozumnej istoty. Już wejście do czysto utrzymanego domu sprawia radość, chociażby poza tym zbudowany był i przyozdobiony bez smaku, gdyż przekonuje nas o obecności ludzi wykształconych przynajmniej z jednej strony. Jakże tedy podwójnie miłe jest dla nas, kiedy z mieszkania ludzkiego przemawia do nas duch wyższej, chociaż myślowej tylko kultury!

Stało się to dla mnie widoczne w sposób bardzo żywy na zamku mego stryja. Wiele słyszałam i czytałam o sztuce; Filon także był wielkim miłośnikiem obrazów i miał piękny zbiór; i ja sama dużo rysowałam, ale już to zanadto zajęta byłam swoimi uczuciami i starałam się tylko o dokładne wyjaśnienie sobie tego jednego, które jest potrzebne, już to wydawało mi się, że wszystkie te rzeczy, które widziałam, jak i inne sprawy światowe wprawiają mnie w roztargnienie. Teraz po raz pierwszy coś zewnętrznego skierowało mnie ku sobie samej i ku swemu największemu zdziwieniu poznałam różnicę między naturalnym, doskonałym śpiewem słowika a czterogłosowym „Alleluja” z nabrzmiałych uczuciem krtani ludzkich.

Radości z powodu tego nowego spostrzeżenia nie ukrywałam przed stryjem, który, gdy wszystko już poszło właściwym trybem, zwykł najczęściej ze mną rozmawiać. Z wielką skromnością mówił o tym, co posiadał i czego dokonał, z wielką pewnością o myśli, w której było to zbierane i ułożone, i mogłam zauważyć, że wyrażał się, mając wzgląd na mnie, starając się według swego dawnego zwyczaju podporządkować dobro, którego sądził się panem i mistrzem, temu, co według mego przekonania było prawdziwe i najlepsze.

— Jeżeli sobie pomyślimy — rzekł pewnego razu — jako rzecz możliwą, że Stwórca Świata sam przyjął postać swego stworzenia i przez pewien czas bawił na świecie na sposób ludzki, to musi nam stworzenie to przedstawiać się jako nieskończenie doskonałe, gdy sam Stwórca mógł się z nim tak ściśle zjednoczyć. Nie musi więc być sprzeczności w pojęciu człowieka z pojęciem boskości, a jeżeli często odczuwamy wobec niego pewną odmienną i oddalenie, to tym większym naszym obowiązkiem jest nie spoglądać ustawicznie, jak adwokat złego ducha, na nagości i słabości natury naszej, lecz raczej poszukiwać wszelkich doskonałości, za pomocą których możemy poprzeć nasze pretensje do podobieństwa bożego.

Uśmiechając się, odparłam:

— Nie zawstydzaj mnie zanadto, kochany stryju, uprzejmością mówienia moim językiem! To, co masz mi do powiedzenia, ma dla mnie tak wielką wagę, że pragnęłabym usłyszeć to w twoim własnym języku, a dopiero czego sobie nie będę mogła przyswoić całkowicie, postaram się na swój wytłumaczyć.

— Będę mógł — odrzekł na to — mówić dalej w sposób sobie najwłaściwszy, nie zmieniając tonu. Największą zasługą człowieka to będzie, jeżeli, o ile tylko można najwięcej zapanuje nad okolicznościami i, o ile tylko można, najmniej da się im opanować. Leży przed nami cała przyroda, jak wielki łom kamienia przed budowniczym, który wtedy tylko zasługuje na tę nazwę, jeżeli z największą ekonomią, celowością i trwałością układa obraz, który powstał w jego umyśle z tych przypadkowych mas naturalnych. Wszystko na zewnątrz nas jest tylko żywiołem, a nawet, można powiedzieć, wszystko też na nas, ale głęboko w nas tkwi ta siła twórcza, która potrafi stworzyć to, co być powinno, i nie pozwala nam ani spocząć, ani odetchnąć, aż to przedstawimy na zewnątrz nas lub na nas w ten lub inny sposób. Ty, kochana siostrzenico, wybrałaś może cząstkę najlepszą; starałaś się swoją istotą moralną, swoją głęboką kochającą naturę pogodzić z samą sobą i z Istotą Najwyższą, gdy reszta z nas także nie zasługuje na nagane, jeżeli staramy się poznać człowieka zmysłowego w całym jego zakresie i aktywnie staramy się doprowadzić go do jedności.

Wskutek takich rozmów nabieraliśmy z wolna coraz większego zaufania do siebie, a ja żądałam od niego, ażeby nie robiąc ustępstw, mówił ze mną tak jak z sobą samym.

— Nie myśl bynajmniej — odrzekł stryj — że ci pochlebiam, chwając twój sposób myślenia i działania. Szanuję człowieka, który wie jasno, czego chce, niezmordowanie kroczy naprzód, zna środki do swego celu i umie je pochwycić i ich użyć; czy jego cel jest wielki czy mały, czy zasługuje na pochwałę czy nagane, na to zwracam uwagę dopiero potem. Wierz mi, moja droga, największa część niedoli i tego, co nazywa się złem na świecie, powstaje jedynie stąd, że ludzie zbyt są niedbali, by należycie poznać swe cele, a poznawszy, pracować dla nich poważnie. Wydają mi się oni jak ludzie, którzy mają pojęcie, iż wieża może i powinna być zbudowana, a którzy na podwaliny zużywają nie więcej kamieni i pracy, niż gdyby budowali chatkę. Gdybyś ty, moja przyjaciółko, której najwyższą potrzebą było wyjaśnić sobie własną wewnętrzną moralną naturę, zamiast wielkich i śmiałych poświęceń posuwała się z wolna pomiędzy rodziną, narzeczonym, może

Praca

małżonkiem, to w wiecznej niezgodzie ze sobą nigdy nie zaznałabyś ani jednej chwili zadowolenia.

— Używasz, stryju — odparłam na to — słowa „poświęcenie”, a mnie przychodziło niekiedy na myśl, jak mamy składać w ofierze wyższemu celowi, niby jakiemuś bóstwu, rzeczy mniejsze, chociaż sprawia nam już przykrość to nawet, gdy ma się chętnie i dobrowolnie zaprowadzić do ołtarza ukochaną owieczkę za zdrowie uwielbianego ojca.

— Czymkolwiek to jest — odparł — rozumem czy uczuciem, co nam każe oddawać jedno za drugie, jedno wybrać przed drugim, to według mego mniemania stanowczość i konsekwencja jest najgodniejszą czi rzeczą w człowieku. Nie można mieć jednocześnie towaru i pieniędzy i tak samo źle ten wychodzi, kto wciąż pożąda towaru, a nie ma odwagi wydać pieniędzy, jak ten, kto żałuje kupna, gdy ma towar w ręku. Nie myślę jednak ganić ludzi z tego powodu, gdyż właściwie nie oni są winni, lecz zawiślane położenie, w którym się znajdują i w którym nie umieją się rządzić. I tak na przykład znajdziesz przeciętnie mniej złych gospodarzy na wsi niż w miastach, a znowu w małych miastach mniej niż w dużych; a dlaczego? Człowiek urodził się w ograniczonej sytuacji, potrafi objąć proste, bliskie, określone cele i przyzwyczajają się do używania środków, które ma pod ręką, ale skoro tylko wyjdzie na szersze pole, to nie wie, ani czego chce, ani też co powinien, i wszystko wtedy jedno, czy popada w roztargnienie wskutek mnóstwa przedmiotów, czy też przytłacza go ich podniosłość i dostojeństwo. Zawsze jest jego nieszczęściem, jeżeli musi dążyć do czegoś, z czym nie może się połączyć przez regularną samodzielną aktywność... Doprawdy — mówił dalej — bez poważnego usposobienia niczego na świecie zrobić niepodobna, a wśród tych, których nazywamy ludźmi wykształconymi, mało istotnie znaleźć można powagi; zabierają się oni do prac i zajęć, do sztuk, nawet do rozrywek z pewnym rodzajem samoobrony, że tak powiem; żyje się tak, jak się czyta paczkę gazet, żeby się ich tylko pozbyć; i przychodzi mi przy tym na myśl ten młody Anglik w Rzymie, który pewnego wieczoru w towarzystwie opowiadał z wielkim zadowoleniem, że przecie dzisiaj zbył się sześciu kościołów i dwu galerii. Chce się coś wiedzieć i znać, i to właśnie, co nas najmniej obchodzi, a nie spostrzega się, że przez to nie zaspakaja się wcale głodu, kiedy się chwytą powietrze. Kiedy poznaję jakiego człowieka, pytam się zaraz, czym się on zajmuje i jak, i jakim porządkiem, a gdy odpowiem sobie na to pytanie, moje zainteresowanie nim decyduje się na całe życie.

— Jesteś może zbyt surowy, kochany stryju — odparłam na to — i cofasz pomocną rękę przed niejednym dobrym człowiekiem, któremu mógłbyś być użyteczny.

— Czyż można się dziwić temu — odpowiedział — kto od tak dawna pracował nad nimi i około nich na próżno? Ileż to się wycierpi w młodości od ludzi, którym się zdaje, że zapraszają nas na wesołą zabawę, obiecując nas zaprowadzić do towarzystwa Danaid albo Syzyfa<sup>140</sup>. Dzięki Bogu, uwolniłem się od nich, a jeżeli któryś nieszczęsnym wypadkiem dostanie się do mego koła, staram się go w najgrzeczniejszy sposób pozbyć komplementami; od tych bowiem ludzi właśnie słyszy się najokropniejsze skargi na zawiśłany bieg spraw tego świata, na płytkość umiejętności, na lekkomyślność artystów, na czczość poetów i tym podobne rzeczy. Najmniej się zastanawiają nad tym, że to właśnie oni i tłum do niech podobnych nie czytaliby książki napisanej według ich wymagań, że prawdziwa poezja jest im obca i że nawet dobre dzieło sztuki otrzymać może ich poklask tylko wskutek uprzedzenia. Ale dajmy temu spokój, nie pora tu wcale do wymyślenia i narzekania.

Skierował moją uwagę na różne obrazy zawieszane na ścianie; oko moje zatrzymywało się na tych, których widok był powabny lub których przedmiot był ważny; przez chwilę pozwolił, by się to działo, po czym rzekł:

— Poświęć też niejaką uwagę geniuszowi, który wydał te dzieła. Dobre serca widzą chętnie palec Boży w przyrodzie; dlaczego nie mielibyśmy zastanowić się nieco i nad ręką jego naśladowcy?

<sup>140</sup>*Danaidy*, *Syzyf* (mit. gr.) — osoby, które za popełnione za życia zbrodnie ponosiły męczarnie w Tartarze, najmroczniejszej części podziemnej krainy zmarłych; *Danaidy*: córki króla Danaosa, za zamordowanie w noc poślubną swoich mężów zostały skazane na napełnianie beczki bez dna wodą, noszoną w sitach; *Syzyf*: przebiegły założyciel i król Koryntu, który zdradził sekret Zeusa, a następnie podstępnie uwięził posłanego po niego Tanatosa (Śmierć), za co został skazany na wtaczanie na górę kamienia, który zawsze stacza się na dół tuż przed osiągnięciem szczytu. [przypis edytorski]

Następnie zwrócił moją uwagę na kilka niepozornych malowideł i starał mi się wytłumaczyć, że właściwie jedynie historia sztuki może nam dać pojęcie o wartości i dostojności dzieła sztuki, że przede wszystkim poznać trzeba ciężkie stopnie mechanizmu i rzemiosła, po których zdolny człowiek wspina się w ciągu stuleci, ażeby zrozumieć, jak to mogło się stać, że geniusz porusza się swobodnie i wesoło na szczycie, którego sam widok w przyprawia nas o zawrót głowy.

W tej myśli zestawiał mi dzieła w piękny szereg, a gdy mi go wyjaśnił, nie mogłam się powstrzymać, by nie widzieć przed sobą wychowania moralnego, jakby w przypowieści. Kiedy wyraziłam mu swoje myśli, odpowiedział:

— Masz najzupełniejszą słuszność i stąd widzimy, że niedobrze się robi, gdy się ślęczy nad wychowaniem moralnym w samotności, zamknąwszy się w sobie; przeciwnie, uznać trzeba, że ten, którego duch dąży do kultury moralnej, ma ze wszelkich powodów kształcenia zarazem swojej subtelniejszej zmysłowości, ażeby nie popadł w niebezpieczeństwo ześlizgnięcia się ze swej wyżyny moralnej, poddając się omamieniom wyuzdanej fantazji i narażając się na to poniżenie swojej szlachetniejszej natury upodobaniem w cackach bez smaku, jeżeli nie w czymś gorszym.

Nie podejrzewałam go, żeby wymierzył to we mnie, ale dotknęło mnie, gdy sobie pomyślałam, że wśród pieśni, które mnie budowały, mogło być coś niesmacznego i że obrazki odnoszące się do moich pojęć duchowych nie znalazłyby chyba łaski w oczach stryja.

Filon tymczasem przebywał często w bibliotece i zaprowadził mnie do niej teraz dopiero. Podziwialiśmy dobór, a przy tym mnogość książek. Zbierane były w powyżej wyrażonej myśli, bo prawie tylko takie można było w niej znaleźć, które prowadzą do jasnego poznania, albo nas uczą prawdziwego porządku, które albo dają dobre materiały, albo przekonują o jedności naszego ducha.

Czytałam w swym życiu niesłychanie dużo, a w pewnych gałęziach prawie żadna książka nie była mi obca, tym przyjemniej więc było rozmawiać mi tu o przeglądzie całości i spostrzegać luki tam, gdzie dawniej widziałam tylko ograniczone zamieszanie lub nieskończoną rozciągłość.

Równocześnie zaznajomiliśmy się z wielce zajmującym cichym człowiekiem. Był on lekarzem i przyrodnikiem i zdawał się należeć raczej do penatów<sup>141</sup> niż do mieszkańców domu. Pokazał nam gabinet naturalny, który podobnie jak biblioteka w zamkniętych oszklonych szafach ozdabiał zarazem ściany pokoiów i uszlachetniał przestrzeń, nie zacieśniając jej. Tu z radością przypomniałam sobie swoją młodość i pokazywałam ojcu wiele przedmiotów, jakie niegdyś znosił na łóżko chorego dziecka, które ledwie na świat wyrząło. Lekarz nie ukrywał przy tym bynajmniej, tak samo jak i w późniejszych rozmowach, że ma zbliżone do mnie przekonania religijne, niezmiernie chwalił mego stryja za jego tolerancję i ceniecie wszystkiego, co wskazuje i wzmacnia wartość i jedność natury ludzkiej, dodając, że wymaga on od wszystkich ludzi tego samego i niczego bardziej nie zwykł potępiać i unikać niż indywidualnej zarozumiałości i wyłączającej ciasnoty umysłowej.

Od ślubu mojej siostry było widać radość w oczach stryja; rozmawiał też ze mną po kilka razy o tym, co zamierza zrobić dla niej i dla jej dzieci. Miał on piękne dobra, które sam zagospodarował i które spodziewał się oddać swoim siostrzeńcom w jak najlepszym stanie. Co do mająteczku, w którym się znajdowaliśmy, miał on, zdaje się, jakieś szczególne widoki.

— Pozostawię go tylko takiej osobie — powiedział — która potrafi się poznać, ocenić i cieszyć się tym, co zawiera, i która zrozumie, jak dalece bogacz znakomitego rodu, zwłaszcza w Niemczech, potrzebuje wykazać coś wzorowego.

Już większość gości powoli się rozproszyła, i my gotowaliśmy się do odjazdu i sądziliśmy, że byliśmy na ostatniej scenie uroczystości, gdy zostaliśmy na nowo zaskoczeni jego dbałością, żeby nam sprawić istotną przyjemność. Nie mogliśmy ukryć przed nim zachwyty, jakiego doznaliśmy, gdy przy ślubie mojej siostry dał się słyszeć chór głosów ludzkich, któremu nie towarzyszył żaden instrument. Namawialiśmy go, aby znów dał

<sup>141</sup>penaty (mit. rzym.) — domowe bóstwa opiekuńcze; tu żart.: dobytek. [przypis edytorski]

nam tę przyjemność, ale on nie zdawał się o tym myśleć. Jakąż więc było dla nas niespodzianką, gdy pewnego wieczoru rzekł do nas:

— Muzyka taneczna oddaliła się, młodzi, ochoczy przyjaciele nas opuścili, nawet para nowożeńców wygląda już poważniej niż przed kilkoma dniami, a rozstanie się w takiej epoce, kiedy może nigdy się nie zobaczymy, a przynajmniej w innych warunkach widzieć się będziemy, budzi w nas nastrój uroczysty, którego nie mogę zaspokoić szlachetniej, jak za pomocą muzyki, której powtórzenia zdawaliście się życzyć sobie już dawniej.

Kazał tedy chórowi, który się tymczasem wzmocnił i po cichu jeszcze więcej wyćwiczyl, odśpiewać śpiewy cztero- i ośmiogłosowe, które dały nam, muszę to powiedzieć, rzeczywiście przedsmak błogości niebiańskiej. Znałam dotychczas tylko śpiew pobożny, w którym poczciwe dusze jak ptaszęta leśne, częstokroć z ochryplą krtanią, sądzą, że chwałą Boga, sprawiając sobie samym przyjemne wrażenie, dalej — pustą muzykę koncertową, która budzi w nas bądź co bądź podziw dla talentu, ale przemijające jedynie zadowolenie. Teraz słyszałam muzykę, wypływającą z najgłębszych tajni najdoskonalszych natur ludzkich, która za pomocą określonych i wykształconych organów w harmonijnej jedności przemawiała do najgłębszych również skrytek człowieka i dawała mu rzeczywiście żywo odczuwać w tej chwili swoje boskie podobieństwo. Były to łacińskie pieśni kościelne, które się odbijały jak drogie kamienie w złotym pierścieniu cywilizowanego, światowego towarzystwa, a mnie, nie wymagając tak zwanego zbudowania się, podnosiły w duchu najwyżej i czyniły szczęśliwą.

Przy odjeździe wszyscy zostaliśmy obdarowani w najszlachetniejszy sposób. Mnie wręczył stryj krzyż orderowy mojego zakonu, kunsztownie i pięknie obrobiony i emaliowany niż zwykle. Wisiał on na wielkim brylancie, którym zarazem był przymocowany na wstędze i który prosił o uznanie za najszlachetniejszy kamień zbioru przyrodniczego.

Siostra moja wraz z małżonkiem udała się do swoich dóbr; reszta z nas wróciła do swych domów i zdawało się nam, że co do naszego zewnętrznego otoczenia wpadliśmy w życie całkiem pospolite. Byliśmy jakby przeniesieni z czarodziejskiego zamku na płaską ziemię i musieliśmy znowu zachowywać się i radzić sobie po swojemu.

Dziwne doświadczenia, jakim porobiłam w tym nowym kole, pozostawiły mi piękne wrażenie; nie trwało ono jednak długo w całej żywości swojej, chociaż stryj starał się je podtrzymywać i odnawiać, przesyłając mi od czasu do czasu coś z najlepszych swoich i najmilszych dzieł sztuki, a kiedy się nimi dostatecznie nacieszyłam, zamieniając je znowu na inne.

Zanadto byłam przyzwyczajona zajmować się sama sobą, doprowadzać do porządku sprawy mego serca i umysłu i rozmawiać o tym z podobnie myślącymi osobami, ażebym rozpatrując uważnie jakieś dzieło sztuki, nie zwróciła się niebawem ku sobie. Byłam przyzwyczajona patrzeć na malowidło lub miedzioryt tak tylko, jak na litery w książce. Piękny druk podoba się zapewne, ale któż weźmie książkę dla samego druku? Tak też i obraz musiał mi coś powiedzieć, musiał mnie nauczyć, wzruszyć, udoskonalić; pomimo wszystkiego, co powiadał stryj w listach, w których objaśniał swoje dzieła sztuki, trwałam przy swoim dawnym poglądzie.

Więcej jednak niż moja natura od takich rozmyślań, a nawet na chwilę ode mnie samej, odciągały mnie zdarzenia zewnętrzne, zmiany w mojej rodzinie; musiałam cierpieć i działać więcej, niż może mogły znieść moje słabe siły.

Moja niezamężna siostra była mi dotychczas prawą ręką; zdrowa, silna i nieopisanie uprzejma, wzięła na siebie trudy gospodarowania, gdy ja zajmowałam się osobiście pielęgowaniem starego ojca. Dostaje kataru, z którego rozwija się choroba piersiowa i w trzy tygodnie spoczywa już na marach; śmierć jej zadała mi rany, po których bliźni dziś jeszcze mi dolegają.

Leżałam chora w łóżku, zanim ją pogrzebano; dawna choroba piersi zdawała się powracać, kaszlałam gwałtownie i tak ochryplam, że zgoła nie mogłam dobyć głośniego tonu.

Siostra zamężna z powodu przerażenia i smutku za wcześnie odbyła połóg. Stary ojciec lękał się utracić zarazem dzieci i nadzieję potomstwa; jego słuszne lzy powiększały moje cierpienia, błagałam Boga o przywrócenie mi znośnego zdrowia i prosiłam, by zechciał przedłużyć mi życie aż do śmierci ojca. Wyzdrowiałam i czułam się dobrze, mogłam znowu spełniać obowiązki, chociaż tylko w sposób niedostateczny.

Moja siostra znowu była przy nadziei. Pewne strapienia, które w takich wypadkach powierza się matce, zostały przekazane mnie; żyła z mężem niezupełnie szczęśliwie, miało to być tajemnicą dla ojca; musiałam być rozjemczynią, a mogłam być tym łatwiej, że szwagier miał do mnie zaufanie i oboje byli w istocie dobrymi ludźmi, tylko że oboje zamiast sobie wybaczać drażnili się nawzajem i z pragnienia zupełnego zżycia się ze sobą nie mogli nigdy dojść do zgody. Otóż nauczyłam się traktować poważnie i sprawy światowe i wykonywać to, o czym dawniej jedynie śpiewałam.

Siostrze urodził się syn; słabość mego ojca nie przeszkodziła mu pojechać do niej. Ujrzawszy dziecko, był niesłychanie wesół i zadowolony, a przy chrzcie wydał mi się wbrew swemu zwyczajowi jakby natchniony jak, że tak powiem, duch o dwu obliczach. Jednym patrzył radośnie naprzód w te krainy, do których wejść niebawem się spodziewał, drugim na nowe, pełne nadziei życie ziemskie, powstałe w chłopcu, który od niego pochodził. W drodze powrotnej niestrudzenie rozmawiał o dziecku, o jego postaci, o jego zdrowiu i życzeniu, żeby zdolności tego nowego obywatela świata rozwijały się pomyślnie. Jego rozmyślenia na ten temat trwały i dalej, gdy przybyliśmy do domu, i dopiero po kilku dniach dostrzegliśmy jakąś gorączkę, która objawiała się po jedzeniu, bez ziębienia, osłabiającą trochę gorącem. Nie położył się jednak, rano wyjeżdżał i załatwiał gorliwie swoje sprawy urzędowe, aż go wreszcie powstrzymały od tego przewlekłe, poważne symptomy.

Nigdy nie zapomnę tego spokoju ducha, tej jasności i dobitności, z jaką w największym porządku zajął się interesami swego domu, urządzeniem swego pogrzebu, jakby jakąś cudzą sprawą.

W pogodnym nastroju, który kiedy indziej nie był mu właściwy, a który wzmógł się aż do stopnia żywej radości, rzekł do mnie:

— I gdzie się podziła obawa śmierci, której doznawałem dawniej? Miałbym się wzdrygać przed zgonem? Mam Boga łaskawego, grób nie przejmuje mnie strachem, przede mną życie wieczne.

Przywoływanie sobie w pamięci szczegółów jego śmierci, która nastąpiła niebawem, stanowi w mojej samotności jedną z najmilszych mi rozrywek, a widomych przy tym wpływów siły wyższej nikt mi rozumowaniem nie wypłoszy.

Śmierć mego drogiego ojca zmieniła mój dotychczasowy sposób życia. Z najściślej-szego posłuszeństwa, z największego ograniczenia, przeszłam do największej wolności; używałam też jej jak potrawy, której się od dawna nie miało. Dawniej rzadko kiedy byłam dwie godziny poza domem, teraz zaledwie jeden dzień przeżywałam w swoim pokoju. Przyjaciele, których dawniej mogłam odwiedzać tylko z rzadka, chcieli się nacieszyć dłuższym ze mną przestawaniem, jak i ja z nimi; często zapraszano mnie na obiad, przyłączały się do tego przejażdżki i małe podróże dla przyjemności, a ja niczego nie opuszczałam. Gdy jednak obleciałam kółko, spostrzegłam, że nieocenione szczęście wolności nie na tym polega, że robi się wszystko, co się chce robić i do czego nas zachęcają okoliczności, ale na tym, że bez przeszkody i powstrzymania na prawej drodze można robić to, co się uważa za dobre i stosowne, a byłam już dosyć dorosłą, by w tym wypadku dojść do słusznego przekonania konieczności uczenia się na własnych błędach.

Czego sobie nie mogłam odmówić, to możliwie najprędzszego wejścia we współpracę z członkami gminy herrnhuckiej i nawiązania bliższych więzi; pośpieszyłam tedy na jedno z najbliższych zebrań, ale i tam nie znalazłam wcale tego, co sobie wyobrażałam. Byłam tyle uczciwa, że wyraziłam swoje zdanie; starali się więc mnie przekonać, że taki ustrój jest zgoła niczym wobec dobrze urządzonej gminy. Mogłabym dać to sobie wyperswadować, jednak według mego przekonania prawdziwy duch powinien przeglądać zarówno z małej, jak i z wielkiej instytucji.

Jeden z ich biskupów, tam obecny, bezpośredni uczeń hrabiego, wielce się mną zajmował; mówił doskonale po angielsku, a ponieważ nieco rozumiałam ten język, uważał to za wskazówkę, iż zejdziemy się z sobą; ja wszakże zgoła tak nie sądziłam; jego maniery wcale mi się nie podobały. Był on nożownikiem, z pochodzenia Morawianinem; sposób jego myślenia miał w sobie coś rzemieślniczego. Lepiej już rozumiałam pana von L\*, który był majorem w służbie francuskiej, ale nie czułam się nigdy zdolna do tej uniżoności, jaką on okazywał swemu przełożonemu, co więcej, kiedy widziałam majorową lub inne mniej lub więcej poważne kobiety całujące biskupa w rękę, doznawałam wrażenia,

jak gdyby mi ktoś wymierzył policzek. Tymczasem jednak umawialiśmy się na podróż do Holandii, co przecież, ku memu dobru niewątpliwie, nigdy nie doszło do skutku.

Siostrze mojej urodziła się córka i teraz na nas kobiety przyszła kolej cieszyć się i rozmyślać, jak kiedyś ma być wychowana na nasze podobieństwo. Szwagier mój natomiast był bardzo niezadowolony, gdy w rok potem znowu się zjawiała córka; z powodu wielkich swoich dóbr pragnął widzieć wokół siebie chłopców, którzy mogliby mu kiedyś pomagać w zarządzie.

Mając słabe zdrowie, sprawowałam się po cichu i ten spokojny tryb życia utrzymywał mnie w jakiejś takiej równowadze; śmierci nie lękałam się, przeciwnie, pragnęłam umrzeć, ale czułam w sobie, że mi Bóg daje czas do wypróbowania mej duszy i coraz większego zbliżenia się ku niemu. Zwłaszcza podczas wielu bezsennych nocy doznawałam czegoś, co nie daje się wyraźnie opisać.

Wydawało mi się, jakby moja dusza rozmyślała bez towarzystwa ciała; patrzyła na to ciało jak na obcą jej istotę, jak się patrzy chyba na odzież. Wyobrażała sobie z nadzwyczajną żywością minione czasy i zdarzenia i przeczuwała, co ma nastąpić. Wszystkie te czasy minęły; co nastąpi, minie także; ciało zedrze się jak suknia, ale Ja, znane dobrze Ja, Ja jestem.

Szlachetny przyjaciel, który stawał mi się coraz bliższy, nauczył mnie jak najmniej oddawać się temu wielkiemu, wzniosłemu i pocieszającemu uczuciu; był to ów lekarz, którego poznałam w domu mego stryja, a który bardzo dobrze się zaznajomił z ustrojem mego ciała i ducha; wykazał mi on, jak takie uczucia, jeśli je w sobie żywimy niezależnie od przedmiotów zewnętrznych, wydrążają nas niby i podkopują podwalinę naszego istnienia.

— Być czynnym — mówił on — to pierwsze przeznaczenie człowieka, a wszystkie przerwy, w których zmuszony jest odpoczywać, powinien przeznaczyć na to, aby osiągnąć jasne poznanie rzeczy zewnętrznych, co mu znowu następnie ułatwi jego działania.

Znając moje przyzwyczajenie uważania swego ciała za przedmiot zewnętrzny i wiedząc, że dość dobrze zaznajomiona byłam z moim ustrojem, z moją chorobą i środkami lekarskimi (istotnie wskutek przewlekłych cierpień własnych i cudzych stałam się na pół lekarzem), przyjaciel mój skierował moją uwagę od znajomości ciała ludzkiego i korzeni na inne sąsiednie przedmioty stworzenia i oprowadzał mnie jakby po raj i dopiero w końcu, jeśli mam posłużyć się tym porównaniem i dalej, kazał mi odczuwać z dali Stwórcę przechadzającego się po ogrodzie podczas wieczornego chłodu<sup>142</sup>.

Z jakąż przyjemnością widziałam odtąd Boga w naturze, gdy nosiłam Go z taką pewnością w sercu, jak zajmujące dla mnie było dzieło rąk Jego i jak byłam wdzięczna, że raczył mi dać życie tchnieniem ust swoich!

Wraz z moją siostrą spodziewaliśmy się znowu chłopca, którego tak tęsknie oczekiwał szwagier, a którego urodzenia nie dożył, niestety. Ten dzielny człowiek zmarł skutkiem nieszczęśliwego upadku z konia, a moja siostra poszła za nim, wydawszy na świat pięknego chłopca. Na czworo pozostawionych przez nią dzieci nie mogłam patrzeć bez smutku. Niejedna zdrowa osoba zesła przede mną, chorą; może który i z tych pełnych nadziei kwiatów mam widzieć upadającym? Znałam świat dostatecznie, by wiedzieć, wśród ilu niebezpieczeństw dorasta dziecko, zwłaszcza wyższego stanu, i zdawało mi się, że one się zwiększyły jeszcze od czasów mojej młodości w obecnym świecie. Czułam, że wobec swojej słabości niewiele zrobić mogę dla dzieci albo nawet nic zgoła; tym więc bardziej pożądane było dla mnie postanowienie stryja, wypływające naturalnym sposobem z jego trybu myślenia, by całą uwagę zwrócić na wychowanie tych miłych istot. Rzeczywiście, zasługiwały na to pod każdym względem; dobrze były zbudowane i pomimo różnicy wielkiej między sobą wszystkie zapowiadały się na dobrych i rozumnych ludzi.

Odkąd mój poczciwy lekarz zwrócił mi uwagę, chętnie dopatrywałam podobieństwa rodzinnego w dzieciach i krewnych. Ojciec mój starannie przechował wizerunki swych przodków, kazał siebie i dzieci malować niezłym mistrzom; nie zapomniał też o mojej matce i jej krewnych. Znaliśmy dokładnie cechy całej rodziny, a ponieważ często je porównywaliśmy ze sobą, wyszukiwaliśmy tedy znowu podobieństw w dzieciach pod względem zewnętrznym i wewnętrznym.

Dziecko,  
Niebezpieczeństwo, Śmierć

<sup>142</sup>Stwórcę przechadzającego się po ogrodzie podczas wieczornego chłodu — Rdz 3, 8. [przypis edytorski]

Najstarszy syn mojej siostry wydawał się podobny do swego dziadka po ojcu, którego bardzo dobrze namalowany portret młodzieńczy wisiał w zbiorze naszego stryja; i on, tak samo jak dziadek, który był zawsze dzielnym oficerem, niczego bardziej nie lubił niż broń, zajmując się nią ciągle, ilekroć mnie odwiedzał. Ojciec mój bowiem zostawił bardzo piękną szafę z bronią, a malec nie dawał mi spokoju, póki nie podarowałam mu pary pistoletów i strzelby myśliwskiej i póki nie doszedł, jak należy nastawiać zamek niemiecki. Zresztą w postępkach i w całym zachowaniu się nie okazywał bynajmniej dzikości, przeciwnie, był łagodny i roztropny.

Najstarsza córka pozyskała sobie całe moje przywiązanie; może to stąd pochodziło, że wyglądała jak ja i że ze wszystkich czworga najwięcej się do mnie garnęła. Ale mogę powiedzieć, że im dokładniej się jej przypatrywałam, kiedy podraستاła, tym bardziej mnie zawstydziała, a spoglądając, nie mogłam się powstrzymać od podziwu, ba, muszę to powiedzieć, od czci nawet. Niełatwo można było zobaczyć szlachetniejszą postać, spokojniejszy umysł i zawsze jednaką ruchliwość, nie skierowaną wyłącznie ku jednemu przedmiotowi. W żadnej chwili życia nie była niezajęta, a każde zajęcie stawało się w jej ręku czynnością coś wartą. Widać było jej wszystko jedno, byleby mogła dokonać tego, co było na czasie i na swoim miejscu, a tak samo mogła bez niecierpliwości siedzieć spokojnie, jeżeli nie miała nic do czynienia. Takiej ruchliwości bez poczucia jakiegoś zajęcia nie widziałam drugi raz w życiu. Niepowtarzalne od samej młodości było jej zachowanie wobec biednych i potrzebujących pomocy. Przyznaję chętnie, że nigdy nie miałam talentu zrobienia sobie zajęcia z dobroczynności; nie byłam skąpa dla biednych, przeciwnie, często wydawałam za dużo w stosunku do moich dochodów, ale do pewnego stopnia wykupywałam się tylko, a kto miał pozyskać sobie moje starania, musiał mi być bardzo bliski. Wprost przeciwną cechę chwalebę w swojej siostrzenicy. Nigdy nie widziałam, żeby dawała ubogiemu pieniądze, a co otrzymywała w tym celu ode mnie, zawsze obracała to naprzód na najbliższą potrzebę. Nigdy mi się nie wydała przyjemniejsza, jak kiedy plądrowała moje szafy z ubraniem i bielizną; zawsze znalazła tam coś, czego nie nosiłam i nie używałam, a przykrawać te stare rzeczy i dopasowywać je dla jakiegoś obdartego dziecka było największą jej rozkoszą.

Uspodobienie jej siostry przedstawiało się już inaczej; miała wiele z matki, zawczasu zapowiadała się na zgrabną i powabną i zdaje się, że tę obietnicę spełni; zajmuje się bardzo swoim wyglądem i od wczesnej młodości umiała się stroić i nosić w sposób wpadający w oczy. Pamiętam doskonale, z jakim zachwytem, będąc małym dzieckiem, przypatrywała się sobie w zwierciadle, kiedy musiałam jej zawiesić piękne perły, które pozostawiła mi moja matka, a które ona przypadkiem u mnie znalazła.

Rozpatrując te różnorodne skłonności, przyjemnie mi było pomyśleć, jak mój dobytek po mojej śmierci rozejdzie się pomiędzy nich i dzięki nim ożyje na nowo. Widziałam już znowu strzelby myśliwskie ojca na ramieniu siostrzeńca krążącego po polu, a z torby jego wypadające ptactwo. Widziałam całą swoją garderobę, dopasowaną na małe dziewczęta wychodzące z kościoła po konfirmacji<sup>143</sup> wielkanocnej, a najlepsze moje tkaniny strojące jakąś skromną mieszczańczkę w dzień ślubu, bo Natalia miała szczególne upodobanie do zaopatrywania takich dzieci i uczciwych biednych dziewcząt, chociaż ona sama, muszę to zauważyć, nie dawała bynajmniej dostrzec w sobie żadnego rodzaju miłości, ani też, jeżeli wolno tak się wyrazić, żadnej potrzeby przywiązania się do jakiejś istoty widzialnej czy niewidzialnej, co się u mnie tak żywo objawiało w młodości. Jeżeli wreszcie pomyślałam, że najmłodsza w tym samym dniu zanieś na dwór moje perły i drogie kamienie, to ze spokojem patrzyłam na powrót mojego dobytku, jak i mego ciała pomiędzy żywoły.

Dzieci podrosły i ku mojemu zadowoleniu są to istoty zdrowe, piękne i dziarskie. Znoszę to cierpliwie, że stryj trzyma je ode mnie z dala i widuję je rzadko, chociaż są w pobliżu, a nawet w samym mieście.

Pewien dziwny człowiek, którego uważają za francuskiego księdza, chociaż nie wiedzą naprawdę dobrze o jego pochodzeniu, ma nadzór nad wszystkimi dziećmi, które są wychowywane w różnych miejscach i raz tu, drugi raz ówdzie znajdują się na stacji. Z początku nie mogłam dopatrzeć się żadnego planu w tym wychowaniu, aż w końcu

<sup>143</sup>konfirmacja (łac.: potwierdzenie) — w Kościołach protestanckich: obrzęd uroczystego przyjęcia do wspólnoty kościelnej, odpowiednik jednocześnie pierwszej komunii i bierzmowania w Kościele katolickim. [przypis edytorski]



lekarz mój objaśnił mi, że stryj dał się przekonać księdzu, że jeżeli się coś chce zrobić w wychowaniu człowieka, trzeba naprzód zobaczyć, dokąd zmierzają jego skłonności i życzenia. Następnie trzeba mu zapewnić możliwość jak najszybszego zaspokojenia tych potrzeb, ażeby człowiek, pomyliwszy się, mógł zawczasu spostrzec swą omyłkę, a jeżeli trafił w to, co dla niego odpowiednie, tym gorliwiej się tego trzymał i tym pilniej kształcił się dalej. Chciałabym, żeby ta dziwna próba się powiodła; z tak dobrymi naturami może to będzie możliwe.

Ale czego nie mogę pochwalić u tych wychowawców, to tego, że starają się odsunąć od dzieci wszystko, co mogłoby je doprowadzić do obcowania z samymi sobą i z niewidzialnym, jedynym wiernym przyjacielem. Co więcej, stryj sprawia mi wielką przykrość, uważając mnie z tego powodu za niebezpieczną dla dzieci. W praktyce doprawdy żaden człowiek nie jest tolerancyjny! Bo ten nawet, kto zapewnia, że chętnie pozostawia każdemu jego sposób myślenia i życia, stara się przecież ciągle wykluczyć z działania tych, którzy nie myślą jak on.

Ten sposób odsuwania ode mnie dzieci zasmuca mnie tym bardziej, im więcej mogę być przeświadczona o rzeczywistości mojej wiary. Dlaczegoż nie miałaby mieć ona boskiego początku, rzeczywistego przedmiotu, kiedy okazuje się tak skuteczna w praktyce? Przecież przez praktykę tylko upewniamy się dopiero naprawdę o naszym własnym istnieniu, czemuż więc nie moglibyśmy się też w ten sam sposób przekonać o tej istocie, która nam pomaga nam we wszystkim, co dobre?

Że wciąż idę naprzód, a nigdy w tył, że moje działania coraz bardziej stają się podobne do idei, którą sobie wyrobiłam o doskonałości, że codziennie czuję większą łatwość robienia tego, co uważam za dobre, nawet pomimo słabości mego ciała, które mi odmawia niejednej posługi — czyż to wszystko daje się wyjaśnić naturą ludzką, której zepsucie poznałam tak głęboko? Dla mnie przynajmniej — nie.

Prawie nie pamiętam o przykazaniu; nic mi się nie ukazuje w formie prawa; to popęd mną kieruje i prowadzi mnie zawsze dobrze; idę swobodnie za swoim usposobieniem i równie mało wiem o ograniczeniu, jak i o skrusze. Dzięki niech będą Bogu, że rozumiem, komu winna jestem to szczęście, i że z pokorą mogę myśleć tylko o tych zaletach. Nigdy bowiem nie popadnę w to niebezpieczeństwo, żebym się stała dumna ze swojej własnej mocy i potęgi, ponieważ tak jasno zrozumiałam, jaki potwór może powstać i wychować się w każdej piersi ludzkiej, jeśli nas nie strzeże siła wyższa.

# KSIĘGA VII

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Wiosna pojawiła się w całej swojej wspaniałości; wczesna burza, która przez cały dzień groziła, przeszła gwałtownie pod górami, deszcz pociągnął na równiny, słońce wystąpiło znówu w swym blasku, a na szarym tle ukazała się świetna tęcza. Wilhelm jechał ku niej i patrzył na nią z tęsknotą.

— Ach — rzekł do siebie — czyż także właśnie najpiękniejsze barwy życia nie ukazują się nam jedynie na ciemnym tle? I czyż nie muszą padać krople, kiedy mamy doznać zachwyty? Dzień pogodny jest taki sam, jak i pochmurny, jeśli patrzymy na niego bez wzruszenia, a cóż może nas wzruszyć, jeżeli nie cicha nadzieja, że wrodzona skłonność naszego serca nie zostanie bezprzedmiotowa? Wzrusza nas opowiadanie o każdym dobrym czynie; wzrusza nas przypatrywanie się każdemu harmonijnemu przedmiotowi; czujemy przy tym, że nie jesteśmy całkiem na obczyźnie, uważamy, że jesteśmy bliżsi ojczyzny, do której zdąża niecierpliwie nasza najlepsza, najserdeczniejsza część.

Tymczasem dopędził go jakiś pieszy wędrowiec, który się z nim zrównał, żwawym krokiem trzymał się obok konia, a po kilku obojętnych słowach rzekł do jeźdźca:

— Jeżeli się nie mylę, musiałem już pana gdzieś widzieć.

— I ja sobie pana przypominam — odparł Wilhelm. — Czy nie odbyliśmy razem pewnej wesołej przejażdżki po rzece?

— Właśnie — odpowiedział tamten.

Wilhelm spojrział na niego uważniej, a po pewnym milczeniu powiedział:

— Nie wiem, jaka zmiana nastąpiła w panu, wówczas uważałem pana za wiejskiego duchownego luterńskiego, a teraz wyglądasz mi pan raczej na katolickiego.

— Dziś przynajmniej pan się nie mylisz — odrzekł tamten, zdejmując kapelusz i odsłaniając tonsurę<sup>144</sup>. — Gdzież się podziało pańskie towarzystwo? Czy długo jeszcze z nim pozostawałeś?

— Dłużej niż należało; gdyż niestety, kiedy sobie przypominam chwilę, którą spędziłem z panem, to wydaje mi się, jakbym patrzył w nieskończoną pustkę; nic mi z tego nie pozostało.

— W tym się pan mylisz; wszystko, co nas spotyka, zostawia po sobie ślady; wszystko przyczynia się niepostrzeżenie do naszego wykształcenia, ale jest rzeczą niebezpieczną chcieć zdawać sobie z tego sprawę. Stajemy się przy tym albo dumni i opieszali, albo przybici i trwoźni, a jedno jest równie jak drugie przeszkodą w postępie. Najpewniejsze zawsze bywa czynić to tylko, co nas najbliższej dotyczy, a tym jest obecnie — dodał, uśmiechając się — byśmy pośpieszyli zająć gdzieś kwaterę.

Wilhelm zapytał, jak daleko jeszcze do majątku Lothara. Tamten odpowiedział, że leży on za górą.

— Może spotkam tam pana — mówił dalej — mam tylko jeszcze coś niecoś do załatwienia w sąsiedztwie. Więc bywaj pan zdrow!

To powiedziawszy, poszedł stromą ścieżką, która widocznie miała go szybciej przeprowadzić przez górę.

— Tak, doprawdy, ma słuszność! — rzekł Wilhelm do siebie, jadąc dalej. — Trzeba myśleć o rzeczach najbliższych, a dla mnie nie ma pewnie obecnie nic bliższego niż spełnienie smutnego polecenia. Zobaczmy, czy mam jeszcze dobrze w pamięci mowę, która ma zawstydzić okrutnego przyjaciela.

Zaczął tedy deklamować sobie to dzieło sztuki; nie brakło mu ani jednej zgłoski, a im lepiej dopisywała mu pamięć, tym bardziej wzrastała jego namiętność i odwaga. Cierpienia i śmierć Aurelii żywo uprzytomniły mu się w duszy.

— Duchu mojej przyjaciółki — zawołał — ulatuj wokół mnie! A jeżeli możesz, daj mi znak, żeś się ukoił, żeś się pojedał!

Z takimi słowami i myślami przybył na szczyt góry, a na jej zboczu po drugiej stronie ujrzał cudaczną budowlę, którą zaraz wziął za mieszkanie Lothara. Pierwszą budowlą

<sup>144</sup>*tonsur*a — wygolone kółko na czubku głowy na znak przynależności do niektórych męskich zakonów katolickich. [przypis edytorski]

był, jak się zdaje, stary, nieregularny zamek z kilkoma wieżami i szczytami, ale jeszcze bardziej nieregularne były nowe przybudówki, które, wzniesione już to w pobliżu, już to w pewnym oddaleniu, łączyły się z głównym budynkiem za pomocą galerii i krytych chodników. Wszelka symetria zewnętrzna, wszelka powierzchowność architektoniczna była widocznie poświęcona wymaganiom wygody wewnętrznej. Nie było widać ani śladu wału lub rowu, podobnie jak kunsztownych ogrodów i wielkich alei. Ogród warzywny i owocowy wdzierał się aż pod domy, a małe użytkowe ogródki założono nawet w wolnych przestrzeniach między domami. W pewnej odległości leżała wesoła wioska; ogrody i pola wydawały się w jak najlepszym stanie.

Zatopiony we własnych namiętnych rozmyślaniach, Wilhelm jechał dalej, niewiele zastanawiając się nad tym, co widział; umieścił konia w oberży i nie bez wzruszenia pośpieszył do zamku.

Przy drzwiach przyjął go stary służący i objaśnił mu wielce dobrodusznie, że dziś chyba nie zobaczy się z panem, bo pan ma dużo listów do pisania i kazał już odprawić kilku ze swoich interesantów. Wilhelm stał się natarczywszy, stary musiał w końcu ustąpić i poszedł go zameldować. Wróciwszy, zaprowadził Wilhelma do dużej, starej sali. Tam prosił go, by miał cierpliwość, bo pan może jeszcze czas jakiś zamarudzi.

Wilhelm chodził niespokojnie w tę i z powrotem i rzucał okiem na rycerzy i damy, których stare wizerunki wisiały wokół na ścianach; powtarzał początek swej mowy i teraz dopiero wydała się ona zupełnie na miejscu wobec tych pancerzy i kołnierzy. Ilekroć posłyszał jakiś szmer, stawał w pozycji, by przeciwnika swego przyjąć z godnością, wręcząc mu naprzód list, a potem napaść go bronią zarzutów.

Kilka już razy się omylił i zaczął rzeczywiście doznawać przykrego, rozstrajającego uczucia, gdy wreszcie z bocznych drzwi wyszedł dorodny mężczyzna w butach i prostym surducie.

— Co mi pan dobrego przynosisz? — rzekł do Wilhelma przyjaznym głosem — przepraszam, że panu dałem czekać.

Mówiąc to, składał list, który trzymał w ręce. Wilhelm nie bez zakłopotania podał mu pismo Aurelii i rzekł:

— Przynoszę ostatnie słowa przyjaciółki, które odczytasz pan nie bez wzruszenia.

Lothar wziął list i wrócił natychmiast do pokoju, gdzie, jak Wilhelm doskonale mógł widzieć przez otwarte drzwi, naprzód zapieczętował i zaadresował kilka listów, a potem otworzył pismo Aurelii i czytał je. Zdawało się, że przeczytał je kilka razy, a Wilhelm, chociaż czuł, że patetyczna mowa jakoś nie bardzo pasuje do naturalnego przyjęcia, skupił się w sobie, zbliżył się do progu i chciał zacząć swą przemowę, gdy wtem otworzyły się tapetowe drzwiczki gabinetu i wszedł duchowny.

— Otrzymuję najdziwniejszą w świecie depezę — zawołał do niego Lothar — daruj mi pan — mówił dalej, zwracając się do Wilhelma — że w tej chwili nie czuję się usposobiony do dalszej rozmowy z panem. Zostaniesz pan dziś na noc u nas! A ksiądz dobrodziej zechcesz się zająć naszym gościem, aby mu na niczym nie zbywało.

To mówiąc, skłonił się w stronę Wilhelma. Duchowny wziął naszego przyjaciela za rękę, a ten szedł za nim nie bez oporu.

W milczeniu przeszli dziwaczne ganki i przybyli do wcale ładnego pokoju. Ksiądz wprowadził Wilhelma i opuścił go bez żadnego usprawiedliwienia. Wkrótce potem zjawił się dziarski chłopak, który zameldował się Wilhelmowi jako jego służący i przyniósł mu wieczrę, a usługując, opowiadał to i owo o porządku domowym, jak się tu zazwyczaj śniada, je obiad, pracuje się i bawi, zwłaszcza bardzo się rozwodził nad wysławianiem Lothara.

Chociaż chłopak był miły, Wilhelm starał się go niebawem odprawić. Pragnął być sam, gdyż w swoim położeniu czuł się nadzwyczaj zgnębiony i splątany. Robił sobie wyrzuty, że swój zamiar spełnił tak źle, że polecenie wykonał tylko w połowie. Już to postanawiał naprawić nazajutrz, co zaniedbał dzisiaj, już to spostrzegł, że obecność Lothara usposabiała go do całkiem innych uczuć. Dom, w którym się znajdował, wydawał mu się również tak dziwny, że nie umiał sobie poradzić w swoim położeniu. Chciał się rozebrać i otworzył tłumok; wraz z nocnym ubraniem wydobył także zasłonę ducha, którą zapakowała Mignon. Jej widok wzmógł jego smutny nastrój.

— Uciekaj, młodzieńcze, uciekaj! — zawołał. — Cóż ma znaczyć to tajemnicze słowo? Od czego uciekać? Dokąd uciekać? Daleko lepiej byłoby, gdyby duch zawołał był do mnie: „Wejdz w siebie samego!”

Rozglądał się po angielskich sztychach, wiszących w ramach na ścianie; obojętnie obejrzał większość, w końcu znalazł na jednym z nich przedstawiony okręt, który nieszczęśliwie osiada na mieliźnie; ojciec wraz z pięknymi córkami oczekuje śmierci od wdzierających się fal. Jedna z panien, zdawało się, była podobna do owej amazonki; naszego przyjaciela zdjęła niewymowna litość; poczuł nieodpartą potrzebę ulżenia swemu sercu; z oczu trysnęły mu łzy i nie mógł się uspokoić, aż sen go zmorzył.

Szczególne widzenia senne zjawiły mu się nad ranem. Znajdował się w ogrodzie, który często odwiedzał jako chłopiec i z przyjemnością patrzył znów na znane aleje, płoty i grzędy kwiatów; spotkała go Marianna; rozmawiał z nią mile i bez przypominania jakiegokolwiek minionego nieporozumienia. Zaraz potem przyszedł do nich jego ojciec w domowym ubraniu i z miną poufną, którą rzadko ukazywał, kazał synowi przynieść z domku ogrodniczego dwa krzeselka, wziął Mariannę za rękę i poprowadził ją do altany.

Wilhelm pośpieszył do salonu ogrodowego, ale zastał go zupełnie pustym, zobaczył tylko Aurelię stojącą przy przeciwległym oknie; poszedł przemówić do niej, ale się nie odwróciła i chociaż stanął obok niej, nie mógł dojrzeć jej twarzy. Wyrzwał oknem i zobaczył w jakimś obcym ogrodzie zgromadzonych wielu ludzi, z zaraz których niejednego poznał. Pani Melina siedziała pod drzewem i bawiła się trzymaną w ręce różą, Laertes stał przy niej i przekładał złoto z ręki do ręki. Mignon i Feliks leżeli na trawie, tamta na plecach, ten twarzą do ziemi. Wysza Filina i klasnęła w ręce na dzieci; Mignon nie poruszyła się, Feliks skoczył i uciekł przed Filiną. Z początku śmiał się, biegnąc, gdy Filina go ścigała; potem krzyczał trwożliwie, kiedy harfiarz wielkimi, powolnymi krokami szedł za nim. Dziecko biegło wprost w stronę stawu; Wilhelm pośpieszył za nim, ale za późno, dziecko wpadło do wody! Wilhelm stał jak wrośnięty w ziemię. Wtem ujrzał piękną amazonkę po drugiej stronie stawu; wyciągnęła prawą rękę ku dziecku i szła brzegiem; dziecko przecięło wodę w prostym kierunku ku palcowi i szło za nią tak, jak szła ona; w końcu podała mu rękę i wyciągnęła ze stawu. Wilhelm tymczasem przybliżył się; dziecko wciąż płonęło i płonęło i opadały z niego ogniste krople. Wilhelm doznawał jeszcze większej troski, ale amazonka zdjęła szybko białą zasłonę z głowy i okryła nią dziecko. Ogień zagaśł natychmiast. Kiedy zdjęła zasłonę, wyskoczyło spod niej dwu chłopców, którzy zaczęli razem się bawić, gdy Wilhelm ręką w rękę z amazonką szedł przez ogród i ujrzał w dali swego ojca i Mariannę przechadzających się po alei, która, zdawało się, otaczała cały ogród wysokimi drzewami. Skierował się ku nim i wraz ze swoją piękną towarzyszką poszedł w poprzek ogrodu, gdy wtem Fryderyk-blondyn zaszedł im drogę i zatrzymał ich głośnym śmiechem i rozmaitymi błazeństwami. Mimo to chcieli iść dalej; wówczas on odbiegł i podążył ku w stronę tamtej oddalonej pary; ojciec i Marianna, jak się zdawało, uciekali przed nim, on biegł tym szybciej, a Wilhelm ujrzał, jak tamci zniknęli w locie niemal przez aleję. Natura i przywiązanie wzywały go, by śpieszył im na pomoc, ale ręka amazonki go powstrzymała. Jakże chętnie dał się zatrzymać! Z takim mieszanym wrażeniem obudził się i zastał swój pokój już oświetlony jasnym słońcem.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Chłopak zaprosił Wilhelma na śniadanie, duchowny był już w sali; Lothar, jak mówiono, wyjechał; ksiądz nie był bardzo rozmowny i wydawał się zamyślony; zapytał o śmierć Aurelii i przysłuchiwał się ze współczuciem opowiadaniu Wilhelma.

— Ach — zawołał — kto uprzytomni sobie żywo, ile to nieskończonych działań dokonać musi natura i sztuka, zanim stanie przed nami człowiek wykształcony; kto sam, ile tylko może, bierze udział w wykształceniu swych współbraci, ten o mało w rozpacz nie wpadnie, widząc, jak często człowiek sam siebie zbrodniczo niszczy i jak często naraża się na to, by z winną czy bez winy zostać zniszczonym. Kiedy o tym pomyślę, samo życie wydaje mi się darem tak przypadkowym, iż skłonny byłbym chwalić każdego, kto nie ceni go wyżej niż trzeba.

Ledwie to wypowiedział, a drzwi odskoczyły gwałtownie i wpadła młoda panienka, odpychając starego sługę, który zastępował jej drogę. Poszła wprost do księdza i chwytając go za rękę, od płaczu i łkania ledwie mogła wypowiedzieć te parę słów:

— Gdzie on? Gdzieście go podziali? To okropna zdrada! Wyznajcie! Wiem, co się dzieje! Pójdę za nim! Chcę wiedzieć, gdzie on jest.

— Uspokój się, moje dziecko — rzekł ksiądz z przybranym spokojem — idź do swego pokoju, dowiesz się o wszystkim; tylko powinnaś słuchać, jeżeli ci mam opowiadać.

Podał jej rękę, żeby ją wyprowadzić.

— Nie pójdę do swego pokoju — zawołała — nienawidzę ścian, między którymi trzymacie mnie już od tak dawna w niewoli! A jednak dowiedziałam się o wszystkim; pułkownik go wyzwał, on wyjechał na spotkanie swego przeciwnika i może właśnie w tej chwili — parę razy zdawało mi się, że słyszę strzały. Każ pan zaprząć i jedź pan ze mną, albo napełnię dom, wieś całą swoim krzykiem.

W rześstych łzach pobiegła do okna; ksiądz wstrzymał ją i na próżno starał się ją ułagodzić.

Słysząc było turkot powozu; rozwarła okno, wołając:

— Zabity! Oto go przywożą.

— Wysiąda! — rzekł ksiądz. — Widzisz przecie, żyje.

— Raniony! — odparła gwałtownie — bo przyjechałby na koniu! Prowadzą go! Jest niebezpiecznie ranny!

Skoczyła do drzwi i zbiegła ze schodów; ksiądz pośpieszył za nią, a Wilhelm poszedł za nimi; widział, jak piękność spotkała wchodzącego swego kochanka.

Lothar wspierał się na swoim towarzyszu, w którym Wilhelm natychmiast poznał swego dawnego protektora Jarna; przemawiał do niepokieszonej dziewczyny bardzo miłe i przyjaźnie, a oparłszy się także i na niej, wchodził powoli po schodach, przywitał Wilhelma i został zaprowadzony do swego gabinetu.

Wkrótce potem wyszedł stamtąd Jarno i podszedł do Wilhelma, mówiąc:

— Predestynowany pan jesteś, jak się zdaje, do tego, żeby wszędzie spotykać aktorów i teatr; znajdujemy się właśnie wśród nie bardzo wesołego dramatu.

— Cieszę się — odparł Wilhelm — że znajduję znów pana w tej dziwnej chwili; jestem zdziwiony, przerażony, a obecność pańska robi mnie zaraz spokojnym i odważnym. Powiedz mi pan, czy jest jakieś niebezpieczeństwo? Czy baron ciężko ranny?

— Nie sądzę — odrzekł Jarno.

Po niejaki chwili wyszedł z pokoju młody chirurg.

— No, i cóż pan mówisz? — zawołał co niego Jarno.

— Że jest bardzo niebezpiecznie — odparł tamten, wkładając parę instrumentów do swej skórzanej torby.

Wilhelm przypatrywał się taśmie, która zwisała z torby; zdawało mu się, że ją zna. Żywe, krzykliwe barwy, dziwny wzór, złoto i srebro w cudacznych kształtach wyróżniały tę taśmę spośród wszystkich innych na świecie. Wilhelm był przekonany, że widzi przed sobą torbę z instrumentami starego chirurga, który opatrywał go w tamtym lesie, a nadzieja na odnalezienie śladu amazonki po tak długim czasie przeniknęła płomieniem całą jego istotę.

— Skąd pan masz tę torbę? — zawołał. — Do kogo należała przed panem? Powiedz mi pan, proszę.

— Kupiłem ją na licytacji — odparł tamten. — Cóż mnie obchodzi, do kogo należała?

To mówiąc, oddalił się, a Jarno rzekł:

— Gdybyż temu młodzieńcowi choć jedno prawdziwe słowo z ust wyszło...

— Więc on nie nabył tej torby na licytacji? — spytał Wilhelm.

— Tak samo nie, jak nie ma niebezpieczeństwa co do Lothara — odpowiedział Jarno.

Wilhelm stał głęboko pogrążony w myślach, gdy Jarno zapytał go, jak mu się od owego czasu powodziło? Wilhelm opowiedział ogólnikowo swoje dzieje, a gdy w końcu mówił o śmierci Aurelii i o swoim poselstwie, tamten zawołał:

— To naprawdę dziwne, bardzo dziwne!

Z pokoju wszedł ksiądz, skinął na Jarna, żeby go poszedł zastąpić, a do Wilhelma rzekł:

— Baron każe pana prosić, żebyś tu pozostał, przez kilka dni powiększył towarzystwo i przyczynił się w tych okolicznościach do jego rozrywki. Jeżeli pan potrzebujesz dać znać rodzinie, to list pański zaraz zostanie wysłany, a żebyś zrozumiał to dziwne zdarzenie, którego jesteś naocznym świadkiem, winienem panu opowiedzieć, co nie jest właściwie wcale tajemnicą. Baron miał małą awanturkę z pewną damą, awanturkę, która zwróciła większą uwagę niż potrzeba, ponieważ dama za bardzo chciała nacieszyć się triumfem wyrwania barona swojej rywalce. Niestety, po pewnym czasie nie znajdował on u niej takiej jak poprzednio rozrywki, więc jej unikał, ale wobec swego gwałtownego usposobienia nie mogła znosić swego losu ze spokojnym umysłem. Na pewnym balu nastąpiło publiczne zerwanie, poczuła się w najwyższym stopniu obrażona i pragnęła pomsty; nie znalazł się rycerz, który chciałby się za nią ująć, aż wreszcie jej mąż, z którym się dawno rozstała, dowiedział się o sprawie, ujął się za nią, wyzwał barona i dzisiaj go zranił, lecz pułkownik, jak słyszę, jeszcze gorzej na tym wyszedł.

Od tej chwili nasz przyjaciel był traktowany w tym domu tak, jakby należał do rodziny.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Kilka razy czytano choremu; Wilhelm wyświadczał tę małą przysługę z radością. Lidia nie odchodziła od łóżka; troskliwość o rannego pochłaniała całą jej uwagę, ale dzisiaj także Lothar wydawał się roztrągniony, a nawet prosił, żeby przerwano czytanie.

— Dzisiaj tak żywo czuję — rzekł on — jak głupio człowiek daje przemijać czasowi! Ileż to rzeczy zaplanowałem, ile rzeczy przemyślałem, a jakże to się ociągamy z naszymi najlepszymi zamiarami! Czytałem projekty zmian, jakie zamierzam wprowadzić w swoich dobrach i mogę powiedzieć, że głównie z ich powodu cieszę się, iż kula nie obrała sobie niebezpieczniejszej drogi.

Lidia patrzyła mu w oczy czule, a nawet ze łzami, jakby go chciała zapytać, czy też ona, czy jego przyjaciele nie mogliby wymagać współudziału z jego cieszenia się życiem? Jarno natomiast odpowiedział:

— Zamierzone przez pana zmiany będą naprzód ze wszech stron dobrze rozważone, zanim się na nie zdecydujemy.

— Długie namysły — odparł Lothar — okazują zazwyczaj, że się nie baczy na ten punkt, o którym jest mowa; pośpieszne zaś czynności, że się go wcale nie zna. Widzę bardzo wyraźnie, że przy gospodarowaniu swoimi dobrami w wielu rzeczach nie mogę się obejść bez usług moich wieśniaków i przy pewnych prawach muszę obstawać ściśle i mocno; widzę jednak także, że pewne inne przywileje są wprawdzie dla mnie korzystne, ale nie całkiem niezbędne, tak że mogę z nich coś moim ludziom ustąpić. Nie zawsze się traci, jeżeli się bez czegoś obchodzi. Czyż nie zużytkowuję moich dóbr daleko lepiej niż mój ojciec? Czyż swoich dochodów nie podniosę jeszcze wyżej? I czyż z tej rosnącej korzyści mam korzystać sam jeden? Czyż nie powinienem temu, kto ze mną i dla mnie pracuje, używać i także dla jego majątku tych korzyści, których nam dostarcza poszerzona wiedza i postępujące czasy?

— Taki już jest człowiek! — zawołał Jarno — i nie ganię siebie, gdy chwytam się sam na tej właściwości; człowiek pragnie wszystko zagarnąć do siebie, aby móc tym rozporządzać do woli; pieniądze, których on sam nie wydaje, rzadko mu się wydają dobrze zużytkowane.

— O tak — odparł Lothar — moglibyśmy się obejść bez jakiejś części kapitału, gdybyśmy tak samowolnie nie postępowali sobie z procentami.

— Jedyłą rzeczą, którą muszę przypomnieć — rzekł Jarno — i z powodu której nie mogę doradzać, żebyś pan teraz wprowadzał te zmiany, przez co chwilowo przynajmniej tracisz, jest to, że sam masz pan jeszcze długi, których spłacenie krępuje pana. Radziłbym odłożyć plan aż do czasu, kiedy się pan całkiem oczyścisz.

— A tymczasem pozwolić kuli lub dachówce, żeby na zawsze zniszczyła wyniki mojego życia i pracy! O, mój przyjacielu — mówił Lothar dalej — to główny błąd ludzi wykształconych, że wszystko gotowi obrócić na ideę, a mało albo nic na przedmiot. Po co narobiłem długów? Dlaczego się poróżniłem ze stryjem, swoje rodzeństwo tak długo pozostawiłem samemu sobie, jeżeli nie dla idei? W Ameryce sądziłem, że działam, na morzu sądziłem, że jestem pożyteczny i niezbędny; jeżeli jakaś czynność nie była otoczona

na tysiącem niebezpieczeństw, to wydawała mi się nic nieznacząca, marna. Jakżeż inaczej teraz widzę rzeczy i jakże się dla mnie cenne, jakże drogie stało się to, co najbliższe.

— Doskonale przypominam sobie list — odparł Jarno — który otrzymałem jeszcze zza morza. Pisałeś pan do mnie: „Powróć i w swoim domu, w swoim ogrodzie, wśród swoich powiem: »Tu jest Ameryka albo nigdzie!«<sup>145</sup>”.

— Tak, mój przyjacielu, i powtarzam wciąż to samo, a jednak łączę się zarazem, że nie jestem tutaj tak czynny jak tam. Do pewnej jednostajnej, trwającej terażniejszości potrzebujemy jedynie być rozsądkiem i stajemy się tylko rozsądkiem; tak, że już nie dostrzegamy rzeczy nadzwyczajnych, jakich każdy obojętny dzień od nas wymaga, a jeżeli je rozpoznamy, to znajdujemy tysiące wymówek, ażeby tego nie czynić. Człowiek rozsądny znaczy wiele dla siebie, ale dla całości znaczy mało.

— Nie chcemy — rzekł Jarno — obrażać rozsądku i wyznać, że te nadzwyczajne rzeczy, jakie się zdarzają, są w większości głupie.

— Tak jest, i to właśnie dlatego, że ludzie odsuwają rzeczy nadzwyczajne z porządku zwyczajnych. I tak mój szwagier oddaje swój majątek, o ile może go sprzedać, wspólnocie braci, sądząc, że przyczynia się tym do zbawienia swej duszy; gdyby poświęcił szczupłą część swoich dochodów, to mógłby uszczęśliwić wielu ludzi i zarówno dla siebie, jak dla nich stworzyć niebo na ziemi. Rzadko nasze ofiary są aktywne; wyrzekamy się jakby tego, co dajemy. Nie w sposób zdecydowany, ale ze zwątpieniem, rezygnujemy z tego, co posiadamy. Tymi dniami, wyznając, hrabia wciąż mi snuje się przed oczyma i postanowiłem sobie mocno zrobić z przekonania to, do czego pobudza go trwożny obłęd; nie będę czekał na wyzdrowienie. Oto papiery, należy je tylko przepisać na czysto. Dobierzcie sobie sędziego, nasz gość także wam pomoże; pan wiesz równie dobrze jak ja, o co chodzi, a ja czy wyzdrowieję, czy umrę, przy tym pozostanę i zawołam: „Tu jest Herrnhut albo nigdzie!”.

Lidia, usłyszawszy przyjaciela mówiącego o śmierci, osunęła się przed jego łóżkiem, zawisła na jego ramionach i gorzko płakała. Wszedł chirurg, Jarno dał Wilhelmowi papiery, a Lidie zmusił do odejścia.

— Na miłość boską! — zawołał Wilhelm, gdy pozostali sami w sali. — Co jest z hrabią? Co to za hrabia, który się udaje do gminy herrnhuckiej?

— Ten, którego znasz pan bardzo dobrze — odparł Jarno. — Pan jesteś tym widziadłem, które go pędzi w objęcia pobożności, pan jesteś tym łotrem, który jego ładną żonę przejmuje takim usposobieniem, iż za rzecz znośną uważa iść za swoim mężem.

— I ona jest siostrą Lothara? — spytał Wilhelm.

— Nie inaczej.

— I Lothar wie?

— Wszystko.

— O, pozwól mi pan uciec! — zawołał Wilhelm. — Jak mogę być przy nim? Co on może powiedzieć?

— Że nikt nie powinien ciskać kamieniem w drugiego i że nikt nie powinien układać długich przemów, by zawstydząć ludzi, gdyż musiałby je chyba wygłosić przed zwierciadłem.

— I to wiesz pan także?

— I niektóre inne rzeczy — odparł Jarno z uśmiechem — ale tym razem — mówił dalej — nie wypuszczę pana tak łatwo jak poprzednio, a mojego werbunku nie potrzebujesz się już pan obawiać. Już nie jestem żołnierzem, a i jako żołnierz nie powinien bym był budzić w panu takiego podejrzenia. Od czasu, gdym pana nie widział, wiele się rzeczy zmieniło. Po śmierci księcia, mego jedynego przyjaciela i dobroczyńcy, oderwałem się od świata i od wszystkich stosunków światowych. Chętnie popierałem, co było rozumne, nie zmilczałem, gdy coś uważałem za niedorzeczne, miano wciąż gadania o mojej niespokojnej głowie i o moim złym języku. Gawiedź ludzka niczego się bardziej nie lęka niż rozsądku; raczej powinna by się lękać głupoty, gdyby wiedziała, co jest warte lęku, ale tamten jest niedogodny i trzeba go usunąć na stronę; ta jest tylko zgubna, a na to można poczekać. Niech i tak będzie; życie przede mną, a o moim planie posłyszysz pan

<sup>145</sup> *Tu jest Ameryka albo nigdzie!* — odniesienie do słów Horacego (*Listy* I, XVII, w. 39): *Tu jest lub nigdzie to, czego szukamy (Hic est aut nusquam quod quaerimus)*. [przypis edytorski]

później. Weźmiesz w nim udział, jeżeli zechcesz, ale powiedz mi pan, jak się panu powiodło. Widzę, czuję po panu, że się pan również zmieniłeś. Jakże tam z pańską dawną mrzonką, by dokonać czegoś pięknego i dobrego w towarzystwie cygańskim?

— Dostyc mam kary! — zawołał Wilhelm. — Nie przypominaj mi pan, skąd przychodzę i dokąd idę. Mówi się wiele o teatrze, ale kto sam w nim nie był, nie może o nim mieć żadnego wyobrażenia. Jak ci ludzie nie znają wcale siebie samych, jak bez rozmysłu wykonywają swoje zajęcia, jak bezgraniczne są ich pretensje, o tym nie ma się żadnego pojęcia. Nie tylko każdy chce być pierwszy, ale też i jedyny; każdy rad by wyłączyć wszystkich innych i nie widzi, że ledwie z nimi razem coś robi; każdy wyobraża sobie, iż jest dziwnie oryginalny, a niezdolny jest do poradzenia sobie z czymś, co wychodzi poza rutynę; przy tym wiecznie trwały niepokój za czymś nowym. Z jaką gwałtownością działają przeciw sobie nawzajem! I tylko najniższa miłość własna, najbardziej ograniczony interes własny sprawia, iż się łączą ze sobą. O postępowaniu wzajemnym nie mówi się nawet; ustawiczną nieufność podtrzymuje tajona złośliwość i szkaradne rozmowy i kto nie żyje rozpustnie, żyje głupio. Każdy rości pretensje do bezwarunkowego poważania, każdy jest wrażliwy na najłżejszą naganę. O tym wszystkim wiedział on sam daleko lepiej! A dlaczego robił zawsze rzeczy wprost przeciwne?... Zawsze potrzebujący i zawsze bez zaufania, zdaje się, jak gdyby niczego się tak nie lękali, jak rozumu i dobrego smaku, i niczego nie pożąдали tak mocno, jak królewskiego prawa swej osobistej samowoli.

Wilhelm odetchnął i miał dalej prowadzić swoją litanie, gdy przerwał mu niepohamowany śmiech Jarna.

— Biedni aktorzy! — zawołał, rzucając się na krzesło i wciąż się śmiejąc. — Biedni, poczciwi aktorzy! A czy wiesz, mój przyjacielu — mówił dalej, ochłonawszy cokolwiek — żeś opisał nie teatr, ale świat, i że ja bym mógł znaleźć dla twardych pociągnięć pańskiego pędzla dosyć postaci i czynności ze wszystkich stanów? Daruj mi pan, znowu się śmiać muszę, żeś pan mniemał, iż te piękne cechy są wygnane jedynie na deski.

Wilhelm skupił się w sobie, gdyż niepowstrzymywany i niewczesny śmiech Jarna naprawdę go dotknął.

— Nie możesz pan — odrzekł — zupełnie ukryć swojej nienawiści do ludzi, utrzymując, że te błędy są powszechne.

— A dowodzi to pańskiej nieznamomości świata, jeżeli tak dalece te zjawiska masz za złe teatrowi. Doprawdy, przebaczam aktorowi każdą wadę, która wynika ze złudzenia i z żądzy podobania się, bo jeżeli on sobie i innym czymś się nie wydaje, to jest niczym. Jest on powołany do pokazów, musi wysoko cenić chwilowy oklask, gdyż nie otrzymuje żadnej innej nagrody; musi się starać, by błyszczeć, gdyż po to tam jest.

— Pozwolisz pan — odrzekł Wilhelm — żeby ja ze swej strony uśmiechnął się przynajmniej. Nigdy nie byłbym uwierzył, że pan możesz być tak wyrozumiały, tak życzliwy.

— Nie, na Boga! Mówię to zupełnie na serio, z całkowitym rozmysłem. Wybaczam aktorowi wszystkie wady człowieka, żadnej wady aktora nie wybaczam człowiekowi. Nie wyzywaj pan moich nad tym żalów; brzmiałyby one gwałtowniej niż pańskie.

Z gabinetu wyszedł chirurg, a na zapytanie, jak się ma chory, odpowiedział z żywą uprzejmością:

— Bardzo dobrze; mam nadzieję, że ujrę go niebawem w zupełnym zdrowiu.

Wybiegł natychmiast z sali, nie czekając na pytanie Wilhelma, który otwierał już usta, by raz jeszcze i z większą natarczywością wypytać o torbę. Żądza dowiedzenia się czegoś o swej amazonce natchnęła go zaufaniem do Jarna; zwierzył mu się ze zdarzenia i prosił o pomoc.

— Wiesz pan tak dużo — powiedział — czyżbyś pan nie miał się o tym dowiedzieć?

Jarno zamyślił się na chwilę, a potem rzekł do swego młodego przyjaciela:

— Bądź pan spokojny i nic więcej nie dawaj poznać po sobie; wpadniemy na ślad pięknej. Teraz niepokoi mnie tylko stan Lothara; sprawa jest niebezpieczna; mówi to uprzejmość i wielka ufność chirurga. Chętnie bym już oddał Lidie, bo ona nie zda się tu na nic, ale nie wiem, jak się do tego zabrać. Dziś wieczorem ma nadejść, jak się spodziewam, nasz stary lekarz; wówczas będziemy dalej radzić.



## ROZDZIAŁ CZWARTY

Przybył lekarz. Był to dobry, stary, mały doktor, którego już znamy i któremu zawdzięczamy przekazanie zajmującego rękopisu. Odwiedził on przede wszystkim rannego i wcale nie wydawał się zadowolony z jego stanu. Potem miał długą rozmowę z Jarnem, ale gdy wieczorem przyszedli do stołu, nic nie dawali po sobie poznać.

Wilhelm przywitał go jak najserdeczniej i wypytywał o swego harfiarza.

— Mamy jeszcze nadzieję wyleczyć nieszczęśliwego — odrzekł doktor.

— Człowiek ten był smutnym dodatkiem do pańskiego ciasnego i dziwnego życia — powiedział Jarno. — Jak mu się potem powodziło; proszę, niechże się dowiem.

Kiedy zaspokojono ciekawość Jarna, lekarz mówił dalej:

— Nigdy nie widziałem umysłu w tak szczególnym stanie. Od wielu lat nie brał najmniejszego udziału w tym, co było poza nim, ba, prawie na nic nie zwracał uwagi. Zatopiony jedynie w sobie, rozważał własne czcze, puste ja, które wydawało mu się niezgłębioną przepaścią. Jak to było wzruszające, gdy mówił o tym smutnym stanie!

— Nie widzę niczego przed sobą, niczego za sobą — wołał — prócz nieskończonej nocy, wśród której przebywam w najokropniejszej samotności; nie mam innego uczucia, prócz uczucia swojej winy, którą przecież widać tylko wstecz, jak odległe niekształtne widziadło. Ale tam nie ma ani wyżyny, ani głębi, ani przodu, ani w tyłu, żadne słowo nie wyraża tego wciąż jednakowego stanu. Czasami wołam gwałtownie wśród ucisku tej obojętności: „Wiecznie! wiecznie!”, a ten dziwny, niepojęty wyraz jest jasny i wyraźny w porównaniu z mrokiem mego stanu. Żaden promień bóstwa nie ukazuje mi się wśród nocy, wyplakuję łzy wszystkie dla siebie i z mojego jedynie powodu. Nie ma dla mnie nic okrutniejszego niż przyjaźń i miłość, tylko one bowiem wydzierają mi życzenie, żeby zjawiska mnie otaczające stały się rzeczywiste. Jednak i te dwa widziadła po to wyszły z otchłani, aby mnie dręczyć i aby mi w końcu odebrać nawet drogą świadomość tego potwornego bytu.

Smutek

— Trzeba by go posłuchać — mówił lekarz dalej — jak w godzinach zaufania czyni w ten sposób ulgę swemu sercu; z największym wzruszeniem przysłuchiwałem mu się kilkakrotnie. Jeżeli coś mu się narzuci, co zmusi go przyznać na chwilę, że minął pewien czas, to wydaje się jakby zdziwiony, potem znowu zmianę w rzeczach odrzuca jako zjawisko zjawisk. Pewnego wieczoru śpiewał pieśń o swych siwych włosach; siedzieliśmy wszyscy wokół niego i płakaliśmy.

— O nastęrcz mi pan taką sposobność! — zawołał Wilhelm.

— Ale czy pan — spytał Jarno — nic nie odkryłeś z tego, co nazywa swoją zbrodnią, czy nie trafiłeś na przyczynę jego cudackiego ubioru, jego postępowania podczas pożaru, jego wściekłości wobec dziecka?

— Tylko za pomocą przypuszczeń możemy poznać bliżej jego los; pytać go bezpośrednio byłoby wbrew naszym zasadom. Ponieważ zauważyliśmy, że był wychowany po katolicku, zdawało się nam, że spowiedź sprawi mu ulgę, ale on w dziwny sposób odchodzi za każdym razem, kiedy staramy się zbliżyć go z duchownym. Ażeby jednak nie pozostawić pańskiego życzenia, by się o nim czegoś dowiedzieć, całkiem niezaspokojonego, opowiem panu przynajmniej nasze domysły. Młodość spędził w stanie duchownym, stąd, zdaje się, pragnie zachować swą długą odzież i brodę. Rozkosze miłości przez większą część życia pozostały mu nieznanne. Dopiero w późniejszym czasie może błąd popełniony z bardzo pokrewną dziewczyną, może jej śmierć, która dała byt jakiemuś nieszczęśliwemu stworzeniu, całkowicie mózg mu przewróciły. Największym jego obłędem jest mniemanie, iż wszędzie wnosi nieszczęście i że grozi mu śmierć z rąk niewinnego chłopca. Zrazu bał się Mignon, zanim dowiedział się, że ona jest dziewczyną; potem trwożył go Feliks, a ponieważ pomimo całej swojej nędzy nieskończenie kocha życie, stąd, jak się zdaje, powstała jego niechęć do tego dziecka.

— Jaką masz pan nadzieję na jego wyzdrowienie? — zapytał Wilhelm.

— Zmiany postępują powoli — odpowiedział lekarz — ale się nie cofają. Wykonuje swoje wyznaczone zajęcia, a my przyzwyczailiśmy go do czytania gazet, na które teraz niecierpliwie czeka.

— Ciekaw jestem jego pieśni — rzekł Jarno.

— Będę mógł panu podać kilka z nich — odparł lekarz. — Najstarszy syn proboszcza, który przywykł spisywać kazania swemu ojcu, nie zwracając uwagi starca, zanotował niejedną zwrotkę, i powoli złożył kilka pieśni.

Nazajutrz Jarno przyszedł do Wilhelma i rzekł mu:

— Musisz pan nam oddać pewną usługę; Lidię trzeba na pewien czas oddać; jej gwałtowna i, że tak powiem, niedogodna miłość i namiętność przeszkadzają w wyzdrowieniu barona. Jego rana wymaga spokoju i ciszy, chociaż wobec jego dobrej natury nie jest niebezpieczna. Widziałeś pan, jak Lidia dręczy go burzliwą troskliwością, niepowsięganym strachem i nigdy niewysychającymi łzami, i... dość — dodał po niejkiej przerwie, uśmiechając się — doktor wymaga stanowczo, żeby na jakiś czas opuściła dom. Wmówiliśmy jej, że pewna jej bardzo dobra przyjaciółka mieszka w pobliżu, pragnie z nią się widzieć i oczekuje na nią lada chwila. Dała się namówić, że pojedzie do sędziego, który mieszka tylko o dwie godziny stąd. Został już uprzedzony i będzie serdecznie żałować, iż panna Teresa dopiero co odjechała; zapewni, że prawdopodobnie można ją jeszcze dopędzić; Lidia pośpieszy za nią, a jeżeli nam się poszczęści, poprowadzi się ją z jednego miejsca do drugiego. W końcu, jeśli koniecznie będzie nalegała, żeby wracać, nie trzeba się jej sprzeciwiać; potrzeba wziąć ku pomocy noc; woźnica jest zręcznym chłopcem, z którym należy się jeszcze umówić. Pan siądziesz z nią do powozu, będziesz ją bawił i pokierujesz wyprawą.

— Dajesz mi pan polecenie dziwne i niebezpieczne — odparł Wilhelm. — Jakże zatrważająca bywa obecność cierpiącej wiernej miłości! I ja osobiście mam być tego narzędziem? Po raz pierwszy w życiu zwodzę kogoś w ten sposób, zawsze bowiem sądziłem, że za daleko mogłoby to nas zaprowadzić, gdybyśmy dla dokonania czegoś dobrego i pożytecznego zaczęli oszukiwać.

— Ależ nie możemy wychowywać dzieci inaczej niż w ten sposób — odparł Jarno.

— W zastosowaniu do dzieci mogłoby to ująć — rzekł Wilhelm — ponieważ tak czule je kochamy i tak widocznie nad nimi czuwamy, ale wobec równych nam, dla których nie zawsze serce wzywa nas, byśmy byli delikatni, częstokroć stać się to może niebezpieczne... Ale nie myśl pan — mówił dalej po krótkim namyśle — żebym z tego powodu uchylał się od polecenia. Wobec podziwu, jaki czuję dla pańskiego rozsądku, wobec przywiązania, jakie czuję do pańskiego zacnego przyjaciela, wobec żywego pragnienia, żeby we wszelki możliwy sposób przyczynić się do jego wyzdrowienia, chętnie zapomnę sam o sobie. Nie wystarczy się ryzykować życia dla przyjaciela, trzeba w razie konieczności zaprzeczyć się nawet własnego przekonania. Winniśmy dla niego poświęcić najmilszą nam namiętność, najlepsze nasze pragnienia. Przyjmuję polecenie, chociaż przewiduję już mękę, jaką będę musiał wycierpieć z powodu lez Lidii, z powodu jej rozpaczy.

— Natomiast czeka też pana niemała nagroda — odparł Jarno — kiedy poznasz pannę Teresę, dziewczynę, jakich mało; zawstydza ona stu mężczyzn i nazwałbym ją prawdziwą amazonką, gdy inne w tym dwuznacznym ubraniu kręca się tylko jak zgrabne hermafrodyty.

Zastanowiło to Wilhelma; spodziewał się odnaleźć w Teresie swoją amazonkę, tym bardziej że Jarno, którego prosił o wyjaśnienia, zbył go krótko i oddalił się.

Nowa, bliska nadzieja zobaczenia znowu owej czczonej i kochanej postaci wywołała w nim najdziwniejsze wzruszenia. Zaczął uważać dane sobie polecenie za wyraźne skinienie Opatrzności, a myśl, że zamierzał podstępnie oddać biedną dziewczynę od przedmiotu jej najszczerzej i najgwałtowniej miłości, zjawiała się przed nim tylko mimochodem, jak cień ptaka przemyka nad oświetloną ziemią.

Powóz stał przed drzwiami, Lidia zwlekała chwilę, zanim wsiadła.

— Pozdrówcie pana raz jeszcze — rzekła do starego sługi. — Przed wieczorem powrócę.

Łzy stały w jej oczach, kiedy jadąc już, raz jeszcze się obejrzała. Zwróciła się potem do Wilhelma, zebrała siły i rzekła:

— Znajdziesz pan w pannie Teresie osobę bardzo interesującą. Dziwi mnie, jakim sposobem dostała się do tego kraju, bo wiesz pan zapewne, że ona i baron bardzo się kochali. Pomimo oddalenia Lothar często u niej bywał; byłam wówczas przy niej, zdawało się, iż żyli tylko dla siebie. Naraz jednak się to zepsuło, a nikt w świecie nie mógł zrozumieć dlaczego. On mnie tam poznał, i nie przeczę bynajmniej, że serdecznie zazdrościłam

Teresie, że prawie nie skrywałam swojej skłonności do niego i że go nie odepchnęłam, gdy nagle zdawał woleć mnie od Teresy. Ona zachowywała się wobec mnie tak, że nie mogłam sobie lepiej życzyć, chociaż musiało się prawie zdawać, jakbym odebrała jej tak drogiego kochanka. Jednak ileż to już tysięcy łez i cierpienie kosztowała mnie ta miłość! Zrazu widywaliśmy się tylko niekiedy, po kryjomu, w obcym miejscu, ale nie mogłam znieść długo takiego życia; w jego tylko obecności byłam szczęśliwa, całkiem szczęśliwa! Z dala od niego nie miałam nigdy suchego oka, nigdy spokojnego tętna. Pewnego razu nie zjawiał się przez kilka dni; byłam w rozpacz, wyruszyłam się w drogę i zaskoczyłam go tutaj. Przyjął mnie z miłością i gdyby nie był zdarzył się ten nieszczęsny pojedynek, prowadziłabym niebiańskie życie; a co wycierpiałam, odkąd jest w niebezpieczeństwie, odkąd cierpi, tego nie wypowiem i w tej jeszcze chwili czynię sobie żywe wyrzuty, że mogłam się oddalić od niego choćby na jeden dzień.

Wilhelm chciał właśnie wywieść się dokładniej o Teresę, gdy zajechali przed dom sędziego, który przyszedł do powozu i z serca żałował, iż panna Teresa już odjechała. Zapraszał podróżnych na śniadanie, ale powiedział zarazem, że można będzie dopędzić powóz w najbliższej wsi. Postanowiono jechać dalej, a woźnica nie zwlekał; przejechano już kilka wsi, a nikogo jeszcze nie spotkano. Lidia nastawała więc, żeby zawrócić; woźnica jechał naprzód, jakby tego nie rozumiał. Na koniec zażądała tego z największą gwałtownością. Wilhelm zawołał na woźnicę i dał umówiony znak. Ten odpowiedział:

— Nie musimy wracać tą samą drogą; znam bliższą, a zarazem wygodniejszą.

Pojechał tedy w bok przez las i przez długie pastwiska. W końcu, gdy nie pojawił się żaden znany przedmiot, woźnica wyznał, że nieszczęściem zablądził, ale się niebawem rozpyta, widzi bowiem wieś niedaleko.

Nadeszła noc, a woźnica tak zręcznie rzecz prowadził, że wszędzie się wypytywał, a nigdzie nie czekał na odpowiedź. Tak jechali całą noc; Lidia nawet nie zmrużyła oka; przy blasku księżyca wypatrywała wszędzie podobieństw, a zawsze one gdzieś znikwały. Rano przedmioty wydawały jej się znajome, ale tym mniej spodziewane. Powóz zatrzymał się przed małą, zgrabnie zbudowaną willą; z drzwi wyszła jakaś kobieta i otworzyła drzwiczki. Lidia wpatrywała się w nią osłupiałym wzrokiem, oglądała się, znów patrzyła na nią i mdlejąc, osunęła się w ramiona Wilhelma.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Zaprowadzono Wilhelma do izdebki na strychu; dom był nowy, a tak mały, niemal jak tylko to możliwe, a jak się okazało, nadzwyczaj czysty i porządkny. Teresa, która przyjęła jego i Lidię w powozie, nie okazała się jego amazonką; była to od tamtej o całe niebo odmienna istota. Kształtna, choć niewysoka, poruszała się z wielką żywością i wydawało się, że nic z tego, co się działo, nie może się ukryć przed jej jasnymi, niebieskimi, otwartymi oczyma.

Weszła do pokoju Wilhelma i zapytała, czy czegoś nie potrzebuje.

— Daruj pan — mówiła — że umieściłam pana w izbie, którą zapach oleju czyni jeszcze niemiłą; mój domek dopiero co ukończono, a pan poświęcasz ten pokój, który przeznaczyłam dla moich gości. O, gdybyś był pan tutaj przy miłszej sposobności! Biedna Lidia nie uprzyjemni nam czasu i w ogóle musisz się pan zadowalać byle czym; kucharka dopiero co w najbardziej nieodpowiednim czasie opuściła moją służbę, a parobek zgniótł sobie rękę. Byłaby bieda; sama wszystko załatwiałam, a w końcu, gdyby się do tego nałożyło, musiałoby tak iść dalej. Nie ma większej plagi niż służący; nikomu nie chce usłużyć, nawet samym sobie.

Mówiła jeszcze to i owo o różnych sprawach; w ogóle zdawało się, że lubi mówić. Wilhelm zapytał o Lidię, czy nie mógłby porozmawiać z poczciwą dziewczyną i usprawiedliwić się przed nią.

— To na nią teraz nie wpłynie — odparła Teresa. — Czas uniewinnia, jak i pociesza. W obu przypadkach słowa mają małą moc. Lidia nie chce pana widzieć. „Niech mi się na oczy nie pokazuje”, wołała, kiedy od niej odchodziłam, „Zwątpiłabym w ludzkość! Taka uczciwa twarz, takie otwarte postępowanie, a taka kryjoma chytryść!”. Lothar jest dla niej całkowicie usprawiedliwiony; mówi też on w jednym z listów do poczciwej dziewczyny:

„Moi przyjaciele mnie namówili; przyjaciele mnie zmusili!”. Do nich Lidia zalicza także pana i potępia cię wraz z innymi.

— Za dużo robi mi zaszczytu, łajac mnie — odrzekł Wilhelm. — Nie mogę jeszcze rościć sobie żadnej pretensji do przyjaźni tego znakomitego człowieka i tym razem jestem tylko niewinnym narzędziem. Nie myślę chwalić swego postępku; dość że mogłem go dokonać! Była mowa o zdrowiu, była mowa o życiu człowieka, którego muszę cenić wyżej niż kogokolwiek, kogo znałem. O, co to za człowiek, proszę pani, i co za ludzie go otaczają! W tym towarzystwie po raz pierwszy prowadziłem rozmowę, że się tak wyrażę; po raz pierwszy prawdziwe znaczenie moich słów wracało do mnie z ust kogoś innego bogatsze, pełniejsze i rozleglejsze; co przeczuałem, stawało się dla mnie jasne, a co miałem tylko w myśli, na to nauczyłem się patrzeć. Niestety, rozkosz ta przerwana została naprzód różnorodnymi troskami i przywidzeniami, a potem najbardziej nieprzyjemnym poleceniem. Przyjąłem je z rezygnacją, uważałem bowiem za obowiązek, żeby spłacić dług wobec tego znakomitego kręgu ludzi, nawet poświęcając swoje uczucia.

Gdy to mówił, Teresa patrzyła na gościa swego bardzo przyjaźnie.

— O, jak to słodko — zawołała — usłyszeć własne przekonania z cudzych ust. Jakże to naprawdę wtedy dopiero odczuwamy własną słusność, gdy ją nam ktoś inny w zupełności przyznaje. I ja myślę o Lotharze całkiem tak jak pan; nie wszyscy oddają mu sprawiedliwość; natomiast uwielbiają go ci wszyscy, którzy lepiej go znają, a bolesne uczucie, które łączy się z jego wspomnieniem w moim sercu, nie może powstrzymać mnie od myślenia o nim każdego dnia.

Westchnienie uniosło jej pierś, gdy to mówiła, a w jej prawym oku zablęśnięła piękna łza.

— Nie myśl pan — mówiła dalej — że jestem tak tkliwa, tak łatwa do wzruszenia! To tylko oko płacze. Miałam małą brodawkę na dolnej powiece; usunięto mi ją szczęśliwie, ale oko od tego czasu pozostało nadal słabe; najmniejszy powód wywołuje łzę. Tu była brodaweczka, śladu już jej nie widać.

Nie widział śladu, ale zajrzał jej w oko; było czyste jak kryształ, zdawało mu się, że patrzy w samą głąb jej duszy.

— Wypowiedzieliśmy tedy — mówiła — hasło naszego związku; poznamy się w pełni jak najszybciej. Dzieje człowieka to jego charakter. Opowiem panu, co działo się ze mną; miej pan i do mnie trochę zaufania i pozostajmy złączeni nawet w oddali. Świat jest tak pusty, jeśli w nim widzi się tylko góry, rzeki i miasta, ale wiedzieć, że tu i ówdzie jest ktoś, kto się z nami zgadza, z kim obcujemy nawet w milczeniu, to dopiero czyni tę kulę ziemską zamieszkałym ogrodem.

Odeszła, obiecując, że niebawem zabierze go na przechadzkę. Obecność jej bardzo mile na niego podziałała; pragnął poznać jej związek z Lotharem. Zawołano go; wyszła do niego ze swego pokoju.

Kiedy musieli zstępować jedno za drugim wąskimi i niemal stromymi schodami, powiedziała:

— Mogłoby to wszystko być daleko szersze, gdybym chciała przyjąć ofiarę pańskiego wspaniałomyślnego przyjaciela, ale ażeby pozostać go godną, muszę utrzymać przy sobie to, co czyniło mnie tak cenną dla niego. Gdzież jest rządcą? — zapytała, zszedłszy już ze schodów. — Niech pan nie sądzi — mówiła dalej — że jestem tak bogata, iż potrzebowałabym rządcy; szczupłe niwy mojego mająteczku mogę zaiste uprawiać sama. Rządcą należy do mego nowego sąsiada, który kupił piękne dobra znane mi na wylot; poczciwy starzec leży chory na podagrę<sup>146</sup>; jego ludzie są obcy w tych stronach, a ja chętnie im pomagam w urzędzeniu się.

Odbyli przechadzkę przez niwy, łąki i parę ogrodów owocowych. Teresa objaśniała rządcę we wszystkim, mogła mu zdać sprawę z każdej drobnostki, a Wilhelm miał dosyć powodów, by podziwiać jej wiedzę, pewność siebie i zręczność w podawaniu środków na każdy poszczególny przypadek. Nigdzie się nie zatrzymywała, śpieszyła zawsze do ważnych punktów i tak niebawem rzecz została załatwiona.

<sup>146</sup>podagra — dna moczanowa, choroba charakteryzująca się nawracającymi epizodami ostrego zapalenia stawów. [przypis edytorski]

— Pozdrowcie swego pana — rzekła, żegnając się z tym człowiekiem. — Jak tylko będę mogła, odwiedzę go jak najrychlej i życzę mu zupełnego polepszenia.

A gdy odszedł, rzekła z uśmiechem:

— Mogłabym wkrótce zostać bogata i majątna, gdyż mój poczciwy sąsiad nie byłby niechętny, by mi ofiarować swą rękę.

— Starzec z podagrą? — zawołał Wilhelm. — Nie wiem, jak pani w swoim wieku mogłaby się zgodzić na tak rozpaczliwą decyzję.

— Nie doznaję też wcale pokusy! — odparła Teresa. — Zamożny jest każdy, kto umie zarządzać tym, co posiada; być zaś majątnym to rzecz uciążliwa, jeśli się na tym ktoś nie zna.

Wilhelm okazał zdziwienie z powodu jej wiedzy gospodarskiej.

— Stanowcze upodobanie — odparła Teresa — wczesna sposobność, zewnętrzny przymus i trwale zajmowanie się pożytecznymi rzeczami mogą jeszcze daleko więcej w świecie dokonać, a kiedy się pan dowiesz, co mnie do tego pobudziło, to się przestaniesz dziwić talentowi, który się wydaje szczególny.

Gdy przybyli do domu, zostawiła go w małym ogródku, w którym ledwie mógł się obrócić, tak wąskie były ścieżki, i tak obficie wszystko było zasadzone. Musiał się uśmiechnąć, kiedy wracał przez podwórze, leżały tam bowiem drwa tak dokładnie opilowane, połupane i ułożone, jakby stanowiły część budynku i miały tam pozostać na zawsze. Wszystkie naczynia stały czyste na swych miejscach; domek pomalowany był na biało i czerwono i wyglądał wesoło. Czego może dokonać rzemiosło nieznające wcale pięknych proporcji, ale pracujące dla potrzeby, trwałości i wesołości, zdawało się zjednoczone w tym miejscu.

Jedzenie przyniesiono mu do pokoju; miał dosyć czasu na przemyślenia. Szczególnie uderzyło go to, że znowu poznał tak interesującą osobę, która była w bliskich stosunkach z Lotharem.

— To słuszne — mówił sobie — że tak wspaniałe człowiek przyciąga też do siebie wspaniałe dusze kobiece! Jak daleko sięga wpływ męskości i godności! Gdybyż tylko przy tym inni tak źle nie wychodzili! Tak, wyznaj przed sobą swoją obawę... Jeżeli kiedyś spotkasz znów swoją amazonkę, tę postać nad postaciami, to poznasz ją w końcu, pomimo wszystkich swoich nadziei i marzeń, ku swemu zawstydzeniu i upokorzeniu — jako jego narzeczoną.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Nie bez znudzenia spędził Wilhelm niespokojne popołudnie, gdy pod wieczór otworzyły się drzwi i wszedł z powitaniem młody zgrabny strzelczyk.

— Pójdziemy na przechadzkę? — rzekł młodzieniec, a w tej chwili Wilhelm po pięknych oczach poznał w nim Teresę.

— Daruj mi pan tę maskaradę — zaczęła znowu — bo niestety, teraz to tylko maskarada. Ale ponieważ mam opowiedzieć o czasie, kiedy lubiłam się widzieć w tej kurtce, pragnę więc wszystkimi sposobami przypominać sobie te dni. Chodź pan, nawet miejsce, w którym niegdyś tak często odpoczywaliśmy po polowaniach i przechadzkach, powinno się do tego przyczynić.

Poszli, a w drodze Teresa rzekła do swego towarzysza:

— Niedobrze, że pan pozwalasz mówić tylko mi samej; pan wiesz już dosyć o mnie, a ja jeszcze najmniejszej rzeczy nie wiem o panu; opowiedz mi pan tymczasem coś o sobie, żebym nabrała odwagi do przedstawienia swoich dziejów i stosunków.

— Niestety — odrzekł Wilhelm — nie mam nic do opowiadania prócz błędu za błędem, odchylenia za odchyleniem i nie wiem doprawdy, przed kim bardziej niż przed panią chciałbym ukryć tę gmatwaninę, w jakiej się znajdowałem i znajduję. Spojrzenia pani i wszystko, co panią otacza, cała pani istota i zachowanie pokazują, że pani możesz się cieszyć swoim przeszłym życiem, że szłaś pani piękną, czystą drogą w bezpiecznej kolei, żeś pani nic nie straciła, że nie masz sobie nic do wyrzucenia.

Teresa uśmiechnęła się i odrzekła:

— Poczekajmy, czy pan będziesz tak myśleć, skoro usłyszysz moje dzieje.

Poszli dalej, a po ogólnej rozmowie Teresa zapytała go:

— Czyś pan wolny?

— Za takiego się uważam — odparł — ale tego nie pragnę.

— Doskonale — powiedziała — to wskazuje jakiś skomplikowany romans i dowodzi mi, że pan masz coś do opowiedzenia.

Tak mówiąc, weszli na pagórek i rozłożyli się pod wielkim dębem, który cień swój rzucał szeroko naokół.

— Tu — rzekła Teresa — pod tym drzewem niemieckim opowiem panu historię niemieckiego dziewczęcia; słuchaj mnie pan cierpliwie.

Ojciec mój był zamożnym szlachcicem tej prowincji, człowiekiem pogodnym, czystym, aktywnym, dzielnym, czułym ojcem, wiernym przyjacielem, wyśmienitym gospodarzem, u którego jedną tylko znałam wadę, mianowicie był zbyt wyrozumiały dla kobiety, która nie umiała go cenić. Muszę to, niestety, powiedzieć o swej własnej matce! Jej natura była wprost przeciwna jego naturze. Była porywcza, niestała, bez zamiłowania dla domu i do mnie, swego jedyne dziecko, marnotrawna, ale piękna, dowcipna, pełna talentów, wzbudzała podziw w kółku, które potrafiła zebrać przy sobie. Wprawdzie jej towarzystwo nigdy nie było liczne albo też nie pozostawało takie długo. Kółko to składało się w większości z mężczyzn, gdyż żadna kobieta nie czuła się dobrze obok niej, a tym bardziej ona nie mogła znieść zalet jakiegokolwiek kobiety.

Pod względem wyglądu i usposobienia podobna byłam do ojca. Jak młoda kaczką szuka zaraz wody, tak od najwcześniejszej młodości moim żywiołem były kuchnia, spiżarnia, stodoły i strychy. Porządek i czystość w domu wydawały się, nawet kiedy się jeszcze bawiłam, moim jedynym instynktem, jedynym przedmiotem uwagi. Ojciec cieszył się tym i stopniowo przydziałał memu dziecinnemu popędowi odpowiednie zajęcia, matka natomiast nie lubiła mnie i nie ukrywała tego ani przez chwilę.

Podrastałam; z latami wzrastała się moja aktywność i miłość ojca do mnie. Kiedyśmy byli sami, chodziliśmy na pola; kiedy pomagałam mu w przeglądaniu rachunków, doskonale mogłam odczuć, jak był szczęśliwy. Gdy mu patrzyłam w oczy, to tak, jakbym spoglądała sama w siebie; to oczy bowiem czyniły mnie zupełnie do niego podobną. Ale w obecności mojej matki nie zachowywał tej odwagi, tej wyrazistości; usprawiedliwiał mnie słabo, kiedy mnie gwałtownie a niesprawiedliwie ganiła; ujmował się za mną, nie ażeby miał ochronić, ale żeby niejako uniewinnić moje dobre przymioty.

Nie stawiał też przeszkód żadnej z jej zachcianek; zaczęła okazywać największą namiętność do widowisk; zbudowano teatr; nie brakło mężczyzn wszelkiego wieku i postaci, którzy wraz z nią się występowali na scenie, natomiast często zbywało na kobietach. Lidia, dziewczyna zgrabna, wychowana razem ze mną, która już w pierwszej młodości zapowiadała się na powabną, musiała objąć drugie role, stara garderobiana przedstawiać matki i ciotki, podczas gdy moja matka zachowała dla siebie pierwsze kochanki, bohaterki i wszelakie pasterki.

Nie umiem panu powiedzieć, jak śmieszne wydawało mi się, gdy ludzie, których znałam bardzo dobrze, przebrali się, stanęli na podwyższeniu i chcieli być uważani za kogoś innego, niż byli naprawdę. Ja widziałam wciąż tylko matkę i Lidie, tylko tego barona i tamtego sekretarza, którzy ukazywali się jako książęta i hrabiowie, czy jako wieśniacy, i nie mogłam zrozumieć, jakim sposobem chcieli we mnie wmówić, żebym uwierzyła, że im jest dobrze albo źle, że są zakochani lub obojętni, skąpi lub hojni, gdy przeważnie dokładnie wiedziałam, że się rzecz ma zupełnie inaczej. Dlatego też bardzo rzadko pozostawałam wśród widzów, zapalałam im wciąż świece, bylebym tylko miała coś do roboty, przyrządzałam wieczerzę, a nazajutrz, kiedy jeszcze dobrze spali, porządkowałam ich garderobę, którą zazwyczaj zostawiali wieczorem złożoną w stosy.

Moja matka wydawała się całkiem zadowolona z tej troskliwości, ale przychylności jej nie mogłam pozyskać; pogardzała mną i pamiętam dziś jeszcze, jak nieraz powtarzała cierpko:

— Gdyby matka mogła być tak niepewna jak ojciec, to chyba tej dziewczyny nie wzięto by za moją córkę.

Nie przeczę, że jej postępowanie powoli całkiem mnie od niej oddaliło; patrzyłam na jej czynności jak na czynności osoby obcej, a ponieważ przywykłam sokolim wzrokiem obserwować czeladź — gdyż, mówiąc mimochodem, na tym polega właściwie zasada gospodarstwa — wpadły mi więc naturalnie w oko stosunki mojej matki i jej towarzystwa.

Łatwo można było dostrzec, że nie na wszystkich mężczyzn patrzyła tymi samymi oczyma; zwróciłam baczniejszą uwagę i niebawem spostrzegłam, że Lidia była powiernicą i wśród tego towarzystwa sama się lepiej zaznajomiła z namiętnością, którą od pierwszej młodości tak często przedstawiała. Znałam wszystkie ich schadzki, ale milczałam i nic nie powiedziałam ojcu, bojąc się go zasmucić; w końcu jednak zostałam zmuszona. Niejednego nie mogły zrobić, nie przekupiwszy służących. Ci zaczęli mi się hardo stawiać, zaniedbywać rozporządzenia ojca i nie wykonywać moich rozkazów; powstałe stąd nieporządki były dla mnie nie do zniesienia, odkryłam wszystko, poskarżyłam się ojcu. Wysłuchał mnie bez wzruszenia.

— Kochane dziecko! — rzekł w końcu, uśmiechając się. — Wiem wszystko; bądź spokojna, znoś to cierpliwie, gdyż tylko dla ciebie tak cierpię.

Nie byłam spokojna, nie miałam cierpliwości. Po cichu lajałam ojca, gdyż nie sądziłam, aby z jakiegokolwiek powodu musiał znosić coś podobnego; nastawałam na porządek i byłam zdecydowana doprowadzić sprawę do ostateczności.

Matka moja była bogata, pochłaniała jednak więcej, niż należało, a to, jak zauważyłam, doprowadziło do pewnych wyjaśnień między moimi rodzicami. Nie na długo to skutkowało, aż namiętności mej matki same wywołały pewne rozwiązanie.

Pierwszy kochanek był rażąco niewierny; dom, okolica, stosunki, stały się jej wstrętne. Chciała przenieść się do innego majątku; tam było jej zanadto samotnie; chciała do miasta, tam nie miała dosyć znaczenia. Nie wiem, co zaszło wreszcie pomiędzy nią a ojcem; dość że pod warunkami, o których nie się dowiedziałam, postanowił zezwolić na podróż, jaką matka chciała odbyć do południowej Francji.

Byliśmy tedy wolni i żyliśmy jak w niebie; sądzę też, że ojciec mój nic nie stracił, jeżeli nawet od jej obecności wykupił się okazałą sumą. Wszelka niepotrzebna hałastra została oddalona, a szczęście zdawało się sprzyjać naszym rozporządzeniom; mieliśmy kilka lat bardzo dobrych; wszystko szło według życzenia. Ale niestety, ten wesoły stan nie trwał długo; całkiem niespodziewanie ojciec mój tknięty został apopleksją<sup>147</sup>, która sparaliżowała mu prawy bok i odjęła swobodę w użyciu mowy. Wszystko trzeba było zgadywać, czego żądał, nigdy bowiem nie mógł wypowiedzieć słowa, które miał na myśli. Byliśmy więc bardzo niespokojni w niektórych chwilach, kiedy chciał być wyraźnie sam ze mną; gwałtownym gestem wskazywał, że wszyscy mają się oddalić, a skoro zostaliśmy sami, nie potrafił wydobyć z siebie odpowiedniego słowa. Jego niecierpliwość wzmagala się do ostateczności, a jego stan zasmucał mnie do głębi serca. Tego tylko byłam pewna, że ma mi do zwierzenia coś, co mnie szczególnie dotyczy. Tak pragnęłam, by się o tym dowiedzieć. Dawniej mogłam mu wszystko wyczytać z oczu, ale teraz było to niemożliwe. Nawet jego oczy już nie mówiły. Tyle tylko było dla mnie jasne: niczego nie chciał, niczego nie pragnął, starał się jedynie odkryć mi coś, czego się niestety nie dowiedziałam. Atak się powtórzył; ojciec stał się wkrótce potem zupełnie bezwładny i nieprzytomny, a niebawem umarł.

Nie wiem, skąd przyszło mi do głowy, że ojciec ukrył gdzieś skarb, który po swej śmierci wołał przekazać mnie niż mojej matce; jeszcze za jego życia robiłam poszukiwania, ale nic nie znalazłam, po jego śmierci wszystko zostało opieczętowane. Napisałam do matki, proponując, że zostanę w domu jako zarządczyni, ona to odrzuciła i musiałam opuścić majątek. Wyszedł na jaw obustronny testament, mocą którego ona weszła w posiadanie i używanie wszystkiego, a ja pozostałam od niej zależna przez całe jej życie. Teraz dopiero zdawało mi się, iż rozumiałam skinienia ojca; żalowałam go, iż był tak słaby, że nawet po swej śmierci musiał być względem mnie niesprawiedliwy. Niektórzy bowiem z moich przyjaciół utrzymywali nawet, że lepiej niemal byłoby, gdyby mnie wydziedziczył, i żądali, żebym zaskarżyła testament, na co jednak nie mogłam się zdecydować. Zanadto czułam pamięć swego ojca; ufałam losowi, ufałam sobie samej.

Zostawałam zawsze w dobrym stosunku z pewną panią z sąsiedztwa, posiadającą wielkie dobra; przyjęła mnie z ochotą i łatwo mi było niebawem stanąć na czele jej gospodarstwa. Żyła bardzo regularnie i lubiła we wszystkim porządek, a ja dopomagałam jej wiernie w walce z rządcą i czeladzią. Nie jestem ani skąpa, ani nieżyczliwa, ale my, kobiety, w ogóle daleko surowiej nawet od mężczyzn nastajemy na to, ażeby nic się nie

Testament, Ojciec, Matka

Kobieta

<sup>147</sup>apopleksja — nagły wylew krwi do mózgu. [przypis edytorski]

marnowało. Każde oszukaństwo jest dla nas nieznośne, chcemy, ażeby każdy tyle tylko używał, na ile jest do tego upoważniony.

I znowu byłam w swoim żywiole i w cichości oplakiwałam śmierć ojca. Moja opiekunka była ze mnie zadowolona; tylko jedna drobna okoliczność zakłócała mi spokój. Wróciła Lidia; matka moja była tyle okrutna, że odepchnęła biedną dziewczynę, kiedy już z gruntu była zepsuta. U mojej matki nauczyła się uważać namiętność za zawód; przywykła do nieumiarkowania w niczym. Kiedy się niespodzianie zjawiała, moja dobrodziejka przyjęła i ją także; chciała mi być pomocna, a nie mogła się wdrożyć do niczego.

W tym czasie przybywali często do domu krewni i domniemani spadkobiercy mojej pani i zabawiali się polowaniem. Bywał niekiedy z nimi i Lothar; bardzo szybko zauważyłam, jak silnie wyróżniał wśród wszystkich innych, ale bynajmniej nie w stosunku do mnie samej. Był grzeczny dla wszystkich i niebawem zdawało się, że Lidia zwraca na siebie jego uwagę. Miałam zawsze coś do roboty i rzadko bawiłam w towarzystwie; w jego obecności mówiłam mniej niż zazwyczaj, bo nie chcę przeczyć, że żywa rozmowa była dla mnie od dawna przyprawą życia. Lubiałam dużo mówić z ojcem o wszystkim, co się działo. O czym się nie rozprawia, tego się też nie obmyśla należycie. Żadnemu człowiekowi nigdy się chętniej nie przysłuchiwałam niż Lotharowi, kiedy opowiadał o swoich podróżach, o swoich wyprawach. Świat przed nim rozciągał się tak jasno, tak szeroko, jak przede mną okolica, w której gospodarowałam. Słuchałam nie dziwnych wypadków awanturnika, nie przesadzonych półprawd ograniczonego podróżnika, który wciąż przedstawia swoją osobę zamiast kraju, którego obraz obiecał nam pokazać; on nie opowiadał, lecz oprowadzał nas samych po tych miejscach; mało kiedy doznawałam tak czystej przyjemności.

Ale moje zadowolenie było niewymowne, kiedy pewnego wieczoru posłyszałam go mówiącego o kobietach. Rozmowa wysnuła się w sposób całkiem naturalny; odwiedziło nas kilka pań z sąsiedztwa i prowadziło zwykłe rozmowy o wykształceniu kobiet. Powiadano, że ludzie są niesprawiedliwi w stosunku do naszej płci, że mężczyźni chcą całą kulturę zachować dla siebie, że nie dopuszczają nas do żadnych umiejętności, że żądają, iżbyśmy były albo lalkami, albo gospodyniami. Lothar mało się odzywał na to wszystko, ale kiedy się towarzystwo zmniejszyło, otwarcie wypowiedział swoje zdanie również o tym.

— Dziwne — zawołał — że biorą za złe mężczyźnie, który chce postawić kobietę na najwyższym miejscu, jakie zająć jest zdolna: a któreż jest wyższe nad zarząd domu? Kiedy mężczyzna zмага się ze stosunkami zewnętrznymi, kiedy musi zbierać i ochraniać posiadłości, kiedy nawet bierze udział w zarządzie państwa, to wszędzie zależy od okoliczności, powiedziałbym, nie rządzi niczym, chociaż zdaje mu się, że rządzi, zawsze tylko musi być polityczny, gdzieby chciał być rozumny, musi być skryty, gdzie pragnąłby być otwarty, musi być fałszywy, gdzie życzyłby sobie być uczciwy; kiedy on dla celu, którego nigdy nie osiąga, musi co chwila porzucać cel najpiękniejszy, harmonię z sobą samym, to rozumna gospodyni panuje w domu naprawdę i umożliwia całej rodzinie każdą czynność, każde zadowolenie. Cóż jest najwyższym szczęściem człowieka, jeżeli nie to, iżbyśmy wykonywali, co uważamy za słuszne i dobre? Żebyśmy rzeczywiście opanowywali środki do naszych celów? A gdzież mają, gdzie mogą być nasze najbliższe cele, jeżeli nie wewnątrz domu? Wszystkie wciąż wracające, niezbędne potrzeby, gdzież ich oczekujemy, gdzie ich wymagamy, jeżeli nie tam, gdzie wstajemy i kładziemy się, gdzie kuchnia i piwnica, i wszelkiego rodzaju zapasy powinny być zawsze gotowe dla nas i dla rodziny? Jakiejże to potrzeba regularnej działalności, ażeby ten wciąż wracający porządek przeprowadzić w niezachwianej żywotnej kolei! Jakże mało było mężczyzn, by wracać regularnie na podobieństwo gwiazdy i przewodzić zarówno dniowi, jak i nocy! By tworzyć sobie swoje narzędzia domowe, zasadzać i zbierać, przechowywać i wydawać i w tym kole krążyć ciągle ze spokojem, miłością i stosownością! Jeżeli kobieta objęła już to wewnętrzne panowanie, dopiero przez to czyni ona panem mężczyznę, którego kocha; jej dbałość nabywa wszelkiej wiedzy, a jej aktywność umie je wszystkie zużytkować. I tak od nikogo nie jest zależna i zapewnia swemu mężowi prawdziwą niezależność, domową, wewnętrzną; widzi, że co posiada, jest zabezpieczone, co zarabia, jest dobrze użyte, i może wówczas zwrócić swój umysł ku wielkim przedmiotom, a jeżeli szczęście dopisze, być tym dla państwa, z czym jego żonie w domu tak pięknie.



Dał następnie opis, jaką by pragnął, by była kobieta. Zaczerwieniłam się, bo opisywał mnie w moim życiu i czynnościach. W cichości napawałam się triumfem, a to tym bardziej, że widziałam ze wszystkich okoliczności, iż nie miał na myśli mnie osobiście, iż mnie właściwie nie znał. Nie pamiętam w całym swoim życiu żadnego przyjemniejszego wrażenia niż to, że mężczyzna, którego tak bardzo ceniłam, dał pierwszeństwo nie mojej osobie, ale mojej najgłębszej naturze. Jakaż nagrodę poczułam! Jakaż mi się dostała zachęta!

Kiedy odjechali, moja zacna przyjaciółka rzekła do mnie z uśmiechem:

— Szkoda, że mężczyźni często myślą i mówią o tym, czego nie pozwalają, by weszło w czyn; gdyż właśnie znalazłabym wyborną partię dla mojej kochanej Teresy.

Żartowałam z jej oświadczenia i dodałam, że wprawdzie rozsądek mężczyzn ogląda się za gospodyniami, ale ich serce i wyobraźnia tęskni za innymi przymiotami i że my, gospodynie, naprawdę nie możemy znieść współzawodnictwa miłych i powabnych dziewczyn.

Słowa te wypowiedziałam tak, że słyszała je Lidia, gdyż nie ukrywała ona, że Lothar zrobił na niej wielkie wrażenie, a i on za każdymi odwiedzinami zdawał się zwracać na nią coraz większą uwagę. Była biedna, nie pochodziła z wysokiego stanu, nie mogła się oprzeć rozkoszy, by wabić i być wabioną.

Nie kochałam nigdy przedtem, a i teraz nie kochałam również; jednak, chociaż było mi nieskończenie przyjemnie widzieć, jak wysoko postawiona i oceniona została moja natura przez tak szanowanego człowieka, nie myślę przeczyć, że nie byłam tym zupełnie zaspokojona. Pragnęłam także, żeby mnie poznał, żeby się mną osobiście zainteresował. Życzenie to powstało we mnie bez żadnej szczególnej myśli o tym, co może z tego wyniknąć.

Największą przysługą, jaką wyświadczyłam mojej dobrodziejce, było staranie o doprowadzenie do porządku pięknych lasów w jej dobrach. W tych czarownych posiadłościach, których wielką wartość wciąż powiększa czas i okoliczności, działo się niestety ustawicznie według starej rutyny; nigdzie nie było planu ni ładu, a kradzieży i oszukaństwu nie było końca. Niektóre góry stały puste, a równy wzrost miały już tylko najstarsze okazy. Obeszłam wszystko sama wraz z doświadczonym leśnikiem, kazałam zmierzyć lasy, kazałam ciąć, zasiewać, zasadzać i w krótkim czasie puściłam wszystko w ruch. Aby się łatwiej przedostawać konno, a nie doznawać nigdzie przeszkody pieszo, kazałam sobie zrobić męskie ubranie; byłam w wielu miejscach i wszędzie mnie się bali.

Posłyszałam, że towarzystwo młodych przyjaciół wraz z Lotharem zarządziło znowu polowanie; po raz pierwszy w życiu zachciało mi się pokazać, albo raczej (żeby nie być wobec siebie niesprawiedliwą) wydać się w oczach wspaniałego mężczyzny tym, kim byłam. Włożyłam swoje męskie ubranie, wzięłam strzelbę na plecy i poszłam z naszym strzelcem, by oczekiwać towarzystwa na granicy. Przybyło; Lothar nie od razu mnie poznał: jeden z siostrzeńców mojej dobrodziejki przedstawił mnie jako zręcznego leśnika, żartował z mojej młodości i przedłużał swoją fantazję na moją pochwałę dopóty, aż wreszcie Lothar mnie sobie przypomniał. Siostrzeniec pomagał memu zamiarowi, jak gdyby się ze mną na to umówił. Opowiadał szczegółowo i z wdzięcznością o tym, co zrobiłam dla dóbr jego ciotki, a więc i dla niego.

Lothar przysłuchiwał się uważnie, rozmawiał ze mną, wypytywał o wszystkie stosunki dóbr i okolicy, a ja rada byłam, że mogłam ukazać mu swoją wiedzę; z egzaminu wyszłam bardzo dobrze, przedstawiłam mu do oceny parę projektów do pewnych ulepszeń, pochwalił je, podał mi podobne przykłady i wzmocnił moje dowody, łącząc je w pewien związek ze sobą. Zadowolenie moje rosło z każdą chwilą.

Na szczęście jednak chciałam tylko być znana, nie chciałam zaś być kochana, gdyż wróciwszy do domu, spostrzegłam lepiej niż zwykle, że względy, jakie okazywał Lidii, zdawały się zdradzać tajemną skłonność. Osiągnęłam swój cel, a jednak nie byłam spokojna; on od tego dnia okazywał prawdziwy szacunek i szczere zaufanie, do mnie zazwyczaj przemawiał w towarzystwie, rozmawiał ze mną w towarzystwie, pytał o zdanie i wydawał się mieć do mnie zaufanie, szczególnie w sprawach gospodarskich, jak gdybym wiedziała wszystko. Jego rozumienie nadzwyczaj mnie orzeźwiało; nawet kiedy była mowa o ogólnej ekonomii krajowej i finansach, wciągał mnie do dyskusji, ja zaś w czasie jego nieobecności starałam się dowiedzieć coraz więcej o prowincji, ba, o całym kraju. Łatwo

mi to przyszło, gdyż powtarzało się tam tylko w dużych rozmiarach to, co wiedziałam i znałam tak dobrze w małych.

Od tego czasu częściej przybywał do naszego domu. Mówiło się, mogę to powiedzieć, o wszystkim, ale w końcu nasza rozmowa stawała się do pewnego stopnia zawsze ekonomiczna, chociażby jedynie w niewłaściwym znaczeniu wyrazu. Rozprawialiśmy mianowicie dużo o tym, jak olbrzymie skutki wywołać może człowiek konsekwentnym zastosowaniem swoich sił, czasu, pieniędzy, nawet za pomocą środków, które wydają się drobne.

Nie opierałam się skłonności, która mnie ku niemu ciągnęła, i niestety poczułam aż nadto rychło, jak miłość moja była silna, jak serdeczna, jak czysta i szczerą, ponieważ wydawało mi się, że coraz bardziej zauważam, że jego częstsze odwiedziny nie mnie, lecz Lidię miały na celu. Ona przynajmniej była o tym głęboko przekonana; uczyniła mnie swoją powiernicą, a przez to doznawałam niejkiej pociechy. To, co ona tłumaczyła sobie najbardziej na swoją korzyść, nie miało dla mnie wcale wielkiego znaczenia; nie było ani śladu zamiaru poważnego, trwałego związku; tym wyraźniej widziałam pociąg namiętnej dziewczyny, by za wszelką cenę należeć do niego.

Tak miały się rzeczy, kiedy pani domu zaskoczyła mnie niespodzianym oświadczeniem.

— Lothar — rzekła — ofiaruje ci swoją rękę i pragnie mieć cię zawsze przy boku przez całe życie.

Rozwodziła się o moich zaletach i rzekła mi, czego tak chętnie słuchałam, że Lothar jest przeświadczony, iż znalazł we mnie osobę, której od tak dawna sobie życzył.

Osiągnęłam tedy szczęście najwyższe; pragnął mnie człowiek, którego tak wysoko ceniłam, a którego i z którym przewidywałam zupełne, swobodne, rozległe, pożyteczne rozwinięcie swojej przyrodzonej skłonności, swego talentu zdobytego wprawą; suma całego mojego istnienia pomnożyła się jakby w nieskończoność. Zgodziłam się, przybył sam, mówił ze mną na osobności, podał mi rękę, patrzył mi w oczy, uściskał mnie i wycisnął pocałunek na moich ustach. Był pierwszym i ostatnim. Zwierzył mi się ze swego położenia, ile go kosztowała wyprawa amerykańska, jakimi długami obciążył swoje majątki, jak z tego powodu poróżnił się w pewnej mierze ze swym dziadkiem stryjczym, jak ten zacny człowiek myśli zająć się jego losem, ale oczywiście po swojemu: że mu chce dać bogatą żonę, kiedy roztępnemu mężczyźnie tylko gospodarna jest prawdziwą pomocą, i że spodziewa się przekonać starca za pośrednictwem swej siostry. Wyjaśnił mi stan swego majątku, swoje plany, swoje widoki i prosił mnie o współdziałanie. Miało to pozostać tajemnicą tylko do czasu zezwolenia jego dziada.

Ledwie się oddalił, Lidia zapytała mnie, czy to nie o niej mówił. Zaprzeczyłam i zanu-dziłam ją opowiadaniem o rzeczach ekonomicznych. Była niespokojna, nie w humorze, a zachowanie się Lothara, gdy przybył znowu, nie polepszyło jej stanu.

Ale widzę, że słońce skłania się ku zachodowi! Masz szczęście, przyjacielu, gdyż inaczej musiałbyś wysłuchać tej historii, którą lubię sama sobie opowiadać, ze wszystkimi jej drobnymi okolicznościami. Pośpieszajmy, zbliżamy się do epoki, przy której niedobrze jest bawić długo.

Lothar zaznajomił mnie ze swoją siostrą, a wiedziała, jak przedstawić mnie dziadkowi; podbiłam starca; zezwolił na nasze życzenia, a ja powróciłam do swej dobrodziejki z pomyślną wiadomością. Sprawa nie była już tajemnicą w domu; Lidia, dowiedziawszy się o niej, sądziła, że słyszy coś niemożliwego. A gdy wreszcie nie mogła już o tym wątpić, zniknęła nagle i nie wiadano, gdzie przepadła.

Dzień naszego związku zbliżał się, często prosiłam Lothara o jego portret, a kiedy miał odjeżdżać, przypominałam mu obietnicę raz jeszcze.

— Zapomniałaś mi dać schowanko, do którego ma być dopasowany według twego życzenia — odpowiedział.

Było tak: miałam od przyjaciółki podarunek, który bardzo ceniłam. Pod szkłem zewnętrznym było przytwierdzone imię splecione z jej włosów; wewnątrz pozostała pusta w środku kość słoniowa, na której miał być właśnie namalowany jej wizerunek, kiedy mi ją na nieszczęście śmierć porwała. Miłość Lothara uszczęśliwiła mnie w chwili, kiedy utrata przyjaciółki była mi jeszcze bolesna; pragnęłam więc próżnię, którą pozostawiła mi w swym podarunku, wypełnić portretem mego przyjaciela.

Śpieszę do swego pokoju, wydobywam szkatuleczkę i otwieram ją w jego obecności; ledwie zajrawszy, spostrzega medalion z wizerunkiem kobiecym, bierze go do ręki, wpatruje się uważnie i pyta porywczo:

— Kogo przedstawia ten portret?

— Moją matkę — odpowiedziałam.

— Ależ przysiągłbym — zawołał — że to portret pani Saint Alban, którą przed kilku laty spotkałem w Szwajcarii.

— To ta sama osoba — odrzekłam, uśmiechając się. — Nie wiedząc o tym, poznałeś swoją teściową. Saint Alban to nazwisko romantyczne, pod którym podróżuje moja matka i jako Saint Alban bawi teraz jeszcze we Francji.

— Jestem najniezwyklejszym ze wszystkich ludzi! — zawołał, ciskając portret do szkatułki.

Zakrył oczy ręką i natychmiast opuścił pokój. Wskoczył na konia; pobiegłam na balkon i wołałam za nim; odwrócił się, ręką przesłał pożegnanie, oddalił się śpiesznie — i już go nie ujrzałam.

Słońce zachodziło, Teresa spojrzała bystro w przestrzeń pełną gorącego blasku, a jej piękne oczy napełniły się łzami.

Teresa, milcząc, położyła na rękach swego nowego przyjaciela swoją rękę; on ucałował z uczuciem; ona osuszyła swe łzy i powstała.

— Wracajmy — rzekła — i zajmijmy się naszymi domownikami!

Rozmowa podczas drogi nie była żywa; wszedłszy furtką ogrodową, ujrzeli Lidię siedzącą na ławce; powstała, umknęła im i udała się do domu; w ręku miała papier, a przy niej były dwie dziewczynki.

— Widzę — rzekła Teresa — wciąż jeszcze nosi swoją jedyną pociechę, list Lothara. Przyjaciół obiecuje jej, że jak tylko wyzdrowieje, znowu żyć będzie przy jego boku, i prosi ją, ażeby do tego czasu spokojnie zabawiła u mnie. Te słowa ją podtrzymują, tymi wierszami pociesza się, ale jego przyjaciele są źle u niej zapisani.

Tymczasem zbliżyły się obie dziewczynki, powitały Teresę i zdały jej sprawę ze wszystkiego, co zaszło w domu w czasie jej nieobecności.

— Widzisz pan tutaj jeszcze jedną cząstkę moich zajęć — rzekła Teresa. — Z zadaną siostrą Lothara zawarłam związek; wychowujemy wspólnie pewną liczbę dzieci; ja kształcę żywe i usługujące gospodynie, a ona bierze na siebie te, w których objawia się talent spokojniejszy i subtelniejszy, gdyż słuszną jest rzeczą dbać we wszelaki sposób o szczęście mężczyzny i gospodarstwa. Jeżeli pan poznasz moją szlachetną przyjaciółkę, to rozpoczniesz nowe życie; jej uroda, jej dobroć czynią ją godną czci całego świata.

Wilhelm nie śmiał wyznać, że on, niestety, zna już piękną hrabinę i że jego tymczasowy związek z nią boleć go będzie na wieki; rad był bardzo, że Teresa nie przedłużała rozmowy i że zajęcia zmusiły ją wrócić do domu. Pozostał tedy sam, a ostatnia wiadomość, że młoda, piękna hrabina także była już zmuszona zastępować dobroczynnością brak własnego szczęścia, zasmuciła go niezmiernie; czuł, że było to u niej jedynie koniecznością, by się rozerwać i na miejsce wesołego używania życia postawić nadzieję cudzej szczęśliwości. Uważał Teresę za szczęśliwą, iż nawet wobec tej niespodziewanej smutnej zmiany nie była potrzebna zmiana w niej samej.

— Jakże szczęśliwy jest ten nade wszystko — zawołał — kto, godząc się z losem, nie potrzebuje odrzucać całego swego poprzedniego życia!

Teresa przysłała do jego pokoju, przepraszając, że mu przeszkadza.

— Tu, w szafie ściennej — rzekła — mieści się cała moja biblioteka; są to książki, których raczej nie wyrzucam, niż zajmuję się zbiorem. Lidia prosi o duchową książkę, prawdopodobnie jest wśród nich jedna i druga. Ludzie, którzy cały rok są światowi, wyobrażają sobie, że podczas biedy powinni być duchowi; wszelkie dobro i moralność uważają za lekarstwo, które się przyjmuje ze wstrętem, kiedy się jest niezdrowym; w duchowym moralistcie widzą tylko lekarza, którego nigdy za prędko nie można się pozbyć z domu; ja wszakże wyznać muszę, że mam o moralności pojęcie jako o diecie, która wtedy właśnie staje się dietą, gdy czynię ją prawidłem życia, nie spuszczać jej z oczu przez cały rok.

Szukali wśród książek i znaleźli kilka tak zwanych pism budujących.

— Uciekania się do tych książek — rzekła Teresa — nauczyła się Lidia od mojej matki; komedia i romans były jej życiem, dopóki kochanek dochowywał wierności; jego odejście przynosiło natychmiast uznanie dla tych książek. W ogóle nie mogę zrozumieć — mówiła dalej — jak można było uwierzyć, że Bóg mówi do nas z książek i historyjek. Komu świat nie objawia bezpośrednio, jaki jest między nimi stosunek, komu serc nie mówi, co winien sobie i bliźnim, ten chyba się tego nie dowie z książek, które właściwie na to się przydadzą, by naszym omyłkom nadawać nazwy.

Pozostawiła Wilhelma samego, a on spędził wieczór na przeglądaniu biblioteczki; rzeczywiście zebrał ją tylko przypadek. Teresa przez te kilka dni, jakie Wilhelm u niej spędził, zachowywała się zawsze jednakowo; w różnych odstępach czasu, bardzo szczegółowo opowiadała mu następstwa swej przygody. Pamiętała dzień i godzinę, miejsce i imię, a my tu pokrótce podajemy to, co nasi czytelnicy powinni wiedzieć.

Przyczyna pośpiesznego oddalenia się Lothara dała się, niestety, łatwo objaśnić: spotkał w podróży matkę Teresy; wdzięki jej pociągnęły go; nie była względem niego skąpa, i otóż ten nieszczęśliwy, szybko pominięty wypadek oddalił go od związku z dziewczcą, którą sama natura, jak się zdawało, utworzyła dla niego. Teresa pozostała w jasnym zakresie swoich zajęć i obowiązków. Dowiedziano się, że Lidia przemieszkiwała potajemnie w sąsiedztwie. Była szczęśliwa, gdy małżeństwo, chociaż z nieznanых przyczyn, nie zostało dopełnione; starała się zbliżyć do Lothara i zdaje się, że uczynił zadość jej życzeniom bardziej z rozpaczy niż ze skłonności, bardziej z zaskoczenia niż z rozwagi, bardziej z nudy niż z zamiaru.

Teresa była pod tym względem spokojna; nie rościła do niego dalszych pretensji, a nawet gdyby został jej małżonkiem, miałaby może dość odwagi do zniesienia takiego związku, jeśliby tylko nie naruszał jej porządku domowego; przynajmniej często powiadała, że żona, która dobrze utrzymuje sprawy domowe, może wybaczyć mężowi każdą fantazyjkę i być zawsze pewna jego powrotu do niej.

Matka Teresy rychło doprowadziła swoje stosunki majątkowe do nieporządku; córka musiała za to płacić, gdyż mało od niej otrzymywała. Stara dama, opiekunka Teresy, umarła, zapisując jej w testamencie małą kolonijkę i niejaki kapitalik. Teresa umiała natychmiast dostosować się do szczupłego obrębu; Lothar ofiarował jej lepszy majątek, Jarno pośredniczył, ale ona odrzuciła propozycję.

— Chcę — powiedziała — pokazać na małym, że byłam godna dzielić z nim wielkie; zastrzegam sobie jednak, żebym, jeśli przypadek wprawi mnie w kłopot, czy to z powodu mnie samej, czy kogoś innego, najpierw, bez wahania mogła się uciec do swego zacnego przyjaciela.

Nic nie bywa mniej ukryte i niewykorzystane niż celowe działanie. Ledwie się urządziła na swoim małym mająteczku, a już sąsiedzi starali się o bliższe poznanie się z nią i o radę, a nowy właściciel przyległych dóbr dał dość wyraźnie do zrozumienia, że tylko od niej zależy, czy zechce przyjąć rękę i zostać dziedziczką większości jego majątku. Wspominała już o tym związku Wilhelmowi i przy sposobności żartowała wraz z nim z małżeństwa i niedobrych par.

— Nic bardziej — mówiła — nie pobudza ludzi do gadania, niż kiedy zostanie zawarte małżeństwo, które według siebie mogą nazwać niedobraną parą, a przecież niedobre pary są zwyklesze od dobrych małżeństw; gdyż, niestety, po krótkim czasie większość związków wygląda bardzo nieładnie! Pomieszanie stanów przez małżeństwa o tyle tylko zasługuje na nazwę niedobrej pary, kiedy jedna połowa nie może wziąć żadnego udziału w bycie wrodzonym, zamienionym w przyzwyczajenie i jakby koniecznym dla drugiej połowy. Różne stany mają różne tryby życia, których nie mogą ani dzielić z sobą, ani zmienić, i to sprawia, że lepiej byłoby takich związków nie zawierać, ale wyjątki, i to wyjątki naprawdę szczęśliwe, są możliwe. I tak małżeństwo młodej dziewczyny ze starszym mężczyzną jest zawsze niedobre, a jednak widziałam nieraz, jak dobrze mu się powodziło. Co do mnie, znam tylko jedno małżeństwo niestosowne, gdybym musiała świętować i reprezentować; wolałabym raczej oddać rękę któremukolwiek uczciwemu synowi dzierżawcy z sąsiedztwa.

Wilhelm pomyślał wreszcie o powrocie i prosił swoją nową przyjaciółkę, by wyjednała mu pożegnanie u Lidii. Namiętna dziewczyna dała się wzruszyć; powiedział jej kilka przyjaznych słów, a ona odrzekła:

— Przemogłam pierwszy ból. Lothar zawsze mi będzie drogi, ale znam jego przyjaciół i boleję, że takie ma otoczenie. Książd byłby zdolny dla mrzonki pozostawić ludzi w nędzy albo w nią nawet wtrącić, lekarz pragnąłby wszystko doprowadzić do jednakowości; Jarno nie ma serca, a pan — co najmniej charakteru! Postępuj pan tylko tak dalej i daj się użyć za narzędzie tym trzem ludziom; poleć panu jeszcze niejedną egzekucję. Wiem bardzo dobrze, że przez długi czas nienawidzili mojej obecności; nie odkryłam wprawdzie ich tajemnicy, ale zauważyłam, że ukrywali jakąś tajemnicę. Do czego te zamknięte pokoje? Te dziwne korytarze? Dlaczego nikt nie może się dostać do wielkiej wieży? Dlaczego gdy tylko mogli, wypędzali mnie do mojej izby? Przyznaję, że z początku zazdrość nasunęła mi to odkrycie; bałam się, czy gdzieś nie ukrywa się jakaś szczęśliwa rywalka. Teraz już tak nie myślę, jestem przekonana, że Lothar mnie kocha, że postępuje ze mną uczciwie, ale niemniej jestem przeświadczona, że sztuczni i fałszywi przyjaciele go oszukują. Jeżeli pan chcesz się mu zasłużyć, jeżeli ma panu zostać przebaczone, co pan względem mnie popełniłeś, to uwolnij go pan z rąk tych ludzi. Ale czegoż to ja się spodziewam! Oddaj mu pan ten list, powtórz mu, co on zawiera: że go wiernie kochać będę, że zdaję się na jego słowo... Ach! — zawołała, powstając i płacząc na szyi Teresy — otaczają go moi nieprzyjaciele, postarają się w niego wmówić, że nic dla niego nie poświęciłam. O, najlepszy mężczyzna lubi słyszeć, że gozien jest wszelkiej ofiary, nie potrzebując być za nią wdzięczny.

Pożegnanie Wilhelma z Teresą było pogodniejsze; pragnęła widzieć go znowu niebawem.

— Znasz mnie pan całkowicie — rzekła — pozwoliłeś mi wciąż mówić; na przyszły raz pańskim obowiązkiem będzie odwzajemnić się za moją szczerość.

W drodze powrotnej miał dosyć czasu, by żywo rozważać we wspomnieniu ten nowy, jasny obraz. Jakimże zaufaniem go przejęła! Myślał o Mignon i Feliksie, jak szczęśliwe byłyby te dzieci pod taką opieką; potem myślał o sobie samym i czuł, jaką byłoby rozkoszą żyć obok tak zupełnie jasnej istoty ludzkiej. Kiedy się zbliżył do zamku, jego uwagę bardziej niż zwykle przykuła wieża z wieloma krużgankami i przybudówkami; postanowił przy najbliższej sposobności wywołać o niej rozmowę u Jarna lub księdza.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Po przybyciu do zamku Wilhelm zastał szlachetnego Lothara na drodze do całkowitego wyzdrowienia; lekarza i księdza nie było, pozostał tylko sam Jarno.

W krótkim czasie rekonwalescent wyjeżdżał konno, już to sam, już to ze swymi przyjaciółmi. Jego rozmowa była poważna i uprzejma, obcowanie z nim nauczające i orzeźwiający, często spostrzec można było ślady czulej wrażliwości, chociaż starał się ją ukryć, a jeżeli się ukazała wbrew jego woli, potępiał ją niemal, jak się zdawało.

I tak pewnego wieczoru siedział przy stole w milczeniu, chociaż wyglądał pogodnie.

— Musiałeś pan dzisiaj mieć przygodę? — rzekł wreszcie Jarno — i to przyjemną?

— Jakże się pan znasz na ludziach! — odparł Lothar. — Tak jest, spotkała mnie bardzo miła przygoda. Innym razem może bym jej nie uważał za tak powabną jak obecnie, kiedy jestem tak wrażliwy. Pod wieczór jechałem po tamtej stronie rzeki drogą przez wieś, którą dosyć często odwiedzałem w dawniejszych latach. Cierpienie cielesne zrobiło mnie widać kruchszym, niż sądziłem; czułem się rozrzuwniony, a wobec na nowo wracających sił jakby nowo narodzony. Wszystkie przedmioty ukazywały mi się w tym właśnie świetle, w jakim je widziałem w latach poprzednich; wszystkie tak miłe, tak wdzięczne, tak powabne, jak od dawna mi się już nie ukazywały. Zauważyłem, że to była słabość, ale podobało mi się, jechałem z wolna i rozumiałem doskonale, iż ludzie mogą polubić chorobę, która usposabia do łagodnych wzruszeń. Może pan wiesz, co dawniej prowadziło mnie tak często tą drogą?

— Jeżeli sobie dobrze przypominam — odparł Jarno — to był to mały romansik, jaki się snuł z córką dzierzawcy.

— Trzeba by go raczej nazwać dużym — odrzekł Lothar — gdyż oboje kochaliśmy się bardzo, wielce poważnie i dosyć długo. Przypadkowo wszystko się dziś tak składało, że dawało mi żywy obraz pierwszych chwil naszej miłości. Chłopcy strzäsali właśnie chrabąszcze z drzew, a liście na jesionach nie były szersze niż w tym dniu, kiedy ujrzałem

je po raz pierwszy. Od dawna już nie widziałem Małgorzaty, gdyż wyszła za mąż daleko stąd, ale przypadkiem usłyszałem, że przed kilkoma tygodniami przybyła tu z dziećmi, by odwiedzić ojca.

— Więc ta przejażdżka nie była chyba całkiem przypadkowa?

— Nie przeczę — odrzekł Lothar — że pragnąłem ją spotkać. Kiedy byłem niedaleko mieszkania, zobaczyłem jej ojca siedzącego przed drzwiami; stało przy nim dziecko mniej więcej jednoroczne. Gdy się zbliżyłem, jakaś kobieta wyjrzała tylko przez okno na górze, a gdy doszedłem do drzwi, usłyszałem, jak ktoś zeskakuje ze schodów. Myślałem, że to na pewno ona, i, muszę się przyznać, pochlebiałem sobie, że mnie poznała i że pośpiesza na moje spotkanie. Ale jakże byłem zawstydzony, kiedy wyskoczyła z drzwi, chwyciła dziecko, które zanadto zbliżyło się do koni, i zaniosiła je do domu. Było to dla mnie niemiłe wrażenie, a moja próżność o tyle tylko doznała pociechy, że kiedy odchodziła pośpiesznie, zdawało mi się, że spostrzegłem zauważalny rumieniec na jej szyi i na odkrytym uchu... Zatrzymałem się, rozmawiałem z ojcem, a tymczasem spod oka rozglądałem się po oknach, czy się tu lub ówdzie nie ukaże, ale nie ujrzałem jej ani śladu. Nie chciałem pytać i tak się przejechało. Zawód złagodzony był w pewnej mierze podziwem, bo chociaż ledwie dojrzałem twarz, wydała mi się młodsza, równie smukła, równie lekka w nogach, z szyją może jeszcze ładniejszą niż dawniej, z policzkami równie łatwo skłonny do przeszlicznego czerwienia się, a przy tym to matka sześciorga dzieci, a może i więcej. Zjawienie to tak doskonale godziło się z resztą tego zaczarowanego świata, który mnie otaczał, że z tym bardziej odmłodzonym uczuciem jechałem dalej i zawróciłem dopiero w najbliższym lesie, kiedy słońce miało się ku zachodowi. Chociaż padająca rosa mocno przypominała mi zalecenie lekarza i roztropniej by było wracać prosto do domu, obrałem znów drogę od strony folwarku. Zauważyłem, że jakieś stworzenie niewieście chodziło tam i z powrotem po ogrodzie otoczonym lekkim żywopłotem. Podjechałem ścieżką w stronę płotu i znalazłem się niedaleko osoby, do której dążyłem. Chociaż słońce wieczorne raziło mnie w oczy, widziałem, że była zajęta przy płocie, który tylko lekko ją zasłaniał. Zdawało mi się, że poznaję swoją dawną ukochaną. Przybliżywszy się do niej, zatrzymałem się nie bez drżenia serca. Kilka wysokich gałązek głogu, poruszanych łagodnym wietrzykiem, nie pozwalało mi widzieć wyraźnie jej postaci. Przemówiłem do niej, pytając, jak się jej powodzi. Odpowiedziała mi półgłosem:

— Bardzo dobrze.

Tymczasem zauważyłem, że za płotem jakieś dziecko zajmuje się zrywaniem kwiatów, i korzystając ze sposobności, zapytałem, gdzie jest reszta jej dzieci.

— To nie moje dziecko — odrzekła — byłoby za wcześnie.

I w tej chwili tak się złożyło, że mogłem poprzez gałęzie zobaczyć dokładnie jej twarz, i nie wiedziałem, co powiedzieć na to zjawisko: była to moja ukochana i nie była. Prawie młodsza, prawie piękniejsza, niż kiedy ją znałem przed dziesięciu laty.

— Czyż nie jesteś córką dzierżawcy? — zapytałem na wół zmieszany.

— Nie — odpowiedziała — jestem jej siostrą cioteczną.

— Ale jesteście do siebie bardzo podobne — zauważyłem.

— Wszyscy, którzy znali ją dziesięć lat temu, tak mówią.

Nie przestałem jej pytać o rozmaite rzeczy; moja omyłka była dla mnie przyjemna, chociaż już ją odkryłem. Nie mogłem się oderwać od żywego obrazu minionej szczęśliwości, który stał przede mną. Dziecko tymczasem oddaliło się ode mnie i poszło nad staw szukać kwiatów. Pożegnała się i pobiegła za dzieckiem. Tymczasem dowiedziałem się, że moja dawna kochanka rzeczywiście jest jeszcze w domu ojca, a jadąc, zajmowałem się przypuszczeniami, czy to ona sama, czy też jej cioteczna siostra uchroniła dziecko przed końmi. Powtarzałem sobie w kółko całą tę historię w myślach i nie mogłem sobie wyobrazić, żeby cokolwiek mogło przyjemniej na mnie podziałać. Ale czuję to dobrze, jestem jeszcze chory; poprosimy doktora, żeby nas wybawił od resztek tego usposobienia.

Z poufnymi zwierzeniami o wdzięcznych przygodach miłosnych bywa zazwyczaj tak jak z historiami o strachach; kiedy jedna zostanie opowiedziana, dalsze płyną same z siebie.

Nasze małe towarzystwo we wspomnieniach z minionych czasów znalazło niejedną sprawę tego rodzaju. Lothar miał najwięcej do opowiadania. Historie Jarna miały wszystkie właściwą sobie cechę, a co miał do wyznania Wilhelm, to już wiemy. Tymcza-

sem niepokoiło go, żeby mu nie przypomniano historii z hrabiną, ale nikt nie pomyślał o niej chociażby w najodleglejszy sposób.

— To prawda — rzekł Lothar — nie ma na świecie przyjemniejszego wrażenia niż wtedy, kiedy po obojętnej przerwie serce na nowo otwiera się miłość do nowego przedmiotu; a jednak wyrzekłbym się tego szczęścia na całe życie, gdyby los zechciał mnie połączyć z Teresą. Nie zawsze się jest młodzieńcem, a nie powinno się być zawsze dzieckiem. Dla mężczyzny znającego świat, który wie, co ma na nim robić, czego się po nim spodziewać, cóż może być bardziej pożądanego niż znaleźć małżonkę, która wszędzie razem z nim działa i która umie mu wszystko przygotować, której działanie podejmuje to, co on musi pozostawić w spokoju, której skrzętność rozpościera się na wszystkie strony, kiedy on winien postępować wciąż tylko prostą drogą. O jakim niebie marzyłem sobie z Teresą! Nie niebie marzycielskiego szczęścia, lecz niebie bezpiecznego życia na ziemi: o ładzie w szczęściu, odwadze w nieszczęściu, dbałości o najdrobniejszą rzecz i o duszy zdolnej do ujęcia i do opuszczania rzeczy największych. O, widziałem w niej dobrze zdolności, których rozwinięcie podziwiamy, widząc w dziejach kobiety, które ukazują nam się daleko znakomitsze od wszystkich mężczyzn: tę jasność wśród różnorodnych okoliczności, tę obrotność we wszystkich wypadkach, tę pewność w szczegółach, z czym całości zawsze tak dobrze, chociaż one zgoła nie wydają się kiedykolwiek o niej myśleć. Możesz mi pan doprawdy wybaczyć — mówił dalej, zwracając się z uśmiechem do Wilhelma — jeżeli Teresa odebrała mnie Aurelii; z tamtą mogłem się spodziewać pogodnego życia, gdy przy tej nie można było myśleć nawet o godzinie szczęśliwej.

— Nie przeczę — odrzekł Wilhelm — że przybyłem tu z wielką goryczą w sercu do pana i że postanowiłem sobie surowo zganić postępowanie pańskie wobec Aurelii.

— Zasluguje też ono na naganę — powiedział Lothar — nie powinienem był swojej przyjaźni dla niej mieszać z uczuciem miłości; nie powinienem był zamiast poważania, na które zasługiwała, wciskać skłonności, której nie mogła ani obudzić, ani utrzymać! Ach, nie była kochana, kiedy kochała, a to jest największym nieszczęściem, jakie może spotkać kobietę.

Miłość niespełniona,  
Kobieta

— Dajmy na to — odparł Wilhelm. — Nie zawsze możemy uniknąć rzeczy godnych nagany, nie możemy uniknąć, by nasze usposobienia i działania nie zbaczały w dziwny sposób od swego naturalnego i dobrego kierunku, ale nigdy nie powinniśmy tracić z oczu pewnych obowiązków. Popioły przyjaciółki niech spoczywają błogo; nie karcąc siebie i jej nie ganiąc, złóżmy ze współczuciem kwiaty na jej grobie. Ale przy grobie, w którym leży nieszczęśliwa matka, pozwól mi się pan zapytać, dlaczego nie zajmiesz się dzieckiem? Synem, którym cieszyłby się każdy, a którego pan zdajesz się zupełnie zaniedbywać. Jak pan możesz wobec swych uczuć czystych i tkliwych zaprzecić się całkiem ojcowskiego serca? Przez cały ten czas ani słówkiem nie napomknąłeś o tym lubym stworzeniu, o wdzięku, o którym byłoby tyle do opowiadania.

— O kim pan mówisz? — odparł Lothar. — Nie rozumiem pana.

— A o kimże by innym, jak nie o pańskim synu, o synu Aurelii, pięknym dziecku, któremu do szczęścia niczego nie brakuje prócz tego, żeby się nim zajął czuły ojciec?

— Mylisz się bardzo, mój przyjacielu! — zawołał Lothar. — Aurelia nie miała syna, a przynajmniej po mnie; nic nie wiem o dziecku, gdyż inaczej zająłbym się nim z radością, ale i w obecnym wypadku chętnie poczytam to małe stworzonko za spuściznę po niej i dbać będę o jego wychowanie. Czy dała poznać czymkolwiek, że chłopak należy do niej, należy do mnie?

— Nie przypominam sobie, bym to od niej słyszał wyraźnie, ale tak to było przyjęte i nie wątpiłem w to ani przez chwilę.

— Mogę dać co do tego pewne wyjaśnienie — przerwał Jarno. — Pewna wyrob-nica<sup>148</sup>, którą pan pewnie często widywałeś, przyniosła dziecko do Aurelii; ona przyjęła je namiętnie, spodziewając się zmniejszyć swoje cierpienia jego obecnością, i istotnie uprzyjemniło jej ono niejedną chwilę.

Odkrycie to bardzo zaniepokoiło Wilhelma; najżywiej wyobraził sobie dobrą Mignon obok pięknego Feliksa, okazał chęć wydobycia obojga dzieci z położenia, w jakim się znalazły.

<sup>148</sup>wyrob-nica (daw.) — kobieta wynajmująca się do różnych prac fizycznych. [przypis edytorski]

— Załatwimy to szybko — odrzekł Lothar. — Osobliwą dziewczynę prześlemy Teresie, nie może trafić w lepsze ręce, a co do chłopca, weźmiesz go pan, tak sądzę, do siebie, bo co nawet kobiety pozostawiają u nas niewykształcone, to kształcą dzieci, kiedy z nimi przestajemy.

— W ogóle sądziłbym — dodał Jarno — żebyś po prostu wyrzekł się teatru, do którego nie masz pan przecie wcale talentu.

Wilhelm poczuł się dotknięty; musiał przyjść do siebie, gdyż szorstkie słowa Jarna mocno zraniły jego miłość własną.

— Jeżeli mnie pan o tym przekonasz — odparł z wymuszonym uśmiechem — to wyświadczysz mi pan przysługę, chociaż to smutna przysługa, jeśli się kogoś wyrywa z ulubionego marzenia.

— Nie rozgadując się o tym dłużej — odrzekł Jarno — chcę tylko namówić pana przede wszystkim do sprowadzenia dzieci, reszta sama się ułoży.

— Jestem gotowy — odpowiedział Wilhelm — jestem niespokojny i ciekawy, czy nie będę mógł odkryć czegoś dokładniejszego o losie chłopca; chcę znów zobaczyć dziewczynę, która się do mnie tak szczególnie przywiązała.

Uzgodniono, że powinien wkrótce wyjechać.

Nazajutrz przygotował się do tego, koń był osiodłany, chciał się jeszcze tylko pożegnać z Lotharem. Kiedy nadeszła pora obiadu, zasiedli jak zazwyczaj do stołu, nie czekając na gospodarza; przyszedł późno i usiadł z nimi.

— Założyłbym się — rzekł Jarno — że dziś znowu pan wystawieś swe tkliwe serce na próbę; nie mogłeś pan oprzeć się pragnieniu zobaczenia swojej dawnej kochanki.

— Zgadłeś pan — odpowiedział Lothar.

— Posłuchajmy — mówił Jarno — jak to się odbyło. Nadzwyczaj jestem ciekawy.

— Nie przeczę — odrzekł Lothar — że ta przygoda leżała na sercu mi więcej niż wypadło; postanowiłem więc pojechać tam raz jeszcze i zobaczyć rzeczywiście osobę, której odmłodzony obraz dał mi tak miłe złudzenie. W pewnej odległości od domu zsiadłem i kazałem prowadzić konie brzegiem, aby nie przeszkadzać dzieciom bawiącym się przed bramą. Wszedłem do domu i przypadkiem wyszła naprzeciw mnie ona, gdyż była to ona sama, a poznałem ją zaraz pomimo wielkiej zmiany. Zmężniała i wydawała się wyższa; wdzięk jej przebijał się poprzez stateczność, a jej rzeźkość przeszła w spokojną rozwagę. Głowa, którą dawniej nosiła tak lekko i swobodnie, była nieco nachylona, a na jej czole rysowały się drobne zmarszczki. Kiedy mnie zobaczyła, spuściła oczy, ale żaden rumieniec nie świadczył o wewnętrznym poruszeniu serca. Podałem jej rękę, dała mi swoją; zapytałem ją o męża; był nieobecny, o dzieci, podeszła do drzwi i przywołała je: wszystkie nadeszły i zebrały się wokół niej. Nie ma nic powabniejszego niż widok matki z dzieckiem w objęciach, a nic czcigodniejszego niż matka wśród wielu dzieci. Zapytałem o imiona małych, aby coś powiedzieć; poprosiła, żebym wszedł do środka i zaczął na jej ojca. Zgodziłem się; zaprowadziła mnie do izby, w której prawie wszystko zastałem jeszcze na dawnym miejscu i — rzecz szczególna! — piękna siostra cioteczna, jej wizerunek, siedziała tak samo na stołku za kołowrotkiem, gdzie tak często zastawałem moją ukochaną w tej samej postawie. Mała dziewczynka, zupełnie podobna do swej matki, przyszła za nami i tak stałem w najdziwniejszej terażniejszości, pomiędzy przeszłością a przyszłością, jakby w lasku pomarańczowym, gdzie na szczupłym obszarze żyją ustopniowane obok siebie kwiaty i owoce. Cioteczna wyszła, by przynieść coś do orzeźwienia; podałem rękę istocie, którą niegdyś tak kochałem, i rzekłem do niej:

— Bardzo się cieszę, że znowu cię widzę.

— Jesteś pan bardzo dobry, mówiąc tak do mnie — odpowiedziała — ale i ja mogę pana zapewnić, że doznaję niewypowiedzianej radości. Jakże często pragnęłam raz jeszcze w życiu ujrzeć pana, pragnęłam tego w chwilach, które uważałam za swoje ostatnie.

Mówiła to głosem pewnym, bez wzruszenia, z tą naturalnością, która mnie niegdyś tak mocno w niej zachwycała. Cioteczna wróciła, przybył ojciec — i pozostawiam wam domyślać się, z jakim uczuciem tam bawiłem i z jakim oddaliłem się.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wilhelm w drodze do miasta myślał o szlachetnych istotach kobiecych, które znał i o których słyszał; ich dziwne losy, niewiele zawierające w sobie pocieszającego, dotykały go obecnie boleśnie.

— Ach! — zawołał. — Biedna Marianno! Czegóż jeszcze będę się musiał o tobie dowiedzieć? A ciebie, wspaniała amazonko, szlachetny ducha opiekuńczy, któremu tyle winienem, którego mam nadzieję spotkać spodziewam, a którego niestety, nie znajduję nigdzie, w jakichże smutnych okolicznościach zastanę cię może, jeżeli znów kiedyś pojawisz się na mej drodze!

W mieście nikogo ze znajomych nie było w domu; pośpieszył do teatru; sądził, że znajdzie ich na próbie; wszędzie było cicho; budynek wydawał się pusty, zobaczył jednak otwartą okiennicę. Wszedł na scenę i zastał dawną służącą Aurelii zajętą zszywaniem płótna do jakiejś nowej dekoracji; wpadało światła tyle tylko, ile było koniecznie potrzeba, by przyświecać jej pracy.

Feliks i Mignon siedzieli przy niej na ziemi; trzymali książkę, a kiedy Mignon czytała, Feliks powtarzał za nią wszystkie słowa, jak gdyby znał litery, jak gdyby także umiał czytać.

Dzieci zerwały się i powitały przybyłego; uściskał je czule i poprowadził bliżej starszki.

— Czy to ty — rzekł do niej poważnie — przyprowadziłaś Aurelii to dziecko?

Oderwała się od pracy i zwróciła ku niemu twarz; zobaczył ją w pełnym świetle, przeraził się, odstąpił kilka kroków; była to stara Barbara.

— Gdzie Marianna? — zawołał.

— Daleko stąd — odparła stara.

— A Feliks?...

— Jest synem tej nieszczęśliwej, aż nadto czule kochającej dziewczyny. Obyś pan nigdy nie odczuł, ile nas pan kosztował! Oby ten skarb, który panu przekazuję, uczynił pana tak szczęśliwym, jak nas uczynił nieszczęśliwymi!

Powstała, chcąc odejść. Wilhelm zatrzymał ją.

— Nie mam zamiaru od pana uciekać — rzekła. — Pozwól mi pan przynieść dokument, który ucieszy pana i zasmuci.

Odeszła, a Wilhelm spoglądał na chłopca z trwożną radością; nie śmiał jeszcze przywłaszczyć sobie dziecka.

— On jest twój! — zawołała Mignon. — On jest twój! — i przycisnęła dziecko do kolan Wilhelma.

Nadeszła stara i wręczyła mu list.

— Tu są ostatnie słowa Marianny — rzekła.

— Więc umarła! — zawołał.

— Umarła — odrzekła stara. — O, gdybym mogła oszczędzić panu wszystkich wyrzutów.

Zaskoczony i zmieszany Wilhelm otworzył list, ale ledwie odczytał pierwsze słowa, ogarnął go gorzki ból; upuścił list, upadł na trawiasty brzeg i leżał tam przez chwilę. Mignon zajęła się nim troskliwie. Tymczasem Feliks podniósł list i dopóty szarpał swoją towarzyszkę zabaw, aż ta ustąpiła, przyklękła przy nim i zaczęła mu czytać. Feliks powtarzał wyrazy, a Wilhelm a Wilhelm był zmuszony wysłuchać ich dwukrotnie.

Jeżeli ten list kiedyś do Ciebie dotrze, pożałuj swojej nieszczęśliwej kochanki. Twoja miłość ją zabiła. Chłopiec, którego narodziny przeżywałem jedynie o kilka dni, jest Twój. Umieram wierna Tobie, chociażby wiele pozorów mogło przemawiać przeciw mnie. Z Tobą straciłam wszystko, co mnie łączyło z życiem. Umieram zadowolona, bo mam pewność, że dziecko jest zdrowe i będzie żyło. Wysłuchaj starej Barbary, przebacz jej, bądź zdrów i nie zapominaj o mnie!

Co za bolesny, a ku jego pocieszeniu na wpół zagadkowy list! Jego treść dała mu się odczuć z całą siłą, gdy dzieci, jękając się i utykając, odczytywały go i powtarzały.

— Otóż pan masz! — zawołała stara, nie czekając, aż ochłonie. — Dziękuj pan niebu, że po stracie tak dobrej dziewczyny pozostaje panu jeszcze tak doskonałe dziecko. Nic

List

nie dorówna pańskiemu bólowi, kiedy się dowiesz, jak dobra dziewczyna pozostała panu wierna aż do końca, jak się stała nieszczęśliwa i jak wszystko dla pana poświęciła.

— Daj mi puchar nieszczęścia i radości wypić od razu! — zawołał Wilhelm. — Przekonaj mnie, owszem, wmów we mnie choćby, że była dobrą dziewczyną, że zasługiwała na mój szacunek tak samo, jak na miłość, i pozostaw mnie potem z mym bólem z powodu niepowetowanej straty.

— Nie czas teraz — odparła stara — mam robotę i nie chciałabym, żeby zastano nas razem. Niech to będzie tajemnicą, że Feliks należy do pana; zbyt wiele musiałabym znieść wyrzutów od towarzystwa z powodu dotychczasowego udawania. Mignon nas nie zdradzi, jest dobra i umie milczeć.

— Wiedziałam to od dawna i nic nie mówiłam — odparła Mignon.

— Jak to możliwe? — zawołała stara.

— Skąd? — przerwał Wilhelm.

— Duch mi to powiedział.

— Jak? Gdzie?

— Pod sklepieniem, kiedy stary dobył noża, ktoś krzyknął do mnie: „Zawołaj jego ojca!”, a wtedy tyś mi przyszedł do głowy.

— Ale kto krzyknął?

— Nie wiem, w sercu, w głowie, tak się bałam, drżałam, modliłam się, wtedy to krzyknął, a ja zrozumiałam.

Wilhelm przycisnął ją do serca, polecił jej Feliksa i odszedł. Dopiero na koniec zauważył, że odkąd ją opuścił, stała się o wiele bledsza i chudsza. Spośród znajomych najpierw znalazł panią Melina; przywitała w najbardziej przyjazny sposób.

— O, gdybyś pan znalazł u nas wszystko tak, jak pragniesz! — zawołała.

— Wątpię w to — odrzekł Wilhelm — i nie spodziewałem się tego. Wyznaj pani, proszę: dołożono wszelkich starań, aby poradzić sobie beze mnie?

— Bo i po cóż pan odchodziłeś? — odparła przyjaciółka.

— Nigdy nie jest za wcześnie, żeby przekonać się z doświadczenia, jak jest się zbędnym na świecie! Za jakież to ważne uważamy się osoby! Zdaje nam się, że my jedni ożywiamy kółko, w którym działamy; wyobrażamy sobie, że podczas naszej nieobecności musi zatrzymać się życie, jedzenie i oddychanie, a tymczasem luka, która powstaje, jest prawie niezauważalna, tak się szybko zapełnia, ba, często staje się tylko miejscem dla czegoś, jeśli nie lepszego, to przyjemniejszego.

— A cierpień naszych przyjaciół nie liczymy?

— I nasi przyjaciele dobrze robią, jeżeli szybko się opatrzą, jeżeli sobie powiedzą: „Tam gdzie jesteś, tam gdzie trwasz, rób, co możesz, bądź aktywny i uprzejmy i niech ci terażniejszość będzie pogodna”.

Dowiadując się dokładniej, Wilhelm odkrył to, co przypuszczał: została urządzona opera i ściągała na siebie całą uwagę publiczności. W tym czasie jego role zostały zajęte przez Laertes i Horacego i obaj wywoływali u widzów daleko żywsze oklaski, niżby on kiedykolwiek mógł otrzymać.

Nadszedł Laertes, a pani Melina zawołała:

— Patrz no pan na tego szczęśliwca, który niebawem zostanie kapitalistą albo Bóg wie czym!

Wilhelm ściskając go, poczuł na jego surducie nadzwyczaj delikatne sukno; reszta ubrania była prosta, ale wszystko z najlepszego materiału.

— Rozwiąż mi pan tę zagadkę! — zawołał Wilhelm.

— Jest jeszcze dość czasu — odparł Laertes — by się dowiedzieć, że moje wałęsanie się jest teraz opłacane, że pewien naczelnik wielkiego domu handlowego czerpie korzyści z mego niespokojnego trybu życia, z moich wiadomości i znajomości i pozostawia mi niejaka z nich cząstkę; dałbym wiele za to, żebym mógł też zdobyć zaufanie kobiet, bo w tym domu jest ładna siostrzenica i uważam, że gdybym tylko zechciał, mógłbym wkrótce zostać skończonym mężem.

— Zapewne nie wiesz pan jeszcze — rzekła pani Melina — że w tym czasie i wśród nas zawarto małżeństwo? Serlo naprawdę poślubił publicznie piękną Elmirę, gdyż ojciec nie chciał pobłażać ich potajemnej poufaleści.

Tak rozmawiali o tym i o owym, co się wydarzyło pod jego nieobecność, i mógł doskonale zauważyć, że ze względu na ducha i usposobienie towarzystwa, był już naprawdę od dawna zwolniony.

Niecierpliwie oczekiwał na staruszkę, która zapowiedziała mu dziwną wizytę głęboką nocą. Miała przyjść, gdy wszyscy usną, i żądała takich przygotowań, jakby jakaś młodziutka dziewczyna chciała się wymknąć do kochanka. Tymczasem ze sto razy przeczytał list Marianny, odczytywał z niewymownym zachwytem wyraz „wierność”, napisany jej ukochaną ręką, a ze zgrozą zapowiedź jej śmierci, której bliskości zdawała się nie lękać.

Minęła północ, kiedy coś zaszeleściło przy uchylonych drzwiach i weszła stara z koszykiem w ręku.

— Mam panu opowiedzieć — rzekła — dzieje naszych cierpień, a muszę się spodziewać, że będziecie przy tym siedzieć niewzruszeni, że oczekujecie mnie tu tak pilnie jedynie dla zaspokojenia swojej ciekawości i że obleczecie się teraz, jak i wówczas, w swoją zimną miłość własną, kiedy nam serce pęka. Ale patrzcie no! Tak owego szczęśliwego wieczoru wydobylałam butelkę szampana, tak postawiłam trzy kieliszki na stole i tak zaczęliście mamić nas i usypiać niewinnymi historyjkami dzieciństwa, jak ja teraz muszę was oświecić smutnymi prawdami i utrzymać was w czuwaniu.

Wilhelm nie wiedział, co powiedzieć, kiedy stara rzeczywiście wyjęła korek i naląła trzy pełne kieliszki.

— Pijcie! — zawołała, opróżniwszy czym prędzej pieniący się kieliszek. — Pijcie! Zanim wino wyszumi! Ten trzeci kieliszek niech wymusza nietknięty na pamiątkę mojej nieszczęśliwej przyjaciółki. Tak czerwone były jej wargi, kiedy do was przepijała! Ach, a teraz są na wieki zbladłe i stężale!

— Sybillo! Furio<sup>149</sup>! — zawołał Wilhelm, podrywając się i uderzając pięścią w stół. — Co za zły duch cię opętał i tobą kieruje? Za kogo mnie masz, myśląc sobie, że najprostsza historia o śmierci i cierpieniach Marianny nie zaboli mnie dość dotkliwie, kiedy używaś jeszcze takich sztuczek piekielnych, aby zaostrzyć moje katusze? Jeżeli twoje nienasycone opilstwo sięga tak daleko, że musisz hulać nawet na stypie, to pij i mów! Od dawna miałem do ciebie wstręt, a teraz jeszcze nie mogę sobie wyobrazić Marianny jako niewinnej, kiedy tylko patrzę na ciebie, jej towarzyszkę.

— Zwolnij, mój panie — odparła stara. — Nie odbierzesz mi śmiałości. Jesteś nam jeszcze wiele winien, a od dłużnika nie spodziewamy się złego zachowania. Ale masz pan słusność; nawet moje najprostsze opowiadanie będzie dla pana dostateczną karą. A więc słuchaj pan o walce i zwycięstwie Marianny, aby pozostać twoją.

— Moją? — zawołał Wilhelm. — Cóż to za bajkę rozpoczynasz?

— Nie przerywaj mi pan — wtrąciła. — Słuchaj mnie, a potem myśl sobie, co chcesz, zresztą teraz to wszystko jedno. Czy ostatniego wieczoru, kiedyś był u nas, nie znalazłeś i nie wziąłeś biletu?

— Znalazłem liścik dopiero wtedy, kiedy go już zabrałem, był zawinięty w chustkę, którą z gorącej miłości wziąłem i schowałem.

— Co zawierał ten papier?

— Nadzieje stroskanego kochanka, iż następnej nocy zostanie lepiej przyjęty niż wczorajszej. A że dotrzymano mu słowa, widziałem na własne oczy, gdyż wczesnym rankiem wymknął się z waszego domu.

— Mogłeś go pan widzieć, ale co się u nas działo, jak Marianna była smutna tamtej nocy, a ja markotna, o tym się dowiesz dopiero teraz. Będę zupełnie szczerą, nie chcę ani przeczyć, ani upiększać, że ja namówiłam Mariannę, żeby się oddała niejakiemu Norbergowi. Poszła, ba, mogę powiedzieć, była mi posłuszna ze wstrętem. On był bogaty, wydawał się zakochany, a ja spodziewałam się, że będzie stały. Zaraz potem musiał wyruszyć w podróż, a Marianna poznała pana. Com ja wtedy musiała przetrwać, ile stawiać przeszkód, co wycierpieć! „O! — wołała nieraz — gdybyś szanowała moją młodość, moją niewinność jeszcze tylko cztery tygodnie, to znalazłabym godny przedmiot mojej miłości, byłabym go godna i miłość mogłaby ze spokojnym sumieniem dać to, com teraz wbrew woli sprzedawała...” Oddała się całkiem swojej skłonności, a ja nie potrzebuję pytać, czyś pan

<sup>149</sup> *Furie* (mit. rzym.) — demoniczne boginie zemsty, ścigały przestępców (szczególnie morderców), dręcząc ich poczuciem winy i doprowadzając do obłąd. [przypis edytorski]

był szczęśliwy. Miałam nieograniczoną władzę nad jej rozsądkiem, gdyż znałam wszystkie środki zaspokojenia jej drobnych upodobań, ale nie miałam żadnej mocy nad jej sercem, nigdy bowiem nie pochwalała tego, co dla niej robiłam, do czego ją skłaniałam, jeżeli jej serce temu się sprzeciwiało, ustępowała tylko niezwykłej nędzy, a nędza wkrótce wydała jej się bardzo dotkliwa. We wczesnych latach młodości na niczym jej nie zbywało; rodzina jej wskutek powikłania okoliczności straciła majątek; biedna dziewczyna przyzwyczajona była do pewnych potrzeb, a w jej młodziutkiej duszy były zaszczerpione pewne dobre zasady, które ją niepokoiły, niewiele pomagając. Nie miała najmniejszej zręczności w sprawach światowych, była niewinna we właściwym znaczeniu; nie wyobrażała sobie, że można kupować, nie płacąc; nic jej tak mocno nie dręczyło, jak kiedy była dłużna, zawsze chętniej by dawała, niż brała, a tylko takie położenie sprawiło, że zmuszona była oddać samą siebie, aby się wyzwolić od mnóstwa drobnych długów.

— A ty nie mogłaś jej ocalić? — krzyknął Wilhelm.

— O tak! — odparła stara. — Głodem i nędzą, zmartwieniem i wyrzeczeniem się, a na to nigdy nie była przygotowana.

— Obrzydliwa, niktzemna rajfurko<sup>150</sup>! Więc poświęciłaś nieszczęśliwą istotę? Więc złożyłaś ją na ofiarę swojej gardzieli, swemu nienasyconemu wilczemu apetytowi?

— Zrobilibyście lepiej, gdybyście się miarkowali i wstrzymali z wymyślaniem — odrzekła stara. — Jeżeli chcecie wymyślać, to idźcie do swych wielkich dostojnych domów, a znajdziecie tam matki, które wielce zapobiegliwie troszczą się o to, jak dla ślicznej, niebiańskiej dziewczyny wyszukać człowieka choćby najobrzydliwszego, byleby tylko był bogaty. Patrzenie, jak to biedne stworzenie drży i trzęsie się wobec swego losu i nigdzie nie znajduje pociechy, aż jakaś doświadczona przyjaciółka wytłumaczy jej, iż przez małżeństwo pozyskała prawo rozporządzania swoim sercem i swoją osobą, jak jej się podoba.

— Milcz! — zawołał Wilhelm. — To ty sądzisz, że jeden występki może zostać uniewinniony przez drugi? Opowiadaj, nie wdając się w uwagi.

— To mnie pan słuchaj, nie łajac mnie! Marianna stała się twoja wbrew mojej woli. W tej przygodzie nie mam sobie przynajmniej nic do wyrzucenia. Norberg wrócił, pospieszył zobaczyć Mariannę, która go przyjęła zimno i kwaśno, nie pozwalając nawet na całus. Musiałam użyć całej swej sztuki, aby usprawiedliwić jej zachowanie; dałam mu do zrozumienia, że to spowiednik zaniepokoił jej sumienie i że dopóki sumienie przemawia, trzeba je szanować. Skłoniłam go do odejścia, obiecując zrobić dla niego, co tylko będę mogła. Był bogaty i nieokrzesany, ale z gruntu dobroduszny i nadzwyczaj kochał Mariannę. Przyrzekł mi cierpliwość, a ja pracowałam tym żywiej, aby go zanadto nie wystawiać na próby. Z Marianną miałam ciężką przeprawę, nakłoniłam ją, ba, mogę powiedzieć, zmusiłam w końcu pogróżką opuszczenia jej, żeby napisała do kochanka i zaprosiła go do nas. Pan przyszedł i przypadkiem zagarnął w chustce jego odpowiedź. Pańska niespodziewana obecność wyrządziła mi okrutną psotę. Ledwie się oddaliłeś, na nowo rozpoczęło się utrapienie; przysięgała, że nie może się panu sprzeniewierzyć i tak była roznamiętniona, tak nieprzytomna, że wymusiła na mnie serdeczną litość. Obiecałam jej w końcu, że jeszcze tej samej nocy uspokoję Norberga i oddalę go pod jakimś pozorem; prosiłam ją, by się położyła do łóżka, ale ona widocznie mi nie dowierzała; pozostała w ubraniu i wreszcie zasnęła, wzruszona i zapłakana, nie rozbierając się. Nadszedł Norberg, starałam się go powstrzymać; przedstawiałam mu w najczarniejszych barwach jej wyrzuty sumienia, jej skrucę; pragnął ją tylko zobaczyć; weszłam do pokoju, aby ją przygotować; postępowal za mną, tak że oboje równocześnie stanęliśmy przy jej łóżku. Obudziła się, zerwała z wściekłością i wydarła z naszych rąk, zaklinała i prosiła, błagała, groziła i zapewniała, że nie ustąpi. Była tyle nieostrożna, że powiedziała kilka słów o swojej prawdziwej namiętności, które biedny Norberg musiał sobie tłumaczyć w znaczeniu duchowym. Na koniec opuścił ją, a ona się zamknęła. Zatrzymałam go jeszcze długo u siebie i rozmawiałam z nim o jej stanie, iż jest przy nadziei i że trzeba oszczędzać biedną dziewczynę. Czuł się tak dumny ze swego ojcostwa, tak mocno cieszył się na myśl o chłopcu, że przystał na wszystko, czego od niego wymagałam, i przyrzekł raczej na pewien czas wyjechać w podróż, niż trwożyć swą ukochaną i szkodzić jej tymi wzruszeniami duszy. W takim to usposobieniu wymknął się ode mnie rankiem, a pan, mój panie, jeśliś

<sup>150</sup>rajfurka — pośredniczka prostytucji; stręczycielka. [przypis edytorski]

czatował na warcie, do swego szczęścia nic więcej byś nie potrzebował, jak zająrzeć w serce swego rywala, którego uważałeś za obdarzonego względami, za szczęśliwego i którego widok przyprawił pana o rozpacz.

— Prawdę mówisz? — rzekł Wilhelm.

— Taką prawdę — odpowiedziała stara — jaką się jeszcze spodziewam doprowadzić pana do rozpacz. O, z pewnością rozpaczalibyś pan, gdybym mogła z całą żywością przedstawić ci obraz naszego następnego poranku. Jakże pogodnie się obudziła, jak przyjaźnie mnie wezwała! Jak żywo mi dziękowała! Jak serdecznie przycisnęła mnie do piersi! „No — rzekła, stając uśmiechnięta przed lustrem — teraz mogę znowu cieszyć się sobą, swoją postacią, kiedy znów należę do siebie, do mego jedyne ukochanego przyjaciela. Jak to słodko zwyciężyć! Co to za niebiańskie wrażenie iść za sercem! Jakże ci dziękuję, żeś się za mną ujęła, żeś swoją roztropność, swój rozsądek raz wykorzystała na moją korzyść. Pomagaj mi i wymyśl, co może uczynić mnie zupełnie szczęśliwą!”. Ustąpiłam jej, nie chciałam jej drażnić, schlebiałam jej nadziei, a ona pieściła mnie jak najwdzięcznie. Jeżeli odeszła na chwilę od okna, musiałam stać na warcie, gdyż przecież pan miałeś przechodzić, chciała pana przynajmniej widzieć, tak minął w niepokoju cały dzień. Nocą o zwykłej godzinie spodziewaliśmy się, że na pewno pan przyjdzie. Ja już czekałam na schodach; czas mi się dłużył; weszłam do niej. Ku swemu zdziwieniu zastałam ją w jej stroju oficerskim; wyglądała wesoło i nad wyraz powabnie. „Czyż nie zasługuję — rzekła — by ukazać się dziś w męskim ubiorze? Czyż nie trzymałam się dzielnie? Niech mój ukochany zobaczy dzisiaj mnie tak jak pierwszym razem; równie czule, a z większą niż wówczas swobodą przycisnę go do serca, bo czyż nie jestem teraz o wiele bardziej jego niż wówczas, kiedy mnie jeszcze nie wyzwoliła szlachetna decyzja? Ale — dodała po jakimś namyśle — jeszcze nie całkiem wygrałam; teraz dopiero muszę się odważyć na rzecz najgorszą, aby być go godną, aby się upewnić o posiadaniu go: muszę mu wszystko odkryć, wyjawiać mu cały mój stan i wówczas pozostawić mu decyzję, czy mnie zechce zatrzymać czy odepchnąć. Tę scenę przygotowuję dla siebie, a jeżeli jego uczucie będzie zdolne mnie odepchnąć, to znów będę należała tylko do siebie samej, w tej karze znajdę pocieszenie i zniosę wszystko, co na mnie los zechce na mnie zesłać”. Z takimi uczuciami, z takimi nadziejami, mój panie, oczekiwała pana kochana dziewczyna; nie przyszedłeś. O, jakżeż mam opisać stan oczekiwania i nadziei? Widzę cię jeszcze przed sobą, z jaką miłością, z jakim zapalem mówiłaś o człowieku, którego okrucieństwa jeszcze nie poznałaś!

— Dobra, kochana Barbaro — zawołał Wilhelm, zrywając się i biorąc starą za rękę — dosyć już udawania, dosyć przygotowań. Twój obojętny, spokojny, zadowolony ton zdradził cię! Oddaj mi Mariannę! Ona żyje, ona jest w pobliżu. Nie na próżno na swą próbę wybrałaś tę późną godzinę samotności, nie na próżno przygotowywałaś mnie tym zachwycającym opowiadaniem. Gdzie ją masz? Gdzie ją ukrywasz? Wierzę ci we wszystko, przyrzekam ci wierzyć we wszystko, jeżeli mi ją pokażesz, jeżeli ją zwrócisz w moje ramiona. Widziałem już w przelocie jej cień, niechże ją znowu przyjmę w objęcia. Upadnę przed nią na kolana, będę ją prosił o przebaczenie, powinszuję jej walki i zwycięstwa nad sobą i nad tobą, przyprowadzę jej mego Feliksa. Chodź! Gdzieś ją schowała? Nie pozostawiaj jej, nie pozostawiaj mnie dłużej w niepewności! Osiągnęłaś już cel. Gdzie ją ukryłaś? Chodź, niech ją oświecę tym światłem, niech ujrzę znowu jej piękne oblicze!

Ściągnął starą ze stołka. Patrzyła na niego nieruchomo, łzy płynęły jej z oczu, ogarnął ją niezmierny ból.

— Co za nieszczęśliwy obłęd — zawołała — każe panu mieć jeszcze nadzieję choć przez chwilę!... Tak ukryłam ją, ale pod ziemią; ani światło słoneczne, ani poufała świeca już nigdy nie oświecą jej pięknego oblicza. Zaprowadź pan dobrego Feliksa na jej grób i powiedz mu: „Tu leży twoja matka, którą twój ojciec potępił, nie wysłuchawszy”. Drogie serce już nie bije z niecierpliwości zobaczenia pana ani nie czeka ona w sąsiedniej izbie na koniec mego opowiadania czy mojej bajki; przyjęła ją ciemna izdebka, do której nie chodzi żaden narzeczony, skąd nie wybiega na spotkanie żadnego kochanka.

Rzuciła się przy stolku na ziemię i gorzko płakała. Dopiero teraz Wilhelm nabral całkowitego przekonania, że Marianna nie żyje; był w oplakany stanie. Stara podniosła się.

— Nie mam panu nic więcej do powiedzenia — zawołała, rzucając jakąś paczkę na stół. — Te oto listy niech zupełnie zawstydzą pańskie okrucieństwo; odczytaj te karty z suchymi oczyma, jeżeli tylko zdołasz.

Wymknęła się po cichu, a Wilhelm nie miał tej nocy odwagi, by otworzyć portfel, który sam podarował Mariannie; wiedział, że chowała w nim starannie każdą karteczkę, jaką od niego otrzymała.

Nazajutrz przemógł się. Odwiązał tasiemkę, wypadły przed nim maleńkie bileciki, pisane ołówkiem, jego własną ręką, i uprzytomniły mu znowu każdą sytuację od pierwszego dnia ich miłej znajomości aż do ostatniego, kiedy nastąpiło okrutne rozstanie. Jednak nie bez najwyższego bólu przeczytał zbiorek bilecików pisanych do niego, które, jak widział z treści, zostały jej odesłane przez Wenera.

Żaden z moich listów nie mógł się przedostać do Ciebie, moje prośby i błagania nie doszły do Ciebie. Czyś Ty sam wydał te okrutne rozkazy? Czy już nigdy Cię nie zobaczę? Raz jeszcze próbuję; proszę Cię, przyjdź, o przyjdź! Nie pragnę Cię zatrzymać, bylebym tylko choć raz jeszcze mogła przycisnąć Cię do serca.

\*

Kiedy dawniej siedziałam przy Tobie, trzymałam Twe ręce, patrzyłam Ci w oczy, a z sercem pełnym miłości i zaufania mówiłam do Ciebie: „Drogi, drogi, dobry mężu!”, słuchałeś tego tak chętnie, musiałam Ci powtarzać to tak często. Powtarzam raz jeszcze: Drogi, drogi, dobry mężu! Bądź dobry, jak byłeś, przyjdź i nie daj mi ginąć w moim nieszczęściu!

\*

Uważasz mnie za winną. Jestem winna, ale nie tak, jak sądzisz. Przyjdź, abym dożyła choć jedynej pociechy, żeby dać Ci się poznać w zupełności, a potem niech się dzieje ze mną co chce.

\*

Nie tylko dla siebie samej, ale także dla Ciebie błagam Cię, żebyś przyszedł. Czuję te nieznośne cierpienia, jakich doznajesz, unikając mnie. Przyjdź, ażeby nasze rozstanie było mniej okrutne! Nie byłam może nigdy godniejsza Ciebie niż właśnie w chwili, kiedyś mnie wpychał w nieszczęście bez granic.

\*

Na wszystko, co święte, na wszystko, co może wzruszyć serce ludzkie, zaklinam Cię! Tu chodzi o duszę, tu chodzi o życie, o dwa życia, z których jedno wечно drogim Ci być musi. Twoja podejrzliwość nie uwierzy i temu, a jednak wypowiem to i w godzinę śmierci: dziecię, które noszę pod sercem, jest Twoje. Odkąd Cię kocham, nikt inny nawet nie uściśnął mi dłoni. O, gdyby to Twoja miłość, Twoja uczciwość były towarzyszkami mojej młodości!

\*

Nie chcesz mnie wysłuchać? Muszę więc wreszcie zamilknąć, ale te kartki nie zginą, może będą mogły przemówić do Ciebie wówczas, kiedy moje usta przykryje całun i kiedy głos Twego żalu nie dosięgnie już mego ucha. W ciągu smutnego mego życia aż do chwili ostatniej jedyną moją pociechą będzie to, że względem Ciebie byłam bez winy, chociażbym nie mogła nazwać się niewinną.

Wilhelm nie mógł czytać dalej; oddał się całkiem bólowi, ale doznał jeszcze większego udręczenia, gdy wszedł Laertes, przed którym starał się ukryć swoje wzruszenie. Ten wyjął sakiewkę z dukatami, liczył i rachował, i zapewniał Wilhelma, że nie ma nic piękniejszego na świecie, jak kiedy się jest właśnie na drodze do wzbogacenia się, że wówczas nic nam nie może przeszkadzać, ani nas wstrzymać. Wilhelm przypomniał sobie swój sen i uśmiechnął się, lecz zarazem pomyślał też ze wzdrygnięciem, że w tym widzeniu sennym Marianna go opuściła, aby pójść za jego zmarłym ojcem i że oboje w końcu poruszali się jak duchy, unosząc się nad ogrodem.

Laertes wyrwał go z zamyślenia i zaprowadził do kawiarni, gdzie zaraz zebrali się wokół niego kilka osób, które dawniej lubiły widywać go na scenie; cieszyli się jego obecnością, ale żalowali, że chciał, jak słyszeli, opuścić teatr; mówili tak jasno i rozumnie o nim i o jego grze, o stopniu jego talentu, o tym, czego się po nim spodziewali, że Wilhelm nie bez wzruszenia zawołał wreszcie:

— O, jak nieskończenie cenne dla mnie byłoby to zrozumienie przed paroma miłośnikami! Jak pouczające i jak radosne! Nigdy nie odwróciłbym się tak całkowicie od sceny i nigdy nie zaszedłbym tak daleko, żeby zwątpić o publiczności.

— Tak daleko nie powinno się w ogóle zachodzić — rzekł jakiś starszy człowiek, wstępując naprzód. — Publiczność jest wielka, prawdziwy rozsądek i prawdziwe uczucie nie są tak rzadkie, jak się myśli, tylko artysta nigdy nie powinien wymagać bezwarunkowego oklasku za to, co tworzy, gdyż bezwarunkowy właśnie wart najmniej, a warunkowego ci panowie nie bardzo lubią. Dobrze wiem, w życiu jak i w sztuce trzeba siebie słuchać, jeśli się chce coś zrobić i stworzyć, ale kiedy to już jest zrobione i wykończone, to należy uważnie przysłuchiwać się wielu, a przy pewnej wprawie, można sobie rychło z tych wielu głosów złożyć sąd całkowity; ci bowiem, którzy by nam mogli oszczędzić tego trudu, w większości dość są milczący.

— Nie powinni — rzekł Wilhelm. — Często słyszałem, że ludzie, którzy sami milczeli o dobrych dziełach, skarżyli się i żalowali, że zachowywano milczenie.

— To bądźmy dzisiaj głośni — zawołał jakiś młodzieniec. — Niech pan zje z nami obiad, a my powetujemy wszystko, w czym się zadłużyliśmy u pana, a nieraz i dobrej Aurelii.

Wilhelm wymówił się od zaproszenia i udał się do pani Melina, z którą chciał pomówić o dzieciach, mając zamiar je od niej odebrać.

Tajemnica starej nie została przez niego najlepiej zachowana. Zdradził się, gdy tylko ujrzął na nowo pięknego Feliksa.

— O, moje dziecię! — zawołał. — Moje kochane dziecię!

Podniósł go i przycisnął do serca.

— Ojczy, co mi przyniosłeś? — zapytało dziecko.

Mignon patrzyła na obydwu tak, jakby ich chciała ostrzec, żeby się nie zdradzali.

— Cóż to za nowy objaw? — rzekła pani Melina.

Starali się odsunąć dzieci, a Wilhelm, który nie sądził, że powinien starowinie dochowywać najściślejszej tajemnicy, odkrył swej przyjaciółce cały związek. Pani Melina patrzyła na niego z uśmiechem.

— O, wy, łatwowierni mężczyźni! — zawołała. — Jeżeli tylko coś jest na ich drodze, bardzo łatwo na nich to zwalić, ale innym razem nie oglądają się ani w prawo, ani w lewo i nie umieją niczego docenić, czego wprzód nie oznaczyli stemplem samowolnej namiętności.

Nie mogła ukryć westchnienia, a gdyby Wilhelm nie był zupełnie ślepy, musiałby poznać w jej zachowaniu nigdy całkiem niepokonaną skłonność.

Rozmawiał z nią tedy o dzieciach, iż zamyśla zatrzymać Feliksa przy sobie, a Mignon oddać na wieś. Pani Melina, chociaż niechętnie rozstawała się z obojgiem naraz, uznała

projekt za dobry, ba, za konieczny. Feliks dziczał przy niej, a Mignon, jak się zdawało, potrzebowała świeżego powietrza i innych stosunków; dobre dziewczę było chorowite i nie mogło wyzdrowieć.

— Niech to pana nie myli — mówiła pani Melina dalej — że lekkomyślnie wyraziłam pewne wątpliwości co do tego, czy chłopak jest pański. Starej nie można zapewne ufać, ale kto nieprawdę zmyśla na swą korzyść, może też raz powiedzieć prawdę, jeżeli prawda ta wydaje się mu korzystna. Aurelii stara wmówiła, że Feliks jest synem Lothara, a my kobiety mamy tę szczególną cechę, że jeżeli już nie możemy być matkami, naprawdę kochamy dzieci naszych kochanków albo też nienawidzimy je serdecznie.

W tej chwili nadbiegł Feliks; przycisnęła go do siebie z taką żywością, jaka dawniej nie była u niej zwykłą.

Wilhelm pośpieszył do domu i wezwał starą, która go obiecała odwiedzić, ale nie wcześniej niż o zmierzchu. Przyjął ją cierpko, mówiąc do niej:

— Nie ma nic bezwstydniejszego niż się opierać na kłamstwach i baśniach! Już przez to zrobiłaś wiele złego, a teraz, kiedy twoje słowo mogłoby zadecydować o szczęściu mego życia, teraz stoję w zwątpieniu i nie śmiem wziąć w objęcia dziecka, którego niezmaczone posiadanie uczyniłoby mnie niezmiernie szczęśliwym. Nie mogę patrzeć na ciebie, bezwstydną istotę, bez nienawiści i pogardy.

— Wasze zachowanie — odparła stara — wydaje mi się, mówiąc szczerze, całkiem nieznośne. A gdyby nawet nie było waszym synem, jest to przecież najpiękniejsze, najmiłsze w świecie dziecko, które by się chętnie kupiło za każdą cenę, byle je tylko zawsze mieć przy sobie. Czyż ono nie warte tego, żebyście się nim zajęli? Czyż ja za swoją troskliwość, za swoje trudy z nim nie zasługuję na jakieś utrzymanie w dalszym swoim życiu? O, wy, panowie, którym na niczym nie zbywa, dobrze wam mówić o prawdzie i prawości, ale o tym, jak biedna istota, której najmniejszej potrzeby nic nie zaspokaja, która w swoich kłopotach nie widzi żadnego przyjaciela, żadnej rady, żadnej pomocy, jak ona musi się przeciskać pośród samolubnych ludzi i w milczeniu biedę klepać — o tym można by powiedzieć niejedno, gdybyście chcieli i mogli słuchać. Czytałeś pan listy Marianny? Są to te same, jakie pisała w owym nieszczęsnym czasie. Na próżno starałam się zbliżyć do pana, na próżno usiłowałam doręczyć panu te bilety, pański okrutny szwagier tak pana obiegł, że wszelka chytryść i spryt były daremne, a w końcu, kiedy mnie i Mariannie zagroził więzieniem, musiałam się wyrzec wszelkiej nadziei. Czyż wszystko nie zgadza się z tym, com opowiadała? A list Norberga czyż nie usuwa wszelkich wątpliwości z całej historii?

— Jaki list? — zapytał Wilhelm.

— Czy go pan nie znalazłeś w portfelu? — odparła stara.

— Jeszcze wszystkiego nie przeczytałem.

— Daj no pan portfel; wszystko zależy od tego dokumentu. Nieszczęsny bilet Norberga wywołał smutne zakłamanie, drugie pismo jego ręki niechże rozwiąże węzeł, jeżeli o jeszcze chodzi nic. Wyjęła arkusik z portfela.; Wilhelm poznał tę zniechęconą rękę, skupił się i czytał:

Powiedz mi, dziewczyno, jak mogłaś mi to zrobić? Nigdy bym nie był uwierzył, żeby nawet bogini mogła mnie przemienić we wdychającego kochanka. Zamiast wybiegać mi naprzeciw z otwartymi ramionami, cofasz się; sposób, w jaki się zachowywałaś, można by doprawdy wziąć za wstępną. Czy to podobna, żebym musiał spędzić noc ze starą Barbarą na kufrze w izdebce? A moja ukochana dziewczyna była tylko o dwoje drzwi stamtąd. To zanadto szalone, powiadam Ci! Obiecałem zostawić Ci czas do namysłu, nie naciskać na Ciebie natychmiast, choć mógłbym się złościć za każdy stracony kwadrans. Czy nie dawałem Ci podarunków, jakie znałem i mogłem? Wątpisz jeszcze o mojej miłości? Czego chcesz — powiedz tylko. Na niczym zbywać Ci nie będzie. Pragnąłbym, żeby oniemiał i oślepl ten klecha, który ci takich rzeczy w głowę napakował. Że też musiałaś trafić właśnie na takiego! Jest przecież tylu, którzy umieją wybaczać młodzieży. Dostyc, powiadam Ci, musi być inaczej, za parę dni muszę mieć odpowiedź, gdyż niebawem



znowu odjeżdżam, a jeżeli nie będziesz na powrót przyjazna i uprzejma, to już mnie nie zobaczysz...

List ciągnął się w ten sposób jeszcze długo, ku bolesnemu zadowoleniu Wilhelma, obracał się wciąż wokół tego samego punktu i świadczył o prawdziwości historii, którą usłyszał od Barbary. Drugi list dowodził wyraźnie, że Marianna i w późniejszym czasie nie ustąpiła, a Wilhelm z tych i wielu innych papierów dowiedział się nie bez głębokiego bólu historii nieszczęśliwego dziewczęcia aż do godziny jego śmierci.

Stara ułagodziła powoli surowego człowieka, oznajmiając mu o śmierci Marianny i pozostawiając mu wiarę, że Feliks jest jego synem. Kilka razy przysyłał jej pieniądze, które zachowywała dla siebie, potrafiwszy zdać na Aurelię opiekę i wychowanie dziecka. Ale niestety ten tajemny zysk nie trwał długo. Norberg wskutek szalonego życia przejadł większość swego majątku, a ponowne miłości utwardziły jego serce wobec pierwszego wmówionego syna.

Jakkolwiek wszystko to brzmiało prawdopodobnie i jakkolwiek pięknie się ze sobą zgadzało, jednak Wilhelm nie śmiał jeszcze oddawać się radości; zdawało się, że bał się podarunku, który mu wręczył jakiś zły duch.

— Pańskie postępowanie — rzekła stara, zgadując jego uczucia — tylko czas może uleczyć. Uważaj pan dziecko za obce i tym pilniej zwracaj na nie uwagę; rozważaj sobie jego dary, naturę, jego zdolności, a jeśli powoli nie poznasz pan w nim siebie samego, to chyba liche masz oczy. Bo zapewniam pana: gdybym była mężczyzną, to nikt nie zdołałby mi podrzucić dziecka, ale szczęściem dla kobiet, mężczyźni w tych wypadkach nie są tak przenikliwi.

Po tym wszystkim Wilhelm ugodził się ze starą; on chciał zabrać Feliksa ze sobą, ona miała zawieść Mignon do Teresy, a potem przejechać małą pensyjkę, którą jej obiecał, gdzie sobie zechce.

Kazał zawołać Mignon, aby przygotować ją do tej zmiany.

— Mistrzu — rzekła — zatrzymaj mnie przy sobie; będzie mi z tym i dobrze, i boleśnie.

Tłumaczył jej, że już dorosła i że trzeba coś zrobić dla jej dalszego wykształcenia.

— Jestem dosyć wykształcona — odparła — by kochać i smuć się.

Zwrócił jej uwagę na to, że jej zdrowie potrzebuje trwałej troskliwości i kierownictwa doświadczonego lekarza.

— Po co się o mnie troszczyć — odrzekła — kiedy trzeba troszczyć się o tyle spraw?

Kiedy on zadawał sobie tyle trudu, by ją przekonać, że nie może jej teraz zabrać ze sobą, że ją zawiezie do osób, u których często będzie ją widywać, zdawało się, jakby nic z tego wszystkiego nie słyszała.

— Nie chcesz mieć mnie przy sobie? — rzekła. — Może to i lepiej, wypraw mnie do starego harfiarza; ten starzec jest taki samotny.

Wilhelm starał się jej wyjaśnić, że staremu dobrze się dzieje.

— Tęsknię za nim w każdej chwili — odparła dziewczyna.

— A ja nie zauważyłem — rzekł Wilhelm — żebyś była mu tak dalece przychylna, kiedy jeszcze żył z nami.

— Bałam się go, kiedy czuwał; nie mogłam tylko spoglądać w jego oczy, ale kiedy spał, chętnie przy nim siadałam, odganiałam od niego muchy i nie mogłam się na niego dosyć napatrzeć. O, był pomocą w strasznych chwilach, nikt nie wie, co mu zawdzięczam. Gdybym tylko знаła drogę, już bym do niego pobiegła.

Wilhelm obszernie jej wyłożył wszystkie okoliczności i powiedział, że jest tak rozumnym dzieckiem, iż i tym razem spełni jego życzenia.

— Rozum jest okrutny — odparła — serce jest lepsze. Odejdę, dokąd zechcesz, ale pozostaw mi swego Feliksa!

Po wielu przemowach i odpowiedziach pozostała przy swoim zdaniu, a Wilhelm musiał się w końcu zdecydować na powierzenie obojga dzieci starej Barbarze i wysłanie ich razem do panny Teresy. Przyszło mu to tym łatwiej, że wciąż jeszcze bał się adoptować pięknego Feliksa za syna. Wziął go na ręce i obnosił go wkoło; dziecko lubiło być podnoszone przed lustrem, a Wilhelm, nie przyznając się do tego, chętnie zaniósł go do zwierciadła i starał się wyśledzić podobieństwa między sobą a dzieckiem. Jeśli przez chwilę

wydawało mu się to prawdopodobne, przyciskał chłopca do piersi, lecz nagle przerażony myślą, iż może się oszukiwać, postawił dziecko na ziemi i pozwolił mu odbiec.

— O — zawołał — gdybym mógł przywłaszczyć sobie to bezcenne dobro, a następnie zostałoby mi odebrane, byłbym najniezwyklejszym ze wszystkich ludzi.

Dzieci odjechały, a Wilhelm czując, że już się rozstał z teatrem i wypada mu już tylko odejść, chciał się formalnie z nimi pożegnać. Marianny już nie było, jego dwa duchy opiekuńcze odeszły, a jego myśli pośpieszały za nimi. Piękny chłopiec unosił się przed jego wyobraźnią jak urocza niepewna zjawą; widział, jak pod ręką Teresy biega po polach i lasach, jak się kształci na otwartym powietrzu, obok swobodnej, pogodnej towarzyszki. Teresa stała się mu jeszcze droższa, odkąd myślał, że dziecko jest w jej towarzystwie. Nawet jako widz w teatrze przypominał ją sobie z uśmiechem; prawie tak samo jak u niej, przedstawienia nie dawały mu złudzeń.

Serlo i Melina byli dla niego nadzwyczaj grzeczni, gdy tylko spostrzegli, że nie rości wcale pretensji do swego dawniejszego stanowiska. Pewna część publiczności pragnęła widzieć go raz jeszcze na scenie; byłoby to dla niego rzeczą niemożliwą, a wśród aktorów nikt sobie tego nie życzył, prócz chyba pani Melina.

Pożegnał się tedy już naprawdę z tą przyjaciółką; był wzruszony, gdy mówił:

— Gdyby tylko człowiek nie ośmiewał się obiecywać niczego na przyszłość! Najdrobniejszej nawet rzeczy nie zdoła dotrzymać, a cóż dopiero jeśli jego zamiar jest ważny. Jakże się wstydzę, gdy pomyślę, co wam wszystkim obiecywałem tej nieszczęsnej nocy, kiedyśmy złupieni, chorzy, upokorzeni i zranieni, siedzieli ściśnięci w nędznej oberży. Jakże wówczas nieszczęście podnieciło moją odwagę i w jakiż to skarb wierzyłem w mojej dobrej woli! A teraz nic z tego wszystkiego, nic zgoła! Opuszczam was jako wasz dłużnik, szczęściem dla mnie, że mojej obietnicy nie ceniono więcej, niż była warta, i że nikt się mnie nigdy o nią nie upominał.

— Nie bądź pan wobec siebie niesprawiedliwy — odparła pani Melina. — Jeżeli nikt nie rozumie, co pan dla nas zrobił, to ja o tym nie zapomnę; cała bowiem nasza sytuacja byłaby zupełnie inna, gdybyśmy pana nie mieli. Z naszymi zamiarami bywa tak, jak z życzeniami. Nie są już do siebie podobne, jeśli są dokonane, jeśli są spełnione, a nam się zdaje, żeśmy nic nie zrobili, nic nie osiągnęli.

— Swoim przyjacielskim tłumaczeniem — odparł Wilhelm — nie uspokoisz pani mego sumienia, a ja zawsze będę się uważał za jej dłużnika.

— I możliwe, że nim jesteś — odpowiedziała pani Melina — tylko nie w ten sposób, jak pan myślisz. Wstydźmy się, jeżeli nie spełniliśmy ustnej obietnicy. O, mój przyjacielu, dobry człowiek zawsze za wiele obiecuje samą swoją obecnością! Zaufanie, jakie budzi, skłonność, jaką wywołuje, nadzieje, jakie wzbudza, są nieskończone; jest i pozostaje dłużnikiem, nie wiedząc o tym. Bywaj pan zdrow. Jeżeli nasze zewnętrzne stosunki bardzo pomyślnie się ułożyły pod pańskim kierownictwem, to we wnętrzu moim powstaje skutek pańskiego odejścia próżnia, która nie tak łatwo się zapełni.

Przed odjazdem z miasta Wilhelm napisał jeszcze obszerny list do Wenera. Zamienili wprawdzie ze sobą kilka listów, ale ponieważ nie mogli dojść do zgody, przestali w końcu do siebie pisywać. Teraz Wilhelm znowu się zbliżył; zamierzał właśnie zrobić to, czego tamten tak bardzo pragnął; mógł powiedzieć: „Opuszczam teatr i łączę się z ludźmi, których towarzystwo powinno mnie pod każdym względem zaprowadzić do jasnej i bezpiecznej działalności”. Dowiadywał się o swój majątek i wydało mu się rzeczą dziwną, iż tak długo się o niego nie zatroszczył. Nie wiedział, że tak robią wszyscy ludzie, którzy przywiązują wielką wagę do swojego wewnętrznego wykształcenia, iż całkowicie zaniedbują stosunki zewnętrzne. Wilhelm znajdował się właśnie w tym przypadku; najwidoczniej po raz pierwszy spostrzegł, że potrzebuje środków zewnętrznych, by działać skutecznie.

Odjechał w całkiem innym usposobieniu niż pierwszym razem, ukazujące mu się widoki były powabne i miał nadzieję doznać na swej drodze czegoś przyjemnego.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Wróciwszy do dóbr Lothara, zastał tu wielką zmianę. Jarno wyszedł do niego z wiadomością, że stryj zmarł, że Lothar pojechał, by objąć w posiadanie pozostawione dobra.

— Przybywasz w sam czas — powiedział — by pomóc mnie i księdzu. Lothar powierzył nam zadanie nabycia ważnych dóbr w naszej okolicy; było to przygotowywane od dawna, a teraz właśnie w porę znajdujemy pieniądze i kredyt. Jedyna rzecz stawała na przeszkodzie, mianowicie iż pewien obca firma handlowa także miała zamiary dotyczące tych samych dóbr; otóż postanowiliśmy, krótko i węzłowato, działać z nimi wspólnie, gdyż inaczej zapędzilibyśmy się bez potrzeby i zastanowienia. Jak się zdaje, mamy do czynienia ze zręcznym człowiekiem. Robimy właśnie kalkulacje i kosztorysy; trzeba przy tym rozważyć pod względem ekonomicznym, jak mamy podzielić dobra, żeby każdy otrzymał piękną posiadłość.

Przedstawiono Wilhelmowi papiery; obejrzano pola, łąki, zamki, a chociaż Jarno i ksiądz zdawali się dobrze rozumieć sprawę, Wilhelm jednak życzył sobie jeszcze, ażeby i Teresa się do tego przyłączyła.

Spędzili nad tą pracą kilka dni, a Wilhelm ledwie miał czas opowiedzieć o swych przygotowaniach i wątpliwym ojcostwie przyjaciółom, którzy tę tak ważną dla niego okoliczność traktowali obojętnie i lekko.

Spostrzegł, że niekiedy w poufnych rozmowach, przy stole i na przechadzkach, nagle milkli, nadawali swoim słowom inny zwrot i przez to okazywali co najmniej, że mają między sobą do załatwienia pewne sprawy, które dla niego mają być tajemnicą. Przypomniał sobie, co mówiła Lidia, i wierzył temu tym bardziej, że cała jedna strona zamku wciąż pozostała dla niego niedostępna. Do pewnych galerii, a zwłaszcza do starej wieży, którą z zewnątrz znał doskonale, na próżno dotąd szukał drogi i wejścia.

Pewnego wieczoru Jarno rzekł do niego:

— Możemy już na pewno uważać pana za swojego, toteż byłoby rzeczą niewłaściwą, gdybyśmy nie zapoznali pana głębiej z naszymi tajemnicami. Dobrze, że człowiek dopiero wstępujący w świat jest pewny siebie, że myśli o zdobyciu wielu zalet, że stara się uczynić wszystko możliwym, ale kiedy jego wykształcenie doszło już do pewnego stopnia, jest wtedy pożyteczny, jeśli się nauczy żyć dla innych, a o sobie samym zapominać wśród obowiązkowej działalności. Wtedy dopiero poznaje on siebie samego, gdyż właściwie działanie porównuje nas do innych. Dowiesz się pan niebawem, jaki to światek znajduje się w pobliżu pana i jak dobrze jest pan znany w tym światku; jutro rano przed wschodem słońca bądź ubrany i gotów.

Jarno przyszedł o wyznaczonej godzinie i prowadził Wilhelma przez znane i nieznanne pokoje zamku, potem przez parę galerii. W końcu dostali się do dużych, starych drzwi, mocno nabijanych żelazem. Jarno zapukał, drzwi nieco się uchylily, tak że mógł się przecisnąć jeden człowiek. Jarno wpełznął tam Wilhelma, nie idąc za nim. Tam znalazł się w ciemnej, wąskiej skrytce, wokół było ciemno, a gdy chciał zrobić krok do przodu, uderzył się o coś. Jakiś niezupełnie obcy głos zawołał:

— Wejdz!

Wtedy dopiero spostrzegł, że boki pomieszczenia, w którym się znajdował, obwieszane były tylko dywanami, przez które przedostawało się słabe światelko.

— Wejdz! — zawołał głos raz jeszcze.

Wilhelm podniósł dywan i wszedł wewnątrz.

Sala, w której teraz się znalazł, widocznie była niegdyś kaplicą. Zamiast ołtarza na kilku stopniach stał duży stół, nakryty zielonym kobiercem; rozciągnięta na nim zasłona okrywała widać jakiś obraz; po bokach były pięknie rzeźbione szafy, zamknięte delikatną, drucianą siatką, jak się to widuje w bibliotekach, tylko zamiast książek dojrzał tam wiele zwojów. W sali nie było nikogo; wschodzące słońce padało przez kolorowe szyby wprost na Wilhelma i pozdrawiało go przyjaźnie.

— Siadaj! — zawołał głos, który, jak się zdawało, wydobywał się z ołtarza.

Wilhelm usiadł na małym foteliku, który stał naprzeciw zasłony od wejścia; w całym pokoju nie było innego siedzenia; musiał poprzestać na tym, jakie było, chociaż go już raziło poranne słońce; krzesło stało przymocowane, mógł tylko przysłonić oczy ręką.

Tymczasem firanka nad ołtarzem z lekkim szmerem rozsunała się i ukazała w ramie pusty, ciemny otwór. Wyszedł jakiś mężczyzna w zwykłym ubraniu, który przywitał Wilhelma i rzekł do niego:

— Czyżbyś pan mnie nie poznawał? Czyżbyś pan nie chciał między innymi rzeczami, jakie pragnął byś wiedzieć, poinformować się także, gdzie obecnie znajduje się artystyczny

zbiór pańskiego dziadka? Czy już pan nie pamiętasz tego obrazu, który był dla pana tak powabny? Gdzie też teraz chory królewicz boleje?

Wilhelm łatwo poznał obcego, który rozmawiał z nim tej pamiętnej nocy w gospodzie.

— Być może — mówił tamten dalej — prędzej się teraz porozumiemy co do losu i charakteru.

Wilhelm chciał właśnie odpowiedzieć, kiedy zasłona szybko się zasunęła.

— Dziwne! — powiedział sobie — Czyżby przypadkowe zdarzenia miały mieć ze sobą jakiś związek? A to, co nazywamy losem, miałyby być tylko przypadkiem? Gdzie może się znajdować zbiór mego dziadka? I dlaczego przypomina mi się o tym w tych uroczystych chwilach?

Nie miał czasu myśleć dłużej, gdyż zasłona znów się rozsunęła i przed jego oczyma stanął człowiek, w którym natychmiast poznał wiejskiego proboszcza, który wraz z nim i wesołym towarzystwem odbywał tamtą wodną wycieczkę; był podobny do księdza, chociaż nie wydawał się tą samą osobą. Z pogodną twarzą i godnym wyrazem twarzy mężczyzna zaczął:

— Obowiązkiem wychowawcy ludzi nie jest chronić przed błędem, ale kierować błądzącym, ba, pozwolić mu wysączyć błąd swój pełnymi kielichami: oto mądrość nauczycieli. Kto swojego błędu tylko kosztuje, ten długo z nim przestaje, cieszy się nim jak rzadkim szczęściem, ale kto go wyczerpie całkowicie, ten musi go poznać, jeżeli nie jest obłąkany.

Zasłona znów się zasunęła, a Wilhelm miał czas na namysł.

— O jakim błędzie może mówić ten człowiek — mówił sobie — jeżeli nie o tym, który mnie prześladował przez całe życie, iż szukałem wykształcenia tam, gdzie zgoła nie było można go znaleźć, iż wyobrażałem sobie, że mogę zdobyć sobie talent, do którego nie miałem najmniejszej zdolności?

Zasłona rozsunęła się szybko. Wyszedł oficer i rzekł tylko przelotnie:

— Poznaj pan ludzi, do których można mieć zaufanie!

Zasłona zasunęła się, a Wilhelm nie potrzebował długo się zastanawiać, by oficerze poznać tego samego, który uściskał go w parku hrabiego i stał się przyczyną, iż wziął Jarna za werbownika. Jak on się tutaj dostał i kim był, było to dla Wilhelma zupełną zagadką.

— Skoro tylu ludzi zajmowało się tobą, znając drogę twego życia i wiedząc, co należy na niej robić, czemu nie prowadzili cię surowiej? Dlaczego nie bardziej stanowczo? Dlaczego sprzyjali igraszkom, zamiast cię od nich odwozić?

— Nie spieraj się z nami! — zawołał jakiś głos. — Jesteś ocalony i na drodze do celu. Nie pożałujesz żadnego ze swoich głupstw i żadnego nie będziesz sobie życzyć na powrót, nie może spotkać człowieka los szczęśliwszy.

Zasłona się rozsunęła i w pokoju stanął stary król Danii w pełnej zbroi.

— Jestem duchem twego ojca — rzekł wizerunek — i odchodzę pocieszony, gdyż moje życzenia dla ciebie spełniły się lepiej, niż sam je rozumiałem. Na strome miejsca można wspiąć się jedynie okrężnymi drogami, na równinie proste drogi prowadzą z jednego miejsca na drugie. Bywaj zdrow i pamiętaj o mnie, używając tego, com ci przygotował.

Wrażenie Wilhelma było niesłychane, zdawało mu się, że słyszy głos swego ojca, a jednak to nie był on; obecność i wspomnienie pogrążyły go w stan największego oszłomienia.

Nie mógł długo rozmyślać, bo wszedł ksiądz i stanął za zielonym stołem.

— Podejdź pan! — zawołał do zdumionego przyjaciela.

Zbliżył się i wszedł na stopnie. Na kobiercu leżał mały zwitek.

— Oto pańskie świadectwo odbytego terminu — rzekł ksiądz. — Weź je pan do serca! Ma ważną treść.

Wilhelm wziął zwitek, otworzył go i czytał:

#### *Świadectwo odbytego terminu*

Sztuka jest długa, życie krótkie, sąd trudny, sposobność ulotna. Działać łatwo, myśleć trudno; działać według tego, co się pomyślało, niewygodnie. Każdy początek jest pogodny, próg jest miejscem oczekiwania. Chłopiec

zdumiewa się, wrażenie nim kieruje; uczy się, bawiąc, powaga zastaje go nieprzygotowanego. Naśladowanie jest nam wrodzone; co należy naśladować, niełatwo rozpoznać. Rzadko znajdujemy rzecz wyborną, rzadziej ją cenimy. Wabi nas wysokość, nie stopnie; w szczyt wpatrzeni, lubimy przebiegać po równinie. Tylko części sztuki można nauczyć, artysta potrzebuje jej całości. Kto ją zna do połowy, wciąż się błąka i mówi wiele; kto ją posiada całą, chętnie robi tylko, a mówi nader rzadko lub późno. Tamci nie mają wcale tajemnic ani też siły, ale nauka jest jak pieczony chleb, smaczny i sycący na jeden dzień, ale mąki nie można zasiać, a ziarna na zasiew nie powinny być małe. Słowa są dobre, ale nie najlepsze. Najlepszego nie da się wyrazić słowami. Duch, w którym działamy, jest rzeczą najwyższą. Działanie tylko duchem bywa pojmowane i znów przedstawiane. Nikt nie wie, co robi, jeżeli czyni właściwie, ale zawsze wiemy, co jest niedobre. Kto posługuje się samymi tylko znakami, jest pedantem, obludnikiem albo partaczem. Jest ich wielu i dobrze im razem ze sobą. Ich gadanina powstrzymuje ucznia, a ich uporczywa mierność trwogą przejmuje najlepszych. Nauka prawdziwego artysty otwiera pojęcie, bo gdzie słów brak, mówi czyn. Prawdziwy uczeń uczy się z rzeczy znanej rozwijać nieznaną i zbliża się do mistrza.

— Dosyć! — zawołał ksiądz. — Reszta we właściwym czasie! Teraz rozejrzyj się pan po tamtych szafach.

Wilhelm podszedł i czytał napisy na zwojach. Ze zdziwieniem znalazł tam wystawione: *Lata nauki Lothara*, *Lata nauki Jarna* oraz własne swoje lata nauki, pośród wielu innych, których nazwiska były mu nieznanne.

— Czy mogę mieć nadzieję, że będę mógł zajrzeć do tych zwojów?

— Odtąd nic w tym pokoju nie jest dla pana zamknięte.

— Mogę zadać pytanie?

— Bez wahania! I możesz się pan spodziewać zdecydowanej odpowiedzi, jeżeli to dotyczy sprawy, która powinna pana przede wszystkim obchodzić.

— A więc dobrze! Wy, dziwni i mądrzy ludzie, których wzrok wnika w tyle tajemnic, czy możecie mi powiedzieć, czy Feliks naprawdę jest moim synem?

— Błogosławieństwo za to pytanie! — zawołał ksiądz, uderzając rękami z radości. — Feliks jest pańskim synem! Na to, co najświętsze pośród nas spoczywa, przysięgam, Feliks jest pańskim synem! A ze swego nastroju i jego zmarła matka nie była pana niegodna. Przyjmij pan miłe dziecię z naszej ręki! Obróć się i miej odwagę być szczęśliwym!

Wilhelm posłyszał za sobą szmer. Odwrócił się i ujrzał twarz dziecięcia figlarnie wyglądającą spoza dywanów wejścia: był to Feliks. Gdy tylko został spostrzeżony, chłopiec zaraz się ukrył dla żartu.

— Wyjdź no! — zawołał ksiądz.

Przybiegł czym prędzej, ojciec podbiegł do niego, wziął go w objęcia i przycisnął do serca.

— Tak jest, czuję to — zawołał — jesteś mój! Cóż za dar niebios mam do zawdzięczenia moim przyjaciółom! Skąd przychodzisz, moje dziecko, właśnie w tej chwili?

— Nie pytaj pan — powiedział ksiądz. — Niech ci się szczęści, młodzieńcze. Lata twojej nauki minęły; natura cię wyzwoliła.

# KSIĘGA VIII

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Feliks poskoczył do ogrodu, Wilhelm poszedł za nim z zachwytem; najpiękniejszy poranek ukazywał wszystkie przedmioty w nowych powabach i Wilhelm rozkoszował się najweselszą chwilą. Feliks był świeży w tym wolnym i wspaniałym świecie, a jego ojciec niewiele więcej wiedział o przedmiotach, o które malec wielokrotnie i niestrudzenie wypytywał. Dołączyli w końcu do ogrodnika, który musiał wymieniać nazwy i opowiadać o zastosowaniach wielu roślin; Wilhelm patrzył na przyrodę za pośrednictwem nowego organu, a ciekawość dziecka, jego pragnienie wiedzy dopiero wtedy dały mu odczuć, jak mało zainteresowanie okazywał rzeczami zewnętrznymi, jak mało wiedział i umiał. W dniu tym, najmilszym w jego życiu, jego własne wykształcenie zdawało się dopiero rozpoczynać; poczuł konieczność uczenia się, kiedy został wezwany do nauczania.

Jarno i ksiądz już się nie pokazywali; wieczorem nadeszli i przyprowadzili ze sobą jakiegoś nieznanego. Wilhelm spotkał się z nim ze zdziwieniem, nie dowierając własnym oczom: był to Werner, który także chwilę się zawahał, zanim go poznał. Obaj uściskali się najczulej i nie mogli ukryć, iż zastali się nawzajem zmienieni. Werner twierdził, że jego przyjaciel stał się wyższy, silniejszy, smuklejszy, bardziej ukształcony w charakterze i przyjemniejszy w obejściu.

— Nie dostrzegam tylko jego dawniejszej szczerości — dodał.

— I ona się ukazuje, kiedy się otrząśniemy z pierwszego zdziwienia — rzekł Wilhelm.

Wiele brakowało, by Werner wywarł równie korzystne wrażenie na Wilhelmie. Poczciwy człek, zdawało się, raczej cofnął się zamiast iść do przodu. Był znacznie chudszy niż dawniej, jego spiczasta twarz wydawała się cieńsza, nos dłuższy, czoło i czaszka były ogołoczone z włosów, głos miał donośny, gwałtowny i krzykliwy, a zapadnięta pierś, wystające barki, bezbarwne policzki nie pozostawiały wątpliwości, że ma się przed sobą pracowitego hipochondryka.

Wilhelm był o tyle oględny, że się wielce umiarkowanie wyraził o tej wielkiej przemianie, gdy tamten puszczał wodze swej przyjacielskiej radości.

— Doprawdy — zawołał — jeżeli źle z czasu skorzystałaś i, jak przypuszczam, nic nie zyskałaś, to tymczasem stałaś się osóbką, która może i powinna dorobić się fortuny; tylko nie strwoń i nie zmarnuj i tego, z taką figurą powinienes mi zdobyć bogatą i piękną dziedziczkę.

— Nie potrafisz, widzę — odparł Wilhelm — zaprzecić się swego charakteru! Ledwie odnalazłaś przyjaciela po długim czasie, już patrzysz na niego jak na towar, jak na przedmiot swojej spekulacji, z pomocą którego można coś zarobić.

Jarno i ksiądz nie wydawali się wcale zdziwieni tym rozpoznanem i pozwolili przyjaciółom nagać się do woli o przeszłości i terażniejszości.

Werner obchodził przyjaciela w kółko, obracał go w tę i z powrotem, tak że niemal go wprawiał w zakłopotanie.

— Nie! Nie! — zawołał — Coś podobnego nigdy mi się nie zdarzyło, a przecież wiem, że się nie mylę. Twoje oczy stały się głębsze, czoło szersze, nos delikatniejszy, a usta przyjemniejsze. Patrzcie no, jak on stoi! Jak to wszystko pasuje do siebie i jest z sobą w zgodzie! Jakże to próżnowanie wychodzi na dobre! Ja, biedak, przeciwnie — obejrzał się w zwierciadle — gdybym przez ten czas nie zarobił całkiem sporo pieniędzy, nic by ze mnie nie było.

Werner nie otrzymał ostatniego listu Wilhelma; to ich handel był ową obcą firmą, z którą Lothar miał zamiar kupić dobra do spółki. To ten interes sprowadził tutaj Wenera; ani mu na myśl nie przyszło, że na swej drodze mógł spotkać Wilhelma.

Nadszedł sędzia; przedstawiono papiery, a Werner uznał propozycje za możliwe do przyjęcia.

— Jeżeli panowie dobrze, jak się zdaje, życzyście temu młodzieńcowi — rzekł — to sami dbajcie o to, żeby nasz udział nie był uszczuplony; od mego przyjaciela zależeć będzie, czy zechce przyjąć dobra i przeznaczyć na nie część swego majątku.

Jarno i ksiądz zapewnili, że nawet nie potrzeba było o tym wspominać.

Zaledwie załatwiono sprawę w ogólności, a Werner tęsknił już za partią lombra<sup>151</sup>, do której też zaraz zasiedli ksiądz i Jarno; tak się już przyzwyczaił, że nie potrafił spędzić wieczoru bez gry.

Kiedy po obiedzie obaj przyjaciele pozostali sami, wypytywali się wzajem i omawiali bardzo żywo wszystko, co sobie pragnęli zakomunikować. Wilhelm chlubił się swym położeniem i szczęściem przyjęcia do grona tak zacnych ludzi. Werner natomiast potrząsał głową, mówiąc:

— Nie należy wierzyć w nic poza tym, co się widzi na własne oczy! Niejeden usłużny przyjaciel zapewniał mnie, że żyjesz z rozpustnym młodą szlachcicem, że mu sprowadzasz aktorki, że mu pomagasz tracić pieniądze i że to twoja wina, że on i wszyscy jego krewni są w złych stosunkach.

— Bolałoby mnie to i z powodu siebie samego, i z powodu dobrego człowieka, że nas tak fałszywie oceniono — odparł Wilhelm — gdyby mój zawód teatralny nie był pogodził mnie ze wszelkim oczernianiem. Jakże ludzie mogą sądzić nasze czyny, które im się ukazują tylko odosobnione i fragmentarycznie, z których widzą jak najmniej, ponieważ dobro i zło dzieją się w ukryciu, a na jaw wychodzi zwykle tylko obojętne zjawisko? Toż przecie stawiają im aktorów i aktorki na podniesionych deskach, zapalają światło ze wszystkich stron, cała sztuka kończy się w ciągu kilku godzin, a jednak rzadko kto naprawdę wie, co ma z tym począć.

Zaczął się potem wypytywanie o rodzinę, o przyjaciół z młodości i miasto ojczyste. Werner z wielkim pośpiechem opowiadał wszystko: co się zmieniło i co jeszcze trwało i działo się.

— Kobiety w domu — mówił — są zadowolone i szczęśliwe, nigdy nie brak pieniędzy! Jedną połowę czasu obracają na strojenie się, a drugą na pokazywanie się w stroju. Gospodarne są na tyle, ile potrzeba. Moje dzieci dorastają na sprytnych chłopaków. Widzę ich już w duchu, jak siedzą i piszą, i rachują, jak biegają, handlują i kupczą; każdemu z nich trzeba będzie jak najprędzej urządzić własne przedsiębiorstwo, a co się tyczy naszego majątku, to z tego będziesz miał prawdziwą uciechę. Jak tylko ułożymy się o dobra, musisz zaraz pojechać ze mną do domu, bo tak jakoś wygląda, że potrafiłbyś z niejakim rozumem zabrać się do przedsięwzięć ludzkich. Twoim nowym przyjaciółom należy się pochwała, że cię naprowadzili na dobrą drogę. Głuptasem sobie jestem i teraz dopiero spostrzegam, jak cię kocham, kiedy nie mogę się dosyć na ciebie napatrzeć, iż wyglądasz tak zdrowo i tak dobrze. A to jeszcze inna postać niż ten wizerunek, który przysłałeś kiedyś siostrze, o który była w domu wielka sprzeczka. Matka i córka poczytywały za najmilszego tego panicza z otwartą szyją, na pół odkrytą piersią, wielką krezą, o spadających włosach, w okrągłym kapeluszu, w krótkiej kamizelecce, w zwisających, długich spodniach; ja natomiast utrzymywałem, że taki kostium o tylko dwa palce odległy jest od komedianckiego. Teraz zaś wyglądasz jak człowiek; brak ci tylko warkocza, w który każ spleść swoje włosy, proszę cię, gdyż inaczej wezmą cię kiedyś w drodze za Żyda i zażądają myta i przepustki.

Tymczasem Feliks wszedł do pokoju i kiedy nikt nie zwracał na niego uwagi, położył się na kanapie i zasnął.

— Co to za robak? — zapytał Werner.

Wilhelm nie miał w tej chwili ani odwagi powiedzenia prawdy, ani ochoty opowiedzenia wątpliwej bądź co bądź historii człowiekowi, który z natury najmniej był skłonny do łatwości.

Całe towarzystwo udało się następnie do dóbr, by je obejrzeć i dobić targu. Wilhelm nie pozostawił swego Feliksa na stronie i z powodu chłopca bardzo żywo cieszył się posiadłością, którą mieli na widoku. Łakomstwo dziecka na wiśnie i jagody, które niebawem miały dojrzeć, przypominało mu czasy jego młodości i liczne obowiązki ojca, by przygotować, sprawić i utrzymać przyjemności dla rodziny. Z jakim zainteresowaniem przypatrywał się szkółkom drzew i budynkom! Jak żywo myślał o tym, by to, co zaniedbane, odnowić, a to, co ku upadkowi się pochylało, podnieść! Nie patrzył już teraz na świat jak ptak przelotny, a na budowlę, jak na zestawioną pośpiesznie z gałęzi altanę, która uschnie, zanim się ją opuści. Wszystko, co zamierzał zasadzić, miało wzrastać wraz

<sup>151</sup>lombra — dawna gra w karty, jeden z prototypów brydża. [przypis edytorski]

z chłopcem, a wszystko, co urządzał, miało posiadać trwałość na parę pokoleń. W tym znaczeniu skończyły się lata jego nauki, a wraz z uczuciem ojcowskim nabył on wszystkich cnót obywatelskich. Czuł to, a jego radości nic nie mogło dorównać.

— O, niepotrzebna surowość moralności — wołał — kiedy natura swoim miłym trybem kształci nas ku wszystkiemu, czym być powinniśmy. O, dziwaczne wymagania związku towarzyskiego, który nas naprzód wprowadza w zamieszanie i na manowce, a potem więcej od nas wymaga niż sama natura! Biada każdemu rodzajowi wykształcenia, który burzy najdzielniejsze środki prawdziwego wykształcenia i wskazuje nam koniec, zamiast nas uszczęśliwiać na drodze samej!

Chociaż niejedno już w życiu widział, to przecież natura ludzka, zdawało się, stała się dla niego jasna dopiero wskutek obserwowania dziecka. Teatr, podobnie jak świat, wydawał mu się tylko mnóstwem rozsypanych kostek, z których każda osobno na swej powierzchni znaczy już to więcej, już to mniej, a które zliczone razem tworzą jakąś sumę. Tu w dziecku, można powiedzieć, leżała przed nim pojedyncza kostka, na której różnych bokach tak wyraźnie wyryta była wartość i bezwartościowość natury ludzkiej.

Popęd dziecka do rozeznania wzrastał z każdym dniem. Kiedy dowiedziało się, że rzeczy mają nazwy, pragnęło odtąd słyszeć nazwy wszystkiego; wierzyło mocno, że jego ojciec musi wiedzieć wszystko, dręczyło go często pytaniami i pobudziło go do dowiadywania się o przedmioty, którym dawniej poświęcał mało uwagi. Wcześniej również ujawniło się u chłopca wrodzone pragnienie poznania początku i końca rzeczy. Kiedy pytał, skąd przybywa wiatr i dokąd odchodzi płomień, wtenczas dopiero ojciec uprzytomnił sobie żywo własną ograniczoność; pragnął się dowiedzieć, do jakiego kresu człowiek może odważyć się ze swymi myślami i czego się stąd spodziewać, ażeby sobie i innym zdać kiedyś z tego sprawę. Gwałtowność dziecka, gdy widziało krzywdę wyrządzaną jakiemukolwiek żywemu stworzeniu, mocno cieszyła ojca jako oznaka wyborczego serca. Dziecko rwało się porywczo ku posługaczce kuchennej, która zarżnęła parę gołębi. Ale to piękne wyobrażenie zostało niebawem zburzone, gdy zastał chłopca, jak zabijał bez litości żaby i rozdzierał motyle. Rys ten przypomniawszy Wilhelmowi tych licznych ludzi, którzy okazują się niesłychanie sprawiedliwi, gdy nie rządzi nimi namiętność, a oni obserwują działania innych.

To przyjemne uczucie, że chłopiec ma tak piękny i prawdziwy wpływ na jego istnienie, zostało na chwilę zmaćcone, gdy Wilhelm zauważył wkrótce, że w rzeczywistości chłopiec więcej jego wychowuje niż on chłopca. Nie mógł wniść dziecka, nie mógł dać mu kierunku, którego by ono samo nie przybrało; a nawet te nieobyczajności, nad którymi Aurelie tak ciężko pracowała, po śmierci tej przyjaciółki wróciły, jak się zdawało, wszystkie do dawnych swoich praw. I teraz jeszcze dziecko nigdy nie zamykało drzwi za sobą, i teraz jeszcze nie chciało zjadać wszystkiego z talerza, a jego zadowolenie nigdy nie było większe niż wtedy, kiedy mu wybaczano, jeśli brał kęski wprost z półmiska, jeśli nie ruszał pełnej szklanki, a mógł pić z butelki. Najmilszy też był wówczas, gdy siadał w kącie z jakąś książką, mówiąc bardzo poważnie:

— Muszę studiować tę uczoną rzecz! — chociaż długo jeszcze ani nie umiał, ani nie chciał rozróżniać liter.

Kiedy Wilhelm zastanawiał się nad tym, jak mało dotąd zrobił dla dziecka, jak mało zrobić jest zdolny, powstawał w nim niepokój, który mógł przeważać nad całym jego szczęściem.

— Czyż my mężczyźni — mówił sam do siebie — urodziliśmy się tak samolubni, że nie potrafimy dbać żadne istoty prócz siebie samych? Czyż ja z chłopcem nie jestem właśnie na tej samej drodze, na jakiej byłem z Mignon? Ubierałem miłe dziecię, jego obecność bawiła mnie, a przy tym zaniedbywałem je najokrutniejszy w sposób. Cóż ja zrobiłem dla jej wykształcenia, do którego tak się garnęła? Nic! Zostawiłem ją samą sobie i tym wszystkim przypadłościom, na jakie tylko mogła być wystawiona w niewykształconym towarzystwie; a teraz dla tego chłopca, który był dla ciebie tak godny uwagi, zanim mógł stać się tak drogi, czy kazało ci serce zrobić kiedyś cokolwiek choćby najdrobniejszego? Nie czas już obecnie, żebyś marnował lata własne i lata innych; zbierz siły i pomyśl, co masz zrobić dla siebie i dla tych dobrych istot, które natura i skłonność tak silnie z tobą związały.



Ta rozmowa z samym sobą była właściwie tylko wstępem do wyznania, że już rozmyślał, troszczył się, szukał i wybrał; nie mógł już dłużej zwlekać z powiedzeniem sobie tego wyraźnie. Po niejednokrotnie na próżno wznawianym żalu z powodu utraty Marianny, czuł aż nadto jasno, że musi poszukać matki dla chłopca i że nigdzie nie znajdzie jej pewniej niż w Teresie. Znał tę złą pannę doskonale. Taka żona i pomocnica wydawała się jedyną, której by można było powierzyć siebie i rodzinę. Jej szlachetne przywiązanie do Lothara nie budziło w nim żadnych skrupułów. Dziwacznym losem byli oni rozdzieleni na wieki; Teresa uważała się za wolną i mówiła o zamęściu wprawdzie obojętnie, ale jako o rzeczy, która się rozumie sama przez się.

Po długich naradach z samym sobą postanowił opowiedzieć jej o sobie wszystko, co tylko wiedział. Powinna go poznać, jak on ją znał; zaczął tedy przebiegać myślą własne dzieje; wydały mu się co do wypadków tak puste, a w całości każde wyznanie wypadało na jego korzyść tak mało, że nieraz zamierzał odstąpić od przedsięwzięcia. W końcu postanowił zażądać od Jarna zwoju swoich lat nauki, będącego w wieży. Jarno rzekł:

— W samą porę.

I Wilhelm go otrzymał.

To okropne uczucie, gdy człowiek szlachetny znajduje się świadomie w tym położeniu, że ma zostać oświecony co do samego siebie. Wszystkie przejścia są przesileniami, a czyż przesilenie nie jest chorobą? Z jaką niechęcią staje się po chorobie przed zwierciadłem? Czuje się polepszenie, a widzi się tylko skutek minionej słabości.

Wilhelm wszelako był dosyć przygotowany; okoliczności już żywo do niego przemówiły, przyjaciele wcale go nie oszczędzali, a chociaż rozwijał pergamin z pewnym pośpiechem, w miarę czytania stawał się spokojniejszy. Znalazł tu szczegółowe dzieje swego życia, skreślone grubymi, ostrymi rysami; ani pojedyncze zdarzenia, ani ograniczone wzruszenia nie rozpraszały jego wzroku; ogólne, pełne miłości uwagi dawały mu wskazówki, nie zawstydzając go, i po raz pierwszy ujrzał swój obraz z zewnątrz siebie, wprawdzie nie drugie „ja”, jak w zwierciadle, lecz inne „ja”, jak w portrecie; nie przyznajemy się co prawda do wszystkich rysów, ale cieszymy się, że myślący duch chciał nas tak pojąć, a wielki talent tak przedstawić, że obraz tego, czym byliśmy, jeszcze istnieje i trwać może dłużej niż my sami.

Teraz, gdy dzięki temu rękopisowi przypomniały mu się wszystkie okoliczności, Wilhelm zajął się spisaniem dziejów swojego życia dla Teresy i wstydził się niemal, że wobec jej wielkich cnót nie mógł przedstawić niczego, co mogłoby okazać się pożyteczną działalnością. A chociaż w opisie był szczegółowy, w liście, który do niej napisał, streścił się krótko; prosił ją o przyjaźń, o miłość, jeżeli to możliwe; ofiarował jej swą rękę i prosił o rychłą decyzję.

Po wewnętrznej walce, czy powinien najpierw tę ważną sprawę przedyskutować jeszcze ze swymi przyjaciółmi, Jarnem i księdzem, postanowił milczeć. Znadto był zdecydowany, sprawa była dla niego zbyt ważna, ażeby ją miał poddawać zdaniu choćby najrozumniejszego i najlepszego człowieka; ba, zachował nawet tę ostrożność, iż swój list oddał sam na najbliższej poczcie. Być może myśl, iż w tak wielu okolicznościach swego życia, w których sądził, że działa swobodnie i w skrytości, był obserwowany, a nawet kierowany, co wyraźnie widział ze spisanego zwoju, wywołała w nim pewien rodzaj nieprzyjemnego uczucia i teraz chciał przynajmniej do serca Teresy przemówić wprost z serca i zawdzięczać swój los jej postanowieniu i rozstrzygnięciu, toteż nie robił sobie wcale skrupułów, omijając bodaj w tym ważnym punkcie swoich stróżów i nadzorców.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Ledwie list został wysłany, wrócił Lothar. Wszyscy cieszyli się, iż przygotowane ważne interesy zastanie niebawem zamknięte i zakończone, a Wilhelm oczekiwał z tęsknotą, jak wiele wątków już to na nowo się nawiąże, już to się potarga, i jak zostanie określony jego własny stosunek do przyszłości. Lothar powitał ich wszystkich najuprzejmiej: całkowicie powrócił do zdrowia i był pogodny; wyglądał jak człowiek, który wie, co ma robić, i któremu w tym wszystkim, co chce robić, nic nie staje na drodze.

Wilhelm nie mógł mu się odwzajemnić równie serdecznym powitaniem.

— Oto — musiał sobie powiedzieć — przyjaciel, kochanek, narzeczony Teresy, na którego miejsce myślisz się wdrzeć. Czy sądzisz, że zdołasz kiedykolwiek wymazać albo odsunąć takie wrażenie?

Gdyby list nie był jeszcze oddany, może nie miałby odwagi wysłać go teraz. Na szczęście los był już rzucony, może Teresa była już zdecydowana, a tylko odległość okrywała jeszcze swą zasłoną szczęśliwe zakończenie. Zysk i strata miały być niebawem rozstrzygnięte. Wszystkimi tymi uwagami starał się uspokoić, a jednak poruszenia jego serca były prawie gorączkowe. Niewiele też uwagi mógł poświęcić ważnemu interesowi, na którym w pewnej mierze wisiał los całego jego majątku. Ach, jak nieznaczące wydaje się człowiekowi w chwilach namiętności wszystko, co go otacza, wszystko, co do niego należy!

Na jego szczęście Lothar traktował sprawę szeroko, a Werner swobodnie. Ten obok gwałtownej żądzy zysku doznawał żywej radości na myśl o pięknych dobrach, które miały należeć do niego, a raczej do jego przyjaciela. Ze swojej strony Lothar wydawał się mieć o tym zupełnie pojęcie.

— Nie mogę — rzekł on — tyle radować z posiadania się, ile z jego prawowitości.

— No, na Boga! — zawołał Werner. — A czy ta nasza posiadłość nie będzie dosyć prawowita?

— Niezupełnie — odparł Lothar.

— Czyż nie dajemy za nią naszej gotówki?

— Bardzo dobrze! — rzekł Lothar. — A to, o czym wspomnę, poczytasz pan może za pusty skrupuł. Mnie żadne posiadanie nie wydaje się całkowicie prawowite, całkowicie czyste, tylko to, które oddaje należną część państwu.

— Jak to? — rzekł Werner. — To pan byś wołał, żeby nasze dobra, kupione z wolnej ręki, podlegały opodatkowaniu?

— Tak jest — odparł Lothar — do pewnego stopnia; gdyż wyłącznie i jedynie przez tę równość ze wszystkimi innymi posiadłościami powstaje pewność posiadania. W nowożytnych czasach, kiedy tyle pojęć się chwiewa, jakież główny powód ma chłop do uważania posiadłości dziedzica za mniej uzasadnioną aniżeli swoją? To tylko, że tamta nie jest obciążona i ciąży na nim.

— Ale jakże wyglądać będą procenty od naszego kapitału? — zarzucił Werner.

— Wcale nie gorzej — rzekł Lothar — gdyby państwo za umiarkowany, regularny podatek zechciało nas zwolnić z lenniczego hokus pokus i pozwolić nam swobodnie rozporządzać naszymi dobrami, żebyśmy nie musieli ich utrzymywać w tak wielkich skupieniach, żebyśmy mogli dzielić je równiej między swoje dzieci, aby wszystkim otworzyć pole do wolnej żywej działalności zamiast zostawiać ograniczone i ograniczające przywileje, z których możemy korzystać, tylko wywołując wciąż duchy naszych przodków. O ileż szczęśliwsi byłiby mężczyźni i kobiety, gdyby mogli rozglądać się wkoło swobodnymi oczyma i swoim wyborem wywyższać bez żadnych innych względów, to jakąś zasną dziewczynę, to jakiegoś wspaniałego młodzieńca. Państwo miałyby więcej obywateli, może nawet lepszych i nie byłoby tak często w kłopotcie o głowy i ręce.

— Mogę pana zapewnić — powiedział Werner — że w życiu ani pomyślałem o państwie; opłacałem podatki, cla i paszporty, ponieważ tak z dawna przyjęto.

— No — odrzekł Lothar — mam nadzieję, że jeszcze zrobię z pana dobrego patriotę, gdyż jak tylko ten jest dobrym ojcem, kto przy stole daje naprzód swym dzieciom, tak tylko ten jest dobrym obywatelem, kto przed wszystkimi innymi wydatkami odkłada to, co ma do uiszczenia państwu.

Wskutek tych ogólnych uwag ich konkretne sprawy nie zostały wstrzymane, ale raczej przyspieszone. Gdy już prawie z nimi skończyli, Lothar rzekł do Wilhelma:

— Muszę teraz pana wysłać w pewne miejsce, gdzie jesteś potrzebniejszy niż tutaj; moja siostra prosi pana, byś przybył do niej jak najprędzej; biedna Mignon upada, jak się zdaje, na siłach i sądzą, że pańska obecność może zdołałaby powstrzymać chorobę. Siostra przekazała mi ten bilet, z którego możesz się przekonać, jak jej na tym zależy.

Lothar podał mu liścik. Wilhelm, przysłuchujący się z największym zakłopotaniem, w tych pospiesznych kreskach ołówkiem poznał od razu rękę hrabiny i nie wiedział, co odrzec.

— Weź pan ze sobą Feliksa — powiedział Lothar — niech się dzieci nawzajem rozweselą. Trzeba by panu wyjechać jutro bardzo wcześnie; powóz mojej siostry, którym przyjechali moi ludzie, jest jeszcze tutaj; daję panu konie do pół drogi, potem weźmiesz pan pocztę. Bywaj pan zdrow i złóż ode mnie mnóstwo pozdrowień. Powiedz przy tym mojej siostrze, że niebawem znów ją odwiedzę i powinna się w ogóle przygotować na przyjęcie kilku gości. Przyjaciel naszego stryjecznego dziadka, margrabia Cipriani, jest właśnie w drodze i przybędzie tutaj; spodziewał się zastać starca jeszcze przy życiu; mieli się wzajem zabawić wspomnieniami o dawniejszych stosunkach i nacieszyć się wspólnym zamiłowaniem sztuki. Margrabia był znacznie młodszy od mego dziadka i zawdzięczał mu najlepszą część swego wykształcenia; musimy użyć wszystkiego, ażeby w pewnej mierze zapłacić brak, jaki znajdzie, a najlepiej da się to zrobić przez większe zebranie towarzyskie.

Lothar odszedł następnie z księdzem do swego pokoju; Jarno odjechał przedtem jeszcze; Wilhelm pośpieszył do swego pokoju; nie miał nikogo, komu mógł by się zwierzyć, nikogo, kto by go chciał wyręczyć w zrobieniu kroku, którego lękał się tak bardzo. Przyszli lokajczyk i zachęcał do spakowania się, gdyż jeszcze tej samej nocy chcieli przywiązać pakunek, aby o świcie wyjechać. Wilhelm nie wiedział, co ma zrobić, w końcu zawołał:

— Bylebyś się tylko wydostał z tego domu; w drodze rozważysz, co czynić, a co najwyżej zatrzymasz się w połowie drogi, wyślesz posłańca, napiszesz, czego nie śmiesz wypowiedzieć, a wtenczas niech się dzieje, co chce.

Pomimo takiego postanowienia przepędził bezseną noc; tylko spojrzenie na tak pięknie spoczywającego Feliksa dodało mu nieco otuchy.

— O — zawołał — kto wie, jakie jeszcze próby mnie czekają, kto wie, jak mocno jeszcze dręczą mnie popełnione błędy, jak często mają mi się nie powieść dobre i rozumne plany na przyszłość, ale ten skarb, który już posiadam, zachowaj mi, o ty litościwy lub nieublagany losie! Gdyby ta najlepsza częśćka mnie samego miała być zniszczona przede mną, gdyby to serce miało być oderwane od mojego serc, to bywaj zdrow, rozsądku i rozumie, bywaj zdrowa, wszelka troskliwości i przezorności, zniknij, instynkcie zachowawczy! Wszystko, co odróżnia nas od zwierzęcia, niech przepada, a jeżeli nie wolno smutnych dni swoich kończyć dobrowolnie, to niech rychłe obłąkanie odejmie świadomość, zanim śmierć, która ją na zawsze usunie, długą noc sprowadzi.

Wziął chłopca w ramiona, pocałował go, przytulił i oblał go obfitymi łzami. Dziecko obudziło się; jego jasne oko, przyjazne spojrzenie wzruszyło ojca do głębi.

— Jakaż czeka mnie scena — zawołał — jeżeli cię przedstawię pięknej, nieszczęśliwej hrabinie, jeżeli cię przyciśnie do piersi, którą ojciec twój zranił tak głęboko! Czyż nie powinienem się obawiać, że ona znowu cię od siebie odepchnie z krzykiem, gdy tylko twoje dotknięcie odnowi jej ból prawdziwy czy wymyślony!

Woznica nie dał mu czasu na dalsze rozmyślenia ani wybór; zmusił go przede dniem wsiąść do powozu; obwinął tedy dobrze swego Feliksa; poranek był zimny, ale pogodny; dziecko po raz pierwszy w życiu widziało wschód słońca. Jego zdziwienie z powodu pierwszego ognistego błysku i rosnącej potęgi światła, jego radość i zabawne uwagi rozweseliły ojca i pozwoliły mu zajrzeć w serce, przed którym słońce wstaje i unosi się jak nad czystym, spokojnym jeziorem.

W małym miasteczku woznica wyprzągł i odjechał. Wilhelm zajął zaraz objął w posiadanie pokój i zastanawiał się, czy ma pozostać czy iść dalej. W tym niezdecydowaniu odważył się znowu wyjąć liścik, którego do tej pory nie śmiał ponownie obejrzyć; zawierał on następujące wyrazy:

Przyślij mi czym prędzej swego młodego przyjaciela; Mignon przez ostatnich dwa dni pogorszyło się. Chociaż to smutna okazja, uciesz mnie, iż się z nim poznam.

Ostatnich słów przy pierwszym przeglądaniu Wilhelm nie spostrzegł. Przeraził się nimi i zaraz postanowił nie jechać dalej.

— Jak to? — wołał. — Lothar, który zna całą sprawę, nie wyjaśnił jej, kim jestem? Ona nie oczekuje z uspokojonym sercem znajomego, którego może wołała by nie widzieć, ona oczekuje obcego, a ja mam się pojawić! Widzę, jak się wzdryga, cofa, widzę, jak się rumieni! Nie, niepodobna mi wystawiać się na taką scenę.

Wtedy właśnie wyprowadzono i zaprzęgnięto konie; Wilhelm był zdecydowany odebrać rzeczy i pozostać na miejscu. Znajdował się w największym wzburzeniu. Kiedy usłyszał, jak dziewczyna wchodzi na górę, by mu oznajmić, że wszystko gotowe, zaczął czym prędzej myśleć nad znalezieniem powodu, dla którego powinien tu zostać, a jego błądzący wzrok spoczął na bilecie, który trzymał w dłoni.

— Na miłość boską! — zawołał. — Co to jest? To nie ręka hrabiny, to ręka amazonki!

Weszła dziewczyna, poprosiła, żeby zszedł na dół, i zabrała ze sobą Feliksa.

— Czyż to podobna? — wołał. — Czy to prawda? Co mam zrobić? Zostać, czekać i szukać wyjaśnienia? Czy podążyć? podążyć i narazić się na dalsze rozwikłanie? Jesteś w drodze do niej i możesz się ociągać? Dziś wieczór masz ją zobaczyć i chcesz dobrowolnie zamknąć się w więzieniu? To jej ręka, tak, to jej! Ręka ta cię wzywa, jej powóz jest zaprzężony, by cię zawieźć do niej; teraz zagadka została rozwiązana. Lothar ma dwie siostry. Zna mój stosunek do jednej; ile zawdzięczam drugiej, tego mu nie wiadomo. A i ona też nie wie, że ranny włóczęga, który jej zawdzięcza jeżeli nie życie, to zdrowie, został z tak niezasłużoną życzliwością przyjęty w domu jej brata.

Feliks, który huśtał się w powozie na dole, zawołał:

— Ojczy, chodź! O, chodź, popatrz na piękne chmury, na piękne barwy!

— Tak, już idę — odrzekł Wilhelm, zeskakując ze schodów — wszystkie zjawiska niebieskie, które ty, kochane dziecko, tak mocno jeszcze podziwiasz, niczym są wobec widoku, na który oczekuję.

Siedząc w powozie, przywoływał sobie na pamięć wszystkie swoje stosunki.

— A więc i ta Natalia jest przyjaciółką Teresy! Co za nadzieja i co za widoki! Jakże to dziwne, że obawa przed usłyszeniem rozmowy o jednej siostrze mogła zupełnie i całkowicie ukryć przede mną istnienie drugiej!

Z jaką radością patrzył na swego Feliksa; spodziewał się zarówno dla chłopca, jak i dla siebie najlepszego przyjęcia.

Nadszedł wieczór, słońce zaszło, droga nie była najlepsza, pocztillion jechał powoli; Feliks zasnął, a nowe troski i wątpliwości powstały w piersi naszego przyjaciela.

— Jakież to oblęd, jakież to mrzonki cię opanowały! — rzekł sam do siebie — niejaki podobieństwo pisma daje ci nagle pewność i sposobność do wymyślenia najdziwniejszej baśni.

Rozpostarł znowu bilet i przy znikającym świetle dnia zdawało mu się znowu, że poznaje pismo hrabiny; jego oczy nie chciały w szczegółach odnaleźć tego, co serce w całości powiedziało mu od razu.

— I oto ciągną cię te konie ku jakiejś straszliwej scenie! Kto wie, czy za kilka godzin nie będą cię znów odwozić? I obyś tylko zastał ją tam samą! Ale może obecny jest jej małżonek, może baronowa! Jak bardzo zmienione je zastanę? Czy będę mógł ustać przed nią na nogach?

Przez te ponure wyobrażenia ledwie mogła niekiedy przeświecać słaba nadzieja, że idzie na spotkanie swojej amazonki. Nastąpiła noc; powóz wtoczył się z turkotem na jakieś podwórze i stanął; ze wspaniałego przedsiönka wyszedł z służący woskową pochodnią i po szerokich stopniach zbliżył się do powozu.

— Jesteś pan od dawna oczekiwany — rzekł, podejmując fartuch.

Wilhelm wysiadł, wziął śpiącego Feliksa w ramiona, a pierwszy służący przywołał drugiego, który ze świecą stał we drzwiach.

— Zaprowadź pana zaraz do baronowej.

Jak błyskawica przerznęła duszę Wilhelma myśl:

„Co za szczęście! Naumyślnie, czy przypadkowo, baronowa jest tutaj! Mam ją najpierw zobaczyć! Prawdopodobnie hrabina już śpi! Wy, dobre duchy, pomóżcie, by chwila największego zakłopotania jako tako minęła!”

Wszedł do domu i znalazł się w miejscu najpoważniejszym, a według swego uczucia najświętszym, do jakiego kiedykolwiek wchodził. Wisząca, jaskrawo płonąca latarnia oświetlała szerokie, łagodne schody, które znajdowały się naprzeciw niego, a w górze przy zwrocie dzieliły się na dwie części. Posągi i popiersia marmurowe stały rzędem na piedestałach lub w niszach; niektóre wydały mu się znane. Wrażenia młodociane nie wygasają w najdrobniejszej nawet swej cząstce. Poznał Mużę, która należała do jego dziadka, nie

po jej kształcie wprawdzie i jej wartości, ale po odrestaurowanym ramieniu i po nowo dorobionych kawałkach ubrania. Zdało mu się, że żyje życiem baśni.

Dziecko zaciężyło mu; zatrzymał się na stopniach i przykląkł, jakby je chciał dogodniej objąć. Właściwie jednak potrzebował chwilowego odpoczynku. Ledwie mógł się potem podnieść. Służący ze światłem chciał wziąć od niego dziecko, ale on nie mógł go puścić od siebie. Następnie wszedł do przedpokoju i ku swemu jeszcze większemu zdziwieniu spostrzegł na ścianie dobrze sobie znany obraz chorego królewicza. Zaledwie miał czas rzucić na niego spojrzenie, gdy służący ponaglił go i poprowadził przez parę pokoiów do gabinetu. Tam, za rzucającą cień umbrellką<sup>152</sup>, siedziała jakaś kobieta i czytała.

— O, gdyby to była ona! — rzekł do siebie w tej stanowczej chwili.

Położył na ziemię dziecko, które zdawało się budzić, i zamierzał zbliżyć się do damy, ale zaspane dziecko przewróciło się, kobieta wstała i wyszła na spotkanie. Była to amazonka! Wilhelm nie mógł się powstrzymać, rzucił się na kolana i zawołał:

— To ona!

Uchwycił jej rękę i całował ją z nieopisanym zachwytem. Dziecko leżało pomiędzy nimi obojgiem na dywanie i spało spokojnie. Przeniesiono je na kanapę; Natalia usiadła przy nim, każąc Wilhelmowi zająć krzesło, które stało tuż obok. Częstowała go ochładzającymi rzeczami, ale on za nie podziękował, zajęty tym tylko, by się upewnić, że to ona, i przypatrzeć znowu dokładnie i na pewno rozpoznać jej rysy ocienione umbrellką. Opowiadała w ogólności o chorobie Mignony, że dziewczynka trawiona jest z wolna pewnymi głębokimi wzruszeniami, że przy swej wielkiej drażliwości, którą skrywa, często cierpi gwałtownie i niebezpiecznie na kurcz swego biednego serca, że ten pierwszy organ życia przy niespodzianych wzburzeniach umysłu niekiedy zatrzymuje się nagle tak, że nie można odczuć ani śladu zbawiennego ruchu życia w piersi dobrego dziecięcia. Kiedy ten bolesny kurcz minie, siła natury objawia się na powrót w gwałtownym tętnie i trapi dziecko nadmiarem, jak poprzednio cierpiało z powodu braku.

Wilhelm przypomniał sobie jedną taką scenę kurczu, a Natalia odwołała się do lekarza, który miał mu obszerniej powiedzieć o tej sprawie i wyłożyć powód, dlaczego obecnie przywołano przyjaciela i dobroczyńcę dziecka.

— Zobaczysz pan w niej szczególną zmianę — mówiła dalej Natalia — chodzi teraz w kobiecym ubraniu, do którego niegdyś zdawała się mieć tak wielki wstręt.

— Jakim sposobem pani tego dokonałaś? — zapytał Wilhelm.

— Chociaż było to rzeczą upragnioną, zawdzięczam to przecież jedynie przypadkowi. Posłuchaj pan, jak się to stało. Wiesz pan może, iż mam wciąż wokół siebie pewną liczbę młodych dziewcząt, których usposobienia, gdy przy mnie wzrastają, pragnę ukształcić ku dobru i słuszności. Z moich ust słyszą tylko to, co ja sama uważam za prawdę, ale nie mogę i nie chcę przeszkadzać, żeby się nie dowiedziały od innych czegoś, co w świecie jest rozpowszechnione jako błąd, jako przesąd. Jeżeli mnie o to pytają, to staram się, o ile to możliwe, te obce niestosowne pojęcia powiązać jakimś sposobem ze słusznymi, ażeby je przez to uczynić, jeżeli nie pożytecznymi, to przynajmniej nieszkodliwymi. Już od pewnego czasu moje dziewczynki nasłuchiwały się z ust chłopskich dzieci o aniołach, o parobku Ruprechcie<sup>153</sup>, o dzieciątku Jezus, którzy w pewnych czasach ukazują się osobiście, by dobre dzieci obdarowywać, a niegrzeczne karać. Miały one niejaki podejrzenie, że to muszą być osoby przebrane, w czym je też utwierdzałam i nie wdając się w długie wyjaśnienia, postanowiłam wyprawić im przy pierwszej sposobności takie widowisko. Zdarzyło się właśnie, że się zbliżyły urodziny siostr-bliźniąt, które się zawsze dobrze sprawowały; obiecałam, że tym razem anioł przyniesie im małe podarki, na które tak bardzo zasłużyły. Z nadzwyczajnym natężeniem oczekiwały tego zjawienia się. Do tej roli wybrałam sobie Mignon; w wyznaczonym dniu została przyzwoicie ubrana w długą, lekką, białą suknię. Nie obeszło się bez złotego pasa wokół kibici i podobnego diademu we włosach. Z początku chciałam pominąć skrzydła, ale kobiety, które ją stroiły, nastawały na parę wielkich złotych skrzydeł, w których bardzo pragnęły okazać swą sztukę.

<sup>152</sup>umbrelka — osłona dająca cień; zasłona na lampę. [przypis edytorski]

<sup>153</sup>parobek Ruprecht (niem. Knecht Ruprecht) — postać z niemieckiej tradycji Bożonarodzeniowej; przychodzi do niegrzecznych dzieci i „obdarowuje” je różgą, podczas gdy Jezus grzecznym dzieciom wręcza prezenty (Marcin Luther propagował nieuznawanie kultu świętych i zastąpił osobę przynoszącego podarki świętego Mikołaja postacią małego Jezusa). [przypis edytorski]

Tak tedy z lilią w jednej ręce, a z koszyczkiem w drugiej wkroczyło to cudowne zjawisko między dziewczynki i zdziwiło nawet mnie samą.

— Oto nadchodzi anioł! — rzekłam.

Dzieci wszystkie jakby się cofnęły; w końcu zawołały:

— To Mignon!

A jednak nie śmiały podejść bliżej do cudnego wizerunku.

— Oto dary dla was — powiedziała i podała koszyczek.

Otoczono ją, rozpatrywano, obmacywano, wypytywano.

— Czy jesteś aniołem? — spytało jedno z dzieci.

— Chciałabym być nim — odrzekła Mignon.

— Dlaczego trzymasz lilię?

— Tak czyste i otwarte powinno być moje serce, wtedy byłabym szczęśliwa.

— A cóż tam te skrzydła? Pokaż je!

— Przedstawiają one piękniejsze, które jeszcze nie wyrosły.

I tak odpowiadała znacząco na każde niewinne, lekkie pytanie. Kiedy ciekawość małego towarzystwa została zaspokojona, a wrażenie tego zjawienia zaczynało się przytępiać, chciano ją rozebrać. Nie dopuściła tego, wzięła swą gitarę, usiadła tu, na tym wysokim biurku, i z niezrównanym wdziękiem zaśpiewała pieśń:

Niech się wydaję, aż się stanę taką;  
Białej odzieży nie zdejmujcie mi;  
Z pięknej ja ziemi podążam wszelako  
Tam, gdzie dom ów potężny bosko łśni.

Spocznę tu chwilę w spokoju małą;  
Świeży mi wzrok się otworzy na czas,  
Wtedy porzucę tu szatę swą białą,  
Wieniec też swój i złocisty ten pas.

Owe zaś górne niebiańskie postaci  
Nie zapytają: kobieta czy mąż;  
Ciało sukienkę wszelaką tam traci  
I wyzwolone jaśniejże już wciąż.

Żyłam ja wprawdzie bez troski na ziemi,  
Ból jednak ciężki szarpał piersią tą,  
Porył mi czoło rysy przedwczesnymi;  
Zróbcież wieczystą tam młodość mą!

— Postanowiłam natychmiast — mówiła Natalia w dalszym ciągu — pozostawić jej ubranie i sprawić jej jeszcze inne tego rodzaju, w których też obecnie chodzi i w których, jak mi się zdaje, jej istota nabrała całkiem odmiennego wyrazu.

Ponieważ było już późno, Natalia pożegnała przybysza, który rozstawał się z nią nie bez trwogi.

„Czy ona zamężna, czy nie?” — pytał w myśli sam siebie.

Ilekcóż coś się poruszyło, bał się, żeby się drzwi nie otwarły i nie wszedł małżonek. Służący, który go zaprowadził do jego pokoju, oddalił się, zanim zdobył się na odwagę zapytać go o ten związek. Niepokój nie dawał mu przez pewien czas zasnąć; zajął się porównywaniem obrazu amazonki z obrazem tej nowej obecnej przyjaciółki. Nie chciały się jeszcze złąć w jedną całość; tamten stworzył sobie niejako, a ten, jak się zdawało, chciał prawie jego przetworzyć.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Nazajutrz, kiedy wszystko było jeszcze w spokoju i spoczynku, wyszedł na dwór, by się rozejrzeć po domu. Był on architektury najczystszej, najpiękniejszej, najdostojniejszej, jaką widział.

— Prawdziwa sztuka — zawołał — to jak dobre towarzystwo: w najprzyjemniejszy sposób zniewala nas rozpoznawać miarę, według której i do której ukształtowana jest głęb naszej duszy.

Niewymownie miłe było wrażenie, jakie wywarły na nim posągi i popiersia jego dziadka. Z utęsknieniem podążył do obrazu chorego królewicza, a i teraz jeszcze uważał go za powabny i wzruszający. Sługa otworzył mu różne inne pokoje, znalazł bibliotekę, zbiór przyrodniczy, gabinet fizykalny. Czuł się tak obcy wobec tych wszystkich przedmiotów!

Feliks tymczasem obudził się i przybiegł za nim. Myśl o tym, jak i kiedy otrzyma list Teresy, przejęła Wilhelma troską; lękał się widoku Mignon, a w pewnej mierze i widoku Natalii. Jak niepodobny był jego obecny stan w porównaniu z tymi chwilami, kiedy zapieczętował list do Teresy i z pogodną myślą oddawał się tak szlachetnej istocie!

Natalia kazała go poprosić na śniadanie. Wszedł do pokoju, w którym kilka czysto ubranych dziewcząt, niemających jeszcze, jak się zdawało, lat dziesięciu, nakrywało do stołu, gdy jakaś podeszła osoba wносиła różne rodzaje napojów.

Wilhelm zaczął uważnie przypatrywać się obrazowi wiszącemu nad kanapą; musiał go uznać za wizerunek Natalii, chociaż go nie zadowalał. Weszła Natalia, a podobieństwo zdawało się znikać zupełnie. Ku jego otusze był na nim krzyż orderowy, a on ujrzał podobny na piersi Natalii.

— Przyglądałem się temu portretowi — rzekł do niej — dziwiłem się, jak to malarz może być zarazem tak prawdziwy i tak fałszywy. Wizerunek jest w ogólności bardzo podobny do pani, a jednak to nie są ani jej rysy, ani charakter.

— Dziwić się raczej trzeba — odparła Natalia — że jest tak bardzo podobny, bo to wcale nie mój wizerunek. To portret ciotki, która nawet w starości była podobna do mnie, kiedy byłam jeszcze dzieckiem. Malowany był, gdy miała mniej więcej moje lata, a na pierwszy rzut oka wszyscy sądzą, że mnie widzą. Musiałeś pan chyba znać tę zacną osobę? Tyle jej zawdzięczam. Zdrowie bardzo słabe, może za duże zajmowanie się sobą, a przy tym zaprzątnięcie moralne i religijne nie pozwoliły zostać jej dla świata tym, czym by zostać mogła w innych okolicznościach. Była światłem, które przyświecało tylko niewielu przyjaciółom, a mnie w szczególności.

— Czyż to podobna — odparł Wilhelm po chwilowym namyśle, kiedy na raz tyle różnorodnych okoliczności ukazało mu się w związku ze sobą — czyż to podobna, żeby owa piękna, szlachetna dusza, której ciche zwierzenia i mnie także zostały udzielone, była pani ciotką?

— Czytałeś pan ten zeszyt? — spytała Natalia.

— Tak jest i to z największym zrozumieniem i nie bez wpływu na całe me życie — odrzekł Wilhelm. — Co zajaśniało mi największym światłem z tego pisma, to, że tak powiem, czystość istnienia nie tylko jej samej, ale wszystkiego, co ją otaczało, ta samodzielność jej natury i ta niemożność wchłonięcia czegoś, co nie harmonizowało z jej szlachetnym, pełnym miłości nastrojem.

— To jesteś pan — odparła Natalia — łaskawszy, a raczej powinienam powiedzieć: sprawiedliwszy względem tej pięknej natury niż niektórzy inni, którym dawano ten rękopis. Każdy wykształcony człowiek wie, jak mocno musi walczyć w sobie i w innych z pewną dzikością, jak wiele kosztuje go własne wykształcenie i jak dalece mimo to w pewnych wypadkach myśli tylko o sobie, zapominając, co winien innym. Jak często uczciwy człowiek robi sobie wyrzuty, że postępował nie dosyć delikatnie; a przecież, jeśli jakaś piękna natura wykształci się na zanadto delikatną, na zanadto sumienną, jeśli w tym ukształceniu popadnie, dajmy na to w przesadę, to dla takiej, zdaje się, nie ma w świecie ani tolerancji, ani wyrozumiałości. A jednak ludzie tego rodzaju są na zewnątrz nas tym, czym są ideały w naszym wnętrzu: wzorami, nie do naśladowania, ale do podążania za nimi. Śmieją się ze schludności Holenderek, ale czy przyjaciółka Teresa byłaby tym, czym jest, gdyby nią w sprawach gospodarskich nie kierowała podobna myśl?

— A więc w przyjaciółce Teresy — zawołał Wilhelm — znajduję przed sobą tę Natalię, która od młodości tak była rozumiejąca, tak przyjazna, tak pomocna! Tylko z takiego rodzaju mogła powstać taka natura. Co za widok otwiera się przede mną, kiedy naraz obejmuję okiem przodków pani i całe to koło, do którego pani należysz.

— Tak — odparła Natalia — w pewnym względzie nie mogłeś pan być o nas powiadomiony lepiej niż za pośrednictwem opisu naszej ciotki; oczywiście jej przywiązanie do mnie kazało jej powiedzieć za dużo dobrego o dziecku. Kiedy się mówi o dziecku, nigdy nie ma się na myśli samego przedmiotu, ale nadzieje przezeń budzone.

Wilhelm szybko tymczasem doszedł do wniosku, że wie o pochodzeniu Lothara i latach jego pierwszej młodości; piękna hrabina ukazała mu się jako dziecko z perłami swej ciotki na szyi; toż i on tak blisko był tych pereł, kiedy jej delikatne, małe wargi skłoniły się ku jego ustom; te piękne wspomnienia starał się oddalić za pomocą innych myśli. Przebiegł w duchu znajomych, których nastroczył mu ów rękopis.

— Więc jestem — zawołał — w domu czcigodnego stryja! To nie dom, to świątynia, a pani jesteś dostojną kapłanką, co więcej, samym duchem opiekuńczym; póki życia pamiętać będę wrażenie wczorajszego wieczoru, kiedy wszedłem do wnętrza, a przede mną znów stanęły stare dzieła sztuki z najwcześniejszej młodości. Przypomniałem sobie litościwe posągi marmurowe z pieśni Mignon, lecz te wizerunki nie potrzebowały mnie żałować; patrzyły na mnie z wyniosłą powagą i łączyły moje najdawniejsze lata bezpośrednio z tą chwilą. Ten nasz stary skarb rodzinny, to uprzyjemnienie życia mojego dziadka, odnajduję tutaj, wystawiony pośród wielu innych cennych dzieł sztuki, a siebie, którego natura uczyniła ulubieńcem tego dobrego starca, siebie niegodnego, także tutaj znajduję, o Boże! w jakich stosunkach, w jakim towarzystwie!

Młodzież żeńska powoli opuściła pokój, idąc do swym drobnym zajęć. Wilhelm, zostawszy sam z Natalią, musiał jej dokładniej wyjaśnić ostatnie swoje słowa. Odkrycie, że cenna część wystawionych tu dzieł sztuki należała niegdyś do jego dziadka, obudziło pogodny towarzyski nastrój. Jak przez rękopis zaznajomił się z tym domem, tak znowu teraz znalazł się jakby w swojej dziedzicznej częstce.

Potem pragnął ujrzeć Mignon; przyjaciółka prosiła go, żeby się z tym wstrzymał do chwili, kiedy powróci lekarz, którego wezwano do sąsiedztwa. Łatwo się domyślić, że to był ten sam niski, aktywny człowiek, którego już znamy i o którym wspominały także *Zwierzenia pięknej duszy*.

— Ponieważ znajduję się — mówił dalej Wilhelm — w tym gronie rodzinnym, to i ksiądz, o którym wspomina to pismo, jest zapewne tym dziwnym, niepojętym człowiekiem, którego zastałem po najdziwniejszych wydarzeniach w domu pani brata? Możesz mi pani udzielić o nim jakichś dokładniejszych objaśnień?

— Byłoby o nim wiele do opowiedzenia — odparła Natalia. — Najlepiej wiem o wpływie, jaki miał na nasze wychowanie. Był przekonany, przynajmniej przez jakiś czas, że wychowanie powinno się opierać tylko na przywiązaniu; jak myśli obecnie, nie mogę powiedzieć. Twierdził, że pierwszą i ostatnią rzeczą w człowieku jest aktywność i niczego nie można zrobić bez chęci do działania, bez instynktu, który nas do tego popycha. „Przyznaje się — zwykł mawiać — że poeci się rodzą, przyznaje się to co do wszystkich sztuk, ponieważ trzeba i ponieważ owe działania natury ludzkiej zaledwie pozornie mogą być wynikiem małpiego naśladownictwa, ale jeżeli się przyjrzymy temu dokładnie, to zobaczymy, że każda, nawet najmniejsza zdolność jest nam wrodzona i że nie ma wcale zdolności nieokreślonej. Tylko nasze dwuznaczne, rozproszone wychowanie czyni człowieka niepewnym; budzi pragnienia zamiast ożywiać popędy, a zamiast dopomagać rzeczywistym uzdolnieniom zwraca wysiłki ku przedmiotom, które tak często są sprzeczne z naturą, która stara się ją ku nim skierować. Dziecko, młodzieniec, którzy błąkają się na swej własnej drodze, są dla mnie miłsi niż niejeden, który na obcej drodze idzie prosto. Kiedy tamci czy to sami przez się, czy wskutek wskazówki znajdą drogę prawdziwą, to jest tę, która jest stosowna ich do natury, to już nigdy jej nie opuszczają, a tymczasem ci co chwila są w niebezpieczeństwie zrzucenia obcego jarzma i oddania się nieograniczonej wolności.

— To szczególne — powiedział Wilhelm — że ten osobliwy człowiek i mną także się zainteresował i, jak się zdaje, na swój sposób, jeżeli nie pokierował, to przynajmniej utwierdził mnie na jakiś czas w moich błędach. Jak się on kiedyś wytłumaczy z tego, że razem z kilkoma innymi drwił sobie niejako ze mnie, muszę na to poczekać cierpliwie.

— Co do mnie — odrzekła Natalia — nie potrzebuję się skarżyć na tę mrzonkę, jeżeli to mrzonka, gdyż spomiędzy mojego rodzeństwa najlepiej na niej wyszłam. Nie widzę też, żeby mój brat Lothar mógł być pięknie wykształcony; może tylko moja dobra siostra,



hrabina, powinna była być inaczej traktowana, może w jej naturę można by było wlać więcej powagi i siły. Co będzie z brata Fryderyka, pomyśleć się nie da; lękam się, żeby nie został ofiarą tych prób pedagogicznych.

— Pani masz jeszcze jednego brata? — zawołał Wilhelm.

— Tak jest — odparła Natalia. — To bardzo wesoła, płocha natura, a ponieważ nie powstrzymano go od bujania po świecie, to nie wiem, co wyrosnie z tej roztrzepanej, lekkomyślnej istoty. Od dawna go już nie widziałam. To mnie jedno uspokaja, że książdz i w ogóle towarzystwo mego brata w każdej chwili jest powiadomione, gdzie się on znajduje i co porabia.

Wilhelm zamierzał właśnie zarówno zbadać myśli Natalii co do tych paradoksów, jak też poprosić ją o objaśnienia na temat tajemniczego towarzystwa, kiedy wszedł lekarz i po przywitaniu zaraz zaczął mówić o stanie Mignon.

Natalia, wzięwszy za rękę lekarza, oświadczyła, że zaprowadzi go do Mignon i przytupuje dziewczynkę na pojawienie się jej przyjaciela.

Lekarz został tedy sam z Wilhelmem i mówił dalej:

— Mam panu do opowiedzenia inne rzeczy, których się pan ani domyślasz. Natalia daje nam wolne pole, byśmy mogli mówić swobodniej o sprawach, o których, chociaż mogłem je poznać tylko przez nią samą, niepodobna byłoby mówić tak swobodnie w jej obecności. Szczególna natura tego dobrego dziecka, o którym teraz mowa, polega prawie wyłącznie na głębokiej tęsknocie; pragnienie ujrzenia znowu swojej ojczyzny i tęsknota za tobą, mój przyjacielu, jest, że tak powiem, jedynym u niej uczuciem ziemskim, to i tamto ciągnie się w nieskończoną dal, obydwa przedmioty stoją przed tym wyjątkowym umysłem jako niedościgłe. Pochodzi ona pewnie z okolic Mediolanu i w bardzo wczesnej młodości została uprowadzona od rodziców przez jakieś towarzystwo linoskoczków. Czegoś dokładniejszego nie można się od niej dowiedzieć, częściowo dlatego, że była za młoda, by móc ściśle podać miejsce i nazwy, szczególnie zaś dlatego, że złożyła przysięgę, iż żadnemu człowiekowi nie określi dokładniej swego mieszkania i pochodzenia. Właśnie bowiem ci ludzie, którzy znaleźli ją zbłąkaną i którym tak dokładnie opisała swoje mieszkanie z tak usilnymi prośbami, by ją odprowadzili do domu, tym pośpieszniej zabrali ją ze sobą i nocą w oberży, myśląc, że dziecko już zasnęło, żartowali sobie z dobrego połowu i zapewniali, że nigdy nie odnajdzie drogi powrotnej. Wtedy opanowała biedne stworzenie straszliwa rozpacz, w której ukazała mu się w końcu Matka Boża i zapewniła je, że się nim zaopiekuje. Złożyło więc przed sobą świętą przysięgę, że już nigdy nikomu nie zaufa, nikomu nie opowie swojej historii i będzie żyć i umierać jedynie w nadziei bezpośredniej pomocy boskiej. I tego nawet, co ja tu panu opowiadam, nie wyznała Natalii wyraźnie; nasza zacna przyjaciółka zestawiała to z oderwanymi wyrażeniami, z pieśni i dziecięcej nieopatrności, która to właśnie zdradza, co pragnie przemilczeć.

Wilhelm mógł sobie teraz wyjaśnić niejedną pieśń, niejedno słowo tego dobrego dziecięcia. Prosił swego przyjaciela jak najusilniej, by nie ukrywał przed nim niczego, czego się dowiedział o dziwnych śpiewach i zwierzeniach tej wyjątkowej istoty.

— O — rzekł lekarz — przygotuj się pan na szczególne zwierzenia, na historię, w której pan, nie pamiętając o tym, brałeś znaczny udział, a która, jak się obawiam, zdecydowała o śmierci i życiu dobrego stworzenia.

— Niechże pan powie — odparł Wilhelm — jestem nadzwyczaj niecierpliwy.

— Czy przypominasz sobie — rzekł lekarz — tajemne, nocne, kobiece odwiedziny po przedstawieniu *Hamleta*?

— Tak jest, doskonale je sobie przypominam! — zawołał Wilhelm zawstydzony — ale nie sądziłem, żeby w tej chwili trzeba było mi o nich przypominać.

— Wiesz pan, kto to był?

— Nie! Przerażasz mnie pan! Na miłość boską, przecież nie Mignon? Kto to był? Powiedz mi pan.

— Ja sam nie wiem.

— A więc nie Mignon?

— Nie, z pewnością nie! Ale Mignon zamierzała zakraść się do pana i musiała ze swego kąta widzieć ze zgrozą, że jakaś rywalka ją uprzedziła.

— Rywalka! — zawołał Wilhelm. — Mów pan dalej; wprawiasz mnie pan w okropne zmieszanie.

— Ciesz się pan — odrzekł lekarz — że możesz pan dowiedzieć się ode mnie tak szybko o rezultatach. Natalia i ja, którzy bierzemy w tym tylko bardzo odległy udział, wiele się nadřęczyliśmy, zanim zdołaliśmy tak jasno rozejrzeć się w stanie tej dobrej istoty, której pragnęliśmy dopomóc. Gdy lekkomyślne rozmowy Filiny i innych dziewcząt oraz pewna piosenka zwróciły jej uwagę, wielce powabna wydała się jej myśl spędzenia nocy u ukochanego, chociaż przy tym nie wyobrażała sobie nic innego nad poufny, szczęśliwy wypoczynek. Skłonność do ciebie, mój przyjacielu, była już w tym dobrym sercu żywa i potężna; w twoich objęciach dobre dziecko wypoczęło już po wielkim bólu; zapragnęło więc tego szczęścia w całej jego pełni. Już to postanawiała uprzejmie prosić pana o to, już to powstrzymywała ją od tego jakaś tajemna zgroza. W końcu wesoło spędzony wieczór i nastrój wywołany obfitym użyciem wina natchnęły ją odwagą spróbowania śmiałego kroku i wśliznięcia się owej nocy do pana. Wybiegła naprzód, by się ukryć w niezamkniętym pokoju, ale gdy właśnie wydostała się po schodach na górę, posłyszała jakiś szelest; skryła się i ujrzała jakąś białą, żeńską istotę wsuwającą się do pańskiego pokoju. Niebawem pan nadszedł i usłyszała zasuwaną się rygiel. Doświadcziała niewymownej męczarni; wszystkie gwałtowne wzruszenia namiętej zazdrości mieszały się z niezrozumiałym pragnieniem niejasnej żądz i targały na pół rozwiniętą naturę. Serce jej, które dotychczas biło żywo tęsknotą i oczekiwaniem, zaczęło się nagle zatrzymywać i cisnęło jej pierś jak ołowiane brzemie; nie mogła odetchnąć, nie umiała sobie poradzić, posłyszała harfę starca, pośpieszyła do niego na poddasze i spędziła noc u jego nóg w straszliwych drgawkach.

Lekarz zamilkł na chwilę, a kiedy Wilhelm nie odzywał się, zaczął mówić dalej:

— Natalia zapewniała mnie, że nic w życiu tak jej nie przeraziło i nie wzruszyło, jak stan dziecka przy tym opowiadaniu; co więcej, nasza szlachetna przyjaciółka robiła sobie wyrzuty, że swoimi pytaniami i poleceniami wyludziła te zwierzenia i tak okrutnie odnowiła wspomnieniem dotkliwe cierpienia. „Dobre stworzenie (tak mi opowiadała Natalia), ledwie doszedłszy do tego punktu w swoim opowiadaniu, a raczej w odpowiedziach na moje kolejne pytania, nagle upadło przede mną i z ręką na piersi zaczęło się skarżyć na powracający ból owej strasznej nocy. Wiło się jak robak na ziemi, a ja musiałam skupić całą przytomność umysłu, aby pomyśleć i zastosować znane mi środki wspomnienia ducha i ciała w tych okolicznościach”.

— Wprawiasz mnie pan w straszne położenie — zawołał Wilhelm — dając mi tak żywo odczuć moje liczne uchybienia względem tej drogiej istoty, i to właśnie w chwili, kiedy mam ją znowu ujrzeć. Jeżeli mam ją zobaczyć, czemu odbierasz mi pan odwagę swobodnego pojawienia się przed nią? Przyznam się panu, że w takim nastroju jej duszy nie rozumiem, jak moja obecność miałaby pomóc. Jeżeli pan jako lekarz jesteś przekonany, że ta podwójna tęsknota tak dalece podkopała jej naturę, iż zagraża rozstaniem się z życiem, to po co swoją obecnością mam wznawiać jej cierpienia, a może nawet przyspieszać jej zgon?

— Mój przyjacielu — odparł lekarz — gdzie nie możemy pomóc, obowiązani jesteśmy przynieść ulgę, a jak bardzo obecność ukochanego przedmiotu odbiera wyobraźni jej burzącą siłę i przemienia tęsknotę w spokojne wpatrywanie się, na to mam bardzo ważne przykłady. Wszystko w miarę i z celem! Ponieważ tak samo obecność może ponownie rozniecić gasnącą namiętność. Zobacz się pan z dobrym dzieckiem, zachowaj się pan przyjaźnie i czekajmy, co z tego wyniknie.

Natalia właśnie wróciła i poprosiła, żeby Wilhelm poszedł za nią do Mignon.

— Wydaje się całkiem szczęśliwa z Feliksem i przyjmie dobrze przyjaciela, jak się spodziewam.

Wilhelm poszedł nie bez pewnego oporu; był głęboko wzruszony tym, czego się dowiedział, i lękał się namiętnej sceny. Gdy wszedł, stała się rzecz wprost przeciwna.

Mignon w długiej, białej, kobiecej sukni, z bujnymi czarnymi włosami, częściowo w puklach, częściowo związanymi, siedząc, trzymała Feliksa na łonie i przyciskała go do serca; wyglądała zupełnie jak duch nie z tego świata, a chłopiec jak samo życie — niby niebo i ziemia w objęciu. Z uśmiechem podała Wilhelmowi rękę i rzekła:

— Dziękuję ci, że przyprowadzasz mi z powrotem dziecko; uprowadzili mi je Bóg wie jak, a ja od tego czasu nie mogłam żyć. Dopóki moje serce potrzebuje czegoś na ziemi, ono wypełni braki.

Spokój, z jakim Mignon przyjęła swego przyjaciela, sprawił towarzystwu wielką radość. Lekarz zażądał, żeby Wilhelm często ją odwiedzał i żeby utrzymywano ją w równowadze zarówno cieleśnie, jak duchowo. Sam odszedł, obiecując, że niedługo wróci.

Wilhelm mógł tedy przyglądać się Natalii w jej kółku; niepodobna byłoby życzyć sobie czegoś lepszego niż żyć przy niej. Jej obecność wywierała najczystszy wpływ na młode dziewczęta i kobiety w różnym wieku, które już to mieszkaly w jej domu, już to przychodziły do niej częściej czy rzadziej z sąsiedztwa.

— Bieg życia pani — rzekł raz do niej Wilhelm — był prawie zawsze bardzo jednostajny? Obraz bowiem, który ciotka dała o pani jako o dziecku, nadal wydaje się pasować do pani. Czuje się po pani, że się nigdy nie błakałaś. Nigdy nie byłaś pani zmuszona cofać kroku.

— Zawdzięczam to swemu stryjowi i księdzu — odparła Natalia — którzy umieli tak dobrze ocenić moje cechy. Z młodych lat nawet ledwie przypominam sobie jakieś żywsze wrażenie niż to, że wszędzie widząc potrzeby ludzi, doznawałam niepowstrzymanego pragnienia, by im uczynić zadość. Dziecko, które nie mogło jeszcze ustać na nogach, starzec, który się na swoich utrzymać nie zdołał, tęsknota bogatej rodziny za posiadaniem dzieci, niemożność biednej wyżywienia swoich, każda cicha chęć do zawodu, popęd do jakiegoś talentu, usposobienie do setnych drobnych uzdolnień: by to wszystko wszędzie odkrywać, oko moje zdawało się przeznaczone z natury. Widziałam to, na co nikt nie zwrócił mojej uwagi, ale też zdawało się, że po to się tylko urodziłam, aby to widzieć. Powaby martwej natury, na które tylu ludzi nadzwyczaj jest wrażliwych, nie miały na mnie żadnego wpływu; prawie jeszcze mniej powaby sztuki; najmilszym dla mnie uczuciem było i jest dotąd, ilekroć mi się w świecie ukazał jakiś brak, jakaś potrzeba, wynajdywać zaraz w duchu zadośćuczynienie, zarządzenie, pomoc. Jeśli zobaczyłam biedaka w łachmanach, naraz przychodziła mi na myśl zbywająca odzież, jaką widziałam w szafach krewnych i znajomych; jeśli zobaczyłam dzieci marniejące bez opieki i pielęgnowania, przypomniałam sobie tę czy ową kobietę, u której pomimo bogactwa i wygody zauważyłam nudy; jeśli zobaczyłam mnóstwo ludzi stłoczonych w ciasnej przestrzeni, myślałam sobie, że powinni by dostać mieszkanie w wielkich pokojach niejednego domu i pałacu. Ten sposób patrzenia na rzeczy był u mnie zupełnie naturalny, bez najmniejszej refleksji, tak że jeszcze jako dziecko wyprawiałam z tego powodu najcudaczniejsze w świecie rzeczy i niejednokrotnie nabawiałam ludzi kłopotu najdziwniejszymi propozycjami. I to jeszcze było moją cechą, że dopiero z trudem i późno zaczęłam postrzegać pieniądze jako środek zaspokajania potrzeb; wszystkie moje dobrodziejstwa dawałam w naturze i wiem, że dosyć często śmiano się ze mnie. Tylko ksiądz zdawał się mnie rozumieć; wszędzie śpieszył mi z pomocą, zaznajamiał mnie z samą sobą, z tymi pragnieniami i skłonnościami i uczył mnie, jak je zaspokajać celowo.

— Czy pani także — zapytał Wilhelm — w wychowaniu swego żeńskiego światka przyjęła zasady owych dziwnych ludzi? Czy i pani pozwalasz każdej naturze rozwijać się samej? Czy pozwalasz także swoim szukać i błędzić, popełniać omyłki, stawać szczęśliwie u celu lub też nieszczęśliwie ginąć na manowcach?

— Nie — odrzekła Natalia — taki sposób postępowania z ludźmi byłby sprzeczny z moimi uczuciami. Wydaje mi się, że kto nie pomaga od razu, nigdy nie pomoże; kto nie daje rady od razu, nigdy nie doradzi. Za równie konieczne uważam też wypowiadać i wpajać w dzieci pewne prawa, które życiu dają niejaką podporę. Co więcej, chciałbym prawie powiedzieć, że lepiej jest błędzić zgodnie z regułami niż błędzić według samowoli naszej natury, pędzącej nas w różne strony; a kiedy patrzę na ludzi, zdaje mi się, że w ich naturze tkwi zawsze jakiś brak, który można wypełnić jedynie stanowczo ogłoszonym prawem.

— A więc sposób pani postępowania — rzekł Wilhelm — jest całkiem odmienny od tego, jakiego się trzymają nasi przyjaciele?

— Tak jest — odparła Natalia — ale możesz pan z tego przekonać się o niesłychanej tolerancji tych ludzi, iż mi wcale nie przeszkadzają na mej drodze dlatego właśnie, że to moja droga, lecz raczej przychodzą mi z pomocą we wszystkim, czego tylko sobie mogę życzyć.

Szczegółowy opis, jak Natalia postępowała z dziećmi, zachowujemy sobie do innej sposobności.

Mignon często pragnęła być w towarzystwie; przystawano na to tym chętniej, że powoli zdawała się znowu przyzwyczajając do Wilhelma, otwierać przed nim swe serce i w ogóle stawać się pogodniejsza i weselsza. Na przechadzkach, łatwo się męcząc, chętnie wspierała się na jego ramieniu.

— Oto — mówiła — Mignon już nie wdrapuje się i nie skacze, a jednak wciąż jeszcze doznaje pragnienia, by się przechadzać po szczytach gór, przedostawać się z jednego domu na drugi, z jednego drzewa na drugie. Jakże godne zazdrości są ptaki, zwłaszcza gdy tak zręcznie i serdecznie ścielą sobie gniazda.

Stało się niebawem zwyczajem, że Mignon niejednokrotnie zaciągała swego przyjaciela do ogrodu. Jeżeli był zajęty albo nie można go było znaleźć, to musiał go zastępować Feliks; a choć dobra dziewczynka w pewnych chwilach wydawała się zupełnie oderwana od ziemi, to w innych innym razem mocno lgnęła do ojca i syna i rozdzielenia z nimi lękała się widocznie bardziej niż cegokolwiek innego.

Natalia wydawała się zamyślona.

— Pragnęliśmy — rzekła — pańską obecnością otworzyć na nowo to biedne, dobre serce; czyśmy dobrze zrobili, nie wiem.

Zamilkła i zdawała się oczekiwać, by Wilhelm coś powiedział. Przyszło mu też na myśl, że w obecnych okolicznościach Mignon będzie wyjątkowo udręczona przez jego związek z Teresą, ale w niepewności nie miał odwagi mówić o tym zamiarze; nie domyślał się, że Natalia o nim wiedziała.

Nie mógł też spokojnie przysłuchiwać się rozmowie, kiedy jego szlachetna przyjaciółka opowiadała o swej siostrze, sławiąc jej wielkie zalety i bolejąc nad jej stanem. Znalazł się w niemałym kłopotcie, gdy Natalia zapowiedziała mu, że niebawem ujrzy tutaj hrabinę.

— Jej małżonek — rzekła — myśli teraz tylko o jednym: żeby zastąpić zmarłego hrabiego w gminie, podeprzeć i dalej rozwinąć ten wielki zakład za pomocą rozwagi i działalności. Przybywa do nas wraz z nią, aby się niejako pożegnać; potem zwiedzi rozmaite strony, w których osiedliła się gmina; traktują go poważnie według jego życzeń i niemal wierzę, że odważy się wraz z moją biedną siostrą na podróż do Ameryki, żeby stać się zupełnie podobnym do swego poprzednika; a ponieważ prawie jest już przeświadczony, że niewiele mu brakuje, by zostać świętym, to może niekiedy przed jego duszą unosi się pragnienie, żeby w końcu, jeśli można, zablysnąć jeszcze jako męczennik.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Dosyć często mówiono dotychczas o panie Teresie, dosyć często wspomniano o niej mimochodem i prawie za każdym razem Wilhelm zamierzał wyznać swojej nowej przyjaciółce, że ofiarował tej zacnej dziewczycy swe serce i rękę. Jakies uczucie, którego sobie nie umiał wyjaśnić, powstrzymywało go; ociągał się póty, aż w końcu sama Natalia z niebiańskim, skromnym, pogodnym uśmiechem, który zwykło się u niej widzieć, rzekła do niego:

— Muszę wreszcie przełamać milczenie i wdrzeć się gwałtem w pańskie zaufanie. Dlaczego robisz przede mną tajemnicę, mój przyjacielu, ze sprawy, która dla pana jest tak ważna i która mnie samą tak blisko obchodzi? Ofiarowałeś pan swą rękę mojej przyjaciółce; mieszam się do tego nie bez powołania; oto moje upoważnienie! Oto list pisany do pana i przesłany panu za moim pośrednictwem.

— List od Teresy! — zawołał.

— Tak, mój panie! I los pański rozstrzygnięty, jesteś pan szczęśliwy. Pozwól sobie i mojej przyjaciółce życzyć szczęścia.

Wilhelm oniemiał i patrzył przed siebie. Natalia spoglądała na niego, dostrzegła, że zbladł.

— Radość pańska jest silna — mówiła dalej — przybiera postać przestachu, pozbawia pana mowy. Moje współczucie nie mniej przeto jest serdeczne, że mi jeszcze pozwala dojść do słowa. Spodziewam się, że będziesz pan wdzięczny; muszę bowiem panu powiedzieć, iż mój wpływ na postanowienie Teresy był niemały; pytała mnie o radę! I rzecz szczególna, byłeś pan właśnie tutaj; mogłam szczęśliwie zwyciężyć te nieliczne wątpliwości, jakie miała jeszcze moja przyjaciółka; posłańcy żywo biegali w tę i z powrotem; oto jej

decyzja, oto rozwiązanie! A teraz będziesz pan mógł odczytać wszystkie jej listy i zajrzeć swobodnie, bez przeszkody w piękne serce swojej narzeczonej.

Wilhelm rozwinął arkusz, który podała mu niezapieczonego; zawierał on te przyjazne słowa:

Jestem Pańska, jaką jestem i jaką mnie Pan znasz. Nazywam Pana moim, jakim jesteś i jakim znam Pana. Co w nas samych, co w naszych stosunkach zmieni małżeństwo, potrafimy znieść przy pomocy rozumu, pogodnej myśli i dobrej woli. Ponieważ jednoczy nas nie namiętność, ale upodobanie i zaufanie, ryzykujemy mniej niż tysiące innych. Darujesz mi z pewnością, jeżeli niekiedy wspomnę żałośnie o swoim dawnym przyjacielu; za to syna Pańskiego przycisnę do łona jak matka. Jeśli Pan zechcesz podzielić zaraz ze mną mój domek, to jesteś panem i władcą; tymczasem dokończy się kupno majątku. Pragnęłabym, żeby tam nie zrobiono żadnego rozporządzenia bez mnie, aby okazać od razu, iż zasługuję na zaufanie, jakim mnie Pan obdarzasz. Bądź zdrow, drogi, drogi przyjacielu, ukochany narzeczony, szanowny małżonku! Teresa przyciska Pana do swej piersi z nadzieją i radością żywą. Przyjaciółka moja powie Panu więcej, powie panu wszystko.

Wilhelm, któremu list uprzytomnił w całości jego Teresę, doszedł całkiem do siebie. Podczas czytania myśli z niezmierną szybkością zmieniały się w jego duszy. Z przerażeniem znalazł w swym sercu żywe ślady skłonności do Natalii; ganił siebie, każdą myśl tego rodzaju nazywał niedorzecznością; wyobrażał sobie Teresę w całej jej doskonałości, odczytywał list ponownie, wypogodniał, a raczej na tyle ochłonał, że mógł się wydawać pogodny.

Natalia podała mu listy wymienione pomiędzy nią a Teresą, z których wyjmujemy parę ustępów.

Odmalowywszy po swojemu narzeczonego, pisała Teresa dalej:

Tak sobie wyobrażam człowieka, który mi obecnie ofiaruje rękę. Jak on myśli o sobie, dowiesz się kiedyś z papierów, w których się sam przede mną opisuje całkiem otwarcie; jestem przekonana, że będę z nim szczęśliwa.

\*

Co się tyczy stanu, wiesz przecież, co o tym już od dawna myślę. Niektórzy ludzie straszliwie odczuwają niewłaściwe stosunki względów zewnętrznych i nie mogą ich znieść. Nikogo nie chcę przekonywać, ale też pragnę działać według swego przekonania. Nie sądzę, żebym dawała przykład, a postępuję przecież nie bez przykładu. Mnie trwożą jedynie niewłaściwe stosunki wewnętrzne, naczynie niezdatne do tego, co ma w sobie zawierać; wiele przepychu, a mało przyjemności, bogactwo i sknerstwo, szlachectwo i grubiaństwo, młodość i pedantyzm, potrzeba i ceremonie: takie to stosunki mogłyby mnie zmiażdżyć, mniejsza o to, jak je sobie świat stempluje i ceni.

\*

Jeżeli mam nadzieję, że będziemy do siebie pasować, opieram to zdanie głównie na tym, że jest on tak bardzo podobny do Ciebie, droga Natalio, do Ciebie, którą niezmiernie cenię i szanuję. Co więcej, od Ciebie ma on to szlachetne poszukiwanie i dążenie do czegoś lepszego, przez co sami wytwarzamy dobro, które sądzimy, że znajdujemy. Ileż to razy ganiłam Cię po cichu, że inaczej obchodziłaś się z tym czy owym człowiekiem, że w tym czy owym wypadku inaczej postąpiłaś, niżbym ja to zrobiła; a jednak wynik pokazywał zazwyczaj, że miałaś słuszność. „Jeżeli — mówiłaś — bierzemy ludzi takimi tylko, jak są, to robimy ich gorszymi; jeżeli zaś traktujemy ich

tak, jakby tym byli, czym być powinni, to ich posuwamy tam, dokąd mogą zostać posunięci”. Ja nie mogę ani tak patrzeć, ani tak działać; wiem o tym dobrze. Rozwaga, porządek, karność, rozkaz — to moja rzecz. Pamiętam doskonale, co powiedział Jarno: „Teresa tresuje swoich wychowanków, Natalia kształci ich”. Ba, zapędził się nawet tak daleko, że razu pewnego odmówił mi całkowicie trzech pięknych cnót: wiary, miłości i nadziei. „Zamiast wiary — powiedział — ma rozwagę, zamiast miłości wytrwałość, a zamiast nadziei zaufanie”. Muszę ci też wyznać, że zanim Ciebie poznałam, nie znałam nic ważniejszego w świecie niż jasność i roztropność; dopiero Twoja obecność przekonała mnie, ożywiła, zwyciężyła, Twojej też pięknej, wzniosłej duszy chętnie ustępuję pierwszeństwa. I mego przyjaciela też poważam w tym samym duchu; opis jego życia to wieczne szukanie i nieznajdowanie, ale nie puste bynajmniej szukanie, lecz dziwne, dobrodusze szukanie obsypuje go darami; jemu się zdaje, że można mu dać to, co wyjść może jedynie od niego. I tak, moja droga, i tym razem moja jasność nic mi nie szkodzi, znam swego małżonka lepiej niż on sam siebie i szanuję go tym bardziej. Widzę go, ale go nie przenikam wzrokiem, a cała moja rozwaga nie starczy na to, by się domyślić, co on może zdziałać. Kiedy o nim myślę, obraz jego zawsze spływa się z Twoim i nie wiem, jakim sposobem zasłużyłam na to, by należeć do takich dwojga ludzi. Ale chcę na to zasłużyć tym, że spełnię swój obowiązek, tym, że dokonam, czego można ode mnie oczekiwać i po mnie się spodziewać.

\*

Czy wspominam Lothara? Żywo i codziennie. Bez niego w tym towarzystwie, jakie mnie w duchu otacza, nie mogę się obejść ani na chwilę. O, jakże ubolewam nad tym znacym człowiekiem, że przez błąd młodości spokrewnił się ze mną, że natura chciała go mieć tak bliskim Ciebie. Doprawdy, istota taka jak Ty byłaby jego godniejsza ode mnie. Tobie bym mogła, Tobie bym musiała go odstąpić. Bądźmy dla niego tym, czym tylko możemy być, póki nie znajdzie stosownej małżonki, a wtedy jeszcze bądźmy razem i pozostajmy razem.

— Ale co też powiedzą nasi przyjaciele? — zaczęła Natalia.

— Brat pani nic o tym nie wie?

— Nie. Tak samo jak i pańscy krewni; sprawa tym razem toczyła się tylko pomiędzy nami kobietami. Nie wiem, jakimi mrzonkami Lidia nabiła głowę Teresie; zdaje się nie ufać księdzu i Jarnie. Lidia obudziła w niej co najmniej niejakię podejrzliwość przeciwko pewnym tajemnym związkom i planom, o których wiem wprawdzie coś ogólnie, ale których nigdy nie zamierzałem badać; toteż w tym stanowczym kroku swego życia nie chciała pozwolić nikomu prócz mnie na wywieranie na nią wpływu. Z moim bratem umówiła się już dawniej, iż o swoich małżeństwach będą się wzajemnie zawiadamiać, ale się nie naradzać.

Natalia napisała potem list do brata; poprosiła Wilhelma, żeby dopisał kilka słów; Teresa ją o to prosiła. Już mieli pieczętować, gdy niespodzianie kazał się oznajmić Jarno. Przyjęty został jak najuprzejmiej, wydawał się też rzeński i żartobliwy i nie mógł się w końcu powstrzymać, by nie powiedzieć:

— Przybywam tu właściwie po to, aby przynieść państwu dziwną, ale miłą wiadomość, która dotyczy naszej Teresy. Nieraz ganiłaś nas, piękna Natalio, że troszczymy się o tak wiele rzeczy, ale teraz zobaczysz pani, jak to dobrze mieć wszędzie szpiegów. Niech pani zgadnie i pokaże raz jeden swoją przenikliwość!

Zadowolenie z siebie, z jakim wymówił te słowa, figlarna mina, z jaką spoglądał na Wilhelma i Natalię, przekonały oboje, że ich tajemnica została odkryta. Natalia odpowiedziała z uśmiechem:

— Jesteśmy sprytniejsi, niż pan sądzisz; zanim podano nam zagadkę, już przenieśliśmy jej rozwiązanie na papier.

To mówiąc, podała mu list do Lothara i była zadowolona, że w ten sposób odpiera małe zaskoczenie i zawstydzenie, jakie im zgotowano. Jarno wziął pismo z wielkim zdziwieniem, przebiegł je wzrokiem, zdumiał się, wypuścił je z ręki i wpatrzył się w oboje z wyrazem niepokoju, a nawet przerażenia, którego nie zwykło się widzieć na jego twarzy. Nie rzekł ani słowa.

Wilhelm i Natalia byli niemało przestraszeni. Jarno chodził po pokoju w tę i z powrotem.

— Cóż mam powiedzieć? — zawołał. — I czy wolno mi powiedzieć? Nie może to pozostać tajemnicą; niepodobna uniknąć zamieszania. A więc tajemnica za tajemnicę! Niespodzianka za niespodzianką! Teresa nie jest córką swej matki! Przeszkoda usunięta; przybywam tutaj, by panią prosić o przygotowanie szlachetnej dziewczicy do związku z Lotharem.

Jarno widział przerażenie obojga przyjaciół, którzy spuścili oczy ku ziemi.

— Sprawa jest jedną z tych — rzekł — które najtrudniej znieść w towarzystwie. Co kto ma przy tym do myślenia, najlepiej obmyśli w samotności; ja przynajmniej proszę dla siebie o godzinę urlopu.

Wybiegł do ogrodu; Wilhelm poszedł za nim mechanicznie, ale w oddaleniu.

Po upływie godziny zeszli się znów razem. Wilhelm zabrał głos, mówiąc:

— Dawniej, kiedy żyłem lekko bez celu i planu, ba, lekkomyślnie, spotykały mnie przyjaźń, miłość, skłonność, zaufanie z otwartymi ramionami; a teraz, kiedy poważnieję, los zdaje się iść ze mną inną drogą. Postanowienie ofiarowania Teresie ręki jest może pierwszym, jakie zupełnie swobodnie wyszło ode mnie samego. Plan ułożyłem z namysłem, rozum był z nim w zupełnej zgodzie, a wskutek przyrzeczenia zacnej dziewczicy spełniły się wszystkie moje nadzieje. A tu najdziwniejsza dola uchyla mą wyciągniętą rękę. Teresa podaje mi swoją z daleka, jak we śnie, nie mogę jej pochwycić, a piękny obraz opuszcza mnie na wieki. A więc żegnaj, piękny obrazie! I wy, obrazy najwspanialszej szczęśliwości, coście się wkoło niego skupiły!

Milczał przez chwilę, patrzył przed siebie, a Jarno chciał mówić.

— Pozwól mi pan powiedzieć coś jeszcze — przerwał mu Wilhelm — gdyż tym razem rzucony został los o całą moją przyszłą dolę. W tej chwili przychodzi mi na pomoc wrażenie, jakim mnie przejęła na pierwszy rzut oka obecność Lothara i które u mnie przetrwało bez zmiany. Człowiek ten zasługuje na wszelkie przywiązanie i przyjaźń, a bez poświęcenia nie można sobie wyobrazić przyjaźni. Dla niego łatwo mi przyszło złudzić nieszczęśliwą dziewczynę, dla niego powinien bym może wyrzec się najzacniejszej narzeczonej. Pójdź pan do niego, opowiedz mu tę dziwną historię i oświadczy, na co jestem gotów.

Jarno odparł na to:

— W takich wypadkach, mniemam, wszystko się zrobi, jeśli się tylko nie zgrzeszy pośpiechem. Nie róbmy ani kroku bez zezwolenia Lothara! Udaj się do niego; czekaj pan spokojnie mego powrotu albo jego listów.

Odjechał, pozostawiając oboje przyjaciół w największym smutku. Mieli dosyć czasu, by w różnorodny sposób powtórzyć sobie to zdarzenie i porobić uwagi na jego temat. Teraz dopiero zastanowiło ich, że to dziwne oświadczenie przyjęli od Jarna tak sobie po prostu, nie dowiadując się o bliższe szczegóły. Co więcej, Wilhelm okazywał nawet pewne powątpiewanie, ale zdziwienie ich, ba, zamęt wzrósł do najwyższego stopnia, gdy nazajutrz przybył posłaniec od Teresy, przynosząc następny osobliwy list do Natalii:

Jakkolwiek by się to wydawało dziwne, muszę jednak po swoim poprzednim liście wysłać jeszcze jeden, prosząc Cię, byś mi spiesznie przysłała mego narzeczonego. Zostanie moim mężem, jakiegokolwiek robią plany, by mi go odebrać. Daj mu załączony list! Tylko bez świadków, kimkolwiek by byli.

List do Wilhelma zawierał, co następuje:

Co Pan pomyślisz o swojej Teresie, jeżeli nagle będzie namiętnie nastawać na związek, który, jak się zdawało, sprowadził jedynie najspokojniejszy rozsądek? Nie daj się Pan niczym powstrzymać od wyjazdu zaraz po odebraniu tego listu. Przybywaj, drogi, drogi przyjacielu, teraz potrójnie ukochany, kiedy mnie chcą pozbawić posiadania Ciebie albo je utrudnić przynajmniej.

— Co robić? — zawołał Wilhelm, przeczytawszy list.

— Jeszcze w żadnym wypadku — odparła Natalia po pewnym namyśle — moje serce i rozum nie milczały tak, jak w obecnym; nie wiedziałabym, co robić, tak jak nie wiem, co radzić.

— Czy to możliwe — zawołał Wilhelm gwałtownie — żeby sam Lothar nic o tym nie wiedział lub też, jeżeli wie o tym, żeby wraz z nami był igraszką ukrytych planów? Czyżby Jarno, ujrawszy nasz list, na oczekaniu wymyślił bajkę? Czy powiedziałby nam co innego, gdybyśmy nie postąpili zbyt pośpiesznie? Czego można chcieć? Jakie można mieć zamiary? Jakiż plan ma na myśli Teresa? Tak, nie da się zaprzeczyć, Lothar jest otoczony tajemnymi działaniami i związkami; sam doświadczyłem, że tam są aktywni, że się tam w pewnej myśli zaprzętają działaniami i losem wielu ludzi i umieją nimi kierować. Celów tych tajemnic nie rozumiem zgoła, ale ten najświeższy zamiar, by mi wydrzeć Teresę, przenikam aż nadto jasno. Z jednej strony przedstawiają mi możliwe szczęście Lothara, może tylko na pozór; z drugiej zaś widzę moją ukochaną, moją uwielbioną narzeczoną przywołującą mnie do swego serca. Co mam robić? Czego mam zaniechać?

— Trochę tylko cierpliwości! — rzekła Natalia — i trochę czasu do namysłu! W tym dziwnym zawikłaniu tyle wiem jedynie, że nie powinniśmy zanadto przyśpieszać tego, czego się odrobić nie da. Przeciwno plotce, przeciwko kunsztownemu planowi dopomaga nam wytrwałość i roztropność; niebawem wyjaśnić się musi, czy sprawa ta jest rzetelną czy wymyśloną. Jeżeli brat mój ma rzeczywiście nadzieję połączenia się z Teresą, to byłoby okrucieństwem pozbawiać go na wieki szczęścia i to w chwili, kiedy mu się tak mile uśmiecha. Poczekajmy tylko, czy on co wie o tym, czy on sam wierzy, czy on sam się spodziewa.

Tym wywodom jej rady przyszedł na szczęście list Lothara.

Nie odpowiam stąd Jarna — pisał. — Wiersz moją ręką pisany więcej dla ciebie znaczy niż najszczegółowsze opowiadania posłańca. Jestem pewny, że Teresa nie jest córką swej matki i nie mogę się wyrzec nadziei posiadania jej, dopóki i ona nie zostanie przekonana, a wówczas ze spokojną rozważą rozstrzygnie pomiędzy mną a przyjacielem. Proszę Cię, nie puszczaj go od swego boku! Szczęście, życie brata od tego zależy. Przyrzekam Ci, ta niepewność nie potrwa długo.

— Widzisz pan — rzekła Natalia do Wilhelma — jak się rzeczy mają; daj mi pan słowo honoru, że nie wyjdiesz z mego domu.

— Daję! — zawołał, wyciągając do niej rękę. — Wbrew woli pani nie opuszczę tego domu. Dziękuję Bogu i swemu dobremu duchowi, że tym razem jestem prowadzony, i to przez panią.

Natalia opisała Teresie cały przebieg sprawy i oświadczyła, że nie puści od siebie przyjaciela; dołączyła też list Lothara.

Teresa odpowiedziała:

Niemalą się zadziwiłam, że sam Lothar jest przekonany, gdyż wobec swej siostry nie udawałby przecież aż do takiego stopnia. Przykro mi, bardzo przykro. Tak lepiej, nie powiem nic więcej. A najlepiej przyjadę do Ciebie, jak tylko umieszczę gdzieś biedną Lidie, z którą postępują okrutnie. Lękam się, żebyśmy wszyscy nie byli oszukiwani teraz i na przyszłość, aby nigdy jasno nie widzieć. Gdyby przyjaciel był usposobiony tak jak ja, to jednak by Ci się wymknął i rzuciłby się na serce swojej Teresy, której by mu wtedy nikt nie odebrał, ale boję się, że i jego stracę, i Lothara nie odzyskam. Temu odbierają Lidie, ukazują mi z daleka nadzieję, iż mnie będzie mógł posiadać. Nic więcej nie powiem, zawikłanie zwiększy się jeszcze. Czy tymczasem najpiękniejsze stosunki tak się nie przestawią, podkopią i rozerwą,



iż nawet wówczas, gdy się już wszystko wyjaśni, nie będzie już można niczemu zaradzić, niech czas to okaże. Jeżeli mój przyjaciel się nie wyrwie, to za kilka dni przybędę, aby go u Ciebie odnaleźć i utrzymać. Dziwisz się, jakim sposobem ta namiętność oładnęła Twoją Teresą. To nie namiętność, to przekonanie, że ponieważ Lothar nie mógł być mój, ten nowy przyjaciel będzie szczęściem mego życia. Powiedz mu to, w imieniu małego chłopca, który z nim siedział pod dębem i cieszył się jego współczuciem. Powiedz mu to w imieniu Teresy, która jego oświadczenie przyjęła z serdeczną otwartością! Pierwsze moje marzenie, o życiu z Lotharem, oddaliło się już od mojej duszy; marzenie zaś, jak zamierzam żyć z moim nowym przyjacielem, obecnie jeszcze stoi żywo przede mną. Czy mnie tak mało szanują, iż sądzą, że to łatwe na poczekaniu zmienić znów tego na tamtego?

— Zdaję się na pana — rzekła Natalia do Wilhelma, wręczając mu list Teresy. — Nie uciekniesz pan ode mnie. Pomyśl pan sobie, że masz w swym ręku szczęście mego życia! Moje istnienie jest tak ściśle związane i zrosnięte z istnieniem mego brata, że on nie może czuć bólów, których bym ja nie doznawała, ani radości, która by mnie szczęściem nie przejmowała. Co więcej, mogę powiedzieć, że przez niego dopiero odczułam, że serce może być wzruszone i uwzniośnione, że na świecie może być radość, miłość i uczucie, które nas zaspakaja ponad wszelką potrzebę.

Zamilkła. Wilhelm wziął ją za rękę i zawołał:

— O, mów pani dalej! To stosowna pora do rzetelnego wzajemnego zaufania; nigdy nie potrzebowaliśmy bardziej niż teraz poznać się dokładniej.

— Tak, mój przyjacielu — odrzekła, uśmiechając się z tą swoją spokojną, łagodną, nieopisaną podniosłością — może to nie będzie nie w porę, gdy panu powiem, że to wszystko, co nam niejedna księżka, co nam świat jako miłość nazywa i pokazuje, zawsze mi się wydawało tylko baśnią.

— Nie kochałaś pani? — zawołał Wilhelm.

— Nigdy lub zawsze! — odparła Natalia.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Prowadząc tę rozmowę, przechadzali się po ogrodzie. Natalia zerwała kilka różnych kwiatów dziwnego kształtu, które Wilhelmowi były zupełnie nieznanne i o których nazwy zapytywał.

— Nie domyślasz się pan pewnie — rzekła Natalia — dla kogo zbieram ten bukiet? Przeznaczony jest dla mego stryja, którego chcemy odwiedzić. Słońce świeci właśnie tak żywo w stronę sali przeszłości; muszę pana tam wprowadzić w tej chwili, a nigdy tam nie chodzę, nie przynosząc kwiatów, które mój stryj szczególnie lubił. Był dziwnym człowiekiem, zdolnym do wrażeń sobie tylko właściwych. Do pewnych roślin i zwierząt, do pewnych ludzi i okolic, a nawet do niektórych rodzajów kamieni miał wyraźną skłonność, którą rzadko dawało się wytłumaczyć. „Gdybym od młodości — zwykł często mawiać — tak bardzo się sobie nie opierał, gdybym nie usiłował wykształcić rozumu do rzeczy rozległych i ogólnych, stałbym się najbardziej ograniczonym i nieznośnym człowiekiem; nie ma bowiem nic nieznośniejszego niż jakaś wyłączna cecha w osobie, od której żądać można jasnej, należytej działalności”. A jednak sam musiał przyznać, że zabrakłoby mu niemal życia i oddechu, gdyby sobie od czasu do czasu nie ulżył i gdyby nie pozwolił sobie używać namiętnie tego właśnie, co nie zawsze mógł pochwalić i usprawiedliwić. „To nie moja wina — mawiał — że nie zdołałem doprowadzić swoich popędów i rozumu do pełnej zgody”. Przy takich okazjach zwykł przeważnie żartować ze mnie, mówiąc: „Natalię już za życia można nazwać błogosławioną, gdyż jej natura nie wymaga niczego ponad to, czego świat sobie życzy i potrzebuje”.

Gdy to mówiła, dostali się z powrotem do głównego budynku. Przez obszerny korytarz poprowadziła go do drzwi, przed którymi leżały dwa granitowe sfinksy. Same drzwi były na sposób egipski w górze węższe niż u dołu, a ich spiżowe skrzydła przygotowywały do jakiegoś poważnego, ba, do okropnego widoku. Jakże więc przyjemnego doznawało się zdziwienia, kiedy oczekiwanie to kończyło się najczystszą pogodą, gdy się

wchodziło do sali, w której sztuka i życie zacierają wszelkie wspomnienie o śmierci i grobie. W ścianach były proporcjonalne łukowate wgłębienia, gdzie stały większe sarkofagi; w filarach pomiędzy nimi widać było mniejsze otwory, ozdobione urnami i naczyniami; reszta powierzchni ścian i sklepienia była regularnie podzielona, i pomiędzy jasnymi, różnorodnymi obwódkami, wieńcami i innymi ozdobami widać było pogodne, znaczące postaci namalowane na polach różnej wielkości. Części architektoniczne były wyłożone pięknym, żółtym marmurem, różowawo przeświecającym; jasnoniebieskie prążki udatnej kompozycji chemicznej naśladowały lapis lazuli i kontrastem zaspakajały oko, nadawały całości jedność i łączność. Cała ta wspaniałość i ozdobność przedstawiała się w czystych architektonicznych proporcjach i tak każdy, kto wchodził, wydawał się wzniesiony ponad siebie, dopiero teraz, za pomocą zgodnie spotykającej się sztuki, dowiadując się, czym jest człowiek i czym być może. Naprzeciwko drzwi widać było na wspaniałym sarkofagu marmurowy posąg dostojnego mężczyzny, wspartego na wezgielciu. Przed sobą trzymał zwój i wydawało się, że patrzy na niego ze spokojną uwagą. Zwój był zwrócony w taki sposób, że łatwo można było odczytać zawarte w nim słowa. Słowa te mówiły: „Pamiętaj, że żyjesz”.

Natalia zabrała zwiędnięty bukiet i położyła świeży przed posągiem stryja, gdyż to właśnie on przedstawiony był na sarkofagu, a Wilhelmowi zdało się, iż pamięta jeszcze rysy tego starszego pana, którego niegdyś widział w lesie.

— Tu spędziłeś niejedną godzinę — rzekła Natalia — póki tej sali nie wykończono. W ostatnich latach życia ściągnął do siebie kilku biegłych artystów, a jego najmiłą rozrywką było obmyślanie rysunków i kartonów do tych obrazów i pomaganie w ich wykonaniu.

Wilhelm nie mógł się dosyć nacieszyć przedmiotami, które go otaczały.

— Cóż to za życie — zawołał — w tej sali przeszłości! Równie dobrze można ją nazwać salą terażniejszości i przyszłości. Takie wszystko było i takie wszystko będzie! Nie ma nic znikomego prócz tej jednostki, która używa i przypatruje się. Ten tu obraz matki przyciskającej dziecię do serca, przeżyje wiele pokoleń szczęśliwych matek. Po całych stuleciach może jakiś ojciec ucieszy się z tego brodatego mężczyzny, który zrzuca z siebie powagę i przekomarza się ze swym synkiem. Tak zawstydzona będzie po wszystkie czasy siedzieć narzeczona i potrzebować wobec swoich cichych życzeń, by ją pocieszano, by do niej przemawiano; tak niecierpliwie nasłuchiwać będzie na przegłos narzeczony, czy wolno mu wejść do wnętrza.

Oczy Wilhelma błędziły po niezliczonych obrazach. Od pierwszego wesołego popędu dzieciństwa, by każdej kończyny użyć i wyćwiczyć ją w grze, aż do spokojnej odosobnionej powagi mędrca widzieć było można w pięknej żywej sekwencji, jak człowiek nie posiada ani jednej skłonności i zdolności, którą by się nie posługiwał, z której by nie korzystał. Od pierwszego delikatnego poczucia godności własnej, kiedy dziewczyna nie śpieszy się z wydobyciem dzban z przezroczystej wody, przypatrując się tymczasem z upodobaniem swemu obrazowi, aż do tych wielkich uroczystości, kiedy królowie i ludy wzywają bogów przy ołtarzu na świadków swoich sojuszków, ukazywało się wszystko znaczące i potężne.

W tym samym miejscu widza otaczał jakiś świat, niebo, a oprócz myśli wzbudzanych przez owe wyobrażone postacie, oprócz uczuć, jakimi one przejmowały, zdawało się, że obecne jest tu jeszcze coś innego, czym człowiek czuł się na wskroś przeniknięty. Zauważył to i Wilhelm, nie mogąc sobie zdać z tego sprawy.

— Co to takiego — zawołał — to, co niezależne od wszelkiego znaczenia, wolne od wszelkiego współczucia, jakim nas przejmują zdarzenia i losy ludzkie, może na mnie działać tak silnie, a zarazem tak ujmująco? Przemawia ono z całości, przemawia z każdej cząstki, chociaż nie mogę tamtej zrozumieć, a tych w szczególności przyswoić sobie. Jakież to czar przeczuwamy w tych powierzchniach, w tych liniach, w tych wysokościach i szerokościach, w tych masach i barwach! Co to takiego, co czyni te figury, rozpatrywane choćby tylko powierzchownie, tak wdzięcznymi już jako ozdoby jedynie? Tak, czuję to, można by tutaj przebywać, odpoczywać, oczyma wszystko obejmować, uznawać się za szczęśliwego i zupełnie co innego czuć i myśleć niż to, co stoi przed oczyma.

Z pewnością, gdybyśmy mogli opisać, jak udatnie wszystko było podzielone, jak na wyznaczonym miejscu wskutek połączenia lub przeciwieństwa, wskutek jednostajności lub różnorodności barwy wszystko określone, wydawało się tak, a nie inaczej, niż się

wydawać powinno, i wywoływało tak doskonałe i wyraźne wrażenie, to przenieśliśmy czytelnika tam, skąd nieprędko pragnąłby się oddalić.

Cztery duże, marmurowe kandelabry stały w kątach sali, cztery mniejsze w środku, wokół bardzo pięknie rzeźbionego sarkofagu, który ze względu na swą wielkość mógł pomieścić tylko młodą osobę średniego wzrostu.

Natalia stanęła przy tym pomniku i kładąc na nim rękę, rzekła:

— Mój dobry stryj miał wielkie zamiłowanie do tego działu starożytności. Nieraz powiedział: „Nie tylko pierwsze kwiecie opada, które można przechować tam w górze w małych otworach, ale także owoce, które wisząc na gałęzi, rokują nam na długo najpiękniejsze nadzieje, gdy ukryty robak przygotowuje im przedwczesną dojrzałość i zniszczenie”. Obawiam się — ciągnęła dalej — czy nie przepowiadał tego o kochanej dziewczynce, która się powoli zdaje wymykać naszej pieczy i skłaniać ku temu spokojnemu mieszkaniu.

Gdy już zamierzała odejść, Natalia rzekła:

— Muszę jeszcze na jedno zwrócić pańską uwagę. Popatrz pan na te półokrągłe otwory w górze po obu stronach! Tu mogą stanąć ukryte chóry śpiewaków, a te spiżowe ozdoby pod gzymsem służą do przytwierdzenia kobierców, które wedle zalecenia mego stryja mają być wywieszane przy każdym pogrzebie. Nie mógł żyć bez muzyki, a zwłaszcza bez śpiewu, przy tym zaś miał tę cechę, że nie chciał widzieć śpiewaków. Zwykł mawiać: „Teatr zanadto nas psuje; muzyka służy tam jakby tylko dla oka, towarzyszy ruchom, a nie uczuciom. W oratoriach i koncertach zawsze przeszkadza nam postać grającego; prawdziwa muzyka jest tylko dla ucha; piękny głos jest czymś najogólniejszym, co się da pomyśleć, a określona jednostka, która go wydaje, stając przed okiem, psuje czyste wrażenie owej ogólności. Chcę widzieć każdego, z kim mam mówić, gdyż tu człowiek jednostkowy postacią i charakterem czyni mowę coś lub nic niewartą; przeciwnie, kto im śpiewa, powinien być niewidzialny; jego postać nie powinna mnie przekupywać lub wprowadzać błąd. Tu przemawia tylko organ do organu, nie duch do ducha, nie tyśiąckrotny świat do oka, nie niebo do człowieka”. Podobnie i w muzyce instrumentalnej chciał mieć orkiestrę o ile tylko można ukrytą, ponieważ wskutek mechanicznych wysiłków oraz lichych, zawsze dziwacznych gestów muzykantów tak silnie wprawiani bywamy w roztargnienie i zamęt. Zwykł zatem słuchać muzyki nie inaczej jak z przymkniętymi oczyma, by całe swoje istnienie ześrodkować w jedynej czystej rozkoszy ucha.

Mieli właśnie opuścić salę, gdy usłyszeli biegnące po korytarzu dzieci, a Feliksa wołającego:

— Nie, ja! Nie, ja!

Mignon pierwsza rzuciła się do otwartych drzwi; brakło jej oddechu, nie mogła wymówić ani słowa. Feliks, wciąż z daleka, wołał:

— Matka Teresa przybyła.

Jak się zdawało, dzieci urządziły wyścigi, by zanieść tę wiadomość. Mignon spoczywała w objęciach Natalii, serce biło jej gwałtownie.

— Niedobre dziecko — rzekła Natalia — czyż nie zakazano ci wszelkiego gwałtownego ruchu? Patrz, jak ci serce bije!

— Niech pęknie! — odrzekła Mignon, głęboko wzdychając. — Bije już za długo.

Zaledwie nieco ochłonięto z tego zamętu, z tego przerażenia, kiedy weszła Teresa. Podbiegła do Natalii, objęła ją i dobre dziecię. Potem zwróciła się do Wilhelma, popatrzyła na niego swymi jasnymi oczyma i rzekła:

— No, mój przyjacielu, jakże tam? Nie dałeś się chyba zwieść?

Zrobił krok ku niej, skoczyła w jego stronę i zawisała mu na szyi.

— O moja Tereso! — zawołał.

— Przyjacielu mój, mój ukochany, mój mężu! Tak, jam na wieki twoja — wołała wśród gorących pocałunków.

Feliks pociągnął ją za suknię i zawołał:

— Matko Tereso! Ja tu jestem!

Natalia stała i patrzyła przed siebie; Mignon nagle podniosła lewą rękę do serca, a wyciągając gwałtownie prawe ramie, z krzykiem upadła u stóp Natalii jak martwa.

Przerażenie było wielkie: nie było wyczuwalnego ruchu serca ani tętna. Wilhelm wziął ją w ramiona i pospiesznie wyniósł; obwisłe ciało zwisało mu się z pleców. Obec-

ność lekarza niewiele dała pociechy; on i młody chirurg, którego już znamy, na próżno podejmowali starania. Drogiej istoty nie można było przywrócić do życia.

Natalia skinęła na Teresę. Ta wzięła swego przyjaciela za rękę i wyprowadziła z pokoju. Milczał, nie mógł wydobyć głosu i nie miał odwagi spojrzeć jej w oczy. Tak siedział przy niej na kanapie, na której zastał poprzednio Natalię. Z wielką szybkością przebiegł w myśli szereg zdarzeń, a raczej nie myślał, tylko pozwolił działać na swą duszę temu, czego nie mógł oddalić. Są w życiu chwile, w których wypadki na podobieństwo skrzydlatych czólenek tkackich przelatują przed nami w tę i z powrotem i niepowstrzymanie wykończają tkaninę, którą mniej więcej sami wyprzedliśmy i założyliśmy.

— Przyjacielu mój, ukochany mój! — mówiła Teresa, przerywając milczenie i biorąc go za rękę — trzymajmy się tę chwilę razem, jak to nieraz może będziemy czynić w podobnych przypadkach, które aby znieść, trzeba być na świecie we dwoje. Pomyśl, mój przyjacielu, odczuj, że nie jesteś sam, okaż, iż kochasz swoją Teresę, tym naprzód, iż się jej zwierzysz ze swych cierpień!

Objęła go i łagodnie przycisnęła do łona; on ujął ją w ramiona i mocno przytulał do siebie.

— Biedne dziecko — zawołał — w chwilach smutnych szukało opieki i uciezki na mej niepewnej piersi; niechże pewność twojej wyjdzie mi na dobre w tej strasznej godzinie.

Pozostali w silnym uścisku. Czuł jej serce bijące na jego łonie, ale w jego duchu była pustka i próżnia; tylko obrazy Mignon i Natalii unosiły się jak cienie przed jego wyobraźnią.

Weszła Natalia.

— Daj nam swoje błogosławieństwo — zawołała Teresa — niech w tej smutnej chwili zostaniemy połączeni wobec ciebie.

Wilhelm ukrył twarz na szyi Teresy; był tak szczęśliwy, że mógł płakać. Nie słyszał, jak weszła Natalia, nie widział jej, ale na dźwięk jej głosu łzy popłynęły mu podwójnie.

— Co Bóg łączy, tego ja rozdzielać nie chcę — rzekła Natalia z uśmiechem — ale łączyć was nie mogę i nie mogę pochwalić tego, że ból i skłonność zdają się zupełnie wymazywać z waszych serc pamięć o moim bracie.

Na te słowa Wilhelm wyrwał się z objęć Teresy.

— Dokądże pan? — zawołały obie kobiety.

— Pozwólcie mi zobaczyć dziecię, które zabiłem! — zawołał. — Nieszczęście, które oglądamy oczyma, jest mniejsze, niż kiedy wyobraźnia odciska je gwałtownie w naszym sercu. Chodźmy zobaczyć zmarłego anioła. Jego pogodna twarz powie nam, że mu dobrze!

Przyjaciółki, nie mogąc powstrzymać wzruszonego młodzieńca, poszły za nim, ale poczciwy lekarz, który podszedł do nich wraz z chirurgiem, powstrzymał je od zbliżenia się do zgasłej, mówiąc:

— Niech panie trzymają się z dala od tego smutnego przedmiotu i pozwólcie mi, abym zwłokom tej dziwnej istoty nadał pewną trwałość, o ile moja sztuka na to pozwoli. Chcę zaraz zastosować do tego ukochanego stworzenia piękną sztukę nie tylko balsamowania ciała, ale i utrzymania wyglądu żywej istoty. Przewidziałem jej śmierć i porobiłem wszystkie przygotowania i wraz z tym oto pomocnikiem powinno mi się z pewnością udać. Zostawcie mi tylko jeszcze kilka dni i nie pragnijcie widzieć lubego dziecka wcześniej, zanim go nie zaniemiemy do sali przeszłości.

Młody chirurg miał znowu w rękach tę zastanawiającą torbę z narzędziami.

— Od kogo on może ją mieć? — zapytał Wilhelm lekarza.

— Znam ją bardzo dobrze — odrzekła Natalia — ma ją od swego ojca, który wówczas w lesie przewiązywał panu rany.

— O, więc się nie myliłem — zawołał Wilhelm — od razu poznałem taśmę! Odstąp mi ją pan! Ona mnie naprzód naprowadziła na ślad mojej dobrodziejki. Ileż to doli i niedoli może przetrwać taka nieżyjąca istota! Przy iluż to już bólach była obecna ta taśma, a jednak jej nici się nie porwały! Iluż to ludziom towarzyszyła już w ich ostatniej chwili, a jednak jej barwy nie zblakły! Była przy mnie w jednej z najpiękniejszych chwil mego życia, gdy leżałem na ziemi raniony, a twoja postać, pani, śpiesząca z pomocą, ukazała się przede mną, dziecię zaś, którego przedwczesny zgon teraz oplakujemy, z okrwawionymi włosami, z najczulszą troskliwością zabiegało o moje życie.

Przyjaciele mieli niewiele czasu na rozmowę o tym smutnym zdarzeniu i objaśnienie pannie Teresie sprawy dziecka i prawdopodobnej przyczyny jego niespodzianego zgonu, gdyż oznajmiono obcych, którzy, gdy się pojawili, wcale nie byli obcy. Weszli Lothar, Jarno i ksiądz. Natalia podeszła do brata; wśród pozostałych zapanowała chwilowa cisza. Teresa, uśmiechając się, rzekła do Lothara:

— Nie przypuszczałeś pan pewnie, że mnie tu zastaniesz; przynajmniej nie jest to bardzo stosowne, byśmy się w tej chwili poszukiwali; tymczasem po tak długim niewidzeniu witam pana serdecznie.

Lothar podał jej rękę i odparł:

— Jeżeli już mamy cierpieć i być czegoś pozbawieni, to niech się to stanie bodaj w obecności ukochanego, pożądanego dobra. Nie pragnę żadnego wpływu na pani postanowienie, a moje zaufanie w jej serce, w jej rozsądek i jasność myśli jest nadal tak wielkie, że swój los i los swego przyjaciela chętnie składam w jej ręce.

Rozmowa zesła natychmiast na tematy powszednie, ba, można nawet powiedzieć, nic nie znaczące. Towarzystwo podzieliło się niebawem na pary, by pójść na przechadzkę. Natalia poszła z Lotharem, Teresa z księdzem; Wilhelm zaś z Jarnem pozostali na zamku.

Pojawienie się trzech przyjaciół w chwili, gdy ciężki ból uciskał pierś Wilhelma, zamiast go rozerwać, podrażniło tylko i pogorszyło jego usposobienie; był przygnębiony i podejrzliwy; nie mógł i nie chciał tego ukrywać, gdy Jarno spytał go o powód posępnego milczenia.

— Na co się to zda? — zawołał Wilhelm. — Lothar przybywa ze swymi asystentami i byłoby dziwne, gdyby te tajemnicze moce wieży, zawsze tak aktywne, nie miały teraz oddziaływać na nas i spełnić z nami i w nas nie wiem już jaki osobliwy cel. O ile znam tych świętych ludzi, wydaje się, że ich chwalebny zamiarem jest zawsze i wszędzie dzielić, co było złączone, a łączyć, co było rozdzielone. Jaka może z tego powstać tkanina, to pewnie na wieki będzie zagadką dla naszych nieświętych oczu.

— Jesteś pan przygnębiony i rozgoryczony — rzekł Jarno — bardzo to pięknie i dobrze. Jeżeli się pan jeszcze rozgniewasz naprawdę, będzie jeszcze lepiej.

— I na to znajdzie się sposób — odparł Wilhelm — i wielce się obawiam, czy nie mają w tym upodobania, by tym razem do najwyższego stopnia podrażnić moją wrodzoną i wyrobioną cierpliwość.

— Tymczasem zaś — odrzekł Jarno — zanim ujrzymy, na czym się skończą nasze historie, chciałbym opowiedzieć panu nieco o tej wieży, co do której zdajesz się żywić tak wielką nieufność.

— Jak się panu podoba — odparł Wilhelm — jeżeli pana nie odstręcza moje roztargnienie. Mój umysł jest tak rozproszony, że nie wiem, czy zdołam należycie zainteresować się tymi ważnymi przygodami.

— Nie dam się — odpowiedział Jarno — odstraszyć pańskim miłym nastrojem od oświecenia pana na tym punkcie. Uważasz mnie pan za przebiegłego chłopca, ale mnie pan także uważać, że jestem uczciwy, a co więcej, tym razem mam polecenie.

— Chciałbym — odparł Wilhelm — żebyś pan mówił z własnego popędu i z dobrej woli oświecenia mnie, a ponieważ nie mogę słuchać pana bez nieufności, po cóż więc mam słuchać?

— Jeżeli obecnie nie mam nic lepszego do roboty — odrzekł Jarno — niż opowiadanie baśni, to przecież i pan masz czas, by im poświęcić trochę uwagi. Być może będziesz pan do tego skłonniejszy, gdy powiem panu zaraz z początku: wszystko, co pan widziałeś na wieży, są to właściwie tylko szczytki młodzieńczego przedsięwzięcia, które zrazu większość wtajemniczonych traktowała bardzo poważnie, a z którego teraz wszyscy przy sposobności uśmiechają się tylko.

— A więc tymi poważnymi znakami i słowami igra się tylko! — zawołał Wilhelm. — Prowadzą nas uroczyście na miejsce, które budzi w nas podziw, pokazują nam najdziwniejsze zjawiska, dają nam zwoje pełne wspaniałych, tajemniczych maksym, z których co prawda niewiele rozumiemy, oświadczają nam, żeśmy dotąd byli uczniami, wyzwają nas, a my wiemy tyle samo co i przedtem.

— Czy nie masz pan przy sobie tego pergaminu? — zapytał Jarno. — Zawiera wiele dobrych rzeczy, gdyż te maksymy nie są brane znikąd; temu jedynie wydają się puste

i ciemne, kto sobie przy nich nie przypomina własnych doświadczeń. Daj no mi pan tak zwane świadectwo wyzwolenia, jeżeli je masz na podorędziu.

— Pewnie, że mam — odparł Wilhelm — taki amulet trzeba przecie zawsze nosić na piersiach.

— No! — odrzekł Jarno, uśmiechając się — kto tam wie, czy jego treść nie znajdzie kiedyś miejsca w pańskiej głowie i sercu.

Jarno zajął do pisma i przebiegł oczyma pierwszą połowę.

— Ta część — rzekł — odnosi się do wykształcenia zmysłu artystycznego, o czym niechaj inni mówią; druga traktuje o życiu, a tu jestem bardziej w domu.

Zaczął potem odczytywać pewne ustępy, mówił przy tym i dołączał swoje uwagi i opowiadania.

„Skłonność młodości do tajemnicy, do ceremonii i wielkich słów jest nadzwyczajna i stanowi często oznakę pewnej głębi charakteru. W tych latach pragniemy czuć całą istotę naszą przenikniętą i wzruszoną, choćby tylko w sposób niejasny i nieokreślony. Młodzieniec, który wiele przeczuwa, mniema, iż powinien wiele znaleźć w tajemnicy, wiele w tę tajemnicę włożyć i przez nią działać. W takich usposobieniach utwierdził ksiądz młode towarzystwo, częściowo według zasad swoich, częściowo ze skłonności i przyzwyczajenia, gdyż niegdyś był w związku z pewnym stowarzyszeniem, które wiele podobno zdziało po kryjomu. Ja najmniej się nadawałem do takiego trybu postępowania. Byłem starszy od innych, od młodości widziałem jasno i we wszystkim pragnąłem jedynie jasności; nie miałem innego zainteresowania niż poznanie świata takiego, jakim jest, i tą pasją zaraziłem co najlepszych z reszty towarzyszy, a z tego powodu całe nasze wykształcenie o mało co nie poszło w fałszywym kierunku; zaczęliśmy bowiem widzieć tylko błędy innych i ich ograniczenia, siebie zaś uważać za istoty doskonałe. Ksiądz przyszedł nam z pomocą i nauczył nas, że nie powinno się obserwować ludzi, nie interesując się ich wykształceniem, i że właściwie siebie samych można zaobserwować i podsłuchać jedynie w działaniu. Doradził nam zachować te pierwotne formy stowarzyszenia; pozostało zatem w naszych zebraniach coś prawnego; ceniono pierwsze mistyczne wrażenia w urzędzeniu całości; potem przybrało, jakby symbolicznie, postać rzemiosła, które wznosiło się do sztuki. Stąd poszły nazwy: terminatorów, czeladników i mistrzów. Chcieliśmy widzieć na własne oczy i utworzyć sobie własne archiwum naszej znajomości świata, stąd powstały liczne wyznania, które częściowo pisaliśmy sami, częściowo inni, zachęceni przez nas, a z których następnie układane były lata nauki. Nie jest rzeczą wszystkich ludzi dbać o swe wykształcenie; wielu pragnie tylko jakiegoś domowego środka na utrzymanie zdrowia, jakiejś recepty na bogactwo i na wszelkiego rodzaju szczęśliwość. Ci wszyscy, którzy nie chcieli być postawieni na własne nogi, zostali za pomocą mistyfikacji i innego hokus-pokus częściowo powstrzymani, częściowo usunięci. Tych tylko wyzwaliśmy po swojemu, którzy żywo czuli i jasno rozumieli, po co się narodzili, i którzy nabyli dostatecznej wprawy, by z pewną pogodą i łatwością, iść dalej swoją drogą.

— Toście się ze mną zanadto pośpieszyli — odparł Wilhelm — bo co ja mogę, chcę lub powinienem, o tym wiem jak najmniej właśnie od owej chwili.

— Popadliśmy w to zamieszanie nie z własnej winy; szczęście może nas z niego dźwignie; tymczasem niech no pan posłucha: Ten w kim wiele jest do rozwinięcia, później też poznaje sam siebie i świat. Niewielu jest takich, co mają rozwagę, a zarazem są zdolni do czynu. Rozwaga rozszerza, ale hamuje; czyn ożywia, ale ogranicza.

— Proszę pana — przerwał Wilhelm — nie czytaj mi już nic z tych dziwacznych orzeczeń! Te frazesy już mnie dostatecznie obalamucyły.

— To zostaną przy opowiadaniu — rzekł Jarno, składając zwój na pół i tylko niekiedy zaglądając do niego. — Ja sam byłem najmniej użyteczny stowarzyszeniu i ludziom; jestem bardzo złym nauczycielem; nieznosną jest dla mnie rzeczą widzieć, jak ktoś robi

niezręczne próby; błędzącego muszę natychmiast przestrzec, chociażby to był nawet lunt, którego bym widział po prostu w niebezpieczeństwie złamania nogi. Z tego powodu miałem zawsze ciężkie przeprawy z księdzem, który utrzymuje, że błąd daje się uleczyć jedynie przez błędzenie. I o pana często się sprzeczałyśmy, polubił pana szczególnie, a to już coś znaczy: tak bardzo zwrócić na siebie jego uwagę. Przyznać mi pan musisz, że gdziekolwiek pana spotkałem, mówiłem zawsze czystą prawdę.

— Niewiele mnie pan oszczędzałeś — rzekł Wilhelm — i zdajesz się pan trwać przy swych zasadach.

— A cóż tam jest do oszczędzania — odparł Jarno — kiedy młodzieniec z niejakimi zdolnościami obiera kierunek całkiem fałszywy.

— Daruj pan — odpowiedział Wilhelm — dosyć ostro odmówiłeś mi pan wszelkiego talentu do bycia aktorem, wyznam jednak, że chociaż zupełnie się wyrzekłem tej sztuki, nie mogę twierdzić, że jestem do niej całkowicie niezdolny.

— A dla mnie — odrzekł Jarno — jest to rzeczą stanowczo zdecydowaną, że kto może grać tylko samego siebie, nie jest wcale aktorem. Kto nie może się co do usposobienia i postaci przemienić w różnorodne osoby, ten na tę nazwę nie zasługuje. I tak na przykład grałeś pan bardzo dobrze Hamleta i niektóre inne role, w których pański charakter, postać i nastrój chwili panu dopomagały. Byłoby to dosyć na teatr amatorski i dla każdego, kto by nie widział przed sobą innej drogi. Należy — mówił Jarno dalej, patrząc na zwój — wystrzegać się talentu, którego nie spodziewamy się wykształcić aż do doskonałości. Chociażby się w nim zaszło nie wiem jak daleko, to zawsze w końcu, kiedy zaleta mistrza stanie się dla nas jasna, boleśnie żałować będziemy straty czasu i sił, które się zmarnowało na takie partactwo.

— Nic pan nie czytaj! — zawołał Wilhelm. — Proszę pana usilnie, mów wciąż, opowiadaj mi, oświecaj mnie! A więc to ksiądz mi dopomógł w *Hamlecie*, sprowadziwszy ducha?

— Tak jest, bo zapewniał, że to jedyny sposób uleczenia pana, jeżeliś pan był uleczalny.

— I to dlatego pozostawił mi zasłonę i kazał mi uciekać?

— Tak. Miał nawet nadzieję, że wraz z przedstawieniem *Hamleta* rozwieje się całe pańskie zamilowanie. Utrzymywał, że potem już pan nie wejdiesz na scenę; ja mniemałem inaczej i miałem rację. Spieraliśmy się o to tego samego wieczoru po przedstawieniu.

— Więc mnie widziałeś, jak gram?

— Naturalnie!

— A któż przedstawiał ducha?

— Tego sam nie mogę powiedzieć; albo ksiądz, albo jego brat bliźniak, ale sądzę, że ten drugi, gdyż jest trochę wyższy.

— Macie więc tajemnice nawet przed sobą?

— Przyjaciele mogą i muszą mieć tajemnice wzajemnie; dla siebie jednak nie są tajemnicą.

— Samo wspomnienie o tym zawikłaniu już mnie gmatwa. Oświeć mnie pan o tym człowieku, któremu tyle zawdzięczam i którego za tak wiele obwiniam.

— Co czyni go tak cennym dla nas — odparł Jarno — co mu w pewnej mierze daje panowanie nad nami wszystkimi, to ten swobodny a bystry pogląd, którego mu udzieliła natura na wszystkie siły, jakie tylko przebywają w człowieku, i na sposób, w jaki każda z nich może być rozwinięta. Większość ludzi, nawet znakomitych jest ograniczona; każdy ceni w sobie i innych tylko niektóre zalety, tylko te wspiera, tylko te pragnie wykształcić. Zupełnie inaczej robi ksiądz; ma on zmysł do wszystkiego, przyjemność we wszystkim, by to poznać i rozwinać. Ale muszę znów zajrzeć do zwoju! — mówił Jarno dalej. — Tylko wszyscy ludzie tworzą ludzkość, tylko wszystkie siły razem tworzą świat. Często są one ze sobą w sprzeczności, a kiedy starają się wzajemnie zniszczyć, natura je skupia i wytwarza na nowo. Od najmniejszego zwierzęcego popędu ku rzemiosłu aż do najwyższego wykształcenia sztuki duchowej, od bełkotu i chichotu dziecka aż do najświetniejszego wysłowienia mówcy i śpiewaka, od pierwszej bójki chłopca aż do niezmiernych urzędzeń, za pomocą których zachowuje się i zdobywa kraje, od najłżejszej życzliwości i najprzelotniejszej miłości aż do najgwałtowniejszej namiętności i najpoważniejszego związku, od najjaśniejszego poczucia zmysłowej teraźniejszości aż do najsubtelniejszych przewidywań i spodziewań najodleglejszej duchowej przyszłości: wszystko to i daleko więcej jeszcze

spoczywa w człowieku i powinno być wykształcone, ale nie w jednym, tylko w wielu. Każda zdolność jest ważna i powinna być wykształcona. Kiedy jeden popiera tylko piękno, drugi zaś użyteczność, to dopiero oba razem tworzą człowieka. Użyteczność popiera sama siebie, gdyż tłum ją wytwarza, a nikt bez niej obejść się nie może; piękno musi być popierane, gdyż niewielu je przedstawia, a wielu go potrzebuje.

— Wstrzymaj się pan — zawołał Wilhelm — wszystko to czytałem.

— Jeszcze kilka tylko wierszy! — odparł Jarno. — Odnajduję tu księdza w całości: Jedna siła opanowuje drugą, ale żadna nie może uformować drugiej; w każdej zdolności spoczywa tylko siła do doskonalenia się; pojmuję to tak niewielu ludzi, którzy chcą przeciwie nauczać i działać.

— I ja także nie rozumiem — odparł Wilhelm.

— Będziesz pan często słyszeć księdza mówiącego o tym tekście, tylko zawsze wyraźnie patrzmy i zachowujmy to, co jest w nas i co możemy w sobie wykształcić; bądźmy sprawiedliwi dla innych, gdyż o tyle tylko godni jesteśmy szacunku, o ile sami umiemy szanować.

— Na miłość boską! Daj pan pokój sentencjom! Czuję, że są złym lekarstwem na zranione serce. Powiedz mi pan raczej, ze swoją okrutną stanowczością, czego się po mnie spodziewacie oraz na co i w jaki sposób chcecie mnie poświęcić.

— Za każde podejrzenie, zapewniam pana, będziesz nas pan kiedyś przeproszał. Do pana należy rozważać i wybierać, do nas — dopomagać panu. Człowiek nie prędzej będzie szczęśliwy, aż jego bezwzględne dążenie samo sobie zakreśli własną granicę. Nie mnie się pan trzymaj, ale księdza; nie o sobie myśl pan, ale o tym, co pana otacza. Naucz się pan na przykład oceniać doskonałość Lothara, jak u niego rozwaga i działanie są ze sobą nierozdzielnie związane, jak on wciąż postępuje naprzód, jak działa coraz szerzej i każdego za sobą porywa. Gdziekolwiek jest, prowadzi świat za sobą; jego obecność ożywia i zapala. Przypatrz się pan obok tego naszemu poczciwemu lekarzowi! Wydaje się naturą właśnie wprost przeciwną. Kiedy tamten działa tylko na całość, a także w dal, ten zwraca swój jasny wzrok na rzeczy tylko najbliższe; raczej dostarcza środków do działania, niż wywołuje i ożywia działanie; jego działanie bardzo przypomina dobre gospodarowanie; jego działalność jest cicha, wspierając każdego w swoim kręgu; jego wiedza jest ustawicznym gromadzeniem i daniem, braniem i udzielaniem na małą stopę. Być może Lothar mógłby w jednym dniu zburzyć to, nad czym ten pracował całe lata, ale możliwe także, że Lothar w jednej chwili udziela innym siłę do stokrotnego powetowania tego, co zburzył.

— To smutne zajęcie — rzekł Wilhelm — jeśli się ma rozmyślać o jasnych zaletach kogoś innego w chwili, kiedy jest się w niezgodzie z sobą samym; takie rozważania przystoją człowiekowi spokojnemu, ale nie temu, którym miota namiętność i niepewność.

— Rozważać spokojnie i rozumnie nie jest rzeczą szkodliwą w żadnym czasie, a przyzwyczajając się do myślenia o cudzych zaletach, niepostrzeżenie stawiamy własne na ich miejsce, a wszelkiej fałszywej czynności, do której wabi nas fantazja, chętnie się wówczas wyrzekamy. Oswobodź pan, o ile możliwe, swego ducha od wszelkiej podejrzliwości i trwogi! Oto nadchodzi ksiądz, bądź pan dla niego uprzejmy, póki się pan jeszcze więcej nie dowiesz, ile mu winieneś wdzięczności. Frant! Idzie sobie między Natalią i Teresą; założyłbym się, że coś obmyśla. Jak w ogóle chętnie gra on rolę losu, tak też nie wyrzeka się upodobania w kójarzeniu małżeństw.

Wilhelm, którego namiętny i rozgoryczony nastrój wskutek tych wszystkich rozsądnych i dobrych słów Jarna wcale się nie poprawił, uważał za rzecz w najwyższym stopniu niedelikatną, że jego przyjaciel w takiej właśnie chwili wspominał o podobnym stosunku; toteż z uśmiechem wprawdzie, ale nie bez goryczy powiedział:

— Sądziłbym, że upodobanie do kójarzenia małżeństw trzeba by zostawić osobom, które się kochają.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Znów tedy połączyło się towarzystwo, a nasi przyjaciele poczuli się zmuszeni do przerwania rozmowy. Niebawem oznajmiono posłańca, który chciał oddać list do własnych rąk Lothara; wprowadzono tego człowieka; wyglądał krzepko i dzielnie, liberia na nim była



bardzo bogata i pełna smaku. Wilhelmowi zdawało się, że go zna, i nie mylił się; był to ten sam człowiek, którego niegdyś posłał za Filiną i rzecką Marianną, a który już nie powrócił. Chciał właśnie do niego przemówić, gdy Lothar, przeczytawszy list, zapytał go ostro i niemal opryskliwie:

— Jak się nazywa wasz pan?

— Ze wszystkich pytań — odparł posłaniec skromnie — na to najmniej potrafię odpowiedzieć; spodziewam się, że list mieści, co potrzeba; ustnie nic mi nie polecono.

— Rób sobie, jak chcesz — odpowiedział Lothar z uśmiechem — kiedy wasz pan ma do mnie takie zaufanie, iż pisze, tak klucząc, to mile go przywitamy.

— Nie da długo na siebie czekać — odparł posłaniec z ukłonem i odszedł.

— Posłuchajcie no — rzekł Lothar — tego głupiego, płaskiego pisania: „Ponieważ spomiędzy wszystkich gości — tak pisze nieznajomy — dobry humor powinien być gościem najmiłszym, jeżeli się pojawi, a ja go ustawicznie wożę ze sobą jako towarzysza podróży, jestem tedy przekonany, że odwiedziny, jakie Waszej Miłości złożyć zamierzyłem, nie zastaną wzięte za złe, spodziewam się raczej, że przybyciem swoim sprawię zupełne zadowolenie całej prześwieczonej familii, a przy sposobności znów się oddalę, polecając się i tak dalej, hrabia von Schneckenfuss”.

— To jakaś nowa rodzina — rzekł ksiądz.

— Pewnie tylko surogat hrabiego (*ein Vicariatsgraf*) — odparł Jarno.

— Łatwo odgadnąć tajemnicę — powiedziała Natalia. — Założę się, że to brat Fryderyk, który nam grozi odwiedzinami już od śmierci stryja.

— Zgadłaś, piękna i mądra siostrze — zawołał ktoś z pobliskich zarośli, a równocześnie wyszedł miły, wesoły młodzieniec.

Wilhelm ledwie się mógł powstrzymać od okrzyku.

— Jak to? — zawołał. — Nasz blondyn-łotrzyk i tu mi się jeszcze musi ukazać?

Fryderyk zastanowił się, popatrzył na Wilhelma i zawołał:

— Doprawdy, mniej byłbym zdziwiony, gdybym przesławne piramidy, które stoją przecież tak mocno w Egipcie, albo pomnik króla Mauzolososa<sup>154</sup>, nieistniejący już, jak mnie zapewniano, spotkał tu w ogrodzie mego stryja niż pana, mego starego przyjaciela i wielokrotnego dobroczyńcę. Witam pana w szczególny i jak najserdeczniejszy sposób!

Powitawszy i wycelowawszy wszystkich wokoło, poskoczył znów do Wilhelma, wulając:

— Ochraniajcież mi go, tego bohatera, wodza i filozofa dramatycznego! Przy pierwszym naszym zaznajomieniu się źle go, ba, muszę powiedzieć, potraktowałem, a jednak oszczędził mi potem porządnej porcji cięgów. Wspaniałomyślny jest jak Scypion<sup>155</sup>, hojny jak Aleksander<sup>156</sup>, przy sposobności zakochany nawet, bez nienawiści zresztą dla swych rywali. Nie tylko wrogom swoim stołka nie przystawia, co, jak powiadają, ma być nieszczególną przysługą, jaką można komuś okazać, lecz przeciwnie, za przyjaciółmi, którzy mu jego dziewczynę uwodzą, posyła dobrych i wiernych służących, ażeby owi nogi o kamień nie urazili.

W tym tonie gadał wciąż bez ustanku, tak że mu nikt przerwać nie zdołał; a ponieważ nikt mu w tym rodzaju odpowiedzieć nie umiał, pozostał przy słowie niemal sam jeden.

— Nie dziwcie się — zawołał — mojemu wielkiemu czytaniu w pisarzach duchownych i świeckich; dowiedcie się, w jaki sposób zdobyłem tę wiedzę.

Chciano go wy badać, jak mu się powodzi, skąd przybywa, ale on spośród maksym moralnych i dziejów starożytnych nie mógł dojść do wyraźnego wyjaśnienia.

Natalia rzekła po cichu do Teresy:

— Rodzaj jego wesołości sprawia mi przykrość; założyłabym się, że nie czuje się z tym dobrze.

<sup>154</sup>*Mauzolos* (ok. 400–352 p.n.e.) — król Karii (od 377), krainy w Azji Mniejszej; sławny ze wspaniałego grobowca ku jego czci, zbudowanego przez jego żonę, Artemizję II, tzw. Mauzoleum w Halikarnasie, zaliczanego do 7 cudów świata starożytnego. [przypis edytorski]

<sup>155</sup>*Scypion* a. *Publiusz Korneliusz Scypion Afrykański Starszy* (236–183 p.n.e.) — wódz rzymski z okresu II wojny punickiej, pogromca Hannibala, dwukrotny konsul rzymski. [przypis edytorski]

<sup>156</sup>*Aleksander III Macedoński* (356–323 p.n.e.) — król Macedonii, uczeń Arystotelesa, zwycięzca w wojnie z Persją; jego podboje zainicjowały epokę hellenistyczną. [przypis edytorski]

Ponieważ nie znalazł odzewu w towarzystwie na swoje bufonady<sup>157</sup>, prócz kilku żartów, którymi odpowiedział mu Jarno, Fryderyk rzekł:

— Nic mi innego nie pozostaje, jak z poważną rodziną także spoważnić, a że w tak delikatnych okolicznościach zaraz mi opada na duszę całe brzemię grzechów, muszę się więc po prostu zdecydować na spowiedź powszechną, z której jednak wy, zacni panowie i panie, nic nie posłyszycie. Ten tu szlachetny przyjaciel, któremu już i to i owo jest znane z mego życia i działania, dowie się o tym sam jeden, tym bardziej, że on jeden ma niejaki powód, by pytać. Czyżbyś pan nie był ciekaw — mówił dalej, zwracając się do Wilhelma — posłyszec: jak? i gdzie? kto? kiedy? i dlaczego?, jak to się ma z koniugacją słowa greckiego *phileo*, *philó* (kocham) i z pochodnymi tego najmiłszego czasownika?

Zaraz potem wziął Wilhelma pod rękę i uprowadził go, ściskając i całując na wszystkie strony.

Ledwie Fryderyk wszedł do pokoju Wilhelma, ujrzał leżący na oknie nożyk toaletowy z napisem: „Pamiętajcie o mnie”.

— Dobrze przechowujecie swoje skarby! — rzekł. — Zaprawdę, to nożyk Filiny, który podarowała wam tego dnia, gdy w was tak potargał. Spodziewam się, żeście przy tym często sobie przypominali piękną dziewczynę, a zapewniam, że i ona o was nie zapomniła i gdybym już od dawna nie wygnał z mego serca nawet śladu zazdrości, to patrzyłbym na was nie bez zawiści.

— Nie mów mi pan już nic o tym stworzeniu — odparł Wilhelm. — Nie zapieram się, że przez długi czas nie mogłem się pozbyć wrażenia jej milej obecności, ale to wszystko.

— Pfe, wstydzicie się! — zawołał Fryderyk. — Któż się zapiera kochanki? A wyście ją przecie tak kompletnie kochali, jak tylko sobie można życzyć. Nie było ani jednego dnia, żebyście nie podarowali czegoś dziewczynie, a kiedy Niemiec robi podarunki, to z pewnością kocha. Nie pozostawało mi nic innego, jak ją wam wreszcie capnąć i powiodło się to w końcu czerwonemu oficerkowi.

— Jak to? Pan byłeś oficerem, któregośmy zastali u Filiny i z którym odjechała?

— Tak jest — odparł Fryderyk — a pan go miałeś za Mariannę. Naśmialiśmy się z tej pomyłki.

— Co za okrucieństwo — zawołał Wilhelm — zostawiać mnie w takiej niepewności!

— A do tego jeszcze posłańca, któregoś pan za nami wyprawił, brać akurat do służby — odrzekł Fryderyk. — Dzielnym z niego chłop, a od owego czasu nie odszedł od naszego boku. A dziewczynę kocham wciąż tak szalenie jak dawniej. Szczególnie mnie oczarowała, tak że się znajduję niemal w wypadku mitologicznym i lękam się co dzień, bym nie został w coś przeobrażony.

— Powiedz mi pan — zapytał Wilhelm — skąd pan masz swoją rozległą erudycję? Ze zdziwieniem przysłuchuję się przybranej przez pana zabawnej manierze powoływania się ciągle w mowie na historię starożytną i mitologię.

— Stałem się uczonym i to bardzo uczonym w najweselszy sposób — odpowiedział Fryderyk. — Filina tedy jest u mnie; od pewnego dzierżawcy odnajeliśmy stary zamek w dobrach szlacheckich, gdzie żyjemy nadzwyczaj wesoło, jak koboldy<sup>158</sup>. Znaleźliśmy tam nie bardzo dużą wprawdzie, ale bardzo dobrą bibliotekę, zawierającą pismo święte *in folio*<sup>159</sup>, kronikę Gottfrieda<sup>160</sup>, dwa tomy *Theatrum Europaeum*<sup>161</sup>, dalej *Acerra philologica*<sup>162</sup>, pisma Gryphiusa<sup>163</sup> i jeszcze kilka innych mniej ważnych książek. Otóż czasami,

<sup>157</sup>*bufonada* — przechwalanie się, błazenada. [przypis edytorski]

<sup>158</sup>*kobold* (mit. germ.) — karzeł strzegący podziemnych skarbów. [przypis edytorski]

<sup>159</sup>*in folio* (łac.) — o książce: w formacie złożonego na pół arkusza drukarskiego; ogólnie: wielkich rozmiarów. [przypis edytorski]

<sup>160</sup>*Gottfried, Johann* (1584–1633) — niemiecki redaktor, autor dzieła *Historische Chronick oder Beschreibung der merckwürdigsten Geschichte* (Kronika historyczna, czyli opisanie najosobliwszych dziejów). [przypis edytorski]

<sup>161</sup>*Theatrum Europaeum* — kroniki historyczne ziem niemieckojęzycznych, obejmujące okres 1618–1718, wydawane w latach 1633–1738 w 21 tomach. [przypis edytorski]

<sup>162</sup>*Acerra philologica* — zbiór 200 przydatnych, zabawnych i zapadających w pamięć historii zaczerpniętych z dzieł starożytnych autorów greckich i rzymskich, wydany w 1637 przez Petera Lauremberga; jedna z najbardziej poczytnych książek tego okresu. [przypis edytorski]

<sup>163</sup>*Gryphius* (łac.), właśc. *Andreas Greif* (1616–1664) — niemiecki poeta i dramaturg, jeden z najwybitniejszych poetów niemieckojęzycznych epoki baroku. [przypis edytorski]

kiedyśmy się naszaleli, bywało nam też nudno; chcieliśmy czytać i zanim się spostrzegliśmy, nudy nasze stały się jeszcze większe. Na koniec Filinie przyszła do głowy wspaniała myśl: rozłożyć wszystkie książki na dużym stole; siedliśmy naprzeciw siebie i czytaliśmy jedno w odpowiedź drugiemu, ale zawsze tylko kawałkami, mniejsza o to, z której książki. To dopiero była prawdziwa uciecha! Zdawało się nam, że jesteśmy rzeczywiście w dobrym towarzystwie, gdzie się uważa za rzecz niestosowną zajmowanie się zbyt długo jednym tematem albo rozwikływanie go gruntownie; zdawało się nam, że jesteśmy w ożywionym towarzystwie, gdzie nikt nikomu nie daje dojść do słowa. Przyjemność tę sprawiamy sobie regularnie każdego dnia, a przez to stajemy się stopniowo tak uczeni, że sami się temu dziwimy. Nie znajdujemy już nic nowego pod słońcem; do wszystkiego nasza wiedza dostarcza nam jakiegoś świadectwa. Zmieniamy ten rodzaj uczenia się w bardzo urozmaicony sposób. Niekiedy czytamy, stosując się do starej, zepsutej klepsydry, której obieg trwa parę minut. Jedno z nas szybko ją odwraca i zaczyna czytać z jakiejś książki, a gdy tylko piasek znajdzie się w dolnym naczyniu, drugie już rozpoczyna swoją maksymę; i tak studiujemy istotnie w prawdziwie akademicki sposób, tylko że mamy krótsze godziny, a nasze studia są nadzwyczaj różnorodne.

— Rozumiem takie szaleństwo — rzekł Wilhelm — skoro się dobierze tak wesoła para, ale jakim sposobem tak swawolna para może pozostawać razem tak długo, to już dla mnie nie jest łatwe do zrozumienia.

— To właśnie szczęście i nieszczęście zarazem — zawołał Fryderyk — Filina nie może się pokazywać, a nawet siebie samej nie chciałaby widzieć, jest przy nadziei. Nie ma na świecie nic bardziej niekształtnego i śmiesznego niż ona. Na krótko przed moim odjazdem przypadkiem stanęła przed zwierciadłem. „Pfe, do diabła! — rzekła, odwracając twarz — wykapana pani Melina! Szpetny obraz! Całkiem nikczemnie się wygląda!”

— Muszę wyznać — powiedział Wilhelm uśmiechając się — że musi to być dosyć komiczne, widzieć was razem jako ojca i matkę.

— Toż to najgłupszy figiel — odparł Fryderyk — że muszę uchodzić nawet za ojca. Tak ona utrzymuje, a i czas się zgadza. Z początku bruździły mi trochę te przekłete odwiedziny, jakimi obdarzyła was po *Hamlecie*.

— Jakie odwiedziny?

— Nie przespałeś pan chyba całkiem wspomnienia o nich. Najmilszym, dotykalnym widmem tamtej nocy, jeżeli jeszcze tego nie wiecie, była Filina. Historia ta wprawdzie była dla mnie ciężkim posagiem, ale jeśli się czegoś takiego nie przyjmuje z dobrą miną, tu nie trzeba się wcale kochać. Ojcostwo polega w ogólności tylko na przeświadczeniu; ja jestem przeświadczony, a więc jestem ojcem. Z tego widzicie, że i logikę umiem zastosować we właściwym miejscu. A jeżeli dziecko nie zaśmieje się na śmierć natychmiast po urodzeniu, to może zostać, jeśli nie pożytecznym, to przyjemnym obywatelem świata.

Kiedy przyjaciele w ten wesoły sposób zabawiali się blahymi tematami, reszta towarzystwa rozpoczęła poważną rozmowę. Zaledwie Fryderyk i Wilhelm się oddalili, książdz niepostrzeżenie zaprowadził przyjaciół do sali ogrodowej, a gdy zajęli miejsce, zabrał się do opowiadania.

— Utrzymywaliśmy — rzekł — w ogólności, iż panna Teresa nie jest córką swojej matki; potrzeba teraz wyjaśnić rzecz i w szczegółach. Oto historia, którą następnie pozwolę sobie poświadczyć i udowodnić wszelkimi sposobami... Pani von \*\*\* przeżyła pierwsze lata swego małżeństwa w najlepszym porozumieniu z małżonkiem; mieli tylko to nieszczęście, iż dzieci, na które kilkakrotnie liczyli, przychodziły na świat nieżywe, a przy trzecim lekarze zapowiadali matce śmierć niemal, utrzymując, że przy następnym będzie ona nieunikniona. Trzeba się było zdecydować; nie chciano rozwiązywać małżeństwa; stosunki pod względem towarzyskim znajdowały się w zbyt dobrym stanie. Pani von \*\*\* rekompensaty za szczęście macierzyństwa, którego jej odmówiono, szukała w wykształceniu ducha, w pewnej reprezentacji, w zadowoleniu próżności. Z wielką pogodą wybaczała małżonkowi, kiedy ten powziął skłonność ku pannie, która zajmowała się całym gospodarstwem, mając piękną postać i bardzo solidny charakter. Pani von \*\*\* po niedługim czasie sama przyłożyła ręce do układu, według którego dobra dziewczyna oddała się ojcu Teresy, nie przestając zajmować się domem i okazując niemal więcej niż przedtem usłużności i poświęcenia względem pani domu. Po pewnym czasie oświadczyła, że jest przy nadziei, a oboje małżonkowie wpadli przy tej sposobności na jedną myśl, chociaż

z całkiem odmiennych pobudek. Pan von \*\*\* pragnął dziecko swojej kochanki wprowadzić do domu jako prawowite, a pani von \*\*\*, zmartwiona tym, że skutkiem niedyskrecji lekarza wieść o jej stanie rozniosła się po sąsiedztwie, zamierzała za pośrednictwem podrzuconego dziecka przywrócić sobie opinię, a ustępstwem tego rodzaju uzyskać przewagę w domu, której obawiała się utracić w innych okolicznościach. Była bardziej powściągliwa niż jej mąż; spostrzegłszy jego życzenie, potrafiła mu ułatwić wyjawienie go, nie robiąc ze swej strony pierwszego kroku. Postawiła warunki i otrzymała prawie wszystko, czego żądała; i tak powstał testament, w którym pozornie tak mało było troski o dziecko. Stary lekarz umarł; zwrócono się do młodego, aktywnego, zręcznego człowieka, dobrze go nagrodzono, a przy tym mógł nawet szukać pochlebnego rozgłosu, iż wskazał i poprawił niezręczność i przedwczesny pogląd swego zmarłego kolegi. Prawdziwa matka zezwoliła dość chętnie; odegrano komedię bardzo dobrze; Teresa przyszła na świat i została przyznana macosze, gdy rzeczywista matka padła ofiarą tego udawania, ponieważ za wcześniej się podniósłszy, zmarła i pozostawiła poczciwego człowieka niepocieszonego... Pani von \*\*\* tymczasem osiągnęła całkowicie swój zamiar; w oczach świata miała milutkie dziecko, którym się popisywała z przesadą; pozbyła się zarazem rywalki, której stosunek do męża przejmował ją zazdrością, a której wpływu, na przyszłość przynajmniej, lękała się w duszy; obsypywała dziecię czułościami i umiała swego męża w godzinach poufności tak przyciągnąć do siebie żywym współczuciem dla jego straty, że się jej oddał, powiedzieć można, całkowicie, że szczęście własne i dziecka złożył w jej ręce i dopiero na krótki czas przed śmiercią, i to w pewnej mierze tylko za pośrednictwem swej dorosłej córki, znowu stał się panem w domu... To była, piękna Tereso, owa tajemnica, którą prawdopodobnie pragnął pani odkryć chory ojciec, i to mianowicie chciałem pani szczegółowo przedstawić teraz, kiedy właśnie młodego przyjaciela, który najdziwniejszym w świecie zbiegiem wypadków został pani narzeczonym, nie ma w towarzystwie. Oto są papiery, dowodzące jak najściślej tego, co stwierdziłem. Dowiedz się z nich pani zarazem, od jak dawna byłem już na tropie tego odkrycia i dlaczego dopiero teraz mogłem nabrać pewności, dlaczego nie śmiałem nic powiedzieć przyjacielowi o możliwości szczęścia, ponieważ dotknęłoby go zbyt głęboko, gdyby nadzieja ta znikła po raz drugi. Pojmiesz pan podejrzliwość Liddii, gdyż muszę wyznać, iż bynajmniej nie sprzyjałem skłonności naszego druha do tego poczciwego dziewczęcia, odkąd myśleć zacząłem o jego połączeniu z Teresą.

Nikt nic nie odpowiedział na tę historię. Panny zwróciły papiery po kilku dniach, nie już o nich nie wspominając.

Dosyć było środków na podorędziu, by zająć towarzystwo, gdy się znajdowało razem, a i okolica przedstawiała niejednen powab, tak że chętnie po niej się rozglądano, już to oddzielnie, już to razem, konno, powozem i piechotą. Przy jednej z takich sposobności Jarno wywiązał się ze swego zlecenia wobec Wilhelma, przedstawił mu papiery, na pozór nie żądając od niego żadnej decyzji.

— W tym nadzwyczajnie dziwnym stanie, w jakim się znajduję — rzekł na to Wilhelm — mogę tylko powtórzyć panu to, co powiedziałem zaraz na początku, w obecności Natalii i niewątpliwie z czystym sercem: Lothar i jego przyjaciele mogą ode mnie żądać wszelkiego rodzaju rezygnacji; składam tu w pańskie ręce wszystkie moje pretensje wobec Teresy; wyjednaj mi pan natomiast formalną odprawę. O, nie potrzeba mi było wcale, mój przyjacielu, wielkiego namysłu, by się zdecydować. Już w tych dniach odczułem, iż Teresa z trudnością zachowuje pozory nawet tej żywości, z jaką mnie tu z początku powitała! Jej uczucie odwróciło się ode mnie, a raczej nigdy go nie posiadałem.

— Takie sprawy zapewne lepiej byłoby wyjaśniać stopniowo, w milczeniu i oczekiwaniu — odparł Jarno — aniżeli za pomocą obfitego mówienia, skutkiem którego powstaje zawsze pewne zakłopotanie i kwasy.

— Sądziłbym raczej — odrzekł Wilhelm — że właśnie taki wypadek nadaje się do najspokojniejszego i najczystsze postanowienia. Tak często stawiano mi zarzut chwiejności i niepewności; dlaczegoż teraz, kiedy jestem zdecydowany, chcę popełnić wobec mnie samego właśnie ten błąd, który we mnie ganiono? Czyż świat tylko dlatego zadaje sobie tyle trudu, by nas ukształcić, ażeby nam dać odczuć, że on się ukształcić nie może? Tak jest, przejmij mnie pan czym prędzej tym pogodnym uczuciem, iż się wyzwoliłem z fałszywego stosunku, w który wpadłem z najczystszy w świecie usposobieniem.

Mimo tej prośby minęło kilka dni, podczas których nic nie słyszał o tej sprawie ani też nie spostrzegł żadnej innej zmiany w swoich przyjaciółach; rozmowa bywała raczej bardzo ogólna i obojętna.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Pewnego razu Natalia, Jarno i Wilhelm siedzieli razem, a Natalia zaczęła:

— Zamyślony jesteś, panie Jarno; spostrzegłam to już od jakiegoś czasu.

— Tak jest — odparł przyjaciel — i widzę przed sobą ważną sprawę, którą przygotowaliśmy od dawna, a teraz z konieczności musi być rozpoczęta. Wiesz już pani coś o niej w ogólności, a powinienem też mówić o tym wobec naszego młodego przyjaciela, gdyż od niego będzie zależeć, czy zechce wziąć w niej udział. Niebawem już mnie pani nie zobaczy, gdyż zamierzam pojechać do Ameryki.

— Do Ameryki? — odparł Wilhelm z uśmiechem. — Takiej przygody nie spodziewałem się po panu, a tym mniej, żebyś mnie wybrał pan sobie na towarzysza podróży.

— Kiedy pan poznasz nasz plan w całości — odrzekł Jarno — nadasz mu lepszą nazwę, a może się nim zainteresujesz. Posłuchaj mnie pan! Wystarczy choć trochę znać sprawy światowe, aby zauważyć, że grożą nam wielkie zmiany i że posiadłości prawie nigdzie nie są już rzetelnie bezpieczne.

— Nie mam naprawdę jasnego pojęcia o sprawach światowych — przerwał Wilhelm — a dopiero od niedawna zacząłem się kłopotać o swe posiadłości. Może by lepiej było, żebym wybił sobie je z głowy jeszcze na dłużej, ponieważ muszę zauważyć, że troska o nie tworzy hipochondryków.

— Wysłuchaj mnie pan — rzekł Jarno. — Troska przystoi starości, ażeby młodość przez jakiś czas mogła być beztraska. Równowaga w działaniach ludzkich może być przywrócona jedynie za pomocą przeciwieństw. Obecnie nie jest bynajmniej rzeczą roztropną mieć własność w jednej tylko okolicy, powierzać swe dobro jednemu tylko miejscu, a znowu trudno rozciągać nad nim nadzór w wielu miejscowościach; z tego powodu wymyśliliśmy sobie co innego; z naszej starej wieży ma wyjść stowarzyszenie, które może się rozprzestrzenić po wszystkich częściach świata, do którego można wstępować z każdej części świata. Ubezpieczamy sobie wzajemnie swoje istnienie na wypadek, gdyby przewrót polityczny całkiem pozbawił tego czy tamtego jego własności. Ja tedy wyjeżdżam do Ameryki, żeby skorzystać z dobrych stosunków, jakie tam wyrobił sobie nasz przyjaciel podczas swego pobytu. Książd chce pojechać do Rosji; pan zaś, jeśli zechcesz się do nas przyłączyć, będziesz miał do wyboru: albo pomagać Lotharowi w Niemczech, albo udać się wraz ze mną. Sądziłbym, że powinien pan wybrać to drugie, gdyż odbyć wielką podróż jest rzeczą dla młodzieńca nadzwyczaj korzystną.

Wilhelm skupił się i odpowiedział:

— Propozycja zasługuje na dokładne zastanowienie; moim hasłem bowiem będzie niebawem: „Im dalej odejdziesz, tym lepiej”. Zapoznasz mnie pan, spodziewam się, bardziej szczegółowo z swoim planem. Może to wynika z mojej nieznajomości świata, ale zdaje mi się, że takiemu związkowi staną na drodze nieprzewidywane trudności.

— Większość z nich zostanie usunięta tylko tym sposobem — odparł Jarno — bo dotychczas jest nas mało, takich uczciwych, zręcznych i zdecydowanych ludzi, którzy mają pewien zmysł ogólny, z którego jedynie powstać może zmysł stowarzyszenia się.

Fryderyk, który dotąd tylko się przysłuchiwał, rzekł na to:

— A jeżeli mi powiecie dobre słowo, też pójdę z wami.

Jarno potrząsnął głową.

— No, cóż mi takiego zarzucacie? — mówił Fryderyk dalej. — W nowej kolonii potrzebni są także nowi koloniści, a ja ich ze sobą sprowadzę, a do tego kolonistów wesołych, za to ręczę. A potem znam też pewną młodą dziewczynę, która tutaj nie ma już stosownego miejsca, to słodka, czarująca Lidia. Gdzież się podzieje to biedne dziecko ze swym cierpieniem i żalem, jeśli nie będzie miała sposobności cisnąć ich w głąb morza i jeśli nie zajmie się nią jakiś uczciwy mężczyzna? Sądziłbym, mój przyjacielu młodości, że ponieważ nabraliście już wprawy w pocieszaniu opuszczonych, zdecydujecie się też, żeby każdy wziął swoją dziewczynę pod ramię i żebyśmy poszli za starszym panem.

Pomyśl ten sprawił Wilhelmmowi przykrość. Odpowiedział z udanym spokojem:

Starość, Młodość

— Nie wiem nawet, czy jest wolna, a ponieważ w ogóle nie wydaje się, żebym był szczęśliwy w zalotach, nie chciałbym robić takiej próby.

Natalia rzekła na to:

— Bracie Fryderyku, ponieważ sam postępujesz tak lekkomyślnie, wydaje ci się, że i inni mają twoje usposobienie. Nasz przyjaciel zasługuje na kobiece serce, które by do niego całkiem należało, które by przy jego boku nie biło dla obcych wspomnień. Tylko wobec tak nadzwyczajnie rozumnego i czystego charakteru, jak Teresy, można by doradzać podobny hazard.

— Co za hazard! — zawołał Fryderyk — w miłości wszystko jest hazardem. W altanie czy przed ołtarzem, przy uściskach czy złotych obrączkach, przy ćwierkaniu świerszczy czy wobec trąb i kotłów, wszystko jest jedynie hazardem, a przypadek rządzi wszystkim.

— Zawsze to spostrzegalam — odparła Natalia — że nasze zasady są tylko dodatkiem do naszego życia. Aż zanadto chętnie zarzucamy na nasze błędy szatę jakiegoś ważnego prawa. Zważ tylko dobrze, po jakiej drodze poprowadzi cię jeszcze twoja piękna, która cię pociągnęła w tak potężny sposób i trzyma przy sobie.

— Ona sama jest na bardzo dobrej drodze — odrzekł Fryderyk — na drodze do zostania świętą. Zapewne to manowce, ale tym weselsze i bezpieczniejsze; Maria Magdalena<sup>164</sup> szła nimi także, a kto wie, ile innych. W ogóle, siostrze, kiedy jest mowa o miłości, nie powinnaś się wcale do niej wtrącać. Myślę, że nie wcześniej wyjdiesz za mąż, aż gdzieś nie zabraknie narzeczonej, a wtedy ze zwykłej sobie dobroci serca oddasz się jako dodatek do czyjegós życia. A więc pozwól nam teraz dobić targu z tym oto kupcem dusz i umówić się co do naszego towarzystwa podróznego.

— Przybywasz pan za późno ze swymi projektami — rzekł Jarno — o Lidii już pomyślano.

— A to jak? — spytał Fryderyk.

— Ja ofiarowałem jej swą rękę — odparł Jarno.

— Starszy panie — rzekł Fryderyk — robicie oto figła, do którego, uważając go za rzeczownik, można by dobrać rozmaitych przymiotników, a uważając za podmiot rozmaitych orzeczeń.

— Wyznam szczerze — zauważyła Natalia — to niebezpieczna próba, by przywłaszczyć sobie dziewczynę w chwili, kiedy rozpacza z powodu miłości do innego.

— Odważyłem się na to — odparł Jarno. — Pod pewnym warunkiem będzie moja. A wierz mi, pani, że nie ma w świecie niczego cenniejszego niż serce zdolne do miłości i namiętności. Czy kochało? Czy kocha jeszcze? Nie o to chodzi. Miłość, którą kochany był ktoś inny, jest dla mnie prawie powabniejsza niż ta, którą bym ja mógł być kochany; widzę siłę, potęgę pięknego serca, gdy miłość własna nie mąci mi jasnego widzenia rzeczy.

— Czyś pan w tych dniach mówił już z Lidią? — zapytała Natalia.

Jarno skłonił głowę z uśmiechem; Natalia potrząsnęła głową i powstając, rzekła:

— Wkrótce nie będę wiedziała, co z wami począć, ale mnie z pewnością nie zwie-dzicie.

Chciała właśnie odejść, gdy wszedł ksiądz z listem w rękę i rzekł do niej:

— Zostań pani! Mam tu propozycję, co do której rada pani będzie mile widziana. Markiz, przyjaciel pani zmarłego stryja, którego oczekujemy od pewnego czasu, będzie tu pewnie w tych dniach. Pisze mi, że nie mówi po niemiecku tak płynnie, jak mu się zdawało, że potrzebuje towarzysza, który by doskonale władał tym językiem, jak i kilkoma innymi; a ponieważ zamierza wejść raczej w stosunki naukowe niż polityczne, taki tłumacz jest dla niego nieodzowny. Nie znam nikogo odpowiedniejszego w tym względzie niż naszego młodego przyjaciela. Zna język, jest wykształcony w wielu przedmiotach, a i dla niego będzie to wielką korzyścią rozejrzeć się po Niemczech w tak dobrym towarzystwie i w tak sprzyjających okolicznościach. Kto nie zna swojej ojczyzny, nie ma miary dla obcych krajów. Co wy na to, moi przyjaciele, co pani na to, panno Natalio?

Nikt nie sprzeciwił się projektowi; Jarno nie wydawał się uważać swego zamiaru wyjazdu do Ameryki za przeszkodę, gdyż i bez tego nie myślał o wyprawie od razu; Natalia milczała, a Fryderyk przytaczał różne przysłowia o pożytkach z podróżowania.

Serce, Miłość

Ojczyzna

<sup>164</sup>Maria Magdalena — nawrócona grzesznica i uczennica Jezusa z Nowego Testamentu. [przypis edytorski]

Wilhelm był w głębi duszy tak oburzony na ten nowy projekt, że ledwie mógł to ukryć. Aż z nadto wyraźnie widział w tym znowę, żeby się go czym prędzej pozbyć; a co najgorsze, że tę znowę dawano ujrzeć tak otwarcie, tak bez miłosierdzia. I podejrzania, jakie w nim wzbudziła Lidia, i wszystko, czego tam doświadczył, ożyło na nowo przed jego duszą, a naturalny sposób, w jaki Jarno mu wszystko wyłożył, wydał mu się także jedynie sztucznym tłumaczeniem.

Zebrał siły i odpowiedział:

— Ta propozycja zasługuje bądź co bądź na dojrzałą rozważę.

— Byłoby jednak potrzebne rychłe postanowienie — odparł ksiądz.

— Do tego nie jestem obecnie zdolny — odpowiedział Wilhelm. — Możemy poczekać na przybycie tego człowieka, a wtedy zobaczymy, czy do siebie pasujemy. Jednak musi być z góry postawiony jeden główny warunek: że wezmę ze sobą swego Feliksa i wszędzie będę go zabierając.

— Na ten warunek chyba nie będzie zgody — odparł ksiądz.

— A ja nie widzę — zawołał Wilhelm — dlaczego miałbym komukolwiek pozwalać narzucać mi warunki i dlaczego, chcąc rozejrzeć się po swojej ojczyźnie, potrzebowałbym Włocha za towarzysza?

— Ponieważ młodzieniec — odpowiedział ksiądz z pewną imponującą powagą — powinien zawsze przyłączać się do kogoś.

Wilhelm, który spostrzegł, że nie zdoła już dłużej nad sobą zapanować, gdyż obecność Natalii łagodziła jego stan tylko do pewnego stopnia, odezwał się z pewną porywcznością:

— Niech mi dadzą jeszcze krótki czas do namysłu, a przypuszczam, że się rychło okaże, czy powinienem w dalszym ciągu przyłączać się do kogoś, czy też raczej serce i roztropność nie nakazą mi nieodparcie wyrwać się z tyłu więzów, które grożą mi wieczną, okropną niewolą.

Powiedział to z żywym wzruszeniem. Spojrzenie na Natalię trochę go uspokoiło, w tej bowiem namiętej chwili jej postać i wartość wywarły na nim jeszcze głębsze wrażenie.

— Tak — rzekł do siebie, kiedy pozostał sam — przyznaj się, kochasz ją i znowu czujesz, co to znaczy, kiedy człowiek może kochać ze wszystkich sił. Tak kochałem Mariannę i tak się straszliwie co do niej pomyliłem; kochałem Filinę i musiałem nią pogardzić. Aurelię szanowałem, a nie mogłem jej kochać; czciłem Teresę, a miłość ojcowska przybrała kształt skłonności ku niej; a teraz, kiedy się w twym sercu skupiają wszystkie wzruszenia, które powinny uszczęśliwić człowieka, teraz zmuszony jesteś uciekać! Ach, czemuż do tych wzruszeń, do tych poznań przyłącza się niepokonane pragnienie posiadania? I czemu bez posiadania te same przekonania wniwecz obracają wszelki rodzaj szczęścia? Czy kiedyś w przyszłości będę napawać się słońcem i światem, towarzystwem lub jakimkolwiek innym dobrem przynoszącym szczęście? Czy nie będziesz wiecznie powtarzał sobie: „Natalii nie ma!”, a jednak, niestety, Natalia będzie ci zawsze obecna. Gdy przymkniesz oczy, zjawi się przed tobą, gdy je otworzysz, będzie unosić się przed wszystkimi przedmiotami, jak zjawisko zostawiające w oku olśniewający obraz. Czyż już dawniej szybko znikła postać amazonki nie była wciąż obecna w twojej wyobraźni? A przecież widziałeś ją tylko, nie znałeś jej. Teraz, kiedy ją znasz, kiedy byłeś tak blisko niej, kiedy okazała ci tyle zainteresowania, teraz jej przymioty tak się głęboko wryły w twe serce, jak niegdyś jej obraz w twe zmysły. To bolesne wciąż szukać, lecz o wiele boleśniej, znalazłszy, być zmuszonym do odejścia. O cóż mam odtąd pytać w świecie? Za czym mam się nadal oglądać? Jaka okolica, jakie miasto kryje skarb, który równy jest temu? I mam podróżować, by wciąż znajdować tylko mniejsze? Czy życie jest tylko jak plac gonitw, gdzie trzeba natychmiast szybko zawracać, gdy tylko dobiegło się do ostatniego kresu? I czy to, co dobre, doskonałe, stoi jak stały, nieruchomy cel od którego trzeba odjechać rącznymi końmi natychmiast, kiedy się mniema, że się do niego dotarło? Gdy tymczasem wszyscy inni, którzy ubiegają się o ziemskie dobra, mogą je nabyć w przeróżnych strefach, albo nawet na targu i jarmarku.

— Chodź, drogi chłopcze! — zawołał do syna, który właśnie nadbiegł. — Bądź i zostań dla mnie wszystkim. Dano mi cię w zastępstwie twojej ukochanej matki, miałeś mi zastąpić drugą matkę, którą dla ciebie przeznaczyłem, a teraz musisz wypełnić jeszcze większą próżnię. Zajmij me serce, zajmij mój umysł swoją pięknnością, swoim powabem, swoją żądzą wiedzy i swymi zdolnościami.

Chłopak był zajęty jakąś nową zabawką; ojciec starał mu się urządzić ją lepiej, porządniej, stosowniej do celu, ale w tej chwili i dziecko straciło do niej ochotę.

— Jesteś prawdziwym człowiekiem! — zawołał Wilhelm. — Chodź, mój synu, chodź, mój bracie, bawmy się bez celu w świecie, jak tylko potrafimy.

Jego zamiar, by wyjechać, zabrać ze sobą dziecko i bawić się rzeczami świata stał się teraz twardą decyzją. Napisał do Wenera, poprosił go o pieniądze i przekazy i wyprawił Fryderykowego posłańca ze stanowczym poleceniem, żeby rychło wracał.

Chociaż względem innych przyjaciół był wielce rozgoryczony, jego stosunek do Natalii pozostał niezłamany. Zwierzył się jej ze swego zamiaru, ona zaś przyjęła za rzecz uznaną, iż może i powinien odejść, a chociaż ta jej pozorna obojętność bolała go, jej pocziwe zachowanie i jej obecność całkowicie go uspokoiły. Radziła mu, by odwiedził różne miasta i spotykał się tam z niektórymi jej przyjaciółmi i przyjaciółkami.

Posłaniec powrócił i przyniósł to, o co Wilhelm prosił, chociaż Werner nie wydawał się zadowolony z tej nowej wycieczki.

Moja nadzieja, że się staniesz rozsądny — pisał — znowu na jakiś czas się oddaliła. Gdzie wy się tam wszyscy razem błakacie? I gdzie jest ta panna, której pomoc w gospodarstwie mi obiecywałeś? Reszty przyjaciół też nie ma, na sędziego i na mnie zwał się cały interes. Szczęście, że jest tak dobrym prawnikiem, jak ja finansistą, i że obaj przywykliśmy trochę wlec się. Bywaj zdrow! Twoje wybryki muszą ci być wybaczone, gdyż bez nich nasze stosunki w tej okolicy nie mogłyby się tak dobrze ułożyć.

Co do spraw zewnętrznych, mógł już wyjechać kiedykolwiek, ale jego serce skrępowane było jeszcze dwiema przeszkodami. Nie chciano mu ani razu pokazać ciała Mignon, dopiero na egzekwiach<sup>165</sup>, które ksiądz zamierzał odprawić, a do tej uroczystości nie wszystko było jeszcze gotowe. Lekarz również został odwołany stamtąd szczególnym listem wiejskiego proboszcza. Dotyczyło to harfiarza, o którego losach Wilhelm chciał się dokładniej dowiedzieć.

W takim stanie nie znajdował ni dniem, ni nocą spokoju duszy ani ciała. Kiedy wszyscy spali, on błakał się po domu. Obecność starych, znanych dzieł sztuki przyciągała go i odpychała. Nic z tego, co go otaczało, nie mogło go ani zająć, ani odstręczyć; wszystko było przypomnieniem wszystkiego; przepatrywał cały pierścień swego życia, tylko że leżał on przed nim złamany i zdawało się, że już się nigdy nie da spojrzeć. Te dzieła sztuki, które sprzedał jego ojciec, wydawały mu się symbolem, iż i on także miał być częściowo wykluczony ze spokojnego i istotnego posiadania rzeczy pożądaných w świecie, a częściowo pozbawiony tego z własnej lub obcej winy. Tak się głęboko zatopił w te dziwne i smutne rozmyślenia, że sam sobie wydawał się niekiedy duchem i nawet wówczas, gdy dotykał rzeczy obok siebie i obmacywał je, ledwie mógł się oprzeć wątpliwości, czy rzeczywiście żyje rzeczywiście i istnieje.

Tylko dotkliwy ból, jaki go czasami chwycił, iż wszystko, co znalazł i odnalazł, musi opuścić tak nikczemnie, a przecież tak nieodwołalnie, tylko lzy przywracały mu poczucie własnego istnienia. Na próżno wspominał ten szczęśliwy stan, w jakim się właściwie przecież znalazł.

— Tak więc wszystko jest niczym — wołał — jeśli brakuje jednej rzeczy, która jest dla człowieka warta tyle, ile cała reszta!

Ksiądz zapowiedział towarzystwu przybycie markiza.

— Postanowiłeś pan wprawdzie, jak się zdaje — rzekł do Wilhelma — odjechać sam, tylko ze swym chłopcem; jednak przynajmniej poznaj pan tego człowieka, który może być dla pana bądź co bądź pożyteczny, gdziekolwiek go spotkasz w drodze.

Markiz przybył. Był to mężczyzna jeszcze nie stary, jedna z kształtnych, przystojnych postaci lombardzkich<sup>166</sup>. Jako młodzieniec zawarł ze stryjem, o wiele starszym od siebie, znajomość w wojsku, a potem w interesach. Przejechali następnie razem znaczną część Włoch, a te dzieła sztuki, które markiz tu sprowadził, były przeważnie nabyte i kupione w jego obecności i to przy niejednej szczęśliwej okazji, co jeszcze doskonale pamiętał.

<sup>165</sup>egzekwie — kościelne ceremonie pogrzebowe ze wszystkimi obrzędami a. część liturgii za zmarłych. [przypis edytorski]

<sup>166</sup>lombardzki — pochodzący z Lombardii, krainy historycznej w póln. Włoszech. [przypis edytorski]



Ogólnie rzecz biorąc, Włosi mają głębsze poczucie wysokiej godności sztuki niż inne narody; każdy, kto się czymkolwiek zajmuje, pragnie się zwać artystą, mistrzem i profesorem i przynajmniej żąda tytułów uznaje, że nie dosyć pochwylić cokolwiek przez tradycję albo nabrać wprawy przez praktykę, lecz że każdy powinien umieć myśleć o tym, co czyni, powinien wyprowadzać zasady oraz sobie i innym wyjaśniać przyczyny, dlaczego należy robić to lub owo.

Cudzoziemca wzruszyło, że tak piękne posiadłości zastał znowu bez posiadacza, i ucieszyło, że słyszał, jak z doskonałej pozostałości przemawia duch jego przyjaciela. Rozpatrzyli razem rozmaite dzieła i znajdowali wielką przyjemność w tym, iż mogli się wzajemnie rozumieć. Mówili głównie markiz i ksiądz; Natalia, czując się znowu przeniesiona do towarzystwa stryja, bardzo dobrze się orientowała w ich zdaniach i sposobach myślenia; Wilhelm musiał sobie przekładać na terminologię teatralną, jeśli chciał coś z tego zrozumieć. Z trudem powstrzymywano żarty Fryderyka. Jarno rzadko bywał obecny.

Kiedy rozprawiano o tym, że doskonale dzieła sztuki są tak rzadkie w czasach nowożytnych, markiz rzekł:

— Nielatwo to pomyśleć i zgadnąć, co powinny zrobić okoliczności dla artysty, a potem przy największym geniuszu, przy najwyraźniejszym talencie są wciąż jeszcze nieskończone wymagania, jakie sam sobie musi postawić, niewypowiedziana pilność potrzebna do jego wykształcenia. Otóż jeżeli okoliczności mało robią dla niego, jeśli spostrzeża, że świat daje się łatwo zadowolić i pragnie tylko lekkiego, miłego, przyjemnego pozoru, to byłoby zaskakujące, gdyby wygoda i miłość własna nie zatrzymywały go przy mierności; dziwne byłoby, gdyby zamiast zgarniać pieniądze i pochwały za modne towary wołał obrać właściwą drogę, która prowadzi mniej więcej do bolesnego męczeństwa. Dlatego artyści naszych czasów wciąż tylko oferują, aby nic nigdy nie dać. Chcą wciąż drażnić, by nigdy nie zaspokoić; wszystko jest tylko sugestią, a nigdzie się nie znajduje podstawy i wykończenia. Ale kiedy się choć chwilę spokojnie pobędzie na wystawie i zauważy, do jakich to dzieł sztuki garnie się ciżba, jakie bywają wychwalane, a jakie lekceważone, to mało ma się zadowolenia z teraźniejszości, a na przyszłość mało nadziei.

— Tak jest — powiedział ksiądz — i tym sposobem urabiają się wzajemnie amatorzy i artyści; amator szuka tylko ogólnego, nieokreślonego napawania się; dzieło sztuki ma mu niemal tak wygadzać, jak dzieło natury, a ludzie mniemają, że organy do używania dzieła sztuki tak się same przez się kształcą, jak język i podniebienie, że o dziele sztuki sądzi się tak, jak o jakiejś potrawie. Nie pojmują, jak odmiennej kultury potrzeba do tego, by się wznieść do prawdziwego rozkoszowania się sztuką. Za rzecz najtrudniejszą uważam to pewne oczyszczanie się, jakiego człowiek powinien dokonać w sobie samym, jeżeli się chce istotnie ukształcić; z tego powodu znajdujemy tak wiele ukształceń jednostronnych, z których jednak każde rości sobie pretensję do wydawania doraźnego sądu o całości.

— Nie bardzo dla mnie jasne, co pan mówisz — rzekł Jarno, który właśnie wszedł.

— Trudno też — odparł ksiądz — dokładnie to wyjaśnić w skrócie. Tyle tylko powiem: jeżeli człowiek rości sobie prawo do różnorodnych czynności i różnorodnych przyjemności, to musi być także zdolny do wykształcenia w sobie różnorodnych organów, jakby niezależnych od siebie. Kto chce wszystko w ogóle i każde z osobna w całym człowieczeństwie swoim czynić i nim się nasycać, kto chce wszystko poza sobą złączyć do takiego nasycania się, ten spędzi swój czas jedynie na wiecznym niezaspokojonym dążeniu. Jak trudno, co się wydaje tak naturalne, oglądać dobry posąg, wybory sam w sobie obraz, słuchać śpiewu dla śpiewu, podziwiać aktora w aktorze, radować się budynkiem dla jego własnej harmonii i trwałości! A tymczasem widzi się, że w większości ludzie tak sobie traktują rzetelne dzieła sztuki, jakby to była miękka glina. Według ich upodobań, mniemań i zachcianek ma się ukształtowany marmur natychmiast przekształcić, mocno wybudowany budynek rozszerzyć lub skurczyć, obraz ma nauczać, dramat poprawiać, wszystko ma się stać wszystkim. Właściwie jednak, ponieważ większość ludzi sama jest bezkształtna, ponieważ sobie i swojej istocie nie może sama nadać postaci, usiłują tedy odjąć przedmiotom ich postać, żeby się wszystko stało sypką i miałką materią, do której i ci ludzie należą. Redukują w końcu wszystko do tak zwanego efektu; wszystko jest względne i tak też wszystko staje się względne prócz niedorzeczności i płytkości, które też panują bezwzględnie.

Artysta, Sztuka

— Rozumiem pana — odrzekł Jarno — a raczej pojmuję, iż to, co pan mówisz, ma związek z zasadami, których się pan tak mocno trzymasz, ale niepodobna mi brać tego tak ściśle w stosunku do tych pocziwych biedaków, do ludzi. Znam naturalnie dosyć takich, którzy wobec największych dzieł sztuki i natury zaraz sobie przypominają swe najbliższe potrzeby, którzy biorą swe sumienie i swoją moralność z sobą na operę, którzy swych miłości i nienawiści nie składają przed kolumnadą i którzy najlepsze i najwznioślejsze rzeczy, jakie im z zewnątrz mogą być nasunięte, muszą przede wszystkim jak najbardziej zmniejszyć w swoim sposobie wyobrażenia, aby móc jako tako złączyć je ze swą lichą istotą.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Wieczorem ksiądz zaprosił na egzekwie Mignon. Towarzystwo udało się do sali przeszłości i zastało ją oświetloną i przybraną w najosobliwszy sposób. Ściany zostały pokryte prawie od góry do dołu błękitnymi kobiercami tak, że widać było tylko fryz i cokół. W czterech kandelabrach po rogach paliły się wielkie woskowe pochodnie; podobnie w odpowiednim stosunku w czterech mniejszych okalających sarkofag. Przy nim stało czterech chłopców, ubranych na błękitno ze srebrnym, i szerokimi wachlarzami ze strusich piór jakby nawiewało powietrze na postać spoczywającą na sarkofagu.

Towarzystwo usiadło, a dwa niewidzialne chóry zaczęły pytać we wdzięcznym śpiewie:

— Kogo nam przynosicie ku cichemu obcowaniu?

Czterej chłopcy odpowiedzieli miłymi głosami:

— Przynosimy wam zmęczonego rówieśnika; pozwólcie mu spocząć wśród was, dopóki radosny okrzyk niebiańskich braci i siostr pewnego dnia nie obudzi go ponownie.

### CHÓR

Pierwiosnku młodości w kole naszym, bądź pozdrowiony! pozdrowiony w żałobie! Niech nie idzie za tobą ani chłopiec, ani dziewczyna! Starość tylko niech się chętnie i spokojnie zbliża do cichej sali, a w poważnym towarzystwie niech spoczywa drogie, drogie dziecię!

### CHŁOPCY

Ach, z jaką przykrością nieśliśmy je tutaj! Ach, i ono musi tu pozostać! I my pozostaniemy, płaczymy, ach, płaczymy przy jego trumnie!

### CHÓR

Przypatrzcie się skrzydłom potężnym! Przypatrzcie się lekkiej, jasnej szacie! Jak błyszczą złota przepaska na głowie! Przypatrzcie się temu pięknemu, temu dostojnemu spokojowi!

### CHŁOPCY

Ach, skrzydła nie wznoszą jej; szata już nie szeleści w swobodnej igraszce; kiedyśmy różami wieńczyli jej głowę, spoglądała na nas wdzięcznie i przyjaźnie.

### CHÓR

Spojrzyjcie w górę oczyma ducha! W was niech żyje siła kształtująca, która nosi w sobie rzecz najpiękniejszą, ponad gwiazdy wyższą — życie.

### CHŁOPCY

Ale, niestety, brak jej tu nam; po ogrodach nie przebiega, kwiatów na łące nie zbiera już. Płaczymy, zostawiamy ją tutaj! Płaczymy i zostaniemy przy niej.

### CHÓR

Dzieci, wracajcie do życia! Łzy wasze niech osuszy świeże powietrze igrające nad wodą wężykiem płynącą. Unikajcie nocy! Dzień i rozkosz, i trwanie są udziałem żywych.

### CHŁOPCY

Nuż, wracajmy do życia. Niechaj dzień da nam pracę i przyjemność, aż nam wieczór przyniesie spoczynek, a sen nocny orzeźwi nas.

## CHÓR

Dzieci, śpieszcie do życia! W czystej szacie piękności niech was spotka miłość ze spojrzeniem niebiańskim i wieńcem nieśmiertelności!

Chłopcy byli już daleko; ksiądz wstał z krzesła i wszedł za trumnę.

— Takie jest — rzekł — rozporządzenie mężczyzny, który przygotował to ciche mieszkanie, żeby każdego nowego przybysza przyjmować uroczyście. Po nim, założycielu tego domu, twórcy tego miejsca, przynieśliśmy tu naprzód młodą cudzoziemkę; i tak ta szczupła przestrzeń zawiera dwie zupełnie odmienne ofiary surowej, samowolnej i niewzruszonej bogini śmierci. Według określonych praw wchodzimy w życie; policzone są dni, które czynią nas dojrzałymi do ujrzenia światła, ale na trwałość życia nie ma żadnego prawa. Najślabsza nić życia rozciąga się do nieoczekiwanej długości, a najważniejszą przecinają gwałtownie nożyce Parki<sup>167</sup>, która zdaje się lubować w przeciwieństwach. O dziecku, które tu grzebiemy, niewiele zdołamy powiedzieć. Nie wiadomo dotychczas, skąd ono przyszło; rodziców jego nie znamy, a liczby jego lat domyślamy się tylko. Jego głębokie, zamknięte serce ledwie dawało zgadywać swe najwewnętrzniejsze sprawy; nic w nim nie było wyraźnego, nic widocznego prócz miłości do człowieka, który je ocalił z rąk barbarzyńcy. Ta tkliwa skłonność, ta żywa wdzięczność wydawała się płomieniem, który pochłaniał oliwę życia tej istoty; biegłość lekarza nie mogła utrzymać tego pięknego życia; najtroskliwsza przyjaźń nie zdołała go przedłużyć. Jednak jeżeli sztuka nie potrafiła uwięzić odchodzącego ducha, to użyła wszelkich swych środków, by zachować ciało i zabezpieczyć je od znikomości. Masa balsamiczna przedostała się przez wszystkie żyły i teraz zamiast krwi barwi tak wcześnie zbladłe policzki. Przystąpcie bliżej, przyjaciele moi, i zobaczcie cud sztuki i staranności!

Podniósł zasłone; dziecko leżało w swoich anielskich szatach, jakby śpiące w najwygodniejszej pozycji. Wszyscy się zbliżyli i podziwiali ten pozór życia. Tylko Wilhelm pozostał na krześle; nie mógł zapanować nad sobą; co odczuwał, tego nie mógł pomyśleć, a każda myśl jakby groziła rozbiciem jego uczuć.

Ze względu na markiza mowa została wygłoszona po francusku. Ten podszedł wraz z innymi i uważnie wpatrywał się w postać. Ksiądz mówił dalej:

— Ze świętobliwym zaufaniem to dobre, tak zamknięte na ludzi serce zwracało się ustawicznie ku Bogu. Pokora, a nawet skłonność do uniżania się zewnętrznego zdawała mu się wrodzona. Żarliwie przywiązana była do religii katolickiej, w której się urodziła i wychowała. Często wypowiadała życzenie spoczynku na poświęconej ziemi, toteż według zwyczajów Kościoła poświęciliśmy to marmurowe schronienie i tę odrobinę ziemi, jaka się mieści w jej poduszce. Z jakimże zapałem w ostatnich swoich chwilach całowała obraz Ukrzyżowanego, bardzo ładnie wyryty na jej delikatnym ramieniu za pomocą tysięcy punktów.

Mówiąc to, podniósł równocześnie jej prawe ramię, a na białej skórze ujrano niebieskawo zabarwiony krzyżyk, otoczony różnymi literami i znakami.

Markiz bardzo uważnie przyglądał się temu nowemu widokowi.

— O Boże! — zawołał, prostując się i podnosząc ręce ku niebu. — Biedne dziecko! Nieszczęśliwa siostrzenico! Tu cię więc odnajduję! Co za bolesna radość, ciebie, którąś już od tak dawna oplakali, to dobre, kochane ciało, które od dawna uważaliśmy za pastwę ryb w morzu, odnaleźć tutaj, martwe wprawdzie, ale zachowane! Obecny jestem na twoim pogrzebie, który jest tak wspaniały w swojej zewnętrzności, a jeszcze wspanialszy się staje dzięki tym dobrym ludziom, którzy ci towarzyszą w miejscu spoczynku. A kiedy zdołam mówić — dodał łamiącym się głosem — dzięki im złożę.

Ezy nie pozwoliły mu powiedzieć nic więcej. Nacisnąwszy sprężynę, ksiądz opuścił ciało w głąb marmuru. Czterej młodzieńcy, ubrani jak tamci chłopcy, wyszli spoza kołnierców, nasunęli ciężką, pięknie rzeźbioną płytę na trumnę i jednocześnie rozpoczęli swój śpiew.

<sup>167</sup>*Parka* (mit. rzym.) — jedna z trzech bogiń przedających i przecinających nić ludzkiego losu; w mit. gr. ich odpowiednikami były Mojry. [przypis edytorski]

## MŁODZIENCY

Dobrze zabezpieczony jest już skarb, piękny utwór przeszłości! Tu w marmurze spoczywa niepożyty, a w sercach naszych żyje, działa wciąż. Wracajcie, wracajcie do życia! Weźcie stąd z sobą świętą powagę, gdyż tylko powaga, ta święta, sama jedna przetwarza życie na wieczność.

Niewidzialny chór dołączył do ostatnich słów, ale nikt z towarzystwa nie słyszał porzeczających wyrazów; każdy był zbyt pochłonięty dziwnymi odkryciami i własnymi wzruszeniami. Ksiądz i Natalia wyprowadzili markiza, Wilhelma, Teresę i Lothara i dopiero kiedy śpiew przebrzmiał zupełnie, opadły ich na nowo w całej sile bóle, rozważania, myśli, ciekawość, i z tęsknotą zwracali się ku owemu żywiołowi.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Markiz unikał rozmowy o tej sprawie, ale potajemnie prowadził z księdzem długie narady. Gdy towarzystwo zebrało się razem, bardzo często prosił o muzykę; chętnie spełniano to życzenie, gdyż każdy rad był uwolnić się od rozmowy. Tak spędzono czas jakiś, aż zauważono, że przygotowuje się do wyjazdu. Pewnego dnia rzekł do Wilhelma:

— Nie pragnę niepokoić zwłok dobrego dziecięcia; niech pozostanie w tym miejscu, gdzie kochało i cierpiało, ale jego przyjaciele muszą mi przyrzec, że odwiedzą mnie w jego ojczyźnie, w tych stronach, gdzie biedne stworzenie urodziło się i wychowało, muszą zobaczyć te kolumny i posągi, o których pozostało mu na zawsze niejasne wyobrażenie. Zaprowadzę ich do zatok, w których tak lubiła zbierać kamyczki. Ty, kochany młodzieńcze, nie zechcesz się odsunąć od wdzięczności rodziny, która ci tyle winna. Jutro odjeżdżam. Księdzu powierzyłem całą historię, on ją wam opowie; mógł mi wybaczyć, kiedy żal przerywał mi mowę, a jako osoba trzecia wyłoży wydarzenia bardziej spójnie. Jeżeli pan chcesz jeszcze, jak to planował ksiądz, towarzyszyć mi w podróży po Niemczech, to z chęcią pana zabiorę. Nie opuszczaj pan swego chłopca; przy każdej drobnej niedogodności, jaką nam sprawi, będziemy przypominać sobie pańską troskliwość o moją biedną siostrzenicę.

Jeszcze tego samego wieczoru niespodzianie przybyła hrabina. Wilhelm drżał na całym ciele, kiedy weszła, a ona, chociaż przygotowana, trzymała się siostry, która niebawem podała jej krzesło. Jak dziwnie proste było jej ubranie i jak zmieniona jej postać! Wilhelm ledwie śmiał na nią spojrzeć. Przywitała go przyjaźnie, a kilka ogólnikowych słów nie mogło ukryć jej uczuć i wzruszeń. Markiz poszedł zawczasu do łóżka, a towarzystwo nie miało jeszcze ochoty do rozstania się; ksiądz wyjął jakiś rękopis.

— Tę dziwną historię — rzekł — przelałem zaraz na papier, tak jak mi ją powierzono. Gdzie trzeba najmniej oszczędzać atramentu i pióra, to przy spisywaniu szczegółowych okoliczności zastanawiających zdarzeń.

Wyjaśniono hrabinie, o czym mowa, a ksiądz zaczął czytać:

„Ojca mojego — mówił markiz — choć tyle świata widziałem, muszę uważać za jednego z najosobliwszych ludzi. Charakter jego był szlachetny i otwarty, jego pojęcia szerokie i, rzecz można, wielkie; był surowy wobec samego siebie; we wszystkich jego planach znajdowało się niepodrobioną konsekwencję, we wszystkich czynnościach nieprzerwaną prawidłowość kroków. O ile zatem z jednej strony można z nim było zostawać w dobrych stosunkach i przeprowadzać interesy, o tyle z powodu tychże właściwości, nie potrafił znaleźć się w świecie, ponieważ wymagał od państwa, od sąsiadów, od dzieci i domowników zachowania wszystkich tych praw, jakie sam sobie nałożył. Jego najbardziej umiarkowane wymagania popadały w przesadę wskutek jego surowości, nigdy też nie mógł się cieszyć, ponieważ nic nie działo się w sposób, jaki sobie obmyślił. W chwili kiedy budował pałac, zakładał ogród, nabywał nowy wielki majątek w najśliczniejszym położeniu, widziałem go przejętego w duszy najpoważniejszym gniewem, iż go los skazał na to, żeby sobie odmawiał lub cierpiał niedostatek. W swoim wyglądzie zewnętrznym zachowywał największą godność; jeśli żartował, to okazywał jedynie przewagę swego rozsądku; było dla niego rzeczą nie do zniesienia narażać się na naganę i tylko raz w życiu widziałem, jak nie posiadał się

z gniewu, gdy słyszał, iż o jednym z jego urzędzeń mówiono jak o czymś śmiesznym.

W tym samym duchu rozporządzał swoimi dziećmi i majątkiem. Mój najstarszy brat został wychowany na człowieka, który ma kiedyś posiadać wielkie dobra. Ja miałem wstąpić do stanu duchownego, a najmłodszy zostać żołnierzem. Ja byłem żywy, ognisty, czynny, porywczy, zdalny do wszelkich ćwiczeń cielesnych. Najmłodszy wydawał się skłonniejszy do pewnego marzycielskiego spokoju, oddając się naukom, muzyce i poezji. Dopiero po najuporczywszej walce, po najzupełniejszym przekonaniu się o niemożności ojciec zezwolił, chociaż z niechęcią, żebyśmy zamienili się zawodami, a chociaż widział, że obaj jesteśmy zadowoleni, nie mógł tego zrozumieć i zapewniał, że nie wyniknie stąd nic dobrego. Im bardziej się starzał, tym bardziej czuł się odcięty od wszelkiego towarzystwa. W końcu żył prawie całkiem samotnie.

Jego jedynym towarzyszem pozostał tylko pewien stary przyjaciel, który służył w Niemczech, w czasie wojny stracił żonę i przywiózł ze sobą córkę, liczącą około lat dziesięciu. Kupił on sobie w sąsiedztwie ładny majątek, widywał się z moim ojcem w określonych dniach i godzinach tygodnia, kiedy przyprowadzał też czasami swoją córkę. Z moim ojcem nigdy się nie sprzeczał, a ten w końcu przywykł do niego zupełnie i znosił go jako jedynego możliwego towarzysza. Po śmierci naszego ojca zauważyliśmy, że ten człowiek został przez naszego rodzica bardzo świetnie obdarowany i nie tracił czasu na próżno; rozszerzył swe dobra, a jego córka mogła spodziewać się pięknego posagu. Dziewczyna rosła i odznaczała się dziwną pięknnością; starszy brat często żartował ze mnie, że powinienem się do niej zalecać.

Tymczasem brat Augustyn spędzał swe lata w klasztorze w najosobliwszym stanie; oddał się całkowicie rozkoszy świętobliwego marzycielstwa, owym na pół duchowym, na pół fizycznym wzruszeniem, które, unosząc go przez pewien czas do trzeciego nieba, wkrótce spychały w otchłań niemocy i okropnej próżni. Za życia ojca nie było można myśleć o żadnej zmianie, a zresztą czegoż należało pragnąć lub co planować? Po śmierci ojca odwiedzał nas pilnie; jego stan, który z początku nas bolał, stawał się z wolna o wiele znośniejszy, gdyż zwyciężył rozum. Jednak im pewniej rozum ten obiecywał całkowite zadowolenie i wyleczenie na czystej drodze natury, tym natarczywiej żądał od nas, żebyśmy go wyzwolili z jego ślubów; dał nam do zrozumienia, że jego zamiar zwraca się ku Speracie, naszej sąsiadce.

Mój starszy brat za dużo wycierpiał wskutek surowości ojca, ażeby mógł się nie wzruszyć stanem najmłodszego. Pomówiliśmy ze spowiednikiem naszej rodziny, zacnym starcem, odkryliśmy mu podwójny zamiar brata i prosiliśmy, żeby zajął się tą sprawą i popierał ją. Wbrew swemu zwyczajowi wzdragał się; kiedy zaś w końcu brat nalegał na nas, a my żywiej przełożyliśmy sprawę księdzu, musiał się zdecydować na wyjawienie nam osobliwej historii.

Sperata była naszą siostrą, i to zarówno po ojcu, jak po matce; skłonność i żądza raz jeszcze ogarnęły tego mężczyznę w późnych latach, kiedy wydawało się, że prawa małżonków już wygasły; z powodu podobnego wypadku na krótko przedtem śmiano się w okolicy, a ojciec, nie chcąc także wystawić się na śmieszność, postanowił ten późny, prawny owoc miłości ukryć z taką samą troskliwością, z jaką się zazwyczaj ukrywa dawniejsze przypadkowe owoce chuci. Nasza matka urodziła potajemnie; dziecko wysłano na wieś, a stary przyjaciel domu, który wraz ze spowiednikiem jako jedyny znał tajemnicę, łatwo dał się namówić, by podawać za swą córkę. Spowiednik postawił tylko warunek, że w razie konieczności może odkryć tajemnicę. Ojciec umarł, delikatna dziewczynka żyła pod nadzorem jakiejś staruszki; wiedzieliśmy, że śpiew i muzyka już zaprowadziły do niej naszego brata, a że kilkakrotnie domagał się od nas, abyśmy rozerwali jego dawne więzy, by

mógł zadzierzgnąć nowe, trzeba było jak najprędzej powiadomić go o niebezpieczeństwie, na jakie się narażał.

Spojrzał na nas dzikimi, wzgardliwymi oczyma.

— Schowajcie — zawołał — swoje nieprawdopodobne baśnie dla dzieci i łatwowiernych głupców; mnie nie wydrzecie Speraty z serca, ona jest moja. Wyprzyjcie się natychmiast swego okropnego widma, które by mnie na próżno tylko trwożyło. Sperata nie jest moją siostrą, ona jest moją żoną!

Z zachwytem opisał nam, jak niebiańskie dziewczę wyprowadziło go ze stanu nienaturalnego odłączenia się od ludzi i wwiiodło w prawdziwe życie, jak oba umysły harmonizowały z sobą jak i ich obie krtanie, i jak błogosławił wszystkie swoje cierpienia i błędy, dlatego że dotychczas trzymały go z dala od wszystkich kobiet i że teraz może się całkowicie i niepodzielnie oddać najmilszej dziewczynie.

Odkrycie to przejęło nas trwogą; bolał nas jego stan, nie wiedzieliśmy, co począć; zapewniał nas gwałtownie, że Sperata nosi w swym łonie jego dziecko. Nasz spowiednik zrobił wszystko, co mu nakazywał obowiązek, ale przez to zło się jedynie pogorszyło. Wymagania natury i religii, obowiązków moralnych i praw państwowych były zaciekle zwalczane przez mojego brata. Nic nie wydawało mu się święte prócz związku ze Speratą, nic nie wydawało mu się godne prócz nazwy ojca i małżonka.

— Tylko to — wołał — jest zgodne z naturą, wszystkie inne rzeczy są urojeniami i mniemaniem. Czyż nie było szlachetnych ludów, które uznawały małżeństwo z siostrą? Nie powołujcie się na swoich bogów! — mówił. — Używacie ich imion tylko wtedy, kiedy nas chcecie oszukać, kiedy chcecie nas zwieść z drogi natury, a najszlachetniejsze popędy przekształcić w występki za pomocą najwstrętniejszego przymusu. Zmuszacie ofiary, które żywcem grzebiecie, do największego zamętu ducha, do najokropniejszego udręczenia ciała. Mogę tak mówić, bo cierpiałem jak nikt inny, od najwyższej, najśłodszej pełni marzycielstwa aż do straszliwych pustyń niemocy, próżni, unicestwienia i rozpacz, od najwznioślejszych przeczuć co do istot nadziemskich aż do najzupełniejszej niewiary, do niewiary w samego siebie. Wypilem wszystkie te obrzydliwe męty z dna kielicha o słodzonych brzegach, a cała moja istota została zatruta aż do najgłębszej głębi. A teraz, kiedy dobrotliwa natura uzdrowiła mnie największym swym darem, miłością, kiedy na piersi niebiańskiej dziewicy znów czuję, że jestem ja, że jest ona, że jesteśmy jednym, że z tego żywotnego połączenia ma powstać coś trzeciego i uśmiechnąć się do nas, teraz wypuszczacie płomień swych piekieł, swoich czyściców, które mogą osmalić jedynie słabą wyobraźnię, i przeciwstawicie je żywej, prawdziwej, niezniszczalnej rozkoszy czystej miłości! Spotkajcie się z nami pod tymi cyprysami, które swe poważne wierzchołki wznoszą ku niebu, odwiedźcie nas w tych szpalerach, gdzie cytryny i pomarańcze obok nas kwitną, gdzie zdobny mirt dostarcza nam swoich delikatnych kwiatów, i tam się odważcie trwożyć nas swymi ponurymi, szarymi sieciami, wysnutymi przez ludzi!

Długo obstawał przy uporczywej niewierze w nasze opowiadanie, a w końcu, gdyśmy mu zaprzysięgli jego prawdziwość, gdy go o tym zapewnił sam spowiednik, nie dał się tym zwieść, ale przeciwnie, zawołał:

— Nie pytajcie odgłosu klasztornych korytarzy ani swego zmurszałego pergaminu, ani tych wykrętnych mrzonek i zarządzeń! Spytajcie natury i swego serca; ona was nauczy, przed czym wdrygać się macie, ona wam najsurowiej palcem wskaże, na co rzuca swe wiekuste i nieodwołalne przekleństwo. Patrzcie na lilie: czy mąż i żona nie wyrastają z jednej łodygi? Czy obojga nie łączy kwiat, które je wydał, a czyż lilia nie jest obrazem niewinności i czyż jej związek bratnio-siostrzany nie jest płodny? Kiedy natura czegoś nie znosi, wyraża to głośno; istota, która nie powinno żyć, nie może się zrodzić; istota, która żyje fałszywie, wcześniej ginie. Niepłodność, nędzne istnienie, przedwczesny rozkład: oto jej przekleństwa, oznaki jej surowości.

Karze tylko za pomocą bezpośrednich skutków. Tam! Obejrzyjcie się wokół siebie, a co jest zakazane, co jest przeklęte, zaraz wpadnie wam w oczy. W cisy klasztornej i w zgiełku światowym uswieca się i czci tysiące czynów, na których spoczywa jej przekleństwo. Spogląda ona smutnymi oczyma na wygodne lenistwo tak samo jak na nadmierną pracę, na samowolę i nadmiar tak samo jak na konieczność i niedostatek; nawołuje do umiarkowania; wszystkie jej wymagania są prawdziwe, a wszystkie jej działania są spokojne. Kto tak cierpiał, jak ja, ten ma prawo być wolny. Sperata jest moja; tylko śmierć mi ją odbierze. Jak mogę ją zatrzymać? Jak mogę stać się szczęśliwy? To wasza troska! Teraz natychmiast idę do niej, aby się już z nią nie rozłączyć.

Chciał wsiąść na statek, by się do niej przeprowadzić, powstrzymaliśmy go, prosząc, żeby nie robił kroku, który mógłby mieć najokropniejsze następstwa, żeby się zastanowił, iż przecież nie żyje w wolnym świecie swoich myśli i wyobrażeń, ale pod rządem, którego ustawy i stosunki przybrały niezłomność prawa natury.

Musieliśmy przyrzec spowiednikowi, że nie spuścimy brata z oczu, a tym bardziej nie pozwolimy mu wyjść z zamku; wtedy dopiero odszedł, obiecując powrócić za kilka dni. Cośmy przewidywali, to się stało; rozum zrobił naszego brata silnym, ale serce jego było miękkie; dawniejsze wzruszenia religijne ożyły na nowo, a opanowały go najokropniejsze wątpliwości. Przepędził tak dwie straszliwe doby; spowiednik przybył mu z pomocą, ale na próżno! Niczym niekrepowany, wolny rozum uniewinnił go; jego uczucie, religia, wszystkie nabyte wyobrażenia ogłaszały go przestępcą.

Pewnego poranku zastaliśmy jego pokój pusty; na stole leżał papier, w którym on oświadczał nam, że ponieważ przemocą trzymamy go w niewoli, ma prawo szukać dla siebie wolności, że ucieka, udając się do Speraty, że ma nadzieję umknąć wraz z nią, że jest przygotowany na wszystko, gdyby ich chciano rozdzielić.

Niemal się przeraziliśmy, lecz spowiednik prosił nas, żebyśmy byli spokojni. Biedny brat był uważnie obserwowany; flisacy, zamiast go przeprowadzić, zaprowadzili go do właściwego klasztoru. Zmęczony czterdziestogodzinnym czuwaniem, zasnął, gdy tylko w świetle księżycy łódź zaczęła go kołysać, a obudził się dopiero, gdy ujrzał się w rękach swych duchownych braci; nie otrząsnął się, dopóki nie usłyszał, jak zamyka się za nim furta klasztoru.

Boleśnie dotknięci losem brata, robiliśmy naszemu spowiednikowi nader żywe wyrzuty, ale ten czcigodny człowiek wkrótce przekonał nas, dowodzeniem lekarza ran duszy, że nasza litość była zgubna dla biednego chorego, że działa nie z własnej samowoli, lecz na rozkaz biskupa i wysokiej rady. Zamiarem było uniknąć wszelkiego publicznego zgorszenia i zakryć ten smutny przypadek zasłoną tajnej kary kościelnej. Speratę należało oszczędzić; nie miała się wcale dowiedzieć, że jej kochanek był zarazem jej bratem. Opiekę nad nią polecono duchownemu, któremu już przedtem wyznała swój stan. Zdołano zataić jej brzemienność i połóg. W drobnej istotce znalazła szczęście jako matka. Jak większość naszych dziewcząt nie umiała ani pisać, ani czytać, dawała więc swemu ojcu duchownemu zlecenia, co ma powiedzieć jej kochankowi. Ten mniemał, że karmiącej matce należy się to pobożne oszukaństwo i przynosił jej wiadomości o naszym bracie, którego nigdy nie widział, napominał ją w jego imieniu do spokoju, prosił, żeby dbała o siebie i dziecko, a co do przyszłości zaufała Bogu.

Sperata była z natury skłonna do religijności. Stan jej, samotność związały ten pociąg; duchowny podtrzymywał go, by powoli przygotować ją do rozstania na wieki. Gdy tylko dziecko zostało odstawione od piersi, gdy tylko uznał jej ciało za dość silne, by mogło znieść najdotkliwsze cierpienia duszy, zaczął jej w okropnych barwach odmalowywać występki oddania się księdzu, występki, który traktował jako rodzaj grzechu przeciwko naturze, jako kazirodztwo. Wpadł bowiem na dziwną myśl, żeby jej skrucę uczynić równą tej, jaką musiałaby odczuwać, gdyby znała prawdziwy charakter

Kobieta, Nauka

swego błędu. Tym sposobem wprowadził do jej duszy tyle żalu i zgryzoty, tak bardzo wywyższył przed nią ideę Kościoła i jego głowy, wskazywał jej straszne skutki dla zbawienia wszystkich dusz, gdyby w takich wypadkach chciano pobłażać, a nawet jeszcze nagradzać winnych prawowitym związkiem, dowodził jej, jak zbawienną rzeczą jest odpokutować taki błąd tu, na ziemi, a za to kiedyś osiągnąć koronę niebieską, że w końcu jako biedna grzesznica poddała szyję pod topór i prosiła usilnie, by ją na wieki oddalono od naszego brata. Kiedy tyle już od niej uzyskano, pozwolono jej, ale pod pewnym nadzorem, przebywać na wolności bądź w swoim mieszkaniu, bądź w klasztorze, jak będzie uważać za stosowne.

Dziecko jej rosło i okazało niebawem szczególne usposobienie. Bardzo szybko potrafiło biegać i poruszać się z niepospolitą zręcznością, wreszcie zaczęło całkiem ładnie śpiewać i prawie samo nauczyło się grać na gitarze. Nie mogło się tylko wypowiadać słowami, a przeszkoda, jak się zdawało, leżała raczej w jego sposobie myślenia niż w organach mowy.

Biedna matka tymczasem czuła smutny stosunek do dziecka; nauki duchownego tak zmąciły jej wyobrażenia, że, nie będąc obłąkana, znalazła się w najdziwniejszym stanie. Jej występki wydawał jej się coraz straszniejszy i bardziej godny kary; często powtarzane przez duchownego porównanie z kazirodztwem tak głęboko wryło się w jej sercu, że doznawała takiego obrzydzenia, jakby znała rzeczywisty stosunek. Spowiednik niemało nałamał sobie głowę, badając, jakimi to środkami rozdarł serce nieszczęśliwej istoty. Okropnie było patrzeć, jak miłość macierzyńska, która tak była skłonna do serdecznej radości z istnienia dziecka, walczyła ze straszną myślą, że dziecko to istnieć nie powinno. To oba te uczucia walczyły ze sobą, to obrzydzenie brało górę nad miłością.

Dziecko już dawno jej odebrano i oddano pocziwym ludziom nad jeziorem, a przy większej swobodzie, jaką tam miało, ujawniła się niebawem jego szczególna chęć wdrapywania się. Naturalnym odruchem było u niej wspinanie się na najwyższe wierzchołki, bieganie po burtach łódek i naśladowanie najdziwniejszych sztuk linokoczków, których czasem można było spotkać w tej okolicy.

Aby się w tym wszystkim łatwiej wyćwiczyć, lubiła zamieniać ubranie z chłopcami, a chociaż jej opiekunowie poczytywali to za rzecz w najwyższym stopniu nieprzyzwoitą i niestosowną, kazaliśmy im patrzeć na to przez palce. Jej zabawne biegania i skoki czasami prowadziły ją daleko; gubiła się, nie było jej i wracała. Po powrocie siadywała zazwyczaj pod kolumnami przysionku sąsiedniej willi; nie szukano jej, czekano tylko. Tam zdawała się odpoczywać na stopniach; potem wbiegała do wielkiej sali, oglądała posągi, a kiedy nie została specjalnie zatrzymana, śpieszyła do domu.

W końcu nasze nadzieje zostały zawiedzione, a nasza wyrozumiałość ukarana. Dziecko znikło; jego kapelusze znaleziono unoszący się na wodzie, niedaleko miejsca, gdzie górski potok z wysoka wpada do jeziora. Przypuszczano, że wdrapując się pomiędzy skały, zsunęła się nieszczęśliwie; pomimo dokładnych poszukiwań nie udało się znaleźć ciała.

Wskutek nieostrożnej paplaniny towarzyszek dziewczynki Sperata wkrótce dowiedziała się o śmierci swego dziecka. Wydawała się spokojna i pogodna i dawała dość wyraźnie do zrozumienia, że cieszy się, iż Bóg zabrał do siebie biedne stworzenie i zapobiegł przez to większemu nieszczęściu, jakie byłoby można znieść lub sprawić.

Przy tej sposobności przytaczano wszystkie baśnie, jakie zwykło się opowiadać o naszych wodach. Mówiono: jezioro musi co roku dostać niewinne dziecko; nie cierpi martwego ciała i prędzej czy później wyrzuca je na brzeg, ba, nawet ostatnia kosteczka, jeśli spadła na dno, musi wydostać się na wierzch. Opowiadano historię niepocieszonej matki, której dziecko utonęło w jeziorze i która wzywała Boga i świętych, by przynajmniej zwrócono jej kości do pogrzebania: potem najbliższa burza wyniosła na brzeg czaszkę,



następna tułów; a kiedy zebrało się wszystko, matka poniosła kości w chustce do kościoła, ale o cudzie! kiedy wchodziła do świątyni, paczka stawała się coraz cięższa, a wreszcie, kiedy złożyła ją na stopniach ołtarza, dziecko zaczęło krzyczeć i ku zdziwieniu wszystkich oswobodziło się z chustki; brakowało tylko kosteczki z małego palca prawej ręki, której potem matka starannie szukała i znalazła, a którą do tej pory przechowuje się na pamiątkę w kościele pośród innych relikwii.

Opowieści te wywarły wielkie wrażenie na biednej matce; jej wyobraźnia poczuła w sobie nowy polot i sprzyjała wzruszeniu jej serca. Przyjęła za prawdę, że dziecko odpokutowało już za siebie i swoich rodziców, że przekleństwo i kara, które do tej pory na nich ciążyły, teraz zostały już całkowicie zdjęte, że teraz chodzi tylko o to, żeby kości znaleźć dziecka, by je zawieźć do Rzymu, a dziecko znów stanie przed ludem na stopniach wielkiego ołtarza w kościele św. Piotra, ujęte w swą piękną, świeżą skórę. Spojrzy własnymi oczyma na ojca i matkę, a papież, przeświadczony o woli Boga i jego świętych, przy głośnych okrzykach ludu przebaczy grzechy jego rodzicom, uzna ich za wyzwolonych i połączy ich z sobą.

Odtąd jej oczy i troska skierowane były ciągle na jezioro i brzeg. Kiedy nocą przy blasku księżyca rozbijały się fale, wierzyła, że każdy błyszczący zalew wynosi jej dziecko; dla pozorów ktoś musiał zbiegać na dół, by je wylowić na brzegu.

Także i w dzień przebywała niestrudzona w miejscach, gdzie żywirowaty brzeg wchodził płasko w jezioro; zbierała do koszyka wszelkie kości, jakie znajdowała. Nikomu nie wolno jej było mówić, że to kości zwierzęce; duże grzebała, małe przechowywała. Wśród takiego zajęcia żyła nieustannie. Duchowny, który bezwzględny wypełnianiem swego obowiązku doprowadził ją do tego stanu, teraz opiekował się nią ze wszystkich sił. Wskutek jego wpływu poczytywano ją w okolicy za ekstatyczkę, a nie za obłąkaną. Kiedy przechodziła, stawano ze złożonymi rękami, a dzieci całowały jej ręce.

Jej starej przyjaciółce i towarzysze spowiednik odpuścił winę, jaką popełniła przy nieszczęsnym złączeniu obojga osób, pod tym jedynie warunkiem, żeby nigdy przez całe dalsze życie nie opuszczała nieszczęśliwej ani na chwilę, a ona z zadziwiającą cierpliwością i sumiennością wypełniała swe obowiązki aż do końca.

Tymczasem nie traciliśmy z oczu naszego brata. Ani lekarze, ani zwierzchnicy jego klasztoru nie chcieli nam pozwolić się z nim spotkać. Ażby jednak nas przekonać, że jest mu na swój sposób dobrze, mogliśmy mu się przypatrywać, ilekroć chcieliśmy, w ogrodzie, w korytarzach, ba, przez okno w suficie jego celi.

Po wielu okropnych i osobliwych przejściach, które pomijam, popadł on w dziwny stan spokoju ducha, a niepokoju ciała. Prawie nigdy nie siedział, chyba gdy brał swą harfę i grał na niej, przy czym zazwyczaj towarzyszył sobie śpiewem. Poza tym zawsze był w ruchu i we wszystkim nadzwyczajnie powolny i posłuszny, gdyż wszystkie jego namiętności przeszły, jak się zdawało, w sam strach przed śmiercią. Można go było nakłonić do wszystkiego w świecie, gdy mu się zagroziło jakąś niebezpieczną chorobą lub zgonem.

Prócz tego dziwactwa, że krążył niezmordowanie po klasztorze i dość wyraźnie dawał do zrozumienia, że jeszcze lepiej byłoby tak błądzić po górach i dolinach, mówił nadto o pewnym zjawisku, które go przerażało. Mianowicie twierdził, że kiedy budzi się w nocy, przy jego łóżku stoi piękny chłopiec i grozi mu wyostrzonym nożem. Przeniesiono go do innej celi, ale utrzymywał, że i tam także, a w końcu i w innych miejscach klasztoru stoi chłopak w zasadzce. Jego chodzenie tam i z powrotem stawało się coraz bardziej niespokojne, a nawet później przypominano sobie, że w nocny częściej niż kiedy indziej stawał przy oknie i spoglądał na jezioro.

Tymczasem nasza biedna siostra wydawała się coraz bardziej pochłonięta jedną myślą, ograniczonym zajęciem, a lekarz zaproponował, żeby stopnio-

wo domieszać do innych jej kostek kości szkieletu dziecięcego, by przez to wzmocnić jej nadzieję. Skuteczność próby była wątpliwa, ale przynajmniej zyskiwało się tyle, że można będzie, gdy zbierze razem wszystkie części, odwieść ją od ciągłego poszukiwania i zrobić jej nadzieję pielgrzymki do Rzymu.

Tak się stało. Jej towarzyszka niepostrzeżenie zamieniła znalezione kości na powierzony sobie drobny szkielecik i w biedną chorą ogarnęła niewymowna radość, kiedy po kolei odnajdowały się rozmaite cząstki i można już było określić, których jeszcze brakowało. Z wielką troskliwością obwiązała nićmi i wstęgami każdą część, gdzie która należała, a przerwy wypełniła jedwabiem i haftem, jak się to robi dla uczczenia relikwii świętych.

W ten sposób zostały złożone członki, brakło tylko niewielu kostek z dolnych kończyn. Pewnego poranku, kiedy jeszcze spała, a lekarz przyszedł, by spytać o jej zdrowie, staruszka wyjęła czczone szczątki ze skrzynki, która stała w sypialni, chcąc pokazać lekarzowi, czym się zajmuje pocziwa chora. Wkrótce potem usłyszano, jak wyskoczyła z łóżka, podniosła chustę i stwierdziła, że skrzynka jest pusta. Rzuciła się na kolana; obecni nadeszli i usłyszeli jej radosną, gorącą modlitwę.

— Tak! To prawda — zawołała — to nie był sen, tak jest rzeczywiście! Cieszcie się, moi przyjaciele, razem ze mną! Widziałam dobre, piękne stworzenie znów żywe. Powstało i zrzuciło z siebie zasłonę; jego blask oświetlił pokój; jego piękność była niebiańska; nie mogło zejść na ziemię, chociaż chciało. Lekko wzniosło się w górę i nie mogło mi nawet podać ręki. Wołało mnie ku sobie i wskazało mi drogę, którą winnam się udać. Pójdę za nim, pójdę niebawem, czuję to i tak mi lekko na sercu. Smutek mój zniknął, a sam widok mego zmartwychwstałego dziecięcia dał mi już przedsmak niebiańskiej radości.

Od tego czasu jej umysł zajęty był najpogodniejszymi widokami, nie zwracała uwagi na żaden ziemski przedmiot; jadła bardzo niewiele, a jej duch wyzwolił się powoli z więzów ciała. W końcu też znaleziono ją nieoczekiwanie bladą i bez czucia; nie otworzyła już oczu, była, jak to się mówi, martwa.

Wieść o jej wizji rychło się przedostała do ludu, a pełne czci poważanie, jakiego doznawała za życia, po jej śmierci szybko zmieniło się w przeświadczenie, że należy ją natychmiast uznać za błogosławioną, ba, za świętą.

Kiedy ją chciano pochować, zbiegło się mnóstwo ludzi z niesłychaną żarliwością, pragnęli jej dotknąć, a przynajmniej jej sukni. W tym namiętym podnieceniu różni chorzy nie czuli już bólów, które ich poprzednio dręczyły, uważali się za uleczonych, wyznawali to, chwalili Boga i nową jego świętą. Duchowieństwo zmuszone było wstawić ciało do kaplicy; lud domagał się możliwości odmawiania swych modlitw; zbiegowisko było niesłychane; górale, i bez tego skłonni do żywych uczuć religijnych, zbiegali ze swych hał; nabożny nastrój, cuda, adoracja zwiększały się z każdym dniem. Rozporządzenia biskupie, które miały ograniczyć ten nowy kult i stopniowo znieść go zupełnie, nie mogły zostać przeprowadzone; przy każdym sprzeciwie lud się burzył, a przeciwko każdemu niewierzącemu gotów był użyć przemocy.

— Czyż święty Boromeusz<sup>168</sup> — wołali — nie przebywał wśród naszych przodków? Czyż jego matka nie dożyła rozkoszy jego beatyfikacji? Czyż przez ten wielki wizerunek na skale pod Aroną<sup>169</sup> nie chciano nam zmysłowo uprzytomnić jego wielkości duchowej? Czyż jego krewni nie żyją dotąd wśród nas? I czyż Bóg nie obiecał, że wciąż będzie odnawiał swoje cuda wśród wierzącego ludu?

<sup>168</sup> Karol Boromeusz (1538–1584) — włoski kardynał, arcybiskup Mediolanu, święty Kościoła katolickiego; urodził się na zamku w Aronie, na brzegu jeziora Maggiore, 50 km na pn.-wsch. od Mediolanu. [przypis edytorski]

<sup>169</sup> Arona — miejscowość w płn. Włoszech, nad jeziorem Maggiore; przepływa przez nią strumień Vevera, który wpada do jeziora. [przypis edytorski]

Kiedy po kilku dniach ciało nie wykazywało wcale śladów gnicia, stało się raczej bielsze i jakby przezroczyste, wiara ludzi wzmagala się coraz bardziej, a wśród tłumu ukazywały się rozmaite uleczenia, których nawet uważny obserwator nie mógł objaśnić ani też ogłosić po prostu jako oszustw. Cała okolica wrzała, a jeżeli ktoś nie przybywał tam osobiście, to przynajmniej przez pewien czas nie słyszał rozmów o niczym innym.

„Klasztor, w którym znajdował się mój brat, rozbrzmiewał tymi cudami tak samo jak reszta okolicy, a ludzie tym mniej się pilnowali, żeby nie mówić o tym w jego obecności, że zazwyczaj na nic zwracał uwagi i że jego związek nikomu nie był znany. Tym razem jednak widocznie nadzwyczaj pilnie wysłuchał opowiadania, a swoją ucieczkę wykonał z taką przebiegłością, że nikt nigdy nie mógł pojąć, jak się wydostał z klasztoru. Dowiedziano się potem, że przeprawił się wraz z pewną liczbą pielgrzymów i że prosił tylko przewoźników, którzy zresztą niczego opaczniejszego w nim nie dostrzegli, o jak największą dbałość, by się łódź nie przewróciła. Późną nocą przyszedł do kaplicy, gdzie jego ukochana wypoczywała po swych cierpieniach; tylko kilku pobożnych klęczało po kątach; stara przyjaciółka siedziała u jej głowy; on zbliżył się, przywitał ją i zapytał, jak się miewa jej pani.

— Przecież pan widzisz — odparła nie bez zmieszania.

Patrzył tylko z boku na zwłoki. Po chwili wahania wziął ją za rękę. Przestraszony zimnem, natychmiast ją puścił; obejrzał się niespokojnie i rzekł do staruszki:

— Nie mogę teraz przy niej pozostać; muszę jeszcze odbyć daleką drogę, ale we właściwym czasie tu powrócę; powiedz to jej, gdy się obudzi.

I odszedł. Doniesiono nam o tym wypadku bardzo późno; robiono poszukiwania, dokąd się udał, ale na próżno! Nie sposób pojąć, jak zdołał się przedrzeć przez góry i doliny. W końcu po długim czasie znaleźliśmy jego ślad w Gryzonii<sup>170</sup>, ale za późno; straciliśmy go niebawem. Domyślaliśmy się, że poszedł do Niemiec, ale wojna całkiem zatarła takie słabe poszlaki.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Ksiądz przestał czytać, a wszyscy, słuchając, mieli łzy w oczach. Hrabina nie odejmowała chustki od swoich; w końcu wstała i wraz z Natalią opuściła pokój. Inni milczeli, a ksiądz powiedział:

— Rodzi się pytanie, czy należy dać odjechać poczciwemu markizowi, nie odkrywszy mu naszej tajemnicy? Bo któż by choćby na chwilę wątpił, że Augustyn i nasz harfiarz to jedna osoba? Rozważmy, co trzeba zrobić, zarówno ze względu na nieszczęśliwego człowieka, jak i na rodzinę. Ja bym radził nie śpieszyć się i poczekać na wiadomości, jakie przyniesie nam lekarz, którego stamtąd właśnie się spodziewamy.

Wszyscy byli tego samego zdania, a ksiądz mówił dalej:

— Równocześnie powstaje drugie pytanie, które może wypadnie załatwić wcześniej. Markiz jest nadzwyczaj wzruszony gościnnością, jakiej doznawała u nas jego biedna siostrzenica, a zwłaszcza u naszego młodego przyjaciela. Musiałem mu szczegółowo opowiedzieć całą historię, ba, kilkakrotnie, a on okazywał najserdeczniejszą wdzięczność. „Ten młodzieniec — powiedział — wymówił się od podróży ze mną, zanim poznał związek, jaki istnieje między nami. Teraz nie jestem już dla niego obcym, którego zachowania się i humoru nie byłby może pewny; jestem z nim złączony, a jeśli pan chcesz, spowinowacowany, a ponieważ jego chłopiec, którego nie chciał pozostawiać, był początkowo przeszkodą, która powstrzymywała go od zostania moim towarzyszem, niechże to dziecko stanie się piękną wstęgą, która nas tym silniej zwiąże ze sobą. Obok zobowiązania, jakie mam już teraz, niech mi się jeszcze okaże użyteczny w podróży, niech wraca ze mną, mój starszy brat przyjmie go z radością, niech nie wzgardzi dziedzictwem swej wychowanki, gdyż według tajemnej umowy naszego ojca z jego przyjacielem, majątek, który przeznaczył

<sup>170</sup>Gryzonia (fr. *Grisons*, wł. *Grigioni*, niem. *Graubünden*) — szwajcarski kanton w Alpach, na pograniczu Włoch, Austrii i Liechtensteinu. [przypis edytorski]

dla swej córki, przeszedł na nas, a my z pewnością nie pozbawimy dobroczyńcy naszej siostrzenicy tego, na co sobie zasłużył”.

Teresa wzięła Wilhelma za rękę i rzekła:

— Jesteśmy tu znowu świadkami pięknego przypadku, że bezinteresowne dobrodziejstwo przynosi najwyższe i najśliczniejsze korzyści. Idź pan za tym osobliwym wezwaniem, a podwójnie oddając usługi markizowi, śpiesz pan do pięknego kraju, który już nie raz przyciągał do siebie twoją wyobraźnię i serce.

— Powierzam się całkowicie moim przyjaciółom i ich kierownictwu — odrzekł Wilhelm; — Próżno na tym świecie działać według własnej woli. Co pragnąłem zachować, muszę porzucić, a niezasłużone dobrodziejstwo samo mi się narzuca.

Uściskawszy rękę Teresy, puścił swoją.

— Zdaję się zupełnie na pana — rzekł do księdza — co o mnie postanowisz; kiedy nie muszę się rozstawać ze swoim Feliksem, to rad będę pojechać gdziekolwiek i podjąć się wszystkiego, co się uzna za dobre.

Usłyszawszy to wyjaśnienie, ksiądz natychmiast rozwinął swój plan.

— Trzeba — rzekł — pozwolić markizowi odjechać. Wilhelm niech zaczeka na wiadomości od lekarza, a potem, kiedy się rozważy, co robić, może wraz z Feliksem pojechać za markizem.

Tak też pod jakimś pozorem namówił Markiza, aby nie krępując się przygotowaniami młodego przyjaciela do podróży, tymczasowo rozglądał się w osobliwościach miasta.

Markiz odjechał, wielokrotnie gorąco zapewniając o swej wdzięczności, której dostateczny dowód dawały podarunki, jakie pozostawił, a które się składały z klejnotów, rzeźbionych kamieni i haftowanych materii.

I Wilhelm był już także całkiem gotów do drogi. Tym większe było zakłopotanie, iż od lekarza nie nadchodziły żadne wiadomości; lękano się, czy czasem nie spadło na harfiarza jakieś nieszczęście właśnie w chwili, gdy miano nadzieję zgotować mu o wiele lepszą dolę. Wysłano umyślnego, ale ledwie odjechał, gdy wieczorem wszedł lekarz z jakimś obcym, którego postać i zachowanie były znaczące, poważne i wpadające w oczy, a którego nikt nie znał. Obaj przybywszy milczeli przez chwilę. W końcu obcy podszedł do Wilhelma, a podając mu rękę, powiedział:

— Więc już pan nie znasz swego starego przyjaciela?

Był to głos harfiarza, ale z jego postaci nie pozostał już żaden ślad. Miał na sobie zwykły ubiór podróżny, czysty i przyzwoity; broda znikła, w układzie pukli widać było pewną sztukę. Co go właściwie zmieniło do niepoznania, to to, że na jego wymownej twarzy nie można już było dostrzec rysów starości. Wilhelm uściskał go z najwyższą radością; przedstawiono go innym; zachowywał się bardzo rozumnie, lecz nie wiedział, jak dalece stał się na krótko przedtem znany temu towarzystwu.

— Będziecie państwo wyrozumiali — mówił dalej z wielką swobodą — dla człowieka, który choć wygląda na dorosłego, wstępuje teraz w świat po długim cierpieniu jak niedoświadczone dziecko. Temu dzielnemu mężowi zawdzięczam, że się znowu mogę pojawić w towarzystwie ludzkim.

Powitano go przyjaźnie, a lekarz zaplanował zaraz przechadzkę, ażeby przerwać tę rozmowę i sprowadzić ją na rzeczy obojętne.

Kiedy byli sami, lekarz wyjaśnił:

— Wyleczenie tego człowieka poszczęściło nam się wskutek najosobliwszego przypadku. Długo go kurowaliśmy według naszego przeświadczenia moralnie i fizycznie; do pewnego stopnia szło to dobrze, lecz wciąż jeszcze trapił go strach przed śmiercią, a swojej brody i długiej sukni nie chciał nam poświęcić; zresztą brał coraz częstszy udział w sprawach doczesnych, a zarówno jego śpiewy, jak wyobrażenia zdawały się znowu zbliżać do życia. Wicie państwo, jak dziwny list księdza mnie stąd odwołał. Przybywszy, zastałem naszego człowieka zupełnie zmienionego; dobrowolnie pozbył się brody, pozwolił na przystrzyżenie pukłów według przyjętej formy, poprosił o zwykłe ubranie i nagle stał się jakby innym człowiekiem. Byliśmy ciekawi przyczyny tej przemiany, a jednak nie śmieliśmy rozpytywać o to jego samego; na koniec przypadkiem odkryliśmy dziwną okolicz-

ność. W domowej apteczce księdza zabrakło buteleczki płynnego opium<sup>171</sup>; uznano za rzecz konieczną przeprowadzić najsurowsze badania; każdy się starał obronić przed podejrzeniem; pomiędzy domownikami wynikły gwałtowne sceny. Wreszcie wystąpił ten człowiek i zeznał, że on ją ma. Zapytano go, czy z niej zażywał. Odpowiedział przecząco, ale tak mówił dalej: „Jej posiadaniu zawdzięczam powrót do rozumu. Od was zależy odebranie mi tej flaszeczki, ale zobaczycie mnie znów popadającego bez nadziei w mój dawny stan. Poczucie, że jest to pożądane ujrzenie cierpienia tej ziemi kończące się śmiercią, naprzód poprowadziło mnie na drogę wyzdrowienia; wkrótce potem powstała myśl zakończenia ich przez dobrowolną śmierć; z tym zamiarem wziąłem buteleczkę; możliwość natychmiastowego usunięcia na zawsze wielkich bólów dała mi siłę do znoszenia bólów i tym sposobem, odkąd posiadam ten talizman, bliskość śmierci pchnęła mnie z powrotem do życia. Nie bójcie się — dodał — żebym z tego zrobił użytek, lecz zgódźcie na to jako znawcy ludzkiego serca, żebyście przyznając mi niezależność od życia, uczynili mnie naprawdę zależnym od życia”. Po dokładnym rozważeniu nie naciskaliśmy go dalej i odtąd nosi przy sobie w mocnej, szlifowanej buteleczce tę truciznę jako najosobliwsze antidotum.

Powiadomiono lekarza o wszystkim, co w tym czasie odkryto, i postanowiono zachować najgłębsze milczenie w stosunku do Augustyna. Ksiądz postanowił go nie opuszczać i poprowadzić go dalej po dobrej drodze, na którą wstąpił.

Tymczasem Wilhelm miał odbyć z markizem podróż po Niemczech. Jeśliby się wydawało możliwe przejąć Augustyna miłością do jego ojczyzny, to zamierzano jego stan odsłonić krewnym, a Wilhelm miał go odprowadzić do rodziny.

Ten porobił już wszystkie przygotowania do podróży, a chociaż zrazu wydawało się dziwne, że Augustyn okazał radość, dowiedziawszy się, iż jego stary przyjaciel i dobroczyńca miał natychmiast wyjechać, ksiądz odkrył jednak niebawem powód tego osobliwego nastroju. Augustyn nie mógł przewyciężyć dawnego strachu przed Feliksem i chciał, żeby chłopiec odjechał, im prędzej, tym lepiej.

Stopniowo przybywało tak wielu ludzi, że ledwie można było ich pomieścić w zamku i w oficynach, tym bardziej że z początku nie poczyniono przygotowań na przyjęcie tak licznych gości. Śniadano, obiadowano razem i chętnie wmawiano by sobie, że żyje się w przyjemnej zgodzie, gdyby już po cichu umysły do pewnego stopnia nie odskakiwały od siebie. Teresa czasami wyjeżdżała z Lotharem, a częściej jeszcze sama; poznała już w sąsiedztwie wszystkich gospodarzy i gospodynie; było to jej zasadą gospodarską i może miała słuszość, że trzeba być w najlepszych stosunkach z sąsiadami, wciąż utrzymując ustawiczną wymianę uprzejmości. Wydawało się, że nie ma mowy o jej związku z Lotharem; obie siostry miały sobie dużo do powiedzenia; ksiądz zdawał się szukać towarzystwa harfiarza; Jarno często naradzał się z lekarzem; Fryderyk trzymał się Wilhelma, a Feliks był wszędzie, gdzie mu szło dobrze. Tak więc zazwyczaj pary łączyły się na spacerze, kiedy towarzystwo się rozchodziło, a kiedy wypadło być razem, czym prędzej uciekano się do muzyki, aby wszystkich zjednoczyć, każdego powierzając samemu sobie.

Niespodziewanie hrabia powiększył towarzystwo, chcąc zabrać małżonkę i, jak się zdawało, uroczyście się pożegnać ze swymi światowymi krewnymi. Jarno wybiegł mu naprzeciw aż do powozu, a kiedy przybyły zapytał, jakie zastaje towarzystwo, odpowiedział mu w przystępie szalonego humoru, który zawsze go ogarniał, ilekroć widział hrabiego:

— Zastajesz pan szlachtę całego świata zebraną razem: markizów, margrabiów, milordów i baronów; brakło tylko jeszcze hrabiego.

Weszli potem na schody, a Wilhelm był pierwszą osobą, która spotkała ich w przed-sionku.

— Milordzie — rzekł do niego hrabia po francusku, przyjrząwszy mu się przez chwilę — bardzo się cieszę z niespodzianego odnowienia znajomości z panem; chyba bardzo bym się mylił, jeśli nie widziałem pana w swoim zamku w orszaku królewicza.

<sup>171</sup> *opium* — wysuszony sok makówek; w XVIII w. ze względu na jego właściwości uspokajające opium, głównie w postaci nalewki alkoholowej, zwanej laudanum, używano jako leku na zaburzenia nerwowe; w dużej dawce powoduje śpiączkę i śmierć. [zrypis edytorski]

— Miałem istotnie szczęście być wówczas do usług waszej ekscelencji — odparł Wilhelm. — Tylko za dużo mi pan okazujesz honoru, biorąc mnie za Anglika, i to pierwszej rzędu; jestem Niemcem i...

— I bardzo dzielnym młodzieńcem — przerwał mu natychmiast Jarno.

Hrabia spojrział na Wilhelma z uśmiechem i miał właśnie coś odpowiedzieć, kiedy nadeszła reszta towarzystwa i przywitała go jak najprzyjaźniej. Usprawiedliwiano się, iż nie mogą mu od razu przeznaczyć przyzwoitego pokoju i obiecano bezzwłocznie postarać się o potrzebne pomieszczenie.

— Aha — rzekł, uśmiechając się — widzę, że list przewozowy pozostawiono przypadkowi; ileż to rzeczy można dokonać z przezornością i należyтым urządzeniem! Ale teraz proszę was, nie ruszajcie z miejsca nawet pantofla, bo inaczej, przewiduję to, nastanie wielki nieporządek. Wszystkim będzie się żyło niewygodnie, a tak być z mego powodu nie powinno ani przez godzinę. Byłeś pan świadkiem — rzekł do Jarna — a i pan także, *mister* — zwracając się do Wilhelma — ile to wówczas ludzi pomieściłem wygodnie w swoim zamku. Proszę mi dać spis osób i sług, proszę mi pokazać, jak każdy teraz jest zakwaterowany; ja zrobię plan dyslokacji, żeby każdy z najmniejszym trudem znalazł stosowne mieszkanie i żeby zostało jeszcze miejsce dla gościa, który przypadkiem by do nas zawitał.

Jarno stał się zaraz adiutantem hrabiego, dostarczył mu wszystkich potrzebnych wiadomości i po swojemu cieszył się najwięcej wtedy, gdy starszego pana mógł wprowadzić w błąd. Ten jednak odniósł wkrótce wielki triumf. Rozkład był gotowy; kazał w swojej obecności powypisywać nazwiska na wszystkich drzwiach i nie można było zaprzeczyć, iż cel został w pełni osiągnięty małym zachodem i przy niewielkich zmianach. A Jarno między innymi pokierował tak, że osoby, które interesowały się sobą, zamieszkały razem.

Kiedy wszystko było urządzone, hrabia rzekł do Jarna:

— Pomóż mi pan wpaść na trop młodzieńca, którego nazywasz pan Meistrem, a który ma być Niemcem.

Jarno milczał, bowiem bardzo dobrze wiedział, iż hrabia był jednym z tych ludzi, którzy pytając, chcą właściwie pouczać; istotnie, ten, nie czekając odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Przedstawiłeś mi go pan wówczas i poleciłeś jak najlepiej w imieniu królewicza. Jeżeli nawet jego matka była Niemką, to obstaję przy tym, iż jego ojciec jest Anglikiem, i to wyższego rodu; któż by zdołał policzyć wszystką krew angielską, jaka od trzydziestu lat płynie w żyłach niemieckich? Nie będę na to dłużej naciskał; zawsze macie takie rodzinne sekrety, ale ja w takich wypadkach nie dam się wywieść w pole.

Opowiadał następnie jeszcze różne rzeczy o tym, co wówczas miało się przydarzyć Wilhelmowi w jego zamku; na co Jarno również milczał, chociaż hrabia był zupełnie w błędzie i nieraz mieszał Wilhelma z pewnym młodym Anglikiem z orszaku księcia następcy. Dobry pan miał dawniej doskonałą pamięć i do tej pory był dumny z tego, iż może sobie przypomnieć najdrobniejsze zdarzenia swojej młodości; teraz jednak z równą pewnością podawał za prawdziwe dziwaczne kombinacje i bajki, jakie mu wobec coraz słabszej pamięci nasunęła kiedykolwiek wyobraźnia. Poza tym stał się bardzo łagodny i uprzejmy, a jego obecność miała bardzo korzystny wpływ na towarzystwo. Żądał, żeby czytano razem coś pożytecznego, nawet urządzał niekiedy małe gry, w których, jeśli nie był uczestnikiem, to wielce gorliwym kierownikiem, a kiedy dziwiono się jego pobłażliwości, odpowiadał, że obowiązkiem każdego, kto dystansuje się od świata w rzeczach zasadniczych, jest tym bardziej stawać z nim na równi w rzeczach obojętnych.

W czasie tych gier Wilhelm przeżywał niejedną chwilę niepokoju i przykrości; lekkomyślny Fryderyk wykorzystywał tę czy inną sposobność, by uwydatnić skłonność Wilhelma do Natalii. Skąd mu to przyszło do głowy? Jakże miał do tego prawo? A czyż towarzystwo, widząc, że obaj bardzo często ze sobą przestają, nie mogło sobie pomyśleć, że Wilhelm zrobił przed nim tak nieopatrne i nieszczęsne zwierzenie?

Pewnego dnia przy podobnej igrasce byli weselsi niż zazwyczaj, kiedy nagle przez gwałtownie pchnięte drzwi wpadł Augustyn; twarz miał bladą, oczy dzikie; zdawało się, że chce mówić, głos odmówił mu posłuszeństwa. Towarzystwo przeraziło się; Lothar i Jarno, podejrzewając powrót obłąkania, skoczyli do niego i mocno trzymali. Jąkając się, głucho, potem gwałtownie i donośnie mówił i krzyczał:

— Nie mnie trzymajcie, śpieszcie, pomagajcie, ratujcie dziecko! Feliks otruty!

Puścili go. Wybiegł drzwiami, a przerażone towarzystwo ruszyło się za nim. Posłano po lekarza; Augustyn skierował swoje kroki do pokoju księdza. Znaleźli dziecko, które się wydawało przestraszone i zakłopotane, kiedy zawołali do niego z daleka:

— Coś ty zrobił?

— Kochany ojcie — zawołał Feliks — piłem nie z butelki, tylko ze szklanki; tak mi się chciało pić.

Augustyn załamał ręce, wołając:

— Zgubiony!

Przecisnął się przez otaczających i wybiegł.

Na stole znajdowała się szklanka orszady<sup>172</sup>, a obok karafka, w połowie pusta. Nadszedł lekarz, oznajmiono mu, co wiedzano; z przerażeniem ujrzał leżącą na stole pustą, dobrze sobie znaną flaszeczkę, w której znajdowało się niegdyś opium w płynie; kazał przynieść octu i wezwał na pomoc wszystkie środki swojej sztuki.

Natalia kazała zanieść chłopca do pokoju i troskliwie nim się zajęła. Ksiądz pobiegł poszukać Augustyna i uzyskać od niego wyjaśnienia. Podobnie nieszczęśliwy ojciec bezskutecznie próbował, a powróciwszy, ujrzał na wszystkich twarzach niepewność i troskę. Tymczasem lekarz zbadał orszadę w szklance i znalazł w niej bardzo silną przymieszkę opium. Dziecko leżało na pościeli i wyglądało na bardzo chore; prosiło ojca, żeby mu tylko nic już więcej nie wlewano, żeby go już nie dręczono. Lothar wysłał ludzi i sam pojechał, aby wpaść na ślad ucieczki Augustyna. Natalia siedziała przy dziecku; schroniło się na jej łono i błagało ją o opiekę, o kawałek cukru, bo ocet taki kwaśny! Lekarz zezwolił.

— Trzeba — rzekł — żeby dziecko, które znajduje się w straszliwym wzburzeniu, choć na chwilę poleżało spokojnie. Co było do zaradzenia, to się zaradziło, zrobię wszystko, co w mej mocy.

Hrabia zbliżył się z pewną jakby niechęcią; wyglądał poważnie, nawet uroczyście, położył ręce na dziecku, spojrzał w niebo i pozostał przez chwilę w tej postawie. Wilhelm, który siedział niepocieszony na krzeselku, poderwał się, rzucił rozpaczliwe spojrzenie na Natalię i wyszedł.

Wkrótce potem hrabia również opuścił pokój.

— Nie pojmuję — rzekł lekarz po chwili — dlaczego u dziecka nie widać najmniejszego śladu niebezpiecznego stanu. Nawet jednym łykiem musiało wchłonąć olbrzymią dawkę opium, a przecież w jego pulsie nie znajdują większego przyśpieszenia niż to, jakie mogę przypisać moim środkom i strachowi, w jaki wprowadziłem dziecko.

Niebawem przyszedł Jarno z wiadomością że znaleziono Augustyna na strychu we krwi, że leżała przy nim brzytwa, że prawdopodobnie podciął sobie gardło. Lekarz wybiegł i spotkał ludzi znoszącymi ciało na dół. Złożono je na łóżku i dokładnie zbadano; cięcie poszło w tchawicę i po wielkim upływie krwi nastąpiło omdlenie, ale niebawem zauważono, że życie trwa, że jest jeszcze nadzieja. Lekarz ułożył ciało we właściwej pozycji, połączył rozdzielone części i związał bandażem. Noc minęła wszystkim bezsennie i w wielkim niepokoju. Dziecko nie chciało się rozstać z Natalią. Wilhelm siedział przed nią na stołeczku; trzymał nogi chłopca na swoim łonie, a na jej leżały głowa i piersi; tak podzielili między siebie miły ciężar i bolesne troski i w tej niewygodnej i przykrej pozycji wytrwali aż do świtu. Natalia podała Wilhelmowi rękę, nie mówili ani słowa, patrzyli na dziecko i spoglądali na siebie. Lothar i Jarno siedzieli w drugim końcu pokoju i prowadzili ze sobą bardzo ważną rozmowę, którą byśmy tu chętnie powtórzyli naszym czytelnikom, gdyby zdarzenia nas zbyt nie popędzały. Chłopiec spał spokojnie, obudził się wczesnym rankiem całkiem wesoły, podskoczył i poprosił o chleb z masłem. Kiedy Augustyn doszedł trochę do siebie, starano się uzyskać od niego wyjaśnienie. Nie bez trudu i tylko stopniowo dowiedziano się, że kiedy przy owej nieszczęsnej dyslokacji hrabiego umieszczony został w jednym pokoju z księdzem, znalazł tam rękopis, a w nim swoją historię; jego przerażenie było niezrównane i był teraz przekonany, że nie powinien już dłużej żyć; zaraz jak zazwyczaj uciekł się do opium, wlał je do szklanki orszady, ale poniósłszy

<sup>172</sup>orszada — napój chłodzący z tartych migdałów, gotowanych z cukrem. [przypis edytorski]

do ust, wzdrygnął się; zostawił je tedy, by raz jeszcze pobiec do ogrodu i zobaczyć świat; po powrocie zastał dziecko zajęte ponownym napełnianiem szklanki, z której się napiło.

Proszono nieszczęśnika, by się uspokoił; chwycił kurczowo rękę Wilhelma i rzekł:

— Ach, dlaczego nie zostawiłem cię dawno temu? Wiedziałem, że zabiję chłopca, a on mnie!

— Chłopiec żyje! — zapewnił Wilhelm.

Lekarz, który się temu pilnie przysłuchiwał, zapytał Augustyna, czy cały napój był zatruty.

— Nie — odparł ten — tylko szklanka.

— Więc dziecko najszcześniejszym przypadkiem — zawołał lekarz — piło z butelki! Jakiś dobry duch kierował jego ręką, iż nie sięgnęła po śmierć, która tak blisko stała przygotowana!

— Nie! Nie! — krzyknął Wilhelm, zasłaniając oczy rękoma. — Jakie straszne jest to stwierdzenie! Dziecko wyraźnie powiedziało, że nie piło z butelki, tylko ze szklanki. Jego zdrowie to tylko pozory, umrze nam w rękach.

Wybiegł. Lekarz zeszedł na dół i pieszcząc dziecko, zapytał:

— Feliksie, piłeś z butelki, a nie ze szklanki, prawda?

Dziecko zaczęło płakać. Lekarz powiedział po cichu Natalii, jak się sprawy mają; ona także na próżno się próbowała dowiedzieć się prawdy od dziecka; płakało tylko jeszcze więcej, póki nie usnęło. Wilhelm czuwał przy nim; noc przeszła spokojnie.

Nazajutrz zastano Augustyna martwego w łóżku; oszukał czujność swoich opiekunów pozornym spokojem, zdjął po cichu bandaże i wykrwawił się na śmierć.

Natalia przechadzała się z dzieckiem; było ruchliwe jak w swoich najszcześniejszych dniach.

— Ty jesteś dobra — rzekł do niej Feliks — nie gniewasz się, nie bijesz mnie; powiem ci więc, piłem z butelki! Matka Aurelia zawsze mnie biła po palcach, kiedy zabierałem się za karafkę; ojciec wyglądał na tak rozgniewanego, myślałem, że będzie mnie bić.

Uskrzydlonymi krokami Natalia pośpieszyła do zamku.; Wilhelm spotkał ją, wciąż przejęty cierpieniem.

— Szczęśliwy ojciec! — zawołała głośno, podnosząc dziecko i rzucając mu je w objęcia. — Masz tu swego syna! Pił z butelki; niegrzeczność go uratowała.

Opowiedziano szczęśliwe zakończenie hrabiemu, ale ten przysłuchiwał się z uśmiechniętą, spokojną, skromną pewnością siebie, z jaką się znosi błąd dobrych ludzi. Jarno, baczny na wszystko, nie mógł sobie tym razem wyjaśnić tak daleko posuniętego zadowolenia z siebie, aż w końcu po pewnym kołowaniu dowiedział się, iż hrabia jest przekonany, że dziecko rzeczywiście zażyło truciznę, lecz on swoją modlitwą i włożeniem na nie rąk, cudownie zachował je przy życiu.

Hrabia postanowił też zaraz wyjechać; w jednej chwili, jak zazwyczaj u niego, wszystko było spakowane; przy pożegnaniu piękna hrabina, nie wypuszczając ręki siostry, wzięła za rękę Wilhelma, uściśliła wszystkie cztery ręce razem, odwróciła się pośpiesznie i wsiadła do powozu.

Tyle strasznych i dziwnych zdarzeń, które się tłoczyły jedno na drugie, zmuszając do niezwyklego trybu życia i wprowadzając wszędzie nieporządek i zamieszanie, wprowadziło dom w pewne gorączkowe drganie. Godziny snu i czuwania, jedzenia, picia i towarzyskich zebrań zostały zmienione i przewrócone. Oprócz Teresy nikt nie pozostał przy właściwej sobie kolejności; mężczyźni starali się przywrócić sobie dobry humor napojami wysokowymi, a nadając sobie sztuczny nastrój, oddalali naturalny, jaki nam zapewnia jedynie prawdziwa pogoda ducha i aktywność.

Wilhelmem wstrząsały i targały najgwałtowniejsze namiętności; niespodziewane a przerażliwe wzburzenia uczyniły głębię jego duszy całkiem niezdolną do opierania się namiętności, która tak gwałtownie zawładnęła sercem. Feliks został mu przywrócony, a jednak zdawało mu się, że brak mu wszystkiego; listy Wernera z przekazami leżały gotowe; do podróży nie brakowało mu niczego prócz odwagi, by wyjechać. Wszystko pchało go do tej podróży. Mógł przypuszczać, że Lothar i Teresa czekają tylko na jego oddalenie się, by się pobrać. Jarno wbrew swemu zwyczajowi był milczący i nawet można by było powiedzieć, że stracił nieco ze swej zwykłej wesołości. Na szczęście lekarz w pewnej mierze wybawił naszego przyjaciela z kłopotu, oświadczając, że jest chory i dając mu lekarstwo.



Towarzystwo zbierało się zawsze wieczorem, a Fryderyk, człowiek swawolny, który zwykle pił więcej wina niż należało, opanowywał rozmowę i po swojemu, setkami cytatów i sowizdrzalskich przytyków, doprowadzał ich do śmiechu i nieraz wprawiał w zakłopotanie, pozwalając sobie głośno myśleć.

Zdawał się wcale nie wierzyć, że jego przyjaciel jest chory. Pewnego razu, gdy byli wszyscy razem, zawołał:

— Jak nazywacie, doktorze, słabość, która napadła naszego przyjaciela? Czy do niej nie pasuje żadna z tych trzech tysięcy nazw, którymi przystrajacie swoją niewiedzę? Przynajmniej nie brakowało podobnych przykładów. Przypadek taki — mówił dalej stanowczym tonem — zjawia się pewnie w dziejach egipskich albo babilońskich.

Towarzystwo spojrzało po sobie i uśmiechnęło się.

— Jak się zwał król? — zawołał i zamilkł na chwilę. — Kiedy nie chcecie mi pomóc — mówił następnie — to sam potrafię sobie pomóc.

Otworzył szybko drzwi i wskazał wielkie malowidło w przedsionku.

— Jak się nazywa ta kozia broda w koronie, co się tam rozkwiliła nad swoim chorym synem u stóp łoża? Jak się nazywa ta piękna, co wchodzi i w swych skromnych, a figlarnych oczach nosi truciznę zarazem i antidotum? Jak się nazywa ten pasterz-lekarz, któremu w tej chwili dopiero błyska światelko, który po raz pierwszy w życiu znajduje sposobność zapisania rozumnej recepty, podania lekarstwa, co leczy z gruntu, a jest zarówno smaczne, jak zbawienne?

W tym tonie wciąż wykrzykiwał. Towarzystwo wstrzymywało się, jak mogło, i skrywało zakłopotanie za wymuszonym uśmiechem. Lekki rumieniec pokrył policzki Natalii i zdradzał wzruszenie jej serca. Na szczęście przechadzała się z Jarnem po pokoju; doszedłszy do drzwi, zręcznym ruchem wymknęła się, przeszła się kilka razy po przedsionku i udała się do swej komnaty.

Towarzystwo milczało. Fryderyk zaczął tańczyć i śpiewać:

Och, cuda ujrzycie tu wnet!

Co się stało, to się stało,

Co się rzekło, to się rzekło.

Zanim jeszcze będzie dniało,

Cuda ujrzycie tu wnet!

Teresa poszła za Natalią; Fryderyk pociągnął lekarza do wielkiego malowidła, wypowiedział śmieszną pochwałę medycyny i umknął.

Lothar stał dotychczas we wnęce okna i bez ruchu wpatrywał się w ogród.

Wilhelm był w najokropniejszym położeniu. Nawet teraz, gdy znalazł się sam na sam ze swoim przyjacielem, milczał przez jakiś czas; przebiegał w ulotnym oglądzie swoją historię i w końcu ze zgrozą zatrzymał się na swym obecnym stanie; w końcu poderwał się i zawołał:

— Jeśli jestem winny temu, co się dzieje, temu, co mnie i pana spotyka, to mnie pan ukarż! Na domiar moich cierpień cofasz mi pan swoją przyjaźń i rzucasz mnie bez pociechy w szeroki świat, w którym już od dawna musiałbym zginąć! Jeżeli zaś widzisz pan we mnie ofiarę strasznego, przypadkowego zawiązania, z którego nie byłem zdolny się wydobyć, to daj mi zapewnienie swojej miłości, swojej przyjaźni na tę podróż, której nie mogę już dłużej odkładać. Przyjdzie czas, kiedy będę mógł panu powiedzieć, co zaszło we mnie w ciągu tych dni. Być może właśnie teraz cierpię za to, że nie dość wcześnie odkryłem się przed panem, że zwlekąłem z pokazaniem się panu całkowicie takim, jakim jestem; byłbyś mi pan dopomógł, byłbyś mnie pan zawczasu wyzwolił. Raz po raz otwierają mi się oczy na siebie samego, zawsze za późno i zawsze na próżno. Jak bardzo zasłużyłem na nagany Jarna! Jakże mi się zdawało, że je zrozumiałem, jakże miałem nadzieję skorzystania z nich, rozpoczęcia nowego życia. Czy mogłem? Czy powinienem? Na próżno my, ludzie, oskarżamy samych siebie, na próżno narzekamy na los! Nędzni jesteśmy i na nędzę skazani; i czy to nie wszystko jedno jedno, czy własna wina, wpływ z góry czy przypadek, cnota czy występki, mądrość czy obłąkanie popychają nas do zguby? Bywaj pan zdrow! Ani chwili dłużej nie zabawię w domu, w którym wbrew mej woli

tak okropnie naruszyłem prawo gościnności. Niedyskrecja pańskiego brata jest niewybaczalna, doprowadza mnie do najwyższego stopnia nieszczęścia, doprowadza mnie do rozpacz.

— A gdyby — odparł Lothar, biorąc go za rękę — związek, pana z moją siostrą był tajemnym warunkiem, pod jakim Teresa zgodziła się oddać mi swą rękę? Takie wynagrodzenie obmyśliła dla pana szlachetna dziewczyna; przysięgła, że ta podwójna para jednego dnia pójdzie do ołtarza. „Jego rozum — rzekła — wybrał mnie, jego serce pragnie Natalii, a mój rozum przyjdzie z pomocą jego sercu”. Zgodziliśmy się obserwować Natalię i pana; wtajemniczyliśmy w nasz zamiar księdza, któremu musieliśmy przyrzec, że nie uczynimy żadnego kroku ku zawarciu tego związku, lecz pozostawimy rzecz własnemu biegowi. Tak też zrobiliśmy. Natura działała, a szalony brat tylko strząsnął dojrzały owoc. A kiedy się zesłiliśmy ze sobą tak cudownie, nie prowadźmy życia pospolitego, bądźmy czynni wspólnie w sposób dostojny! To nie do uwierzenia, czego może dokonać dla siebie i innych człowiek ukształcony, jeżeli nie pragnąc panować, ma odwagę zostać opiekunem wielu, pobudza ich do robienia tego w porę, co oni wszyscy chętnie chcieliby robić, i prowadzi do ich celów, które oni zwykle trafnie dostrzegają, a błędzą tylko w obiorze drogi do nich. Zawrzyjmy tedy związek; to nie marzycielstwo, to myśl, dająca się bardzo dobrze zrealizować i często też realizowana przez dobrych ludzi, tylko nie zawsze całkiem świadomie. Moja siostra Natalia jest tego żywym przykładem. Sposób działania, jaki natura wskazała tej pięknej duszy, pozostanie na zawsze niedościgły. Tak jest, zasługuje ona na tę zaszczytną nazwę przed wieloma innymi, więcej, śmiałybym powiedzieć, niż nawet nasza szlachetna ciotka, która w owym czasie, kiedy nasz poczciwy lekarz tak rubrykował ten rękopis, była najpiękniejszą naturą, jaką znaliśmy w naszym kółku. Tymczasem Natalia rozwinęła się, a ludzkość raduje się z takiego zjawiska.

Chciał mówić dalej, ale wpadł Fryderyk z wielkim krzykiem.

— Na jaki wieniec zasługuję? — zawołał. — I jak też mnie nagrodzicie? Mirty, wawrzyn, bluszcz, liście dębowe, najświeższe, jakie można znaleźć, splećcie razem! Tyle zasług macie we mnie do uwieńczenia. Natalia jest twoja! Ja jestem czarodziejem, który odkrył ten skarb.

— Roi mu się — rzekł Wilhelm — a ja odchodzę.

— Czy masz zlecenie? — rzekł baron, zatrzymując Wilhelma.

— Z własnej mocy i potęgi — odparł Fryderyk — a i z bożej łaski, jeśli chcecie, jak byłem zalotnikiem, teraz tak jestem posłem; podśluchiwałem u drzwi; ona zwierzyła się całkowicie księdzu.

— Bezwstydy! — rzekł Lothar. — Któż ci każe podśluchiwać?

— A kto jej każe się zamykać! — odparł Fryderyk — Słyszałem wszystko dokładnie, Natalia była bardzo wzruszona. W nocy, kiedy dziecko wydawało się tak chore i na wpół spoczywało na jej łonie, a ty, stroskany, siedziałeś przed nią i dzieliłeś z nią miłe brzemię, ślubowała, że gdyby dziecko umarło, wyzna ci swą miłość i sama zaofiaruje ci rękę. Teraz, kiedy dziecko żyje, dlaczego by miała zmieniać zdanie? Co się w ten sposób przyrzeka, dotrzymuje się w każdych warunkach. Zaraz tu przyjdzie klecha i poczyta za cuda nowiny, jakie przynosi.

Ksiądz wszedł do pokoju.

— Wiemy wszystko — zawołał Fryderyk do niego. — Mówcie krótko, gdyż przychodzą tylko dla formalności; panowie nie muszą robić nic innego.

— Podśluchiwał — rzekł baron.

— Co za nieobyczajność! — zawołał ksiądz.

— Tylko prędko — odparł Fryderyk. — Jakże tam z ceremoniami? Można je wylczyć na palcach: musicie jechać, zaproszenie markiza wybornie się dla was nadaje. Jak tylko dostaniecie się za Alpy, wszystko będzie w porządku; ludzie są wdzięczni, kiedy robicie coś cudownego, dostarczacie im zabawy, za którą nie muszą płacić. To tak samo, jakbyście im dali maskaradę za darmo; wszystkie stany mogą w niej brać udział.

— Takimi uroczystościami ludowymi zaiste bardzo zasłużyłeś się pan publiczności — odparł ksiądz. — A ja, jak się zdaje, dziś nie dojdę do słowa.

— Jeśli nie wszystko jest tak, jak mówię — odciął się Fryderyk — to dajcie nam coś lepszego. Chodźcie tu, chodźcie! Musimy ich zobaczyć i cieszyć się.

Lothar uściskał przyjaciela i poprowadził go do siostry; wraz z Teresą wyszła im na spotkanie; wszyscy milczeli.

— Nie ociągaj się! — zawołał Fryderyk. — Za dwa dni możecie być gotowi do drogi. Jak się wam zdaje, przyjacielu — mówił dalej, zwracając się do Wilhelma — kiedyśmy się spotkali, kiedy odbierałem wam piękny bukiet, któż by pomyślał, że kiedyś otrzymacie taki kwiat z mojej ręki?

— Nie przypominaj mi pan tamtych czasów w tej chwili najwyższego szczęścia!

— Nie powinniście się ich wstydzić, tak jak nie ma się co wstydzić swego pochodzenia. Tamte czasy były dobre i śmiać mi się chce, gdy patrzę na ciebie: wyglądasz mi jak Saul<sup>173</sup>, syn Kisa, który wyszedł szukać oślic swego ojca, a znalazł królestwo.

— Wartości królestwa nie znam — odparł Wilhelm — ale wiem, że osiągnąłem szczęście, na które nie zasługuję i którego nie zamieniłbym za nic w świecie.

---

<sup>173</sup>Saul (ok. XI w. p.n.e.) — postać biblijna, syn Kisa z plemienia Beniamina, pierwszy król Izraela; kiedy Kiszowi zaginęły ośle, poszukujący ich Saul po bezskutecznej wędrówce udał się po radę do proroka Samuela, który ugościł go i niespodziewanie namaścił na króla (1 Sm 9,3–10, 9). [przypis edytorski]

---

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <https://wolnelektury.pl/katalog/lektura/lata-nauki-wilhelma-meistra/>

Tekst opracowany na podstawie: Johann Wolfgang von Goethe, Wilhelm Meister (obie części), tłum. Piotr Chmielowski, nakł. i druk S. Lewentala, Warszawa 1893.

Wydawca: Fundacja Wolne Lektury

Publikacja zrealizowana w ramach biblioteki Wolne Lektury ([www.wolnelektury.pl](http://www.wolnelektury.pl)). Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury – państwowego funduszu celowego

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Monika Kępska, Paulina Choromańska, Wojciech Kotwica.

ISBN 978-83-288-7111-3

*Wesprzyj Wolne Lektury!*

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

*Jak możesz pomóc?*

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).